

Janusz Meissner

WRAKI



· ISKRY · WARSZAWA · 1954 ·

Ilustrował: Wojciech Fangor

C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A

STATEK TONIE

Rozdział I

Antoni Barnat wyszedł z hallu i przystanąwszy na szerokiej platformie schodów objął wzrokiem plac przed dworcem kolejowym. Stacja autobusów, zieleniec z kwitnącymi bzami, znajome domy, asfaltowe jezdnie rozchodzące się w trzech kierunkach; dalej na lewo, na tle gasnącego nieba, kłamra mostu rzuconego nad torami węzła portowego i za nią – maszty, kominy statków.

Na prawo – miasto.

Wolno zszedł ze schodów i skręcił na prawo. Przechodnie – kobiety i mężczyźni – mijali go nie zwracając nań uwagi, zajęci własnymi sprawami. Ciągłe jeszcze wydawało mu się to dziwne: tam gdzie spędził ostatnie trzy lata, każdy z niewielu spotykanych ludzi obrzucał go baczny spojrzeniem...

Jestem wolny – pomyślał. – Do tego też trzeba przywyknąć.

Odetchnął głęboko. Słony, rzeźwy powiew od morza musnął mu twarz jakby na powitanie. Antoni uśmiechnął się. Zapragnął zobaczyć to morze – daleką przestrzeń, nad którą nachyla się niebo; usłyszeć szept fal na piasku i ich przybój chluszczący o kamienne nabrzeże.

Uświadomił sobie, że każdej chwili może zaspokoić tę zachciankę.

– Jestem wolny – powtórzył.

Ta myśl, przewijająca się co chwila wśród zdarzeń ostatnich dwu dni, za każdym razem napełniała go radością, jakiej od dawna nie doznawał. Nie zdążył jeszcze oswoić się z nią, przywyknąć. Wszystko, co go otaczało, cały zewnętrzny świat rozjaśniał się nagle, jak w uśmiechu, ilekroć powtarzał te dwa słowa.

Lecz inne myśli płynęły ciężko, niby chmury przesłaniające ów blask. Nie sposób było od nich uciec. A teraz, tu, w Gdyni, wśród znajomych ulic, drzew, domów, bzów kwitnących za sztachetami ogrodów, wystaw sklepowych, wśród przechodniów – marynarzy, robotników, kobiet i dzieci – wspomnienia rzuciły się na niego, jak stado ptaków rzuca się na jastrzębia, który uchodzi z łupem.

Nie miał już żadnego łupu; nie zdołał z nim ująć. I nie zamierzał uciekać, nawet od wspomnień. Przeciwnie: wracał do nich, poddawał się im.

* * *

Wybuch wojny zastał dwudziestoczteroletniego Antoniego Barnata w Gdyni. Pracował tu od dłuższego czasu jako nurek – najpierw u niejakiego Siei, później w przedsiębiorstwie holowniczo-ratowniczym „Zabokrzycki i S-ka” – i ten niezwykle wówczas fach uchronił go przed obozem jeńców: władze portowe zastrzegły sobie zatrzymanie w służbie kilku nurków, reklamując ich z wojska. Barnat nie został zmobilizowany i nie brał udziału w walkach, a później, gdy okupanci objęli port i ruszyły roboty podwodne, musiał pracować nadal.

Z początku mogło się zdawać, że pogodził się z tym, co zaszło. Traktowano go względnie dobrze, jako fachowca, którego nie łatwo zastąpić. Sporo zarabiał, szybko nauczył się po niemiecku, miał opinię spokojnego, rozsądnego człowieka, który w faszystowskim „nowym ładzie” znalazł się na właściwym miejscu.

Były to zresztą tylko pozory. Antoni przyciął się i czekał. Nie wiedział wówczas jeszcze, na co właściwie czeka, ale instynktownie czuł, że prędzej czy później nadarzy mu się sposobność walki przeciw obcej przemocy, której na razie ulegał tak spokojnie, a której nienawidził z całej duszy. Nie chciał tej sposobności stracić i manewrował wcale zręcznie, aby do czasu uniknąć konfliktu z władzami okupacyjnymi.

Gdy zaczęły się wysiedlania i prześladowania tych, którzy wzbraniali się podpisać listę volksdeutschów, znalazł dość naiwny, niemniej jednak skuteczny wykręt, aby jej nie podpisać,

podając, że jego pradziad był obywatelem szwajcarskim, na co zresztą nie miał żadnych dowodów. Nie dał się wciągnąć do pierwszej roboty podziemnej, organizowanej przez „narodowych” emisariuszy z Generalnego Gubernatorstwa, których wkrótce aresztowało Gestapo. Znalazłszy się przypadkiem w Gdańsku podczas demonstracji robotniczej w dniu 23 czerwca 1941 roku – po napaści Hitlera na Związek Radziecki – szczęśliwie uniknął aresztowania, jakkolwiek podówczas nawiązał już był luźny kontakt z tamtejszą organizacją oporu, kierowaną przez Mariana Rachwałę.

Wiedział, że Rachwał był członkiem KPP, a choć sam nie należał do partii, to jednak w osobie tego starego działacza robotniczego upatrywał przywódcę, pod którego rozkazami gotów był walczyć. Lecz Marian Rachwał został zdradziecko wydany okupantom i rozstrzelany w kilka dni później. To znów na pewien czas powstrzymało Barnata od czynnego zaangażowania się w robocie podziemnej, która zresztą po czerwcowym pogromie ledwo się tliła na wybrzeżu, w warunkach o ileż trudniejszych niż w głębi kraju.

Dopiero z końcem 1942 roku Antoni znalazł się w szeregach zorganizowanego robotniczego ruchu oporu. Dziwnym zrządzeniem losu dokonało się to znów w pewnym związku z Marianem Rachwałem. Bowiem wówczas Barnat poznał Teresę.

Okoliczności towarzyszące temu zdarzeniu nie kryły w sobie nic nadzwyczajnego, a pierwsze przypadkowe zetknięcie się Antoniego z Teresą mogło się wydać nawet wobec nich szczegółem bez najmniejszego znaczenia. Barnat został opuszczony na dno celem sklarowania i usunięcia stalowej liny zaplątanej w śrubę jakiegoś trawlera. Skutkiem nieporozumienia jego sygnalista za wcześnie dał znak do wyciągnięcia go na powierzchnię i nagle nurka szarpnięto w górę, wykręcając mu stopę uwięzła w zwojach stalówki. Barnat poczuł dotkliwy ból, zasygnalizował „stop” i zawisł na linie. Zdołał jakoś wyswobodzić nogę, lecz znalazłszy się wreszcie na pokładzie holownika nie mógł stanąć o własnych siłach: miał wywichniętą stopę.

Odwieziono go do szpitala. Tu wobec braku wolnych łóżek na salach musiał poprzestać na kocu rozścielonym w kącie korytarza, gdzie pozostawiono go bez żadnej opieki. Szpital był zavalony rannymi żołnierzami niemieckimi, których zwożono ze wschodu, a lekarze i pielęgniarki padali ze zmęczenia. Cywilny robotnik, przy tym Polak, mógł czekać.

Zaciął zęby i czekał cierpliwie przez parę godzin, aż zapadł w stan odrętwienia, w którym przestaje się myśleć i dostrzegać cokolwiek wśród drążącego bólu.

Z tej drętwoty, spowijającej mu głowę i oddzielającej go od otoczenia, jakby wszystkie jego zmysły zostały porażone, zbudził go wreszcie bliski głos powtarzający jakieś pytanie. Antoni drgnął, poruszył się i zobaczył parę ciemnoniebieskich oczu pod regularnymi łukami brwi. Te oczy wpatrywały się w niego z natężeniem, szeroko otwarte i nieruchome. Dopiero po chwili w panującym półmroku dojrzał twarz okoloną ciemnymi wijącymi się włosami i pochyloną postać dziewczyny.

– Kto pan jest? – spytała po raz trzeci. – Co panu dolega?

– Noga – skrzywił się z bólu. – Zwichnąłem nogę.

Uświadomił sobie nagle, że jest w niemieckim szpitalu i że ta dziewczyna mówi do niego po polsku. Spojrzał na nią przytomniej. Była bardzo młoda i ładna. Miała na sobie granatowy chałat z opaską czerwonego krzyża na ramieniu. Nie mógł dojrzeć wyraźnie jej postaci, lecz wydało mu się, że jest zgrabna i szczupła.

Uśmiechnęła się do niego. Zobaczył błysk białych, równych zębów w delikatnym wykroju ust.

– Zostawili tu pana, biedaku, na korytarzu – powiedziała. – Zaraz coś na to poradzimy. Jak się pan nazywa?

– Barnat. Antoni Barnat. Jestem nurkiem. Miałem wypadek i... – skrzywił się znowu. – A pani... siostra...

– Nie jestem siostrą, ale... Zaraz tu przyjdę, niech pan leży spokojnie.

Zniżyła głos:

– Mamy polskiego lekarza. Poproszę go, żeby się panem zajął.

Wybiegła i w kilka minut później wróciła z dwoma posługaczami. Barnata ułożono na wózku i wieziono przez długi korytarz o kilku zakrętach. Szła obok przytrzymując koc, którym Antoni był okryty.

Położył dłoń na jej małej szczupłej ręce.

– Dziękuję. Mrugnęła do niego wesoło.

– Doktor Bacz właśnie skończył dyżur, ale powiedział, że zaraz zrobi z panem porządek. Niech się pan o nic nie martwi.

Jakieś białe drzwi otworzyły się na oścież i Barnat zobaczył zwałistą postać w białym kitlu.

Doktor Bacz spoglądał nań z góry, nad okularami o grubych szklach, łysy, z wieńcem czarnych kędzierzawych włosów dokoła potężnej czaszki.

– Aha, to jest ten twój protegowany? No to od razu na stół. A ty się wynoś, Teresa; trzeba chłopca rozebrać. Potem cię zawołam.

Rozdział II

Tak zaczęła się ich znajomość, do której Antoni początkowo nie przywiązywał większej wagi, nawet wówczas gdy się dowiedział, że Teresa jest córką Mariana Rachwała. Traktował ją na pół serio, jak się traktuje grzeczne, miłe dziecko, lecz później – coraz częściej – przyłapywał się na tym, że czeka na jej przyjscie z niecierpliwością i że gdy Teresa wchodzi na salę, szuka jej spojrzenia z przyspieszonym biciem serca. Gdy mógł już wstawać i chodzić o kulach, wymykał się do korytarza przy ambulatorium, gdzie najczęściej można ją było spotkać i gdzie w godzinach popołudniowych nie tłoczyli się chorzy spoza szpitala. Siadał na ławce i czekał, ona zaś – wiedząc o tym – nie omijała żadnej okazji, aby tam zajrzeć i przysiąść choć na chwilę.

Pewnego dnia zastał ją w tym korytarzu, u tylnego wyjścia ze szpitala, na cichej rozmowie z jakimś młodym mężczyzną w roboczym kombinezonie. Dostrzegł, że zmieszało ją niespodziane jego zjawienie się, a młody robotnik szybko cofnął się w cień, jakby spłoszony. Antoni cofnął się również, w przeciwną stronę, udając, że ich nie widzi. Doznał przy tym przykrego uczucia jakby wewnętrznego chłodu, który nim wstrząsnął i przejął go na wskroś.

Teresa była tego dnia milcząca i zamyślona. Antoniemu zdawało się, że go unika. Lecz po kolacji, zbierając naczynia ze stolików między łózkami, sama szepnęła mu, żeby wyszedł na korytarz. Gdy się tam spotkali – jak zwykle u drzwi ambulatorium – powiedziała mu, że nie będzie jej przez dwa dni: ma do załatwienia pewną ważną sprawę; udało jej się otrzymać na ten czas zwolnienie. Barnat wysilił się na ton żartobliwy: czy ta „ważna sprawa” ma na grzbiecie kombinezon roboczy i torbę z narzędziami pod pachą?

Potrząsnęła głową. To zupełnie, ale to zupełnie coś innego, niż Antoni przypuszcza. A ten chłopiec? To Bronek, chrześniak ojca. Znają się z Teresą od takich pędraków.

Barnat zmrużył jedno oko i chrząknął. Dowiedział się, że jest nieznośny i może sobie iść spać, skoro mu nic na tym nie zależy, aby się z nią pożegnać na te dwa dni.

– Tego już za wiele – oświadczył. – Zależy mi. O, tak mi zależy!

Przyciągnął ją ku sobie i całował, aż jej się zakręciło w głowie.

– Puść – szepnęła wreszcie z sercem roztrzępotanym jak ptak. – Idź już. Muszę zdać dyżur.

Opuszczając po dwóch tygodniach szpital nie mógł już myśleć o niej spokojnie.

– Źle z tobą, Antoni – mówił sobie. – Wzięło cię... Widywali się codziennie, choć krótko. Za to raz w tygodniu spędzali razem całe popołudnie.

Tak trwało aż do jesieni; ściślej mówiąc – do października 1942 roku, kiedy to pewnego dnia Teresa powiedziała, że nie przyjdzie nazajutrz.

– Znów masz jakąś „ważną sprawę” do załatwienia? – spytał Antoni.

Skinęła głową.

– I nie powiesz mi, co to takiego?

– Jeszcze nie teraz. Może ci powiem, jak przyjdzie czas. Irytował go ten jej poważny ton.

– Bądź naturalna, nie udawaj przede mną tajemniczego konspiratora – zaśmiał się z przymusem.

– Ja przed tobą nic nie udaję. Zresztą dowiesz się niezadługo.

– No – odrzekł z lekką ironią – mam nadzieję, że wytrzymam, choć to musi być piekielna tajemnica...

Zaczął mówić o czymś innym, ale był nieco urażony. Pożegnali się wkrótce i Barnat spiesznie ruszył do domu: zbliżała się godzina policyjna.

Minąwszy gmach szpitala dostrzegł w mroku idącego w tamtą stronę młodego chłopca w roboczym ubraniu, którego zastał był przed kilku tygodniami na poufnej rozmowie z Teresą. Mimo woli przystanął i obejrzał się za nim. Chłopak zmierzał ku tylnemu wejściu i po chwili znikł za furtką w ogrodzeniu.

Chrześniak starego Rachwała – pomyślał Antoni. – Bronek.

Nagle rozjaśniło mu się w głowie: podziemie! Ależ tak! I ten smyk, i Teresa z pewnością siedzą w jakiejś robocie.

Postanowił to sprawdzić. Ukrył się w cieniu najbliższej bramy i czekał.

Minął kwadrans – dwadzieścia minut. Jakiś zegar zaczął wolno wybijać godzinę. Ulica opustoszała, po jej przeciwnej stronie zastukały podkute buty patrolu, który skręcił w przecznicę.

Barnat niecierpliwił się. Był zły na siebie, na Teresę, na tego chwata, który marudził tak długo. Namyslał się: iść do domu czy jeszcze zostać? A może wrócić do szpitala? Nie miał przecież żadnych konkretnych danych, że jego domysły są słuszne. A jeżeli się myli?... Jeżeli Teresa...

Nie dokończył tej myśli, lecz wątpliwości opadły go nagle i rosły, krzepły w podejrzenia, którym nie umiał się oprzeć.

Wtem skrzypnęła furtka i jakiś cień wychylił się na zewnątrz, jakby ktoś ostrożnie rozglądał się na prawo i na lewo, a potem pomknął szybko wzdłuż murów. Gdy minął bramę sąsiedniego domu, Antoni ruszył w ślad za nim i dopędził go po kilku krokach.

– Załatwione? – rzucił przez ramię, zrównawszy się z nim. Chłopak drgnął, objął go bystrym spojrzeniem, spłoszył się.

– Pytam, czy załatwiliście z Teresą – szepnął mu nad uchem Barnat.

– Nie rozumiem, o kim pan mówi – odrzekł tamten. – Z jaką Teresą?

– Z Rachwałówną. – Bronek odzyskał już spokój.

– Nie znam takiej osoby – powiedział głośno. – I w ogóle, odczep się pan!

– Ciszej – szepnął Antoni. – Przed chwilą minął mnie patrol. Czekałem na was. Nie bójcie się: znałem waszego chrzestnego, Mariana Rachwała. Byłem wtedy w Gdańsku, w czerwcu zeszłego roku...

Młody człowiek zatrzymał się, spojrzał mu prosto w twarz.

– Nie rozumiem, czego ode mnie chcecie – powiedział dobitnie. – Nie znam ani was, ani żadnego Rach... Rafała – poprawił niezręcznie.

Antoni uśmiechnął się z tryumfem.

– Tak, tak: Rachwała, nie Rafała. No, niech i tak będzie. Czekaście no! – chwycił go za rękaw.

Co znowu? – szarpnął się tamten.

– Cicho – syknął Antoni. – Słyszycie?

W głębi ulicy przed nimi słychać było jakieś głosy. Ktoś wymyślał po niemiecku, raz po raz dobiegały stamtąd pojedyncze słowa: *Passierschein, Nachtausweis...*

Obaj odruchowo zwrócili się ku przecznicy, lecz Antoni dostrzegł w świetle latarni niemieckie mundury.

– Tam są także – powiedział prędko.

Zatrzymali się niezdecydowani. Od strony placu Kaszubskiego błysnęły reflektory samochodu, na mgnienie oka wyrwały z cienia ich sylwetki i zgasły. Ktoś zapuszczał silnik, który nie chciał zaskoczyć.

– Tędy – szepnął Antoni pociągając za sobą Bronka. – Znam przejście.

Dopadli wysokiego muru, który oddzielał od ulicy jakieś składy i ogrody.

Barnat ugiął kolano, oparł na nim dłonie splecione palcami.

– Przez ten mur. Podsadzę was. Prędko.

Tamten już się nie wahał – nie było innego wyjścia. Postawił stopę na dłoniach Antoniego, odbił się w górę, przerzucił ramię przez krawędź muru, wydrapał się na nią, opuścił nogi na drugą stronę i przewieszony połową ciała wyciągnął rękę, aby pomóc temu człowiekowi, co do którego nie miał jeszcze pewności, czy jest prowokatorem, szpiclem czy też tylko ciekawym natrętem.

Przeleźli obaj przez mur i zeskoczyli na ziemię, w ciemność. Barnat mruknął: – Tędy, za mną – i prowadził Bronka wąskim przejściem między jakimiś szopami, stosami cegieł i stertami desek.

Wydostali się na tyły dużego ogrodu. Antoni zatrzymał się, sięgnął po papierosy.

– Palicie?

Chłopak w milczeniu skinął głową i wziął papierosa. Zapalili.

Barnat zaciągnął się dymem.

– No – powiedział spoglądając na swego towarzysza z góry – to było nieźle zrobione, w sam czas. Ale mogliby was

wysłać z takimi rzeczami trochę wcześniej, nie tuż przed godziną policyjną. Daleko stąd mieszkanie?

– Niedaleko – odrzekł Broniek.

– Mam nadzieję, że nie macie przy sobie nic takiego... hm, co by się mogło przydać policji? Nie pytam, naturalnie, tylko mam nadzieję – podkreślił.

– Nic nie mam – mruknął tamten.

– A o nocną przepustkę też mogliby się wam postarać – dorzucił jeszcze Antoni. – No, chodźmy. Wyprowadzę was na ulicę i dalej radźcie sobie sami.

Rozstali się w ciemnej przecznicy. Broniek wyciągnął rękę, Barnat dostrzegł ten gest i ujął jego dłoń.

– Wiem, że wam na imię Bronisław – powiedział stłumionym głosem. – Mnie – Antoni. To na razie wystarczy. Szczęśliwej drogi.

Odwrócił się i odszedł w stronę Kamiennej Góry, pogwizdując beztrąsko, jakby go nie dotyczyły żadne zakazy i przepisy okupacyjne. Jak zawsze był przekonany, że uda mu się bez przeszkód wrócić do domu.

Rozdział III

Udawało mu się wszystko. W ciągu następnych dwóch ciężkich lat okupacji ani razu nie powinęła mu się noga, choć się nie oszczędzał i ryzykował bardziej niż inni. Przerzuty ludzi z kraju i broni – do kraju, udział w dwu zamachach na jakieś ważne transporty wojskowe i w uwolnieniu skazanych na śmierć więźniów w Gdańsku, kontakty z partyzantami, akcje sabotażowe dały mu przydomek: „Szalenciec”, który przyjął jako swój pseudonim, przechodząc pod rozkazy Armii Ludowej.

Dokoła ginęli ludzie, szli do obozów koncentracyjnych, padali od salw plutonów egzekucyjnych. Barnat wychodził cało. Napęniało go to dumą i zuchwalstwem. Gotów był ważyć się na każdy hazard; trzeba go było powstrzymywać, hamować jego poczynania, wykraczające nieraz poza rozkazy dowództwa.

Wśród tej zawieruchy zdarzeń niewiele uwagi poświęcał fermentom i przemianom politycznym, które dojrzywały w Polsce pod okupacją. Niewątpliwie od początku jego sympatie były po stronie lewicy społecznej, do której należał niejako tradycyjnie, będąc synem warszawskiego robotnika z fabryki Lilpopa. Zapewne dlatego nie związał się z podziemiem, którego działalność na wybrzeżu ograniczała się zresztą głównie do utrzymywania dróg przerzutowych między Gdynią a Londynem. Lecz jego poglądy nie były skryształizowane, a cele, do których niósł go podziemny prąd zdarzeń, nie rysowały się przed nim jasno i wyraźnie.

Barnat mniemał, że głównym celem walki jest pokonanie Hitlera i rozbięcie potęgi faszystowskiej. Utożsamiał to przede wszystkim z wyrzuceniem okupanta z Polski i zwycięstwem sojuszników. To, co miało nastąpić po zwycięstwie, przedstawiało mu się dość mgliście jako upaństwowienie przemysłu, reforma rolna i koniec władzy kapitalistów. Właściwie nie wyobrażał sobie tych przemian; były to wyrazy, których treści nie zgłębiał; hasła, którym ulegał uczuciowo, nie rozumiejąc ich dokładnie, jakkolwiek wierzył w ich słuszność.

O wiele bardziej od tej przyszłości interesowała i pochłaniała go chwila bieżąca, przede wszystkim zaś czynna walka przeciw okupantowi. Pociągało go w niej ryzyko, przygoda. Chciał wzbudzić podziw, pysznił się swymi czynami i swoim szczęściem.

Nie rzucał się bynajmniej na łeb na szyję w owe przygody. Obmyślał chytrze podstępny, opracowywał szczegółowo plan działania, przewidywał z góry reakcje przeciwników.

W organizacji ufano mu i ceniono te jego zdolności, co czyniło go jeszcze zuchwalszym. Jeśli wykonanie jakiegoś zadania wydawało się zbyt trudne, jeśli zaczynała się dyskusja, czy warto poświęcać ludzi, aby osiągnąć zamierzony cel – mówił niedbale:

– Zostawcie to mnie. Ja sam to zrobię.

Robił istotnie i – trzeba przyznać – robił dobrze.

Teresa, za której sprawą przyjęto go do Robotniczej Organizacji Podziemnej, od początku ulegała jego urokowi zdając sobie zresztą sprawę z tego, że uczucie Antoniego dla niej nie jest ani tak głębokie, ani tak wierne jak jej miłość dla niego. Mimo to nie mogła oprzeć się tej miłości od pierwszego wejrzenia. Gdy starała się zrozumieć, dlaczego właściwie tak się stało, przychodziło jej na myśl, że kocha Antoniego nie tylko dlatego, co jest w nim, lecz może przede wszystkim dlatego, co było w niej samej – z powodu jakiejś dziwnej, nie dającej się wytłumaczyć właściwości czy też zdolności, która ściągnęła na nią ten płomień.

Płomień, który może mnie spalić – myślała czasem ze smutkiem, lecz bez bojaźni.

Bała się tylko o niego i – jak mu często o tym mówiła – za niego. Ale nigdy nie odводziła go od jego zamiarów i zadań, których się podejmował tak zuchwale. Była całym sercem po tej stronie barykady. Była córką Mariana Rachwała. Widziała na wskroś sens toczącej się walki, jasno uświadamiając sobie jej cel. Nie wiedziała tylko, że Antoni tego nie dostrzega tak wyraźnie jak ona...

* * *

Wieść o powstaniu warszawskim i o śmierci ojca, który zginął jako żołnierz Armii Ludowej w obronie straconych pozycji na Woli, w pobliżu fabryki Lilpopa, wstrząsnęła Barnatem. To, co się stało w Warszawie, wydawało się niezrozumiałe, potworne. Trudno było uwierzyć w tę „tragiczną pomyłkę”, jak ją nazywali jedni, czy też w tak ohydny zdradę, jak to określali inni.

– Wydali ich tam na rzeź! – powiedział do Antoniego jeden ze starszych towarzyszy partyjnych, niejaki Czełuśniak.

Barnat go nie lubił. Mało się znali, jakkolwiek Czełuśniak także był nurkiem. Pracował w Gdańsku; Antoni widział go zaledwie dwa czy trzy razy na jakichś zebraniach. Ten surowy człowiek o pogardliwie wygiętych wargach i świdrującym spojrzeniu zrobił na nim takie wrażenie, jakby nieustannie podejrzewał dokoła zdradę i gotów był bez wahania skazywać na śmierć domniemyanych odstępców.

– Tak – powtórzył. – Na rzeź! Celowo!

– O kim mówicie? – spytał Antoni. – Kto ich wydał?

– Ci sami albo tacy sami jak ci, co wydali Rachwała. Panowie-szlachta. Z Warszawy czy z Londynu – mniejsza z tym. Panowie! – rzucił z pogardą. – A u nas się mówi o „bezkrwawej rewolucji”, uważacie. Mamy się z nimi cackać, zamiast stawiać dla nich szubienice. Bez krwi... Bez krwi nie ma rewolucji! Trzeba ich wszystkich wygnieść, wytracić jak robactwo. A wy co na to, he? – zapytał wyzywająco.

Patrzył na Antoniego jakby w oczekiwaniu wykrętnej odpowiedzi, gotów ją przygwoździć i napiętnować.

Ale Barnat nie podjął wyzwania. Bodajże nie dosłyszał. Był przygnębiony, przybity. Myślał o człowieku, który był mu nie tylko ojcem, lecz także najlepszym przyjacielem. Nie było go już. Poległ w tej walce, która była „pomyłką”...

To nieprawda – pomyślał. – On by się nie pomylił, mój stary... Może ten zwariowany rewolucjonista ma rację...

Czełuśniak patrzył na niego pałającym wzrokiem.

– Nie chcecie mi odpowiedzieć – zaczął zbliżając się o krok, jak nacierający szermierz. – Wahacie się czy się boicie?

Antoniego nagle ogarnęła złość. Spojrzał w błyszczące, czarne oczy Czełuśniaka i powiedział:

– Nie boję się niczego i nikogo. Zapamiętajcie to sobie raz na zawsze.

Odwrócił się do niego tyłem i podszedłszy do okna utkwił wzrok w chmurnym niebie, które zwiślało ciężko nad dachami domów. Oczekiwał, że tamten nie poprzestanie na tej odpowiedzi i hamował rozdrażnienie, które go nurtowało, aby nie wywołać bezsensownej awantury.

Lecz za jego plecami ktoś powstrzymał Czeluśniaka. Antoniego dobiegło kilka słów wypowiedzianych stłumionym głosem: „Stracił ojca... na barykadzie... nasz człowiek”.

– Wcale na to nie wygląda – mruknął jeszcze tamten. – Nie wiedziałem...

Rozdział IV

Zimą i wczesną wiosną roku 1945 z powiewem wiatru niósł się już ponad wybrzeżem łopot czerwonych sztandarów. Ten powiew zmieniał się w burzę, która miała zmieść z powierzchni ziemi nie tylko władzę butnych zdobywców, lecz także zmienić oblicze połowy Europy. Czerwona Armia szła naprzód, wyzwalała całe narody.

Początek wielkiej ofensywy na linii Wisły, wyzwolenie Warszawy, wzięcie Elbląga, przełamanie „Wału Pomorskiego” – jak odgłosy piorunów bijących w armie Hitlera – grzmiały potężnym echem w Gdyni. Aż w marcu gruchnęła wieść: oddziały I Armii Polskiej dotarły do Bałtyku! Oblegają Kołobrzeg!

Za czerwonymi sztandarami szła Rewolucja: Rząd Polski Ludowej obejmował władzę w wyzwalanym kraju. Nowa Rzeczpospolita stawała się robotnicza i chłopska.

Dni toczyły się teraz w napięciu, w gorączce nadziei bliskiej spełnienia, w oczekiwaniu na sygnał, na znak do ostatecznej rozprawy. Dygnitarze i urzędnicy okupacyjni, policja, nawet oficerowie SS i SA stali się nerwowi: groziło im zupełne odcięcie odwrotu. Wystraszone ich żony i przyjaciółki domagały się ewakuacji, tłum cywilów – treuhanderów, kupczyków, osadników, wszelkiego rodzaju przybyszów z Wielkiej Rzeszy – oblegał dworce kolejowe i „amty”, pragnąc opuścić jak najprędzej ten kraj, który führer oddał im „na zawsze” we władanie.

Władze usiłowały utrzymać porządek, opanować tę panikę. Prasa i radio zdobywały się na coraz mniej prawdopodobne kłamstwa, wynajdując „nowe bronie” na miejsce tych, które zawiodły, obiecując generalne, „miażdżące” przeciwnarcaria, mnożąc straty „wyczerpanego” przeciwnika. Gestapo zagroziło surowymi karami za defetyzm; dla przykładu aresztowano kilku najbardziej wystraszonych.

To na razie poskutkowało, choć mało kto wierzył urzędowym zapewnieniom, że nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa. Korzystając z chwilowego uspokojenia niemieckiej ludności, władze cichaczem podjęły ewakuację. Kilka statków ostatnio przybyłych do Gdyni odeszło z powrotem nie wyładowawszy przywiezionych towarów. Opróżniono dwa małe węglowce, które przyjęły do swych ładowni sprzęt i zapasy wojskowe. Na pokładach piętrzyły się skrzynie, samochody, meble, bezładnie zwalone w pośpiechu. Lada dzień oczekiwano przybycia wielkiego chłodnicowca m/s „Adlerness”, który miał zabrać jakiś niezwykle cenny ładunek, przechowywany pod silną strażą w magazynach portowych. Rozeszła się pogłoska, że ogromne paki – prócz maszyn, precyzyjnych narzędzi i obrabiarek – zawierają obrazy i dzieła sztuki, zrabowane w Polsce przez różnych gauleiterów, oraz tajne akty i dokumenty. Te pogłoski znalazły potwierdzenie w rozkazach, które nadeszły z dowództwa AL jeszcze przed przybyciem chłodnicowca.

Należało zatrzymać m/s „Adlerness”¹ w porcie: opóźnić załadunek, nie dopuścić do wyjścia statku w morze.

Zadanie było trudne: zatrzymać statek? Jak? Jakimi siłami?

Rozkaz tego nie wyjaśniał. Jediną wskazówką było nazwisko III mechanika: porucznik Robert Hjerting.

¹ Rocznik Morski podawał: M/s „Adlerness” (pierwotna nazwa duńska – „Frederik Molle”). Chłodnicowiec. 11.000 BRT. Długość – 168 m. Szerokość – 24 m. Zbudowany na stoczni Helsingor w r. 1939. 4 kabiny pasażerskie I kl., 6 kabin turystycznych itd.

„Jest Duńczykiem. Można mu zaufać. Reszta załogi współpracuje z hitlerowcami. Oficerowie – Niemcy”.

– No i co z tego?

Barnat, którego wezwano na naradę, zamyślił się.

– Ten trzeci mechanik... jak on się nazywa?

„Gruby” pochylił się nad stołem, spojrzął na skrawek papieru.

– Hjerting. Robert Hjerting.

– Trzeba by to spalić – mruknął Barnat. – Ten człowiek musi nam pomóc. Gdybym miał taką zegarową zabawkę jak wtedy przy robocie z cysternami – ciągnął z namysłem dalej – tylko żeby była wodoszczelna... Hm, możecie mi to przygotować?

– Chcecie uszkodzić maszyny? – spytał Gruby. Barnat zaśmiał się krótko.

– Maszyny? Nie. Wątpię, czy ten Hjerting by się tego podjął: nie jest chyba samobójcą! Nakryliby go z pewnością.

– Więc co?

– Musimy uszkodzić statek – odrzekł Barnat nie podnosząc oczu, jakby na pół do siebie. – Uszkodzić go z zewnątrz tak, żeby nie mógł wyjść w morze. Kiedy on tu przybędzie?

Gruby spojrzął pytająco po obecnych.

– Spodziewają się go jutro po południu – powiedział Wiktor.

– No? – mruknął Gruby zachęcająco.

Barnat wyłożył swój plan: Jeżeli m/s „Adlernest” ma zabrać ten ładunek, którego tak pilnują, stanie pod czwartym magazynem, gdzie zresztą jest wolne miejsce, może nawet dla niego przygotowane. W pobliżu tego miejsca od dwóch dni prowadzone są roboty podwodne przy wymianie uszkodzonego kabla. Wprawdzie niewiele pozostało już do zrobienia i można by to skończyć nawet w godzinę, ale Antoni podjąłby się przewlec tę sprawę do wieczora lub nawet do następnego dnia.

– A będąc tak blisko tego statku... Rozumiecie?

Wziął ze stołu arkusik papieru z notatką o Hjertingu i szkicował na odwrotnej stronie.

– O – tu i tu – dwa nity przez taką wodoszczelną pokrywę i to wszystko siedzi na burcie głęboko pod linią wodną, nastawione na daną godzinę. A potem – trach!

Zapalił zapałkę i zbliżył ją do kartki, a gdy papier zajął się płomieniem, trzymał go w dwóch palcach, póki nie spłonął wśród ogólnego milczenia.

– Chodzi tylko o taką bombę zegarową – powiedział rzucając tlejące resztki na stół. – I żeby nie zamokła w ciągu paru godzin. Resztę zostawcie mnie. Zrobię to.

W nocy przemyślał wszystkie szczegóły i wczesnym rankiem odbył jeszcze jedną konferencję z Grubym, powierzając mu swój śmiały plan, przy którego wykonaniu konieczna była pomoc kilku ludzi.

– Naturalnie żaden z nich nie powinien wiedzieć, o co chodzi – dodał na zakończenie. – Wystarczy, żeby zrobili, co do nich należy.

Gruby wahał się jeszcze. Przedsięwzięcie wydało mu się skomplikowane i nazbyt śmiałe. Ale nie miał żadnego innego planu, który byłby lepszy i pewniejszy.

– Czy to się może udać? – powiedział zatroskany.

– Musi! – odrzekł Barnat.

Lecz tym razem mogło się zdawać, że okoliczności sprzysięgły się przeciw niemu: m/s „Adlernest” nie przybył ani przed południem, ani do wieczora. Nie można było dłużej zwlekać z przyłączeniem kabla; wzbudziłyby to podejrzenia. Barnat skończył tę pracę przed zachodem słońca i tym sposobem punkt wyjściowy jego planu został stracony.

Łudził się jeszcze nadzieją, że statek nie nadejdzie przed upływem kilku dni, a w tym czasie da się przedsięwziąć coś innego, i łamał sobie głowę nad nowym rozwiązaniem tego zadania, gdy po północy wpadł do niego Bronek Cybulski, przysłany przez Grubego.

– Co się stało? – zapytał Antoni wpuściwszy go do pokoju.

– Gruby kazał was zawiadomić, że przyszedł statek. Spóźnił się, bo miał lekką awarię: otarł się o jakiś wrak i ma nieznaczny przeciek. Stoi pod czwartym magazynem – wyrzucił chłopak jednym tchem.

Barnat chciał się dowiedzieć bliższych szczegółów, ale Bronek nie wiedział nic ponad to, co mu kazano powtórzyć.

– No to kładź się spać – powiedział Antoni rzucając mu koc i poduszkę. – Tam, na tamtym tapczanie. Idziesz jutro do pracy?

– Co bym nie miał iść? Idę.

– To zaśnij prędko, bo będziesz musiał przed tym wstąpić do Grubego.

– Aha – mruknął Bronek. – I co mu powiedzieć?

– Żeś był u mnie i żeś się wyspał – zbył go Antoni. Po namyśle dodał:

– Powiedz mu, żeby wszyscy byli w pogotowiu. Kapujesz?

– Uhm. Dobranoc – odrzekł chłopak.

– Dobranoc.

Antoni rzucił się na łóżko, przekreślił wyłącznik lampy, zapalił papierosa i zatonął w myślach.

Rozdział V

O godzinie wpół do siódmej rano Teresa weszła do centrali telefonicznej szpitala. Dyżurna telefonistka zmarszczyła brwi. Na drzwiach od strony korytarza było wyraźnie napisane: *Eintritt verboten*.

– Przepraszam – powiedziała Teresa. – Telefon w gabinecie dyżurnego lekarza jest uszkodzony. Pan doktor prosił, żeby pani łączyła na ambulatorium.

Niemka wzruszyła ramionami.

– To można było zadzwonić z ambulatorium – odburknęła. – Co za głupie stworzenie!

Teresa powtórzyła „przepraszam” i wycofała się potulnie, ale zamkniętych drzwi pokazała różowy język i wykrzywiła się niemiłosiernie.

– Zadzwonić z ambulatorium – przedrzeźniała wyniosły ton telefonistki. – Zadzwoniłabym, gdyby się tam obok nie kręciły wasze siostry!

Pobiegła pędem na górę, w korytarzu zwolniła kroku, poprawiła włosy i wygładziła fartuch.

Jak dotąd, wszystko idzie dobrze – pomyślała.

Udało jej się namówić Leona, pomocnika kierowcy, który robił do niej „słodkie oczy”, żeby się gdzieś „zgubił”, jeżeli samochód sanitarny będzie wyjeżdżał tego ranka, bo ona chce czmychnąć do miasta i pojedzie zamiast niego. Potem pożyczyła od niego śrubokręt i korzystając z chwilowej nieobecności doktora Baczą w jego gabinecie przyjęć, zmajstrowała ten aparat telefoniczny odłączając jedną żyłkę przewodu. Starannie zamknęła wyścielone i obite ceratą drzwi między salą ambulatorium a gabinetem Baczą, żeby sygnał telefonu nie zwabił go przedwcześnie, i teraz zaczęła porządkować narzędzia w oszklonej szafce. Niepokoilo ją, że siostra Elza i siostra Gertruda zaglądają tam co chwila. Mogły wyniknąć komplikacje. Ale inaczej nie dało się tego urządzić.

Gdy rozległ się dzwonek telefonu, natychmiast podniosła słuchawkę. Ktoś pytał po niemiecku o lekarza dyżurnego. Serce jej biło spiesznie.

– Nie ma go chwilowo – powiedziała. – Kto mówi?

– Z portu. Mamy tu wypadek: jeden z robotników złamał nogę i...

– Dobrze – przerwała. – Zaraz to załatwię. Dokąd wysłać sanitarkę?

Po drugiej stronie przewodu padały jakieś pytania, słychać było głośną rozmowę.

– Proszę zaczekać – powiedział tamten głos.

Teresa drżała z niecierpliwości. Ktoś szedł korytarzem, zatrzymał się u drzwi, które po chwili uchyliły się nieco. Stała tak, że ją zasłaniały. Wstrzymała oddech...

Głos w słuchawce znów się odezwał:

– Halo!

Milczała. Sekundy zdawały się rozciągać w nieskończoność.

– Halo, szpital! Jest tam kto? Halo! Nareszcie!

Szczęknięła klamka.

– Jestem – powiedziała Teresa stłumionym głosem.

– Chodzi o wypadek – mówił ten sam człowiek.

– Wiem, wiem – przerwała. – Dokąd mam wysłać samochód?

– Czwartą magazyn. Za nabrzeżem pilotowym. To jest niedaleko Dworca Morskiego.

– Dobrze. Za kilka minut tam będzie. Tylko żeby go wpuścili bez trudności.

– Tam już wiedzą na wartowni. Heil Hitler.

– Heil Hitler – bąknęła.

Oparła się plecami o ścianę i odetchnęła głęboko. Uff! Udało się...

Nagle strzepnęła palcami: przecież tam się już zaczęło!

– Spokojnie, Tereso, spokojnie – powiedziała szeptem. Uśmiechnęła się. To były słowa Antoniego.

Pewnym krokiem podeszła do drzwi gabinetu przyjąć, otworzyła je i stanęła w progu.

– Panie doktorze.

Potężna czaszka doktora Bacza, okolona wianuszkami wijących się, czarnych jak heban włosów, wykonała pół obrotu nad szerokimi barkami. Błysnęły grube szkła okularów.

– A, Teresa. Cóż tam nowego?

Powiedziała mu, o co chodzi i że jego aparat telefoniczny jest nieczynny.

– Sama przyjąłeś telefon? Patrzcie, jaka samodzielna! No to powiedz siostrze Elzie, że jadę, i zadzwoń do garażu. Niech tam wezmą szyny do unieruchomienia tej nogi.

Spełniła to polecenie i zdążyła jeszcze wziąć jego podręczną torbę z narzędziami, zanim się wybrał. Szła przed nim po schodach, dźwigając jakiś duży pakunek i ową torbę.

Sanitarka czekała przed wyjściem. Doktor Bacz siadł obok kierowcy.

– Do portu – powiedział. – Dworzec Morski.

Szofer coś mrucał pod nosem, spoglądał w stronę bramy i nie ruszał. Teresa z niewinną miną stała u skraju chodnika.

– Na co czekamy? – zniecierpliwiał się Bacz.

– Ten dureń gdzieś się podział – mruknął kierowca. – Miał zaraz przyjść.

– Leon? – domyślił się Bacz. – Gdzież on jest? Kierowca wzruszył ramionami, wyrzwał raz jeszcze, zaczął się gramolić zza kierownicy.

– To ja bym pojechała zamiast Leona – powiedziała Teresa. – Panie doktorze...

Baczowi było pilno: miał wolny dzień po dyżurze. Machnął ręką:

– Siadaj.

Porwała swój pakunek, otworzyła tylne drzwi i zatrasnęła je za sobą. Ruszyli.

* * *

Mały holownik wolno podchodził środkiem basenu na wysokość m/s „Adlernest”. Gdy stracił resztę pędu, z jego rufy i z dziobu wśród głośnego chrobotu łańcuchów plusnęły kotwice. Jednocześnie przez burtę śmignęły rzutki, które marynarze na pokładzie zręcznie schwytali i zaczęli wybierać, ciągnąc cumy uwiązane u końców, aby obłożyć je na windach.

Barnat stał na dziobie holownika i patrzył na nabrzeże, poza rufę chłodnicowca. Dostrzegł tam Grubego, który rozmawiał z wysokim, chudym marynarzem w czapce o poczerńiałych złotych galonach. W tej chwili od strony miasta nadjechał samochód sanitarny i zatrzymał się opodal. Kierowca wychylił się i o coś pytał, a Gruby niedbałym gestem wskazał mu wejście do baraku biurowego, skinął głową marynarzowi i obejrzawszy się na holownik, odszedł wolnym krokiem.

Tymczasem karetka sanitarna zawróciła i stanęła przed barakiem. Antoni widział, jak szofer i doktor Bacz wysiadają i wchodzą do wewnątrz. Dokoła zebrało się kilkunastu gapiów. Chudy marynarz przyłączył się do nich stanawszy za ich plecami tuż u półotwartych tylnych drzwi wozu.

Barnat z niepokojem obserwował te drzwi. Wtem uchyliły się szerzej i człowiek w czapce ze złotym galonem zajrzał do środka, a potem cofnął się, aby przepuścić Teresę. Coś do niej powiedział, ona roześmiała się, skinęła głową i zaczęła się przepychać ku wejściu do baraku, on zaś

odwrócił się i szedł wolno w stronę pomostu przerzuconego między nabrzeżem a otwartym na oścież wejściem na „Adlernest”.

Antoni zatarł ręce i odetchnął z ulgą. Zauważył, że chudy marynarz unosi pod pachą spory pakunek owinięty w zielony papier.

Holownik zbliżał się do wysokiej burty chłodnicowca. Napięte cumy drgały pełznąc cał po calu w górę. Łańcuchy kotwiczne po przeciwnej stronie wstały skośnie z wody i kołysały się nad jej spokojną powierzchnią.

Szyper zawołał przez tubę:

– Stop, windy! – i holownik stanął o parę sążni od statku.

W tym samym czasie doktor Bacz stwierdził, że ofiara rzekomego wypadku ma obie nogi zdrowe i całe. Spojrzał na Teresę i spotkał jej niespokojny wzrok. Potrząsnął głową.

– Nosze – powiedział krótko, zwracając się do kierowcy i do niej.

Rozdział VI

– Muszę zobaczyć ten przeciek – oświadczył Barnat, gdy po raz drugi wyciągnięto go z wody. – Szczeliny w spoiniach są uszczelnione jak się należy. To musi być w innym miejscu.

Dwaj sygnaliści ściągali z niego skafander, podczas gdy podinspektor Schultz porozumiewał się z kimś na pokładzie chłodnicowca.

Starszy oficer m/s „Adlernest” z irytacją wzruszył ramionami. Cała ta podróż była pechowa, poczynając od nagiego opuszczenia Kilonii, co przeszkodziło mu w zawarciu pewnej prywatnej, bardzo korzystnej transakcji. Potem – kolizja z nie oznaczonym wrakiem, o którym nikt nie wiedział, napięta sytuacja w Gdyni, krzyżujące się rozkazy, zmieniane kilkakrotnie, przeszkody przy załadunku – to wskutek przerwy w dostawie prądu elektrycznego, to znów z powodu zepsucia się dźwigu – wreszcie ów nurek, który od rana nie może znaleźć właściwego miejsca przecieku...

– Niech wejdzie na pokład – warknął do trzeciego mechanika, który przyszedł do niego z tą ostatnią wiadomością. – Pokażcie mu, gdzie to jest. Niech pan się tym zajmie. O godzinie dwudziestej mamy wyjść w morze.

Barnat wsiadł do łódki, która odwiozła go na nabrzeże. Przeszedł wzdłuż burty m/s „Adlernest” i skręcił na pomost. U wejścia czekał na niego chudy marynarz ze złotymi galonami.

– To wy jesteście nurkiem? – spytał po niemiecku.

– Tak – odrzekł Antoni.

– Będziecie mieli trudną robotę – powiedział tamten znacząco. – Ja tu jestem trzecim oficerem-mechanikiem. Nazywam się Hjerting.

Antoni wymienił swoje nazwisko i spojrzał mu w oczy.

– Myślę, że mi pomożecie.

– Postaram się. Tu was zrewidują – mruknął wskazując rodzaj zagrody oddzielonej barierką. – Czy nie macie przypadkiem czegoś...

– Nie – przerwał mu Barnat. – Nie mam nic przy sobie. Przetrząśnięto mu kieszenie i wydano przepustkę.

Hjerting szedł przodem, wskazując drogę: schody, korytarz i znów schody.

– Tu jest główne wejście do maszynowni – wskazał drzwi po lewej stronie. – Ale my wejdziemy przez warsztat. Chciałbym tam zwrócić waszą uwagę na jeden z iluminatorów. To jest dziesiętnasty iluminator licząc od rufy. Ten sam, przez który opuszczaliśmy wam lampę. Pierwszy rząd nad linią wodną.

– Rozumiem – odrzekł Barnat.

– Poniżej jest pomieszczenie agregatów, a pod nim zaczyna się tunel wałowy. Myślę, że to bardzo odpowiednie miejsce...

– I ja tak myślę – zgodził się Antoni.

Znów zeszli na niższy poziom i dostali się do warsztatu, w którym pracowało kilku ludzi.

– Za pół godziny pójda na obiad – powiedział Hjerting.

Barnat rzucił okiem na otwarte iluminatory. Było ich trzy w rzędzie.

Dziewiętnasty od strony rufy – powtórzył w myśli.

– Ta lampa będzie mi znów potrzebna – powiedział. – Moglibyście opuścić ją podczas obiadu?

– Naturalnie – odrzekł trzeci mechanik. – I lampę, i co tam będzie trzeba.

– Właśnie – podkreślił Barnat.

Szli teraz przez dolny poziom całej maszynowni między potężnym blokiem prawego Diesla a skraplaczami i regulatorami rozprężania maszyn chłodniczych, minęli tablice rozdzielcze elektrowni i otwarte drzwi wodoszczelne, za którymi zaczynał się tunel wałowy.

– Uszkodzenie jest tutaj – mruknął Hjerting wskazując puste miejsce po wyjętych i odstawionych na bok płytach podłogi. – Myślę zresztą, że doskonale o tym wiecie – dodał z nikłym uśmiechem.

Barnat nic nie odrzekł. Uważał za zbyteczne potwierdzanie tych domysłów lub zaprzeczanie im, jakkolwiek istotnie od razu ustalił właściwe miejsce przecieku i rozmyślnie go nie uszczelnił, aby przedłużyć robotę i dostać się na statek.

Udawał, że wsłuchuje się w odgłosy równej, rytmicznej pracy pomp, wbijając sobie w pamięć rozkład tych pomieszczeń. Potem spojrzał na Hjertinga,

– Chciałbym... Wiecie, ten pakunek w zielonym papierze... Czy mógłbym go zobaczyć, zanim jeszcze wasi ludzie z warsztatu pójdą na obiad? Będzie mi potrzebny razem z lampą.

– Dobrze. Jest w mojej kabinie. Chodźcie, musimy się pośpieszyć: o dwudziestej wychodzimy w morze.

Gdy dostali się na górny pokład, Hjerting otworzył drzwi swojej kajuty i wszedł pierwszy, po czym wpuścił Barnata i przekręcił klucz w zamku. Schylił się, wyciągnął paczkę spod koi, postawił ją na biurku.

– Pójdę umyć ręce – mruknął i znikł za drzwiami od łazienki.

Antoni uśmiechnął się: jaki dyskretny! Myślałby kto, że mnie zostawia sam na sam z ładną dziewczyną.

Szybko rozwinął papier, otworzył wieko metalowego pudła uszczelnione gumową podkładką. Spojrzał na zegarek, który wskazywał dokładnie wpół do pierwszej. Do wyjścia m/s „Adlernes” pozostało siedem i pół godziny.

Ujął płaski uchwyt klucza wystającego ze środka wypukłej tarczy pod pokrywą i ostrożnie przekręcił szesnaście razy. Zbliżył ucho do przyrządu i usłyszał cichutkie tykanie zegara.

Wyprostował się zadowolony. Obejrzał wieko, zamknął je starannie, docisnął.

Dobrze to nasz majster wykombinował – pomyślał.

Owinał pudło papierem, okręcił drutem, wsunął z powrotem pod koję trzeciego mechanika. Podeszedł do drzwi łazienki.

– Już dobrze, możemy wracać – powiedział głośno.

* * *

Gdy oddał przepustkę przy wyjściu na pomost i znalazł się na nabrzeżu u schodków, przy których czekała na niego łódka z holownika, jakiś robotnik poprosił go o ogień do papierosa.

– Ten statek wyjdzie o dwudziestej – powiedział stłumionym głosem. – Gruby kazał wam to powiedzieć.

– Aha – mruknął Antoni.

Wsiadł i odepchnął łódź od stopni, a po chwili już wchodził na pokład, wołając sygnalistów, żeby mu pomogli ubrać się do zanurzenia.

Zdjął wierzchnie ubranie, wdział trzy pary grubej wełnianej bielizny i tyleż par pończoch sięgających ponad kolana. Włożył na głowę czerwoną włóczkową myckę i przecisnął się przez właz skafandra, jednocześnie wpuszczając nogi w nogawki, a ręce w rękawy.

Unieśli go w górę, wstrząsnęli jak długą poduchę w powłoczkę, przytrzymali ciasne, elastyczne mankiety, aby mógł je przebić dłońmi. Potem skórzane grube buty o podeszwach z ołowiu i nosach okutych mosiężnymi osłonami.

Zażądał papierosa i palił go ze smakiem siedząc na ławce, podczas gdy wkładali mu przez głowę ochronną płytę na piersi i barki, a potem przykręcali ją do gumowego rantu kołnierza.

Bruno Schultz, pomocnik inspektora robót podwodnych, leniwie wypełził z kajuty szypra trzymając w ręku do połowy opróżniony kufel piwa.

– No, jak tam, Barnat? Będzie z tym wreszcie koniec?

– Będzie – odrzekł Antoni. – Przeciek jest trochę bliżej rufy.

Było mu gorąco i ciężko w skafandrze, ale wiedział, że woda jest lodowata. Dlatego wziął tym razem podwójne rękawiczki wełniane, zanim naciągnął parę gumowych.

Jeden z sygnalistów zacisnął i zapiał mu pas z ciężarkami, podtrzymywany przez szelki skrzyżowane na barkach. Barnat wydmuchnął z ust niedopałek papierosa, przycisnął brodę do piersi.

– Hełm – rzucił. – Raz, dwa, bo się ugotuję. Niech mi tam z „Adlerness” zaraz podadzą lampę.

Opuścili mu nad głową miedzianą banię, spasowali początki gwintów, przekręcili, zabezpieczyli.

– Gotowe!

Wstał i ruszył wolno w stronę trapu z poręczami, opuszczonego z burty w morze, dźwigając na sobie siedemdziesiąt kilogramów obciążenia. W otworze iluminatora m/s „Adlerness” dojrzał jak widmo chudą twarz Hjertinga, który opuszczał kable.

Odwrócił się, ujął poręcze, namacał nogą pierwszy stopień, zaczął schodzić. Wpustowy zawór powietrzny dyszał już miarowo, zgodnie z obrotami pompy, której korbę kręcili dwaj ludzie. Antoni zatrzymał się, gdy woda sięgnęła mu po pas. Odchylił się nieco w tył, a sygnalista zakręcił mu przednią szybkę w hełmie i klepnął go po ramieniu na znak, że może schodzić dalej.

Od poręczy biegła skośnie w dół pod wodą stalówka przewleczona pod kilem m/s „Adlerness” i umocowana drugim końcem na nabrzeżu. Barnat chwycił się jej prawą ręką i objął ją nogami. Otoczył go mętny, zielonkawy półmrok. Pęcherzyki powietrza bulgotały u zaworu wydechowego. Odchylił głowę w prawo, aby nacisnąć guzik regulatora, wystający wewnątrz hełmu, i zrównoważyć nadmierne ciśnienie powietrza w skafandrze, który unosił go w górę. Bańki zabulgotały głośniejsz, skafander przylgął do ciała nurka, które stopniowo jak gdyby przybierało na wadze.

Antoni opuszczał się tymczasem wzdłuż liny, pograżając i zbliżając się jednocześnie coraz bardziej do kadłuba statku. Zielony mrok gęstniał, tylko daleko w górze połyskiwała srebrna, migotliwa powierzchnia wody.

Wtem wprost przed nim wyłoniła się ceglastoczerwona ściana – kadłub pomalowany minią poniżej linii wodnej. Antoni zwolnił uchwyt stóp, zawisł na rękach opuszczając w dół nogi, dotknął dna, stanął. Po chwili zobaczył nad głową zjeżdżającą w dół po linie zejściowej, przyczepioną do niej na malej szakli brezentową torbę z narzędziami. Otworzył szaklę, zdjął z niej torbę i wolno ruszył na lewo, wzdłuż burty, po twardym piaszczystym podłożu.

Sygnalista na pokładzie holownika szedł równoległe z nim, trzymając jego przewód powietrzny i linkę bezpieczeństwa, wpatrzony w chwiejny, zygzakowaty ślad banieczek pomykających z głębi i pękających na powierzchni wody. Ten ślad zatrzymał się dokładnie pod otwartym iluminatorem m/s „Adlerness”, z którego zwisały kable elektryczne.

Sygnalista zauważył, że te kable poruszyły się i zaczęły pełznąć poprzez krawędź. Potem bańki powietrza zabulgotały spod burty statku.

W tej samej chwili Antoni w mdłym świetle tysiącwatowej żarówki, która zaledwie na metr rozpraszała mrok panujący pod kilem, ujrzał długą wąską szparę wśród rozszczepiających się płyt poszycia. Zawiesił lampę na haku, który wkręcił na miejsce po wykuszonym nicie, położył na piasku torbę, sięgnął po nóż i odciął pakiet w zielonym papierze przywiązany do końca kabla. Zabrał się do roboty.

Na powierzchni rozlegał się teraz gęsty werbel młota pneumatycznego – tępy, stłumiony odgłos uderzeń, podobny do przerywanych serii karabinu maszynowego.

Barnat pracował półtorej godziny, kilkakrotnie zmieniając narzędzia. Wreszcie przez głośnik ustawiony na pokładzie holownika odezwał się jego głos:

– Halo, jest tam pan Schultz?

– Jestem tu – odrzekł podinspektor. – No, jak tam, Barnat?
– Spytajcie, czy przeciek ustał. Najlepiej niech tam w zenzie poświecą silną lampą, to zobaczą, czy nie ma więcej szpar.

Schultz wywołał trzeciego mechanika m/s „Adlernest” i powtórzył mu to żądanie. W parę minut potem z pokładu statku zawiadomiono, że przeciek został zatamowany, a Schultz powiadomił o tym z kolei Bamata:

– Możecie odesłać narzędzia i kable.

Rozdział VII

Barnat był zmęczony. Praca w postawie stojącej z rękami wzniesionymi nad głową jest dla nurka szczególnie uciążliwa, ponieważ przeszkadza w niej szeroka płyta ochronna na piersiach i barkach oraz hełm, utrudniając ruchy ramion. Przy tym – stojąc na dnie i pracując pod kadłubem statku trzeba wygiąć się w krzyżu, aby widzieć, co się robi. Taka pozycja już po kilku minutach staje się po prostu nie do zniesienia: trzeba raz po raz wyprostowywać grzbiet, aby dać odpoczynek mięśniom, które chwytają bolesny skurcz.

Toteż Antoni, znalazłszy się wreszcie z powrotem na pokładzie holownika, odetchnął z ulgą: miał za sobą prawie sześć godzin zanurzenia i liczył na to, że zwolnią go zaraz po obiedzie.

Lecz te rachuby zawiodły, a lawina zdarzeń, która zaczęła się toczyć w tej samej niemal chwili, porwała go z sobą i uniosła tak nagle i niespodzianie, iż z początku nie zorientował się, co mu grozi, i nie próbował nawet tego uniknąć.

Mechanizm tych wypadków zaczął działać prawie jednocześnie w kapitanacie portu i w sztabie miejscowego dowództwa, Wehrmachtu, dokąd nadeszły dwa rozkazy telefoniczne. Pierwszy z nich dotyczył sprawy zabrania nurka, który miał zostać przewieziony przez m/s „Adlernest” do jakiegoś małego portu w drodze do Warnemünde. Drugi, mówiący o załamaniu się frontu na wybrzeżu, dotyczył natychmiastowej ewakuacji Gdyni.

* * *

Gdy Barnat po raz drugi tego dnia wchodził na pokład m/s „Adlernest” – tym razem w towarzystwie podinspektora Schuitza – nie miał najmniejszego pojęcia o żadnej z tych wiadomości. Zauważył tylko ze zdziwieniem, że przerwano załadunek pak i skrzyń z czwartego magazynu i że jakieś oddziały wojska ładują się na dwa nieduże statki pasażerskie stojące opodal.

Dopiero po rozmowie z kapitanem, który nawet nie chciał słuchać o zwolnieniu go na ląd choćby na godzinę, celem zabrania najniezbędniejszych rzeczy, i zagroził mu „kulą w łeb”, gdyby usiłował się wymknąć, Antoni spostrzegł, że dzieje się coś niezwykłego.

M/s „Adlernest” przyjmował teraz na pokład coraz nowe oddziały wojska przybywające początkowo w zwartych szeregach, a później luźnymi grupami, w pośpiechu, bez broni. Przed Dworcem Morskim tłoczyli się cywile – przeważnie urzędnicy i ich rodziny. Służbowe samochody zwoziły bagaże wyższych oficerów i dygnitarzy hitlerowskich, dla których zarezerwowano kajuty pasażerskie.

Wieżą – pomyślał Barnat i uśmiechnął się. – No, ten statek daleko nie odejdzie...

Spojrzał na zegarek. Było kilka minut po godzinie szesnastej.

– Mam jeszcze dość czasu – kombinował. – Jak się ścierani, a ten bałagan dojdzie do szczytu, łatwiej będzie stąd drapnąć.

Zbliżył się do relingu i zmierzył wzrokiem odległość od nabrzeża. Skok z pokładu na ląd byłby nie lada ryzykiem, nawet dla niego. Ale to by go nie powstrzymało w razie konieczności.

Tam bliżej rufy, nad trzecią i czwartą ładownią, pokład jest niższy – pomyślał. – Ale przy pomoście stoi straż. Trzeba by w ostatniej chwili, jak będziemy odbijać...

Jednak – na wszelki wypadek – postanowił przekonać się, czy nie ma innej drogi, i z tym zamiarem ruszył ku zejściu na niższy poziom.

Musiał przejść korytarzem między kajutami i salonami pasażerskimi, ponieważ przejścia po obu stronach nadbudówek zawałone były pakami i zatłoczone tak, że nie można się tam było przycisnąć. Brudni, zmordowani żołnierze SS i Wehrmachtu zalegali całą wolną przestrzeń, śpiąc pokotem lub siedząc w ponurym milczeniu. W korytarzach było niewiele luzniej, ale przemykali się tam stewardzi i marynarze, więc Antoni też wybrał tę drogę.

Minął pomieszczenie przeznaczone dla pasażerów i zorientował się, że jest w pobliżu kabin oficerów-mechaników. Pamiętał numer kajuty Hjertinga, odnalazł ją i zapukał, ale nikt nie odezwał się z wewnątrz, a drzwi nie ustąpiły, gdy nacisnął klamkę. Trzeci mechanik był zapewne na służbie w maszynie i Barnat zdecydował się tam go szukać.

Tak czy owak musiał wydostać się na ląd i na jakiś czas się tam ukryć, aby uniknąć aresztowania. (Nie łudził się ani przez chwilę, że wszystkie podejrzenia skierują się natychmiast przeciw niemu. To oczywiście nie mogło trwać długo: za dwa, trzy dni wojska radzieckie zajmą Gdynię i wtedy będzie mógł bezpiecznie wyjść z ukrycia.) Natomiast gdyby pozostał na statku... Nie cackaliby się z nim przecież: za takie sprawy idzie się pod ścianę i – od razu z człowiekiem robią koniec.

Był tak zajęty tymi myślami, że dopiero idąc w dół, po schodach, którymi już raz w południe schodził z Hjertingiem, uświadomił sobie, iż od dłuższego czasu odczuwa lekką wibrację statku.

Zapuscili Diesle – pomyślał.

Dotarł do luku maszynowni. W dole, w jaskrawym świetle lamp elektrycznych kręcili się w obszernej hali smarownicy i mechanicy. Głęboki, dudniący szum olbrzymich motorów wypełniał przestrzeń zagłuszając wszelkie inne odgłosy.

Wtem rozległ się dźwięczny, wysoki sygnał telegrafu maszynowego. Barnat machinalnie spojrział w tamtą stronę i zobaczył dużą emaliowaną tarczę z błyszczącym nad nią dzwonem. Czerwona strzałka chwiała się jeszcze, wskazując podziałkę z wyraźnym napisem: MAŁA NAPRZÓD.

Patrzył na ten napis z zapartym tchem, znieruchomiały, jak przyrośnięty do pokładu. Nagle zrozumiał! Jego spojrzenie pobiegło w dół. Jakiś człowiek, stojący na wprost tarczy, oddzwonił i – wały śrub zaczęły się obracać. Statek był w ruchu, płynął!

Antoni rzucił się do wyjścia. Zderzał się w korytarzach z ludźmi, rozpychał ich, pędził po schodach. Opamiętał się dopiero w połowie drogi, ścigany ich przekleństwami i gniewnymi uwagami. Było za późno, nie mógł już zdążyć...

Istotnie, gdy wydostał się wreszcie na tylny pokład, m/s „Adlernes” szedł środkiem basenu ku wyjściu z portu. Na nabrzeżach kłębił się tłum oblegający inne statki. Pod czwartym magazynem było pusto. Tylko jakaś szczupła dziewczyna stała tam samotnie wśród kilku skrzyń porzuconych beładnie u podstawy dźwigu.

Poznał ją: Teresa!

– Teresa! – krzyknął. – Te-re-sa!

Uniosła głowę; przez chwilę zdawało mu się, że go dostrzega. Lecz omylił się: wolno, jakby z wielkim wysiłkiem zaczęła iść wzdłuż nabrzeża, skręciła w stronę miasta, znikła wśród tłumu...

Rozdział VIII

M/s „Adlernes” odpłynął punktualnie o godzinie 16.30, to jest o trzy i pół godziny wcześniej niż to było pierwotnie zamierzone. Opuściwszy port skierował się na wschód, przejściem wyznaczonym bojami, a o zachodzie słońca mijał cypel Helu.

W kilka minut później nastąpił nalot szturmowców radzieckich aa Gdynię, po czym dwa samoloty zaatakowały statek ostrzeliwując go z karabinów maszynowych. Na pokładzie byli ranni i zabici, lecz w zapadającym mroku „Adlernes” zdołał się wymknąć na pełne morze, nie ponosząc większych uszkodzeń.

O dziewiętnastej trzydzieści zmienił ponownie kurs i odtąd szedł pełną szybkością na północno-północny zachód. O dwudziestej dwadzieścia w niewielkiej odległości od lądu minął Rozewie.

W owej chwili Barnat znajdował się sam jeden na rufie statku, w stanie wielkiego podniecenia, które rosło z minuty na minutę. W późniejszych jego wspomnieniach ów krótki okres czasu – od przejścia południowego pelengu Rozewia do momentu, w którym znów zaczął działać pozbywając się wreszcie wszelkich wahań – nie miał żadnych wymiarów. Był czymś w rodzaju gorączkowego półsnu, w którym sekundy mogą wydłużać się w nieskończoność, a godziny przepadać niepostrzeżenie. Trwało to zresztą w rzeczywistości zaledwie trzynaście minut.

Antoni nie był pewien, czy mechanizm zegarowy nie zawiedzie lub czy materiał wybuchowy nie zamoknie. Z drugiej strony nie zdawał sobie dokładnie sprawy z siły wybuchu; wiedział tylko, że pod wodą będzie ona znacznie większa niż na powierzchni. Rozumiał też, że nawet poważniejsze uszkodzenie statku w porcie czy też w zatoce nie byłoby tak skuteczne jak na pełnym morzu.

Lecz „Adlernest” wyruszył wcześniej i Antoni był skazany na cztery godziny rozmyślań, wahań i wątpliwości. Opanowawszy się po pierwszym zaskoczeniu, usiłował spokojnie rozważyć tę niezwykłą sytuację, pomijając swoje własne niebezpieczeństwo.

Większa część ładunku, o który przecież głównie chodziło, ostała w magazynie. Jednak i to, co zdołano załadować, mogło przedstawiać dużą wartość. Może więc należało pójść do kapitana i uprzedzić go o niebezpieczeństwie? Może by mu uwierzył i zawrócił do portu?

To było jednak wątpliwe: kapitan mógłby przypuszczać, że Barnat wymyślił tę nieprawdopodobną historię dlatego, aby dostać się z powrotem do Gdyni, albo też po to, aby zatrzymać tam statek i jego ładunek, w nadziei, że Gdynia lada godzina zostanie opanowana przez czołowe oddziały Czerwonej Armii.

Zatonięcie m/s „Adlernest” na pełnym morzu oznaczało zniszczenie znacznej ilości wojska i stratę bardzo dobrego statku; stratę niepowetowaną dla marynarki Hitlera w obecnych warunkach. Ale Antoni bynajmniej nie przypuszczał, aby wielki chłodnicowiec miał zatonać wskutek wybuchu; raczej udało się doprowadzić go do jakiegoś portu, zamknawszy drzwi wodoszczelne sąsiednich grodzi.

Tak czy owak – pomyślał – całe to przedsięwzięcie byłoby tylko w połowie udane. No i – tak czy owak – trzeba będzie jakoś ratować własną skórę...

Wiedziony tą myślą, przedostał się znów do korytarza między kajutami oficerów-mechaników, aby dopilnować Hjertinga, który prędzej czy później powinien był tam się zjawić. Tym sposobem przeczekał nalot radzieckich szturmowców w stosunkowo bezpiecznym miejscu, a gdy minęło zamieszanie powstałe wskutek tego niespodzianego ataku, istotnie natknął się na trzeciego mechanika.

– Idźcie na rufę – mruknął Hjerting. – Teraz tam nikogo nie ma. Ja zaraz przyjdę.

Antoni stwierdził z niejakim zdziwieniem, że istotnie pokład za nadbudówkami śródokręcia jest niemal pusty, a na górnym pokładzie rufy nie ma żywego ducha.

Wpakowali ich do ładowni – pomyślał.

Hjerting, który nadszedł po chwili, potwierdził ten jego domysł.

- Musieliśmy wyłączyć obieg solanki w chłodniach – powiedział. – Pomarzliby tam na śmierć.

Barnat drgnął.

- Na śmierć... – powtórzył. – A jeżeli...

– Jeżeli pójdą na dno? – dokończył Hjerting. – Cóż, to jeszcze nie powód, żeby ich teraz zamrazać. Zresztą luki są otwarte. Powinni zdążyć, jeśli się tam nie potratują nawzajem – dodał z niewysłowioną, zimną pogardą.

Antoni spojrzał na jego przeraźliwie chudą twarz mającą widmowo w zapadających ciemnościach. Ich oczy spotkały się.

– Żal wam ich? – spytał oficer. – Nie zasłużyli na nic lepszego. Zresztą nie trzeba wam tego tłumaczyć: jesteście przecież Polakiem.

Odwrócił się i podszedł do poręczy okalającej rufę, jakby uważał rozmowę za skończoną. Barnat stracił go z oczu, lecz stał nadal w miejscu, patrząc w kierunku piaszczystego brzegu, który jak wąskie pasmo mgły wyłaniał się z morza na tle dogasającego nieba.

– Nie jestem z faszystami, to pewne – mruknął.

Cień Hjertinga zmaterializował się znów nagle obok niego, niczym duch nawiedzający ten statek.

– Kiedy to nastąpi? – spytał.

– Co? – zdumiał się Barnat. – Ach, pan myśli o awarii?

– Naturalnie – szepnęło chude widmo. – Przecież nie o waszym ewentualnym przejściu do obozu faszystów.

Antoni się zachnął.

– Także coś!

– No więc? – nalegał cień trzeciego mechanika.

– O wpół do dziewiątej – powiedział Barnat. – Jeżeli oczywiście...

– Tak, rozumiem – przerwał mu tamten.

Ujął go za ramię powyżej łokcia i pociągnął w stronę szalupy stojącej na drewnianych podkładkach u podstawy szlupbelek.

– Radziłbym wam nie oddalać się stąd w czasie krytycznym – mruknął. – Ci głupcy dotąd nie wystawili tu posterunków. Myślę, że w ogóle nie przyjdzie im to do głowy: kłócą się o miejsca w kajutach, a kapitan i pierwszy oficer nie mogą sobie z nimi dać rady.

Barnat pomyślał, że trzeci mechanik liczy się poważnie z zatonięciem m/s „Adlernes”, a w każdym razie z paniką wśród pasażerów i załogi. Rozważywszy te możliwości doszedł do wniosku, że byłaby to dla niego dobra okazja do opuszczenia statku. Postanowił ją wyzyskać.

Gdy Hjerting zwyczajem nocnych zjaw i upiórów rozpląnął się w ciemności pozostawiając go sam na sam z nadbiegła nocą, która zarzuciła czarny całun na morze – Antoni po omacku przeszedł obok szalupy i przysiadł poza nią na platformie steru awaryjnego. Chłodny powiew wiatru przejął go dreszczem. Po wygasłym, spopieliałym niebie ciągnęły chmury. Daleko, na dziobie statku zajęczał dzwon okrętowy, a jego donośny głos przeleciał nad pokładem jakby odcinając miniony czas, który zapadł się w głąb za rufę osiadając na pienistej bruździe kilwateru. Minęła godzina dwudziesta.

W ciągu następnych dwudziestu minut Barnat przeżywał męczące chwile oczekiwania na to, co miało nastąpić, a gdy w ciemności rozróżnił znajomy zarys Rozewia, jego podniecenie i niepewność zdawały się dosięgać szczytu.

Nie czuł już teraz zimna i nie zdawał sobie sprawy z coraz ostrzejszych podmuchów wiatru. Nie słyszał też szumu fal, które wznosiły się coraz wyżej, podając sobie statek lub uderzając nań z pluskiem przechodzącym w gniewny pomruk. Głucha ciemność opadła na morze i zakryła ostatecznie słabe zarysy łądu. Był sam wśród tego czarnego rozkołysanego bezmiaru, w którym czaiły się, nabrzmiwały zdarzenia – to pędząc na oślep ze statkiem, to zawisając nad nim nieruchomo, jak błyskawice i gromy, które już - już mają zabłysnąć i uderzyć, a których poczęcie wstrzymują niepojęte, potężne siły.

W jakiejś chwili wstał i zatoczył się aż pod burtę szalupy: pokład cwałował pod jego nogami.

– Trzymajcie się mocno – przemówił głos Hjertinga. – Można tu sobie nabić porządnego guza.

On sam objawił się przy nawiewniku, jakby w tym właśnie miejscu powstał z nagłego zagęszczenia mroku.

- Która godzina? – spytał Barnat chrapliwie. - Dochodzi wpół do dziewiątej – mruknął Hjerting.

– Jak widzicie, jestem punktualny.

Antoni nic nie odrzekł. Zasychało mu w gardle, które dławił ustawiczny skurcz.

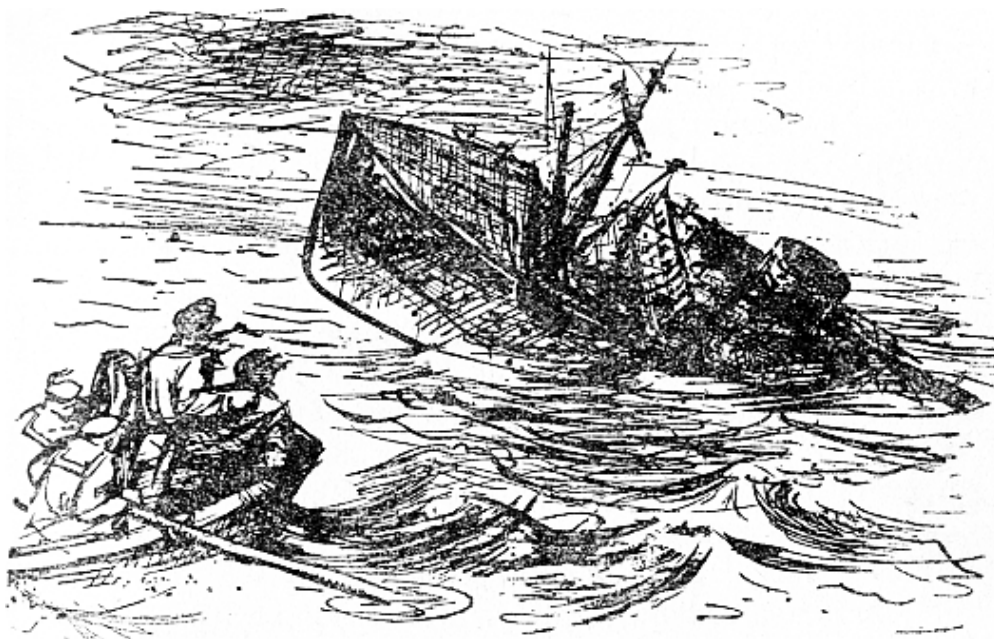
Czarne widmo trzeciego mechanika podpląnęło bliżej.

– Bezpośrednio pod nami są pomieszczenia załogi maszynowej – szepnęło tonem zwierzenia. – To przeważnie Duńczycy, rozumiecie... A ta szalupa – jakkolwiek dowództwo nad nią należy do drugiego oficera – jest przeznaczona właśnie dla nich.

– Wątpię, czy będzie im konieczna – odrzekł Barnat i w tej samej chwili odczuł silny wstrząs, jakby m/s „Adlernes” został czymś potężnie ugodzony od spodu. Jednocześnie ogłuszający huk targnął powietrzem, statek osiadł na rufie pochylając się na lewą burtę, po czym rozległ się krzyk, który trwał i wznosił się coraz wyżej, póki nie zaczęła wyc syrena alarmowa.

Wszystko, co nastąpiło potem, znacznie różniło się od najdalej idących przewidywań i przypuszczeń Barnata. M/s „Adlernes” zaczął natychmiast tonąć pochylając się gwałtownie w lewo. Rufa zanurzała się tak szybko, że duńscy marynarze z załogi maszynowej, którzy wypadli na tylny pokład, nie spuszczali już szalup na blokach. Zdażyli tylko zerwać brezentowe pokrowce i odcepić liny, po czym łodzie zostały zepchnięte wprost na fale, które wdzierają się do pomieszczeń.

W ładowniach, w korytarzach, w całym wnętrzu statku wrzała zapewne wśród stłoczonych tam ludzi rozpaczliwa, zaciekła walka o wyjście na zewnątrz, bo zaledwie kilka postaci oszalałych ze strachu ukazało się na górnym pokładzie, biegnąc bezładnie tu i tam w poszukiwaniu pozostałych szalup. Reszta tratowała się nawzajem, tworząc zbite, szczepione kłębowiska ciał, drgające i wrzeszczące dziko, podczas gdy woda zalewała kolejno ładownie, kajuty i korytarze, porywając i niosąc z sobą sprzęty, bagaże, materace, spychając i topiąc ludzkie zatopy.



W ciągu dziesięciu minut, jakie upłynęły od chwili wybuchu do pogrążenia się szczytu przedniego masztu m/s „Adlernes”, ani jeden z tych ludzi nie zdołał dotrzeć do dwu małych szalup opuszczonych z rufy, które trzymały się w pobliżu tonącego statku. Hjerting był jedynym oficerem, który został przy życiu, a dwie niepełne wachty załogi maszynowej, bosman i Barnat stanowili resztę ocalałych rozbitków, którym udało się na czas uciec z tego wspólnego grobu, jakim stał się ostatni hitlerowski statek opuszczający Gdynię.

Wśród żalosego zawodzenia wiatru i szumu fal obie łodzie wolno krążyły czas jakiś dokoła miejsca katastrofy. Ostre, białe światło reflektorów błędziło po morzu obojętnym i pustym, Ludzie, zziębnięci i przemokli od deszczu, który zaczął padać, milczeli lub zamieniali szeptem jakieś uwagi. Barnat, ciągle jeszcze zdumiony i wstrząśnięty do głębi nieoczekiwanym skutkiem swego czynu, zrozumiał, że mówią o minie, na którą, według ich mniemania, natknął się statek.

Może to istotnie była mina? – pomyślał.

Siedząc u steru obok Hjertinga, który dotąd nie przemówił do nikogo ani słowa, usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności, aby zobaczyć twarz tego człowieka. Lecz Hjerting był tylko cieniem, czarniejszym nieco od otaczającego ich mroku, i Antoniemu wydało się, że gdyby wyciągnął rękę, aby go dotknąć, nie natrafiłby na żaden ludzki kształt.

Jednak cień w końcu przemówił w niezrozumiałym obcym języku, niemniej jednak wcale nie jak duch, a zaraz potem jeden z marynarzy, siedzących na dziobie łodzi, okrzyknął drugą szalupę i obie skierowały się na zachód.

Dopiero wtedy Barnat zadał pytanie, na które sam na próżno szukał odpowiedzi: Jak się to stało? Dlaczego statek zatonął tak szybko?

Wydało mu się, że Hjerting uśmiecha się w swój zagadkowo-ironiczny sposób. Przez chwilę trwało milczenie i Antoni pomyślał, że trzeci mechanik nie chce mu odpowiedzieć. Wreszcie jednak usłyszał jego szept. Hjerting mówił szybko, jakby się obawiał, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego.

– Tunel wałowy był otwarty, rozumiecie? Zdałem wachtę pierwszemu mechanikowi nie wspominając o tym, bo trzeba było jeszcze uporządkować płyty, które wyjmowaliśmy z podłogi. Nie było na to czasu: braliśmy na gwałt ropę, a potem ten nalot... Wtedy otwarto także drzwi wodoszczelne w grodziach między ładowniami i zdjęto pokrywy luków, żeby wszystkich jak najprędzej usunąć z pokładu. O ile wiem, nikt ich nie zamykał i woda lała się tam jak rzeka przez zerwaną śluzę. Maszynownię zatopiło naturalnie od razu i nikt już nie myślał o tych drzwiach. Potonęli jak szczury w pułapce!

Zaśmiał się krótko.

– Jak stado tłustych szczurów – powtórzył z nienawiścią, o jaką Barnat nie byłby go posadzał.

Znów milczeli obaj przez dłuższą chwilę, a potem Antoni zapytał, dokąd płyną.

– Jak najdalej na zachód – odrzekł Hjerting. – O świcie powinniśmy być na pół drogi do Kołobrzegu; przypuszczam, że tam, gdzie wylądujemy, będą już Rosjanie.

C Z Ę Ś Ć D R U G A

CZŁOWIEK TONIE

Rozdział IX

Teresa spędziła tę noc w stanie półświadomej, milczącej roztoczy. Patrzyła na odpływający statek suchymi, płonącymi oczyma, z których wyglądało przerażenie. Zrozumiał, że przysła za późno, doznała takiego uczucia, jakby serce jej przeszył zimny sztylet.

Z tym straszliwym bólem w piersi, z zamierającym tchem, bez żadnej myśli w głowie, objętej nagłą ciemnością, powlokła się do mieszkania, które dzieliła z Sabina Jakusową. Wiedziała, że jej nie zastanie: Sabina o tej porze była w drukarni; mogła wrócić dopiero nazajutrz rano.

Tak było lepiej: Teresa nie zniosłaby jej obecności; nie zdołałaby odpowiedzieć na pytania tej dobrej, dzielnej kobiety; nie potrafiłaby wysłuchać jej pocieszeń i spokojnych perswazji; chciała być sama.

Nie wybuchnęła płaczem, nie rzuciła się na łóżko, nawet nie usiadła. Opuściła się na kolana obok starego fotela o wytartym, spłowiałym obiciu, oparła głowę na twardej poręczy i zamknęła oczy. Gdyby była wierząca, zapewne próbowałaby się modlić, wołać do Opatrzności, żądać od niej odwrócenia Jego, co już się stało.

Nie uczyniła tego. Trwała na klęczkach niema i tak przybita, że zupełnie straciła poczucie czasu i otoczenia. Wyczerpanie fizyczne i nerwowe obezwładniło ją do tego stopnia, że nie mogła nawet zmienić niewygodnej pozycji.

Z zewnątrz od strony portu dochodziły dalekie odgłos strzałów i silne detonacje, jakieś okrzyki i hałasy, a potem zgiełk i strzelanina przewalały się pod jej oknami, których szyby drżały od huku dział.

Nie słyszała tego wszystkiego. Zapadła w obojętność, w rezygnację graniczącą chyba ze śmiercią, co wreszcie stało się dla niej w pewnym sensie wypoczynkiem, jakiego czasem doznają ludzie śmiertelnie chorzy, ogarnięci zupełną drętwotą po długotrwałym cierpieniu.

Wyrwał ją z tego odrętwienia dopiero energiczny głos Sabiny, która od dłuższej chwili dobijała się do drzwi.

Teresa uniosła się z trudem; bolały ją wszystkie członki, była skostniała od zimna i kręciło jej się w głowie.

– Kto tam? – spytała nie rozumiejąc jeszcze, gdzie jest i co się z nią stało.

– To ja – powiedziała Jakusowa. – Zamknęłaś drzwi na zasuwkę. Nie mogę się dostać.

Teresa oprzytomniała i w tej samej chwili wróciło dojmujące poczucie grozy, która jakby zastygła w niej podczas nocy. Dostrzegła, że już się rozwidniło: było zapewne wpół do szóstej; zaczynał się dzień.

– Dzień! – utkwilo jej w mózgu. – Następny dzień.... Stała przerażona, jakby znaczenie tego wyrazu obezwładniło ją na nowo.

– Następny dzień – powtórzyła szeptem. – Jak ja go zdołam przeżyć?

Niespokojny, trochę zniecierpliwiony głos za drzwiami nalegał:

– Otwórz nareszcie. Co się z tobą dzieje?

– Zaraz – powiedziała z wysiłkiem.

Podeszła do drzwi i odsunęła zasuwkę.

Sabinę przestraszył wyraz jej twarzy.

– Co ci jest, mała? Co się stało?

Objęła ją ramieniem i pociągnęła na fotel.

– Co się stało? Powiedz.

Teresa patrzyła szklanym wzrokiem w przestrzeń. Zadawała sobie trud znalezienia słów, w które można by ująć te proste fakty. Lecz słowa rozpadały się, ginęły. Nie zdołała przecież dotąd nawet w myśli sformułować tego, co ją spotkało, co spotkało Antoniego....

Sabina domyśliła się jednak, że to o niego chodzi.

– Coś z Antonim? – zapytała.

To imię wypowiedziane głośno przełamało tamę: Teresa zaczęła mówić bezbarwnym, rozbitym głosem, zniżając go do szeptu, jakby jej brakło tchu. Nagle podniosła głowę i spojrzała Sabinie w oczy.

– On popłynął na tym statku! – zawołała, jakby dopiero w tej chwili to sobie uświadomiła. – Zabrali go. Nikt już nie i dążył go uprzedzić, I ja też przyszedłam za późno, żeby...

Urwała i spojrzała w okno. Od strony wybrzeża nadal dosięgał huk armat; suchy trzask automatycznych karabinów niósł się przez ulice.

– Co to? – spytała obojętnie.

– Bitwa – odrzekła Sabina. – Raczej – koniec bitwy: Gdynia już jest wolna.

– Ach tak.... – Teresa westchnęła głęboko. – Wolna.... – powtórzyła, – Więc i to się spóźniło....

– Nie mów tak. Czekaliśmy na to więcej niż pięć lat. Walczyliśmy o to. I ty, i ja, i Antoni, i....

– I Stanisław! – powiedziała Teresa. – On teraz wróci....

– Ależ wróć obaj: Antoni także, naturalnie. Co ci się przywidziało? Ten chłopiec – poza wszystkimi innymi zaletami – ma przecież zupełnie wyjątkowe szczęście. Jestem pewna, że już dawno nie ma go na statku. Och, powinnam ci dać porządną burę. Całą noc nie spałaś – już wiem. Zapakowałabym cię do łóżka, ale nie ma na to czasu: ja lecę zaraz z powrotem do drukarni, a tam u was w szpitalu.... No! Uszy do góry: wypijesz ze mną herbatę i – do roboty! Tylko mi nie opowiadaj, że nie będziesz jadła śniadania. Gdzie u licha są zapałki?

Krzętała się po pokoju, nastawiała wodę, krajała chleb i nakrywała do stołu, nie przestając mówić. Na Teresę ten potok słów podziałał nieoczekiwanie kojąco. Ich treść – treść tego wielkiego wydarzenia, dokonującego się niejako poza nią, w czasie gdy omdlewała ze zgrozy w obliczu katastrofy zawisłej nad jej miłością, sprowadzała tę katastrofę do zwykłych wymiarów, nadawała jej inną skalę, stworzyła jak gdyby perspektywę pozwalającą na ogarnięcie jednym spojrzeniem śmiertelnego niebezpieczeństwa, które groziło Antoniemu i z którym być może zmagał się jeszcze, oraz tego olbrzymiego przewrotu, jaki musiał nastąpić wraz ze zwycięstwem nad faszystowską przemocą. Teresa w owej chwili nie zdawała sobie sprawy ze wszystkich następstw tego, co się już stało; po prostu nie była w stanie teraz o tym myśleć. Niemniej jednak uświadomiła sobie cały ogrom tych spraw, ich wielkość i dynamiczną potęgę.

Antoni zaś.... Antoni miał „wyjątkowe szczęście”. Uczepiła się tych słów i niemal już znów uwierzyła, że tak jest istotnie. Wszak powiedziała to Sabina! Sabina, której mąż, kapitan Stanisław Jakus, od początku wojny był na morzu. Sabina, która i niezachwianą pewnością powtarzała, że on wróci.

Dwa statki, którymi kolejno dowodził, zostały storpedowane na Morzu Śródziemnym i w Zatoce Biskajskiej. Na pokładzie trzeciego przeszedł straszliwe bombardowanie w Liverpoolu i w Londynie. Pływał na Maltę w konwojach, z których wracała zaledwie połowa tych, którzy w nich brali udział. W trzy lub cztery miesiące, czasem dopiero w rok po takich przygodach, drogą pośrednią, zwykle nie pocztą, lecz przez jakąś „okazję” nadchodził od niego krótki list, oszczędny w słowach, zawierający zaledwie kilka dat dawno minionych. Wtedy Sabina wydobywała stare gazety przechowywane troskliwie na dnie szafy i porównywała owe daty z podkreślonymi czerwonym ołówkiem doniesieniami o bitwach morskich, zniszczonych konwojach, statkach zatopionych przez niemieckie okręty podwodne i o bombardowaniach portów. Na podstawie szczegółowej analizy biuletynów ogłaszanych w prasie hitlerowskiej i wiadomości przenikających do drukarni tajnej prasy krajowej, zestawianych z listami męża, ustalała, co się z nim prawdopodobnie działo w ostatnim okresie czasu.

Z pewnością i ona niepokoiła się o niego. Zapewne przeżywała ciężkie chwile zwątpienia. Ale nie zdradzała się z tym nigdy.

– Stach da sobie radę, zobaczycie – mówiła takim tonem, jakby chodziło o jakąś codzienną sprawę niezbyt wielkiej wagi.

Teresa zawsze podziwiała jej spokój, równowagę duchową i optymizm. Lecz niebezpieczeństwa, które zagrażały Stanisławowi, wydawały się jej mniej realne od tych, na które narażał się Antoni;

może dlatego, że dowiadywała się o tamtych z tak wielkim opóźnieniem, wtedy gdy były już przeszłością, podczas gdy tu była niemal świadkiem tego, co Antoni czynił.

Bardzo lubiła Stanisława Jakusa. Łączyła ich dawna zażyłość z czasów jej dzieciństwa, która później zmieniła się w przyjaźń. Jakus był od niej starszy o lat dwadzieścia kilka i pamiętała go zawsze jako dobrego, łagodnego „wujka”, który jednak umiał rozmawiać z nią poważnie, jak z osobą dorosłą, i któremu można było w zaufaniu powierzyć zarówno drobne zmartwienia, jak tajemnice i nadzieje. Przyjemnie było je z nim podzielić i przyjemnie było mieć tę pewność, że ich przed nikim nie zdradzi. Wobec innych – nawet przy ojcu – mrugali do siebie porozumiewawczo, ilekroć ktoś w rozmowie poruszył sprawy bliskie owym zwierzeniom a dotyczące Teresy. Wtedy „wuj Stanisław” często z powiernika stawał się jej rzecznikiem. Tak było na przykład wówczas, gdy Teresa uparła się, że pójdzie do gimnazjum technicznego, gdzie byli sami chłopcy. Przy pomocy Jakusa postawiła na swoim i tylko wybuch wojny, a potem śmierć ojca nie pozwoliły jej na dalsze kształcenie się w tym kierunku. Tak bywało zresztą również, w sprawach mniejszej wagi, jak przygarnięcie bezpańskiego psa, udział w jakimś przedstawieniu amatorskim czy też w zawodach sportowych.

W owym czasie Jakus, już jako kapitan żeglugi wielkiej, zdobył dyplom inżyniera na politechnice gdańskiej i wyjechał na praktykę zagraniczną do Danii, aby tam wyspecjalizować się w ratownictwie statków. Wrócił na rok przed wojną i miał zająć się zorganizowaniem państwowego przedsiębiorstwa ratowniczego w Gdyni, lecz opracowany przez niego projekt nie został nigdy zrealizowany: koncesję rozszerzającą tylko dotychczasowy zakres działania otrzymała prywatna spółka pod firmą Zabokrzyckiego. Nawiasem mówiąc, żaden z ówczesnych jej współwłaścicieli nie myślał na razie o „rozszerzeniu zakresu działalności” tego małego, lecz zyskowego przedsiębiorstwa, trudniącego się głównie holowaniem statków. Dwaj nurkowie, zatrudnieni przez spółkę, od czasu do czasu rozplątywali jakąś stalówkę, która się wkręciła w śrubę statku, lub uszczelniali rozłazące się arkusze blachy w poszyciu. Poza tym używano ich do robót podwodnych wykonywanych na zlecenie władz portowych, które jednak nie miały nic wspólnego z ratownictwem.

Jakus wkrótce potem otrzymał dowództwo na jednym ze statków węglowych, a wojna zastała go na morzu. Zgodnie z posiadanymi instrukcjami skierował swój statek do Wielkiej Brytanii i stamtąd właśnie w wiele miesięcy później nadszedł pierwszy jego list do żony.

Teresa poznała Sabinę na krótko przed ślubem, który odbył się zaraz po powrocie Stanisława z Danii. Była pierwszą osobą, której Jakus powiedział, że ma zamiar się ożenić. Była też na ich ślubie i wtedy po raz pierwszy miała na sobie długą niebieską suknię z taniego jedwabiu. Miała wówczas lat piętnaście i już wtedy zapowiadała się na ładną dziewczynę o wesołych ciemnoniebieskich oczach i świeżej delikatnej cerze. Szła przez jasno oświetlony kościół pod rękę z „wujkiem” Stanisławem aż do ołtarza: potem ustąpiła miejsca przy nim Sabinie i właściwie dopiero wtedy – po tylu latach – uświadomiła sobie, że Stanisław jest dość tęgim, średniego wzrostu mężczyzną o łysiejacej czaszce i o dobrodusznym wyglądzie, który na pierwszy rzut oka jakoś nie bardzo pasuje do jego zawodu marynarza. Tylko szerokie czoło, mądre czarne oczy o bystrym wyrazie i stanowczy podbródek zdradzały jego energię i rozum, które równoważyła wrodzona dobroć serca.

W czasie weselnej kolacji wypita kilka kieliszków wina, od którego trochę kręciło się jej w głowie. Jakus mrugał do niej przez stół i spoglądał na Sabinę, a Teresa śmiała się i potakiwała: „Lubię ją; jest śliczna i miła”.

Wtedy wstał i ucałował ją w zarumienione policzki.

– Jesteś już dużą pannicą – powiedział – i nie chcę, żebyś do mnie mówiła „wujaszku”.

– Tylko jak? – zapytała niezmiészana.

– Ty. Tak jak ja mówię do ciebie. I z Sabiną też powinniście mówić sobie po imieniu.

– Dobrze, wujaszku – odrzekła przekornie i wszyscy się roześmieli.

Sabina podobała jej się naprawdę. Polubiły się od razu, lecz nigdy nie doszło pomiędzy nimi do tej zażyłości, jaka łączyła Teresę ze Stanisławem. Teresa była na to zbyt skryta i może zbyt samodzielna. Mimo to łączyła je wzajemna sympatia, a gdy Marian Rachwał padł pod kulami niemieckiego plutonu egzekucyjnego, Sabina zabrała Teresę do siebie. Wiedziała o niej niewiele;

raczej domyślała się jej uczuć i przeżyć. O istnieniu Antoniego Barnata dowiedziała się dopiero wtedy, gdy zaczął pracować w dywersji jako „Szaleniec”. W jakiejś rozmowie z Teresą wspomniała to przezwisko, a Teresa powiedziała wtedy tylko: „To jest mój chłopiec”, co wprawiło Sabinę w chwilowe osłupienie. Później widziała ich kilkakrotnie razem i zrozumiała, że Teresa jest bez pamięci zakochana w tym „swoim chłopcu”.

A teraz – po raz pierwszy chyba od śmierci ojca – Teresa zdradziła się przed nią ze swoim wielkim bólem. Po raz pierwszy zwierzała się jej ze swej miłości, z szalonego niepokoju, z rozpacz, której nie mogła się oprzeć.

Biedna mała – pomyślała Sabina z tkliwością. – Była zawsze taka dzielna.... Muszę jej pomóc.

Przypuszczała, była prawie pewna, że ów Szaleniec istotnie da sobie radę i wróci. Lecz – wiedzona kobiecą intuicją – obawiała się czego innego; czegoś, co dla Teresy byłoby gorsze niż jego śmierć.

– Czy on jest jej wart? – pytała się w myśli. – Czy on wie, jak bardzo jest kochany? Czy nie zmarnuje tego wielkiego uczucia?

Rozdział X

Antoni Barnat zjawił się w Gdyni dopiero w połowie czerwca. Przyjechał służbowym samochodem jakiejś nowopowstałej Centrali Handlowo-Technicznej, której powierzono zebranie i zabezpieczenie różnego rodzaju maszyn, przyrządów, sprzętu i materiałów technicznych, pozostających na razie bez opieki w zniszczonych fabrykach i magazynach lub po prostu porzuconych na drodze przez cofające się w popłochu wojska niemieckie i kolumny ewakuacyjne.

Był jednym z głównych przedstawicieli owej Centrali, a kierowca samochodu mówił do niego „dyrektorze”, co Antoniemu sprawiało widoczną przyjemność. Wpadł do Gdyni jak po ogień, załatwiał jakieś sprawy, jeździł po urzędach, aby otrzymać przepustki i zaświadczenia.

Z Teresą widział się tylko przelotnie. Na widok jej wybladłej twarzy, która zabarwiła się rumieńcem radości przy spotkaniu, a potem znów przygasła, gdy jej powiedział, że musi zaraz jechać dalej – doznał silnego wzruszenia. W ciągu pół godziny mówił o sobie, o interesach, które prowadzi, o swoich dochodach. Ona milczała, co zaczęło go niecierpliwieć. Oczekiwał z jej strony co najmniej podziwu i uznania dla tych swoich zdolności, które objawiły się tak nieoczekiwanie, ona zaś patrzyła na niego tylko jakby zdziwiona czy nawet przestraszona tym wszystkim.

Zapytał, bez większego zainteresowania, co się tu dzieje w Gdyni, i przerwał jej w połowie zdania, wracając do jakiegoś szczegółu swoich przygód. Uśmiechnął się pobłaźliwie, gdy wspomniała o swym zamiarze porzucenia dotychczasowej pracy w szpitalu – „gdy tylko nie będę tam koniecznie potrzebna” – i wstąpienia na jakiś kurs techniczny, nie dosłyszał nawet na jaki.

– To nie ma znaczenia – powiedział z roztargnieniem. – Za parę miesięcy zabiorę cię stąd. Chyba że założymy filię w Gdyni. No, jeszcze za wcześnie o tym mówić, ale zobaczysz! Nabieramy dopiero rozpędu.

Chciał jej zostawić jakieś pieniądze – miał ich pełne kieszenie – ale odmówiła:

– Mam dosyć na swoje potrzeby.

To go zmroziło. Najwyraźniej dąsała się na niego, on zaś doprawdy nie miał teraz czasu na rozpędzanie tych „chmurek”. Ale nie chciał rozstawać się z nią w takim nastroju. Zaczął znów mówić o pracy, która go czeka – o pracy dla dobra państwa powstającego z gruzów – i o tym, że wszystkie głowy i wszystkie ręce są przy tej pracy potrzebne. Niech więc każdy robi to, na co go stać, nie oglądając się na innych. On już stanął do tej roboty, a że przy tym sam zgarnia spore dochody, to przecież nic złego! Pracuje od świtu do nocy....

Spojrzał na nowy złoty zegarek, który miał na ręce, i złapał się za głowę.

– Tak późno! Muszę jechać....

Ucałował jej chłodne usta, obiecał, że zatrzyma się tu dłużej wracając ze Szczecina – „a może z Berlina” – dodał z chełpliwym uśmiechem i gdy już miał wyjść, nagle coś sobie przypomniał:

– Prawda! Mam dla ciebie mały upominek. Tego mi nie możesz odmówić.

Sięgnął do kieszeni i wetknął jej w rękę pakiecik owinięty bibułą.

– Nie gniewaj się, mała. Myśl o mnie i bądź grzeczną dziewczynką. Niedługo się zobaczymy.

Zbiegł szybko po schodach i Teresa usłyszała szcęk drzwi samochodu i warkot silnika. Odjechał, podczas gdy stała w progu, nasłuchując.

Wolno, z ciężkim sercem wróciła do pokoju i usiadła przy stole. Machinalnie rozwinęła bibułkę, z której wysliznął się i opadł na jej kolana duży sznur perel. Wzdrygnęła się, jakby ją sparzyły. Patrzyła na nie szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc się zdobyć na to, aby ich dotknąć palcami. Wreszcie przemogła się i zebrała je obu dłońmi z kolan. Tliły się matowym, zimnym blaskiem. Nigdy w życiu nie miała w rękę takich klejnotów, a teraz te piękne perły przejęły ją niewytłumaczonym lękiem i smutkiem. Zdawały się potwierdzać jej złe przeczucia; zdawały się ostrzegać przed jakąś zmianą, która miała nastąpić, która już nastąpiła w Antonim.

* * *

Tymczasem Barnat pędził już w stronę Szczecina, gdzie miał ważne spotkanie tegoż dnia wieczorem. Spóźnił się trochę, ale czekali na niego. Stachurski, którego Antoni poznał był uprzednio, na samym początku swej „kariery handlowej”, tęgi, z ogromnym brzuchem, z obwisłymi policzkami i krótkim, spłaszczonym nosem o szerokich nozdrzach, co czyniło go podobnym do zapasionej buldoga, przedstawił go pozostałym:

– Dyrektor Barnat z Centrali Technicznej, że tak powiem – pan hrabia Nieświatłowski – pan Cermer – panna Irena Auber.

Ładna, trochę przesadnie umalowana młoda kobieta spojrzała ciekawie na Barnata, wyciągając do niego wąską wypielęgowaną dłoń z kilku kosztownymi pierścieniami na długich palcach.



– No, mógłby pan zacząć ode mnie – powiedziała do Stachurskiego z lekkim grymasem i zaraz potem uśmiechnęła się do Antoniego. – Pan Franciszek jest prawdziwym demokratą – dodała, jakby usprawiedliwiając gospodarza. – Traktuje kobiety na równi z mężczyznami.

– Dla pani powinien zrobić wyjątek – odrzekł Barnat patrząc jej w oczy.

Potem przywitał się z tamtymi dwoma. Hrabia Szczęsny Nieświatłowski miał chudą, lisią twarz z wysadzonymi na wierzch wodnistymi oczyma, rudawym, przystrzyżonym wąsikiem i trochę cofniętym podbródkiem. Był ubrany w angielskie korty, a jego żółty krawat w zielone motyle i pomarańczowe rybki mógłby przyprawić o zawrót głowy nawet zupełnego daltonistę. Wymawiał niewyraźnie „r” i przy tym lekko sepleniał.

Cermer był dużym, ciężkim mężczyzną o wydatnych szczękach i cerze niemal oliwkowej. Pokazywał w uśmiechu olśniewająco białe zęby, a jego gęste czarne włosy rozdzielone pośrodku, od czoła aż do karku, tworzyły jak gdyby błyszczący, wypolerowany hełm.

Szybko omówili sprawę dostarczenia elektrod do spawania i dobili targu o ich cenę. Barnat wieszował sobie w duchu tej transakcji; był przygotowany na trudniejsze warunki: poprzednim razem Stachurski żyłował go przez godzinę, a wtedy chodziło o znacznie mniejszą partię towaru, który zresztą mógł nabyć niekoniecznie od niego. Miał wrażenie, że zawdzięcza ten interes głównie Cermerowi, bo Stachurski chciał się targować dłużej i był widocznie zaskoczony szybką decyzją tamtego.

Siedzieli w głębokich fotelach klubowych, popijając czarną kawę, którą przyrządziła im Auberówna. Ona sama stała za fotelem Cermera, oparta poufale na jego szerokich barkach. Podczas rozmowy Antoni kilkakrotnie przypadkiem spotkał jej wzrok i zauważył ledwie dostrzegalny uśmiech, niewątpliwie jednak przeznaczony dla niego. Odtąd stał się roztargniony: szukał jej fiołkowych oczu i spotykał coraz częściej ich spojrzenie – rozbawione, uwodzące, szelmowskie. Mógł także widzieć odbicie jej postaci w dużym lustrze, stojącym naprzeciw, za plecami Stachurskiego, i nie omieszkiał korzystać z tej sposobności.

Irena miała na sobie ciemnozieloną suknię wieczorową z tafty mieniającej się tęczo w blasku lamp. Jej ciężkie, miękkie i lśniące kasztanowate włosy o gorących połyskach miedzi upięte były w duży grecki węzeł na tyle głowy, osadzonej na białej szyi, która wraz z krągłymi ramionami zdawała się wykwiatać z wycięcia sukni jak pąk jakiegoś egzotycznego kwiatu. Usta, nieco duże, o pełnych wargach ubarwionych ciemnocyklamelową pomadką, uśmiechały się teraz do Antoniego wyzywająco, on zaś odpowiadał na ten uśmiech upartym, bezczelnym spojrzeniem.

Nieświatłowski, który dotąd milczał, poziewając od czasu do czasu, zatarł ręce i z nagłym ożywieniem powiedział:

– Proszę panów, może byśmy przeszli do następnej sprawy. Chodzi o to....

– Zaraz – przerwał mu Cermer. – Pozwolisz, że ja to zreferuję panu Barnatowi....

– Referuj, referuj – zgodził się hrabia, poskromiony jego zimnym spojrzeniem. – Nie traćmy czasu.

Cermer zniżył głos i zaczął wprowadzać Antoniego w szczegóły owej „następnej sprawy”, która zresztą niewiele miała wspólnego z zadaniami Centrali Techniczno-Handlowej, natomiast w wypadku zręcznego jej przeprowadzenia mogła przynieść znaczne zyski uboczne, opłacające sownie związane z nią ryzyko.

– Mówię to panu w zaufaniu – zastrzegł się Cermer. – Rozumie pan chyba, że nie mamy zamiaru wtajemniczać w ten interes żadnych instytucji rządowych. Tego nie można traktować biurokratycznie: decyzja musi być szybka, a sposoby przeprowadzenia całej sprawy odbiegają nieco od... hm... od przepisów prawnych. Możemy to zrobić do spółki z panem, na rachunek Centrali, którą pan reprezentuje, ale ma się rozumieć w ten sposób, że ani Centrala, ani wasze ministerstwo nigdy tego rachunku nie zobaczą.

– Nie ma w tym naturalnie żadnych sprzeczności między interesami państwowymi a naszą inicjatywą – wtrącił Stachurski. – Po prostu zajmujemy się sprawą, która że tak powiem, leży odłogiem. Chodzi tylko o to, żeby użyć waszej, że tak powiem, firmy.

– Rozumiem – mruknął Barnat. – Panowie chcielibyście, żebym to załatwił prywatnie, przy okazji, ale występując wobec władz jako przedstawiciel Centrali, która działa z ramienia ministerstwa.

– Świetnie pan to sformułował! – wykrzyknął Nieświatłowski.

Antoni nawet na niego nie spojrział. Zdawał się wahać: to już nie były „prowizje”, którymi dotąd się zadowalał....

– Widzi pan – przekładał dalej Stachurski, potrząsając głową, przy czym jego obwisłe policzki drgały jak galareta – jeśli taką partię towaru otrzyma, że tak powiem, czynnik rządowy, to co się z tym stanie? Połowę rozkradną w drodze, a resztę złożą, panie, w jakimś magazynie i przypomną sobie za rok albo za dwa, że coś takiego mają. A my to rzucimy od razu na rynek. Zaspokoimy, że tak powiem, całkowicie zapotrzebowanie; usprawnimy, panie, zaopatrzenie biorąc na siebie

wszystkie kłopoty: transport, rozdział i tak dalej. Innymi słowy – wyręczymy rząd i że tak powiem, przyczynimy się do rozwoju gospodarczego kraju. Tak, czy nie?

– Przypuśćmy – bąknął Antoni spoglądając w lustro i obserwując złocisty puszek na karku Ireny.
– Przypuśćmy, że ja się nawet zgodzę. Ale na przejazd tam i z powrotem, a przede wszystkim na transport takich ilości tego towaru potrzebne są specjalne upoważnienia....

Cermer uśmiechnął się szeroko, pokazując białe jak twaróg zęby. Spojrzał na Irenę Auber wykręcając w bok głowę i zadzierając ją w górę.

– Od takich spraw mamy tu dzielną pomocnicę – powiedział. – Zarobi pan na tym interesie dwadzieścia procent czystego zysku po potrąceniu naszych kosztów – zwrócił się znów do Barnata.

– Nie ryzykuje pan ani grosza. My pokrywamy wszystkie wydatki.

Stachurski skrzywił się jak po wypiciu szklanki octu.

– Wie pan, ile to wyniesie gotówką? – spytał głosem pełnym bólesci.

– Wiem – odrzekł chłodno Antoni, jakkolwiek nie miał wyobrażenia o wysokości tej sumy.

– No więc? – rzucił Nieświatłowski.

Barnat patrzył w lustro udając, że się namyśla. Widział spokojną, lekko uśmiechniętą twarz Ireny. Spotkał jej wzrok. Spojrzenie fiołkowych oczu uciekło na chwilę, aby spocząć na twarzach trzech pozostałych mężczyzn, po czym wróciło do lustra. Antoni dostrzegł, że potrząsnęła przecząco głową, kładąc palec na ustach.

– Muszę to przespać – powiedział. – Zostawmy tę historię do jutra.

* * *

Nie spał wcale tej nocy. Pojechali wszyscy do „Albatrosa”, gdzie Cermer zamówił stolik i kolację. Antoni był głodny. Jadł i pił dużo, a Cermer ciągle mu dolewał. Irena dotrzymywała im placu. Nieświatłowski wkrótce „był gotów” i tylko Stachurski, który nie pił, ponieważ alkohol szkodził mu na wątrobę, pozostał zupełnie trzeźwy.

Raz po raz ktoś przysiadł się do ich stołu, Cermer załatwiał jakieś interesy, coś kupował i sprzedawał między jednym a drugim daniem i Barnat doszedł do wniosku, że ten człowiek o drapieżnym uśmiechu, opanowany, stanowczy, szybki w decyzjach, jeśli jest aferzystą – to na wielką skałę, z rozmachem, który zaiste może zaimponować.

Tacy potrafią do czegoś dojść – pomyślał. – Dla nich „pieniądze leżą na ulicy”.

Nawinęło mu się słowo „spekulant”, ale odsunął je z niechęcią. Nawiązywało do przeszłości, do minionej walki, do spraw trudnych, którymi nie chciał się teraz zajmować. Machnął na to ręką – na razie – jak sobie powiedział.

„Na razie” bowiem pragnął używać życia. Pociągała go awantura, przygoda, ryzyko – wszystko to, co mu nastęrczał los, od chwili gdy tak niespodzianie przed trzema miesiącami opuścił Gdynię na hitlerowskim statku, podminowanym własnymi rękoma.

Irena wiedziała o tym coś niecoś: jego sława dotarła aż tutaj.

– Właśnie tak sobie pana wyobrażałam – powiedziała do niego, kiedy podano szampana. – „Szalenciec” – to właśnie do pana pasuje.

– E, tam – odrzekł patrząc jej w oczy. – To nie było takie trudne. Różni ludzie mi pomogli.

– Kobiety pewnie też? – spytała.

– Kobiety? – zdziwił się i nagle spochmurniał. – Tak, rzeczywiście, była w tym także jedna kobieta.

– Pewnie ładna i zakochana.

– Ładna. I zakochana – odrzekł. – Ale zupełnie inna niż pani.

– Och, ja nie jestem zakochana!

– To się świetnie składa – powiedział z odrobiną ironii. – Przyszłość przed nami.

Roześmiała się.

– Możliwe. Ale dlaczego pan powiedział, że ja jestem zupełnie inna niż ona?

– Ja powiedziałem, że ona jest zupełnie inna niż pani.

– Czy to ma być impertynencja?

Nie rozumiał tego słowa, ale wyczuł jego znaczenie.

– To ma być sprostowanie. Pani jest – niebezpieczna.

– A pan lubi niebezpieczeństwa – poddała.

– Szalenie. Zwłaszcza jeżeli mają takie wspaniałe włosy i takie oczy. Jest pani onieśmielająco piękna.

– No, nie można powiedzieć, żeby pan był onieśmielony. Chodźmy zatańczyć!

Antoni trochę się zmieszał.

– Widzi pani... Ja tańczę... Ja właściwie nie umiem tańczyć.

To ją zdziwiło zupełnie szczerze.

– Doprawdy? Zaraz pana nauczę. To jest o wiele łatwiejsze niż wysadzanie statków w powietrze. Muszę panu coś powiedzieć – dodała szeptem.

Antoni istotnie był przekonany, że nie potrafi tańczyć jak należy, jakkolwiek dawniej był niezłym tancerzem.

– Ostatni raz tańczyłem sześć lat temu – powiedział na swoje usprawiedliwienie. – To było zupełnie coś innego...

Ale gdy ją objął w pól, wróciła mu pewność siebie.

– Okłamał mnie pan – usłyszał jej stłumiony głos. – Nie będę pana uczyła.

– Ojej – westchnął. – Zaraz pani podepczę palce, to się pani przekonasz, jaki jestem niezdara. Koniecznie mnie trzeba doksztalić, i to na prywatnych lekcjach.

Poczuł dotknięcie jej policzka i ciepło oddechu.

Zacisnął zęby: działała mu na zmysły, szła w krew jak wino.

– Udusi mnie pan, szaleńcze – powiedziała. Opamiętał się i zwolnił ucisk ramienia.

– Chciałam panu coś powiedzieć...

– Słucham.

– O tym przedsięwzięciu Cermera. Dobrze pan zrobił odkładając decyzję.

– Pomogła mi pani – szepnęła. – Dziękuję, ale...

W tej chwili przestała grać orkiestra.

– Chodźmy do baru – powiedziała Irena. – Tam jest taki kącik, w którym można porozmawiać spokojnie.

– O interesach? – spytał.

– O interesach. Niech pan zamówi dla mnie oranżadę. Nie lubię szampana.

Podano im wysokie szklanki i słomki.

– Niech pan się nie zgodzi na dwadzieścia procent – powiedziała Irena. – Chcą pana okpić. Niech pan zażąda określonej sumy gotówką.

– A jaka to powinna być suma? Zastanawiała się przez chwilę.

– Przynajmniej cztery tysiące. To by było uczciwie pięćdziesiąt procent.

Antoni spojrzał na nią zdumiony.

– Cztery tysiące?!

– No, może się panu uda dostać cztery i pół. Tylko niech pan sobie zastrzeże banknoty studolarowe. Mają wyższy kurs.

– Ach tak – powiedział. – Nie wiedziałem...

Chciał powiedzieć: „Nie wiedziałem, że pani mówi o dolarach”, ale powstrzymał się w samą porę.

Cztery tysiące dolarów – powtórzył w myśli. – Bagatela! Irena przypuszczała, że ta suma wydaje mu się za małą.

– Na nas czworo zostanie tyle samo – powiedziała. – A ja chciałabym dostać od pana tysiąc.

To go znów zaskoczyło. Był przekonany w swej naiwności, że Irena chce mu pomóc bezinteresownie.

Jestem patentowanym osłem – pomyślał. – Ale jak z ciebie taki ptaszek, mc ja damo, to tym lepiej.

Zauważył, że jej długie palce, z paznokciami ubarwionymi podobnie jak usta, nerwowo bębnią po szklanym blacie stolika. Podniósł wzrok i zobaczył jej oczy. Były teraz zwężone, czujne.

Śledziły go. Wyraz napięcia, malujący się na spokojnej, pogodnej dotąd twarzy, zmienił jej rysy, odebrał jej cały wdzięk.

Barnat zaśmiał się cicho.

– Pięć tysięcy – powiedział. – Z tego tysiąc pięćset dla pani. Beze mnie nie ruszycie z miejsca. No i pani musi mi załatwić te formalności.

– To się rozumie samo przez się – odrzekła. – Niech pan tylko nie ustępuje: oni bez pana rzeczywiście nie mogą nic zrobić. Chodźmy tańczyć, grają.

Rozdział XI

Wbrew swym pierwotnym zamiarom, Antoni zatrzymał się w Szczecinie na kilka dni. Trzeba było na miejscu zorganizować całe to przedsięwzięcie i zaczekać na konieczne papiery, których wyrobieniem zajęła się Irena.

Przez ten czas wzbogacał swe doświadczenie, pozbywał się różnych złudzeń i uczył się „podnosić pieniądze, które leżą na drodze”.

Uczył się również tańczyć, a przynajmniej pod tym pozorem po raz pierwszy odwiedził Irenę w jej mieszkaniu pełnym dywanów i miękkich mebli.

Przestał się dziwić, że ta ruda piękność, którą początkowo uważał za „dame”, jest kelnerką w kawiarni „Danuta”, gdzie stali bywalcy dokonują obrotów w obcych walutach i gdzie załatwia się wiele spraw, których nie można załatwić drogą urzędową. Poznawał różnych ludzi, robił przy okazji drobne interesy, wieczory spędzał w „Albatrosie”, noce – z Ireną.

Czasem przychodziło mu na myśl, że droga, na którą wstąpił, prowadzi ku przepaści, że staje się grząska jak bagno; że ginie wśród trzęsawiska. Przeżywał wówczas chwile niepokoju, wyrzutów sumienia, wstydu. Czuł, że dopuszcza się zdrady, odstępstwa wobec dawnych towarzyszy pracy i walki, wobec Teresy, wobec samego siebie.

Miewał chwile, w których chciał się zatrzymać, uciec stąd, zawrócić, ratować się. Ale odkładał decyzję – do wieczora, do jutra, do następnego dnia...

Doprowadzę do końca tylko tę jedną sprawę – myślał – i rzucę to wszystko.

Lecz nazajutrz nastęczała mu się nowa sposobność jakiejś zyskowej transakcji, którą podejmował ot tak, od niechcienia, bo wystarczyło po prostu zgarnąć pieniądze.

Wszyscy robią to samo – usprawiedliwiał się przed sobą. – Byłbym głupi wyrzekając się tak łatwego zarobku.

Pewnego dnia przekonał się jednak, że nie wszyscy „robią to samo”.

Musiał pojechać do portu, aby załatwić sprawy dostaw zleconych Centrali Technicznej przez ministerstwo.

Wielokrotnie zbombardowane, zniszczone wybuchami ruiny budynków, składów, elewatorów i nabrzeży, powalone zamarłe dźwigi, baseny i kanały zakorkowane wrakami statków czyniły przygnębiające wrażenie.

Okrężnymi drogami, wśród gruzów i zgliszczy, dotarł samochodem do jakiejś ocalałej budy, wzdłuż której ciągnęły się fragmenty płotu z drewnianych sztachet, uzupełnione krzywymi palami z kolczastym drutem. Za tym ogrodzeniem widać było stopy wyrwanych podkładów kolejowych, porwane w kawały, poskręcane konwulsyjnie szyny, pochylone słupy telegraficzne ze zwisającymi przewodami.

Tylko jedna para torów została doprowadzona do porządku. Długi towarowy pociąg wolno mijał zamknięte bariery przejazdu. Zwrotniczy w zniszczonym, wytartym mundurze stał z boku i machał czerwoną chorągiewką. Rozległ się przeciągły gwizdek, jęknęły zderzaki, wagony stoczyły się i odskoczyły w tył z charakterystycznym zgiełkiem żelaza i smętnym podźwiękiem łańcuchów.

Barnat wysiadł z samochodu i czekał. Dalej musiał iść pieszo. Przypomniał sobie, że gdy tu był poprzednim razem – przed paru tygodniami – pociągi dojeżdżały tylko do owego przejazdu. Przy budzie była niewielka prowizoryczna rampa, z której załadowywano wagony lub zabierano samochodami towary.

Naprawili tory – pomyślał.

Jego wzrok prześliznął się po twarzach kilku robotników uprzątających podkłady i spoczął przez chwilę na twarzy zwrotniczego. Pociąg cofał się zwolna. Maszynista wyjrzał z parowozu, zawołał coś do ludzi pracujących przy podkładach i roześmiał się wesoło. Kilka rąk uniosło się w górę gestem przyjaznego pozdrowienia.

Było w tym coś znajomego, coś bardzo bliskiego, jak dźwięk ojczystej mowy w obcojęzycznym, obojętnym tłumie. Antoni natychmiast poczuł sympatię dla owego maszynisty, dla robotników, dla kolejarza, który za pomocą ręcznej korby podnosił bariery przejazdu, pomrukując coś pod wąsem i spoglądając za oddalającym się pociągiem.

Z ich strony nie groziłyby mu żadne podstępny; przed nimi nie potrzebowałyby mieć się na baczości, jak wobec Cermera i Stachurskiego czy też wobec nowych znajomych z „Danuty”. Sama myśl o czymś podobnym wydała mu się śmieszna.

– Kiedy wam naprawili ten tor? – spytał zwrotniczego.

Wąsaty kolejarz spojrział na niego zdziwiony.

– Nikt go nam nie naprawiał, panie szanowny – uśmiechnął się przyjmując papierosa, którym Barnat go poczęstował. – Sami robiliśmy, jeszcze do wczorajszego dnia.

– Sami? To znaczy – kto?

– No, my, kolejarze – odparł z pewną dumą. – Tu, uważasz pan, robią i brygady konduktorskie, i maszyniści, i palacze, i chłopaki z parowozowni; nawet kasjer i zawiadowca z dworca portowego też się przyłożyli. Postanowiliśmy tak na zebraniu, że każdy przychodzi po służbie i robi. Inżynier z dyrekcji był tu parę razy, pokazał jak, a ja też tę robotę znam niezgorzej. I widzisz pan? Ładny kawałek w dwa tygodnie czasu, nie?

– Ba! – przyznał Barnat. – Kawał, nie kawałek! Żeby jeszcze ten most nad szosą, co to przed dworcem...

– Most już jest! – przerwał mu zwrotniczy. – Do samej starej rampy dojeżdżamy. O to przecie szło!

– Jak to – most?!

– No, mostu my nie postawili – przyznał lojalnie tamten. – To już radzieccy saperzy. Oni, znaczy, ten most, a my – tory. Kto pierwszy. I akurat razem skończyliśmy, a wczoraj przepuściłem tędy pierwszy skład: pięćdziesiąt dwa wagony.

Antoni kręcił głową ze szczerym podziwem.

– A może pan z kolei? – zapytał zwrotniczy.

– Nie. Ja do portu.

– Na drugą stronę? To pośpiesz się pan, bo motorówka zaraz odejdzie. Tam, z nabrzeża – wskazał palcem.

Barnat spiesznie podążył we wskazanym kierunku i w ostatniej chwili wskoczył do łodzi.

Radziecki marynarz sterował stojąc w rufie. Minęli z daleka holownik zacumowany na kilku bojach obok wystających z wody masztów jakiegoś wraku. Dwaj ludzie na pokładzie statku obracali korbę pompy pneumatycznej; trzeci stał u burty, wychylony nad wodą trzymając przewód i linkę nurka.

Podnoszą coś – pomyślał Antoni z zawodowym zainteresowaniem. – Ciekawe, jakie tu dno...

U poszczerbionych nabrzeży dymiły pogłębiarki, parowy kafar sapał wbijając pale, cieśle stali na rusztowaniu, po pas w wodzie, zbijając pomost ze świeżych sosnowych belek. Wysoko nad nimi błyskały raz po raz błękitne, migotliwe światła w kratownicy dźwigu i snopy iskier opadały w dół, gasnąc po drodze: tam pracowali spawacze.

Szalupa przybiła do trapu opuszczonego wprost z nabrzeża. Barnat wspiał się po chwiejnych stopniach i poszedł w stronę biur kierownictwa robót portowych. W połowie drogi dopędził go młody inżynier w rozpiętej, poplamionej smarem wiatrówce.

– Dobrze, że was złapałem – powiedział ściskając mu dłoń. – Czekamy na was z niecierpliwością. Podobno mamy dostać od was trochę narzędzi i dwa teodolity.

– Narzędzia są prawie wszystkie – odrzekł Barnat. – I jeden teodolit jest także.

– Dobry choć jeden – wykrzyknął inżynier. – Gdzie to trzeba odebrać?

– Powinno wszystko nadejść jeszcze dziś kolejną. No – najdalej jutro. Otrzymaliście węże gumowe do gazu?

– Tak. W zeszłym tygodniu. Pokwitowania już poszły do was pocztą. Nie macie pojęcia, co tu roboty! No i ciągle czegoś brak – zasepił się. – Gdyby nie to...

Weszli do biura i zaczęli uzgadniać rachunki i rozliczenia. Co chwila dzwonił telefon, raz po raz ktoś wpadał z jakąś pilną sprawą. Inżynier targał jasną czupryną, kłął, żartował, dawał wyjaśnienia i polecenia, kopał papierosy i wracał do spraw materiałowych.

Skończyli wreszcie, mimo tych ciągłych przerw.

– Macie tu prawdziwy kierat – powiedział Antoni.

– Kierat? Kołowrotek! Nie: młynek elektryczny! Trzydzieści tysięcy obrotów na minutę przez osiemnaście godzin na dobę – roześmiał się inżynier. – Ale robota idzie. Tylko – ludzi! Ludzi i materiału! Daję wam słowo, że ci, co są, dokazują cudów, żeby nie było przestojów. Czego oni sami nie wymyślili i nie zrobili! Z takimi warto pracować, mówię wam! Ale teraz... – znów spochmurniał. – Jutro, pojutrze – chyba staniemy ze spawaniem. Nie ma, psiakrew, elektrod. Wicie, prętów w otulinach do spawania elektrycznością.

– Aha – mruknął Barnat.

– Mamy wprawdzie aparaty acetylenowe, ale brak znów butli... – machnął ręką. – A to jest pilne – westchnął. – Bardzo pilne.

– Ile wam trzeba tych elektrod? – spytał Antoni.

– Z pięć, sześć tysięcy sztuk, od trzech do sześciu milimetrów średnicy. Ale tego nigdzie nie można dostać. Wasza Centrala też odpowiedziała, że nie ma.

Antoni milczał przez chwilę.

– Mogę wam jutro dostarczyć tyle elektrod, ile tylko chcecie – powiedział.

Inżynier aż podskoczył.

– Człowieku! Gdybym był ładną dziewczyną, to bym was ucałował! Gdzie u licha macie te elektrody?! W walizce?

– Prawie – roześmiał się Barnat. – W każdym razie są tu, w Szczecinie.

– No, no! – zdumiał się tamten. – Jesteście opatrnościowym facetem. Już piszę zamówienie. Po ile?

Barnat wymienił cenę doliczając tylko oficjalnie ustaloną marżę zarobku. Mógłby oczywiście sprzedać ten towar o sto lub nawet dwieście procent drożej, ale tym razem nie chciał wykorzystać okazji. To zresztą był drobiazg nawet w porównaniu z pomniejszych transakcjami zawieranymi w „Danucie”.

– Formalności potrważą kilka dni – powiedział inżynier, jakby z obawą, że to może odwlec dostawę owych prętów. –

Ale... Widzicie: chciałbym jutro, jeżeli to możliwe... Bo to przecież dla portu, dla Szczecina, rozumiecie...

– Naturalnie – przerwał mu Barnat.

– No, to żyjemy! – wykrzyknął inżynier. – Daję słowo – zdjęliście mi kamień z serca.

* * *

Zetknięcie z podobnymi ludźmi budziło zawsze w umyśle Antoniego żywy niepokój.

– Porywają się z motyką na słońce – mówił sobie, przeliczając ich skape środki działania na olbrzymie potrzeby i trudności, jakie się przed nimi piętrzyły.

Ale pociągało go ku nim żywiołowe poczucie solidarności; to byli ci sami ludzie, z którymi do niedawna w jednym szeregu „porywał się z motyką” na faszyzm, na kapitał, na przytłaczającą przemoc obcą i potęgę, której uległo pół Europy.

Ba, łatwiej burzyć niż budować – myślał.

Widział przecież spaloną Warszawę, niemal zrównaną z ziemią. Ją też postanowiono odbudować... Kręciło się tam trochę ludzi, przerzucając cegły, i kilkadziesiąt furmanek wywozających gruz. Uśmiechał się gorzko na ten widok: to mogło trwać pięćdziesiąt, sto lat!

Stachurski, Cermer, naczelny dyrektor Centrali i niemal wszyscy ci ludzie, z którymi Barnata łączyły coraz rozleglejsze stosunki handlowe – wzruszali ramionami:

– Warszawa? Panie drogi, gdyby tu przyszli amerykańscy inżynierowie, ich maszyny, ich kapitały – no, to tak: za dziesięć lat można by coś zrobić. Ale sami?!... Łopatami, panie? Wózkami w jedną szkapę? Daj pan spokój!

A oprócz Warszawy był przecież Gdańsk i port w Gdyni, i w Szczecinie, i sam Szczecin, i Wrocław, i tysiące miast i miasteczek, i fabryki w gruzach, i cały ten „dziki zachód”, gdzie pola zarastały burzanem jak stopy, a zgraja aferzystów w rodzaju Stachurskiego czy też Cermera uprawiała nowy zawód nazywany „szabrem”.

Z drugiej strony stali górnicy w kopalniach węgla, kolejarze, robotnicy, którzy własnymi rękami wygrzebywali ze zgliszcz maszyny i uruchamiali pierwsze warsztaty pracy, młodzi inżynierowie, jak ten ze szczecińskiego portu, nauczyciele, wreszcie – rząd i partia. Lecz ogrom zadań zdawał się przerastać ich siły.

Barnat coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że się od nich oddala; że mimo owych sympatii i mętnych porywów sentymentu idzie inną drogą; że te drogi rozchodzą się coraz bardziej.

Okłamywał sam siebie, że w każdej chwili może zawrócić; że zawróci, gdy się nadarzy sposobność – za tydzień, za miesiąc, po dokonaniu jakiejś wielkiej transakcji, gdy „rzeczywiście będzie potrzebny” przy jakiejś innej, pożytecznej robocie. Ale narkotyk tego kłamstwa tracił swą siłę: w chwilach szczeroci praca w Centrali Techniczno-Handlowej i całe to przedsięwzięcie wydawały mu się zwykłym oszustwem, nędznym parawanem, który osłaniał istotę treści, nie różniącą się niczym od działalności Cermerów, Nieświatłowskich i Stachurskich.

Tylko że te chwile zdarzały się coraz rzadziej, a odwrót stawał się coraz trudniejszy. Gdy Antoni pewnego razu próbował zwierzyć się Irenie z takich dręczących go myśli, wybuchnęła śmiechem:

– Nie! To doskonałe! Wrócisz do pracy w porcie?! Zarabiać na papierosy?! Jeszcze podobnej bzdury nie słyszałam.

Potem zaczęła z innego tonu – chłodno i drwiąco: Czy to aby nie brak odwagi przed ryzykiem w „wyprawie po złote runo”, którą Antoni odkłada teraz z dnia na dzień? Czy „Szaleniec” pragnie już spocząć na laurach? Dość ma przygód? Nie chce się więcej narażać? Woli domowe pantofle w jednym pokoju z kuchnią niż walkę o fortunę?

Podrażniło go to.

– Jadę jutro – powiedział. – Ta historyjka może być „wyprawą” dla Cermera, nie dla mnie!

Rozdział XII

W tydzień później wrócił z Berlina tryumfujący: udało mu się przebyć pomyślnie, choć niezbyt legalnie, posterunki graniczne, zorganizować transport, wyjednać zezwolenia, załatwić całą sprawę szczęśliwie. Był zmęczony, niewyspany, brudny, zarośnięty, ale zadowolony i dumny ze swego powodzenia. Odpoczął dwa dni w Szczecinie i zgarnawszy pieniądze pojechał do Wrocławia i Poznania zakończyć jeszcze jakieś interesy i zakupy.

W drodze do Warszawy, jak grom z jasnego nieba, spadła nań wiadomość o aresztowaniu naczelnego dyrektora i o przejściu Centrali Techniczno-Handlowej przez ministerstwo. Szukano go na wszystkie strony telegraficznie.

Wahał się, jak ma postąpić: czy w ogóle pokazywać się w tym ministerstwie? Postanowił jednak „stawić czoła niebezpieczeństwu” i pojechał tam zaraz po przybyciu.

Wyszedł zwycięsko z tej próby ogniowej; udowodnił, jak dalece był pożyteczny, ile rozwinął inicjatywy i co zdziałał. Choćby na przykład taka sprawa, jak dostarczenie elektrod, które nagle znikły z powierzchni ziemi. Nie wiedział naturalnie o machinacjach i nadużyciach dyrekcji; pracował wyłącznie w terenie, według otrzymywanych zleceń, a jeśli miał pewną swobodę działania, to używał jej z korzyścią dla spraw odbudowy, jak to już był wykazał. Jeździł, szukał, znajdował i kupował lub przejmował i dostarczał materiały techniczne do Centrali; co się dalej z nimi działo – nie wie. Istotnie, otrzymywał prowizje, czasem nawet dość wysokie. Ale – miał taką umowę...

O swoich prywatnych interesach nie powiedział ani słowa, a w jego rachunkach i notatkach nie było po nich najmniejszego śladu.

Oświadczono mu, że zostanie wezwany jako świadek na rozprawę, po czym zaproponowano mu objęcie zarządu przymusowego nad Centralą.

Odmówił. Nie chciał także pozostać na zajmowanym dotąd stanowisku. Nie chciał mieć nic wspólnego z tym wszystkim.

– Cóż wobec tego zamierzacie robić? – spytał go dyrektor departamentu.

Barnat wykonał nieokreślony gest.

– Rozejrzę się jeszcze. Może wrócę do swego fachu...

* * *

Pojechał wkrótce potem do Gdyni, gdzie miał kilka „napiętych” transakcji do zrealizowania na własny rachunek.

Był w dobrym nastroju: cała historia z Centralą Techniczno-Handlową skończyła się pomyślnie, właśnie wtedy gdy sam już chciał porzucić to przedsięwzięcie; mógł się doskonale obyć bez niego; miał stosunki, znał rynek i ludzi, wiedział, gdzie i co kupować, komu i jak sprzedawać. Po cóż więc miałby dzielić się zyskiem z jakąś centralą?!

Jechał pociągiem, ponieważ musiał oddać samochód do dyspozycji ministerstwa, i postanowił zaraz zaopatrzyć się w jakiś wóz, bo podróż koleją uważał za karygodną stratę czasu.

Z kupnem samochodu nie miał trudności: nabył tego samego dnia małego mercedesa w dobrym stanie i wynajął garaż. Załatwił jeszcze to i owo, wpadł do swego dawnego mieszkania, które wydało mu się nad wyraz nędzne, oświadczył, że wkrótce je zwolni, ponieważ przenosi się gdzie indziej, i poszedł do Teresy.

Zastał ją przy robieniu porządków i ucieszył się, że jest sama.

Od razu na wstępie powiedział jej, że rozstał się z Centralą. Klasnęła w dłonie:

– Naprawdę?!

– Naprawdę. Porobili tam jakieś machlojki i dyrektor siedzi. Mam tego dość. W końcu mnie by też zamknęli.

Tym razem nie rozwodził się wiele nad tą sprawą i nie mówił o swoich planach. Natomiast interesował się tym, co robi Teresa.

Powiedziała mu, że od kilku dni mieszka sama: Stanisław wrócił i...

Antoni zmarszczył brwi i spojrzał na nią uważnie, jakby nagle zaniepokojony.

– Jaki Stanisław? – spytał.

– No kapitan Jakus, mąż Sabiny.

– Aha – uśmiechnął się. – No i co?

– No i przenieśli się do Oliwy, a Sabina zostawiła mi ten pokój i kuchenkę z całym urządzeniem. Powiedz, czy to nie wspaniałe?!

Zaczęła mu opowiadać o Stanisławie i o sobie, o swoim dzieciństwie. Nie po raz pierwszy uświadomił sobie, jaka umie być dowcipna. Ilekroć była czymś uradowana i ożywiona, jej wrodzony talent naśladowania czyjegoś głosu, gestów, mimiki ujawniał się żywo.

– Powinnaś iść na scenę – mówił jej nieraz ubawiony. Teraz śmieli się oboje siedząc na kanapie wysuniętej na środek pokoju, wśród porozstawianych krzeseł, szczonek i wiader z wodą, a Teresa zapomniała o porządkach. Wreszcie przypadkiem spojrzała w lustro i zerwała się na równe nogi.

– O – jej! Jak ja wyglądam!

– Ślicznie – roześmiał się. – Przysięgam, że ci jest bardzo ładnie w tym, co masz na sobie. Ale możesz się trochę przebrać: zabieram cię na kolację do „Ermitażu”.

Była tak uszczęśliwiona z jego powrotu, że zgodziła się bez zastrzeżeń.

– Tylko musisz mi pomóc doprowadzić ten pokój do stanu używalności. Potem grozi ci kompletna ruina finansowa: jestem głodna ja wilk i zjem wszystko, co tam mają w tym „Ermitażu”.

Kazał jej się ubierać, a sam, według jej wskazówek udzielanych zza parawanu, przesuwał i ustawiał meble, układał na półce książki, nawet zamiatał podłogę i okurzał szafę.

Pochwalała go za to i po krótkim wahaniu – aby mu zrobić przyjemność – włożyła naszyjnik perłowy, który od niego dostała.

Podczas gdy poszedł na dół wyrzucić śmiecie, przejrzała się w lustrze, poprawiła włosy i upudrowała sobie nos. Gdy się odwróciła, stał w progu oparty na szczotce, z wiadrem w ręku.

Roześmiała się:

– Strasznie jesteś miły! Lubię cię za tę szczotkę, za wiadro, za to, że latasz po schodach i przez podwórze wyrzucać śmiecie i nic sobie z tego nie robisz. Wiesz?

– U, wielki handel – mruknął, nie spuszczając z niej oczu. – Ale ty jesteś ładna dziewczyna – powiedział ze szczerym podziwem.

– Już to gdzieś słyszałam – odrzekła. – Nawet niedawno.

– Ale teraz jesteś jeszcze ładniejsza – oświadczył. Mimo woli narzuciło mu się porównanie z Ireną Auber.

Tamta była z pewnością bardziej efektowna, wyższa od Teresy, o kształtach nieco pełniejszych, które podkreślała wyzywająco krojem swych kosztownych sukien.

Teresa była drobniejsza i szczuplejsza, co zresztą nie umniejszało jej wdzięku. Oczy miała ciemnoniebieskie z bardzo długimi rzęsami, pełne wyrazu, zarówno wtedy gdy się uśmiechały, jak wtedy kiedy patrzyły z niepokojem, z tkliwością, z oddaniem. Była szatynką i odcień jej włosów nie mógł konkurować co do oryginalności z miedzianym greckim węzłem, któremu Irena poświęcała wiele czasu i zabiegów u swego fryzjera. Lecz włosy Teresy były niemniej bujne i lśniące, a ich fale układały się z naturalną swobodą, gdy potrząsnęła głową. Jeśli się śmiała – a śmiała się łatwo i szczerze – marszczyła zabawnie nos, ani myśląc o tym, czy to może zaszkodzić jej urodzie czy nie. Rysy twarzy miała delikatniejsze niż Irena; szlachetniejsze. I z pewnością nie było w niej nic wulgarnego!

Szli pod rękę, zajęci wyłącznie sobą. Ciepły sierpniowy wieczór zawisł nad miastem i jakby ociągał się, nie chcąc ustąpić miejsca nocy, która sączyła się wolno ze wschodu, zapalając na niebie pierwsze gwiazdy.

Wtem minął ich jakiś samochód, zapiśzczał hamulcami, zatrzymał się przy chodniku. Tęgi mężczyzna z wielkim brzuchem otworzył drzwi, wytoczył się z wozu i zmierzał ku nim, ale ujrawszy Teresę przystanął niezdecydowany.

Barnat poznał go natychmiast, lecz udał, że go nie widzi. Nie miał ochoty ani z nim teraz rozmawiać, ani przedstawiać go Teresie. Lecz tamten zdecydował się wreszcie.

– Bardzo panią przepraszam, że tak powiem. Słoweczko, panie Antoni...

Antoni przystanął niechętnie, przytrzymując ramię Teresy.

– Słucham.

Spocone, obwisłe policzki Stachurskiego drgały nerwowo.

– To dosyć poufne – szepnął. – Czy moglibyśmy, że tak powiem, na osobności? Rzecz pilna, uważa pan...

Barnat powiedział mu, że będzie w „Ermitażu”.

– Mogę tam panu poświęcić pięć minut – dodał. – Widzi pan przecież, że...

– Aa, widzę, widzę! – skłonił się Stachurski łypiąc oczami. – Nie przeszkadzam, nie... tego... Będę czekał. Do zobaczenia.

– Kto to? – spytała Teresa, gdy oddalili się trochę.

– Taki tam – mruknął Antoni. – Coś pośredniego między szabrownikiem a spekulantem.

– Ale co ty masz z nim wspólnego?

– Cóż? Interesy, moja mała. W interesach nie można sobie wybierać ludzi szczególnie sympatycznych...

Nic na to już nie odpowiedziała. Myśl o „interesach”, którymi Antoni widocznie nadal jeszcze się zajmował pomimo likwidacji Centrali, przyćmiła jej radość. Lecz gdy zasiedli przy stoliku, wrócił jej dobry nastrój: Antoni patrzył jej w oczy, nie zwracając najmniejszej uwagi na owego spekulanta z twarzą buldoga, który zasiadł w przeciwległym kącie sali i odbywszy długą naradę z kierownikiem restauracji zabrał się do solidnego posiłku.

Dopiero po zapłaceniu rachunku, gdy Teresa chciała już wstać, Antoni powstrzymał ją.

– Muszę się z nim rozmówić – szepnął. – Bądź grzeczna i posiedź chwilę sama. To nie potrwa długo.

Mimo tej zapowiedzi upłynęło dwadzieścia minut, nim wrócił. Był podniecony, oczy mu błyszczały i błękitne żyłki wystąpiły na skroniach. Teresa przyjrzała mu się uważnie. Tak wyglądał zawsze, ilekroć dawniej powierzono mu jakieś trudne, ryzykowne zadanie. Owładnęły nią złe przecucia.

– Cóż tak na mnie patrzysz? – spytał z lekkim zniecierpliwieniem. – Chodźmy.

Obejrzał się na Stachurskiego, który usiłował powstać i pożegnać Teresę czymś, co miało być ukłonem, lecz czemu przeszkodziło zetknięcie się wielkiego brzucha z krawędzią stołu.

Szli jakiś czas w milczeniu. Antoni zdawał się coś rozważać w myśli.

– Przejdźmy się trochę nad morzem – powiedziała Teresa. – Chcesz?

– Dobrze – odrzekł z nagłym ożywieniem. – Wiesz, ten Stachurski, no ten, z którym rozmawiałem...

– Szabrownik – wymknęło jej się.

– Aha, jeszcze jaki! – potwierdził śmiejąc się. – Otóż on ma jednak pomysły. To, co mi zaproponował, jest... jest najśmielszym, największym interesem, jaki kiedykolwiek miałem na widoku. Bardzo dowcipnie to wykombinował.

Teresa milczała uparcie, ale to go nie powstrzymało od dalszych zwierzeń.

– To ma swój urok – mówił. – Człowiek w stosunkach z takimi rekinami ponosi podwójne ryzyko; najpierw wraz z nimi, z ich pomocą, później przeciw nim. Ale to się opłaca.

Skręcili ku plaży i szli w stronę Kamiennej Góry wąską ścieżką wśród drzew i zarośli. Antoni zatrzymał się.

– Wiesz, przyszło mi do głowy... Moglibyśmy teraz zamieszkać razem. Dokupimy trochę mebli. Muszę mieć jakieś mieszkanie z telefonem. Właściwie nawet z czymś w rodzaju biura i...

Urwał nagle. Teresa stała obok niego z opuszczoną głową.

Płakała! Wiedział, że płacze i że na próżno usiłuje powstrzymać się od tego. Ogarnęła go irytacja.

– Co ci jest? – spytał cierpko.

Nie odpowiedziała. Tylko jej głowa opadła niżej, jakby pod ciosem tych słów wypowiedzianych w taki sposób.

Wtedy zrobiło mu się jej żal. Ujął ją za ramiona i obrócił ku sobie.

– No, spojrzij mi w oczy – powiedział łagodnie. – Co ja ci za krzywdę zrobiłem, powiedz?

Wolno uniosła głowę. Antoni zobaczył jej pobladłą twarz i te oczy – oczy, których nigdy już później nie mógł zapomnieć – pełne łez.

– Nie możesz mi darować, że nie chcę gmerać w tych ruinach razem z Grubym, z Czeluśniakiem, z Bronkiem Cybulskim, z nimi wszystkimi. Po cóż bym to miał robić? Co z tego będzie? Kiedy? Jak się zacznie naprawdę ruch, odbudowa, jak dostaniemy narzędzia, maszyny, statki – to co innego. Ale teraz? Przecież to zawracanie głowy! Zamiast przerzucać cegły i łątać rozłazące się rudery, robię pieniądze. Bo to ma sens, a tamto – nie. I tego mi nie możesz darować? No, powiedz!

Objęła go ramionami za szyję, wspinając się na palcach.

– Och, Antoni!

Przygarnął ją ku sobie i trzymał w objęciu.

– Ty nie wiesz – mówiła patrząc mu w oczy. – Ty nie wiesz, jak mi źle, jak ciężko. Ja bym dla ciebie... Ja bym ci darowała wszystko! Największą krzywdę, jaką byś mi mógł zrobić. Wszystko! Wszystko... Tylko tak mi smutno, że nie chcesz, nie możesz zrozumieć... Że się ode mnie wciąż oddalasz, że odchodzisz tam, do innych ludzi, na tamtą, na drugą stronę. Ze zostawiasz i mnie, i swoją pracę, i swoje dobre imię dla tamtych innych spraw, dla tego innego ryzyka, jak je nazywasz, dla rekinów, które cię tak pociągają. Okropnie md smutno, Antoni! Zostań ze mną. Tak bardzo cię kocham...

Nie mógł tego znieść dłużej. Kochał ją przecież także. Obiecał, że z nią zostanie na zawsze.

Rozdział XIII

Nie dotrzymał tej obietnicy. Tłumaczył się sam przed sobą, że musi przecież polikwidować rozpoczęte interesy, wycofać pieniądze. Przeznaczył na to dziesięć dni, potem miesiąc, potem dwa...

Nie wspominał już o wspólnym mieszkaniu. Wynajął i umeblował pusty pokój u wdowy po majstrze szkutniczym, Grabieniu, założył telefon, wyjechał raz, drugi, trzeci – do Warszawy, gdzie też miał jakiś „pokój przy rodzinie”, do Wrocławia ze Stachurskim, do Szczecina, aby porozumieć się z Cermerem... Zaczęte interesy jakoś się przeciągały, nowe same wchodziły mu w ręce.

Tak minęła jesień i zima, a potem – przestał już nawet myśleć na serio o jakiejś zmianie.

Zarobił mnóstwo pieniędzy na samochodach, które jeden z jego znajomych wywęszył w Olsztynie, potem na dostawie szyb, na pośrednictwie w dostarczaniu maszyn do papierni, na całym magazynie smarów „odkrytym” gdzieś w ruinach Malborka.

Gdy wracał z tych wypraw do Gdyni lub do Warszawy, hulał i pił w towarzystwie swoich współników i ich kobiet, które przechodziły z rąk do rąk, podobnie jak banknoty.

Teresę widywał coraz rzadziej – raczej z obowiązku, czy też może pod wpływem wyrzutów sumienia, niż z potrzeby serca. Było mu jej żal: widział, jak ta dziewczyna gaśnie i więdnie niby kwiat świeżo rozkwitły, a już spalony słońcem na wyschłej glebie. Czuł dla niej litość, a zarazem niecierpliwiło go jej przywiązanie. Nie miałby nic przeciw temu, żeby znalazła kogoś innego, żeby wprost powiedziała: „Nie chcę cię znać więcej. Odejdź”. Mogła to zrobić: była młoda i ładna; kręciło się tam dokoła niej tylu, że mogła wybierać, kogo chciała. Może by go to nawet zraniło. Może by cierpiał tracąc ją na zawsze, lecz odzyskałby przy tym wolność! Wolność od tego uczucia litości, od świadomości, że ją krzywdzi – ją, Teresę, której całą winą było, że go pokochała zbyt mocno...

Ale nie wybrała nikogo innego i Antoni wiedział, że czeka tylko na niego, na jego powrót, na to „nawrócenie się”, na spełnienie obietnicy, którą jej rzucił wówczas nad morzem, pośród letniej nocy, pod niebem pełnym gwiazd, wzruszony jej łzami i tym wyznaniem wielkiej, głębokiej miłości. Wiedział też, że naprawdę gotowa jest wybaczyć, zapomnieć mu wszystko, gdy tylko on sam tego zechce. Ciężko mu to, ugniatało, dokuczało jak cierń wbity pod skórę, więc szukał zapomnienia w hulankach, a czasem – gdy żal wypełniał mu serce po brzegi – postanawiał biec do niej. Najczęściej w takich razach kończyło się na tym, że posyłał jej kwiaty, całe naręcza kwiatów, które lubiła i które przyjmowała od niego, odmawiając zresztą przyjęcia czegokolwiek innego – nawet tej jego litości, o którą nie prosiła.

O tym wiedział także. Wiedział, że gdy wtedy powiedziała: „Nie odchodź, zostań ze mną” – chciała go zatrzymać nie tylko dla siebie i nie za wszelką cenę. Miał do wyboru: powrót do szeregów, które opuścił, i jej uczucie, tak silne, że mogło ją zabić, gdyby je odrzucił, lub tę „wolność” i zadośćuczynienie swoim ambicjom. Lecz nie mógł się zdobyć na żadną decyzję. Czekał, łudził się, że Teresa zerwie z nim sama. Że prędzej czy później jej serce odwróci się od niego, wystygłe i obojętne.

* * *

Tymczasem na „wolnym rynku” robiło się coraz ciasniej: kończył się szaber, kontrola prywatnych obrotów i zysków zwolna ujmowała w karby dziką spekulację, paraliżując poczynania rekinów handlowych, a nowopowstające przedsiębiorstwa państwowe i uspołecznione stwarzały coraz poważniejszą konkurencję jako czynnik regulujący ceny i zarobki. Zaczynała się bitwa o handel, o sprawiedliwy, na nowych zasadach oparty rozdział towarów i artykułów wszelkich kategorii.

Mimo to, mimo rosnących podatków, domiarów, kar pieniężnych za przekroczenia i niedozwolone afery – zarówno Barnat, jak jemu podobni jeszcze w ciągu następnego roku utrzymali się na powierzchni. Wobec nowych zarządzeń, komisji i kontroli, wobec wzmożonego ryzyka wynajdowali nowe sposoby zwiększania zysków, które by pokryły ponoszone straty. Była to

niebezpieczna walka na śliskiej, coraz węższej drodze, która dla niejednego spośród nich kończyła się u krat więziennych. Lecz pozostali bronili się zaciekle: wyparci z dawnych pozycji, zajmowali inne, uciekając się do przekupstwa, fałszując księgi handlowe, ukrywając dochody, omijając przepisy i ustawy.

Spekulacja dolarowa dawała zyski wprost fantastyczne, a przemysł towarów zagranicznych krył w sobie możliwości takich zarobków, o jakich Antoni nawet nie marzył rozpoczynając ten etap swego życia. Pił coraz więcej, ponieważ wymagały tego interesy zawierane zwykle przy kieliszku, i coraz częściej przebierał miarę, choć szczyił się swoją „mocną głową”.

I oto potknął się właśnie na przemycie – na głupiej, drobnej transakcji, która nie przyniosłaby mu nawet setnej części tego, co przeciętnie zarabiał w ciągu miesiąca.

Chodziło o jakieś zegarki, których w ogóle nie widział, a które kupił „przez grzeczność”, chcąc pozyskać sobie pewnego dostawcę, aby załatwić z nim później większy interes. Przysłano mu je w opakowaniu do mieszkania w Warszawie, właśnie w chwili gdy miał u siebie niespodzianą kontrolę Komisji Specjalnej.

Wynikły z tego fatalne następstwa zakończone sprawą sądową i wyrokiem skazującym go na przepadek mienia i sześćoletnie więzienie.

Wysłuchawszy tego wyroku Barnat doznał wrażenia, że tonie; że zapada się w jakąś ciemną głębię, która obejmuje go chłodnym uściskiem i dusi, wdzierając się gorzką falą do gardła.

* * *

Był tak przybity i ogłuszony, że dopiero po kilku dniach zaczął sobie uświadamiać wszystkie konsekwencje wypływające z owej klęski, która na niego spadła. Również dopiero teraz, w więzieniu, doznał uczucia palącego wstydu. Nagle ujrzał samego siebie – Antoniego Barnata, przezywanego „Szaleńcem” – na samym dnie. Zdumiał się temu upadkowi: jakże prędko staczał się w dół i ileż razy mimo to mógł być się zatrzymać! Czy był ciągle jeszcze tym samym człowiekiem? Czy był synem Ludwika Barnata, warszawskiego robotnika, który zginął na barykadzie? Czy to on, Antoni Barnat, przyrzekł sobie i towarzyszom, że będzie walczył o Polskę robotniczą i chłopską? Trudno było w to uwierzyć...

W areszcie śledczym, przed rozprawą, nie przychodziło mu to do głowy. Patrzył na własne uczynki tak, jak chciał, aby je widział sąd; nie dostrzegał ich szerszego tła, które przesłaniały mu zapożyczone frazesy, uznawane przez niego samego jako „trzeźwa” ocena rzeczywistości. Bronił się wówczas; walczył do upadłego, wszelkimi sposobami, używając forteli i wykrętów, których nauczył się przez tych kilka lat ostatnich. Nie myślał się poddawać, nie analizował swego postępowania, nie chciał uznać swojej winy i słuszności prawa. Przyjmował śledztwo jak atak groźnego przeciwnika i starał się ten atak odeprzeć, uporać się z nim, podobnie jak to czynił w zapasach z tymi, którzy wchodzili mu w drogę przy jego przedsięwzięciach handlowych. Nie tracił nadziei, że się z tego wyplacze, że co najwyżej straci dużą stawkę, lecz będzie się mógł jeszcze odegrać w przyszłości.

Dopiero przewód sądowy na sali rozpraw skierował jego myśli na inne tory, a przemówienie prokuratora zdarło sprzed jego oczu zasłonę utkaną z lichych kłamstw, mających usprawiedliwić go we własnym sumieniu, i postawiło go twarzą w twarz z człowiekiem, o którym zapomniał – z Antonim Barnatem o przyzwisku „Szaleniec”.

Nie miał już nic do powiedzenia w ostatnim słowie: spadło to na niego jak ogłuszający cios, a wyrok pogrążył go w otchłań, która zamknęła się nad nim, jak morze zamyka się nad wrakiem zatopionego statku.

Miał teraz dość czasu na rozmyślanie, lecz te myśli palące jak płomień szarpały się w nim na kształt burzy, ślepe, chaotyczne, wrogie sobie nawzajem, rozsadzające mózg, który nie mógł ich uporządkować.

Uspokojenie przychodziło z wolna. Po miesiącu ferment buntu, wstydu i żalu opadł, ustalił się w nim jak gorzki osad na dnie świadomości. Mąciły go tylko sny, nad którymi Antoni nie miał władzy.

Widywał w nich Teresę z oczyma pełnymi łez, jak stała nad brzegiem jakiegoś ponurego, czarnego strumienia o głębokim, krętym korycie i wartkim nurcie. On sam płynął tym strumieniem na wznak, głową naprzód, unoszony niby korek na powierzchni, ze związanymi ramionami. Mijał ją, a ona wyciągała do niego ręce. Oddalał się, tracił ją z oczu, chciał zawołać, żeby nie odchodziła, że on wróci, ale czarna woda zalewała mu usta.

Kiedy indziej zwabiał ją podstępem do jakiejś olbrzymiej pustej sali, której ściany zawieszono były fałdzistymi kotarami. Szedł z nią wzdłuż tych ścian, wiedząc, że ktoś kryje się w ciężkich fałdach ciemnej materii. Nagle spoza kotary błyskał sztylet i Teresa ugodzona w plecy, brocząc krwią, spoglądała na niego ze zdziwieniem i wyrzutem. Najczęściej jednak widywał ją z daleka i śpieszył, aby ją dogonić, podczas gdy znikwała gdzieś – wśród drzew, na ulicy lub w jakimś nieznany domu. Szukał jej, czasem mignęła mu jej postać, ręka, kształt głowy i znów otaczała go pustka. Budził się z piersią przepełnioną ogromnym żalem, skamieniały z rozpaczy i przerażenia lub zawiedziony, przejęty bólem i tęsknotą.

Tęsknił do niej – teraz, kiedy ją stracił. Nie chciał w to uwierzyć, że stracił ją na zawsze, ale zwątpienie wkrađało mu się do serca i opanowywało umysł. Czymże był w jej oczach? Jakże miał prawo oczekiwać od niej wierności? Czyż sam nie pragnął, żeby od niego odeszła? Czy mógł się ludzi, że za sześć lat będzie jeszcze o nim myślała?...

Leżał z otwartymi oczyma na twardym więziennym łóżku i wywoływał w pamięci jej uśmiech, głos, słowa, którymi do niego przemawiała. Z sąsiednich łóżek rozlegało się chrapanie, czasem jęk lub przekleństwo. Potem szary, brudny świt zaglądał nieśmiało przez kraty okna, na korytarzu rozlegały się kroki i dźwięczały klucze, a ostry, przenikliwy sygnał dzwonka obwieszczał pobudkę. Nadchodził dzień, podobny do wszystkich poprzednich, Antoni zaś zamykał w sobie wspomnienia o Teresie, jakby w obawie, aby ich kto nie podpatrzył, nie odkrył i nie zbrukał.

* * *

Był spokojnym, życzliwym współmieszkańcem celi i wzorowym więźniem; z zainteresowaniem słuchał wykładów, odczytów politycznych, wiadomości prasowych i komentarzy do nich. Chętnie pracował – z początku przy jakichś wykopach ziemnych związanych z kanalizacją, przy odbiorze i przrzucaniu koksu, przy budowie garażu wewnątrz więziennego podwórza, później zaś – od czasu gdy zaszła potrzeba naprawy ciekących rur i kranów wodociagowych – jako uniwersalny monter-instalator.

Oddziałowi lubili go i wyróżniali. Dzięki nim właśnie pozwolono mu naprawić owe rury, a gdy wykonał tę robotę szybko i sumiennie, naczelnik więzienia wezwał go do siebie zainteresowany jego umiejętnościami.

– Mam dla was dobrą wiadomość – powiedział mu na zakończenie rozmowy. – Jest tu dla was paczka, którą ktoś wam przesłał bezimiennie. Pewnie się domyślicie kto.

Antoni drgnął. Nie mógł ukryć wzruszenia obracając w rękach niewielki pakunek ze stemplem kontroli. Któż inny, jeśli nie Teresa, mógł przesłać mu cokolwiek?

– Czy nie było... Czy mógłbym także otrzymać list? – spytał.

Naczelnik uśmiechnął się.

– Nie, listu nie było, możecie mi wierzyć. Ani listu, ani nazwiska i adresu nadawcy. Ale – może nadejdzie... Spróbujcie napisać do tego, kto wam to przesłał. I niech lepiej poda swoje nazwisko przy następnej przesyłce: wtedy jest większa pewność, że paczka nie zaginie.

Barnat wymamrotał podziękowanie i wyszedł na korytarz w towarzystwie oddziałowego. Wiedział, że będzie musiał podzielić się zawartością paczki z czterema współlokatorami celi; taki był zwyczaj: oni dzielili się z nim również. Lecz chciał przekonać się uprzednio, czy ta zawartość nie kryje sama w sobie jakiegoś znaku, który by wskazywał na osobę nadawcy. Wydało mu się, że z samego doboru, z kształtu przedmiotów, z ich jakości potrafi to odgadnąć.

Rozwinął papier, przyjrzał się tekturowemu pudełku, obejrzał kolejno: grzebień, szczoteczka do zębów, kawałek mydła, puszkę „Ovomaltiny”, bulion w kostkach, torbę cukru, małą bryłkę masła,

suszone śliwki w celofanowym opakowaniu, papierosy... Papierosy, które zwykle palił – ale to niczego nie dowodziło: był to jeden z dwu najpopularniejszych gatunków.

Nie, nie było tam żadnego znaku, żadnej wskazówki, żadnego dowodu, że to wszystko przygotowała i wysłała Teresa.

Barnat i oddziałowy weszli po schodach na trzecie piętro, minęli dwa zakręty korytarza, po czym Barnat zatrzymał się u zamkniętych drzwi. Zadzwończył klucze, szczerknął zamek.

Cztery pary oczu spojrzały na Antoniego.

– Oho – powiedział ktoś z kąta celi – nasz inżynier dziś funduje.

* * *

Odtąd powierzano Barnatowi naprawy różnych instalacji, które w ciągu paru miesięcy doprowadzał do porządku, a jesienią przy pomocy pewnego włamywacza, który kończył odsiadywać karę, wyremontował kotły centralnego ogrzewania.

Remont tych kotłów, już przeznaczonych na złom, zjednał mu swego rodzaju rozgłos wskutek przychylnego raportu kierownika administracyjnego. Dyrekcja szpitala więziennego w pewnym mieście wojewódzkim uzyskała od władz zezwolenie na czasowy pobyt Barnata w tym szpitalu i zatrudnienie go tam jako instalatora. Antoni zaś z radością przyjął tę propozycję.

Potem wysyłano go do innych więzień i szpitali, nie tylko więziennych, jako sumiennego montera, któremu można było zaufać. Tym sposobem przebywał w swojej celi raczej jako przejezdny – po kilka dni lub tygodni – w przerwach między jedną a drugą robotą.

W czasie tych przerw znów wracała do niego przeszłość. Wsączała się do myśli, opanowywała je niby sen niespokojny i męczący, pełen zgiełku, pośpiechu i zamieszania. Czasem czyjś głos – jakieś obojętne pytanie lub uwaga przerywały ten rwący potok stłoczonych obrazów i doznań przeżywanych na nowo; wtedy Barnat ze zdumieniem uświadamiał sobie przygnębiającą rzeczywistość i ciszę, które go otaczały.

Cisza – więzienna cisza – nie miała nic wspólnego ze spokojem: panowała tu jak nieubłagana siła, która tłumi wszelkie zewnętrzne odgłosy, zezwalając zaledwie na te, które powtarzają się z niezmienną monotonnością wśród chłodnych murów; groziła, że będzie trwać zawsze: że zgniecie każdy bunt, każdy odruch, zdusi każdy okrzyk, niemal każde westchnienie, które miałyby ją zakłócić.

Tym głośniejszy, hałaśliwszy, gwałtowniej pędził, skakał nurt powracającej przeszłości, niemożliwy do opanowania, niezależny od nakazów woli, niepokojący, szarpiący nerwy.

Trwało to tak długo, póki Barnat nie otrzymywał nowej roboty. Zabierał się do niej z pasją, pragnąc utopić w niej wszystkie myśli, zagłuszyć, zabić wspomnienia.

Zwykle gdy wracał, czekała na niego paczka, lecz – bez listu. Kilkakrotnie postanawiał, że napisze do Teresy, ale powstrzymywała go od tego myśl o możliwości pomyłki: jeśli to nie Teresa?... Ładnie by wówczas wyglądał!

Mógł wprawdzie napisać do niej nie wspominając o przesyłkach, ale i na to się nie zdecydował. Nie chciał, aby się nad nim litowała, a na cóż więcej mógł teraz liczyć? Skoro sama nie pisała do niego, to zapewne nie oczekiwała tego od niego. Miała prawo uważać, że wszystko już między nimi skończone. Lecz – w takim razie – kto wysyłał te paczki?

Rozdział XIV

Przedterminowe zwolnienie po odbyciu połowy kary było dla Barnata zdumiewającą niespodzianką. Wprawdzie adwokat, który go bronił w czasie przewodu sądowego, powiadomił go, że składa podanie w tej sprawie, ale Antoni bynajmniej nie liczył na pomyślny wynik tych starań, a w żadnym już razie na skutek tak szybki.

I oto nagle znalazł się na ulicy sam, bez straży, przeszedłszy po raz pierwszy bramę, z której zawsze dotąd wyjeżdżał więziennym samochodem. Gdy żelazna furtka w owej bramie zatrzasnęła się teraz za nim, w pierwszej chwili nie wiedział, dokąd idzie.

Nie obejrzał się jednak ani razu. Szedł wprost przed siebie wzdłuż muru z czerwonej cegły, trochę jeszcze oszołomiony, mrużąc oczy od słońca, które pyszniło się na błękitnym, bezchmurnym niebie. Skręcił w jakąś bardziej ożywioną przecznicę i zobaczył tramwaj zatrzymujący się na przystanku.

Mógł pojechać tramwajem! Niezwłocznie z tego skorzystał, nie troszcząc się, dokąd jedzie. Miał pieniądze, które wypłacono mu przed opuszczeniem więzienia, ale nie wiedział, ile się płaci za przejazd. Nie chciał o to pytać, więc zczekał, aż ktoś zapłaci przed nim. Nie chciał zdradzić się z niezajomością takich drobiazgów – z niezajomością spraw codziennego życia, w którym od przeszło trzech lat prawie nie brał udziału. Powściągał zaniepokojenie ludźmi, ruchem miejskim, ulicami, sklepami – całym otoczeniem, które ogarnęło go nagle na nowo.

Wysiadł na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich z Nowym Światem i szedł w stronę Krakowskiego Przedmieścia, przystając raz po raz, aby patrzeć na świeżo wykończone domy, na stylowe latarnie, na wystawy sklepów, na szyldy. „Warszawska Spółdzielnia Spożywców”, „Spółdzielnia Pracy”, „Miejski Handel Detaliczny”, „Gospoda” – to były nazwy znane mu tylko z gazet, podobnie jak z gazet znał ten Nowy Świat i nowe wozy tramwajowe, i nowe samochody, i trasę W-Z, i wiadukt, pałac Pod Blachą, Mariensztat, most Śląsko-dąbrowski, bulwar nad Wisłą.

Mógł wreszcie zobaczyć to wszystko. A przecież rosła także Nowa Huta i Częstochowa, i budujący się Żerań, i dziesiątki nowych fabryk, i polskie statki, i porty, i szkoły, i teatry!

Przypomniał sobie, co o tym niegdyś mówił Cermer i co on sam często powtarzał: „Jeżeli przyjdą maszyny, kapitał zagraniczny, amerykańskie metody techniczne, to może za dziesięć lat...” I oto pomoc przyszła, lecz nie z Zachodu, a ci, co „porwali się z motyką na słońce” czy też chcieli z łopatami i wózkami w jedną szkapę odbudować Warszawę – dokonali tego dzieła, uruchomili przemysł, wypłynęli na morze własnymi statkami z polskich stoczni, stworzyli własne metody pracy, nie wzorowane na metodach kapitalistycznych.

Prawda – były jeszcze ruiny, ale rosły wśród nich wielkie nowoczesne bloki, osiedla, całe nowe dzielnice! Zapragnął obejrzeć je również, przekonać się naocznie o tym zawrotnym tempie pracy, spojrzeć w twarze robotników, budowniczych i inżynierów, zobaczyć owe „trójki” murarskie, zobaczyć wyciągi, podajniki, mieszarki, buldożery – całą tę zmechanizowaną robotę, którą rozpętały uparci, twardzi ludzie zaopatrzeni przed paru laty jedynie w motyki i jednokonne wózki do wywożenia gruzu.

Jeździł po całym mieście tramwajami i autobusami, kręcił się po budowach, błądził po ulicach, które dobrze znał dawniej, a których wygląd zmienił się tak bardzo. W końcu zmęczony i głodny wstąpił na późny obiad, po czym pojechał do swego dawnego „pokoju przy rodzinie”, aby odzyskać pozostałe tam rzeczy.

Była właścicielka obszernego mieszkania przyjęła go jak męczennika sprawy narodowej powracającego z zesłania. Musiał potem wysłuchać całej powodzi skarg i utyskiwań, plotek oraz „wiadomości dobrych albo złych, ale zawsze prawdziwych” zza oceanu, które powierzono mu wraz z komentarzami ukutymi już na miejscu, w modnych kawiarniach i na „bridżach” w kole znajomych pani domu. Wypytywano go o „męki”, które zapewne przeszedł, lecz gdy oświadczył, że nikt się nad nim nie znęcał i że przeważnie pracował z dobrej woli poza więzieniem – zapadło pełne wątpliwości, podejrzliwe milczenie. Wtedy wreszcie mógł wyjawic cel swojej wizyty, co zostało przyjęte niemal jak obelga.

Jego rzeczy? Chyba nie wyobrażał sobie, że będą przechowywane przez kilka lat! Zresztą różne cenniejsze drobiazgi musiały zginąć podczas rewizji, a reszta...

– Resztę oddaliśmy towarzystwu „Caritas” – dla biednych. Mam nawet pokwitowanie.

Zaczęła szukać owego pokwitowania, ale bezskutecznie, Barnat zaś nie miał zamiaru czekać na próżno. Pożegnał ją chłodno i wyszedł przejęty pogardą i niesmakiem.

Jechał do Gdyni przepełnionym dziennym pociągiem osobowym, trzecią klasą. Zasłonił się gazetą, spoza której przyglądał się ludziom i słuchał ich rozmów. Ciekawiły go, jak zresztą wszystko, co go teraz otaczało i co docierało do jego świadomości. Był spragniony tego świata, od którego oddzielał go przeszło trzyletni okres izolacji. Zwykłe ludzkie troski i radości wydawały mu się godne uwagi i zajmujące.

Wprawdzie przebywał z nimi także poza murami więzienia, lecz nie stykał się właściwie z ludźmi żyjącymi na wolności, jak ci, którzy oto jechali do swych rodzin, do pracy lub na odpoczynek, wracali z wczasów, podróżowali w jakichś zwyczajnych, lecz dla niego zgoła niecodziennych sprawach.

Szczególnie chciwie chwytał rozmowy o morzu, o portach, stoczniach i statkach, a także o ludziach, którzy mieli z nimi do czynienia. Nasłuchiwał, czy nie padnie jakieś znajome nazwisko, czy nie dojdzie go przypadkowa wiadomość łącząca przeszłość z chwilą obecną.

Młody, dwudziestoparoletni chłopak, drobny, piegowaty, ze sterczącymi jasnymi włosami, które w żaden sposób nie chciały leżeć gładko na jego ruchliwej, jakby ptasiej głowie, o wesołych oczach, osadzonych blisko siebie, opowiadał dwóm dziewczętom w studenckich czapkach jakieś zdumiewające rzeczy o niemieckim okręcie liniowym „Gneisenau”.

Wszyscy troje stali na korytarzu; dziewczęta raz po raz śmiały się głośno lub z niedowierzaniem i widocznym zaciekawieniem wypytywały piegowatego młodzieńca o jego przygody, on zaś rozprawiał ze swadą, podkreślając opowiadanie żywą gestykulacją i zabawną mimiką.

– „Gneisenau”! – wykrzyknął. – Tak się nazywał, proszę was, jeden ich hrabia, który w austriackiej marynarce służył i, ma się rozumieć, był admirałem. No, to on ma przeszło ćwierć kilometra długości.

– Ten hrabia? – parsknęła śmiechem czarnooka dziewczyna o smagłej cerze.

– E, tam hrabia! – odrzekł chłopak niez mieszanym bynajmniej tym pytaniem. – Hrabia był krótszy. Może taki jak ja albo jak panna Jadzia. Tylko nie talki ładny – dodał spoglądając na blondynkę, która z udaną dumą pokwitowała ten wątpliwy komplement, skłaniając lekko głowę. – Nie znałem go, to nie wiem. Ale okręt, mówię. Dwieście pięćdziesiąt osiem metrów!

– No, ale co się właściwie stało z tą grodzią? – spytała blondynka.

– A – z grodzią? No więc jak już wypompowali wodę do połowy, zaczęła się na mnie pchać. O tak! – pokazał wypinając brzuch. – A nas tam było sześciu ludzi! W skafandrach! Każdy miał na sobie osiemdziesiąt kilo ekwipunku... I do wyjścia dobrych parę pięt. To tak jakby na przykład kto chciał z mieszkania w środku sześciopiętrowej kamienicy wynieść na dach rodzoną ciotkę z uwiązanym do niej gumowym węzem, tak ze dwieście metrów długim. W dodatku po ciemku! No?

Dziewczęta zaśmiały się z owej „ciotki z gumowym węzem”. Barnat uśmiechnął się także i odłożywszy gazetę wyszedł na korytarz, aby zapalić papierosa. Pomyślał, że ten zabawny chłopak jest z pewnością nurkiem, nawet jeśli wymyślił całą tę historię. Przyjrzał mu się uważniej, lecz doszedł do przekonania, że nigdy go nie widział. Natomiast koleżanka czy też przyjaciółka Jadwigi – ta z ciemnymi oczyma – wydała mu się znajoma. Raz i drugi spotkał jej spojrzenie, przy czym zauważył silniejszy rumieniec na jej miłej, nieco jeszcze dziecinnej twarzy. To go upewniło, że już gdzieś ją spotkał, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Tymczasem młody nurek opowiadał dalej, że zaalarmował telefonicznie kierownika robót na statku ratowniczym i że wszyscy wycofali się z zagrożonego pomieszczenia, które natychmiast zostało z powrotem zatopione.

– Wgniotłoby tę grodz jak nic – dodał. – A nas by sprasowało jak śliwki, gdyby nie kapitan Jakus.

Barnat drgnął usłyszawszy to nazwisko. Przez chwilę szukał w pamięci: kto to był Jakus?

– Aha! – przypomniał sobie. – Mąż tej – Sabiny!

Nagle stanął mu przed oczyma ów letni wieczór, kiedy to we dwoje z Teresą robili porządki w mieszkaniu opuszczonym przez Sabinę Jakusową, a potem – późnym wieczorem – szli w stronę Kamiennej Góry i Teresa...

– Pan jest chyba Antoni Barnat – powiedział ktoś do niego. – Prawda, że się nie mylę?

Antoni – zaskoczony tym pytaniem – podniósł wzrok i zobaczył dwoje ciemnych, prawie czarnych oczu, które spoglądały ciekawie i trochę niepewnie.

– Tak – odrzekł. – Nie myli się pani. Ale...

– Ja się nazywam Piechówna.

– Marysia! – wykrzyknął poznając ją wreszcie. – Od razu wiedziałem, że cię... że panią skądś znam.

– Ale wtedy byłam taka – roześmiała się. – To przecież chyba z pięć, nie: już więcej niż sześć lat temu...

– Sześć lat – potwierdził. – Była pani małą ładną dziewczyneczką z warkoczykami, a teraz – spojrzał na jej zarumienioną twarz – teraz wyrosła pani na dużą ładną pannę. Co robi Józek?

– Ojciec pracuje w Dalmorze – odpowiedziała. – Jest teraz kierownikiem warsztatu.

Obejrzała się na swoich towarzyszy.

– To jest moja koleżanka, Tatarówna, a to nasz znajomy, Władysław Habza – przedstawiła ich Barnatowi.

– Kolega po fachu – uśmiechnął się Antoni podając rękę Habzie.

– O – zdziwił się tamten. – Jesteście nurkiem?

– Byłem nurkiem przez kilka lat. Teraz wracam... Teraz chcę się rozejrzeć za jakąś pracą.

– To was przecie od razu przyjmą do P.R.O. Ja w zeszłym roku skończyłem kurs i już mnie Jakus wziął na „Gneisenau”, a co dopiero was!

– Naprawdę podnosicie „Gneisenau”? – spytał Barnat.

Habza spojrzał na niego zdziwiony.

– To nie wiecie? Podniesiemy go, drania. Jakus da mu radę, zobaczycie!

– A co to jest P.R.O.? – spytał znów Antoni.

– Jak to co? – zdumiał się tamten. – Przecież... Mówicie, że jesteście nurkiem, a pytacie o P.R.O.?

Barnat niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Nie było mnie tu prawie cztery lata – odparł podrażniony. – A ostatnim razem byłem pod wodą w czterdziestym piątym roku, w marcu.

– I wtedy założył minę zegarową na niemieckim statku „Adlemest” – powiedziała dobitnie Maria patrząc na Habzę pałającymi oczyma. – I nazywał się „Szaleniec”! Teraz już wiecie?!

Habza zacisnął powieki i podniósłszy ręce do góry przykucał coraz niżej pod ciosami tych słów, ale natychmiast poderwał się na równe nogi.

– O rany! – westchnął z żalnością. – Skąd ja miałem wiedzieć, że wy jesteście „Szaleniec”? I co ja znów takiego powiedziałem? Sami powiedzcie... Czego ona na mnie krzyczy?

– P.R.O. to jest Polskie Ratownictwo Okrętowe – wtrąciła Jadwiga patrząc z podziwem na Barnata, który usiłował pokryć uśmiechem zmieszanie.

Było mu głupio. Ta dziewczyna, Maria, ten sympatyczny wesoły chłopak – uważali go za bohatera. Została tu po nim legenda, w którą mógł się odziać, którą mógł osłonić twarz, jak maską. Nie znali go. Nie wiedzieli, jak i gdzie spędził lata dzielące chwilę obecną od owej ostatniej akcji na „Adlernest”, która uczyniła go sławnym, przynajmniej w ich oczach. Nie wiedzieli, że poszedł na dno i stał się wrakiem. Wzięli go za kogoś innego – za „Szaleńca”.

Lecz czyż miał im krzyknąć wprost w oczy prawdę? Czy miał ją odkrywać każdemu, kto o niej nie wiedział? Ile takich spotkań czeka go teraz, gdy wróci?

Maria dotknęła jego ramienia.

– Słyszysz pan? To będzie nadzwyczajne!

– Co? – spytał, jak zbudzony z przykrego snu.

– Władek mówi, że kapitan Jakus przyjmie pana z otwartymi ramionami.

– O-jej – uśmiechnął się z przymusem. – Dlaczego?

– No bo mają podnosić „Adlernest”, a pan przecież sam... Pan jest tutaj jedynym człowiekiem, który zna ten statek.

Barnat patrzył na nią jak urzeczony.

– Mają podnieść „Adlernest”? – powtórzył wolno. – To... – nagle zabrakło mu tchu. – To rzeczywiście byłoby nadzwyczajne – skończył z wysiłkiem.

POCZĄTEK DROGI

Rozdział XV

Antoni Barnat zatrzymał się dopiero u samego skraju piaszczystego wybrzeża i objął wzrokiem rozległy horyzont. Słońce stało nisko nad łądem, wprost za nim, ciemnoczerwone, stygnące, jakby pozbawione siły promieniowania. Mogło się zdawać, że zgaśnie, zanim jeszcze opuści niebo, porzucając atlasowy płaszcz chmur mieniący się purpurą i fioletem.

Morze było gładkie, bez najlżejszych zmarszczek, a niska fala biegła cicho i sennie, wzdymając mglistą linię widnokregu jak lśniący popielaty jedwab. Kojąca cisza – jakże różna od surowej, bezlitosnej ciszy więzienia – ścieliła się na wodzie i wpełzała na brzeg coraz głębiej, podszyta łagodnym szeptem fal powierzających jakieś tajemnice piaszczystem wydmom. Czasem tylko od strony miasta nadlatywał stłumiony zgiełk i gwar; rozpraszał się w powietrzu, konał, a cisza odepchnięta tym hałasem przypływała znów z morza, które ciemniało wraz z niebem.

Potem, gdy ogromna miedziana tarcza zapadła za poczerwiałe lesiste wzgórza, a niebo przestało krwawić, księżyc zabłąkany wśród wieczornych obłoków wyjrzał spoza nich, nabrawszy już blasku, i rozpostarł na wodzie cienką warstwę srebra. Noc zstępowała na ziemię i na morze odbierając wszystkim przedmiotom ichienne barwy i zacierając kształty wśród czerni cieniów i księżycowego srebra.

Pochłodziło. Lekka bryza podniosła się od zachodu i zbłądziła uśpione liście drzew.

Antoni stał i patrzył. Na północy, tuż ponad horyzontem błyskał raz po raz biały promień latarni morskiej w Rozewiu. O kilka mil dalej na zachód na dnie morza spoczywał wrak m/s „Adlerness”. Wrak statku, który zatonął nieomal pod jego nogami... Wyobrażał sobie jego wyniosły kadłub z piętrzącymi się pokładami kajutowymi, nieruchomy, pochylony na burtę, głęboko uwięziony w piasku. Nad otwartymi lukami poprzez trzydziestometrową głębokość przelewa się mdłe, matowe światło, niezdolne rozproszyć grobowych ciemności. Jakieś zabłąkane prądy kołyszą lekko luźnymi fałdami u masztów na pokładzie, a wewnątrz – w ładowniach, w salonach i kajutach, w korytarzach, na schodniach, w maszynie – kołysze się do taktu wraz z nimi czereda martwych ciał topielców... Żaden dźwięk nie płoszy śmiertelnej ciszy. Nie dochodzi tu ani wycie wiatru, ani huk sztormu, ani szum śruby statku, który czasem przepływa wysoko w górze nad nie oznaczonym, nieszkodliwym wrakiem. Nadbudówki i burty porasta zielony, włochaty, oślizły kozuch wodorostów, a zapomnienie staje się jego udziałem.

„Pan jest jedynym człowiekiem, który zna ten statek” – powiedziała Marysia Piechówna.

Tak było istotnie: tylko on znał rozkład pokładów, ładowni, pomieszczeń, hali maszyn. Tylko on wiedział, jak i dlaczego „Adlerness” poszedł na dno. Tylko on mógł udzielić cennych wskazówek przy opracowaniu planu robót ratowniczych.

Zwolna odwrócił się i zaczął iść ku światłom latarni ulicznych, które tworzyły już bladą lunę nad dachami domów.

Można by na tym sporo zarobić – pomyślał przelotnie. – Można by się odegrać, przynajmniej na początek.

Lecz w ślad za tą pierwszą myślą napłynęły inne. Los podsuwał mu jeszcze jedną okazję. Mógł przyczynić się do podniesienia tego pięknego statku, do przywrócenia mu życia. Mógł znowu zdobyć szacunek tych ludzi, których niegdyś porzucił. Mógł odzyskać Teresę!

Był jakby na rozstaju dróg, z których jedną należało wybrać. Nie powziął jeszcze decyzji.

Na samą myśl o tym, że mógłby zostać potraktowany jak nawrócony grzesznik, jak syn marnotrawny czy też jak nicpoń, któremu przetrzepano skórę i pozwolono wrócić na drogę cnoty – przechodziły go ciarki. Lecz myśl o powrocie do środowiska Cermerów i Nieświatłowskich – do środowiska, którego przedsmak dała mu rozmowa z właścicielką jego sublokatorskiego pokoju w Warszawie – myśl o powrocie w fałszywej glorii ofiary nowego ustroju społecznego – napełniała go obrzydzeniem.

Gdybyż można wymazać z pamięci ludzkiej zarówno te lata, w których powstał jego przydomek „Szaleniec”, jak i te, w których pochłaniała go walka i współzawodnictwo z rekinami spekulacji! Gdyby mógł rozpocząć wszystko od nowa jako nikomu nie znany Antoni Barnat, człowiek bez przeszłości!

Wzruszył ramionami.

– Pobożne życzenie! – mruknął. – Niech to wszyscy diabli...

Ktoś obejrzał się za nim. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że rozprawia półgłosem idąc ulicami i potrącając przechodniów.

Zatrzymał się i zapalił papierosa. Rozejrzał się. Był w pobliżu placu Kaszubskiego, pośród ruchliwego tłumu przechodniów, pędzących samochodów, trolejbusów i wozów konnych. Stał na wprost muru, przez który kiedyś wraz z Bronkiem Cybulskim umknęli przed niemieckim patrolem policyjnym.

To też był początek drogi – pomyślał z nikłym uśmiechem.

Spojrzał w głąb ulicy. Tam za pierwszą przecznicą było mieszkanie' Teresy odziedziczone po Sabinie Jakusowej. Nie wiedział nawet, czy Teresa jeszcze tam mieszka, lecz serce zaczęło mu bić spiesznie, jakby miał ją za chwilę ujrzeć. Machinalnie, bez zastanowienia, bez jakiegoś określonego celu ruszył w tamtą stronę. Wszystkie inne myśli rozwiały się, opadły jak liście zmiecione gwałtownym wichrem.

Szedł jak we śnie – jak w tych snach o niej, które dręczyły go w więzieniu – i doznawał podobnych uczuć: obawy i nadziei, niepewności i tęsknoty.

Nagle tuż obok usłyszał jej śmiech i jakieś słowa wyrzeczone do kogoś, kto niemal otarł się o niego u skraju chodnika. Uderzyło to w niego jak prąd elektryczny; aż się zatoczył.

Minęli go już i teraz przechodzili przez jezdnię na drugą stronę ulicy. Teresa w jasnym wiosennym płaszczu i jakiś młody, znacznie młodszy od Antoniego mężczyzna.

Bronek? – pomyślał Barnat.

Nie, to nie był Bronek. Miał szczupłą, podłużną twarz spaloną słońcem i kędzierzawe, wijące się czarne włosy. Był drobny, niewiele wyższy od Teresy, lecz robił wrażenie zręcznego i silnego. Antoni go nie znał, to pewne.

Szli trzymając się za ręce, widocznie zajęci wyłącznie sobą nawzajem. Oddalali się coraz bardziej, podczas gdy on stał znów jak w tych okrutnych snach – z zamierającym sercem, przejęty rozpaczą, że oto lada chwila straci ją z oczu.

Wreszcie uświadomił sobie, że to przecież nie sen i opanowawszy się ruszył za nimi. Przechodnie, oddział maszerujących żołnierzy, a potem samochód ciężarowy z dwiema przyczepami i jeszcze jakieś wozy zagroziły mu drogę. Wymijał je w pośpiechu i w końcu dotarł na przeciwległy chodnik, zatłoczony ludźmi oczekującymi na autobus.

Spojrzał ponad głowami tłumu. W świetle latarni dostrzegł ich stojących przed drzwiami domu, w którym mieszkała Teresa. Stali naprzeciw siebie, a profile ich twarzy odcinały się wyraźnie na tle ciemnej ściany. Patrzyli sobie w oczy i Antoni zrozumiał natychmiast, że jest to chwila pożegnania przed rozstaniem dwojga zakochanych.

Odwrócił wzrok. Jakiś ogromny ciężar zwałił mu się na piersi. Przyszło mu na myśl, że złe sny sprawdzają się i że nie ma dla niego powrotu.

– Jestem wolny – powiedział sobie z goryczą. – Tak jak chciałem... – No – trudno.

Wzbierała już w nim zawziętość przeciw własnemu żalowi, przeciw Teresie i temu młodzikowi, który zajął jego miejsce,

Nie, to nie! – pomyślał. – Nie umiera się od tego.

Zapalił nowego papierosa i ruszył przed siebie, dźwigając z udaną niedbałością ten ciężar nieodwołalnych faktów, które zwały się na niego u rozstajnych dróg, zanim jeszcze mógł dokonać wyboru jednej z nich.

* * *

Nie wiedział właściwie, dokąd ma pójść, lecz ujrawszy światła przyćmione zasłonami w oknach jakiegoś lokalu z jaskrawym neonowym napisem „Dancing-Bar”, wszedł tam bez wahania.

Od trzech lat nie przełknął ani kieliszka alkoholu i z początku odczuwał brak tej podniety bardzo dotkliwie, ponieważ przedtem pił dużo i często. Lecz w więzieniu siłą rzeczy pozbył się tego przyzwyczajenia, które mogło przejść w nałóg, gdyby nie radykalna przerwa, jaką narzuciły mu okoliczności niezależne od jego chęci i woli. Teraz nagle zapragnął odurzenia myśli i podniety zmysłów, której nie doświadczał tak dawno. Chciał odsunąć dręczące go wątpliwości, oderwać się od rzeczywistości, zalać, znieczulić ten pierwszy dotkliwy zawód, który przeżył przed chwilą; zapomnieć o Teresie.

Znał dawniej ten lokal, nie cieszący się zresztą wówczas dobrą sławą. Niewiele się tu zmieniło. Pora była stosunkowo wczesna i zaledwie kilka osób siedziało na głównej sali przy stolikach otaczających niewielki krąg posadzki u stóp podwyższenia przeznaczonego dla orkiestry. Przy bufecie w bocznej wnęce ziewali kelnerzy w białych, niezbyt czystych płóciennych marynarkach. Kasjerka o obfitych kształtach malowała sobie grube wargi w kształt serduszka, wykrzywiając twarz przed lustrem. Przez otwór wycięty w drzwiach do kuchni słychać było kłótlive głosy i szcęk naczyń. Przenikały stamtąd zapachy smażonego tłuszczu i gotujących się potraw.

Antoni skierował się do drugiej, mniejszej i znacznie niższej sali, za którą był jeszcze jeden bufet, zaopatrzone już tylko w trunki, słodycze i kawę z „expressu”. Usiadł pod ścianą, w środkowej „łóż” oddzielonej od dwu sąsiednich przepierzeniami nie sięgającymi sufitu. Prawie natychmiast podszedł do niego kelner o długiej, bladej twarzy z zaczerwienionym nosem, która wydała się Barnatowi znajoma.

Kelner poznał go natychmiast i błysnął złotymi zębami w usługowym, przypoehlebnym uśmiechu, nie pozbawionym odcienia pewnej poufałości.

– Uszanowanie panu dyrektorowi. Strasznie dawno pan dyrektor u nas nie był.

– A tak – odrzekł Barnat. – Przeszło trzy lata. Jakże się wam teraz powodzi? – spytał bez większego zainteresowania.

Kelner pogardliwie wzruszył ramionami.

– Nie te czasy, panie dyrektorze. Demokracja! Pan dyrektor sam jeden?

– Sam na razie. Cóż pan o tej demokracji? Złe pan zarabia?

– Nawet nie to, panie dyrektorze, ale... – pochylił się konfidencjonalnie i zniżył głos. – Komu się podaje, proszę szanownego pana? Komu?! Nie ta publika co dawniej. Hołota, panie dyrektorze...

Wyprostował się, podał kartę potraw.

– Radziłbym polędwiczkę albo coś z drobiu. A tymczasem? Ćwiarteczkę wyborowej? Przekąski świeże? Sandaczyk w majonezie, łosoś, szyneczka?

Barnatowi było wszystko jedno.

– W takim razie majonez – zdecydował kelner. – Majonez mamy faktycznie prima. Sam kierownik go doprawia.

Odwrócił głowę w stronę bufetu.

– Sandacz-majonez raz, ćwiartka eksportowej, pieczywo, maselko! – zawołał.

– Któż to u was jest kierownikiem? – spytał Antoni. – Przecież tu była właścicielka... Jakże jej tam?...

Kelner skrzywił twarz w uśmiechu na pół ironicznym, na pół żalonym.

– Nie te czasy, panie dyrektorze – powtórzył. – Uspołecznili nas; należymy do „Gastronoma”. Ale kierownika pan dyrektor będzie znał: swój człowiek – pan Stachurski.

– Stachurski? – zdziwił się Barnat. – No, no!

W tej chwili Stachurski ukazał się we własnej osobie w drzwiach kuchni. Trochę przytył, lecz mimo to policzki zwisały mu bardziej jeszcze niż dawniej.

Obrzucił salę majestatycznym spojrzeniem i zatrzymał je na Barnacie.

– Kogo ja widzę! – ucieszył się niemal szczerze. – Dyrektora kochanego, kopę lat, że tak powiem...

Potrząsnął ręką Antoniego, który wskazał mu krzesło.

– Siadaj pan ze mną.

– Jeden momencik – odrzekł. – Panie Stasiu – zwrócił się do kelnera – powiedz pan tam w kuchni – no, już pan wie, że tak powiem. I tego... i daj pan tu pół litra, i ma się rozumieć sandacza. Pan dyrektor Barnat, że tak powiem, jest dziś moim prywatnym gościem, o!

Zasiadł wygodnie i gdy kelner oddalił się, aby wykonać jego polecenia, przyjrzał się Antoniemu uważnie.

– Niech mnie diabli wezmą, wygląda pan doskonale. Nie to co ja...

– Daj pan spokój – mruknął Barnat. – Wie pan chyba, skąd wracam?

Stachurski machnął ręką.

– Nie pan pierwszy i nie ostatni. Zresztą, mało kto wie o tym. Może się pan nie krępować. Kiedy pan wrócił?

– Dziś – odrzekł Antoni. Stachurski ożywił się nagle.

– Nikt się tu pana nie spodziewa. Ale i ja mam dla pana niespodziankę, że tak powiem. Będzie tu trochę później... Zgadnij pan kto?

– Irena?

– Właśnie! Często się o pana dopytywała. Pracuje teraz w Gdyni.

– Pracuje? Jak pan to rozumie?

Brzuch Stachurskiego zatrzęsł się od śmiechu.

– Zwyczajnie, że tak powiem. Wszystkich nas zagnali do pracy.

Zaczął opowiadać kolejno o dawnych znajomych. Każdy jakoś się urządził. Narzekają, ale żyją. Robią nawet od czasu do czasu jakieś interesy. Nieświatłowski jest dziennikarzem (Pomyśl pan tylko!). Cermer podstawivszy dwóch kierowców otrzymał koncesję na transport samochodowy i nawet nieźle mu idzie: kupił dwa wozy z przyczepami, szoferom płaci 25 procent czystego zysku, a reszta zostaje dla niego. Ktoś tam zaczepił się przy Centrali Rybnej, ktoś inny znów przy skupie rzepaku, a jeszcze ktoś ulokował sporo pieniędzy w maszynach dziewiarskich i założył spółdzielnię pracy.

– Zawsze się przy tym okroi trochę surowca, że tak powiem, i ludziska sobie radzą. A ja – rozłożył pulchne ręce – jak pan widzi... Tyle, że się czasem coś trafi i można parę złotych dorobić.

Podano im tymczasem przekąski i wódkę. Barnat wypił od razu parę dużych kieliszków i słuchał z roztargnieniem dalszego ciągu opowiadania Stachurskiego, który z kolei wyliczał nazwiska tych, którzy „wpadli”, „wyszli” lub „siedzą”.

Przetrzebili ich – pomyślał bez współczucia i nawet z odcieniem pogardliwego zadowolenia.

Wróciła mu zwykła pewność siebie: pojął, że w oczach tych ludzi więzienie jest tylko jednym z elementów ryzyka – czynnikiem, który bierze się pod uwagę przy kalkulacji handlowej. Zauważył, że Stachurski traktuje przedterminowe jego zwolnienie z niejakim podziwem; jakby to był dowód sprytu z jego strony, iż nie odbył całej kary. Taki pogląd aferzysty kutego na cztery nogi dogadzał mu w tej chwili: myślą o nim, że wprawdzie potknął się jak wielu spośród nich, ale nie upadł; wywinął się z tej kabały mniejszym kosztem niż inni. Wolał, żeby tak przypuszczali, niż aby mu wyrażali współczucie, którym gardził.

* * *

Paru znajomych przysiadło się do ich stolika, a kiedy zjawiała się Irena w towarzystwie Nieświatłowskiego i jakiegoś młodego człowieka, który zachowywał się milcząco i wyniośle. Barnat był w swej „najlepszej formie” – taki, jakim go znali u szczytu powodzenia.

Chwytał Irenę w ramiona i ucałował ją w oba policzki, czemu się zresztą bynajmniej nie opierała. Wszyscy się śmiali i klaskali. Cermer, który nadszedł wcześniej, zamówił nową butelkę i wzniosł zdrowie Antoniego. Tylko ów młody człowiek uśmiechał się z przymusem, a jego spojrzenie, ciężkie jak cios siekierą, spadało raz po raz to na Irenę, to na Barnata.

Ona zauważyła to wkrótce.

– To mój narzeczony – szepnęła Antoniemu. – Jest o mnie szatańsko zazdrosny... – zaśmiała się cicho.

Barnat spojrział na niego uważniej. Ten człowiek wydał mu się doskonale przeciętny: miał pospolitą twarz, pospolite rysy i głos. Był średniego wzrostu, przeciętnej budowy. Oczy miał zwykłego niebieskiego koloru i włosy o odcieniu najczęściej spotykanym. Nie było w nim na pozór nic szczególnie pociągającego lub odpychającego. Tylko ten wymuszony uśmiech i jakiś nieodgadniony wyraz błakający się dokoła jego wąskich warg – wyraz, który jak gdyby przesłaniał jego utajone myśli – budził rodzaj niepewności czy też niepokoju.

Antoni zauważył, że Irena mówi coś o nim swemu narzeczonemu.

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi – dosłyszał ostatnie zdanie.

– Widzę to – odrzekł tamten, a ów nikły, nieokreślony uśmiech zamknął to stwierdzenie jak pieczęć ukrywająca właściwe znaczenie tych słów.

Orkiestra zaczęła grać i ze wszystkich stron ruszyły pary cisnąc się w przejściu ku głównej sali. Irena z narzeczonym przeszli za plecami Barnata.

Poczuł jej dłoń na swym ramieniu i uścisk palców. Obejrzał się za nią i pochwycił jej spojrzenie, które wlało mu w żyły ogień. Na chwilę przestał słyszeć gwar i hałaśliwe dźwięki fokstrota. Objęła go nagła, gorąca cisza, a potem krew zaszumiała mu w uszach. Zaciśnął szczęki i przymknął powieki, aby się opanować.

– Spokojnie, Antoni, spokojnie – powtarzał w myśli, jak niegdyś wśród gorączkowej akcji, kiedy od jego spokoju i rozważliwych decyzji zależał wynik niebezpiecznego zadania.

Pochylił się ku Stachurskiemu.

– Kto to jest ten jej „narzeczony”? – spytał.

– Kolega biurowy, że tak powiem – odrzekł Stachurski. – Nazywa się Paluch. Szef wydziału czy coś w tym rodzaju. Ale to tylko ona mówi, że on jest jej narzeczoną – zaśmiał się krótko.

Barnat odwrócił się i szukał ich wzrokiem wśród tańczących.

Przyszło mu na myśl, że przeszłość – ta sprzed trzech lat – wraca i zagarnia go z sobą jak fala cofająca się od brzegu, ale wzruszył lekceważąco ramionami. Teraz przecież nie dałaby mu rady po tym, co przeżył, co przemyślał, co sobie uświadomił w ciągu owych trzech lat!

No, więc co ja tu robię wśród tych ludzi? – zadał sobie pytanie.

– Żyją z sobą jak pies z kotem – mówił dalej Stachurski. – Kłócą się, rozchodzą i znów się godzą przynajmniej ze dwa, trzy razy na miesiąc. Nie wiem, co ona ma w tym za interes, żeby go trzymać przy sobie, bo to nie żadna wielka figura ten facet. - A ona nim kręci, że tak powiem. No, sprytu to jej nie brakuje, więc coś z tego musi mieć.

Nieświatłowski, któremu spieszno było do kieliszka, przerwał te informacje.

– Rekwiruje nam pan dyrektora, panie Franciszku, a my się chcemy z nim napić – powiedział sepleniąc.

Barnat spojrział na niego pogardliwie. Był zły na siebie, że tak łatwo przystał do całej tej kompanii, ale jakoś nie umiał zdobyć się na natychmiastowy odwrót.

– My – to kto jeszcze oprócz pana? – spytał. Nieświatłowski podciągnął w uśmiechu górną wargę z nastroszonym rudym wąsikiem i przymknął rybie oczy.

– Anielska kobieta – oświadczył skłaniając swą lisią głowę przed blondynką siedzącą na wprost Barnata. – Pani Tito, zdrowie pani – rzekł kładąc lewą rękę na sercu, a prawą ujmując kieliszek.

Antoni nie wiedział, kim jest pani Tita, jakkolwiek ktoś go jej przedstawił. Dopiero teraz zwrócił na nią uwagę. Była istotnie „anielska”, jeśli do kategorii cech anielskich można zaliczyć mdłą słodycz melancholijnej, niewinnej twarzy wśród falujących, bardzo jasnych włosów.

Na pierwszy rzut oka wyglądała nieco po staroświecku w czarnej sukni z jakimiś koronkami, spośród których wyłaniała się jej alabastrowobiała szyja. Żywy kontrast z jej jasną cerą stanowiły śliczne, bardzo czerwone, samolubne usta, a zielonkawe jasne oczy zdawały się tonąć w marzeniach, lecz tylko tak długo, póki przesłaniała je rzęsami. Gdy podnosiła wzrok, te oczy stawały się badawcze i ciekawe, niemal natrętne. Szpeciło ją tylko czoło. Antoni zauważył, że jest wypukłe i poprzecinane licznymi poziomymi zmarszczkami, zdradzając niemądry upór i ciasny, ograniczony umysł.

Zaprosił ją do tańca i po dziesięciu minutach wiedział już, że jest żoną kapitana marynarki handlowej, Lenkiewicza, że mąż jej pływa na jednym ze statków linii polsko-chińskiej i że właśnie

przed tygodniem wyruszył w podróż. Irena Auber była jej „najlepszą” przyjaciółką, lecz – jak się okazało po następnych pięciu minutach – pani Tita do „najlepszych” przyjaciółek zaliczała również Sabinę Jakusową, jakąś Geniutę i tuzin innych. Znała całą marynarkę handlową i „całą Gdynię”. Mówiła szybko i zawsze tylko o sobie lub w związku z własną osobą.

Ładna i głupia gęś – pomyślał o niej.

Zabrał ją do bufetu na kawę i jakiś likier, a potem znów tańczyli lub raczej dreptali przytuleni do siebie w nieprawdopodobnym ścisku na środku niewielkiego kręgu posadzki.

Mieszanina trunków szumiała mu w głowie. Przestał myśleć zarówno o przeszłości, jak o przyszłości.

– Muszę się przecież trochę zabawić – powiedział sobie. – To mnie do niczego nie zobowiązuje.

Kilkakrotnie spotkał gniewne spojrzenie Ireny, która nadal tańczyła tylko z „narzeczonym”. Uśmiechnął się bezczelnie, nic sobie nie robiąc z jej dąsów.

„Nie myśl, że będę do ciebie wzdychał” – mówił ten uśmiech.

Po północy wszyscy już byli mocno podchmieleni, a Nieświatłowski zupełnie pijany spał w kącie łoży. Stachurski kręcił się niespokojnie: powinien był zamknąć lokal, lecz Cermer usiłował przekupić orkiestrę, która zbierała już instrumenty, a podpici goście protestowali przeciw zakończeniu zabawy o tak wczesnej porze. Stachurski dwukrotnie już miał nieprzyjemności z powodu przekroczenia ustalonej godziny i nie chciał się narażać na poważniejsze konsekwencje.

Uratowała go Lenkiewiczowa.

– Chodźcie do mnie na porządną kawę. Będziemy tańczyć przy patefonie. Tylko... nie ma nic do kawy...

Temu brakowi można było łatwo zaradzić. Stachurski przyniósł kilka butelek i z widoczną ulgą wyprawił ich na ulicę.

Szli rzędem, trzymając się pod ręce i hałasując. Barnat znalazł się pomiędzy Ireną a Titą. Czuł ciepło obu tych młodych kobiet, z których każda działała na jego podniecone zmysły. Irena szepnęła mu do ucha:

– Oczy ci wy drapię, jak będziesz taki! – on zaś roześmiał się głośno, aby ją podrażnić, i przycisnął mocniej ramię Tity, która odwzajemniła ten uścisk.

Rozdział XVI

Gdy zszedł ze schodów i znalazł się na ulicy, było już koło jedenastej. Mętne wspomnienia ubiegłej nocy kłębiły mu się w głowie. Nie pamiętał, jak i kiedy się to skończyło. Obudziła go ulewa słońca wpadająca przez okno do pokoju, w którym leżał na szerokiej, niskiej otomanie przykryty pledem. Na stole pośrodku walały się butelki, kieliszki i filiżanki. Obrus był poplamiony kawą i wódką. Wyściełane krzesła i fotele porzucone w różnych pozach jakby rozpełzły się dokoła i zdawały się drzemać po nocnej hulance. Dym papierosów i odór alkoholu zmieszany z zapachem mocnych perfum, których używała Tita, wisiał w ciężkim, dusznym powietrzu.

Antoni odrzucił miękki, włochaty pled i szybko się ubrał. Pragnął stąd wyjść jak najprędzej, nie zauważony. Myśl o jakiegokolwiek rozmowie z Lenkiewiczową w tej chwili budziła w nim odrazę. Miał dość jej anielskiej twarzy i błahej paplaniny. Był nią znużony bardziej niż całą tą pijacką orgią, po której został mu niesmak.

Udało mu się wymknąć niepostrzeżenie, bez hałasu. Jasność dnia, słońce i świeże powietrze uderzyły w niego jak orzeźwiająca fala. Lecz w piersi znowu rósł ów ciężar, którego nie mógł się pozbyć, a wibrujący niepokój płynął przez nerwy.

Jak zwykle po przepiciu – pomyślał, jakby chcąc uspokoić i obronić się przed refleksjami, które czaiły się w jego podświadomości.

Doszedł do Świętojańskiej i skręcił w lewo. Jezdnia była prawie pusta, ale chodnikami płynęły odświętnie ubrane tłumy ludzi. Przypomniawszy sobie, że to niedziela.

Pani Grabieniowa będzie w domu – pomyślał.

Lubił tę dzielną, pogodną kobietę, która zawsze darzyła go sympatią. Przez ostatnie dwa lata przed aresztowaniem mieszkał w odnajętym od niej pokoju z oddzielnym wejściem. Miał tam

własne bardzo porządne meble i parę dywanów przywiezionych z „dzikiego zachodu” – jak wówczas nazywano Ziemię Odzyskaną, a Grabieniowa dbała o jego kawalerskie gospodarstwo z wyrozumiałością i dyskrecją, za które był jej szczerze wdzięczny.

Była wdową po majstrze skutniczym, Józefie Grabieniu, który przed wojną budował pierwsze rybackie kutry w Gdyni. Zapewne żyłby po dziś dzień i zarabiałby dobrze, bo jego łodzie i statki cieszyły się nie tyle jaką sławą, lecz wszedłszy w spółkę z jakimiś kapitalistami, którzy obiecywali mu, jeśli nie złote góry, to w każdym razie wybudowanie dużej stoczni, stracił nie tylko pieniądze włożone w to przedsięwzięcie, ale również swój niewielki warsztat pracy.

Oszukany i zawiedziony, prawował się jeszcze przez rok ze swymi wspólnikami, którzy tymczasem – po podstępny bankructwie – w drodze licytacji nabyli ponownie ową stocznice za drobną część jej istotnej wartości, podstawivszy jako kupca pewien pomniejszy dom bankowy.

Nie wygrał tej sprawy: znał się doskonale na rzemiośle skutniczym, lecz bardzo źle lub raczej wcale ma kruczkach prawnych.

W jakiś czas potem zaproponowano mu już nie spółkę, lecz pracę w nowym przedsiębiorstwie powstałym z jego dorobku, zrabowanego mu tak cynicznie.

Odmówił. Zawiaął się, że odbuduje swój warsztat.

Może by mu się to udało, bo ludzie mu ufali i cenili go jako uczciwego, zdolnego majstra. Lecz właściciele stoczni czuwaliby nad tym, aby Józef Grabień nie otrzymał ani jednego zamówienia rządowego, a potem pewnej nocy powstał z niewytłumaczonych przyczyn pożar, który w ciągu paru godzin strawił świeżo wzniesioną szopę, narzędzia, zapasy drzewa, łodzie będące w naprawie i kadłub jachtu, którego budowa była już na ukończeniu.

To ostatecznie zlamalo Grabienia: nie miał z czego zwrócić pieniędzy pożyczonych na inwestycje i zapłacić za spalone łodzie. W dwa miesiące później, tuż przed wojną, zmarł ze zgrzyoty.

Wdowie pozostał po nim syn, Rafał, siedemnastoletni chłopak, którego Barnat nie znał. Zajmowali połowę małego parterowego domu, przyznana im na własność przy postępowaniu spadkowym. Resztę zabrali wierzyciele i pochłonęły koszty sądowe.

We wrześniu 1939 roku Rafał Grabień ochotniczo zgłosił się do wojska. Wyszedł z domu i więcej nie wracał. Nie było od niego żadnych wiadomości przez kilka lat i matka opłakiwała go jako poległego.

Lecz w parę dni po wyzwoleniu Gdyni, szóstego kwietnia 1945 roku, nagle się zjawił. Wpadł do domu w mundurze, niemal bezpośrednio po bitwie – wprost ze zdobytego w przeddzień Oksywia. Nie zdążył wiele o sobie opowiedzieć, bo oboje z matką płakali z radości, a nie mógł zostać dłużej niż godzinę: jego oddział szedł naprzód, na Odrę i Drezno.

Pisał stamtąd raz i drugi, a wkrótce po zdobyciu Berlina i zakończeniu działań wojennych wrócił już zdemobilizowany. Niezadługo jednak znalazł pracę w Państwowej Fabryce Wagonów i pojechał do Wrocławia.

Wtedy właśnie Barnat odnajął i urządził ów pokój należący poprzednio do Rafała. Wtedy także – podczas gdy pani Grabieniowa przyrządzała mu śniadania lub przeglądała jego bieliznę i skarpetki, aby je wycerować – dowiedział się o tych jej dziejach i przejściach.

Teraz postanowił ją odwiedzić. Miał niejaką nadzieję, że pokój jest nadal wolny i że będzie w nim mógł mieszkać.

Wstąpił do kawiarni, aby coś zjeść, a potem wąską boczną uliczką doszedł niemal nad brzeg morza, gdzie dawniej za niskim, zataczającym się ze starości w różne strony ogrodzeniem z drewnianych sztachet ciągnął się spory, zarosły chwastami ogród. Zauważył z niejakim zdziwieniem, że sztachety zostały zastąpione porządną siatką drucianą, a dom świeżo pobielony.

Furtka była otwarta; ścieżka z tłuczonej, dobrze ubitej cegły biegła między rabatami kwitnących narcyzów, skręcając dalej ku wejściu do sieni między dwoma ogromnymi krzakami bzu, ciężkimi od liliowych kiści. Biały dom z wielkim dachem wyglądał ładnie i czysto. Przed progiem żółcił się świeżo wysypany, wilgotny piasek. Nowa słomiana wycieraczka błyszczała w słońcu.

Barnat zastukał do drzwi połyskującą mosiężną kołatką. Przez kolorowe szybki dojrzał Grabieniową w białym fartuchu. Otworzyła mu i klasnęła w ręce, zaskoczona i wzruszona jego nieoczekiwanym przybyciem. Jej poczciwe, niebieskie oczy napełniły się łzami.

– Pan Barnat! Co za niespodzianka!

Zaprosiła go do swego pokoju za obszerną kuchnią i raz jeszcze uściskała go z wylewną serdecznością.

– Tak się cieszę, że pana widzę! A mówili, że pan gdzieś za granicą... No, kto by to pomyślał!

Mówiła chaotycznie, na przemian zadając pytania i opowiadając mu o sobie. Dowiedziawszy się, że Antoni zamierza przynajmniej przez jakiś czas pozostać w Gdyni, zmieszana się jakby, lecz natychmiast oświadczyła, że gotowa jest oddać mu dawny jego pokój.

– Tylko, widzi pan... Rafał wrócił i mieszka teraz ze mną, a ponieważ pana tak długo nie było... No, jednym słowem, pozwoliłam mu się tam ulokować. Ale naturalnie pokój należy do pana: zaraz tam zrobię porządek i może pan już dziś zając go z powrotem.

Zapewniła go, że wszystkie jego rzeczy są na miejscu. Ubrania i bieliznę złożyła w walizkach, a inne drobiazgi zamknęła w biurku.

– Niechże pan zobaczy: z pewnością niczego nie brakuje, a meble i dywany są jak nowe.

Nalegała, żeby tam przynajmniej zajrzał, więc wszedł za nią drzwiami prowadzącymi z jej pokoju, które dawniej były stale zamknięte i zastawione szafą. Istotnie prawie nic się tu nie zmieniło, a wzorowa czystość i porządek świadczyły o staraniach gospodarzy, aby utrzymać to wnętrze w jak najlepszym stanie.

Antoni zauważył kilkanaście książek na półce, która za jego czasów była pusta. Przebiegł wzrokiem ich tytuły i ze zdziwieniem stwierdził, że pomiędzy podręcznikami z zakresu obróbki metali, technologii budowy statków i konstrukcji żelaznych jest tam także „Technika nurkowania” i niewielka broszura „O spawaniu pod wodą”. Sięgnął po nie i zaczął je przeglądać.

– Czy pani syn interesuje się nurkowaniem? – spytał.

– Rafał jest nurkiem – podkreśliła z odcieniem dumy. – Jak tylko ogłosili, że przyjmują kandydatów, zwolnił się z Wrocławia i przyjechał. To było dwa lata temu. Przyjęli go, skończył kurs i pracuje w Ratownictwie.

Barnat przerzucał kartki.

– Pani pewnie nie wie, że to mój dawny fach – powiedział. – Teraz chciałbym do niego wrócić.

Nie wiedziała o tym. Zdziwiło ją to trochę i ucieszyło zarazem.

– To pan będzie pracował z Rafałem!

– Być może – odrzekł. – Ale to jeszcze nic pewnego.

Zatroszczył się, gdzie Rafał będzie mieszkał, gdy on zajmie ten pokój. Grabieniowa pośpieszyła uspokoić go w tym względzie: pomieszczą się doskonale we dwoje u niej, zwłaszcza teraz, gdy znów zaczną się większe roboty ratownicze i syn będzie całymi tygodniami poza domem.

– Ma zamiar wkrótce się ożenić – dodała z lekkim westchnieniem. – Wtedy całkiem się wyprowadzi. A co do pana, to już postanowione; po południu pokój będzie wolny. Rafał nadejdzie lada chwila i przeniesie swoje rzeczy.

Barnatowi bardzo to dogadzało. Podziękował jej za tyle względów i zaczął rozpytywać o to i owo: zwrócił uwagę na nowe ogrodzenie, na uporządkowane kwietniki i ścieżki, na odnowiony dom.

Wszystko to zawdzięczała Rafałowi. Był dobrym synem, dbał o jej wygody i upodobania tak samo jak niegdyś jego ojciec. Powodziło im się teraz dobrze.

– Ale niech pan nie myśli, że mu pozwalam pracować siedząc tu z założonymi rękami!

Nie, tego wcale nie podejrzewał: znał ją przecież. Dowiedział się, że pani Grabieniowa pracuje na poczcie (okienko numer 5. Jak pan będzie chciał nadać depeszę, to u mnie!), a potem musiał wreszcie wymyślić i opowiedzieć jakąś mniej więcej prawdopodobną historię, która by wytłumaczyła jego nagłe zniknięcie i trzyletnią nieobecność. Gdy się z tym uporał i miał już odejść, nie chcąc zostać u niej na obiedzie, na który go zapraszała, jego spojrzenie padło przypadkiem na mały stolik przy tapczanie. Stała tam fotografia Teresy w prostej niklowanej ramce. Nie zauważył jej przedtem.

Pani Jadwiga zostawiła go na chwilę samego, aby zajrzeć do kuchni. Wtedy wstał z fotela i wziął do ręki tę fotografię. Przyglądał jej się ze zmarszczonymi brwiami, usiłując sobie przypomnieć, kiedy i w jakich okolicznościach ją dostał. Wydało mu się zdumiewające, że zupełnie tego nie pamięta.

Wtem usłyszał za sobą szcęk zamka u drzwi prowadzących do sieni. Obejrzał się i mimo woli cofnął się o krok. W progu stał młody, ogorzały mężczyzna o czarnych, kędzierzawych włosach, ten sam, który wczorajszego wieczora zęgnął się z Teresą pod jej domem.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie, zaskoczeni obaj, choć w różnym stopniu. Barnat czuł, że błędnie. Krew ściekała mu do serca, które jakby zamarło na chwilę.

Opanował się wreszcie i zmuszając się do uśmiechu powiedział z udaną swobodą:

– Przyłapał mnie pan na gorącym uczynku. Ale rozglądam się tu z upoważnienia matki pana. Jestem Barnat. Kiedyś mieszkałem tutaj: pan jest chyba Rafał Grabień?

Tamten uśmiechnął się wesoło.

– Tak – odrzekł wyciągając rękę do Antoniego. – Mama często o panu mówiła. Kilka razy mijaliśmy się z panem omal że nie na progu tego domu.

Barnat przytrzymał jego dłoń w uścisku.

– I spotkaliśmy się wreszcie – powiedział odstawiając fotografię Teresy na miejsce.

* * *

Wbrew pierwotnemu postanowieniu dał się namówić i został na obiedzie. Chciał się dowiedzieć czegoś o Teresie, o jej bliskim małżeństwie z Rafałem, o tym, jak się poznali i jak do tego doszło, że zdecydowała się go poślubić.

Zorientował się natychmiast, że ani Rafał, ani jego matka nie wiedzą, co go z Teresą niegdyś łączyło. Przypomniał sobie teraz, że jedyną oprawną w ramki jej fotografię miał w Warszawie i że Teresa nie była nigdy w jego tutejszym mieszkaniu.

To go ośmieliło. Rafał naturalnie zauważył, że przyglądał się tej fotografii.

– To moja narzeczona – powiedział, a Antoni uprzejmie odrzekł, że bardzo ładna.

– Przypomina mi kogoś bliskiego – dodał podziwiając spokojny, niemal obojętny ton głosu, na jaki się zdobył.

Zaryzykował jeszcze pytanie – jak jej na imię, a otrzymawszy odpowiedź nabrał pewności, że Teresa zataiła przed Rafałem ich stosunek.

Nie miał żadnego zamiaru zdradzać mu cokolwiek. Obawiał się raczej, że prędzej czy później Rafał sam o tym się dowie. Zapewne nie od niej, choć z pewnością nie dlatego, aby zabrakło jej odwagi na takie wyznanie. Po prostu, była skryta i nawet wówczas gdy Antoni był dla niej najbliższy, nie zwierzała mu się ze wszystkich swych myśli i uczuć.

Dowiedział się, że zdobyła dyplom mechanika łodzi motorowych i kutrów oraz licencję na prowadzenie takich statków w żegludze przybrzeżnej.

Więc postawiła na swoim – pomyślał.

Rafał był z tego bardzo dumny.

– Żeby pan ją widział, jak steruje motorówką nawet przy największej fali!

Pracowała w P.R.O. i ten fakt uderzył Barnata: od chwili przyjazdu ciągle słyszał o tym przedsiębiorstwie i co krok spotykał ludzi z nim związanych. Wydało mu się to znamienne. Był trochę przesądny i zaczynał przypisywać temu zbiegowi okoliczności jakieś szczególne znaczenie: jego powrót, spotkanie w pociągu z Władysławem Habzą, zamiar podniesienia wraku m/s „Adlernes”, Irena Auber z tym swoim szefem wydziału, a teraz Rafał Grabień i wreszcie Teresa! Prawda: był jeszcze ów kapitan Jakus, mąż Sabiny! To, zapewne za jego sprawą Teresa została mechanikiem i sternikiem szalupy.

Czuł się wpleciony w ten łańcuch, którego pierwsze ogniwo powstało przed laty, łącząc go z zatopionym statkiem. Czyżby krąg miał się zamknąć łącząc go z nim raz jeszcze?

Rozdział XVII

Kapitan Stanisław Jakus, główny inżynier P.R.O., wprost z pociągu pojechał do biura. Przechodząc przez sekretariat do swego gabinetu zapytał, czy dyrektor Zięborak jest u siebie.

– Jest – powiedziała sekretarka. – Już kilka razy o pana pytał.

– Zaraz do niego pójdą. Niech mu pani powie, że przyjechałem.

Wszedł do siebie i położywszy na biurku teczkę wyjmował z niej papiery.

Zatelefonuję jeszcze do Sabiny – pomyślał.

Ale nie zdążył wprowadzić w czyn tego zamiaru: Zięborak otworzył drzwi i stanął w progu.

– No i co? – spytał niecierpliwie. Jakus spojrział na niego z uśmiechem.

– W zasadzie zatwierdzone – powiedział.

Naczelnny dyrektor chwycił go za rękę i potrząsnął nią mocno.

– Jassne!... Tośmy prawie wygrali! Jak wam poszło?

Rzucił się na fotel na wprost biurka, za którym usiadł Jakus. Jego koścista twarz, lekko poznaczona śladami po ospie, z dużym nosem i głęboko osadzonymi oczyma, wyrażała żywe zaniepokojenie.

Kapitan uśmiechnął się łagodnie.

– No cóż – odrzekł. – Trzeba było ich przekonać. Bardzo wiele zaryzykowałem, nie mając dokładnych danych... Ale możemy zaczynać.

Opowiadał o tej konferencji w słowach oszczędnych, ściśle i rzeczowo. Z początku szło trudno. W ministerstwie mieli całą korespondencję z zagranicznymi firmami ratowniczymi, które zgodnie oświadczyły, że podniesienie statku liczącego 11000 BRT z głębokości trzydziestu pięciu metrów jest przy dzisiejszym stanie techniki prawie niemożliwe, a w każdym razie nieopłacalne. Ekspertyza duńskiego przedsiębiorstwa „Svitzer Co.” sporządzona dla byłych armatorów m/s „Adlernest”, potwierdzała to zdanie.

Lecz Jakaś przypomniał, że sam był rzeczoznawcą delegowanym przez Polską Marynarkę Handlową do badań, które „Svitzer Co.” przeprowadzała w ubiegłym roku na polecenie spółki okrętowej „Michaehs & Sorager”, do której niegdyś należał m/s „Adlernest”. Nie zgadzał się z orzeczeniem duńskich specjalistów uważając ich metody za przestarzałe. Według niego zadanie było trudne, ale wykonalne. Koszty ratownictwa, jakkolwiek znaczne, nie powinny przekroczyć dwu procent wartości wraku, którą podał w przybliżeniu na trzysta milionów złotych.

To był silny argument, choć kapitan uważał go za niezbyt pewny: z tym, co wiedział o stanie m/s „Adlernest”, nie mógł właściwie przewidzieć kosztów jego podniesienia. Przy takich przedsięwzięciach zawsze jest wiele niewiadomych, których nie da się obliczyć. A przecież zdarza się, że zawiodą wszelkie przewidywania; że pomimo wszystko nie udaje się wydobyć wraku, a poczynione wkłady przepadają...

– Jassne!... – mruknął Zięborak. – To się musi udać!

Jakus poważnie skinął głową. Uczestnikom konferencji nie opowiadał oczywiście o tego rodzaju niepowodzeniach, których zresztą nie potrzebował ukrywać, bo nie dotyczyły jego dotychczasowej działalności. Powołał się natomiast na doświadczenia i sukcesy Polskiego Ratownictwa Okrętowego w ciągu paru ostatnich lat, a w szczególności na podniesienie s/s „Lecha” w r. 1949. Ten statek też uważano za bezpowrotnie stracony, a żadne z prywatnych przedsiębiorstw ratowniczych nie chciało podjąć się jego wydobywania. Koszty ratownictwa wyniosły wówczas nieco ponad milion złotych.

Odpowiedziano mu, że s/s „Lech” zatonął na głębokości osiemnastu metrów, a jego pojemność wynosiła niespełna 1600 BRT, podczas gdy „Adlernest”... I znów ktoś wspominał o „Svitzer Co.”, a ktoś inny zapytał, jakie są gwarancje, że takie przedsięwzięcie się uda.

Wówczas rozwinął swój plan działania oparty na skąpych danych, jakie posiadał. Oświadczył, że zamierza użyć do podniesienia wraku zaledwie dziesięciu pontonów po 500 ton. Tłumaczył, że ciężar zanurzonego statku wraz z siłą przyssania do dna wynosi około 13 000 ton i że pozostałą część koniecznego wyporu można uzyskać przez uszczelnienie jego ładowni i wypompowanie z nich wody.

– To jest możliwe i wykonalne – podkreślił. – Zastosowaliśmy taką metodę na wraku pancernika „Gneisenau” i otrzymaliśmy dobre wyniki. „Gneisenau” zostanie podniesiony przed upływem jesieni, a jego ciężar jest wielokrotnie większy.

Mówił o nurkach, którzy dali już dowody, na co potrafią się zdobyć. To prawda, że będą pracowali w szczególnie trudnych warunkach i że efektywny czas pracy każdego z nich trzeba będzie skrócić do niecałej godziny. Lecz nie wątpił, że podołają takiemu zadaniu.

Wreszcie – po pewnym wahaniu – podał nawet termin, w jakim przypuszczalnie można by dokonać tego dzieła: cztery do pięciu miesięcy. W ciągu tak krótkiego czasu i tak małym kosztem Polska Marynarka Handlowa zyskałaby nowoczesny, duży statek, który wprawdzie będzie wymagał generalnego remontu, ale którego w żaden inny sposób nie można nabyć.

– Jak widzicie – powiedział patrząc wprost w oczy Zięborakowi – zaryzykowałem bardzo wiele. Właściwie wszystko, jeśli idzie o mnie osobiście.

– To już taka robota – mruknął dyrektor. – Hazard jak przy pokerze... No, niezupełnie – zaprzeczył sam sobie. – Hazard karciany to taka marna karykatura prawdziwej walki z losem. Jassne pioruny! Musieli to wymyślić dla takich, co nie umieją wziąć się za łeb z przeciwnościami w życiu.

Jakus uśmiechnął się. Filozoficzne uwagi naczelnego dyrektora bawiły go swą lapidarnością i formą.

– Ostatecznie wygrałem pierwszą rundę – powiedział. – Mamy zgodę ministerstwa i otwarte kredyty. A co z planami statku?

Zięborak potrząsnął głową.

– Nie ma ich, jassne!... „Michaelis i Sorager” odpisali, że plany miała tylko stocznia, a ze stoczni, jak wiecie, zabrali je Niemcy. Podali nam dane z rejestru i to wszystko. Aha: dostaliśmy te radzieckie skafandry dla nurków i nowe palniki wodorowo-tlenowe.

– To dobrze – ucieszył się Jakus.

Omówili jeszcze kilka spraw technicznych, po czym Zięborak pojechał na zebranie Komitetu Miejskiego PZPR, którego był członkiem, a Jakus mógł wreszcie zadzwonić do żony.

Poprosił o połączenie ze swoim mieszkaniem, lecz spojrzawszy na zegarek wiedział już, że nie zastanie Sabiny: o tej porze musiała być w drodze do miasta, gdzie miała liczne obowiązki i zajęcia.

Istotnie po chwili sekretarka zawiadomiła go, że „nikt się nie zgłasza”. Sprawilo mu to przykrość: nie chciał, aby Sabina myślała, że o niej zapomniał, a nie mógł jej szukać telefonicznie po wszystkich instytucjach społecznych, komitetach i ligach, do których mogła się była udać. Wiedział, że mu to wybaczy i nawet o tym nie wspomni, niemniej jednak wyrzucał sobie, że się spóźnił.

Sabina była dla niego dobra i wyrozumiała. Według jego mniemania kochała go bardziej, niż na to zasługiwał. Był od niej starszy prawie o lat czternaście, a jednak to właśnie jej uczucie miało w sobie coś opiekuńczego i jakby macierzyńskiego. Łączyła ich nie tylko miłość, lecz także trwała przyjaźń, głębokie wzajemne przywiązanie i zrozumienie, które jest udziałem wyjątkowo dobranych małżeństw. Byli z sobą naprawdę zupełnie szczęśliwi.

Jakus – jak wielu marynarzy – był właściwie domatorem. Wszystkie urlopy i wolne chwile spędzał w ogrodzie lub w małym domku, który nabył w Oliwie. Ten ogród i dom stanowiły przedmiot jego nieustannych starań, a Sabina podzielała te zamiłowania. Mieli najpiękniejsze kwiaty chyba na całym wybrzeżu, a ich mieszkanie lśniło czystością i czarowało wdziękiem właściwym otoczeniu ludzi, dla których te przymioty stanowią istotną codzienną potrzebę.

Pomyślał, że teraz nie będzie miał czasu na ten ogród i na dom. Czekąca go wyteżona praca, dla której musiał poświęcić wszystko inne.

* * *

Posegregował papiery i otworzył teczkę z napisem: M/s „Adlernerst” – opis wraku. Niewiele w niej było. Wyciąg z rejestru Lloyda podawał:

M/s „Adlernest”. Chłodnicowiec. 11 200 BRT, 7 190 NRT, 6 445 – DWT. Długość 168 m, szerokość 24 m, wysokość do najwyższego pokładu 14 m. Dwa silniki Diesla o łącznej mocy 12 000 KM. Szybkość – 18 węzłów. Zbudowany na stoczni Helsingør, Dania. Rok budowy 1939.

Z raportu „Svitzer Co.” można się było dowiedzieć, że m/s „Adlernest” leży na głębokości 33–35 metrów ze znacznym przechyłem na lewą burtę, która jest zapewne poważnie uszkodzona. Uszkodzeń tych nie można było zbadać, ponieważ wrak zapadł się na trzy metry w grunt. Nie podjęto próby opuszczenia nurka do wnętrza statku, uważając to za bezcelowe w danych okolicznościach. Raport podawał kąt przechyłu pokładu, ilość ładowni i ich ogólne rozmieszczenie, kształt rufy, układ wind, bomów itp. Na dole była jeszcze uwaga: „Drugi i trzeci luk otwarte, brak pokryw”.

Wreszcie – arkusz notatek samego Jakusa z ogólnym szkicem sytuacyjnym, wrysowanym w szczegółową mapę.

– Mało – powiedział półgłosem. – Bardzo mało.

Nie miał właściwie żadnych danych koniecznych choćby do obliczenia wysokości metacentrycznej dla umocowania pontonów. Nie mógł wiedzieć z całą pewnością, czy te jego obliczenia zapewnią statkowi bezpieczną stateczność, ponieważ nie było wystarczających podstaw do określenia jego środka ciężkości. Znał tylko w przybliżeniu ciężar własny wraku – około 19 000 ton – i stąd przyjął, że pod wodą powinien on ważyć 13 000. Lecz rozkład tego ciężaru stanowił niewiadomą, podobnie jak siła przyssania przez dno i jak cały szereg innych zasadniczych czynników, od których zależy tak wiele przy opracowaniu właściwego planu działania.

Wiedział, że z załogi uratowało się zaledwie kilkunastu ludzi i jeden z mechaników, niejaki Hjerting, który był Duńczykiem. Ale starania o skomunikowanie się z tym oficerem okazały się bezowocne: nie pływał na żadnym z duńskich statków, więc trudno go było znaleźć. Może zresztą już nie żył.

W tych warunkach musiał oprzeć się na szczegółowych pomiarach, które należało przeprowadzić na miejscu, powierzając je nurkom. Lecz niezbyt doświadczony nurek, pracując na głębokości trzydziestu pięciu metrów, czasem ulega złudzeniom, myli się, a nawet tak dalece traci orientację, że nie pamięta, w której stronie jest dziób, a w której rufa wraku.

Ponad nim wznosi się słup wody wysokości dziesięciopiętrowego domu, a ciśnienie absolutne wzrasta do czterech i pół atmosfery, tj. do czterech i pół kilograma na centymetr kwadratowy.

Powierzchnia ciała człowieka o przeciętnej budowie wynosi około 14 000 cm², a zatem całkowite ciśnienie, jakie nurek musi wytrzymać, równa się sześćdziesięciu trzem tonom. Tyle mniej więcej waży cztery wagony węgla...

Aby ten straszliwy ciężar nie zmiądzzył nurka, ciśnienie powietrza wewnątrz skafandra musi być równie wielkie. Wskutek oddychania tym powietrzem, sprężonym jak w oponie ciężarowego samochodu napompowanej do granic wytrzymałości, płuca, naczynia krwionośne, wszystkie komórki, z których składa się organizm ludzki – lub raczej ścianki tych komórek – poddane zostają owemu ciśnieniu.

Reakcje nerwowe i różne zjawiska psychofizyczne doznają zakłóceń, spotęgowanych jeszcze przez zmniejszone pole widzenia i przez zniekształcenie obrazu przedmiotów oglądanych pod wodą. Czasem następują zawroty głowy, utrata równowaga częściowe, przemijające zaćmienia umysłowe.

Wszystko to stawia pod znakiem zapytania ścisłość wiadomości i danych, jakie nurek może dostarczyć. Trzeba je sprawdzać porównując dwie lub trzy relacje dotyczące jednej i tej samej sprawy.

Tylko człowiek bardzo wytrzymały, obdarzony trzeźwym umysłem i oswojony z pracą na znacznych głębokościach orientuje się prawidłowo i pewnie w tych warunkach.

Jakus zastanawiał się, kto spośród nurków, jakich miał do dyspozycji, odpowiada tym wymaganiom. Na ilu można liczyć? Wziął listę i przeglądał ją uważnie, podkreślając niektóre nazwiska.

Było ich kilkunastu, przeważnie młodych dwudziesto- lub dwudziestoparoletnich chłopaków i kilku starszych, lecz jeszcze w pełni sił. Z tej liczby zaledwie pięciu lub sześciu miało za sobą praktykę ratowniczą na większych głębokościach.

– Mało – powtórzył. – Trzeba ich będzie stopniowo oswajać, zaprawiać do takich wysiłków.

Ogrom pracy i odpowiedzialności wyrastał przed nim coraz bardziej, w miarę jak wchodził w szczegóły i rozważał piętzące się przeszkody. Ale nie przerażało go to. Z trudnościami liczył się od początku i od początku wiedział, że przyjdzie mu je zwalczać. Nie po raz pierwszy miał wydrzeć morzu jego łup; nie po raz pierwszy mierzył swoje siły z potęgą tego zdradzieckiego żywiołu.

* * *

Krótki sygnał telefonu oderwał go od pracy. Mówiła sekretarka:

– Zgłosił się obywatel Barnat. Czy pan go przyjmie?

– W jakiej sprawie? – spytał niecierpliwie.

– Jest nurkiem. W sprawie... Aha, w sprawie wraku „Adlernest”.

– Dobrze, proszę – powiedział odkładając słuchawkę. Skądś znał to nazwisko – Barnat.

Spojrzał na wchodzącego i spotkał jego wzrok. Nie, nie pamiętał, aby widział kiedykolwiek tego człowieka.

Antoni się przedstawił. Słyszał o zamiarze podniesienia statku, o którym wie coś niecoś. Niewiele, ale może te wiadomości mogłyby się przydać. No i chciałby sam przy tym pracować. Ma za sobą pewną praktykę w tym fachu.

Jakus zapytał o szczegóły: gdzie i kiedy Barnat pracował jako nurek.

– Najpierw, przed wojną, u Siei – odrzekł Antoni. – A potem w niemieckim zarządzie portu w czasie okupacji. To ja zatopiłem ten statek – dodał po krótkim wahaniu.

Jakus drgnął.

– Prawda! Przecież Czeluśniak mi o tym mówił!

Barnat spojrzał na niego chmurnie.

– Czeluśniak? On u was pracuje?

– Tak. Pewnie go znacie?

Antoni skinął głową.

– Był nurkiem w Gdańsku. Widywałem go czasem. Nie lubił mnie. To dawne sprawy – machnął ręką.

Kapitan podsunął mu papierosy. Barnat czuł na sobie jego mądre, przenikliwe spojrzenie. Podniósł wzrok. Przyszło mu na myśl, że Teresa bardzo trafnie opisywała mu niegdyś wygląd Jakusa. Tak właśnie wyobrażał go sobie: dobroduszny, tęgi mężczyzna z odważnymi oczyma i jasnym szerokim czołem. Podobał mu się.

– Bardzo potrzebujemy nurków – mówił Jakus. – Wasze doświadczenie... Naturalnie, jak najchętniej was przyjmujemy. Dlaczego u licha dopiero teraz się zgłaszacie? – spytał nagle.

– Miałem inne zajęcie – mruknął Barnat.

Kapitan poprzestał na tej wymijającej odpowiedzi. Chciał przede wszystkim usłyszeć, co Antoni wie o statku.

Barnat zaczął mu opowiadać całą tę historię. Wziął ołówek i szkicował szczegóły na arkuszu papieru. Pamiętał doskonale rozmieszczenie ładowni, nadbudówek, pokładów. Na życzenie Jakusa narysował plan maszynowni i jej połączenie z tunelem wałowym, zaznaczył dokładnie miejsce, w którym założył ładunek wybuchowy, opisał rozkład korytarzy i kajut. Kapitan raz po raz zadawał dodatkowe pytania o to i owo, robiąc notatki. Interesowało go, jak długo i w jaki sposób „Adlernest” tonął.

– Zaledwie kilka minut – odrzekł Antoni.

Gdy wyjaśniał, jak to się stało, ponury obraz tamtej nocy stanął mu przed oczyma. Jęk wichru w ciemności, fale chłuszczące białawą pianą, łódź kołysząca się na wzburzonym morzu, widmowa postać Hjertinga, zgięte, przygarbione sylwetki załogi maszynowej ledwie widoczne w mroku... A

potem połyskujący w świetle reflektora, wysoko wzniesiony dziób statku i skośnie pochylony przedni maszt, zapadające się w otchłań.

– Z drugiego i z czwartego luku zdjęto pokrywy i już ich nie założono – powiedział. – Było tam pełno wojska w ładowniach, a woda wdarła się od dołu i z góry, przez ten czwarty luk. Słyszałem, jak wyją, i ciarki mi chodziły po grzbiecie, a ten diabeł, Hjerting, śmiał się cicho...

Oderwał się od tego wspomnienia i dodał jeszcze, że tonący statek szedł na dno silnie pochylony na lewą burtę, rufą w dół. Jakus skinął głową.

– Tak przypuszczałem – powiedział na pół do siebie.

Sięgnął po inną teczkę, rozłożył rysunki i obliczenia. Zaczął mówić o sposobie podniesienia wraku. Czasem przerywał, aby rzucić jakieś pytanie: Jak się można dostać do tego czy owego pomieszczenia? Ile tam jest kondygnacji schodów? Gdzie są drzwi wodoszczelne i jak zamykane?

Antoni nie zawsze umiał mu odpowiedzieć: nie pamiętał lub nie zwrócił na to uwagi. Nie znał zresztą całego statku; był na nim tylko kilka godzin.

Kapitan notował: „Sprawdzić” lub „Zbadać”.

– Zamkniemy i uszczelnimy ładownie – mówił. – Odetniemy wszystkie przejścia pomiędzy nimi a środkową częścią kadłuba. Ustawimy na szczelnie dopasowanych pokrywach luków regulatory ciśnienia wewnętrznego i wydmuchamy wodę z ładowni, włączając powietrze. Pod kadłubem wydrążymy tunele, przeciągniemy stropy i założymy na nich pontony.

Umożliwimy odpływ wody z nadbudówek i wydmuchamy pontony rufowe. Wtedy rufa powinna wypłynąć. Potem w ten sam sposób podniesiemy dziób i wypompujemy wodę z maszynowni. Gdy to się uda, statek zyska dostateczną własną pływalność i będzie go można odholować do stoczni, która przeprowadzi remont. W gruncie rzeczy wygląda to na dość prostą sprawę...

Barnat spojrział mu w oczy nieco zdziwiony. Roześmiali się obaj jednocześnie.

– To wygląda na sprawę diablo trudną – powiedział Antoni. – Włazić tam do tunelu wałowego? Trzydzieści pięć metrów pod wodą?!

– Nie bardzo was to zachęca – zauważył Jakus.

– Przeciwnie. To jest coś! Ba – podnieść taki wrak... To jest... Ech, łatwiej dziesięć razy go zatopić! Ale to jest naprawdę coś!

Zapałał się do tego przedsięwzięcia. Wydało mu się zdumiewająco śmiało. Nigdy nie słyszał o czymś podobnym. Wydobyć statek o ciężarze 19 000 ton z trzydziestopięciometrowej głębi – no! Sam taki pomysł był zuchwalstwem.

– Więc cóż? Pomożecie nam? – spytał Jakus.

Barnat odruchowo wyciągnął do niego rękę.

– Ze wszystkich sił – powiedział z przekonaniem.

Rozdział XVIII

Pierwszym zadaniem, jakie Barnat otrzymał do wykonania wespół z kilku innymi nurkami, było wypróbowanie nowych skafandrów radzieckich. Owe skafandry znajdowały się w magazynach bazy operacyjnej P.R.O. na starym krążowniku zatopionym przez Niemców w Kanale Wejściowym portu, a niedawno wydobytym i zakotwiczonym pod Oksywiem. Trzeba się tam było przepawić szalupą, która lada chwila miała po nich przypłynąć.

Stali na nabrzeżu oczekując na jej przybycie, a Barnat rozmawiał z Michałem Orbachem i z Habzą, który ich zaznajomił.

Orbach był tęgi, pogodny, rumiany jak dojrzałe na słońcu jabłko. Mówił niewiele i powściągliwie, co stanowiło szczególny kontrast z gadatliwością Habzy. Był znacznie starszy od tego ostatniego i nawet od Barnata: mógł mieć już czterdziestkę lub nieco mniej. Habza zwracał się do niego z przesadną, trochę natrętną poufałością, nazywając go „ojcem duchownym”, co zresztą dość trafnie charakteryzowało postać Orbacha, który z wyglądu przypominał czerstwego proboszcza.

Prócz nich był tam jeszcze Marian Czełuśniak, starszy nurek, którego Antoni znał z czasów konspiracji. Czełuśniak pamiętał go również i gdy się teraz spotkali, pierwszy go zaczepił:

– Wróciliście do pracy? To dobrze.
– A bo co? – spytał Antoni.
– Nic – mruknął tamten. – Długo was nie było. Właśnie wtedy, kiedyśmy tu odwalali czarną robotę.
– To teraz została już tylko ta lżejsza? – roześmiał się Barnat ironicznie.
Czeluśniak prześwidrował go wzrokiem.
– Nie liczcie na to – mruknął. – Tu nie ma lekkiego chleba.
Antoni wzruszył ramionami, udając, że nie rozumie tej aluzji. Podszedł do Orbacha i Habzy, poczęstował ich papierosem, umyślnie pomijając starszego nurka.
Zestarzał się – pomyślał o nim.
Wielkie, płaskie, pokryte zmarszczkami policzki Czeluśniaka porastała sztywna siwiejąca szczecina, a kępka siwych włosów, której dawniej nie nosił, zwisała mu u podbródka.
– Jedzie Teresa – powiedział Habza.
Obejrzelisi się. Po gładkiej wodzie basenu wprost na kamienny zrąb nabrzeża leciała duża łódź motorowa uskrzydłona dwoma lśniącoymi grzebieniami bryzgów, które wznosiły się wysoko po obu stronach dzioba. Pienista, wartka bruzda rozchodziła się za nią szeroko jak wielki spłaszczony ogon obramowany po bokach białą kipiela.
Pośrodku szalupy młody chłopak o jasnej cerze i krótko przystrzyżonych lnianych włosach wspierał się na bosaku. U steru, za niską osłoną, pochylona w przód, z ciemną czupryną wymykającą się spod marynarskiej czapki i odgarnianą wiatrem, stała Teresa mierząc bystrym spojrzeniem szybko malejącą odległość od brzegu.
Spokojnym, pewnym ruchem przełożyła prawą rękę za lewą i obróciła koło sterowe. Łódź legła na burcie, zwolniła, poszła w skręt. Warkot motoru ścichł i zmieniwszy rytm odezwał się znowu.
Woda za rufą burzyła się jak wrzątek. Pęd ustał, łódź dryfowała zbliżając się ku stopniom wąskich, betonowych schodów. Jasnowłosy chłopak przyciągnął ją bosakiem i dopiero wtedy Teresa spojrzała ku grupie mężczyzn na nabrzeżu, jakby szukając wzrokiem kogoś wśród nich.
Widocznie go nie znalazła, bo na jej twarzy odmalował się lekki zawód, pokryty łagodnym uśmiechem, gdy w odpowiedzi na przyjazne powitania nurków podniosła dłoń do daszka czapki.
Wtem dostrzegła Antoniego, poblądła nagle, a potem gorący rumieniec wypłynął na jej policzki.
Stała wyprostowana, odruchowo poddając się lekkiemu kołysaniu szalupy i nie odrywając spojrzenia od twarzy człowieka, w którego zjawienie się tutaj nie mogła zrazu uwierzyć. Bezwiednym ruchem przycisnęła serce tłukące się w piersi, jakby w obawie, że ktoś usłyszy jego gwałtowne bicie.
Habza, nie rozumiejąc powodu jej zmieszania, żartował na temat jasnowłosego chłopaka, który zaczerwienił się jak burak.
– Ej, Pietrek, ja ci mówię, masz szczęście, że tu z nami nie ma Grabienia. Dałby ci on przejażdżki z panną Teresą.
– Siadać, siadać – przynaglał Czeluśniak.
Sam wszedł na pokład, a za nim inni. Antoni znalazł się na końcu. Podszedł do Teresy i ujął jej chłodną dłoń nie mogąc zdobyć się na wypowiedzenie jakiegoś powitania.
– Wróciłeś... – wyszeptwała z trudem. – Nie wiedziałam, żeś wrócił. Nikt mi nie mówił...
Jej oczy uciekły teraz przed jego wzrokiem jakby z obawą. Spojrzała ku nurkom, którzy zasiedli tyłem do budki sterowej, i wyswobodziła rękę z jego uścisku.
– Można odbijać? – spytał Piotr Siwiec.
– Można – powiedziała.
Odepchnął się bosakiem od stopni i także usiadł na ławce z innymi, obrzuciwszy Barnata ciekawym spojrzeniem.
Teresa włączyła sprzęgło. Łódź wolno skrzyła pod wysokim nabrzeżem, obróciła się dziobem ku wyjściu z basenu, weszła na łagodny poślizg fali.
– Muszę z tobą pomówić – powiedział Antoni.
Skinęła głową. Mówiła z trudem, starając się opanować.

– Dobrze. Jak wrócicie z bazy, będę wolna. Ja też... ja także chciałam rozmówić się z tobą. Już dawno. Chciałam pojechać do Warszawy, ale trudno było... Tam nie chcieli się zgodzić i dopiero teraz... A tyś tymczasem wróciłeś...

Antoni patrzył na nią ze ściśniętym sercem. Stał tak blisko niej, że wyciągnąwszy ramię, mógłby ją objąć. Zaledwie się powstrzymał, aby tego nie zrobić.

Patrzyła przed siebie na coraz rozleglejszą przestrzeń wody, lecz od czasu do czasu spoglądała na niego przelotnie.

Zauważył te jej płochliwe spojrzenia i oparłszy się łokciem na płaskim dachu osłony czatował na nie ze zwykłą swą bezczelnością, wpatrując się w piękny profil jej twarzy, pobladłej znów jak poprzednio, kiedy go ujrzała na nabrzeżu.

Raz uśmiechnęła się do niego i ten jej nikły, smutny uśmiech wyrwał mu z piersi nagłe westchnienie. Tak właśnie uśmiechała się w ostatnich czasach przed jego aresztowaniem – wtedy, gdy jego miłość stygła, gdy jeszcze tylko litość i jątrzące poczucie krzywdy, jaką jej wyrządza, trzymały go przy niej.

Chciał jej powiedzieć, że wrócił, aby to naprawić; że się zmienił; że przez cały ten czas dręczył się, tęsknił, żałował, rozpaczał po jej stracie, że jego uczucie dojrzało dopiero wtedy; że wrócił do niej i dla niej.

Wszak powiedziała, że wybaczy mu wszystko – nawet największą krzywdę. Przyszedł po to przebaczenie.

Serce zalewała mu niewypowiedziana tkliwość, nadzieja, niemal pewność, że oto ją odzyskuje, że jej miłość trwa nadal, niezmienna i wierna. To znów ogarniało go zwątpienie i żrąca zazdrość: miała przecież narzeczonego – tego Grabienia... Pocieszyła się prędko!

Fala gniewu podchodziła mu do gardła. Ten dzieciuch! Maminsynek!

Nie oddam cię nikomu – pomyślał. – Ani jemu, ani komukolwiek.

* * *

Barnat wolno schodził w dół po żelaznych szczeblach trapu opuszczonego z pokładu, który wznosił się zaledwie o metr nad powierzchnią wody. Zawór wpustowy wewnątrz hełmu dyszał powietrzem, które wpadało z szumem, owiewając głowę poniżej uszu. Sygnalista Gert, młody, dziewiętnastoletni początkujący nurek, przykucnął przed nim, aby mu zakręcić i zablokować przednią szybę. Spojrzeli na siebie przyjaźnie. Gert uśmiechnął się i klepnął dłonią po kopule hełmu: „Gotowe!”

Antoni uregulował zawór wypustowy i odepchnął się w tył obu nogami. Woda objęła go łagodnym uściskiem i zamknęła się nad nim, pogrążając go w zielonym półmroku. Bańki powietrza bulgotały cicho, uchodząc z prawej strony krętym i chwiejnym węzowatym szlakiem, który rozszerzał się ku górze.

Do dna było czternaście metrów. Poczul pod nogami miękkiego, gliniastego gruntu, który wznosił się dość stromo w kierunku brzegu.

– Na dnie! – powiedział głośno.

Zrobił parę kroków w tę stronę i zobaczył bok okrętu do połowy czarny, niżej zaś pomalowany minią. Nacisnął brodą kontakt dzwonka i po paru sekundach usłyszał głos Gerta:

– Jest sygnał. W porządku.

– Słyszę – odrzekł. – Zadzwońcie do mnie.

Zaterkotało mu w uszach.

– Dość! – zawołał. – Sprawdzę teraz wentyle.

Odkręcił zawór wylotowy z prawej strony hełmu i pochylił się. Potem ukląkł, a wreszcie położył się na dnie. Hełm ciągnął w górę, miał nieco za dużą pływalność. Antoni szybko dostroił zawór. Odwrócił się na bok, popęznął na czworakach, położył się na wznak. Teraz nic mu nie przeszkadzało.

Wstał i uregulował ponownie odpływ powietrza. Spróbował zaniknąć zawór wlotowy, sprawdził działanie odwadniacza. Podeszedł do samej ściany kadłuba, podniósł w górę ramiona, przysiadł,

znów wstał i sklarowawszy przewód powietrzny czterokrotnie szarpnął linką bezpieczeństwa: „Wyciągnąć mnie”.

Gert odpowiedział czterema szarpnięciami, po czym dno zaczęło się oddalać spod nóg Barnata, a w dwie minuty później przez okienko jego hełmu wdarła się oslepiająca jasność dnia.

– Na wprost przed wami jest trap – powiedział Gert przez telefon.

Antoni namacał poręcz, trafił nogą na stopień, wolno wszedł na pokład i usiadł ciężko na ławce, którą mu podsunęto. Sygnaliści odkręcili przednią szybę, zdjęli mu hełm. Gert wetknął mu w usta zapalonego papierosa, co Barnata szczególnie ujęło: ten sympatyczny chłopak jak gdyby odgadywał jego dawne przyzwyczajenia.

Podczas gdy palił, odpoczywając po wysiłku, jakiego wymaga wyjście z wody w ubiorze nurka i poruszanie się z osiemdziesięciokilogramowym ekwipunkiem na powierzchni, wyciągnięto Orbacha, a następnie Habzę.

Czeluśniak spytał mrukliwie o działanie hełmów i ich urządzeń, a otrzymawszy odpowiedź, że zawory i mikrofony są w zupełnym porządku, powrócił do przeglądania skrzynek z palnikami.

Barnat był z siebie zadowolony. Nie nurkował od sześciu lat, a przecież ta pierwsza próba go nie zawiodła: nie wahał się przy manewrowaniu zaworami, z łatwością poruszał się na dnie, od razu bezbłędnie dostrajał ciśnienie, jakby ta długa przerwa w ogóle nie istniała. Czuł się jak żeglarz, który wróciwszy z głębi łądu wypływa na morze i od pierwszego zwrotu swego statku wie, że panuje nad nim tak jak dawniej; jakby się z nim nie rozstawał na długie lata.

Doktor Bacz, który był teraz lekarzem P.R.O., badał go poprzedniego dnia i poznał w nim od razu dawnego pacjenta. Ucieszył się tym swoim odkryciem, które pochlebiało jego pamięci. I on – podobnie jak Czeluśniak – wykrzyknął: „Wróciliście!”, ale w tym okrzyku była szczerza życzliwość.

Trochę go zbeształ: „Diabli wiedzą, jak się prowadziłeś, człowieku! Serce troszeczkę tego... No, nic poważnego na szczęście, ale radziłbym ci teraz żyć solidnie. Żelazny organizm, słowo daję. Jak się będziesz przyzwyczajanie zachowywał, możesz nurkować jeszcze z piętnaście lat”.

Piotr Siwiec, ów młody, jasnowłosy chłopak, który przyplął po nich z Teresą, wyszedł z szatni w ciepłej wełnianej bieliźnie i drewnianych chodakach i przy pomocy sygnalistów zaczął wciągać skafander.

Habza obejrzał się na niego i pokręcił głową.

– Ten to by tylko pod wodą siedział. Jak węgorz. Wiecie, ile on ma godzin w tym miesiącu? – zwrócił się do Orbacha. – Sto pięćdziesiąt! I prawie wszystko na „Gneisenau”, we środku.

Orbach spojrział przychylnie na Siwca.

– Chłop jak dąb, nie pije, nie pali, to i wytrzyma.

– Wytrzyma – przyświadczył Habza. – Nawet z Wachlem! Ja bym z nim nie wytrzymał.

– A to dlaczego? – spytał Orbach.

– Bo on każdego może z równowagi wyprowadzić. Pietrek za niego i za siebie robi.

Orbach się uśmiechnął.

– Muszę ja tak spróbować z tobą, żebyś czasem trochę za mnie porobił.

– Za was może bym i zrobił; za Wachla – nie!

– No to złaź. Zrób najpierw za siebie.

Sygnaliści czekali z nowymi hełmami. Habza odrzucił niedopałek papierosa, wyciągnął szyję.

– No, jazda!

Nałożyli im wszystkim hełmy, a potem jeszcze dwukrotnie każdy z nich schodził pod wodę, aby wypróbować zawory i telefony.

Wreszcie z tym skończyli. Czeluśniak odnotował czas zanurzenia i zebrał ich podpisy.

Barnat czuł się teraz trochę zmęczony, ale starał się tego nie okazywać. Dla tamtych trzy zanurzenia po dziesięć minut to była zabawka.

Wyszedłem z wprawy – pomyślał. – Trzeba się przyzwyczaić. Już tam za mnie nikt nie będzie robił!

Postanowił postarać się o trening, zanim zacznie się praca na większej głębi. Czuł, że nie jest przygotowany do dużego wysiłku, ale nie wątpił, że szybko powróci do formy.

Sto pięćdziesiąt godzin w ciągu miesiąca... – myślał. – No, przy dziesięciu metrach wody ponad głową, to znów nie taka sztuka. Zobaczymy, jak ten chłopczyk wytrzyma trzydzieści pięć metrów!

Czeluśniak wołał na nich, żeby się pośpieszyli z ubieraniem, bo widać szalupę. To zwróciło myśli Barnata w innym kierunku: Teresa! Miał z nią porozmawiać sam na sam. Miał jej powiedzieć to wszystko...

Był gotów, zanim przybiła do burty okrętu, i pomógł jej przytrzymać łódź.

– Jak ci poszło? – spytała. – Dawno nie byłeś pod wodą.

Koleżeński, życzliwy ton tego pytania rozminął się z nastrojem Barnata; wywołał jakiś tępy oddźwięk. Wydał mu się zdawkowy, nie dość ciepły, pozbawiony odcienia serdecznej troski, jakiej oczekiwał w tych okolicznościach. Teresa mogła tak zapytać każdego znajomego. Na każdego mogła spojrzeć w ten sposób – przyjaźnie, nawet z pewnym zainteresowaniem, nie zdradzającym jednak niepokojem o taką czy inną odpowiedź.

– Poszło dobrze – mruknął. – Nie zdobywaliśmy tu rekordów, ale naturalnie tak czy owak trochę się wychodzi z prawy. Za parę dni to wyrównam.

– Na pewno.

Tym razem powiedziała to ze szczerym przekonaniem, które mu pochlebiło.

– Gdzie się spotkamy? – zapytał.

– Odwiozę ich pod Dworzec Morski do autobusu, a potem muszę odprowadzić łódź do Basenu Południowego. Jak chcesz, to jedź ze mną.

Gdy wszyscy wsiedli, Antoni odepchnął szalupę i przysiadł z boku na burcie. Czeluśniak rzucił mu nieufne, podejrzliwe spojrzenie, po czym przeniósł je na Teresę. Siedział na skraju ławki i świdrował ich wzrokiem. W końcu pochylił się ku Barnatowi i chrapliwym szeptem spytał:

– Znacie wy Grabienia?

– Znam – odrzekł Antoni. – Mieszkam tam, u jego matki. Bo co?

Czeluśniak znów obejrzał się na Teresę i potem utopił w nim ciężkie spojrzenie.

– Rachwałówna jest jego narzeczoną – powiedział z naciskiem. – Wiedźcie to sobie.

– Wiem to i bez was – odparł Barnat błędąc. – Tylko nie wiedziałem, że takie sprawy też was interesują jako starszego nurka. Myślałem, że to do was nie należy.

Czeluśniak zacisnął wąskie wargi. Chciał coś odpowiedzieć, ale Antoni z bliska zajrzał mu w oczy i dodał:

– A to wam jeszcze powiem, żebyście się ode mnie odczepili. Rozumiecie? To są moje osobiste sprawy. Moje, Rachwałówny, Grabienia, ale nie wasze! Wiedźcie to sobie!

Wstał nagle, odwrócił się i przeszedł na drugą burtę. Czuł, że jeszcze chwila, a chwyci za gardło tego człowieka, który ustawicznie wchodził mu w drogę.

* * *

Motorówka przybiła do Nabrzeża Francuskiego i nurkowie kolejno wysiedli na brzeg, żegnając się hałaśliwie z Teresą, która odpowiadała na ich żarty śmiejąc się wraz z nimi. Barnat zauważył, że Czeluśniak podał jej rękę i zawahał się, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale zapewne się rozmyślił, bo tylko spojrzął po raz ostatni w stronę Antoniego i spiesznie odszedł wyprzedzając innych.

– Co on ci powiedział? – spytała Teresa.

Antoni drgnął i odwrócił się ku niej: zobaczył jej duże, ciemnoniebieskie, niemal granatowe oczy, szeroko otwarte, jakby nieco zdziwione. Zapatrzył się w nie, zapominając na chwilę o całym świecie. Dopiero gdy opuściła rzęsy i odwróciła wzrok, z powracającym rozdrażnieniem powtórzył:

– Co mi powiedział? Że... Ach, mniejsza z tym – urwał nagle. – Jedźmy!

Po napadzie gniewu ogarnął go teraz smutek, wywołany przypomnieniem tego, co zastał pomiędzy Teresą a Rafałem Grabieniem. Czy Teresa go pokochała?

Chłód objął mu serce, jakby padł na nie cień tego przypomnienia, podobny smętnemu cieniowi chmury przeciągającej nad wypaloną, znękaną żarem słonecznym ziemią. Błask owego żaru nagle stracił swą ostrość i Antoni – podobnie jak człowiek ogarniający jednym spojrzeniem daleki krajobraz w jego wyraźnych kształtach i barwach – ujrzał cały ogrom bólu, jaki ta myśl w sobie

kryła. Doznał uczucia przygnębiającego opuszczenia, gorzkiej samotności i nieprzewycięzonego smutku, jakby go ograbiono, wyklęto i wygnano na zawsze z tego świata, na którym przebywała Teresa, do jakiejś pustej przestrzeni, gdzie panuje rezygnacja.

Łódź wolno opłynęła wysunięty występ nabrzeża i kołysała się łagodnie, zbliżając się do basenu węglowego. Słońce staczało się w odmet dymu i pyłu stojącego nad portem. Maszty i kominy statków, dźwigi i wywrotnice wyrastały gęstym, stłoczonym tłumem z czarnego cienia, który leżał na wodzie w głębi basenu, a czerwone płaty pełgały po falach biegnących z lekkim powiewem wiatru. Szczęk i zgrzyt żelaza, pomruki maszyn, hurgot zsypywanego węgla, gwizd parowozów i jęki zderzaków dochodziły z dala zmieszane i stłumione jak dźwięki orkiestry strojącej instrumenty. W przeciwnej stronie, ponad długą, prostą linią falochronu, który odcinał port od zatoki różowiac się w blaskach zachodu, sunęły dwa czy trzy żagle i wznosiło się niezmiernie głębokie, jasne jeszcze niebo ze wstydliwymi obłokami, wędrującymi wielkim, rozciągniętym stadem w ślad za gasnącym dniem – na zachód.

Antoni star naprzeciw Teresy, wsparłszy brodę na dłoni, a łokieć na daszku sterówki. Gdy łódź przemknęła przez wejście Basenu Południowego, Teresa zatrzymała silnik. Po lewej stronie drzemały przycumowane rybackie trawlerzy dalekomorskie, na prawo – kilka kutrów, jakieś lichtugi i holownik dyszący parą. Zresztą basen był pusty i zdawał się drzemać w zapadającym mroku, który wypętał spod nabrzeży i ścielił się po wodzie.

– Więc chciałaś pojechać do Warszawy, żeby się ze mną zobaczyć – powiedział wolno Antoni. – Och, Tereso, to byłoby dla mnie coś takiego, o czym zabraniałem sobie nawet pomyśleć. Tylko że myśli nie są posłuszne zakazom. Zobaczyć ciebie – tam! A raczej – ty, żebyś mnie tam zobaczyła... poprzez kraty! Nie: nie wiedziałem, czy mam tego pragnąć. Przecież zobaczyłabyś nie mnie. Człowiek przestaje być sobą w więzieniu. Przestaje rozporządzać swoim życiem, losem, przyszłością. Jest obezwładniony, nie decyduje o niczym, tęskni i czeka.

Mówił nie patrząc na nią, jakby rzucał słowa przed siebie na opalizującą wodę, czarną u brzegów, splamioną czerwienią i fioletem pośrodku, połyskującą jasnym odbiciem nieba w oddali. Umilkł i zdawał się nasłuchiwać, czy głos nie wróci stamtąd. Lecz woda milczała, a słowa przepadły zgubione pośród rozmigotanych płatów umierającego blasku.

– Tęsknić i czekać... – powtórzyła Teresa. – I ja niegdyś tęskniłam i czekałam, ale tyś wtedy nie wracał, choć nas nie dzieliły kraty. Tyś wiedział, że stamtąd wyjdiesz. Miałaś nadzieję. Mogłaś liczyć dni, bo każdy miniony dzień zbliżał cię do wolności. Moja nadzieja z każdym dniem gasła, aż wypaliła się we mnie na popiół. I serce mam także na popiół spalone: przestało już boleć, zanim wróciłaś.

Dopiero teraz na nią spojrzął i znów spotkał jej duże, smutne oczy, w których spodziewał się wyczytać zaprzeczenie tego, co usłyszał.

– Wróciłem, żeby naprawić to wszystko – wybuchnął namiętym szeptem. – Żebyś mi przebaczyła. Kocham cię, Tereso. Nie wiedziałem dotąd, jak bardzo cię kocham.

Zdawało mu się, że dostrzega na jej twarzy wahanie. Kąciki jej ust drgnęły. Opuściła głowę, on zaś mówił dalej przejmującym szeptem, który przenikał ją na wskroś, docierając do serca, do tego serca, o którym przed chwilą powiedziała, że przestało już boleć, że wygasło.

Ów szept – jak tchnienie wiatru – zdolny był rozniecać iskry. Bała się tego. Bała się bólu, niepokoju, zawieruchy, pożaru, który może powstać z przysypanego popiołem ogniska, jeśli została w nim bodaj jedna mała isierka.

– Powiedziałaś kiedyś, że mi przebacysz wszystko, nawet największą krzywdę. Dlatego wróciłem! Wiem: masz narzeczonego. Powiedzieli mi o tym. Zresztą on sam mi o tym mówił, a ja... Bądź spokojna: on się nawet nie domyśla. Nie udusiłem go, choć w pierwszej chwili miałem na to wielką ochotę. To nie jest człowiek, którego bym w ten sposób miał usuwać z drogi. To nie jest człowiek dla ciebie, Tereso, ten... ten dzieciak.

– Jest dla mnie bardzo dobry – powiedziała cicho. – Nikt taki dobry dla mnie nie był jak on.

– Kochasz go? – spytał porywczo.

– Zostanę jego żoną – odrzekła spokojnie, patrząc mu znów prosto w oczy. – Chciałam ci to powiedzieć, zanim... zanim jeszcze wróciłeś. Dlatego starałam się o widzenie z tobą. Ale tak jest lepiej, łatwiej niż tam. Rozumiesz mnie?

Jej głos wzruszał go tak bardzo, że nie od razu pojmował sens wypowiedzianych przez nią słów. Dopiero po chwili dotarły do jego świadomości i wówczas lodowaty chłód przejął go dreszczem: otwierała się przed nim przepaść; ziemia usuwała mu się spod nóg!

– Więc nie chcesz mi przebaczyć – powiedział z wysiłkiem.

Pochyliła się ku niemu jakby wbrew własnej woli.

– Przebaczyłam ci wszystko. Już dawno. I ty nie miej po mnie żalu, Antoni. Byłam sama, bardzo nieszczęśliwa. Skąd miałam wiedzieć, że ty jeszcze o mnie myślisz? On wtedy przyszedł. Był cierpliwy. Był dla mnie dobry – mówiłam ci już... Uratował mnie od rozpacz. Pomógł mi. Zawdzięczam mu to, że mogę się uśmiechać, że odzyskałam spokój, pogodę, chęć do życia. Obiecałam mu, że wyjdę za niego za męża. Nie mówiłam mu o tobie, bo i po co? Ale chciałam do końca postępować lojalnie wobec ciebie. Chciałam, żebyś wiedział, że możesz nie liczyć się już ze mną. Przecież wiedziałam, że ci to ciążyło dawniej; że wolałbyś może więcej mnie nie widzieć, pozbyć się mnie w jakiś sposób. I chciałam ci sama to powiedzieć. Gdybyś był wolny, powiedziałabym ci o tym wcześniej...

Pomyślał, że wówczas straciłby ją bezpowrotnie, lecz natychmiast uprzytomnił sobie, że teraz traci ją również. Że to się już stało.

Na krótką chwilę ogarnął go nagły, ślepy bunt, który buchnął w nim jak płomień i rozwiął się bezsilnie. Zabrakło mu słów, którymi mógłby wyrazić to, co czuł.

– Przegrałem swoje szczęście – szepnął tak cicho, że Teresa tego nie dosłyszała.

* * *

Po tej rozmowie Barnat postanowił wykreślić Teresę z pamięci i z serca. Za dobrze ją znał, aby przypuszczać, że nie dotrzyma obietnicy danej Rafałowi, nawet jeśli jej uczucie dla tego chłopca byłoby samą tylko wdzięcznością za jego dobroć.

Dobroć! Antoni zdawał sobie sprawę z uwielbienia, jakim Rafał Grabień otacza Teresę. Ten żywy, o szybkich, nagłych ruchach, sprężysty młody mężczyzna czynił wrażenie podobne do widoku szpady w rękę znakomitego fechtmistrza. Niespodziane błyski jego oczu i zębów w szczerym, wesołym śmiechu sprzyjały temu porównaniu. Mięśnie miał jak gdyby stale napięte, gotowe do wykonania jakiejś czynności wymagającej pośpiechu czy też gwałtownego skoku. Dopiero gdy znajdował się w obecności Teresy i mógł na nią patrzeć – lub raczej tonąć w niej wzrokiem – to naprężenie mijało zamieniając się w rodzaj skupionej kontemplacji. Zdawał się wtedy chłonać każde jej słowo, nie tracąc z oczu najmniejszego gestu czy ruchu, które nie mogły ująć jego czujnej uwagi. Czar jej postaci, jej głosu i spojrzeń działał na niego kojąco, przepełniając go zarazem upojeniem. Każda taka chwila wydawała mu się cudem – cudem rzeczywistej miłości unoszącym go z ziemi do jakiegoś niebiańskiego świata, na który składała się tylko i wyłącznie bliskość Teresy.

Ona wiedziała o tym z pewnością lepiej i więcej niż Antoni. Nie byłaby zdolna teraz odebrać Rafałowi tego, czym go obdarzyła zgadzając się zostać jego żoną. Wówczas jeszcze nie uświadamiała sobie całej głębi jego miłości, może dlatego, że sama nie doznawała podobnych uniesień. Jej uczucie, nie pozbawione zresztą tkliwości, kryło w sobie troskliwą rozważę i trzeźwą powściągliwość. Z biegiem czasu, gdy ból i rozpacz rozpląły się w spokojnej rezygnacji, Teresa rozumiała, że ma więcej odporności niż Rafał, o którego zawsze się niepokoiła. Napięcie jego uczuć podobne było do przeciągniętej struny, która nie pęka tylko dzięki temu, że pozostaje w spokoju. Jeśli jednak ktoś brutalnie ją potrafi, zerwie się przy pierwszym drgnieniu. A przecież tylko ona mogła łagodzić ten stan rzeczy i właśnie od niej, od jej decyzji zależało utrzymanie owego spokoju.

Czuła się odpowiedzialna za niego i wiedziała, że gdy ją poślubi, łatwiej jej będzie czuwać nad nim, tym bardziej, iż to małżeństwo – spełniając jego najgorętsze pragnienie – przyczyni się

również przynajmniej do częściowego rozładowania owego napięcia, w którym trwał będąc z dala od niej. Mimo to kazała mu czekać, ponieważ uważała, że wychodząc za mąż postępuje niełojalnie względem Antoniego, dopóki ten ostatni znajdował się w więzieniu.

Rafał ulegał jej tak dalece, że nie próbował nigdy sprzeciwić się tej decyzji, nie znając nawet jej powodów. Nie wiedział nic o Antonim ani o tym, co Teresę z nim łączyło. Domyślał się wprawdzie przyczyny tragedii, którą przeszła, lecz nie zadawał pytań. Uważał ją za taką doskonałość, że wszystko, co postanowiła, co czyniła, teraz lub kiedykolwiek, musiało być słuszne i dobre. Był przy tym szczery i przejrzysty jak czysta źródłana woda i Barnat po kilku dniach poznał go dość dobrze, aby zrozumieć, co się z nim dzieje.

Wbrew okolicznościom polubił go od razu, a ta jego sympatia została żywo odwzajemniona. Gdyby nie dręczące myśli o Teresie, które ściagały Barnata jak cień przesłaniający raz po raz wszystkie inne sprawy, ta wzajemna przychylność pomiędzy nim a Grabieniem okrzepłaby zapewne bardzo prędko w przyjaźń. Lecz Antoni nie zdołał wykonać swego postanowienia; nie potrafił ostatecznie wyrzec się Teresy; nie władał ani własnym sercem, ani pamięcią, która opierała się wszelkim nakazom woli.

Nie mógł się oprzeć chęci widywania jej i nie mógł zresztą uniknąć tych przelotnych, niemal codziennych spotkań wynikających z warunków pracy – podczas przejazdów na wrak „Gneisenau” lub do bazy.

Często zdarzało się, że płynęli motorówką wraz z Rafałem. Zauważył, że Teresę krępuje jego obecność: wydawała się spłoszona i roztargniona; raz po raz odwracała głowę, aby poszukać go wzrokiem, a wreszcie zapewne nakazywała Rafałowi, aby odszedł, bo oddalał się nieco, posłuszny jak zawsze, aby wpatrywać się w nią stojąc gdzieś z boku.

Po skończonej pracy, wysiadając z łodzi Antoni spoglądał na Teresę, mówił z uśmiechem: „do widzenia!” i siedł przed siebie nie oglądając się, aby nikt nie dostrzegł jego zaciętej, chmurnej twarzy.

Wiedział, że Rafał odprowadzi Teresę do drzwi domu, i myśl o nich towarzyszyła mu uparcie, dokuczliwa i natrętna, budząc w nim gniew i zazdrość. Czasem wstępował do Stachurskiego i pił samotnie albo wracał do Tity Lenkiewiczowej czy też do Ireny, aby zapomnieć o Teresie. Zawsze nazajutrz budził się z niesmakiem i w takich chwilach pragnął już tylko znaleźć się jak najprędzej z dala od Gdyni, na morzu lub raczej pod jego powierzchnią, przy pracy. Wiedział z własnego doświadczenia, że tylko praca wymagająca skupienia wszystkich sił i całej uwagi może mu dopomóc w odzyskaniu spokoju.

Rozdział XIX

Tym jego życzeniom stało się wreszcie zadość. Po konferencji w Centralnym Zarządzie Polskiej Marynarki Handlowej ogólny plan robót przy podnoszeniu wraku m/s „Adlerness” został ostatecznie zatwierdzony, dyrektor Zięborak wyjechał do Szczecina, aby dopilnować wykonania przez tamtejszą stocznnię dziesięciu pontonów po pięćset ton wyporności każdy, a kapitan Jakus zajął się załadunkiem całego wyposażenia technicznego wyprawy na specjalnie przystosowany do celów ratowniczych lodołamacz s/s „Posejdon”.

Szesnastego czerwca przed świtem dwudziestu nurków i dziesięciu robotników z załogi powierzchniowej weszło na pokład, który miał być ich warsztatem pracy i domem w ciągu najbliższych paru miesięcy. S/s „Posejdon” poprzedzany przez holownik pomocniczy „Swarożyc” oddał cumy i wypłynął poza falochron, aby przeciąć zatokę i skierować się na północo-zachód tą samą drogą, którą przed sześciu laty uchodził z Gdyni „Adlerness” skazany już z góry na zatonięcie u wybrzeży Rozewia.

Było jeszcze ciemno, gdy mijali cypel Helu. Barnat stadna dziobie wraz z Grabieniem i Habzą. Rozmawiali o wczorajszej naradzie roboczej i o człowieku, który miał pokierować tym niezwykłym przedsięwzięciem.

Narada co prawda poszła dość gładko, ale później, gdy zostali między sobą w świetlicy – odezwały się głosy krytyczne. Byli i tacy, którzy nie wierzyli, żeby się to mogło udać. Taki Wachel

na przykład. Po prostu powiedział, że on nie myśli drążyć tunelu pod kilem statku, którego kadłub ma dwadzieścia cztery metry szerokości: „Włazić tam z wężem i rozplukiwać dno? A jak się to zawali – to co? Kto mnie będzie ratował – Jakus?!”

Ktoś mu powiedział, że trzeba było tak gadać w czasie narady, nie teraz, ale Wachel wzruszył ramionami: „Będę się tam wychylał na naradzie! Za siebie i za was!”

Kapitan Jakus nie ukrywał zresztą trudności. Owszem, oświadczył nawet, że w tej chwili nie ma wypróbowanych sposobów na wykonanie pewnych robót. „Ale je wynajdziemy, wypróbujemy i postawimy na swoim”.

Grabień i Habza, i ci, co już z Jakusem pracowali od dłuższego czasu, lubili go i wierzyli mu. A także ufali w swoje własne siły. I jemu, i im ta trudna praca dawała nie tylko chleb: była także ujściem dla ich ambicji, dla odrębnych, bujnych temperamentów. Jeśli zaś chodzi o Jakusa, to łączył on w sobie twórczy zapał z umiejętnością wykonywania zamierzeń; z umiejętnością opartą nie tylko na wiedzy i doświadczeniu (które nie zawsze wystarczają przy takich przedsięwzięciach), lecz także, a raczej przede wszystkim, na trafnej ocenie środków i celów, która stanowi najwyższą zaletę każdego dowódcy.

Statek szedł po ciemnym, lekko rozkołysanym morzu, równie czarny jak brzeg widoczny po lewej stronie i jak sylwetki ludzi na pokładzie. Na mostku widać było wyniosłą postać jego komendanta, kapitana Hornunga, który się tam ukazał w chwili, gdy pierwsze obroty śruby s/s „Posejdon” wzburzyły wodę za rufą. Jego donośny głos rozlegał się raz po raz podczas manewrowania w basenie i przy wyjściu z portu, po czym już tylko barczysty, wysoki cień z jaśniejącą siwą brodą tkwił nieruchomo na tle białej ściany sterówki.

O tym starszym już, chyba sześćdziesięcioletnim marynarzu nie wiedzieli nic zgoła. Tylko Czeluśniak znał go bliżej. Z jego skąpych napomknień domyślali się, że służył za młodu w rosyjskiej marynarce wojennej. Miał za sobą chlubną przeszłość rewolucyjną sięgającą roku 1917 i okrętu „Aurora”.

Wyglądał ze swą siwą brodą, jastrzębim nosem, krzaczastymi brwiami i stalowym, przejmującym wzrokiem na starego korsarza. Ten wygląd podkreślała jeszcze czarna jedwabna chustka, którą obwiązywał sobie głowę. Zaiste, gdyby ukazał się przepasany czerwoną szarfą, ze sztyletem u boku, na szkaforcie żaglowca – jakiejś fregaty lub brygu, nad którym powiewałaby czarna flaga z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami – nie raziłby tam ani trochę.

Tu, na mostku „Posejdon”, sprawiał wrażenie jakiegoś anachronizmu z ubiegłych stuleci, co jednak bynajmniej go nie ośmieszało, lecz przeciwnie – dodawało mu powagi i budziło pełne szacunku zaciekawienie.

Cienka, delikatna przesłona mgły zakryła na chwilę brzeg porośły lasem. Gwiazdy zbladły, jakby zapadając głębiej w niebo, które zaczęło różowieć na wschodzie i czerwieniało coraz bardziej rozpalane zbliżającym się słońcem. Nagle zza ciemnej linii horyzontu strzelił słup światła i natychmiast blask rozsypał się po morzu, odziewając je w pancerz ze złotej łuski. Mgła uniosła się, a czarny brzeg stanął w ogniu, występując wyraźnie w nowych, dziennych barwach: rdzawoczerwone pnie sosen, ciemne, zielone ich korony, żółte, okryte kwieciem krzewy i olśniewająco biały pas piasku.

Z wody przed dziobem statku z głośnym łopotem skrzydeł porwały się mowy i pozęgłowały w jasność słoneczną wzbijając się wysoko w górę, coraz wyżej, aż przestały błyszczeć w słońcu i stały się ciemnymi przecinkami na tle błękitu.

Kapitan Hornung poruszył się i powiedział coś do marynarza stojącego za sterem. Potem podszedł do telegrafu maszynowego i energicznie przestawił mosiężną rękojeść.

Z wnętrza statku dobiegł stłumiony jęk dzwonka, śruba zwolniła obroty, dziób wykręcał na prawo. Wtem z piekielnym rumorem łańcuchów, od którego zadrżały maszty i wstrząsnął się pokład, wypadły z kluz kotwice wznosząc fontanny bryzgów. „Posejdon” stracił pęd, obrócił się rufą ku brzegowi i stanął tuż obok wielkiej zielonej boi, oznaczającej miejsce, w którym na głębokości trzydziestu pięciu metrów leżał „Adlernest”.

* * *

Pierwszą i jedną z najważniejszych czynności przygotowawczych przy ratowniczych robotach podwodnych jest unieruchomienie statku ratowniczego ponad wrakiem. Każdego nurka schodzącego pod wodę łączy ze statkiem ratowniczym gumowy przewód powietrzny i linka bezpieczeństwa z wplecionym w nią kablem telefonicznym. Gdyby statek stał tylko na jednej kotwicy, mogłaby go obrócić każda zmiana kierunku wiatru lub prądu, nie mówiąc już o niespodziewanym sztormie. Wtedy przewody zostałyby zerwane, a nurek skazany na pewną śmierć, zwłaszcza jeśli w takiej chwili znajdowałby się wewnątrz wraku.

Poza tym statek ratowniczy powinien stać dokładnie nad tą częścią wraku, przy której w danym czasie odbywają się roboty, a to dlatego, aby nurek mógł opuszczać się niemal pionowo w dół i aby sygnalista miał ułatwioną obserwację i nadzór nad jego bezpieczeństwem.

W tym celu kapitan Hornung, według wskazówek Jakusa, rzucił w równych odstępach dokoła m/s „Adlernest” dziesięć kotwic, które utworzyły elipsę o średnicach stu i dwustu metrów. Do każdej z tych kotwic dołączony został niewielki odcinek łańcucha, przez którego ostatnie ogniwo przewleczono podwójną stalową linę takiej długości, aby jej wolny koniec sięgał powierzchni morza. Do końców lin umocowano boje i „Posejdon” wszedł w środek tak wyznaczonego kręgu, zbliżając się dziobem pod wiatr do jednej z boi. Gdy się zatrzymał, z pokładu rzucono siedmiocalową manilową cumę, którą załoga szalupy pod dowództwem bosmana połączyła szakłami z kotwiczną liną boi.

Następnie wszystkie pozostałe boje połączono z takimiż manilowymi linami opuszczanymi kolejno z rufy i z obu burt statku, tak że lodołamacz tkwił niby pajak pośrodku sieci, mogąc jednak przesuwać się aż do jej skraja przez popuszczanie jednych i naciąganie przeciwległych lin.

Był teraz bezpieczny i pewny; żaden wiatr, żaden nadciągający sztorm nie zdołałby go zerwać z takiej uwięzi.

Dokonawszy tego dzieła w ciągu jednego dnia, kapitan Hornung rozstawił na pomoście składane krzeselko i zasiadł tam wsparty łokciami o poręcz, a Jakus – zebrawszy wszystkich nurków w świetlicy – wyłożył im plan działania na najbliższy okres czasu.

Przede wszystkim należało umocować w odpowiednim miejscu linę zejściową na wraku. Tym miejscem miał być luk świetlny maszynowni, który – według zdania Barnata – powinien znajdować się między kominem a kuchnią, na poziomie jej dachu.

– Lina od boi oznaczającej wrak jest przytwierdzona do windy przed tylnym masztem – mówił Jakus. – Przy pierwszym zanurzeniu tą właśnie liną się posłużymy. A teraz – dlaczego chcę umocować pierwszą linę zejściową do luku świetlnego? Dlatego że tamtędy prawdopodobnie najłatwiej będzie się można dostać do wnętrza wraku. Musicie tam wejść i zbadać wszystkie te pomieszczenia wodoszczelne, które nie zostały uszkodzone. Zamkniemy je i usuniemy z nich wodę wtfaczając powietrze. W ten sposób uzyskamy więcej niż połowę wyporu koniecznego do pływalności wraku; resztę dadzą nam pontony.

– Zaczniemy jutro z samego rana – ciągnął dalej spoglądając po ich skupionych, poważnych twarzach. – Najpierw trzeba zbadać i uszczelnić grodzie maszynowni wraz z ubocznymi pomieszczeniami obok niej i nad nią – przedziałem agregatów, warsztatem podręcznym i przedziałem maszyn chłodniczych – celem odcięcia tych pomieszczeń od drugiej i trzeciej ładowni, które później wydmuchamy. Tu macie plan, na którym są te wszystkie pomieszczenia. Ale plan jest niedokładny: mogą w nim być pomyłki. Dlatego każdy z was dostanie odbitkę tego planu i po każdym wynurzeniu porobi ewentualne poprawki. Te poprawki będziemy przenosić na każdą odbitkę i w taki sposób wszyscy będą mogli z nich korzystać.

Mówił prosto, przystępnie, wyjaśniając kolejno wątpliwości, jakie im się nasuwały. Ostrzegał przed zbytnimi wysiłkami i przed lekceważeniem niebezpieczeństwa. Przypominał o ostrożności. Wreszcie wyznaczył kolejność, w jakiej mieli schodzić pod wodę, i ustalił tymczasowe zespoły.

Barnat słuchał dotąd z pewnym roztargnieniem. Był przecież doświadczonym nurkiem; nie trzeba go było pouczać o najprostszych sprawach. Lecz gdy Jakus zwrócił się wprost do niego z pytaniem, czy chciałby nazajutrz pokierować pierwszym zespołem pod wodą, zawahał się przez sekundę: to było więcej, niż oczekiwał.

Odpowiedział powściągliwie, że spróbuje. Z jednej strony pochlebił mu ten wybór; z drugiej – miało to być jego pierwsze tak głębokie zanurzenie.

Nie opuszczał się dotąd nigdy poniżej dwudziestu metrów, a tylny pokład m/s „Adlerness” powinien by mieć nad sobą co najmniej ze trzydzieści, ponieważ rufa osiadła bardzo nisko w gruncie.

Wiedział, iż żaden z pozostałych nurków nie pracował jeszcze na tej głębokości, lecz kilku z nich opuszczano do czterdziestu metrów podczas ćwiczeń na kursie przeszkoleniowym, a Czeluśniak miał za sobą kilka takich zanurzeń przed wojną, jako obserwator przy pracach hydrograficznych w Gdańsku.

Kapitan Jakus mógł być wywnioskować z rozmów z Antonim, że i on w podobnych pracach brał udział, a Barnat nie wyprowadzał go wówczas z błędu; przeciwnie: z tego, co mówił, wynikało, że ma wszechstronne doświadczenie również na głębokich wodach.

Ta sprawa nie zaprzętała zresztą jego myśli dłużej niż przez minutę; nie wątpił ani przez chwilę, że da sobie radę.

* * *

Nazajutrz o piątej rano cała załoga statku i ekipa nurków była już po śniadaniu, a kapitan Hornung zajął znów swe stanowisko na składanym krzeselku rozstawionym tuż przy barierce mostku.

Barnat i Orbach oraz Habza, który miał być ich sygnalistą pośrednim, pozostającym na pokładzie wraku podczas gdy wejdą do wnętrza, ubierali się szybko. Wachel, wyznaczony do następnej zmiany jako nurek rezerwowy, grzebał wśród wełnianych swetrów i rajtuzów, wybierając sobie trzy nowe komplety. Trzej sygnaliści przygotowywali zapasowe odcinki węży gumowych, a Czeluśniak ustawiał telefony.

Antoni był trochę podniecony, nie tyle z powodu zadania, jakie go czekało, ile dlatego, że za chwilę miał zobaczyć ów statek, z którego zatopieniem wiązały się jego dalsze dzieje przez te wszystkie lata aż do dnia dzisiejszego. Myślał, że oto krąg zdarzeń zamyka się teraz; że jego losy znów stają w punkcie wyjściowym, aby potoczyć się tak, jak on sam nimi pokieruje.

Wyszedł na pokład i siadł na ławce, przy której czekał już Gert z jego skafandrem. Wciągnął wełniane rękawiczki i wsunął się w gumowany brezentowy kombinezon. Gert pomógł mu go naciągnąć i precyzyjnie przesuwać dłonie przez ciasne mankiety rękawów zakończonych gumowymi rękawicami. Potem zasznurował mu ciężkie buty z ołowianymi podeszwami, zapiął pasy i szelki, założył poduszkę pod hełm i miedziany gorset ochronny na klatkę piersiową.

Któryś z młodszych nurków przyniósł hełm sprawdzony przez Czeluśniaka. Antoni pochylił lekko głowę wyciągając szyję. Na krótką chwilę ślepa ścianka zasłoniła mu widok. Dźwięknął metal, bruzdy gwintu weszły w rowki i hełm obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, okienkiem na wprost twarzy.

Czeluśniak stanął z boku i przyglądał się tym przygotowaniom spode łba. Gdy Gert założył rygiel bezpieczeństwa, odsunął go i sam umocował do pierścienia z przodu gorsetu linkę i przewód powietrzny.

– Wypróbujcie telefon – mruknął do Barnata. Antoni nacisnął kontakt, a gdy dzwonek zadźwięczał donośnie, policzył głośno do pięciu.

– Dobrze – skinął głową Czeluśniak. – Dajcie powietrze! – zawołał do obsługi pompy.

Zawór zaczął dyszeć ustępując pod ciśnieniem z cichym metalicznym stukaniem.

– W porządku – powiedział Gert.

Barnat pomacał się po boku szukając noża. Był tam zatknięty w pochwie u pasa.

Wstał, dźwigając na sobie więcej niż sam ważył, i pod rękę z Gertem podszedł do żelaznej platformy z wysokimi poręczami. Wstąpił na nią i spojrzał przez górną szybę na stalówki biegnące od haków do bloku na bomie.

Jakus podszedł do niego i raz jeszcze przypomniał mu, co ma być zrobione: umocować linkę zejściową, pootwierać i umocować otwarte drzwi łączące galeryjki maszynowni z korytarzami, a

także wszystkie drzwi od kabin, aby umożliwić odpływ wody przy wynurzeniu wraku; założyć dwa trapy u burt, aby ułatwić nurkom komunikację między pokładem wraku a dnem morza.

– Nie śpieszcie się – dodał. – To jest kolejność robót na cały dzień, nie tylko dla waszego zespołu.

Pompa znów zaczęła tłoczyć powietrze. Gert zamknął szybę w hełmie Barnata i odstąpił krok w tył. Antoni uregulował zawór wylotowy i dał znak, że jest gotów.

Kapitan Hornung skinął głową:

– W górę!

Winda zaczęła się obracać, platforma drgnęła, uniosła się powyżej relingu, bom obrócił się i wyniósł ją poza burtę nad wodę.

– Na dół – powiedział Hornung. – Wolno.

Antoni stojąc przodem do statku zjeżdżał wraz z platformą niżej i niżej. Poczuł objęcie wody dokoła nóg, w pasie, u ramion. Jasnozielone drobne, migotliwe fale zatańczyły przed szybą; srebrna, drgająca powierzchnia wody zamknęła się nad nim i platforma zatrzymała się, aby mu dać czas na sprawdzenie, czy wszystko jest w porządku.

– Dobra – powiedział głośno. – Schodzę.

Na pokładzie Gert wybrał luz jego liny i gumowego węża. Antoni zrobił krok naprzód w otchłań i zawisł na przewodach.

Czuł, że posuwa się poprzez wodę ciągnięty przez sygnalistę i po chwili zobaczył przed sobą dno wielkiej zielonej boi, pod którą drgała wyprężona stalówka.

– Trochę niżej – powiedział i boja natychmiast uniosła się sprzed jego oczu jak balon.

Chwycił stalową linę obiema rękami, objął ją nogami i spojrzawszy po raz ostatni w górę na srebrzącą się w słońcu powierzchnię morza powiedział:

– Na dół!

Napięcie przewodów zelżało. Chwył za chwytem schodził w głąb, niemal prostopadle. Zielona jasność gasła, ciemniała, stawała się brunatnym mrokiem. Powietrze szumiało wpadając coraz silniejszym strumieniem do hełmu, bulgotanie u zaworu wylotowego miało ton coraz wyższy.

Pokonał lekki ucisk w uszach i znów schodził w dół. Niżej, niżej, jeszcze niżej...

Spoglądał pod siebie w tę czarną przepaść, która zdawała się nie mieć kresu. Ciśnienie rosnęło. Oddech stawał się szybszy, powietrze ciężkie, duszne.

Jeszcze nic nie widział.

Diabło głęboko – pomyślał.

Pięć chwytów, dziesięć, piętnaście... i jeszcze nic!

Wreszcie wśród bezkształtnej ciemnej głębi dostrzegł zarys wzniesionej rufy m/s „Adlernest”. Spoczywała tu nieruchomo od sześciu lat...

Przed nim, prawie równoległe do liny, po której się zsuwał, wyłonił się białawy pień masztu. I rufa, i maszt wskutek złudzenia optycznego wydały mu się olbrzymie. Wyrosły przed nim potężne nawiewniki obrosłe kędzierzawymi wodorostami i rozkraczone windy potwornych rozmiarów.

Przez chwilę doznał przygnębienia: ten kolos drzemiący spokojnie na dnie, zapadły do połowy w grunt, nie da się ruszyć z miejsca...

Lecz natychmiast odsunął tę myśl.

– Ruszysz się – szepnął. – Ja cię poruszę.

Stanął wreszcie na pokładzie i patrzył. Rufa wznosiła się przed nim pochylona w lewo, ginąca w mroku.

Uśmiechnął się. Rozmawiał na tej rufie z Hjertingiem, który pojawił się tam wtedy jak duch. Mimo woli spjrzał raz jeszcze w tamtą stronę, jakby po to, aby się upewnić, czy ten dziwny człowiek, podobniejszy do chudego widma niż do żywej istoty, nie ukaże mu się znowu.

Jakiś prąd spychał go ku lewej burcie po równi pochyłej pokładu. Zaparł się mocniej nogami.

– Na wraku! – powiedział głośno. – Możecie opuszczać następnego.

Własny głos wydał mu się obcy, nosowy, tępy. Usłyszał odpowiedź Czeluśniaka:

– Na pokładzie! Schodzi Orbach.

Stalowa lina, której nie wypuszczał z ręki, drgnęła i drgała nadal miarowo, jakby w niej coś pulsowało wolnym tętnem.

Orbach schodzi – pomyślał. – Trzeba wreszcie puścić tę linę.

Rozstawił nogi jeszcze szerzej i pochylił się przeciw prądowi. Krok za krokiem dotarł do windy ładunkowej i wsparł się kolanami o jej podstawę.

Mąciło mu się w głowie, która stała się lekka jak bania wypełniona powietrzem. Serce biło niepewnie, słabo, coraz słabiej...

Zemdleję, psiakrew – pomyślał ze złością i z obawą.

Nie zdarzyło mu się to jeszcze nigdy, ale teraz czuł, że za parę sekund straci przytomność: to było znacznie gorsze, niż mógł przypuszczać!

Zobaczył swoją linkę bezpieczeństwa, kołyszącą się wolno na wprost przedniej szyby. Sięgnął po nią, nie mając pewności, czy zdoła szarpnąć ją czterokrotnie, aby go wyciągnięto na powierzchnię, zanim siły opuszczą go zupełnie. Kolana miał jak z waty, głowa pęczniała mu jak dynia i zdawała się unosić nad nim coraz wyżej. Zahaczył końcami palców o linkę, przyciągnął ją do siebie z wysiłkiem. Był słaby, zmęczony, senny...

Lecz gdy już zebrał się, aby dać ów sygnał na powierzchnię, uświadomił sobie, że tam w górze, na pokładzie „Posejdona”, jest Czeluśniak i Jakus, i Grabień, i dwudziestu nurków, którzy będą świadkami jego porażki – jego klęski na samym początku drogi. Miał pokierować pracą pierwszego ich zespołu, a oto nie potrafi zwalczyć własnej słabości! Nie, nie zniósłby takiego upokorzenia.

– Już lepiej niech wyciągną zemdlonego czy nawet trupa – powiedział sobie.

Dyszał ciężko, patrząc szklanym wzrokiem przed siebie, na linę od boi, która drgała coraz wyraźniej pod chwytami Orbacha. Osłabł tak, że nie mógłby zapewne utrzymać się na nogach, gdyby nie winda, o którą się opierał całym ciałem.

Wtem zobaczył jakiegoś olbrzyma trzymetrowego wzrostu, który chwiał się u podstawy masztu, chwytając równowagę za pomocą szybkich ruchów obu ramion, długich jak śmigły wiatraka.

Orbach – pomyślał leniwie.

Był to istotnie Orbach. Jego korpulentna postać, wyolbrzymiona teraz przez wypukłość szyby i dzielącą ich warstwę wody, tańczyła przed oczyma Barnata, dwojąc się i trojąc, drżąc jak cień na ścianie przy chwiejnym płomieniu świecy. Za nim z góry ukazała się obciążona łańcuchem lina zejściowa, którą opuszczano widocznie z pokładu „Posejdona” przed Habzą.

Barnat dojrzał dużą stalową szakłę uwiązaną kawałkiem cienkiej rzutki do ogniwa łańcucha i obejmującą linę, po której dopiero co zszedł Orbach. Pomyślał, że skoro dotąd nie zemdlał, to – zamiast stać beczynnym w oczekiwaniu na utratę przytomności – mógłby spróbować, czy nie uda mu się tej szakli odciąć i odciągnąć linę dalej, aby Habza mógł zejść swobodnie.

Wolno, starając się przeciwstawić prądowi, zaczął iść w stronę masztu, z wysiłkiem przepychając się przez wodę. Dobrnął do liny, przykłęknął, dobył noża. Lewą ręką sięgnął po szakłę, chybił, omal nie stracił równowagi. Orbach pochylił się nad nim, przytrzymał konopną rzutkę, podstawił ją pod ostrze. We dwóch odciągnęli łańcuch ku schodkom prowadzącym na dach kuchni, nad którym sterczała skrzywiona, obluzowana rura komina.

Barnat przystanął, nacisnął brodą kontakt telefonu.

– Na pokładzie! Opuszczajcie Habzę. Lina wolna!

Poczuł się nieco lepiej. Głowa przestała mu „pływać”, serce biło równiej i mocniej. Winszował sobie w duchu, że powstrzymał się od dania sygnału do wynurzenia.

Gestem wskazał Orbachowi schodnię i pierwszy ruszył w górę po wąskich stopniach, ciągnąc za sobą łańcuch. Dostali się na płaski dach kuchni i dowlekli linę z łańcuchem do luku świetlnego maszynowni, który wznosił się na jakieś półtora metra wyżej. Barnat znów przykłęknął, wsparł się obu rękami o dach nie wypuszczając rzutki. Orbach zrozumiał: ostrożnie postawił stopę na jego grzbiecie, uniósł się w górę, usiadł na ramie skylightu. Potem dopomógł Antoniemu dostać się tam również.

Opuścili koniec łańcucha przez otwarte okno luku, odbezpieczyli mniejszą szakłę łączącą pierwsze ogniwo z pętlą u końca liny i zwolnili łańcuch, który opadł w dół, do wnętrza maszynowni.

Barnat z każdą chwilą odzyskiwał siły. Rozpierała go teraz radość i duma, że wytrzymał. Obejrzał ramę skylightu. wybrał najsolidniejszą, środkową jej belkę i obłożył na niej kilkakrotnie koniec nowej liny zejściowej. Orbach, siedząc okrakiem na owej belce, przysunął się do niego, założył szakłę przez oko pętli obejmując linę, spiął zawiasę, zabezpieczył ją trzpieniem.

Barnat wywołał pokład.

– Lina zejściowa umocowana. Możecie wybrać luz.

Obejrzał się w stronę rufy. Habza mozolnie wchodził po stopniach na daszek kuchni. Zapewne nie czuł się całkiem dobrze, bo raz po raz przystawał chwytając się rękami poręczy. Antoni zsunął się ze skylightu, podszedł bliżej i pomógł mu wydostać się na górę. Doprowadził go do ścianki luku świetlnego, oparł go o nią plecami jak bezwładnego manekina i zbliżywszy głowę do jego hełmu zajrzał mu w twarz przez szybę.

Habza był blady, ale uśmiechał się zuchowato. Odetchnął głęboko, wydymając policzki.

Barnat ścisnął go za ramię.

– Zaraz wam to przejdzie – powiedział wyraźnie.

Tamten widocznie zrozumiał, bo skinął głową i chciał stanąć o własnych siłach, czemu Antoni przeszkodził, przytrzymując go stanowczo.

– Spokojnie, bracie, spokojnie. Trzeba to przeczekać. Dopiero po chwili, widząc, że Habza oddycha normalnie, puścił go i podał mu przewody Orbacha i swoje. Sam wspiął się znów na skylight i przy pomocy Orbacha opuścił się w czarną czeluść luku.

* * *

Na pokładzie „Posejdona” ze środkowego mikrofonu odezwał się zniekształcony, płaski głos Habzy:

– Barnat i Orbach weszli przez luk świetlny maszynowni. Osiem metrów linki.

– Dobrze – powiedział Czeluśniak.

Spośród trzech strumieni pęcherzyków powietrza, pękających na powierzchni u burty statku, dwa przed chwilą znikły. Trzeci strumień wydobywał się spokojnie, wijąc się łagodnymi skrętami tuż u nowozałożonej liny zejściowej. Ten należał do Habzy.

Przy mikrofonie Barnata zadźwięczał sygnał.

– Na pokładzie! Opuśćcie linę z hakiem. Niech Habza nam ją poda.

Czeluśniak spojrział porozumiewawczo na kapitana Jakusa.

– To, czegośmy się obawiali – mruknął. Inżynier skinął głową.

– Dajcie im tę linę, Andrysiak – powiedział do jednego z młodszych nurków.

Potem – do Hornunga:

– Będzie nam potrzebna szalupa, kapitanie.

Hornung obejrzał się na oficera służbowego.

– Łódź wiosłową – rzucił krótko.

Winda mruczała odwijając z bębna zwoje dwucalowej konopnej liny. Potem stanęła. Andrysiak wychylony za falsburtę lekko wybrał luz i czekał. Upłynęła minuta, dwie...

Wtem – cztery energiczne szarpnięcia: wyciągać!

– Wolno – powiedział Jakus.

Lina pełzła z powrotem na pokład. U jej końca ukazał się jakiś ciemny, workowaty kształt.

– Stop winda! – padła komenda.

Łódź już sunęła wzdłuż burty. Dwaj marynarze z załogi zdjęli z haka zwłoki w rozpadającym się, zetłonym mundurze oficera niemieckiej marynarki wojennej.

Zanim jeszcze zdolali z nimi przybić do trapu, rozległ się głos Orbacha:

– Jeszcze raz linę z hakiem!

Ładna historia! – pomyślał Czeluśniak. – Tam jest ze trzy tysiące trupów!

Andrysiak opuściwszy powtórnie linę znów pochylił się nad wodą w oczekiwaniu sygnału. I znów – cztery szarpnięcia. Winda ruszyła, zaczęła ciągnąć, tym razem szybciej. To, o czym

wiedzieli Czeluśniak i Jakus, było wiadome również załodze; jeśli mieli wyciągać ich po jednym, należało się śpieszyć...

Wtem z mikrofonu Habzy wydarł się jakiś niezrozumiały okrzyk.

– O co mu chodzi? – spytał Jakus. Czeluśniak wzruszył ramionami.

– Czego chcecie? – rzucił do telefonu.

Kabza powtarzał coś, czego w żaden sposób nie można było zrozumieć. Bulgotanie, szum powietrza w jego hełmie i zniekształcenie głosu wskutek wysokiego ciśnienia zamazywały słowa.

Nagle odezwał się głos Orbacha lub raczej zduszony, nieartykułowany jęk, pełen przerażenia.

Jego sygnalista spojrzął na Czeluśniaka.

– Luz na przewodach – powiedział prędko. – Wybierać, czy nie?

Czeluśniak się zawahał.

– Czekać. Nie, nie wybierać luzu!

– Stop winda! – zawołał Jakus. – Co się tam stało?

W tej chwili przemówił Habza i teraz inżynier rozumiał:

– Przestańcie wybierać linę. Orbach... Przewód Orbacha wplątał się w hak! Porwało go w górę!

Czeluśniak chwycił się za brodę.

– Niech to wszyscy...

– Winda wolno w dół – powiedział Jakus.

Wszyscy milczeli w niemym oczekiwaniu, patrząc na ruchliwą, obojętną powierzchnię wody, gdzie chwiały się dwa strumienie pękających banieczek powietrza. Pod nią, w głębi, Michał Orbach walczył o swoje życie...

* * *

Gdy lina z hakiem po raz drugi ukazała się w polu widzenia Habzy, Orbach już na nią czekał siedząc na kracie luku świetlnego. Chwycił ją powyżej haka i opuszczył w dół, a po chwili przy pomocy Barnata wyciągnął z powrotem, obciążoną dwoma ciałami przewiazanymi cienką rzutką. Barnat wrócił w głąb galeryjki wewnątrz luku, Orbach zaś stanął na ramie skylightu, czterokrotnie szarpnął linę wyciągową i odsunął się na bok.

Habza zauważył jeszcze, że sygnał do wybierania liny został potwierdzony z powierzchni również czterokrotnym szarpnięciem, po czym ciała niemieckich marynarzy uniosły się w górę i znikły w oddali. Lecz w parę sekund później – ku jego zdumieniu i przerażeniu – śladem zwłok ruszył także Orbach!

– Pojechał mi w górę sprzed nosa jak taki tekturowy aniołek w niebieskiej sukni, co to go przyczepiają na czubku choinki – opowiadał później kolegom, którzy pokładali się ze śmiechu. – Ja go za nogi, uważacie, ale tylko lewy obcas złapałem i wypsnął mi się; więc krzyczę przez telefon. Zapomniałem, psia twarz, że wentyle otwarte i dlatego, ma się rozumieć, trudno tam było na powierzchni skombinować z tych moich wrzasków, co się dzieje. A mój ojciec duchowny grzeje w górę jak przy wniebowstąpieniu! To ja za wentyle i znów wołam, bo już skapowałem, że go hak chwycił. A tu nagle jak mnie nie pociągnie! Kozła machnąłem z tego dachu na pokład, tak mnie szarpnęło. Co? Przewód, ma się rozumieć! No – przewód powietrzny Orbacha, który trzymałem. Wyrwało mi go z ręki...

Orbach od samego początku zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Gdy poczuł, że jakaś siła unosi go z ramy skylightu, spojrzął w górę i natychmiast zauważył, że jego przewód powietrzny zawisł na haku. Wiedział, że jeżeli zostanie teraz wyciągnięty na powierzchnię, nagła zmiana ciśnienia o trzy atmosfery rozsądzi mu płuca i tkanki. Mógł wprawdzie zamknąć zawór wylotowy, lecz wówczas jego ubiór, wypełniony powietrzem jak dobrze napompowana opona ciężarowego samochodu, wyrzuciłby go w górę jak pocisk i z pewnością zostałby rozerwany. Tak czy owak śmierć zaglądała mu w oczy.

Wtedy właśnie zaczął wołać przez telefon, co skłoniło Jakusa do zatrzymania windy.

Nastąpiło to w chwili, gdy hak znajdował się o kilka metrów od powierzchni. Orbach zobaczył go nie wprost nad sobą, lecz skośnie. Widocznie prąd znosił jego ciało w bok. Gumowy wąż

powietrzny przechodził przez uchwyt haka i mógł lada chwila zsunąć się z niego. Wówczas Orbach poszedłby na dno jak kamień, co z kolei groziło mu zgnieciem przez trzydziestopięciometrowy słup wody o ciśnieniu pięćdziesięciu tysięcy kilogramów.

Widział już ofiarę podobnego wypadku. Był to nurek radziecki, który pod wodą spadł z rusztowania wysokości piętnastu metrów. Nagły wzrost ciśnienia zewnętrznego wtłoczył go dosłownie w hełm, jak wyciśniętą z tuby pastę do zębów...

Wtem lina zwolna zaczęła się opuszczać. To kapitan Jakus usłyszał wiadomość podaną przez Habzę i kazał uruchomić bęben windy na wstecznym biegu.

Orbach z niepokojem patrzył w górę. Elastyczny gumowy przewód, przez który otrzymywał powietrze, miał około trzydziestu metrów luzu. Wił się teraz w spiralnych skrętach i nagle – nagle ześliznął się z haka, on zaś sam, nie podtrzymywany już niczym, zaczął tonąć!

Wraz z ekwipunkiem ważył przeszło sto pięćdziesiąt kilogramów, a więc o jakieś dwadzieścia więcej niż ilość wody wypierana przez jego ciało i ubiór. Te dwadzieścia kilogramów pociągało go w dół ze wzrastającą szybkością.

Kombinezon przyłgnał ciasno do jego członków jak forma z ciężkiej, wilgotnej gliny, która szybko zaczyna twardnieć zmniejszając swą objętość. Poczul wzrastający ucisk na żebra; zapierało mu oddech, gniotło, ścisnęło klatkę piersiową jak obręczą. Krew nabiegała do twarzy, tętniła w uszach, rozsadyła mu szyję.

Jeszcze parę metrów, a gnaty mi połamię – przeszło mu przez głowę.

Uświadomił sobie, że w tej krytycznej chwili nie może liczyć na niczyją pomoc: tam na pokładzie „Posejdona” nikt nie wiedział, co się z nim dzieje, a nawet gdyby o tym wiedzieli, nie mogliby go uratować. Lecz nie stracił zimnej krwi: jego myśl pracowała spokojnie i szybko. Jedno mogło go zbawić: wzrost ciśnienia w skafandrze, który przeciwstawiłby się zewnętrznemu ciśnieniu wody.

Sięgnął do zaworu wlotowego i odkręcił regulator. Strumień sprężonego powietrza wdarł się do hełmu, wypełnił kombinezon, zrównoważył natychmiast ciężar, który dotąd ciągnął go w otchłań. Orbach zatrzymał się, zawisł w pół drogi nie zanurzając się głębiej, odetchnął swobodniej.

W uszach kłuło boleśnie, choć zaraz dostroił je do zmienionego ciśnienia. Potem ostrożnie raz po raz zaczął wypuszczać nadmiar powietrza przez zawór wylotowy i wolno pogrążał się coraz bardziej, aż stanął na dnie pośrodku całego stada ryb, które zaczęły go okrążać przemykając tuż przed jego twarzą lub zatrzymując się na wprost szyby, jakby trochę zdziwione, lecz bynajmniej nie spłoszone tym niezwykłym widokiem.

Odgarnął je ręką, co wywołało wśród nich nagłą panikę.

Bolały go wszystkie żebra, w głowie mu szumiało, był na pół ogłuszony.

Odпочzął chwilę i rozejrzał się dokoła. Za nim w brunatnym mroku majaczyła ogromna czarna masa wraku zapadłego głęboko w grunt. Podszedł ku niej po twardym jak beton piaszczystym podłożu. Zamknął na chwilę oba zawory i nacisnąwszy brodą kontakt sygnałowy telefonu powiedział:

– Jestem na dnie. Podciągnijcie mnie w górę do wysokości pokładu „Adlerness”.

Jakus zapytał go, jak się czuje.

– Już dobrze – odrzekł swoim spokojnym, opanowanym głosem. – Chcę wrócić na wrak.

Trzykrotnie szarpnął linkę bezpieczeństwa: wybrać luz. Patrząc w górę zobaczył, że jego przewody kołysząc i wyginając się zostały wyrównane i sklarowane. Biegły teraz niemal pionowo aż do górnej krawędzi burty, która pochylała się o kilka metrów ponad jego głowę.

Cztery szarpnięcia od sygnalisty. Odpowiedział tym samym sygnałem i poczul, że się unosi. Zaciekawione ryby wróciły i znów pływały dokoła jego głowy.

Znalazłszy się na równym poziomie z pokładem, szarpnął linkę: stać! Przelazł przez poręcz, zorientował się, że stoi na wprost trzeciego luku, na którym brak było pokrywy.

– Na wraku – powiedział. – Wracam do roboty.

Odzyskał już siły i zwykły spokój po tej niebezpiecznej przygodzie. Zastanowiwszy się doszedł do wniosku, że wszystko to, od chwili gdy został uniesiony na haku aż do momentu, w którym znalazł się z powrotem na pokładzie m/s „Adlerness”, nie mogło trwać dłużej niż trzy minuty.

Przyszło mu na myśl, że czas nie jest właściwą miarą życia: w ciągu tych kilku minut przeżył znacznie więcej niż w zwykłych warunkach można przeżyć podczas wielu godzin lub nawet dni. Lecz nie zastanawiał się nad tym dłużej, głównie z tego powodu, że nagle ujrzał przed sobą Habzę-olbrzyma, który wykonywał na oślizłym pochyłym pokładzie coś w rodzaju wojennego tańca indiańskiego w zwolnionym tempie.

Dopiero w parę godzin później dowiedział się od swego pomocnika, iż były to objawy żywiołowej radości na jego widok.

Rozdział XX

Z pokładu „Posejdona” jeszcze dwukrotnie opuszczano hak do luku świetlnego maszynowni i jeszcze cztery ciała topielców – lub raczej ich rozpadające się szkielety – opuściły tą drogą miejsce, w którym uwięzły po katastrofie. Lecz obawy naczelnego inżyniera i Czeluśniaka okazały się płonne; w korytarzach, w kajutach i w ogóle w górnych pomieszczeniach nie było więcej zwłok. Działanie wody i prądów w ciągu sześciu lat usunęło je stamtąd bez śladu. Należało przypuszczać, że podobnie ma się sprawa z ładowniami, których luki były otwarte.

Natomiast przed Barnatem i Habzą (który na polecenie Jakusa zastąpił Orbacha) stanęła nowa przeszkoda w postaci zatorów z wszelkiego rodzaju sprzętów, nagromadzonych u drzwi łączących górną galerię maszynowni z korytarzami biegnącymi wzdłuż statku.

Dostali się tam wreszcie przez przejście kuchenne, wydawszy zawiasy palnikiem tlenowodorowym, i zdołali usunąć część owych zatorów, zanim upłynął czas zanurzenia.

Potem powoli podciągnięto ich kolejno do głębokości dwunastu metrów, gdzie spięta szakłą z liną zejściową oczekiwała na nich platforma. Stanęli na niej rzędem, Barnat odpiął szakłę i platforma wraz z nimi oddaliła się od liny, zawisając o kilka metrów dalej pionowo pod bomem.

– Lina zejściowa wolna – powiedział Antoni.

Orbach zaczął się gimnastykować, aby przyspieszyć dekompresję przez szybsze krążenie krwi. Habza poszedł za jego przykładem, a Barnat nie mógł powstrzymać uśmiechu na ten dziwaczny widok. Skłony olbrzymich tułowi, które grubiały i skracały się ostro, to znów wyciągały się nieprawdopodobnie, zależnie od kąta, pod jakim je widział, ich ramiona wylatujące gdzieś w zieloną przestrzeń wody i wracające stamtąd, przysiady, rozkroki i podskoki czyniły groteskowe wrażenie. W pewnej chwili usłyszeli, że Orbach śpiewa do taktu, straszliwie fałszując. Roześmiał się głośno, lecz sam również zaczął te ćwiczenia, aby się rozgrzać.

Kucali teraz we trzech, zginali i rozprężali ramiona, wykręcali się w lewo i w prawo, ku zdumieniu kilkunastu drobnych śledzi, które przemykały obok ich hełmów, jakby chcąc odkryć przyczynę tego niezwykłego widowiska.

Po pięciu minutach Czeluśniak uprzedził ich, że podciąga platformę do dziewięciu metrów, więc Orbach i Habza ujęli poręcze i chwycili pod ręce Barnata, który stał pośrodku. Prąd wody jak spokojny, wolno toczący się strumień popłynął z góry od głów ku stopom i stanął.

– Dziewięć metrów – powiedział Czeluśniak. – Druga stacja – dziesięć minut.

W oddali drgała czarna, gruba lina zejściowa, obok której z zielonego półmroku wyłonił się jeszcze jeden olbrzym zwisający na gumowym przewodzie powietrznym.

Opuszczają następny zespół – pomyślał Barnat.

Nurek zbliżył się do liny, objął ją nogami, zaczął zsuwać się w dół. Znikł wkrótce i tylko wijące się spiralnie srebrne banieczki powietrza wskazywały jego drogę w głąb ciemniejszej otchłani.

Habza podskakiwał to na jednej, to na drugiej nodze i usiłował krzesać hołubce, które mu jednak nie wychodziły w piętnastokilogramowych butach.

– Potraficie to zrobić? – zawołał zbliżając swój hełm do hełmu Barnata.

Antoni spróbował raz i drugi, ale daremnie. Powrócił więc do łatwiejszych ćwiczeń. Następny nurek przesunął się majestatycznie przed nimi niby zjawa powstała z zagęszczenia brunatnozielonej wody, dostrzegł ich, uniósł rękę i rozpląnął się przy tym pozdrawiającym geście.

Podniesiono ich do sześciu metrów.

– Trzecia stacja – piętnaście minut – oznajmił Czeluśniak.

Antoni westchnął: to dopiero nuda!

Wiedział, że musi się zdobyć na cierpliwość. Nie ma innego sposobu pozbycia się z krwi azotu rozpuszczonego w niej pod ciśnieniem kilku atmosfer. Jeśli wynurzenie nastąpiłoby bez stacji pośrednich, ten azot, wchłaniany w ciągu godziny i rozprzestrzeniony po całym organizmie, zamieniłby krew nurka w musującą pianę – podobnie jak gaz wtłoczony do wody sodowej spienia ją przy odkorkowaniu butelki. Wówczas – w najlepszym razie – nurek zapada na chorobę zwaną krzywikiem. Jest to dotkliwe cierpienie objawiające się bólem stawów i kręgosłupa, przy częściowym paraliżu kończyn. Lecz często następuje nawet śmierć, jeśli pęcherzyki rozprężającego się azotu zatamują obieg krwi gromadząc się w komorach serca lub rozsądzą naczynia w płucach powodując gwałtowny krwotok.

Odbyli tę piętnastominutową kwarantannę i uniesiono ich do ostatniej stacji na głębokości trzech metrów, gdzie musieli czekać najdłużej, bo aż dwadzieścia pięć minut.

Tu było już prawie jasno; w górze srebrzyła się, igrała blaskiem fala.

Kapitan Jakus rozmawiał przez telefon z Orbachem, który pokrótce opowiadał o swojej przygodzie. Z pokładu opuszczano jakieś narzędzia i zapalony palnik, który narobił piekielnego hałasu zanurzony w wodzie, a potem przez kwadrans wyrzucał wielkie bąble powietrza, pędzące w górę w szalonym pośpiechu.

Wreszcie – głos Czeluśniaka:

– Na platformie! Wyciągamy was na pokład.

Znow strumień prądu, który spływa dokoła ciał obejmując je łagodnym, lecz szczelnym uściskiem, a potem nagle – olśniewająca jasność dnia i przytłaczający, bezlitosny ciężar ekwipunku, którego nie równoważy już powietrze wewnątrz skafandrów i hełmów oraz wypierana przez nie woda.

Platforma unosi się ponad szumiące fale, kołysze się, zatacza łuk, mija burtę, zawisa nad pokładem, zjeżdża w dół. Sygnaliści biorą swoich nurków pod ręce i prowadzą ku ławkom, którzy koledzy podsuwają pod uda omdlewające ze zmęczenia. Szczęk zasuw i gwintów u szybek w hełmach, głębokie, jakże cudowne westchnienie, które wypełnia płuca świeżym morskim powietrzem! Ludzie, pokład, morze, niebo, słońce! Jakież wspaniały, barwny, pełen dźwięków jest świat ponad trzydziestopięciometrową głębią, na której leży wrak m/s „Adlernest”!

* * *

Barnat, Habza i Orbach siedzieli w szatni rozmawiając z nurkami, którzy się tam zeszli, aby raz jeszcze usłyszeć o ich przygodach na wraku podczas pierwszego zanurzenia. Trzeci zespół, złożony z Cencory, Pelca i Grabienia, przebierał się w ciepłą bieliznę. Śmieli się z opowiadania Habzy, który pokazywał, jak Orbach odpłynął w górę niby święty podczas wniebowstąpienia.

W progu ukazał się Czeluśniak, wysłuchał tego barwnego opisu i nawet zdobył się na nieporadny uśmiech, który zresztą nie zdołał spędzić z jego twarzy wrodzonego wyrazu posępnosci. Potem spode łba spojrzął na Barnata.

– Toście się ładnie spisali – powiedział zgryźliwie.

– A bo co? – spytał Antoni. – Co się wam nie podoba?

– Powinniście to sami wiedzieć – odrzekł starszy nurek. – Kazali wam kierować robotą. To jest odpowiedzialność. Za cały zespół, uważacie. No i co? Mogło się skończyć na śmiertelnym wypadku to wasze kierownictwo.

Mówił wolno, z przerwami, jakby opuszczał słowa na podłogę pod nogi Barnata, który siedział nieporuszony, z papierosem w ustach i patrzył na niego pogardliwie.

– Wy byście na moim miejscu do tego nie dopuścili, co? Wy byście byli i wewnątrz, w maszynowni, i na pokładzie; i tu, i tam jednocześnie? No, ja tego nie potrafię – powiedział. – Ale ja bym na waszym miejscu kazał wybrać luz na przewodach, jak wam sygnalista zameldował o luzie. Luz, człowieku! To było najprostsze: wtedy wąż od razu ześliznąłby się z haka i moglibyście Orbacha wolno opuścić w dół. A wy – coście zrobili, żeby mu pomóc? Nic! Straciliście głowę, a teraz się tu mądrzycie!

Czeluśniak wyprostował się nagle. Gniew strzelił mu z oczu.

– Nie uczcie mnie, Barnat – powiedział zduszonym głosem. – Nie uczcie mnie... Żeby wam tu nie przypominał, gdzieście byli. Jak ja z tymi ludźmi podnosiłem wraki. Pięćdziesiąt trzy statki podnieśliśmy przez ten czas, wiecie? A wyście wtedy byli dezertorem! Uciekliście od tej roboty. Stchórzyliście przed nią, bo wam pachniał lekki zarobek. Nie wiem coście tam takiego przeskrobali, że was...

– Dość tego! – krzyknął Antoni zrywając się z krzesła.

W jego głosie zabrzmiało coś, co sprawiło, że Czeluśniak zamilkł. Patrzyli na siebie, jakby mocując się wzrokiem. Wszyscy inni milczeli stojąc dokoła, zdziwieni tą nagłą sprzeczką i gwałtownością Barnata. On zaś spojrzął po ich nieruchomych postaciach i nagle ruszył ku drzwiom na pokład.

Przeszedł wzdłuż nadbudówek na rufę i siadł ciężko na stopniach trapu, wyczerpawszy resztę sił w tym wybuchu. Doznał jakby upadku z dużej wysokości; we wszystkich członkach czuł znużenie; ogarnął go przygnębiający smutek jak po jakiejś niepowetowanej stracie. Do serca zakradło się z wątpliwością, niepewnością wraz z tęym gniewem na siebie, na cały świat, który to ukazywał się jego oczom we wspaniałych, ponętnych barwach, to odwracał się od niego przesłonięty cieniem przeszłości, jakby czyhał złośliwie, aby go zniecka upokorzyć. Miał ochotę kłać, krzyczeć, dopuścić się jakiegoś gwałtu, lecz był bezsilny.

Uniósł głowę. Czeluśniak stał na pokładzie, zupełnie już spokojny, jakby nic nie zaszło, i kierował wyciąganiem platformy z drugim zespołem nurków, podczas gdy trzej następni wkładali skafandry przy pomocy swoich sygnalistów.

* * *

Rozładowywanie zatorów w przejściach między kajutami, w korytarzach i na schodniach m/s „Adlernest” trwało aż do obiadu. Wreszcie jednak piąty z kolei zespół zakończył tę część pracy. Drzwi kabin otwarto i zamocowano, iluminatory odkrecono lub wybito w nich szyby, tak że odpływ wody z górnych pomieszczeń został zapewniony.

Robotnicy z załogi powierzchniowej przygotowali tymczasem dwa trapy wykonane według wymiarów podanych przez Grabienia, który w tym celu schodził aż na dno. Wachel i Siwiec ubierali się do zanurzenia, Czeluśniak zaś poszedł z magazynierem po cztery nowe liny zejściowe, które należało umocować w różnych miejscach na wraku, aby nurkowie mogli się tam opuszczać wprost z pokładu „Posejdona”, nie tracąc czasu na piesze wędrówki pod wodą.

Jakus, nie wiedząc o starciu między Czeluśniakiem a Barnatem, wezwał tego ostatniego do pomocy i gdy starszy nurek wrócił z owymi linami, zastał Antoniego na stanowisku przy telefonach. Nie odezwał się ani słowem, tylko stanął za nim i obserwował go bacznie, wsparty o ścianę nadbudówki. Barnat czuł na sobie jego ciężkie spojrzenie, lecz udawał, że go w ogóle nie dostrzega.

Wachel wszedł na platformę, został przeniesiony za burtę i podciągnięty przez swego sygnalistę do liny zejściowej. Pochwyił ją i szybko schodził w głąb. W parę minut po podciągnięciu pustej platformy z powrotem na pokład Barnat usłyszał jego głos zniekształcony przez ciśnienie:

– Na wraku. Lina zejściowa wolna.

Opuszczono mu worek z narzędziami, podczas gdy Siwiec czekał na swoją kolej, trochę zdenerwowany i niezbyt pewien siebie.

Antoni powiedział do niego przez telefon:

– Spokojnie, Siwiec, nie dajcie się tylko fladrom! Pewnie się wam trochę w głowie zakręci, ale to przejdzie. Będziemy na was uważać. Słyszycie mnie dobrze?

– Dobrze – odrzekł chłopak. – Nie dam się.

Zachwiał się lekko, gdy winda ruszyła podnosząc bom wraz z platformą, ale w porę chwycił poręcz i stał już pewnie na nogach mijając burtę. Zanurzył się i bez wahania zstąpił w głąb zawisając na przewodach, a potem zsuwał się po linie równymi chwykami, nie zatrzymując się ani razu.

Barnat spoglądał na manometr przy pompie tłoczącej powietrze: półtorej atmosfery, dwie, dwie i pół... Piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów głębokości...

Gdy strzałka na tarczy doszła do trzech atmosfer, gumowy wąż powietrzny wraz z linką bezpieczeństwa przestały się odwijać, lecz po chwili ruszyły znowu: Siwiec szedł po pokładzie wraku.

– Idzie ku rufie – powiedział sygnalista Maderski. – O, stanął. Nie, idzie dalej.

– Niech się oswoi z ciśnieniem – mruknął Barnat.

Wiatr zmienił kierunek, pienista fala szła wzdłuż burty statku, zabierając z sobą wydobywające się na powierzchnię banieczki powietrza. „Ślad” pozostawiony przez nurka zacierał się, ginął jak ziarenka maku rzucane małymi garstkami na piaszczystą drogę o licznych, głęboko wyżłobionych koleinach. Maderski stracił go wreszcie z oczu i tylko „na czucie” z wolna oddawał przewody.

Marynarze z załogi podciągali w górę jeden z trapów, zaczepiwszy go na wielkim haku pod blokiem bomu. Winda mruczała, trap wstawał powoli, prostował się, podjeżdżał coraz wyżej, aż uniósł się całkiem i zwiśł nad pokładem. Bom obrócił się, wyniósł go nad wodę.

– Na dół – powiedział oficer wachtowy i trap zaczął się pogrążyć.

Barnat wezwał telefonicznie Wachla:

– Na wraku! Opuszczamy trap.

– A Siwiec? – spytał Wachel.

Antoni się stropił. Mimo woli rzucił ukradkowe spojrzenie za siebie i spotkał surowy wzrok Czełuśniaka.

– Siwiec tam jest od dziesięciu minut – powiedział.

– Nie ma go – zaprzeczył Wachel. – Powiedźcie mu, żeby tu przyszedł pod sam maszt.

– Halo, Siwiec! – zawołał Barnat. – Halo! Odpowiedziało mu milczenie. Słyszał tylko miarowy szum powietrza wpadającego do hełmu nurka. Spróbował jeszcze raz, lecz z tym samym skutkiem.

– Szarpnijcie linkę – powiedział do sygnalisty. – No?

– Nie odpowiada – odrzekł Maderski.

Jakus kazał zatrzymać windę. Potem podszedł do nich zaniepokojony.

– Ile wybrał węża? – spytał.

– Dwadzieścia trzy metry od zejścia na pokład wraku. Wybiera jeszcze, z przerwami. Jakby szedł i przystawał.

Kapitan wziął słuchawkę.

– Siwiec!

Siwiec milczał uparcie.

– Co u licha? – mruknął Jakus marszcząc brwi. – Dokąd on poszedł?

Maderski oświadczył, że wydawało mu się z początku, iż Siwiec posuwa się w stronę rufy. Ale nie był pewien, czy się nie myli.

Jakus wziął słuchawkę od przewodu Wachla i polecił mu, aby się rozejrzył po rufie.

Upłynęło kilka minut. Usłyszał, że Wachel zamyka zawór.

– Na pokładzie! Siwca nie ma na rufie ani w ogóle na tylnej części wraku. Obszedłem dokoła otwarty trzeci luk, bo myślałem, że tam spadł do ładowni. Ale nie. Nie widzę jego przewodów.

– Dobrze – powiedział Jakus. – Wróćcie do liny zejściowej.

Barnat wziął z rąk Maderskiego linkę bezpieczeństwa i węża.

– Czekaćcie no – mruknął.

Wybrał cały luz, pociągnął trochę mocniej. Oba przewody napięły się nieco, wskazując kierunek ku rufie wraku i w tej samej chwili w mikrofonie Siwca odezwał się jakiś okrzyk.

– Ostrożnie! – zawołał Jakus. – Halo, Siwiec? – spytał przez telefon.

– Aha, aha... – coś pośredniego między kaszlem a stękaniem doszło go z głębi.

– Co się z wami dzieje? – spytał Jakus. – Słyszycie mnie, Siwiec?

– Słyszę. Jestem tu... – zamknął zawór. – Jestem na dnie – powiedział wyraźnie. – Teraz już widzę. Coś mnie szarpnęło przed chwilą... Nie mogłem się połapać... Zdaje mi się, że opuściłem się z pokładu, żeby tu odebrać trap. Tak mi się wszystko pokręciło...

Jakus potrząsnął głową z nikłym, pobłażliwym uśmiechem. Czeluśniak, który podszedł bliżej, aby słyszeć tę rozmowę, skręcał koniec swojej koźlej bródki w palcach.

- Trzy razy mu powtarzałem, co ma robić – powiedział gniewnie.
- No, pierwsze głębokie zanurzenie – mruknął Jakus. – Cóż chcecie...
- Nie wiem... Nie mogę znaleźć wraku – odezwał się znów Siwiec.
- Podciągniemy was bliżej. Uwaga!

Barnat wolno zaczął ciągnąć przestając raz po raz, co parę metrów.

- Dobra, dalej – mówił Siwiec coraz pewniejszym głosem.

Po chwili:

- Widzę wrak. Już dojdę sarn.

I znów po chwili:

- Przy wraku. Widzę rufę.
- Zaczekajcie teraz – powiedział Jakus. – Opuścimy trap.

Winda znów ruszyła i trap pogrzyżył się obok liny zejściowej. Barnat zawiadomił o tym Wachla.

- Siwiec jest na dnie, przy rufie – dodał i znowu obejrzał się na Czeluśniaka.

Tym razem jednak jego spojrzenie było śmiałe, bynajmniej nie ukradkowe; raczej – „bezczelne”. Czeluśniak pamiętał, że Barnat spoglądał w ten właśnie sposób i tak się uśmiechał dawniej; w tych czasach, kiedy nazywano go „Szaleńcem”. Lekceważąco wzruszył ramionami.

- Nie ma się z czego tak nadymać – mruknął pod nosem.

Dalej już wszystko szło sprawnie: trap został zawieszony i umocowany u lewej burty wraku, po czym opuszczono drugi, z prawej strony. Następna para nurków zamocowała go bez trudności, a potem pokład m/s „Adlernest” został połączony z powierzchnią morza jeszcze czterema linami zejściowymi, których wolne końce uwiązano do małych boi oznaczonych kolejnymi cyframi od 2 do 5. Przed zachodem słońca ostatni zespół odbył dekompresję, a gdy ociekająca wodą platforma stanęła na pokładzie, kapitan Hornung złożył swoje krzeselko i opuścił wreszcie punkt obserwacyjny na mostku, gdzie tkwił od rana.

Po kolacji w czasie odprawy Czeluśniak wystąpił z surową krytyką postępowania nurków. Dwa wypadki w ciągu jednego dnia, i to przy łatwej robocie! A coź będzie, jak zaczną pracować głęboko wewnątrz wraku lub pod jego kilem?

Przypisał winę obu tych wypadków tylko i wyłącznie nurkom. Kierownicy zespołów nie zdają sobie sprawy z odpowiedzialności za życie pomocników. Pomocnicy zaś nie trzymają się instrukcji bądź też lekceważą niebezpieczeństwo.

- Wam się zdaje, że pracujecie w basenie portowym, na dwunastu czy piętnastu metrach – mówił rzucając dokoła spojrzenia jak sztylety. – A to jest trzydzieści metrów albo -i trzydzieści pięć! Tu żartów nie ma...

Spojrzał na Jakusa, który potakiwał nieznacznie, i dodał:

- Musimy tę robotę wykonać prędko, sprawnie, bez przestojów. Więc tu nie czas na popisy i brawury. Jak który z nas ubędzie, jak zachoruje albo mu się co przytrafi, to nie tylko sam na tym ucierpi. Ucierpią wszyscy, bo trzeba będzie robić za niego: więcej nurków nie dostaniemy. A jeszcze gorsze jest to, że ucierpi robotą. Sami rozumiecie, ile się czasu traci przy każdym wypadku. No więc! Wiedźcie to sobie.

Podparł obu pięściami dolną szczękę i przez chwilę jeszcze poruszał brodą, jakby przeżuwał wypowiedziane słowa. Barnata korciło, aby raz jeszcze zapytać, jak to Czeluśniak sobie wyobraża ten nadzór nad bezpieczeństwem zespołu w jego, Antoniego, wypadku, ale dał spokój. W duchu musiał przyznać, że starszy nurek zasadniczo ma rację.

Orbach potwierdził spokojnie, że sam jest winien temu, co się wydarzyło podczas usuwania zwłok z luku maszynowni. Powiedział, że mu ta nauka wystarczy raz na zawsze. Ale ujął się za Siwcem. Młodszy nurkowie muszą się oswoić z pracą na takiej głębokości, no i z samym wrakiem: trudno się tam od razu zorientować. Naturalnie, właśnie dlatego trzeba postępować jak najrozważniej.

Doktor Bacz wygłosił jeszcze krótki wykład o wypadkach zatrucia tlenem, a potem wspólnie zaczęli układać listę zespołów, która miała obowiązywać na stałe.

Orbach i Habza, Wachel i Siwiec, Czeluśniak i Palamarz – ci już się z sobą znali i zwykle pracowali razem.

– Kogo damy Barnatowi? – spytał Jakus rozglądając się dokoła.

Antoni poszedł za jego wzrokiem: Cencora, Pelc, Faustyniak... Nagle spotkał spojrzenie Rafała Grabienia, który uśmiechał się patrząc na niego z wyrazem niecierpliwego wyczekiwania. Ten uśmiech był ujmujący, przyjazny. Barnat nie umiał mu się oprzeć, choć w jego podświadomości przemknął jakby cień ostrzeżenia: Teresa...

Lecz Jakus też natychmiast dostrzegł wymowne spojrzenie Rafała. Pomyślał, że ci dwaj będą do siebie pasowali. Obejrzał się na Barnata.

– Dam wam Grabienia – powiedział. – Zgoda?

– Zgoda – odrzekł Barnat.

Czeluśniak poruszył się gwałtownie, jakby go coś ukąsiło, ale nic nie powiedział. Wlepił tylko w Barnata swoje czarne oczy, jakby chciał go przejrzeć na wylot.

Był zaskoczony tym, że Antoni się zgodził. – Co on w tym ma? – zadawał sobie pytanie. – Co się za tym kryje?

Lubił Grabienia. Wyróżniał go. To był uczciwy chłopak, któremu można zaufać. A teraz dostanie się pod wpływ tego Barnata. Powinno by ich wszystko dzielić, zwłaszcza ta sprawa z Rachwałówną. Czy on tego nie rozumie, czy nie widzi?

Nie wie! – pomyślał. – Nie wie o niczym!

Lecz Barnat wiedział. Ba, wiedział od samego Czeluśniaka! Zamieszkał u Grabieniowej, a teraz zamierza opanować tego chłopca. Do czego to prowadzi? Taki człowiek – odstępcą, dezertera z obozu, do którego się wcisnął i do którego teraz wciska się znowu – taki człowiek jak Barnat waży się na wszystko.

Rachwałówna... Ma się rozumieć, że tu chodzi także i o nią. To od razu widać i takie sprawy też trzeba brać w rachubę. Lecz są rzeczy ważniejsze: wpływ na towarzyszy pracy, możliwość wywołania jakiegoś fermentu, niezadowolonia, może nawet sabotażu?

Uważał, że przyjęcie Barnata do pracy było lekkomyślnością ze strony dyrekcji. Miał żal do Jakusa o to, że się przy tym upierał. Jakus – taki mądry człowiek, niewątpliwie czysty i całym sercem oddany swojej pracy. Ale Paluch powinien był mu otworzyć oczy! Paluch, który też nie był ślepy!

Jego myśl pobiegła ku temu młodemu człowiekowi o przeciętnym wyglądzie, którego postępowanie również od pewnego czasu zaczynało mu się nie podobać.

Robi karierę – pomyślał. – Stanowisko uderzyło mu do głowy. Ba, ma pewnie ze dwadzieścia pięć czy sześć lat i jest szefem działu.

Spotykał się z nim dość często i z początku nie mógł go rozgryźć. Zachowanie się Palucha budziło ogólną uwagę i zainteresowanie, lecz wyniki jego poczynań były banalne, nieciekawe, nie wносиły nic pozytywnego. Nie wzbudzał ani sympatii, ani niechęci, ani szacunku. Natomiast jego nikły uśmiech wzbudzał niepokój. Niepokój powstały z niedowierzania. To było główne narzędzie, główny środek, którym się posługiwał: trzymanie ludzi w niepewności, w nieświadomości tego, co o nich sądzi, co o nich wie i jak ich ocenia.

Czeluśniak przejrzał tę taktykę dość szybko. Nie pochwalał jej, ale i nie ganił; była mu obojętna. Szef działu mógł ją stosować do ludzi, którzy mieli coś na sumieniu; jego to nie dotyczyło. Natomiast nie podobały mu się inne sprawy. Po pierwsze, sekretarka Marcelego Palucha, Auberówna, której Czeluśniak nie ufał ani trochę, a która – jak mu się zdawało – opanowuje swego szefa i sama prowadzi własną „politykę” w jego dziale. Po wtóre to, że Paluch nie tylko zagarnął całkowicie rozdział premii dla pracowników, który teoretycznie powinien podlegać decyzji kolegalnej, lecz także zaczął się wtrącać do spraw technicznych wnosząc tam niebawem zamieszanie. Cierpiało na tym zaopatrzenie, a co za tym idzie – również sprawność pracy, najważniejszej pracy, jaką było ratownictwo!

Wreszcie po trzecie, to spieszne, załatwione na poczekaniu przyjęcie Barnata, z lekceważeniem czujności, którą Paluch powinien był się kierować.

To się kiedyś może zemścić na nas, na powadze partii, na Jakusie, na Zięboraku – myślał. – Trzeba tego pilnować. Trzeba czuwać. Nie można ufać takim jak Barnat. Nie można pobłażać pomyłkom czy też fałszywym osobistym ambicjom, nawet wtedy gdy się nimi kierują ludzie wysunięci przez partię, jak Paluch.

Nie umiał i nie chciał odsunąć tych spraw od siebie. Mniemał, że powinny obchodzić każdego. Każdego, komu leży na sercu wspólne dobro, wspólny cel, dla którego walczy się przez całe życie.

Nie wszyscy to rozumieli i często czuł się osamotniony. Lecz to go nie zniechęcało: był starym rewolucjonistą; umiał walczyć samotnie, z uporem, wśród trudnych, ciężkich warunków. Uważał to za swój obowiązek. Był twardy – zarówno dla innych, jak dla siebie.

Miał tylko jedną słabość, jeśli tak można to nazwać: kochał swój zawód nurka bardziej niż cokolwiek na świecie. Był dumny ze swojej praktyki podwodnej, szczycił się nią i nie chciał się z nią rozstać mimo od dawna przekroczonej granicy wieku.

Utrzymywał, że ma tylko czterdzieści pięć lat mimo siwych włosów. Był istotnie krzepki z wyglądu, lecz Jakus starał się go oszczędzać powierzając mu w swoim zastępstwie kierownictwo robót, co jego zdaniem było właściwszym sposobem wykorzystania umiejętności Czeluśniaka niż praca pod wodą. To jednak nie zadowalało starszego nurka: uważał, że jeśli ma kierować innymi, sam powinien przyłożyć rękę do ich pracy. Dlatego jeszcze przed odprawą wymógł na Jakusie, że zostanie wyznaczony do jednego z zespołów, na równi z innymi.

– Póki tu jesteście z nami, mogę pracować pod wodą – oświadczył. – Jak będziecie musieli wyjechać na parę dni, zostanę na statku.

Naczelnym inżynier zastanawiał się przez chwilę. Istotnie, dopóki sam kierował robotą, Czeluśniaka mógł zastąpić na pokładzie Barnat lub Orbach. Dawało to o jeden zespół nurków więcej.

– Dobrze – odrzekł. – Jutro rano możecie zejść na wrak. Po południu pojedę do Gdyni i zostawię was tutaj na dzień albo dwa.

Rozdział XXI

Zadanie na ten dzień nie wydawało się trudne: wejść przez luk świetlny maszynowni do pomieszczeń znajdujących się bezpośrednio nad nią, uszczelnić wszystkie otwory instalacyjne w grodziach oddzielających te pomieszczenia od drugiej i trzeciej ładowni oraz zamknąć drzwi wodoszczelne między przedziałem wyparowników a drugą ładownią.

Czeluśniak był już ubrany. Pałamarz bez pośpiechu, z flegmą, która nie opuszczała go chyba nigdy, włożył w swój brezentowy skafander przy pomocy Gerta i Jedynaka.

Wyglądał raczej na zahukanego urzędniczyne lub na mola książkowego niż na nurka. Twarz miał chudą i bladą, o cierpiącym wyrazie, nos długi, zaczerwieniony na końcu, i wielką łysawą czaszkę o pergaminowej skórze, która przeświecała żółtawo między wąłymi kosmykami ciemnych włosów. Mówił wolno i zwykle bardzo mało, lecz wyrażał się poprawnie, ze ścisłością matematyka. Robił wrażenie zamyślnego lub raczej nieobecnego myślni, jakkolwiek w rzeczywistości nie był roztargniony.

Barnat siedział na ławce obok niego i czekał na swoją kolej, ponieważ miał zejść pod wodę z Grabieniem zaraz po pierwszym zespole, a do chwili zanurzenia musiał być w pogotowiu jako nurek alarmowy. Nie miał jeszcze sposobności zetknąć się bliżej z Hipolitem Pałamarzem, który nie był osobnikiem towarzyskim; jeśli nie pracował pod wodą czy też na pokładzie jako sygnalista, siedział zazwyczaj na pokrywie luku, zatopiony w jakichś obliczeniach, lub bazgrał coś w grubym czarnym zeszycie, z którym prawie się nie rozstawał. Koledzy zaglądali mu tam przez ramię, dowcipkując na temat jego „wynalazków”, o co się nie obrażał pozostawiając jednak ich zaczepki bez odpowiedzi. Lubili go zresztą, a Czeluśniak i Orbach uważali go za najzdolniejszego spośród młodych nurków.

Platforma z Czeluśniakiem uniosła się nad pokładem, zatoczyła łuk, opuściła się do wody pogrążając się wraz z nim na dwa metry, potem wróciła po Pałamarza, który stanął na niej szeroko rozkraczywszy nogi i czekał.

Orbach stał przy telefonach.

– Czeluśniak melduje, że jest na wraku – powiedział głośno po chwili.

W kilka minut potem nadszedł taki sam meldunek od Pałamarza.

Pelc przywiązał szakłę z cienką linką manilową do worka z narzędziami, zapiął ją na linie zejściowej, odszedł kilka kroków dalej wzdłuż burty, aby manilowy sznur nie splątał mu się z grubą linką, i opuścił worek w głąb.

Na wraku Pałamarz odciął go od szakli, szarpnął czterokrotnie linkę: możecie ją podnieść. Potem powiedział:

– Czeluśniak wchodzi do luku świetlnego.

Po chwili:

– Czeluśniak odebrał narzędzia. Oddałem dwanaście metrów przewodów.

Barnat przygryzł wargę: tak się to robi – raz-dwa! Stary pokazuje, co umie...

Potrząsnął głową; musiał przyznać, że nie może jeszcze równać się z jego doświadczeniem i sprawnością.

J e s z c z e – pomyślał. – Ale zobaczymy za tydzień!

Telefon Pałamarza umilkł. Starszy nurek też się nie odzywał. Minęło dziesięć minut, piętnaście...

– No, co tam z Czeluśniakiem? – spytał Jakus.

Orbach ujął słuchawkę, wezwał go raz, drugi, trzeci.

– Nie odpowiada. Może jest zajęty – powiedział bez przekonania.

Przeczekał jeszcze pięć minut i ponowił wezwanie, lecz znów bez rezultatu.

Jakus się zaniepokoił.

– Wezwijcie Pałamarza.

Pałamarz odpowiedział natychmiast. Jego zdaniem Czeluśniak poszedł w kierunku przedziału wyparowników zabierając z sobą lampę i narzędzia. Ale wybrał tylko szesnaście metrów przewodu i zatrzymał się.

– Czy przez otwór luku widzicie światło? – zapytał Orbach.

– Nie – odrzekł Pałamarz. – Nic nie widzę.

– Musiał dojść aż do grodzi – powiedział Orbach do Jakusa. – Gdyby się zatrzymał po drodze, światło byłoby widoczne.

Ale inżynier pokręcił głową:

– To będzie co najmniej dwadzieścia, może nawet dwadzieścia pięć metrów. Chyba że Pałamarz się myli.

Wziął słuchawkę z ręki Orbacha.

– Dajcie Czeluśniakowi sygnał „raz” linką – powiedział do Pałamarza.

Usłyszał, że nurek otworzył zawór w hełmie i po dłuższej chwili zamknął go znowu.

– Nie odpowiada – powiedział. – Czy mam iść do niego?

– Nie – odrzekł Jakus. – Zaczekajcie!

Obejrzał się na Barnata, który już wołał o hełm. Gert i Jedynak założyli mu go spieszenie.

– Prędko, szybko! – rzucił Antoni odchylając się w tył.

– Przygotujcie się także, Grabień – powiedział Jakus. – Możecie tam być potrzebni.

Barnat wszedł na platformę, która natychmiast przeniosła go za burte. Poczuł, że się zanurza. Gdy go ogarnął zielony półmrok, zawołał:

– Schodzę! – i puściwszy poręczę zrobił krok naprzód.

W parę sekund był już przy linie zejściowej i objawszy ją nogami zaczął zjeżdżać w głąb.

Przestrzeń przed nim ciemniała szybko, ciśnienie rosło. Oddychał równomiernie, raz po raz dostrajając uszy i regulując zawór ruchem głowy. Nadmiar powietrza uchodził z hełmu bulgocząc głośno, gdy naciskał sprężynowy guzik.

Stanął na ramie skylightu, zameldował o wylądowaniu i podał swoje przewody Pałamarzowi, który czekał na niego wsparty o ściankę luku na dachu kuchni.

Kapitan Jakus i Orbach usłyszeli spokojny, z natury już trochę nosowy głos Hipolita:

– Barnat wchodzi do luku świetlnego maszynowni.

Antoni opuścił się na rękach, opadł wolno w dół na pokład galeryjki. Otaczał go mrok tak gęsty, że ledwie mógł w nim rozróżnić cokolwiek. Przełożył nogi przez poręcz otaczającą szyb i dwukrotnie szarpnął linkę bezpieczeństwa: na dół!

Pałamarz odpowiedział tym samym sygnałem i opuszczał go wolno, metr po metrze, póki nie poczuł, że Barnat przestał mu ciążyć. Potem zameldował na powierzchnię:

– Barnat nad maszynownią. Oddałem dziewięć metrów przewodów. Idzie naprzód.

Antoni szedł po omacku, na próżno wypatrując światła. Zawahał się, czy nie zażądać, aby mu opuszczono lampę. Lecz zwolna jego wzrok przystosował się do ciemności; zaczął rozróżniać jakieś niewyraźne kształty. Główna pompa rozprowadzająca solankę chłodniczą zagroziła mu drogę, a potem natknął się na gładką białą ścianę jednego z wyparowników. Grube, półmetrowej średnicy rury biegły po podłodze wzdłuż i w poprzek. Potknął się o jedną z nich i oparłszy się rękami o pokład zobaczył przed sobą nikły, zielonkawy brzask światła.

Pełzał ku niemu na czworakach, póki nie namacał jakiegoś niewielkiego przedmiotu, który dał się poruszyć nie stawiając oporu. Chwycił ów przedmiot obu dłońmi i natychmiast rozpoznał, że jest to ciężki but o grubej ołowianej podeszwie – but nurka!

Pociągnął go ku sobie i nagle mętne światło rozlało się szerzej, ukazując ludzki kształt, który dotąd zakrywał je sobą.

Czeluśniak leżał na boku, z podkurczonymi nogami, przygniatając lampę, która nie pękła pod jego ciężarem dzięki wodoszczelnemu ochraniaczowi z grubego szkła. Z jego hełmu wydobywał się strumień pęcherzyków powietrza, pomykający spokojnie w górę i ginący w ciemności.

– Na pokładzie! – zawołał Barnat. – Znalazłem go. Zemdlał, zdaje się.

Usłyszał głos Jakusa:

– Dacie sobie radę? Może wam przysłać Grabienia? Właśnie schodzi na wrak.

– Zobaczę – powiedział. – Na razie nie trzeba.

Wydobył lampę spod bezwładnego ciała starszego nurka, odwrócił go na wznak, zaświecił mu w twarz. Czeluśniak miał oczy zamknięte; nie można było stwierdzić, czy oddycha. Barnat, zawiesiwszy sobie lampę u pasa, ujął go pod pachy, wykręcił głowę ku wyjściu i zaczął ciągnąć.

Wtem coś go zatrzymało.

Przewody – pomyślał.

Szarpnął trzykrotnie linkę bezpieczeństwa: wybrać luz! Otrzymał potwierdzenie sygnału i zobaczył w mdłym blasku lampy, że jego przewód powietrzny i linka popęzły w stronę luku świetlnego, a potem uniosły się w górę. Z kolei powtórzył ten sam sygnał linką Czeluśniaka, lecz tym razem Pałamarz nie odpowiedział. Potwierdziło to jego domysł: przewody starszego nurka zaczepiły o coś i sygnał nie docierał do Pałamarza. Trzeba było wrócić i znaleźć przeszkodę.

Miał teraz do czynienia z dwiema linkami, dwoma węzami i kablem od lampy. Musiał bardzo uważać, aby mu się to wszystko nie splątało i nie zahaczyło o sterczące krany aparatów, wśród rur wijących się po podłodze, w ciasnych przejściach między jakimiś zbiornikami i żebrami radiatorów. Przechylił wraku na lewą burtę utrudniał mu zachowanie równowagi, tysiącwatowa lampa rozpraszała mrok zaledwie w promieniu jednego metra, przewody wymykały się z ręki. Raz uderzył hełmem o wystającą tubę nawiewnika, co omal nie zbiło go z nóg. Wreszcie dotarł do przegubu jakiejś rury i dostrzegł, że na nim właśnie owinęła się linka bezpieczeństwa Czeluśniaka.

Odwinął pętlę i raz jeszcze szarpnął trzykrotnie każdym z pięciu przewodów, które przechodziły przez ręce Pałamarza aż na pokład „Posejdona”. Teraz odpowiedź przyszła natychmiast; Pałamarz wybierał luz wolno, z przerwami, Antoni zaś znów przebywał trudną drogę aż do miejsca, w którym zostawił Czeluśniaka.

Włókł go dalej, aż do poręczy wprost pod skylightem, skąd sączyło się ledwie dostrzegalne światło. Potem nacisnął brodą kontakt telefonu.

– Możecie podnosić Czeluśniaka. Tylko powoli. Powiedzcie Pałamarzowi, żeby wszedł na ramę skylightu i dopilnował jego przewodów. Ja będę w luku.

Orbach na pokładzie Posejdon powtórzył głośno jego słowa.

– Wybierzcie luz – powiedział Jakus do sygnalisty.

Doktor Bacz w białym fartuchu ukazał się na progu kabiny rekompresyjnej. Wiatr rozwiewał mu czarne, kędzierzawe, dawno nie przystrzyżone włosy okalające potężną łysą czaszkę.

– Dawajcież tego Robespierre'a! – huczał. – Jak długo jest pod wodą?

Jakus spojrzął na zapis.

– Dwadzieścia pięć minut. Za cztery minuty będzie na pokładzie.

– Cztery szarpnięcia na lince! – zawołał sygnalista i powtórzywszy sygnał, zaczął ciągnąć.

Doktor Bacz pochylił się, aby mu pomóc: Czeluśniak był ciężki. Jakus ze stoperem w rękę spoglądał na znaki przewodów. Najwyższa dopuszczalna szybkość wynurzania wynosi siedem i pół metra na minutę; nie wolno jej przekraczać.

Pałamarz zasygnalizował: stop! – i po chwili wyjaśnił:

– Musimy go wyklarować. Jest pod skylightem. Już dobrze: w górę!

Dwaj marynarze przynieśli nosze. Cencora, gotów do zanurzenia, wszedł na platformę, aby wciągnąć na nią Czeluśniaka, jak tylko znajdzie się na powierzchni. Kapitan Hornung wstał ze swego składanego krzeselka i wychylił się z mostku.

– Platforma za burtę – powiedział do oficera wachtowego.

Jakus liczył głośno:

– Dziewięć metrów, osiem metrów, siedem metrów...

Lśniący czerwony wąż i ociekająca wodą linka przesuwwały się chwyt za chwytem przez ręce sygnalisty i doktora Baczą. Pęcherzyki powietrza roily się na powierzchni coraz gęściej, zbiegając się tuż obok przewodów. Platforma, na której stał Cencora, wolno zanurzyła się do głębokości dwóch metrów.

Jakiś ciemny kształt ukazał się naprzeciw niej i jednocześnie z głośnika odezwał się głos Cencory:

– Trochę wyżej, z pół metra! Teraz do mnie!

Bacz dostrzegł, że nurek pod wodą wyciąga ramiona i zagarnia przewody Czeluśniaka, a potem ostrożnie układa ciemną masę na prętach platformy.

– W górę!

Winda ruszyła, platforma wychynęła na powierzchnię, podjechała w górę. Bom obrócił się, ociekająca woda chlusnęła po pokładzie i utworzyła wielką kałużę na pokrywie luku, gdzie opuszczono obu nurków.

– Rozebrać go – powiedział doktor Bacz. – Prędko!

Trzej sygnaliści wykonali to polecenie w ciągu minuty. Czeluśniak był blady, raczej oliwkowożółty, ale oddychał.

Lekarz nachylił się nad nim.

– Nic mu nie będzie – odrzekł na pytanie Jakusa. – Weźcie go do komory rekompresyjnej – zwrócił się do sygnalistów.

Wszedł za nimi do wnętrza żelaznego cylindra i gdy ułożyli Czeluśniaka na łóżku, kazał im się wynosić. Zatrzasnął ciężkie drzwi z hermetycznym gumowym rantem, zakręcił ich śrubowe zamki i spieszenie otworzył krany kompresora. Sprężone powietrze z głośnym świstem wdarło się przez rurę, wskazówka manometru skoczyła naprzód, zaczęła drgać sunąc po podziałce: 0,50 – 0,75 – 1,12 – 1,30...

Na czoło doktora Baczą wystąpił gęsty, kroplisty pot. Otarł go chustką, lecz nie zmniejszył ciśnienia, które wciąż rosło. Czuł dotkliwe klucie w uszach i jakby gorącą falę, która szła przez całe jego ciało od nóg ku głowie. Przed oczyma tańczyły mu czarne i czerwone kręgi, puls to słabł, to wzmagął się, walił w skroniach jak młotem.

Nie zważał na to. Aby uratować Czeluśniaka, musiał doprowadzić ciśnienie do tej samej wysokości, jaka panuje w skafandrze nurka na trzydziestu metrach pod wodą.

Manometr wskazał dwie atmosfery, potem dwie i pół, trzy.

Dość! Doktor Bacz zamknął kran.

Dwie wolne wachty marynarzy z załogi „Posejdon” i kilku nurków tłoczyło się u grubej szyby w ścianie komory rekompresyjnej. Patrzyli na jego zaciętą, chmurną twarz, po której spływały strużki potu. Tręcali się łokciami: – To ci jest morowy chłop, nasz doktor! – Nie oszczędza się!

Odwrócił się do nich tyłem. Nie mógł ich słyszeć oczywiście, ale wiedział, co o nim sądzą. Spróbował się uśmiechnąć, lecz ból wykrzywił mu usta. Myśl pracowała leniwie: trzeba się zająć chorym...

Przemógł się. Podeszedł energicznie do łóżka, ściągnął z Czeluśniaka swetry, rozerwał mu na piersi koszulę, przyjrzał się uważnie białej skórze.

No, jeśli nawet krzywik, to niegroźny – pomyślał.

Otworzył metalową szafkę z przygotowanymi gorącymi kompresami i wyjął parujące ręczniki. Obłożył nimi klatkę piersiową Czeluśniaka. Potem odkręcił zawór wypustowy, aby zwolna obniżyć ciśnienie do połowy.

Odetchnął z ulgą i usiadł przy łóżku. Czeluśniak otworzył oczy, zamrugął.

– Co wy?... Co się stało? – zapytał chrapliwie.

– Nawaliłeś, stary rozbójniku – odrzekł Bacz. – Przyznaj się zaraz: ile masz lat naprawdę?

– Pięćdziesiąt siedem – mruknął niechętnie starszy nurek. – Ale...

Twarz skurczyła mu się boleśnie. Spojrzał podejrzliwie na lekarza, który masował mu kolana.

– Nie pozwolicie mi pracować pod wodą? To mi się pierwszy raz wydarzyło...

– I mogło się źle skończyć – powiedział Bacz. – Jeszcze zobaczymy. W każdym razie nie będziesz mógł schodzić poniżej piętnastu metrów. Wcale sobie nie życzę być na twoim pogrzebie. Jeszcze czego! Podziękuj Barnatowi, że cię tak prędko wyciągnął z tego wraku. Inaczej...

Czeluśniak uniósł się na łokciach.

– Barnatowi?!

– Barnatowi. Cóżes tak drygnął, człowieku, jak kot pod prysznicem? Któż cię miał stamtąd wyciągnąć? Ja się boję zimnej wody, steward ma grypę, a kucharz smażył kotlety, więc posłali po ciebie nurka alarmowego.

– Ba – mruknął Czeluśniak. – Akurat na niego musiałem trafić... I to po wczorajszej odprawie! – krzyknął.

Zakrył twarz rękami i zacisnął szczęki, aż mu zgrzytnęły zęby.

– No, no! Bez hysterii – powiedział Bacz, trochę zdziwiony tym wybuchem. – A ściśle mówiąc, to on na ciebie tam trafił, nie ty na niego. I muszę ci powiedzieć, stary sankiuloto, że robił, co mógł, żeby cię jak najprędzej wywindować na powierzchnię. Wszyscyśmy się tu zresztą o ciebie martwili, napędziłeś nam strachu. Dawaj no tu drugie kolano. Boli?

Czeluśniak potrząsnął głową.

– Nic mnie już nie boli, doktorze. Tylko... Niech to wszystkie pioruny! Przeze mnie taka, psiakrew, przerwa w robocie, i to po tej odprawie. A sam mówiłem, pamiętacie? Sam krytykowałem i teraz – masz! Ładnie teraz wyglądam, co?

Bacz przyjrzał mu się krytycznie.

– No, żeby tak do zachwycenia, to nie – odrzekł z uśmiechem. – Widziałem już ładniejszych. A co do przerwy – piętnaście minut. No, może pół godziny to trwało wszystko razem, od chwili jak zeszlście z Pałamarzem pod wodę. Pięćdziesiąt siedem lat, człowieku! Gdybym wiedział... I tak masz, bracie, końskie zdrowie!

Podeszedł do ściany, otworzył zawór wylotowy i mrugnął ku twarzom w oknie: – Wszystko dobrze!

Począł, aż strzałka manometru cofnie się o sześć kresek, i zakręcił kurek z powrotem.

Wrócił do łóżka, zmierzył Czeluśniakowi puls, wysłuchał bicia serca i oddechu. Potrząsnął głową z podziwem.

– Niech cię nie znam, stary konspiratorze!

– Co takiego? – spytał Czeluśniak zaniepokojony.

– Zdolny, kategoria A – odrzekł wesoło lekarz. – Mógłbyś wieczorem iść na wesele i tańczyć do rana. Ale z nurkowaniem na głębokich wodach koniec – dodał poważnie.

Czeluśniak westchnął z rezygnacją.

PRZEŁOM

Rozdział XXII

Barnat przebierał się spieszenie w swoje „miejskie” ubranie. Miał pojechać z kapitanem Jakusem do Gdyni, aby odebrać nowe pompy wodno-powietrzne, które nadeszły z Wrocławia. Od rana wiedział o tym czekającym go wyjeździe, lecz musiał po południu zastąpić Czełuśniaka, któremu doktor Bacz zalecił wypoczynek aż do następnego dnia. Dopiero gdy zasygnalizowano ukazanie się szalupy przybywającej po Jakusa, zdał Orbachowi swoje obowiązki na pokładzie i teraz na gwałt kończył przygotowania do drogi.

Wkładał świeżą koszulę, gdy do kajuty wpadł rozpromieniony Grabień.

– Teresa! – zawołał i zaczął szcztokować sobie włosy.

Barnat drgnął, wychylił głowę przez otwarty kołnierz koszuli i obejrzał się na niego.

– Co, Teresa?

– Przyjechała po was.

– No to co z tego? – zdziwił się Antoni.

– Nic, tylko nie spodziewałem się jej. Miała pojechać do Warszawy w jednej sprawie bardzo dla nas ważnej. No, leć! Zaraz będzie u trapu.

Zostawił swoje szcztoki i wybiegł na pokład. Antoni uśmiechnął się pobłaźliwie: – Słowo daję, jakby miał z piętnaście lat...

Lecz sam przyłapał się na tym, że serce zaczęło mu bić żywiej na myśl, iż ją zobaczy. Przygryzł wargi: skończył z tym przecież, jak mniemał.

Tymczasem Teresa przybiła do trapu witana hałaśliwie przez nurków i załogę powierzchniową. Grabień patrzył na nią jak na jakieś czarowne zjawisko, które wstępuje na pokład sprowadzone tu wyłącznie jego tęsknotą i uwielbieniem. Spotkał spojrzenie jej promiennych oczu i poczuł się jakby uniesiony w górę, wywyższony ponad wszystkich jej wzajemnością, której był pewien. Nie zauważył, że wzrok Teresy błędził przez chwilę po twarzach innych, jakby kogoś szukał wśród nich i nie znalazłszy – wrócił ku niemu już mniej świetlisty, cokolwiek przygaszony doznany zawodem.

Tę ledwie dostrzegalną zmianę, która odbiła się w wyrazie jej twarzy, dostrzegł – być może – tylko Marian Czełuśniak. Patrzył na nią ciekawie i z taką przenikliwością, że aż się zmieszła pod tym spojrzeniem, jakby sięgało do wnętrza jej niespokojnego serca.

Rozdała pocztę odpowiadając pół żartem, pół serio na pytania i wesołe koleżeńskie zaczepki bliższych znajomych, po czym Rafał uprowadził ją na rufę, aby choć przez chwilę mieć ją wyłącznie dla siebie.

Gdy się znaleźli z dala od ludzkich oczu, zasłonięci łodzią ratunkową stojącą w poprzek rufy przed sterem awaryjnym chciał ją objąć i przygarnąć do siebie, lecz nie zezwoliła na to. Dotknęła tylko chłodnymi ustami jego warg i ujawszy go pod rękę podeszła do poręczy biegnącej wzdłuż burty, skąd widać było główny pokład statku.

Poddał się temu bez protestu. Gdy była w pobliżu, cały świat przestawał go obchodzić. Nie widział nic poza jej spojrzeniem i uśmiechem, a chwilę bieżącą wypełniał mu jedynie radosny fakt jej istnienia.

Spytał, dlaczego nie pojechała do Warszawy.

– To już nieaktualne – odrzekła nie patrząc na niego. – To znaczy, już nie potrzebne. Ta sprawa teraz nie wchodzi w rachubę.

– Naprawdę?! – ucieszył się. – Więc już nie ma żadnych przeszkód?

Zawahała się przez sekundę, usta jej drgnęły.

– Żadnych – powiedziała cicho.

Przycisnął jej ramię i milczał chwilę z bijącym sercem.

– Kiedy się pobierzemy? – zapytał prawie szeptem.

Spojrzała na niego i znów odwróciła wzrok.

– Chyba jesienią. Jak skończycie tę robotę – powiedziała wolno. – Z kim ty pracujesz teraz? – ożywiła się nagle.

To pytanie przerwało tok jego myśli jak raptowne szarpnięcie. Zwrócił ku niej twarz z niemym wyrzutem. Ale nie widziała tego: patrzyła wzdłuż burty na pokład. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył Barnata rozmawiającego z Jakusem i z młodym technikiem, który przyjechał z Gdyni, przywożąc jakieś plany.

To przecież rozumiałe, że Teresa interesuje się moją pracą – pomyślał.

– Z nim – powiedział. – Z Barnatem.

Odwróciła się ku niemu i po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Wydało mu się, że przez jej policzki przesunął się cień rumieńca, a wzrok wyrażał niepokój.

– Z Barnatem? – powtórzyła. – To on się o to starał?

– Tak się złożyło – odrzekł wymijająco. – Ale jeżeli o to chodzi, to ja sam chciałem z nim pracować. A kapitan jakby o tym wiedział: spytał go, czy się zgadza, no i – od dziś robimy we dwóch albo we trzech z Pałamarzem.

– Zadowolony jesteś?

Rafał błysnął zębami.

– No! Ten Barnat to jest dopiero nurek! Z nim to bym poszedł i na sto metrów.

Teresa uśmiechnęła się.

– Takie masz do niego zaufanie?

– Lubię go. Dobrze się nam razem pracuje. I on też, zdaje się, mnie lubi... – urwał zakłopotany.

– Powiedział mi, że musimy być pierwsi we współzawodnictwie. I zobaczysz! – będziemy.

Spojrzał na nią spod oka. Jej uśmiech miał w sobie lekki odcień ironii czy też goryczy.

– Tobie on się wydaje... czy ja wiem? No, nie znasz go bliżej, więc może ci się nie podoba. Ale to jest pierwszorzędny kolega i t a k i chłop! – powiedział z zapałem.

– Może być – odrzekła cicho.

Jakus rozglądał się po pokładzie. Zauważyła to.

– Chodźmy – powiedziała. – Czekają na mnie.

* * *

Barnat trzymał się mocno w garści. Na jego twarzy nie było żadnego śladu wzruszenia. Pilnował się. Pilnował się tak, jakby miał sobie powierzoną straż nad zwinnym więźniem, który czyha na sposobność ucieczki. Raz po raz ogarniała go obawa, aby się sobie nie wymknął.

Te obawy były aż nadto usprawiedliwione. Gdy zobaczył Teresę stojącą obok Rafała u poręczy burty i spotkał jej wzrok, doznał jakby olśnienia: uśmiechnęła się do niego, a na jej twarz wypłynął gorący rumieniec. Odwróciła zaraz głowę, ale to jej widoczne wzruszenie wystarczyło, aby zachwiać wszystkimi jego postanowieniami. Mięśnie odprężyły mu się, przez mózg przebiegł jak gdyby potężny prąd elektryczny, a tłumione pragnienie, odpychane w ciągu kilku dni, wdarło mu się do serca wypełniając je żarem i płomieniem.

Ledwie zdołał się opanować i odpowiedzieć dorzecznie na jakieś pytanie Jakusa. Rozmawiał z nim nadal na pozór spokojnie, lecz instynktowny lęk przed gwałtownością własnych uczuć nie opuszczał go odtąd. Jego pewność siebie, zuchwalstwo, duma i ambicja – wszystko to runęło. Został tylko niepokój w sercu, które ulegało tak łatwo spojrzeniom i uśmiechom; które nie zdołałoby się oprzeć jednemu słowu Teresy; które mogła ukoić bodaj cieniem obietnicy...

Tak: musiał się strzec, aby utrzymać w ryzach tego niebezpiecznego zbiega, który tyle czasu go zwodził, usypiając jego czujność.

Siedział na ławce tyłem do sterówki, gdzie Teresa rozmawiała z Jakusem. Słowa dobiegały go dość wyraźnie przez uchyloną szybę. Nie zważał na ich treść, lecz łowił uchem sam dźwięk jej głosu i śmiechu, któremu Jakus wtórował od czasu do czasu.

Wtem usłyszał pytanie kapitana, po którym nastąpiło krótkie milczenie, jakby Teresa wahała się, co odpowiedzieć.

– Nie powiedziałaś mi, co z tym widzeniem w więzieniu. Miałaś tam przecież pojechać w tych dniach?

W więzieniu! To słowo uderzyło Antoniego jak kamień, który wśród łagodnych szmerów potrąca szybę wywołując jej nagły ostry brzęk.

Teresa odpowiedziała coś wreszcie głosem stłumionym, jakby jej brakło tchu. Jakus też zniżył głos. Antoni słyszał teraz tylko urywki zdań.

– ...skoro nie potwierdził odbioru ani jednej paczki. Trzy lata...

– Ten człowiek jest już wolny – powiedziała Teresa.

I po chwili:

– Tak, to mnie zwalnia od wszystkich obowiązków.

Barnat wstał raptownie jak podcięty biczem. Krew uderzyła mu do twarzy. Więc to jednak Teresa przysyłała mu owe paczki do więzienia! Przysyłała mu tę jałmużnę, zdecydowana już, że go porzuci dla Rafała! Odczuł to jak zniewagę, której nie mógł odeprzeć.

Ruszył naprzód, wprost przed siebie po chwiejnym pokładzie, jakby chciał rzucić się w morze, i zatrzymał się dopiero u dziobu.

Odwrócił się. Chłodny wieczorny wiatr wstrząsnął go dreszczem. Dwaj chłopcy ze szkoły jungów, odbywający pierwszą praktykę w żegludze przybrzeżnej, patrzyli na niego zdziwieni, stojąc u burty. Morze było spokojne, w przeciwieństwie do burzy, która się kłębiła w Antonim nie mogąc znaleźć ujścia. Wieczorny zmierzch napełniał przestrzeń, wznosił się coraz wyżej, gęstniał w mrok ponad falami.

Jeden z jungów poszedł zapalić światła pozycyjne. Młody człowiek z działu technicznego ukazał się na rufie. Jakus coś do niego mówił wychylając się ze sterówki. Po chwili obaj zeszli pod pokład motorówki do małej kajuty.

Łódź minęła cypel Helu, skrzyła w prawo. Ciemnoczerwony, poplamiony fioletem skłon nieba wyjrzał spod chmur nad czarnym łędem, rzucając słaby odbłask na zatokę jak od łuny dalekiego pożaru. Teresa sterowała trzymając jedną ręką uchwyt koła, z głową wzniesioną ponad niski daszek osłony. Czerwone, gasnące światło padało na jej twarz, wyłuskując ją z cienia niby z poczerńiałego tła starego portretu.

Antoni zmrugał oczy, jakby chciał przeszyć ją wzrokiem. Sam nie wiedząc kiedy, znalazł się obok niej. Gwałtowność gniewu, który nim miotał, była tak wielka, że mogłaby wzburzyć spokojne fale, obudzić pioruny i grzmoty, zmieść z horyzontu ciemny brzeg usiany bladymi iskierkami światła. Lecz zatoka leżała cicha i milcząca, a łódź wyrastał daleko poza nią nieruchomy, choć coraz bliższy, przeciwstawiając się tej jego pasji niewzruszonym, obojętnym spokojem. Nawet wiatr ustał i głęboka cisza podszyta jedynie łagodnym basowym pomrukiem motoru opadła na pokład łodzi.

Poczuł się pobity, zwyciężony, zanim jeszcze zdołał przemówić. Milczenie i ciemność stanęły między nim a tą dziewczyną, jakby w jej obronie. Miał pustkę w piersi, którą zdawała się całkowicie wypełniać owa mroczna, rozległa przestrzeń, a myśli rozpierzchły mu się i błędziły dokoła nie mogąc go jednak opuścić i uwolnić od ciężaru, jaki się nań zwałił.

Teresa nie widziała jego twarzy. Nie przeczuwając, co się z nim dzieje, uśmiechnęła się do niego.

– Pracujesz z Rafałem – powiedziała, aby przerwać milczenie, które zaczynało ją niepokoić. – Rozmawiałam z nim o tobie i...

– Czy zwierzałaś mu się ze swoich dobroczynnych zabiegów na rzecz więźniów, jak Jakusowi? – przerwał.

Zamilkła nagle. Stała bez ruchu, ze spuszczonej oczyma, jak posąg wykuty w kamieniu. Antoni patrzył na jej piękne rysy zastygłe przez chwilę w bolesnym wyrazie, który z wolna przechodził w równie kamienny, rozpaczliwy i niewzruszony spokój.

Jego gniew, rozniecony tym na nowo, wzmagął się i piętrzył jak potężna chmura pędzona wichrem. Zdawało mu się, że słyszy ryk nadciągającego huraganu i że głowa mu pęka od tego potężniejszego dźwięku. Zdumiał się usłyszawszy własne słowa wypowiedziane chrapliwym szeptem wśród tej zawieruchy.

– Upokorzyłaś mnie. A przecież skoro mnie przestałaś kochać, mogłaś mi zaoszczędzić przynajmniej tego! Wiedziałaś, że nie będę mógł ci się odwdziżyć: sama stworzyłaś taką sytuację. Teraz nie mogę spłacić tego długu, jaki mi narzuciła twoja litość. Nie chciałem litości! Nie chcę jej! Doprowadziłaś podstępem do tego, że ją od ciebie przyjmowałem nie wiedząc, że to ty... nie wiedząc, że moje miejsce jest już w twoim sercu zajęte!

Drgnęła. Przez mgnienie oka miał wrażenie, że zamierza odwrócić się do niego tyłem nie powiedziawszy ani słowa i wydawało mu się, że ktoś chwyta go za gardło.

– Daj pokój, Antoni! – powiedziała smutnym, zmęczonym głosem. – Naprawdę nie chciałam cię upokorzyć. Nie przyszłoby mi to do głowy. Ja przecież nigdy... Ja bym nie umiała tak, jak ty o tym mówisz. Nie mogłabym... I nie powiedziałam im – Rafałowi i Stanisławowi – ani słowa o tobie. O tym nikt nie wie...

Wzruszył go ton jej głosu. Gniew jego urażonej dumy wyczerpał się. Krwawa mgła przesłaniająca mu jasność widzenia rozwiła się, znikła. Dostrzegł nagle zarysy prawdy i poczuł wielki żal, który przecież wydał mu się kojący po okrutnej goryczy oskarżeń, jakie nurtowały w nim przeciw tej dziewczynie, którą dręczył tylko dlatego, że nie mógł jej nie kochać.

– Bądź spokojna – powiedział ciepło, ujmując ją za ramię. – Rafał nie dowie się nic ode mnie. I nie gniewaj się. Poniosło mnie. Jeszcze nie potrafię, ty wiesz...

* * *

– No więc te pompy wodno-powietrzne z Wrocławia dostaliśmy – mówił technik. – Pamiętacie? Zamówił je dyrektor Zięborak i sam pilnował ich wykonania, bo nasz dział zaopatrzenia... no, sami wiecie: tam jest ich troje; stanowczo za mało, a Paluch oświadczył, że nikogo im nie doda. Mają urwanie głowy z cementem, z blachą, ze wszystkim. Nic nie przychodzi na czas, ale to nie ich wina: nie mogą się rozerwać i być w dziesięciu miejscach na raz. Dlatego mamy przestoje... Ten nowy kierownik zaopatrzenia jest zresztą dzielnym człowiekiem. Gdyby nie on, stalibyśmy dotąd z robotami na „Gneisenau”. Paluch go nie znosi, a on mu się stawia. Nie wiem, co z tego wyniknie...

Jakus słuchał go cierpliwie. Zaopatrzenie... Wiedział, że to od dawna kuleje. Cóż się tam znów popsulo?

– A hydrauliczne pompy tłoczące? – spytał.

Technik rozłożył ręce dramatycznym gestem.

– Nie otrzymamy ich! To znaczy, nie otrzymamy ich na czas, bo nasze zamówienie od sześciu miesięcy leży w ministerstwie nie załatwione i nie wysłane do firmy.

– Dlaczego? – spytał Jakus opanowanym, rzeczowym tonem.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

– Ta sama historia – odrzekł. – Zażądali od nas pewnych wyjaśnień i uzupełnień, a nasz dział zaopatrzenia nawet o tym nie pisał. Dopiero teraz ten nowy kierownik natknął się w jakiejś teczce odziedziczonej po swoim poprzedniku na korespondencję z ministerstwem. Pojechał, żeby to załatwić, ale tak czy owak nikt nam tych pomp nie dostarczy wcześniej niż na wiosnę. Staniemy z robotą...

– Co to, to nie! – odrzekł Jakus stanowczo. – A cóż zrobicie?

– Będziemy pracować starą pompą, która jest na „Swarożycu”. A Zięborak musi z tym zrobić porządek. I z działem zaopatrzenia, i z Paluchem. Tak dalej być nie może. Muszą im dać ludzi do roboty.

– Ba, etaty!

– Etaty! Jak etaty są złe, to je trzeba zmienić. Tylko ja nie mogę uwierzyć, żeby na dział zaopatrzenia przewidziano trzy osoby. Ktoś tu będzie „wisiał”, ale o to mniejsza. Ważniejsze, żebyśmy wykonali plan. „Adlernest” musi być podniesiony w tym roku. I podniesimy go! Zaraz się musicie wziąć za tę pompę na „Swarożycu”. Dam wam Cybulskiego, to dobry majster. I zrobicie generalny remont. Taki, żeby wytrzymała do końca. Zięborak jest w Gdyni?

– Jest – odrzekł technik. – Wrócił po południu ze Szczecina. Pontony się robi ze starych wraków niemieckich okrętów podwodnych.

– To dobrze – mruknął Jakus. – Muszę mu powiedzieć o tych etatach – pomyślał.

Przypomniał sobie, że Paluch otrzymał znów ostatnio dużą premię za oszczędności budżetowe. Jeżeli je osiągnął redukując personel do tak absurdalnego stanu...

– No, zobaczymy – powiedział półgłosem.

Rozdział XXIII

Kierownik działu personalnego P.R.O. zajmował to odpowiedzialne stanowisko prawie od roku.

Przybył tu z miasta powiatowego w głębi kraju, gdzie pełnił podobne obowiązki w radzie narodowej. Nigdy wprawdzie nie pracował na wybrzeżu i nie miał do czynienia ze sprawami morskimi, lecz uchodził za człowieka bardzo zdolnego i rzutkiego. Dyrektor Zięborak ufał, że ten młody, gładki urzędnik szybko zorientuje się w nowych warunkach, zdejmując z niego bodaj część odpowiedzialności za wewnętrzne sprawy przedsiębiorstwa, które nie nadały za technicznym rozmachem Jakusa.

Istotnie początkowo zdawało się, że nowy kierownik usprawni pracę personelu administracyjnego. Interesował się jej organizacją, proponował zmiany, redukował wydatki, zajął się osobiście rozdziałem premii. Wkrótce stał się jeśli nie nominalnym, to w każdym razie faktycznym zastępcą dyrektora.

Lecz z biegiem czasu zaczęły wychodzić na jaw usterki i braki tych jego poczynań. Paluch był w gruncie rzeczy zarozumiałym ignorantem. Nie miał zmysłu organizacyjnego ani zamiłowania do jakiegosć ładu. Natomiast odznaczał się nadzwyczajną pamięcią: zapewne tylko dzięki niej mógł się połapać w sprawach swojego działu.

Lubił udzielać nauk i rad, które uważał za bardzo cenne, ponieważ pochodziły od niego, od Marcelego Palucha, i płynęły z jego życiowego doświadczenia. To doświadczenie wydawało mu się równie wielkie jak powodzenie, które z początku go oszołomiło i niemal przstraszyło, lecz w które wreszcie ślepo uwierzył jak w coś, co się nie zmienia i trwa wiecznie.

Był niegdyś chłopcem na posyłki w wielkim domu handlowym, potem ekspedientem, wreszcie pomocnikiem zarządzającego. Jego zdolności, zwłaszcza fenomenalna pamięć, jednały mu uznanie przełożonego, który zaszczycał młodego Palucha swoją przyjaźnią. Z kolegami i podwładnymi Marceli nie utrzymywał bliższych stosunków; pracował dla firmy z myślą o sobie. Zapewne z czasem zaszedłby wysoko w hierarchii owego przedsiębiorstwa, gdyby nie jedno drobne potknięcie się. Jego przełożony i przyjaciel wciągnął go do pewnej niewielkiej zresztą spekulacji, która miała im obu przynieść trochę ubocznych zysków. Zainwestowali w ten interes nie tylko własne oszczędności, lecz także coś niecoś z pieniędzy domu handlowego, którymi obracali. Spekulacja zawiodła, ale to nie stałoby się jeszcze przyczyną katastrofy, bo mogliby przed bilansem zwrócić brakującą sumę. Lecz przyjaciela Marcelego dotknęła redukcja pracowników spowodowana kryzysem i wtedy wszystko wyszło na jaw. W rezultacie zostali zwolnieni obaj.

Paluch znalazł się na bruku bez grosza, jako bezrobotny. Uchodził za ofiarę stosunków gospodarczych, ponieważ nie wytoczono mu sprawy sądowej. Sam uważał się za ofiarę lekkomyślnie zawartej przyjaźni. Wyrzucał to sobie i cierpiał nad własnym upadkiem, przysięgając w duchu, że nigdy już tak głupio nie postąpi. Nie przychodziło mu wcale do głowy, że mógłby odczuwać skruchę z powodu swego czynu. Nie miał się bynajmniej za przestępcę: nigdy nic nie ukradł, a przedsiębiorstwo nie poniosło żadnej szkody, ponieważ dyrekcja nie wypłaciła mu po zwolnieniu trzymiesięcznych poborów, które pokryły przypadającą na niego część sumy „pożyczonej” z kasy.

Po niejakiem czasie zetknął się w biurze pośrednictwa pracy z ludźmi, którzy głodowali jak on, choć z nieco innych powodów.

Pewnego razu znalazł się wśród nich na wiecu, który rozwinął się w burzliwą demonstrację. W podnieceniu zaczął przemawiać posługując się zdaniem zaczerpniętymi z artykułu lewicowej gazety. Przeczytał ten artykuł przed owym wiecem i zapamiętał każde słowo, a powtarzając go przed gmachem rządowym, tchnął weń całą gorycz, jaka mu się nagromadziła w sercu po miesiącach bezowocnych starań o pracę.

Aresztowano go jako „wywrotowca”, lecz ta przygoda, z której zresztą wyszedł stosunkowo obronną ręką – po sześciotygodniowym pobycie w „obozie pracy” – zwróciła nań uwagę kilku mniej doświadczonych towarzyszy partyjnych. Postanowiono mu dopomóc, zająć się nim. Tak zaczęła się jego nowa droga, na której znów czekały go wyróżnienia i awanse, zdobywane kolejno dzięki własnym „zdolnościom i talentom”.

Rozpatrywał te swoje zdumiewające zalety i cechy, które pozwoliły mu dwukrotnie wydzwignąć się w górę, a teraz – po raz wtóry – wyniosły go na poważne stanowisko. Obiecał sobie od początku, że będzie pracował dla partii tak samo lub nawet usilniej niż dla prywatnego przedsiębiorstwa, gdzie powinęła mu się noga. Żadnych „boczków”, żadnych więcej przyjaźni, żadnych interesów na własną rękę!

Dotrzymywał sumiennie tej obietnicy. Był z natury skromny. Nie zadawał się z kobietami, niewiele pił, nie grał w karty. Gdy został szefem działu w Polskim Ratownictwie Okrętowym, czego się nie spodziewał, i gdy minął mu pierwszy radosny wstrząs z tego powodu – opanowała go dawna zarozumiałość. Ponownie wróciła mu wiara w siebie, we własne zdolności i znajomość życia. Poczł się w siodle. Jego taktyka utrzymywania pracowników biurowych w ustawicznej niepewności – taktyka, której nauczył się był od swoich szefów w wielkiej prywatnej firmie – dawała, jak mniemał, doskonałe wyniki. Jego sprawozdania były po prostu arcydziełami: wynikało z nich jasno, że praca dwóch głównych działów, technicznego i administracyjno-biurowego, została wreszcie zharmonizowana, przy czym zaoszczędzono znaczne sumy dzięki zmniejszeniu ilości pracowników oraz wyjazdów służbowych.

Niestety, owe „oszczędności” odbiły się bardzo niekorzystnie na realnej pracy, dla której powstało całe przedsiębiorstwo; koszty własne przy robotach ratowniczych rosły niepomiarowo wskutek przestojów spowodowanych brakiem materiałów, a wykonanie planu tych robót stałoby pod znakiem zapytania, gdyby nie wysiłki naczelnego inżyniera i brygad robotniczych oraz nurków.

Zięborak, zaufawszy raz Paluchowi, nieprędko się w tym połapał. Szukał przyczyn gdzie indziej i nie mógł ich odkryć, będąc stale w rozjazdach, zajęty bardziej niż kiedykolwiek. Jakus nie wtrącał się do spraw wewnętrznych P.R.O., które mu nie podlegały, a uwagi Czełuśniaka, który miał własny pogląd na działalność Palucha, traktował początkowo sceptycznie.

Tymczasem Czełuśniak był najbliższy prawdy, zwłaszcza jeśli idzie o wpływ, jaki na kierownika działu personalnego wywierała jego piękna sekretarka.

* * *

Objąwszy swe stanowisko, Marceli Paluch zastał między kilku innymi podaniami o przyjęcie do pracy prośbę Ireny Auber z adnotacją Zięboraka: „Z polecenia Lenkiewiczowej”. Nie wiedział jeszcze wówczas, kto to jest Lenkiewiczowa, lecz przeczytawszy życiorys Ireny, zdecydowanie dopisał u dołu: „Nie!” i wrzucił go na dno szuflady biurka.

W miesiąc później to „nie” zostało przez niego przekreślone na krzyż czerwonym ołówkiem, a następnie starannie wytarte gumą. Uczynił to po pierwszej rozmowie z petentką, która zgłosiła się do niego osobiście, aby zapytać, jak załatwiono jej sprawę.

Gdy ją zobaczył na progu swego pokoju biurowego, wydała mu się tak pełna wdzięku i uroczą, tak zachwycająca, że po prostu oniemiał z wrażenia. Wstał i patrzył na nią lub raczej pożerał ją wzrokiem, nie zdając sobie sprawy z uczuć, które ogarnęły go nagle gwałtownym, nieodpartym porwyem.

Podeszła bliżej, trochę zdziwiona tym jego milczeniem. W miarę jak się zbliżała, przez głowę pędziły mu zmacone, beładne, oszałamiające myśli: Kim ona jest? Po co tu przyszła? Czy będzie do mnie należała? Kiedy?...

– Jestem Auberówna – usłyszał jej głos. – Pan jest szefem działu personalnego, prawda?

– Tak – odrzekł z wysiłkiem. – Aha, widziałem tu pani podanie... Pani chce u nas pracować?

Zaczął przewracać papiery i teczki, odrywając co chwila wzrok, aby się przekonać, że to cudowne zjawisko nie jest halucynacją.

Zjawisko zaś z kobiecą przenikliwością natychmiast zrozumiało, że pierwsze wrażenie jego pojawienia się jest nader korzystne, i nie omieszczało tego wyzyskać.

Spod opuszczonych powiek poprzez ciemne rzęsy na Marcelego padło badawcze, twarde i ostre jak stal spojrzenie. Objęło jednym błyskiem jego twarz i przeciętną, nie wyróżniającą się niczym postać, po czym złagodniało w uśmiechu. Ten uśmiech zajaśniał jak pierwszy brzask na niebie wśród niepewnej pogody, która może kryć w sobie zarówno zapowiedź rozkosznego słonecznego ranka, jak burzy, wichru i gromów. Dla niego jednak ten uśmiech był pełen ponętnych obietnic. Uległ mu prawie natychmiast: Irena została przyjęta tego samego dnia.

Niejednokrotnie później – zanim jeszcze została jego narzeczoną – przeżywał pewne wątpliwości i doznawał nieokreślonych obaw przed tą pierwszą w życiu namiętnością, która tak nagle go opanowała. Instykt i pamięć o przeszłości – ta jego fenomenalna pamięć – ostrzegały go jakby w przewidywaniu cierpienia lub jakiegoś nieszczęścia.

Były to jednak tylko przelotne chwile.

Czego właściwie miałyby się lękać? Skąd te skrupuły?

Uważał, że wszelkie skrupuły są udziałem głupców. Człowiek rozumny, jak on, kieruje się wyłącznie względami na własne powodzenie, na własne szczęście.

Dawniej uważał, że szczęście to pieniądze; bogactwo zapewniające zupełną niezależność. Potem, wraz z przewartościowaniem dóbr materialnych, musiał uznać, że pieniądź stracił znaczną część potęgi, jaką posiadał. Szczęście, dobrobyt, względną niezależność, zadowolenie ambicji dawała dziś, według jego mniemania, władza.

Tak mniemał, dopóki nie zjawiła się Irena. Teraz sam był w jej władzy i nie wiedział, czy nie przyjdzie mu wybierać między nią a karierą życiową.

Wszystkie te wahania i wątpliwości ustępowały z czasem pozostawiając jedynie jakiś niewytłumaczony, ledwie dostrzegalny ślad niby lekką skazę ukrytą głęboko na samym dnie jego świadomości.

Irena lubiła się bawić, chciała nadal błyszczeć wśród mężczyzn i musiała wydawać znacznie więcej, niż wynosiły jej pobory wraz z tym, co mógł jej dać Marceli. Ale była dość sprytna, aby zrozumieć, że ten człowiek nie popełni jawnych nadużyć, które musiałyby się dla niego skończyć fatalnie. Postanowiła natomiast dopomóc mu w jego zamierzeniach, a raczej pokierować ich realizacją tak, aby osiągnąć stąd materialne korzyści, choćby w postaci premii lub awansów. Jej dziełem były poniekąd owe „oszczędności” budżetowe, które przyniosły kierownikowi działu specjalną premię, i za jej sprawą dyrekcja zatwierdziła rozdział premii miesięcznych, uwzględniając tam dalsze jego zasługi i wytężoną pracę dla dobra P.R.O.

Mogło się здаwać – a Marceli Paluch uwierzył już w to niezachwianie – że otwiera się przed nim droga, która zawiedzie go w przyszłości na najwyższe stanowisko, o jakim tylko zamarzy.

* * *

Barnat, skończywszy załadunek materiałów technicznych na holownik pomocniczy, poszedł do biura. Miał się tam spotkać z Jakusem, który jeszcze nie wiedział, czy będzie mógł wrócić z nim razem, czy też będzie musiał zostać w Gdyni przez dzień lub dwa.

Antoni czekał na niego w obszernym hallu u szczytu klatki schodowej na piętrze. Siedział na ławce czytając gazetę. Urzędnicy przechodzili obok niego, znikali za drzwiami i ukazywali się znowu z teczkami papierów, zaaferowani, śpiesząc się lub przystając, aby porozmawiać przy spotkaniu. Słychać było stuk maszyn do pisania, dzwonki telefonów, stłumiony gwar rozmów.

Barnat nie zwracał na to uwagi. Był trochę zmęczony bieganiem po magazynach i warsztatach, gdzie odbierał nowe wodoszczelne pokrywy z wmontowanymi regulatorami ciśnienia wewnętrznego, które miały być przyspawane na lukach m/s „Adlernest”. Ładowanie tych pokryw na pokład „Swarożyca”, a następnie odbiór i transport pomp wodno-powietrznych, butli z tlenem i wodorem, skrzyń i pak, które holownik miał zabrać, trwały od wczesnego rana aż do popołudnia. Z przyjemnością usiadł teraz na chwilę, zadowolony, że ma już to wszystko za sobą.

Byłby się zapewne zdrzemnął na tej ławce, bo czarne rzędy liter zaczęła mu przesłaniać mgiełka, gdy usłyszał swoje imię:

– Antoni!

Przetarł oczy. Irena stała przed nim, wsparłszy się pod boki, rozśmieszona sennym wyrazem jego twarzy.

– Ładnie się musiałeś sprawować w nocy, jak ci się tak spać chce! – powiedziała grożąc mu palcem. – Co tu robisz?

Wstał i ujął jej wypielęgnowaną, drobną dłoń.

– Żyję cnotliwie jak pustelnik i pracuję – odrzekł. – Czekam na Jakusa.

– Konferuje od dwóch godzin z Zięborakiem i z Marcelim – powiedziała. – Chodź do mnie na chwilę. Całe wieki cię nie widziałam.

Ociągał się trochę:

– Jakus może wyjść lada chwila...

– No to powiem tam, w sekretariacie, żeby nas zawiadomili, jak będzie wychodził. Nie bój się: nie zjem cię... chociaż może miałabym ochotę...

Wszedł za nią do małego pokoju, za którym urzędował kierownik działu, i zbliżył się do okna. Trochę nerwowo sięgnął po papierosy patrząc na nabrzeże i przycumowany tam holownik. Potarł zapałkę o pudełko i w tej samej chwili poczuł dotknięcie delikatnych palców na karku. Irena stała za nim, tuż blisko. Odrzucił złamaną zapałkę i chciał zapalić inną, lecz różowe, przeświecone słońcem paluszki wyjęły mu z ust papierosa.

Usłyszał jej stłumiony głos:

– Spójrz na mnie, pracowity pustelniku. Czy ci się już wcale nie podobam?

Zwrócił się ku niej i łagodnie, lecz stanowczo ujął ją za ramiona, które już oplatały mu szyję.

– Jesteś urocza jak zawsze – powiedział z lekką ironią – ale...

Urwał. Drzwi z korytarza otworzyły się i na progu stanęła Teresa.

– Czy tu nie ma...

Zamilkła, nie dokończywszy pytania. Przez chwilę wszyscy troje stali nieruchomo, bez słowa, wstrzymując oddech, w napiętej ciszy: Teresa pobladła, Antoni z pociemniałą gniewną twarzą, Irena, bardziej ubawiona niż zmieszana, ciekawie spoglądając przez ramię na tę śliczną dziewczynę w roboczej bluzie.

Teresa czyniła wrażenie ptaka pochwyczonego w sidła. Zdumienie, a potem popłoch odbiły się w jej wspaniałych oczach. Nagle zatrasnęła drzwi i uciekła.

Irena roześmiała się:

– Zabawne cielátko! Jeszcze jedna twoja ofiara? Bezwiednie ścisnął jej ręce, które trzymał dotąd chcąc się uwolnić od ich splotu na szyi. Krzyknęła:

– No, puść mnie! Boli! – i szarpnąwszy się, w chwili gdy zwolnił chwyt, zatoczyła się w tył.

– Przepraszam, nie chciałem... – bąknął widząc, że rozciera sobie ramiona zaczerwienione od uścisku jego dłoni.

Jej usta wykrzywił gniew. W przymrużonych oczach, w ściągniętych brwiach, w rysach twarzy pożółkłej nagle i zeszczonej owym wulgarnym wyrazem, który pojawiał się na niej czasem, gdy Irena nie panowała nad sobą, Antoni dostrzegł dziką, nieokietznaną złość.

– Zachowujesz się jak nieokrzesany cham – syknęła. – Odwykłeś widać od obcowania z kulturalnymi ludźmi – tam, skądżeś wrócił. Idź do tej swojej gęsi! W sam raz dla ciebie taka idiotka...

Odwrócił się i szedł ku drzwiom zacisnąwszy zęby, żeby jej nie odpowiedzieć jakąś obelgą. Syczący, zły, nie znany mu dotąd głos ścigał go aż do progu. Groziła mu:

– Wiem o tobie dosyć, żeby cię stąd przegonić na cztery wiatry! Strzeż się!

Był już za drzwiami. Nawet na nią nie spojrział. Wolno zaczął schodzić ze schodów, zapomniawszy, po co tu przybył. Wybiegła za nim.

– Antoni! Zaczekaj, Antoni!

Przyśpieszył kroku nie odwracając głowy, więc dogoniła go na półpiętrze i chwyciła za rękaw. Była już opanowana; tylko przyśpieszony oddech zdradzał jej niedawny wybuch.

– Wróc na górę, Antoni – powiedziała pokornie. – Uniosłam się i dlatego... No, nie gniewaj się. Chcę cię przeprosić.

– Dobrze – odrzekł chłodno. – Nie będę się gniewał, a ty mnie nie przepraszaaj.

Jakieś drzwi otworzyły się w hallu na górze. Irena usłyszała głosy Zięboraka i Jakusa.

– Jak was zwolnią na ład w przyszłym tygodniu, przyjdę do ciebie – powiedziała szeptem. – Nie wyrzucisz mnie chyba? Powiedz: nie gniewasz się już?

Antoni potrząsnął głową.

– Nie.

– Więc – do widzenia. Pamiętaj!

Bez pośpiechu, z podniesioną głową weszła po schodach na górę.

Barnat usłyszał, że naczelný inżynier wymienił jego nazwisko.

– Pan Barnat? – powtórzyła Irena. – Widziałam go w tej chwili. Czeka, zdaje się, na pana w hallu na parterze.

– Jestem tutaj – powiedział Antoni.

Jakus wychylił się przez balustradę.

– Aha, dobrze. Zaraz tam do was zejdę. Wstąpimy jeszcze na holownik. Muszę zostać w Gdyni, więc... Najlepiej poczekajcie tam na mnie i powiedzcie, żeby byli gotowi do odjazdu.

– Dobrze – odrzekł Barnat i zszedł na dół.

* * *

Teresa, ujrawszy niespodzianie Antoniego i Irenę, doznała gwałtownego skurczu serca – jakby je ktoś pochwyił i mocno, bezlitośnie ścisnął. Poczuła na twarzy płomień, który ją smagnał po oczach i policzkach, a potem wstrząsnął nią strach. Przeraziła się tych uczuć, przeraziła się samej siebie. Zatrzasnęła drzwi, aby jak najprędzej uciec od wzroku tej kobiety, którą Antek (pomyślała „mój Antek”) trzymał w objęciach.

Wybiegła na opustoszałe nabrzeże i ochłonawszy nieco z palącego wstydu, jaki ją ogarnął po pierwszym nieopanowanym odruchu ucieczki, zaczęła się usprawiedliwiać sama przed sobą ze sprzecznych porywów zmagających się w jej sercu. Bolało jeszcze, choć wzbraniała mu tego. Walczyła z tym bólem, chciała go zagłuszyć, oszukać i raz po raz ze zgrozą uświadamiała sobie, że odzywa się znowu, że nie ma takiej myśli, która mogłaby go uspokoić. Postanowiła przynajmniej ukryć ten ból i rozterkę – jeśli nie przed sobą, to przed nimi: przed Antonim i przed Rafałem.

Na wspomnienie Rafała nowy rumieniec wstydu przemknął przez jej twarz. Nie mogła się zdobyć wobec tego chłopca na otwarte wyznanie. Nie była z nim szczerą. Nie tylko wrodzona skrytość zamykała jej usta...

Gdyby mu powiedziała o Antonim, być może łatwiej by jej było ustrzec się przed owym żarem, który tlał w popiołach jej pierwszej miłości i rozpałał się na nowo wbrew wszelkim nakazom woli. Ale Rafał... Co by się z nim stało?

Odsunęła tę myśl od siebie: nie, nie można go tak zranić; nie wolno go złamać, zniszczyć, wyrwać mu z piersi szczęścia, w które uwierzył, odebrać mu tego, na co zasłużył. Rafał miał tylko ją jedną; Antoni... Zaciśnęła usta. Nie będzie o nim myślała!

Przypomniała sobie o sprawie, z którą przyszła do biura: musiała się zobaczyć ze Stanisławem Jakusem. Odetchnęła głęboko i poszła z powrotem ku wejściu do zarządu P.R.O. Ujęła za klamkę i nagle drzwi otworzyły się same; ktoś je pociągnął od wewnątrz.

Podniosła wzrok. Przed nią stał Antoni.

Był nieco zaskoczony tym spotkaniem.

– Tereso – zaczął i urwał nie mogąc znaleźć słów, nie wiedząc, co jej ma powiedzieć.

Patrzyła na niego na pozór spokojnie, z ręką na klamce drzwi. Rysy jej pięknej twarzy były nieporuszone. Tylko ogromne, szeroko rozwarte oczy wyrażały napiętą, czujną, jakby trwożną uwagę.

– Tereso – powtórzył Antoni. – Tamta kobieta... Nic mnie już z nią nie łączy. Od dawna. Od wielu lat. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, żebyś mi uwierzyła...

Przygryzł wargi. Jak miał jej wytłumaczyć tę głupią scenę? I po co? – Idiotyczna sytuacja! – pomyślał.

– Widzisz – zaczął znów z wysiłkiem – kiedyś byliśmy w przyjaźni, Irena i ja. A teraz... Głupio ma, że byłaś świadkiem tylko tego momentu. Bo to nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

Teresa milczała. Uzbroidła się w tę jedyną broń przeciw własnej słabości, nie ufając sobie tak dalece, że bała się odezwać choćby jednym słowem, aby nie powiedzieć za wiele, aby się nie zdradzić.

Ten nakaz, narzucony sobie przemocą, krył gwałtowność wzruszeń, które ścierały się w jej sercu, i nadawał jej twarzy pozory kamiennego spokoju. Antoni nie dostrzegł drżenia ręki, którą zacisnęła kurczowo na klamce.

Postąpiła krok naprzód, chcąc go wyminąć. Usunął się na bok. Cóż więcej mógł jej powiedzieć? Patrzył na nią przez chwilę, a potem odszedł w stronę holownika.

Rozdział XXIV

Barnat usiadł na ramie luku świetlnego maszynowni, zameldował, że znajduje się na wraku, i patrzył w górę wzdłuż liny zejściowej, która po chwili zaczęła drgać pod chwytami opuszczającego się za nim Grabienia. Raz jeszcze uprzytomnił sobie, jak wyglądało przejście pomiędzy podstawami potężnych motorów i całym systemem pomp i kranów regulujących dopływ ropy a drzwiami wodoszczelnymi w tylnej grodzi oddzielającej maszynownię od tunelu wałowego.

Wachel, który daremnie wraz z Siwcem usiłował przedostać się przez te drzwi poprzedniego dnia, powiedział, że „sam diabeł tam nie wlezie”.

– A jeżeliby wlaź, to jak do własnego grobu. Mam rację czy nie? – zwrócił się do swego pomocnika.

Siwiec mruknął coś w rodzaju potwierdzenia, choć może nie był całkowicie przekonany o niepodobieństwie wejścia do tunelu.

Antoni spojrział na Rafała, który dawał mu porozumiewawcze znaki poprzez dzielący ich stół. Skinął głową.

– Zostawcie to mnie – zwrócił się do Czełuśniaka. – Wejdziemy z Grabieniem do tego grobu. No i wyjdziemy z powrotem.

Wachel, nie odwracając głowy osadzonej nisko między ramionami na krótkiej szyi, rzucił mu zgryźliwe spojrzenie swych skośnych oczu. Na jego dużych płaskich policzkach, pomiędzy którymi ginał cienki, zakrzywiony nos, ukazał się ceglasty rumieniec.

– Zobaczmy – powiedział krzywiąc małe usta ściągnięte zwykle na podobieństwo ryjka. – To się łatwiej mówi, niż robi.

– Ba, znacznie łatwiej – roześmiał się Barnat. – Ja też nie mówię, że tam wejdziemy jak ze Świętojańskiej na plac Kaszubski; ale wejdziemy.

Czełuśniak się zgodził. Dodał im Pałamarza na pośredniego sygnalistę i – róbcie!

Kapitan Jakus miał przyjechać z Gdyni nazajutrz rano. Chcieli mu zrobić niespodziankę.

We trzech obgadali tę sprawę po kolacji, posługując się planem wraku. Ustalili sposoby porozumiewania się i postępowania w różnych okolicznościach. Starszy nurek przyszedł do nich pod koniec tej narady i przysłuchiwał się z posępną miną.

– To jest na samym dnie statku – powiedział, gdy już mieli się rozejść. – A statek siedzi ze cztery albo pięć metrów w gruncie – wiedzcie to sobie! Będziecie mieli prawie czterdzieści metrów wody nad głowami. No!

Prześwidrował ich kolejno szybkim spojrzeniem, chrząknął i odwrócił się do nich tyłem, jakby przestali go w ogóle obchodzić. Ale u wyjścia na pokład zatrzymał jeszcze Antoniego.

– Nie ryzykujcie za wiele, Barnat – mruknął ostrzegawczo. – Tu nie tylko o waszą skórę chodzi, rozumiecie mnie? Żadnych tam hopsztosów w waszym guście! To jest poważna robota. Trudna robota. I ci dwaj mają wyjść z tego cało i zdrowo.

– A mnie może szlag trafić – dokończył Antoni tym samym tonem i zaśmiał się krótko.

– Was? Wam się nic nie stanie, jak zwykle. Pewnie dlatego, że co ma wisieć, nie utonie – odrzekł Czeluśniak zgryźliwie, choć z pewnym odcieniem podziwu czy też uznania.

Barnat wiedział, że teraz starszy nurek sterczy tam w górze pochylony nad wodą i denerwuje się za nich trzech. Gdyby mógł, zapewne sam by zszedł tutaj, aby sforsować wejście do tego tunelu wałowego. Gdyby naczelny inżynier znajdował się na pokładzie „Posejdona”, Czeluśniak byłby spokojny jak zwykle. Ale miał tam do pomocy tylko Orbacha i Wachla. Reszta – to byli młodzi nurkowie bez większego doświadczenia. Nic dziwnego, że się niepokoił, nie okazując tego zresztą wyraźnie.

Antoni bynajmniej mu nie współczuł: niech się stary kozioł przynajmniej pomartwi. Jak się to wszystko uda, z pewnością będzie utrzymywał, że to jego zasługa.

Rafał Grabień ukazał się w górze, jak nawleczony na linę, która drgała od jego szybkich chwytów. Zsunął się w dół i usiadł obok Barnata. Wkrótce przyłączył się do nich Pałamarz, a potem po linie zjechała zapalona lampa, którą Antoni zawiesił sobie u pasa. Wreszcie – worek z narzędziami.

Pałamarz ujął ich przewody, sklarował je starannie, tak żeby biegły oddzielnie po prawej i po lewej jego dłoni. Kabel od lampy ujął wraz z węzem Barnata. Gotowe!

– Barnat i Grabień wchodzi do luku świetlnego – zameldował na powierzchnię.

Antoni opuszczał się po linie, którą poprzedniego dnia umocowano do belki skylightu i która zwisała aż do dna wraku między dwoma ogromnymi Dieslami. Tuż za nim podążał Rafał.

Stanęli obaj w ciasnym przejściu. Z obu stron, na lewo i na prawo, piętrzyły się wysoko nad ich głowami potężne stalowe bloki motorów, jak ściany dwu dziwacznych budynków ze stali. W młdym świetle lampy można było dostrzec zarys cylindrów, których głowice ginęły już w mroku, o siedem metrów wyżej.

Barnat rozejrzał się i nieomylnie ruszył ku tylnej grodzi. Rafał szedł za nim trzymając jego przewody i kabel od lampy.

Na szczycie skylightu, o kilkadziesiąt metrów wyżej, Pałamarz czujnie, z minimalnym luzem oddawał cal po calu dwa węze, dwie linki bezpieczeństwa i ów kabel, licząc ich znaki.

Jeszcze wyżej – na pokładzie „Posejdona” – te same przewody wolno pełżyły przez ręce sygnalistów Gerta i Pawlika, podczas gdy przewód Pałamarza spoczywał nieruchomo w dłoni Kobosa. Czeluśniak stał obok nich, nieco bliżej telefonów, które obsługiwali Wachel i Maderski; Orbach siedział na ławce, ubrany do zanurzenia, tylko bez hełmu – jako nurek alarmowy; inni zgromadzili się dalej wzdłuż burty, mając pomiędzy sobą doktora Bacza. Kapitan Hornung, w swojej pirackiej chustce na głowie, spoglądał na nich z góry siedząc na mostku, po którym przechadzał się oficer wachtowy.

Zupełne milczenie objęło statek oświetlony skośnymi promieniami słońca, które wznosiło się zwolna coraz wyżej nad horyzontem. Długie cienie ludzi, masztów, wind, bomów i szalup kołysały się miarowo na wyszorowanych, jeszcze wilgotnych deskach pokładu zgodnie z niestrudzonym pochodem fal dążących ku brzegowi.

W zupełnej ciszy z mikrofonu odezwał się nosowy głos Pałamarza:

– Na pokładzie! Oddałem dwadzieścia dwa metry przewodów. Obaj wolno idą dalej. Żadnych sygnałów.

Wachel spojrzął na Czeluśniaka, który skinął głową.

– Dobrze – odpowiedział przez telefon. – Zgadza się: dwadzieścia dwa metry.

Barnat ostrożnie mijał ciasne przejście pomiędzy gmatwaniną kranów, pomp, akumulatorów, jakichś dźwigni, przekładni i krążków do sterowania sprzęgłami i biegami silników. Niemal ocierał się o nie, lecz jego przewody o nic dotąd nie zahaczyły pilnie strzeżone przez Grabienią.

Dał mu znak, żeby się zatrzymał. Chciał najpierw sam dotrzeć do drzwi tunelu, aby dokładnie zbadać tę pełną zasadzek drogę. Jakieś namoknięte deski, blaszane puszki, strzępy chodników z linoleum, korkowe płyty izolacyjne pływały dokoła jego głowy.

Wtem natknął się na dużą blaszaną skrzynię, która uwięzła między tym wszystkim zamykając przejście. Spróbował ją poruszyć. Ani drgnęła. Obejrzał się na Rafała, ale nie mógł dojrzeć go w mroku. Nacisnął kontakt telefonu, zamykając na chwilę zawór w hełmie.

– Powiedzcie Grabieniowi, żeby tu do mnie podszedł – powiedział.

Wachel ujął słuchawkę od przewodu Rafała.

– Barnat chce, żebyście poszli do niego.

– Dobrze – odrzekł Rafał.

Szedł, kierując się światłem lampy, które wydawało się bardzo odległe, jak samotna gwiazda, której słaby blask przebija przez mgłę unoszącą się nad ziemią. Raz uderzył hełmem o coś, czego nie mógł dojrzeć w mroku, i został odrzucony tym uderzeniem w tył, aż zachwiało się na nogach. Całym ciałem parł naprzód przez czarną, rzekłbyś gęstą od mroku wodę, z trudem pokonując jej opór. Czuł się jak pajęczyna, którą kołysze najsiłabszy powiew wiatru.

Jestem za lekki – pomyślał.

Nacisnął głową zawór wylotowy w hełmie. Powietrze zabulgotało rwąc się na zewnątrz. Twarda, tłoczona potwornym ciężarem woda zacisnęła się dokoła jego nóg aż po biodra.

Natychmiast poczuł się pewniej. Pochylając się, kucając, wymijając przeszkody dotarł wreszcie do miejsca, w którym stał Barnat. Przebył zaledwie parę metrów, jakkolwiek wydawało mu się, że dzieli ich odległość kilkudziesięciu kroków.

Zobaczył ową skrzynię, która zatrzymała Antoniego, i domyślił się, o co chodzi. Wzięli się za nią we dwóch. Barnat przełazi na drugą stronę, podsadził się pod krawędź, uniósł ją i pchnął ku niemu. Skrzynia stanęła sztorcem, pochyliła się, opadła wolno, tak że Rafał zdążył pochwycić jej brzeg. Oparł go o zgięte kolana, aby uwolnić jedną rękę, po czym trzykrotnie szarpnął obu linkami bezpieczeństwa: wybierać luz!

Pałamarz powtórzył sygnał.

Nie udało im się – pomyślał zawiedziony. – Wracają.

Szli bardzo wolno, przystając raz po raz. Gdy Pałamarz wybrał około czterech metrów ich przewodów, zatrzymali się na dłużej. Potem – dwa szarpnięcia: więcej luzu! Znowu posuwali się w głąb wraku.

Więc nie wracają – ucieszył się.

Poczuł, że Grabień stanął w tym samym miejscu, gdzie stał dając pierwszy sygnał; Barnat wolno szedł naprzód, aż stanął także. Po chwili Grabień do niego się dołączył.

Znaleźli się obaj przed drzwiami wodoszczelnymi, które prowadziły do tunelu wałowego. Barnat odczepił lampę, zbliżył ją ku czarnej szczelinie. Drzwi były na pół otwarte. Wsunął lampę poza nie i zobaczył dwa równoległe szeregi krytych łożysk, przez które przechodziły wały od motorów do śrub statku. Dalej w głębi u lewej burty bieląco coś jak piasek.

Pomyślał, że istotnie może to być piasek, który się tam dostał przez otwór wyrwany wybuchem. W tym miejscu przecież przed sześciu laty własnoręcznie przytwierdził bombę zegarową pod dnem m/s „Adlernest”...

Zaprzagnął przekonać się, zobaczyć na własne oczy, jak wielkie uszkodzenia poczynił ów wybuch. Pchnął drzwi, a gdy nie ustąpiły, podparł je ramieniem, ale na próżno: coś blokowało je od wewnątrz.

Spróbował je zamknąć – z tym samym skutkiem.

Zaczął się rozglądać: co za licho w nich siedzi?

Grabień dotknął jego ramienia.

– Tu – wskazał na belkę nadproża.

Sterczał tam róg zgiętej mosiężnej płyty, która jakimś sposobem dostała się między stalową framugę a dolną krawędź drzwi.

Barnat pomyślał o Hjertingu. Tylko on mógł ją tu wepchnąć. Pokręcił głową: niech go nie znam! Nawet się tym nie pochwalili...

Podał Rafałowi lampę, sam zaś dobył noża i odciął młot osadzony na krótkiej rękojeści, który zwisał mu u pasa. Stanął tyłem do drzwi i rozkraczywszy nogi, przymierzył się, wziął rozmach, uderzył: raz! drugi! trzeci! – z całych sił przez wodę, która hamowała ciosy.

Płyta nie poruszyła się. Tylko wystający róg zaczął się zawijać w górę.

Na pokładzie „Posejdona” Czeluśniak odebrał Wachlowi słuchawki od przewodów Barnata i Grabienia. Słuchał, co się tam dzieje czterdzieści metrów pod wodą, na samym dnie tego sześciopiętrowego labiryntu, jakim było ciemne, głuche wnętrze m/s „Adlernest”. Poprzez szum i bulgotanie powietrza dochodziły go słabe odgłosy stukających raz po raz o siebie hełmów i niewyraźny szmer rozmowy. Naradzali się nad czymś.

Wywołał Grabienia:

– Gdzie jesteście?

– Ciągle jeszcze przed tymi cholernymi drzwiami – odrzekł Rafał. – Jakaś płyta uwięzła pod nimi i ani naprzód, ani w tył.

Czeluśniak zwrócił się do Maderskiego, który prowadził kontrolę czasu:

– Jak długo są pod wodą?

– Barnat czterdzieści pięć minut, Grabień czterdzieści trzy, Pałamarz czterdzieści.

Wachel uśmiechnął się zjadliwie.

– Akurat czas, żeby wracali. Zanim dojdą stamtąd do luku, minie z piętnaście minut.

Czeluśniak rzucił mu chmurne spojrzenie, ale musiał przyznać, że tak jest istotnie.

– Halo, Grabień! – powiedział głośno. – Zastawcie te drzwi i wracajcie.

Rafał mruknął coś, co można było przyjąć za potwierdzenie. Czeluśniak wziął słuchawkę Pałamarza.

– Uważajcie tam na przegrody. Barnat i Grabień wracają. Jego ciężkie spojrzenie raz jeszcze spoczęło na Wachlu, który odwrócił wzrok udając, że tego nie dostrzega.

– Weźcie słuchawki, Wachel – rzekł Czeluśniak.

Sam podszedł ku sygnalistom, którzy lekko podciągali przewody, aby wyczuć, czy mają luz. Mijały minuty i luzu nie było.

– Barnat pięćdziesiąt minut, Grabień czterdzieści osiem – obwieścił Maderski.

Czeluśniak wrócił do telefonów i znów słuchał. Odległy, stłumiony, metaliczny odgłos młota przenikał z głębi. Potem wszystko ucichło z wyjątkiem szumu i bulgotania powietrza u wylotów wentyli w hełmach.

Sygnaliści stali nieruchomo, pochyleni nad wodą, każdy z wyciągniętą nieco przed siebie ręką, z której zwisał gumowy wąż powietrzny i linka bezpieczeństwa. Ich cienie kładły się na fale wznosząc się i opadając, wydłużając i kurcząc się na przemian. Wśród napiętego milczenia i ciszy zawisłej nad pokładem doktor Bacz hałaśliwie wytarł nos, co ściągnęło nań przez krótką chwilę wszystkie spojrzenia.

Maderski powiedział:

– Sześćdziesiąt minut dla Barnata.

Całkowity czas zanurzenia zespołu minął. Żaden sygnał nie przychodził z głębi...

* * *

Barnat zniechęcony daremnymi wysiłkami odłożył młot i razem z Grabieniem znów podparli drzwi, które jednak nie ustąpiły ani na cal. Wtedy właśnie Rafał usłyszał pytanie Czeluśniaka, a po chwili wezwanie do powrotu na powierzchnię. Powtórzył to Antoniemu i już mieli odejść, gdy Barnat go zatrzymał.

Przyszło mu na myśl, że mosiężna płyta musiała zostać wsunięta pod drzwi od strony tunelu wałowego. Może więc łatwiej będzie ją wyciągnąć niż wepchnąć uderzeniami młota? Trzeba tylko przecisnąć się przez szczelinę w półotwartych drzwiach.

Ukląkł i po kilku próbach zdołał przesunąć hełm do wewnątrz. Ale jego szerokie barki nie mieściły się w żaden sposób. Położył się na boku, z trudem wsunął za próg jedno ramię, potem drugie. Namacał jakąś rurę, którą pochwycił, i zaczął się wciągać pomagając sobie nogami.

Wpełził prawie do połowy ciała, lecz teraz zatrzymały go ołowiane ciężarki powyżej pasa. Wykręcał się na wszystkie strony, wił się jak wąż, ale szczelina była za ciasna. Nie mógł się przez nią przedostać.

Nie mógł także zdjąć owych ciężarków. Wiedział, że grozi mu to natychmiastową utratą równowagi i że nie zdoła ich sam założyć z powrotem, gdy znajdzie się w tunelu.

Zaczął się cofać. Było to jeszcze trudniejsze niż mozolne wczołgiwanie się do wnętrza. Dokonał tego wreszcie przy pomocy Rafała, który ciągnął go za nogi.

Znalazłszy się znów przed drzwiami, wstał i uregulował zawory w hełmie. Dyszał ciężko. Musiał chwilę odpocząć.

Rafał zbliżył swój hełm do jego głowy.

– Ja tam wejść! – zawołał głośno – Jestem od was szczuplejszy!

Barnat spojrział na niego z wahaniem, lecz Grabień nie czekając na jego przyzwolenie zawiesił lampę na śrubie wystającej z framugi i położywszy się na podłodze wsuwał się już głową naprzód do tunelu.

Panowały tam grobowe ciemności i cisza tak głucha, że aż przerażająca. Rafał doznał jakiegoś dziwnego niepokoju wnikając do tego czarnego, ciasnego grobu. Było to nie dające się opanować uczucie, że lada chwila coś skoczy na niego z góry – bezsensowny lęk przed niewidzialnym.

Działając pod wpływem odruchu podyktowanego podziwem dla Antoniego i chęcią dorównania mu pod względem odwagi, dopiero teraz uświadomił sobie ryzyko tego czynu. Był na dwie metry od dna morza. Miał nad sobą czterdzieści metrów wody, a droga odwrotu przez niskie i wąskie na pół otwarte i unieruchomione drzwi, przez gmatwaninę urządzeń regulacyjnych i wszelkiego rodzaju przeszkód czyhających, rzekłbyś, na jeden nieostrożny krok, aby uwikłać jego przewody i zatrzymać go w tej otchłani – droga wiedząca do jedynej wyjścia po linii zwisającej pośrodku łuku świetlnego, wydała mu się nieskończenie długa, niemal nie do przebycia.

Bezsensowny, niewyrozumowany lęk minął; jego miejsce zajął strach przed rzeczywistym niebezpieczeństwem – pełen wahań, dojmujący, zimny strach, który zatrzymuje bicie serca, zmieniając je w bryłę lodu.

Zaciął zęby, aby mu się nie poddać.

Barnat jest ze mną – pomyślał.

Ta myśl uspokoiła go o tyle, że nie uległ chęci natychmiastowej ucieczki. Poczul, że Antoni dotyka jego nóg.

– Nic mi nie będzie – powiedział sobie z nagłą determinacją. – Nie pozwoliliby mi tam wejść, gdyby to było takie groźne.

Namacał rękami tę samą rurę, którą przedtem znalazł Barnat. Zaczął podciągać się ku niej. Ołowiane ciężarki gniotły mu zębra i brzuch, uciskały grzbiet. Barnat usiadł i wsparłszy się o coś plecami, wpychał go do środka. Rafał czuł, że jego stopy zyskały mocne oparcie na stopach Antoniego. Odepchnął się jeszcze raz wyętzając wszystkie siły i – wreszcie wpełzł do tunelu.

Przez chwilę leżał na boku, aby odpocząć. Patrząc w kierunku drzwi zobaczył smugę światła, która poruszyła się i wolno sunęła w bok, aż znikła. Przez głowę przeleciała mu niedorzeczna, budząca zgrozę myśl, że drzwi zatrzęsły się za nim... Ale prawie natychmiast ujrzał znów światło: Barnat wziął lampę i wsunął ją do wnętrza tunelu.

Rafał doznał natychmiastowej ulgi. Wszystkie obawy i przywidzenia pierzchły, wydały mu się dziecinne i śmieszne. Zawstydił się ich.

Raźno odwrócił się ku światłu, rozpoznał żółtą prostokątną płytę, która tkwiła pod dolną krawędzią grubych stalowych drzwi, jednym rogiem wsparta o próg i unieruchomiona w tunelu przez dwa sworznie wystające z podłogi.

Zbliżył głowę do szczeliny w drzwiach, gdzie połyskiwała szyba w hełmie Barnata.

– Młot – powiedział. – Dajcie mi młot!

Barnat sięgnął za siebie, namacał rękojeść, wsunął mu ją do ręki.

Wystarczyło jedno silne uderzenie i płyta wysunęła się spod sworzni. Rafał ujął ją obu dłońmi, pociągnął. Nie poruszyła się. Oddał młot Antoniemu, który zaczął bić od zewnątrz.

Teraz drgnęła. Grabień szarpnął ją ku sobie, Barnat walił z drugiej strony, aż zwolna, cał po calu zaczęła ustępować i w końcu odskoczyła w tył wraz z Rafałem, który zatoczył się i usiadł nie wypuszczając jej z rąk.

Barnat zgiął się wpół i wszedł do środka.

– Przytrzymaj drzwi! – zawołał. – Mogą się zamknąć teraz.

Sam wziął lampę i podszedł do burty, aby obejrzyć wreszcie miejsce wybuchu. Ale ujrzał tylko szczyty pogiętych, wydartych ze ścian przegród oddzielających zbiorniki ropy; przygniatała je góra twardego jak beton piasku piętrząca się wysoko, niemal pod sam strop.

Odwrócił się.

– Chodźmy.

Przestąpił próg w ślad za Rafałem, zatrzasnął za sobą ciężkie drzwi, założył zabezpieczające nakrętki na śruby, dociągnął je kluczem. Grabień tymczasem sklarował przewody, opuścił młot do worka, który następnie zarzucił sobie na plecy. Barnat wziął lampę.

– Daj sygnał Pałamarzowi – powiedział zbliżywszy swój hełm do hełmu Rafała. – Niech wybiera luz.

Potem położył mu dłoń na ramieniu. Rafał obejrzał się.

Antoni poprzez dwie szyby hełmów i cienką warstwę wody między nimi patrzył mu w oczy trzymając lampę wysoko nad głową.

– Jesteś pistolet – powiedział. – Bałeś się?

– Jeszcze jak! – roześmiał się Grabień. – Ale bałem się chyba ostatni raz będąc z wami.

* * *

Pałamarz powtórzył sygnał: trzy szarpnięcia. Potem jego głos dał się słyszeć przez mikrofon na pokładzie „Posejdon”:

– Barnat i Grabień idą do wyjścia. Wybierajcie luz!

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Mariana Czeluśniaka. Andrysiak zawołał:

– Siedemdziesiąt pięć minut dla Barnata, siedemdziesiąt trzy dla Grabienia!

Ludzie poruszyli się, zaczęli rozmawiać. Ktoś rzucił jakiś żart, odezwały się śmiechy. Napięcie trwające niemal od godziny zelzało; zastąpiła je ciekawość: dali radę tym drzwiom czy nie?

Doktor Bacz przeszedł się po pokładzie, stanął naprzeciw Habzy wypinając brzuch.

– Tylko ty mi, bracie, nie rób takich kawałów jak ten wasz Barnat – powiedział robiąc groźną minę. – Nerwy można przy was stracić.

Habza uśmiechnął się.

– My z Orbachem nie schodzimy tak głęboko – odrzekł. – Będziemy uszczelniać gródz w warsztacie. To jest nad maszynownią.

– No, a jeżeli oni nie zamknęli tych drzwi?

– Zamknęli. Barnat by nie wrócił, gdyby ich nie zamknął.

– A niech go kaczki zdepczą! – mruknął Bacz i odwrócił się ku sygnalistom, którzy wolno wybierali przewody ociekające wodą.

– Barnat i Grabień wprost pod skylightem – powiedział Wachel.

Oficer wachtowy kazał opuścić platformę poza burte. Któryś z młodszych nurków spiął szakłą jej poręcz z liną zejściową i platforma zanurzyła się na dwanaście metrów, do pierwszego etapu dekompresyjnego.

Gdy cały zespół wraz z Pałamarzem znalazł się na niej, zadźwięczał sygnał telefonu Barnata.

– To wy, Wachel? – spytał Antoni.

– Ja, a bo co? – odrzekł Wachel.

– Powiedźcie Czeluśniakowi, że drzwi wodoszczelne między maszynownią a tunelem wałowym są zamknięte i zaśrubowane. A ten diabeł, co tam siedzi, prosił osobiście mnie i Grabienia, żeby się wam kłaniać. Słyszycie mnie dobrze?

Sygnaliści, a z nimi doktor Bacz i ci, co stali bliżej, parsknęli śmiechem. Nie można było nie słyszeć tego wyraźnego, dźwięcznego głosu, który brzmiał teraz jasno i czysto – zgoła inaczej niż wtedy, gdy dochodził ich z czterdziestometrowej głębi, obcy, płaski, przyduszony jak przez watę.

Wachel skrzywił się pogardliwie i spojrzał zezem na Czeluśniaka, który zacierał ręce.

– Niech ich kaczkę zdepczą! – powtórzył doktor Bacz swoje bądź co bądź trudne do spełnienia życzenie.

Wtem ktoś zawołał:

– Motorówka z Gdyni! – i wszystkie spojrzenia zwróciły się ku wschodowi.

Biała, błyszcząca w słońcu łódź sadziła przez fale, uskrzydłona dwoma lśniącoymi grzebieniami bryzgów u dziobu.

* * *

W półtorej godziny później Pałamarz, Barnat i Grabień po skończonym okresie dekompresji stanęli na pokładzie. Zdjęto im hełmy, a kapitan Jakus i dyrektor Zięborak, który przyjechał z nim razem, powiadomieni już przez Czeluśniaka, zaczęli ich wypytywać o szczegóły.

Barnat milczał. Palił ze smakiem papierosa i uśmiechał się na pół do siebie. Rafał opowiadał podając tylko fakty, bez żadnego ich upiększania.

Zięborak wykrzykiwał raz po raz: – Jassne!... – a w końcu zwrócił się do Jakusa:

– No, co wy na to?!

Naczelnym inżynierem był wyraźnie dumny z tego wrażenia, ale uważał za swój obowiązek bodaj w paru słowach zganić nadmierne ryzyko. Starszy nurek nie powinien był na to pozwolić.

– Czeluśniak kazał nam wracać – powiedział Grabień. – Ale wtedy Barnatowi przyszło na myśl, że jeżeli trzeba będzie ciąć tę płytę, straci się na to godzinę albo i dwie. Mieliśmy jeszcze piętnaście minut i przypuszczaliśmy, że jak wejdziemy do tunelu, zdążymy to zrobić bez użycia palnika.

– Jassne!... – powiedział Zięborak. – Przecież nie wiedzieliście, czy stamtąd wyjdziecie!

Grabień błysnął zębami w uśmiechu.

– Barnat był ze mną – odrzekł. – Ja mu tylko pomogłem.

Antoni spojrzął na niego przenikliwie. Potem zwrócił się do Zięboraka:

– Widzicie, dyrektorze, my tu wiemy, że inżynier Jakus ma różnych kłopotów do nagłej krwi: to się spóźnia, tamto nie gra, tego znów brak i tak dalej. My tu widzimy jego i waszą robotę, żeby to wszystko szło. I każdy rozumie, że to nie jest łatwa sprawa. No to chcieliśmy, żeby miał u nas na przywitanie dobrą wiadomość; że tu u nas idzie! A Grabień... To nie on mnie, to ja jemu pomogłem tym razem, no i zrobiliśmy!

Zięborak pokręcił głową.

– Jeden drugiemu pomógł i zrobili – powtórzył naśladowując ton jego głosu. – Jassne!...

Jakus był wzruszony, choć tego nie okazywał. Dopiero gdy wraz z naczelnym dyrektorem zeszli do kajuty zamienionej na małą pracownię inżynierską, powiedział:

– No, widzicie: żadne drzwi, żaden tunel, żadna przeszkoda nie oprze się takim ludziom.

* * *

Teresa aż dotąd była zajęta w magazynie zdawaniem przesyłek, które przywiozła z Gdyni. Nie wiedziała jeszcze ani o zadaniu wykonanym przez zespół Barnata, ani o dramatycznych szczegółach tego przedsięwzięcia. Wyszła na pokład w chwili, gdy wszyscy trzej nurkowie pozbyli się już skafandrów oraz nadmiaru wełnianych swetrów i rajtuzów. Mieli na sobie luźne niebieskie chałaty i czerwone chustki na szyi. Pałamarz zdążył już zatonać w swoich notatkach i zeszytach; Rafał żywo gestykulując rozmawiał z Gertem i Pawlikiem. Antoni stał obok nich z papierosem w ustach, wysoki, przystojny, niedbale wsparty o poręcz burty. Jego silna, harmonijnie zbudowana postać, starannie wygolona męska twarz o gładkiej, ogorzałej od słońca skórze i śmiałe, trochę bezczelne spojrzenie wyróżniały go nawet tutaj, wśród tylu młodych marynarzy i nurków. Może tylko kapitan Hornung w równym stopniu co on, lecz zgoła inaczej, zwracałby na siebie uwagę nie uprzedzonego obserwatora, zaciekawiając go raczej swym pirackim wyglądem i imponującą postawą niż swobodną pewnością siebie, urodą i siłą, które cechowały Barnata.

Teresa mimo woli patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Zewnętrznie prawie się nie zmienił od czasu, gdy go zobaczyła po raz pierwszy leżącego na noszach w szpitalu. Już wtedy, niemal od

owej chwili, od pierwszego wejrzenia uległa niezwalczonemu dotąd pociągowi do tego mężczyzny. Potem go pokochała. Wreszcie – postanowiła zamknąć dla niego swoje spalone tą miłością serce. I teraz...

Odwróciła wzrok i spotkała rozjaśnione na jej widok wejrzenie Rafała. Uśmiechnęła się do niego z wysiłkiem. Wyciągnęła ku niemu obie ręce, jakby szukając pomocy.

Nie ma nikogo poza nim. Nikogo! Pozostanie z nim na zawsze, na całe życie.

Powtarzała to sobie co dnia, co godzinę. A jednak sama obecność Antoniego, sam fakt, że wrócił, oddalały od niej Rafała lub może to właśnie ona oddalała się od niego wbrew własnej woli?

Starła się iść z nim razem, starała się zmniejszyć tę rosnącą odległość, starała się szczerze, w miarę swych sił. Ale niekiedy – coraz częściej – zbaczała z drogi, gubiła ją na jakimś zakręcie. Nagłona poczuciem winy, rzucała się na przelaj, aby znaleźć się obok niego, lecz wtedy trafiała na gąszcz wspomnień i serce jej słabło, a z wątpliwie odbierało siły.

Barnat, zupełnie opanowany, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, zaprawionym ironią czy też goryczą, patrzył na to powitanie.

Musieli jej naopowiadać licho wie co – pomyślał. – Wita się z nim, jakby rzeczywiście wrócił z grobu.

– Dzień dobry, Tereso – powiedział spokojnym głosem. – Niech się pani o niego nie boi: dał sobie radę z tym wszystkim doskonale.

Spojrzała na niego zdumiona. Czyżby czytał w jej myślach? Jak mógł je odgadnąć? Co Rafał wie o tym? I co to znaczy, że „dał sobie z tym wszystkim radę”?...

Przeniosła wzrok na Rafała, który przyciskał jej ramię, ufny, zapatrzony w nią jak zawsze. Zebrała się na odwagę.

– O czym wy mówicie?

Rafał się uśmiechnął.

– O jednych tam drzwiach wodoszczelnych – odrzekł niedbale.

Odetchnęła. Dopiero teraz skinęła głową Antoniemu, po czym zwróciła się zaraz znowu do Rafała:

– Chodź, opowiedz mi.

Była tak roztrzęsiona, że musiał ją podtrzymać.

– Co ci jest, Tereso? – spytał zaniepokojony. – Co się stało?

– Nic; nic. Chodźmy stąd – nalegała.

Sprowadził ją do kajuty, którą zajmował z Antonim i Pałamarzem. Nic nie rozumiał. Co ją tak przestraszyło?

Na próżno pytał: milczała. To jej uporczywe milczenie kryło jakąś niepokojącą go tajemnicę. Nie po raz pierwszy natknął się na nie, ale nigdy jeszcze skrytość Teresy nie objawiła mu się tak dotkliwie jak dziś.

Nie wątpił o jej miłości, jak nie mógł wątpić o tym, że sam istnieje, jakkolwiek jej wzajemność zawsze wydawała mu się niezastużonym, cudownym darem losu. Teraz pomyślał, że przedziela go od niej jakaś niewidzialna przeszkoda, która nigdy nie da się usunąć. Nie, nie potrafi nigdy zbliżyć się do Teresy tak, jakby tego pragnął...

Smutek, który go ogarnął, rozjaśniła po chwili myśl pełna uwielbienia, że to jej absolutna doskonałość jest tego przyczyną. Poczul się dumny i wyniesiony ponad wszystkich: ta dziewczyna będzie jego żoną! Czegóż więcej mógł pragnąć?

Teresa uśmiechnęła się do niego.

– Już mi przeszło – powiedziała. – Przestraszyłam się. Przyszło mi do głowy...

Urwała nagle.

– No, teraz mi opowiedz, co to było z tymi drzwiami.

Rozdział XXV

Cały tydzień, który dzielił ekipę nurków i załogę „Posejdona” od dwudniowego zwolnienia na ład, upłynął na mozolnym uszczelnianiu grodzi między maszynownią a drugą i trzecią ładownią m/s

„Adlernest”. Rury centralnego ogrzewania, przewody kanalizacyjne i wodociągowe, węzownice z solanką do chłodni, rurociągi do pomp i cały system dopływu ropy, kable przewodzące prąd elektryczny do napędu wind i do oświetlenia zostały poprzecinane lub odłączone, a otwory pozostałe po ich usunięciu przykryte smołowanymi plastrami lub zabite czopami. Zamknięto na głucho wszystkie drzwi wodoszczelne łączące środkową część statku z sąsiednimi ładowniami i wreszcie w piątek dwudziestego siódmego czerwca dokonano próby na szczelność.

Kilka lamp elektrycznych o potężnej sile światła opuszczono z pokładów „Posejdona” i „Swarożyca” przez drugi luk, po czym rozmieszczono je na trzech poziomach ładowni o metr od grodzi. Barnat z Grabieniem weszli po ciemku do luku świetlnego maszynowni i sprawdzili płytę po płycie z przeciwnej strony – czy gdzie nie przenika światło.

Wrócili na powierzchnię zadwoleni. Przegroda z dwu warstw prasowanej półcalowej blachy o powierzchni dwustu sześćdziesięciu metrów kwadratowych, wzmocniona wewnątrz kratownicą stalowych belek, nie przepuszczała najmniejszego odbłasku światła; nie było w niej żadnej szczeliny, żadnej jaśniejszej skazy na głębokiej martwej czerni.

Orbach i Habza w ten sam sposób skontrolowali tylną ścianę, oddzielającą maszynownię i warsztaty od trzeciej ładowni, a dwa inne zespoły – obie burty wraku.

Przed wieczorem, o zachodzie słońca, które zniżało się szybko, jakby w pogoni za wielkim białym obłokiem zawisłym nad horyzontem wśród ciemniejącego błękitu nieba, szalupa spuszczone z pokładu krążyła od boi do boi uwalniając cumy przytrzymujące „Posejdona”. Długie cienie łodzi, holownika i statku ratowniczego kładły się na wodzie niby zapowiedź mroku toczącego się wolno od wschodu. Brzeg rozewski stał czarny i niemy za jaśniejszym pasmem piasku; tylko wierzchołki drzew płonęły czerwienią.

Zanim ostatnie słoneczne iskry zgasły na falach, liny zejściowe zostały odczepione od burty „Posejdona”, a ich końce umocowane do małych boi, które teraz kołysały się pośrodku kręgu utworzonego przez boje kotwiczne. Kapitan Hornung w całej okazałości stał na mostku rzucając rozkazy od maszyn i steru, a „Posejdon” wykręcał w ślad za „Swarożycem”, aby na przeciąg sześćdziesięciu godzin opuścić miejsce swego pracowitego postoju.

Na dnie morza pozostał wrak m/s „Adlernest”, samotny i opuszczony jak przed dwoma tygodniami. Tylko cztery stalowe pokrywy luków zatopione u jego burty i liny sterczące w górę ku bojom zdawały się świadczyć o tym, że ludzie powrócą tu wkrótce, aby znów zakłócić jego martwy spokój.

* * *

Grabień golił się przed lustrem wiszącym nad umywalnią. Nawet przy tej czynności nie mógł spokojnie stać w miejscu: jego nieposkromiona żywotność musiała znajdować sobie ujście w nieustannym ruchu, w gwałtownych gestach, w słowach i nagłych spojrzeniach, które rzucał za siebie, przez ramię lub odwracając się na pięcie jak za pociśnięciem sprężyny.

Barnat leżał wyciągnięty na górnej koi, z rękoma podłożonymi pod głowę, i patrzył na niego z odcieniem przyjaznej pobłażliwości. Pałamarz pomrukiwał coś, utkwivszy nos w grubym zeszycie. Nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Rafał po raz drugi namyślał policzki przyskajac pianą na wszystkie strony.

– Wiesz – zwrócił się do Barnata – w niedzielę jest zakończenie „Dni Morza”. Idziemy całą bandą na molo w Sopocie. Będzie festyn, sztuczne ognie, rakiety i tańce. Pojedziesz z nami?

– Jeszcze nie wiem – odrzekł Antoni. – Mam parę spraw do załatwienia...

– No, w niedzielę nie załatwia się żadnych spraw! Jedź; będzie kilka miłych dziewcząt. Nawet jedna twoja znajoma: Marysia Piechówna.

Barnat uśmiechnął się na wspomnienie jej aksamitnych, czarnych oczu i gorącego rumieńca na trochę jeszcze dziecinnej, ładnej buzi. Czerwieniła się, ilekroć ją spotykał dawniej, a gdy ją zobaczył znowu – to było wtedy w pociągu, w dniu jego powrotu do Gdyni – zaczerwieniła się goręcej niż kiedykolwiek pod jego spojrzeniem.

– Znasz ją? Ładna dziewczyna – powiedział.

Tym razem Rafał się nie odwrócił.

– Uhm. Podkochuje się w tobie – mruknął półgębkiem do lustra.

Antoni spojrzał na niego przelotnie.

– Ja bym się w niej też podkochiwał, gdybym miał o dziesięć lat mniej, tak jak ty. Chcesz mnie wyswatać?

– Niekoniecznie w tę niedzielę – odrzekł Rafał – niekoniecznie z Marysią i niekoniecznie wyswatać. Jedziemy, żeby się zabawić, sami swoi: Jakusowie, doktor Bacz, Władek Habza ze swoją panną, też ładną dziewczyną, Siwiec, Gert, Maderski, Teresa...

Barnat wahał się. Myśl o tym, że mógłby zatańczyć z Teresą przyśpieszała bicie jego serca. Gotów był otwarcie walczyć o nią, o jej miłość przeciw każdemu, również przeciw Rafałowi. Ale cofał się przed zdradą, oszustwem i podstępem wobec tego towarzysza pracy.

Rafał był naiwny i ufny. Jego nieświadomość rozbrajała Barnata. W tych warunkach nie byłaby to walka, tylko po prostu kradzież lub sprzeniewierzenie.

Grabień przez chwilę czekał na jego odpowiedź, potem zwrócił ku niemu swoją miłą, szczupłą twarz, w której połyskiwały ciemne, wyraziste oczy.

– Nie lubisz Teresy – powiedział przyciszonym głosem, jakby z wyrzutem. – Zauważyłem to.

Antoni powstrzymał ironiczny uśmiech.

– Tak myślisz? To raczej Teresa mnie nie lubi – odrzekł wolno.

– Co to, to nie! – zaprzeczył Rafał gorąco. – Mówi o tobie zawsze z podziwem. I z sympatią – dodał ciszej, po krótkim wahaniu, jakby nie mogąc znaleźć innego, właściwszego określenia.

– Mówi o mnie? Z tobą? Teresa?! – Antoni nie mógł się powstrzymać od ironii.

– No, cóż w tym nadzwyczajnego? Opowiadała mi nieraz o czasach okupacji, o bojowej robocie dywersyjnej i tak dalej, więc naturalnie i o tobie. Przede wszystkim o tobie.

– Taak? Ciekawe – mruknął Barnat. – I tylko w związku z tą robotą ci o mnie mówiła?

Ton tego pytania i widoczne rozdrażnienie Antoniego zastanowiły Grabienia. Nie mógł zrozumieć, o co mu właściwie chodzi. Musieli się spotykać z Teresą w owej robocie podziemnej za czasów hitlerowskiej okupacji. Musieli się znać wtedy. Co między nimi było? Co ich łączyło? Czy tylko walka?...

Przypomniał sobie dziwne zachowanie się Teresy przed tygodniem, po kilku słowach zamienionych z Barnatem.

Co Antoni wtedy powiedział? Zaledwie kilka słów, jakieś krótkie zdanie, którym chciał uspokoić jej obawy z powodu tego zejścia do tunelu wałowego na dnie „Adlernest”. Tak, powiedział, że Rafał dał sobie doskonale radę i że Teresa niepotrzebnie się niepokoi.

Skutek tych słów był najzupełniej nieoczekiwany, zagadkowy. Już wtedy go to zdziwiło. Cóż może się ukrywać za takimi słowami?!

Rozłożył bezradnie ręce, potem energicznie wzruszył ramionami i zanurzył twarz w misce z wodą, jakby chciał zmyć z oczu, z pamięci, ze świadomości ten pierwszy cień niepokoju, niejasnych kielkujących wątpliwości i daremnych domysłów, których nawet w najskrytszych myślach nie nazwałby podejrzeniami.

Podejrzewać Teresę! Wydałoby mu się to potwornością. I o co? Że znała Barnata? A któż go wtedy nie znał? Był przecież bohaterem. Przeżywano go „Szaleńcem” z powodu jego niebywałego, nie cofającego się przed niczym męstwa. Czyż nie pozostał takim nadal?

Spojrzał znów na Antoniego, który leżał na wznak, ze wzrokiem utkwionym w sufit, paląc papierosa. Pomyślał, że z tym człowiekiem, którego spokój, zimna krew i odwaga tak mu imponowały, poszedłby bez wahania choćby do piekła. Polubił go od pierwszego wejrzenia, a teraz, po dwóch tygodniach wspólnej pracy, która albo zbliża ludzi, albo ich wyraźnie oddala – równie prędko jak wspólna walka – żyli się z sobą, jakby się znali od lat. Cały ich zespół, wraz z Hipolitem, mógł stanowić wzór koleżeństwa, wzajemnego zaufania i sprawności, jaka może być wynikiem tylko bardzo szczęśliwego doboru ludzi zależnych od siebie wzajemnie wśród trudów i niebezpieczeństw ich zawodu.

Tak. Lubił Barnata. Uważał go za przyjaciela i był dumny z tego, że Antoni go wyróżnia, choć – być może – nie w tym samym stopniu i nie w taki sam sposób odwzajemnia jego uczucia.

Nie widział w tym zresztą żadnej ujmy dla siebie: Barnat był od niego prawie o dziesięć lat starszy, miał za sobą przeszłość bojową w konspiracji, doświadczenie fachowe i nadzwyczajną pewność siebie, która trochę onieśmielała Grabienia budząc w nim jednocześnie ufność i podziw.

Przyszło mu na myśl, że taki mężczyzna, obdarzony w dodatku szczególnie pociągającym wyglądem zewnętrznym, musiał wywierać wielkie wrażenie na kobietach. Widział Barnata kilkakrotnie w ich towarzystwie. Zauważył, że te jego znajome były bardzo urodziwe i efektowne. Należały zapewne do zupełnie innego rodzaju kobiet niż na przykład Marysia Piechówna. Lecz Antoni wcale się tym nie przejmował i traktował je wszystkie jednakowo. Mimo to wyraźnie się nim interesowały. Z pewnością „podkochiwały się w nim”, jak to Rafał określał.

A Teresa... – odsunął tę myśl, jakby ją zgniótł w dłoni i odrzucił. Ale wróciła, dokuczliwa i natrętna: czy Teresa niegdyś oparła się jego urokowi? Czy może...

Była zawsze skryta. Jej wspomnienia o Barnacie dotyczyły tylko jego niezwykłych czynów. Nie mówiła wtedy o sobie i o okolicznościach, w jakich dowiedziała się o tych zuchwałych przedsięwzięciach. Jednak – sądząc z jej opowiadania – można było przypuszczać, że znała więcej szczegółów niż ktokolwiek inny, prawie jakby była ich świadkiem lub jakby o nich wiedziała wprost od niego...

Po raz pierwszy uświadomił to sobie. Coś śliskiego i wstrętnego owinęło mu się wokół serca.

Zmiał ręcznik, którym się wycierał, i cisnął go na swoją koję, a potem podszedł do iluminatora i otworzył go gwałtownym szarpnięciem. Chłodny słony powiew wtargnął do kajuty i zaszeleścił kartkami notatek Hipolita, który spojrzał na Grabienia, jakby dopiero teraz przypadkiem odkrył jego obecność, po czym znów zatonął w swoim zeszyście.

Rafał patrzył na ciemną, ruchliwą powierzchnię morza, która sunęła przed jego wzrokiem, wznosząc się i opadając jak pierś falująca głębokim oddechem. Bał się własnych myśli; bał się obrazów i skojarzeń, które mu podsuwały. Zabraniał sobie snucia tego wątku, który go uwodził ku owym podejrzeniom bez żadnych podstaw – jak sam siebie zapewniał.

W końcu zdobył się na odwagę: a jeśli nawet! Jeśli nawet Teresa niegdyś kochała się w Antonim, to cóż z tego?

– Głupstwo! – wyrwało mu się głośno, aż obejrzał się zmieszany tym okrzykiem.

To było dawno – myślał dalej, chwytając się tego zawodnego argumentu. – To było kiedyś, nie dziś i nie wczoraj, nie teraz.

Wtem przypomniał sobie niespodziane przybycie Teresy, kiedy przyjechała po kapitana Jakusa i po Barnata, aby ich odwiedzić do Gdyni. Gdy schodzili po trapie do łodzi, Marian Czełuśniak ujął go pod ramię i odciągnął na bok.

– Kiedy się pobierzecie? – spytał ni stąd, ni zowąd. Rafał odrzekł, że jeszcze tej jesieni. Właśnie o tym rozmawiał przed chwilą z Teresą.

Czełuśniak mruknął:

– Im prędzej, tym lepiej – i prześwidrował go wzrokiem, a potem, nie puszczać jego ramienia, obejrzał się za Barnatem.

– Tak, tak – powtórzył. – Im prędzej, tym lepiej. Wiedźcie to sobie!

Wówczas nie zwrócił większej uwagi na ten drobny epizod, który wydał mu się bez znaczenia. Teraz go to zastanowiło. Czyżby Czełuśniak wiedział o czymś, co miało jakiś związek z Teresą i Barnatem?

Odwrócił się gwałtownie. Jaki związek?! Nie ma żadnego związku! Żadnej tajemnicy! Dość tego! Dość tych pytań, domysłów, podejrzeń! Sam wymyślił to wszystko! Sam zadręcza się jakimiś przywidzeniami, czymś, co nie istnieje, co nie ma nawet nazwy...

– Mam! – wykrzyknął nagle Pałamarz wstając z krzesła.

Spojrzel na niego obaj zdumieni.

– Co tam masz takiego? – roześmiał się Barnat.

– Nazwę – odrzekł Pałamarz. – „Czołg Pokoju”.

Zwariował – pomyślał Grabień. – O czym on mówi?

– Cóż to takiego? – spytał Antoni.

Ale Hipolit powrócił już do swojej zwykłej flegmy.

- To będzie taki przyrząd – wyjaśnił dość zagadkowo. – Zresztą wynalazł go kapitan Jakus. Ja tylko opracowałem jeden szczegół i znalazłem nazwę. Dobra nazwa, nie?
 - Zupełnie bez sensu – oświadczył Rafał porywczo.
 - Ale co to jest? – nalegał Barnat. Hipolit uśmiechnął się blado.
 - To jeszcze tajemnica – odrzekł.
- Grabień spojrzał na niego, potem na Barnata.
- Tajemnica... – powtórzył.

* * *

Komisja kontrolna zakończyła swoje czynności dopiero po północy. Irena była zmęczona, zdenerwowana, zła. Nie pozwolili jej wyjść wcześniej, choć przesłuchiwali ją i przewracali wszystko do góry nogami w sekretariacie na samym początku. Potem dobrali się do Marcelego, a wreszcie zamknęli się z nim i z dyrektorem Zięborakiem na kilka godzin.

Podstuchiwała pod drzwiami, ale dochodziły ją tylko pojedyncze słowa, stłumione i niewyraźne. Wzywano ją jeszcze kilkakrotnie, aby coś tam wyjaśniła czy potwierdziła lub żeby wyszukała jakieś pisma i zarządzenia, których jak na złość nie mogła znaleźć. I po to trzymali ją do późnej nocy!

Omali się nie rozpląkała z irytacji. Naturalnie od razu wyczuła, co się święci, jak tylko przyszli. Ale nawet nie bardzo się tym przejęła: nie mogło być przecież żadnych nadużyć. Marceli nigdy by się czegoś takiego nie dopuścił. Wiedziała, że to i owo trochę inaczej wygląda w rzeczywistości niż w jego sprawozdaniach, ale właśnie te sprawozdania zdejmowały z niego odpowiedzialność przerzucając ją na barki innych; Marceli położył tylko wielkie zasługi, które zresztą uznano i wynagrodzono specjalnymi premiami. Teraz ktoś chciał mu podstawić nogę, ale to nie mogło się udać.

Jednak w miarę jak mijały godziny, ogarniał ją coraz większy niepokój. Członkowie komisji nie dawali się zbyć byle czym; znali się na tych sprawach doskonale. Wzywano kierowników innych działów, a przede wszystkim naczelnego inżyniera Jakusa, który poprzedniego dnia wrócił na „Posejdonie” spod Rozewia. Wyszło na jaw, że dział zaopatrzenia ma w etacie o trzy osoby więcej, niż Marceli podawał nie chcąc się zgodzić na przyjęcie choćby jednego pracownika; i wtedy przewodniczący powiedział, że takie „oszczędności” przyczyniły się do strat, których po prostu nie da się obliczyć.

Irena była przy tym obecna. Spojrzała ukradkiem na Marcelego, który siedział przy stole obgryzając koniec ołówka, widocznie zmieszany i zaskoczony. Uczuła dla niego pogardę. Nie wiedział, jak z tego wybrnąć. Był wystraszony i pokorny. Cała jego pewność siebie gdzieś się rozviała, a po zagadkowym uśmiešku nie pozostał nawet ślad.

Musiała wyjść, aby przynieść jeszcze całą korespondencję w sprawie pomp hydraulicznych. Marceli miał tę sprawę w jakiś sposób załagodzić i od dłuższego czasu trzymał akta u siebie, wypożyczyszy je z działu zaopatrzenia, ale dotąd nic nie zrobił.

Gdy znów weszła do gabinetu niosąc te papiery, zauważyła, że na twarz Palucha wystąpiły gorączkowe wypieki. Broni się – pomyślała i to jej dodało otuchy. Przewodniczący zwrócił się do niej:

- Jaką premię otrzymaliście za maj?

To niespodziane pytanie wstrząsnęło nią. Dotąd zadawano jej pytania dotyczące wyłącznie biegu spraw biurowych. To ostatnie dotyczyło jej bezpośrednio, osobiście. Co to miało znaczyć?...

Wymieniła sumę.

- Dziękuję – mruknął przewodniczący spojrzawszy przelotnie na członków komisji. – Może pani odejść – dodał.

Nie wzywano jej więcej. Tylko dwa czy trzy razy zadzwieczał telefon: dyrektor Zięborak prosił, żeby wezwała tego czy innego urzędnika.

Spytała, czy może pójść do domu.

- Nie – odrzekł po chwili. – Komisja prosi, żeby pani została.

– Ale ja mam bardzo ważną sprawę do załatwienia, panie dyrektorze – powiedziała płacząco.

– Nic na to nie poradzę, droga pani. Bardzo mi przykro – dodał.

Zostawili ją na pastwę rozmyślań i obaw. Lecz nie poddała się bynajmniej: nie mogła przecież odpowiadać za działalność Marcelego. A ostatecznie, cóż jej groziło? W najgorszym razie straci tę marną posadę.

To znów nie takie wielkie nieszczęście – pomyślała.

Była rozdrażniona, zirytowana tym głównie, że kazali jej tu siedzieć. Zwłaszcza teraz, gdy ten dureń, Marcele, straci wszelkie znaczenie; gdy go wyleją, w co już nie wątpiła. W takim wypadku nie miała najmniejszego zamiaru nadal się nim interesować. Nie dbała o niego ani trochę.

Pomyślała o Antonim Barnacie. Postanowiła go odzyskać. To był przynajmniej mężczyzna! A Paluch...

Wydeła pogardliwie usta. Nie pociągał jej ani trochę. Nigdy nie kierowała nią nawet sympatia dla tego człowieka.

Co innego Antoni – pomyślała z uśmiechem. – Tak, dla Antoniego byłaby gotowa poświęcić wiele, bardzo wiele...

Spojrzała na zegarek. Za dziesięć dwunasta. Przygryzła usta: już za późno, żeby pójść do niego.

– Wszystko przez tego osła! – powiedziała spoglądając na zamknięte drzwi.

Antoni jej się wymykał – nie wiedziała, czy z powodu Marcelego, czy też może z powodu tej Rachwałówny. Lekceważąco wzruszyła ramionami: Rachwałówna nie mogła się z nią mierzyć, choć rzeczywiście była bardzo ładna.

Za tydzień mu przejdzie – pomyślała.

Żałowała, że uniosła się wówczas, gdy Teresa zastała Barnata u niej w sekretariacie. To było bardzo niemądrze. Doszła do tego wniosku natychmiast po scenie, którą mu wtedy zrobiła.

– No, ale rozstaliśmy się w zgodzie – pocieszyła się natychmiast.

Znów spojrzała na drzwi, za którymi wszczął się jakiś ruch. Otworzyły się wreszcie i członkowie komisji przeszli z Jakubem przez sekretariat, żegnając ją skinieniem głowy.

Nareszcie! – westchnęła w duchu. Dyrektor Zięborak wrócił z korytarza.

– No, koniec – powiedział do niej. – Przykro mi, że pani musiała tak długo czekać. Która to godzina?

– Dwunasta, dyrektorze.

– Jassne! Tak późno? Mój wóz panią odwiezie. Powiem kierowcy, żeby zaczekał. My pojedziemy z komisją. Dobranoc!

– Dobranoc. Dziękuję – uśmiechnęła się do niego.

Pozamykała szuflady, poprawiła włosy przed lustrem i była już gotowa do wyjścia, gdy nagle w otwartych drzwiach gabinetu ujrzała Marcelego Palucha.

Przestraszył ją, bo zapomniała o jego istnieniu, nie zauważywszy, że nie wyszedł z innymi. Stał błądy, ze zmiętą pozołką twarzą i wzrokiem utkwionym w ścianę. Z jego rysów znikł wszelki wyraz, jakby jakaś niewidzialna dłoń – dłoń jego losu – starła z tej twarzy wszelkie uczucia. Gniew i zawód, ból i upokorzenie, nadzieja i wszelka świadomość przestały się na niej odbijać, jak w zetknięciu zwierciadła, którego nie budzi już nawet promień słońca lub błysk pioruna.

Wtem spojrzał na nią i w jego oczach zaszklono się coś jak łzy. Wyciągnął do niej rękę.

– Zniszczyli mnie, Ireno – szepnął. – Teraz tylko ty mi zostałeś...

Cofnęła się o krok i zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

– Ja?! Pan chyba oszalał, panie Paluch! Niech pan to sobie wybije z głowy!

Odwróciła się i wyszła trzasnąwszy drzwiami.

* * *

Antoni po dłuższym wahaniu uległ pokusie i pojechał na ów festyn w Sopocie. Z trudem dostał się na molo i stanąwszy przy barierze patrzył na Teresę i Rafała, nie zauważony przez nich. Tańczyli oboje bardzo dobrze, z wielkim wyczuciem rytmu, spokojnie i swobodnie. Rafał tonął wzrokiem w twarzy Teresy, a ona od czasu do czasu odwzajemniała to spojrzeniem i uśmiechem.

Ten widok jąrzył Barnata, dopiekał mu jak rana, która się nie chce zagoić. Był zły na siebie, że tu przyszedł. Czuł się zbyteczny, wyrzucony poza nawias, jakby się znalazł na innym planie, skąd mógł tylko patrzeć i cierpieć.

Odrzucił się gwałtownie i właśnie wtedy oko w oko spotkał się z Jakusem i jego żoną.

– Przecież to „Szaleniec”! – zawołała Sabina, gdy naczelny inżynier chciał go jej przedstawić. – Znamy się od lat.

Antoni stwierdził od razu, że nie zmieniła się ani trochę.

Należała do kobiet, których nie zapomina się nawet po latach, choćby znajomość z nimi ograniczała się do kilku przypadkowych spotkań. Poznał ją w tajnej drukarni, a potem widywał ją od czasu do czasu przychodząc do Teresy.

Pamiętał, że wywarła na nim silne wrażenie swoim wyglądem i indywidualnością, której domyślał się raczej z niewielu zdań, jakie z nią zamienił, i z tego, co o niej mówiła Teresa.

Sabina była drobna lecz nie mała. Jej zgrabna postać miała w sobie coś dziewczęcego, a z twarzy o harmonijnych rysach biło zdrowie, siła i rozmach, płynący z nieświadomej wiary w siebie czy też z niezachwianego optymizmu. Spoglądała każdemu prosto w oczy szczerze i otwarcie, a Barnat pomyślał: „nieustraszenie”. Lecz w tym jej wzroku nie było nic zaczepnego.

Kapitan Jakus, którego poślubiła z wielkiej miłości zaledwie na rok przed wybuchem wojny, był wówczas na morzu. Groziły mu liczne* niebezpieczeństwa, o których czasem dowiadywała się z jego spóźnionych listów, z gazet i z radia, lecz tylko bardzo bystry obserwator mógłby odkryć w takich chwilach nieznaczny cień na promienności jej usposobienia. Wywoływała podziw swą dzielnością i pogodą.

– Sami jesteście? – spytał inżynier.

– Tak – odrzekł Antoni. – Zaszedłem tylko na chwilę...

– No to chodźcie do naszego stolika – zaprosił go Jakus gościnnie. – Siedzimy tam z Baczem. To znaczy Bacz tam siedzi od czasu do czasu, bo my z Sabiną bijemy rekordy.

– Ja się już poddam – powiedziała Sabina. – Muszę trochę odpocząć.

Jakus zostawił ich samych: czekały na niego dziewczęta, z którymi chciał zatańczyć. Zabierał je bez ceremonii swoim nurkom, majstrom i robotnikom, sypiąc żartami i współzawodnicząc zwycięsko z doktorem Baczem, który na próżno starał się mu dorównać. Był w świetnym humorze, otoczony niekłamana sympatią tych ludzi, z którymi równie dobrze czuł się przy pracy jak podczas zabawy.

Dowiedziawszy się, że Barnat pracuje w P. R. O. jako nurek, Sabina ucieszyła się szczerze.

– Zawsze myślałam, że pan wróci do tego zawodu – powiedziała patrząc mu w oczy.

Ujęła go pod ramię i przecisnęli się ku stolikowi, na którym właśnie pojawiły się filiżanki i dzbanek z gorącą kawą.

Antoni nawet nie spostrzegł, jak to się stało, że już po kilku minutach rozmowy z tą młodą, ładną i miłą kobietą zaczął jej się zwierzać. Z pewnością świadomie naprowadziła go na to, lecz czyniła to – jak zresztą wszystko – tak po prostu, naturalnie i nawet z humorem, że ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, aby ukrywać coś przed nią.

Wiedział, że była najlepszą przyjaciółką Teresy i że umiała być dyskretna. Z pewnością znała przynajmniej częściowo dzieje ich miłości, a także musiała wiedzieć lub domyślać się reszty. Wyczuwał, że jest dla niego usposobiona przychylnie, jak dawniej. Nagromadziło się w nim tyle gorczy, był tak zmęczony wewnętrzną rozterką, tym zamętem, jaki panował w jego umyśle, w sercu i w sumieniu, że teraz – spotkawszy Sabinę – zapragnął wypowiedzieć to wszystko.

Nie przychodziło mu to łatwo: mówił chaotycznie i gubił się w sprzecznościach. Ale ona zdawała się odgadywać, co się w nim dzieje. Rozumiała jego niedopowiedzenia i sama za niego formułowała to, czego wypowiedzieć nie umiał.

Doznawał ulgi, jakiegoś ukojenia, powierzając jej te sprawy i uświadamiając sobie, że jest tak dobrze rozumiany.

– Słowo daję, pani jest nadzwyczajna – oświadczył w pewnej chwili.

Uśmiechnęła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie powiem, żeby mi pana było żal – powiedziała. – Po pierwsze, zasłużył pan na to, co pana spotkało. Po drugie, wydaje mi się, że pan nie należy do ludzi, którzy w ogóle cokolwiek biorą tragicznie. Można panu współczuć w tej zawikłanej sytuacji, ale mam wrażenie, że da pan sobie radę w każdych okolicznościach, że w końcu nawet z tej kabały pan wybrnie.

– Niech mnie powiesz, jeśli wiem, w jaki sposób – odrzekł szczerze.

– E, zdaje mi się, że teraz to już pana nie „powieszają”.

– Dlaczego? – spytał.

– Znowu dla dwu powodów. Po pierwsze, z pewnością nie wróci pan już do tamtych ludzi, na tamtą stronę barykady. Poznał ich pan i chyba już dokonał wyboru. Po drugie, w całej tej sprawie z Teresą i Grabieniem widać, że zaczął się pan liczyć z uczuciami innych, nie tylko z własnymi namiętnościami.

– Z tego wynika, że powinienem szlachetnie ustąpić Grabieniowi i poprzestać na przyglądaniu się z daleka jego szczęściu, tak? – przerwał gwałtownie.

– Hm. Widzi pan, ja wcale nie jestem pewna, czy Teresa byłaby z nim szczęśliwa, choć to jest chłopak o wyjątkowej wartości. A co za tym idzie, on sam też by się może rozminął z tym, co sobie wymarzył. W dodatku jest zaledwie o rok od niej starszy wiekiem. W gruncie rzeczy to jeszcze... to właściwie chłopiec; jeszcze nie mężczyzna. Gdyby Teresa nigdy pana nie знаła, to co innego.

– Ona mnie nie chce znać! – wybuchnął. – Powiedziała mi, że jej uczucie dla mnie wypaliło się na popiół.

– I tego też nie jestem pewna – westchnęła Sabina. – A zresztą popiół ma to do siebie, że bardzo długo żarzą się pod nim iskry... Pan o tym wie równie dobrze jak ja i w tym całe zmartwienie.

– Ja o tym wiem?!

Skinęła kilkakrotnie kształtną główką.

– Wie pan, tylko się pan do tego nie przyznaje; czasem nawet przed sobą.

Barnat się roześmiał.

– Pani jest doprawdy nadzwyczajna – powtórzył.

Jakiś ciepły, radosny prąd grał mu w piersiach. Ona miała rację, ta zdumiewająca Sabina. Uświadomił to sobie w tej chwili.

– No dobrze – powiedział poważnie – ale co ja mam zrobić? Teresa mu nic nie powiedziała, on mnie uważa za przyjaciela, a ja go naprawdę bardzo lubię. Nie mogę mu sam powiedzieć, skoro Teresa... no, to chyba jasne, prawda? I nie mogę za jego plecami... jakby się wyrazić?... Nie mogę z nim walczyć w ten sposób, żeby mu wbijać nóż w plecy, pani mnie rozumie?

– Rozumiem. On powinien dowiedzieć się o wszystkim.

– Właśnie! Ale to zależy tylko od Teresy, a ona...

– Ona ma wobec niego jakieś zobowiązania. To bardzo trudna sytuacja.

– Więc co ja mam robić? – powtórzył.

– Czekać. Teresa mu to powie i wtedy może...

– Nie powie mu nic. Wie, że jest dla niego wszystkim. Przypuszcza, że to by go złamało. Przecież pani ją zna...

– Właśnie dlatego myślę, że w końcu mu powie. Jest zbyt uczciwa, żeby to zataić, a za bardzo skryta, żeby się zdobyć na takie wyznanie w tej chwili. Myślę, że ona z was trojga jest teraz najniezwyklejsza. A jeśli chodzi o Grabienia – jest młody i wyleczy się. Nie, nie boję się o niego: to chłopak z charakterem. Taki cios będzie bolesny, ale zahartuje go jeszcze bardziej. Zrobi z niego mężczyznę. Boję się raczej o Teresę.

– Jak to? Dlaczego?

– Dlatego że ona ma więcej skrupułów niż pan. Jeżeli Grabień mimo wszystko będzie obstawał przy tym swoim małżeństwie, Teresa niewątpliwie dotrzyma słowa i poślubi go. Jeśli zaś nie wyjdzie za Grabienia, to jeszcze nie znaczy, by wyszła za pana.

– Przecież to byłby nonsens! Parsknęła śmiechem.

– Nie można powiedzieć, żeby pan miał o sobie skromne mniemanie. Niemniej jednak... No, wtedy to już byłaby kwestia pana cierpliwości, perswazji i talentu do zjednywania sobie serc

niewieścich. Gdyby pan teraz na przykład spróbował namówić mnie, żebym z panem zatańczyła, to kto wie, czyby się tak nie stało.

Stało się tak istotnie i stawałoby się jeszcze wielokroć, gdyby nie cała ekipa nurków, którzy dobijali się również o to, aby zatańczyć z Sabiną. Antoni musiał im ustąpić, ale dobry nastrój go nie opuszczał.

Plółł wesołe, miłe głupstwa do ucha Marysi Piechównie, która płonęła jak piwonia w jego ramionach, po czym oddał ją Siwcowi wraz z surowym przykazaniem, żeby jej sobie nie dał odebrać i żeby jej zawrócił w głowie jeszcze przed końcem zabawy. Tańczył z Jadwigą Tatarówną i z jej siostrą Zofią, pomiędzy które Władek Habza rozdzielał swe serce, nie mogąc się zdecydować na całkowite oddanie go jednej z nich. Zapewniał każdą kolejno, że Habza marzy tylko o niej, a potem zabrał Bronkowi Cybulskiemu ładniutką dziewczynę z chabrowymi oczyma i szalał z nią w „warszawskiej polce”, w kręgu widzów, którzy klaskali i krzyczeli: „solo!” ze szczerym podziwem dla temperamentu tej mistrzowskiej pary.

Wreszcie udało mu się zatańczyć walca z Teresą. Unosił ją lekko i płynnie, to zwalniając, to znów przyspieszając takt i nieomylnie odnajdując rytm na fermatach lub na końcu muzycznej frazy.

Milczeli oboje, wsłuchani w rozlewną, sentymentalną melodię i w bicie swoich serc. Antoni czuł na policzku muśnięcie jej włosów i wchłaniał ich zapach opuściwszy powieki. Jej bliskość przesłoniła mu wszystko. Zapomniał o ludziach, którzy ich otaczali, o tym, gdzie się znajduje i co się dzieje dokoła. Teresa zaś – z początku trochę spłoszona – poddawała się urokowi tej chwili, która połączyła ich wśród tłumu poufnym wzruszeniem. Słodczy, zaprawiona jak gdyby przeczuwanym smutkiem rozstania i powrotu do rzeczywistości, przepełniała jej serce.

Przechyliła nieco w tył głowę i spotkała wzrok Antoniego Patrzyli na siebie, jakby ich spojrzenia sprzęgły się z sobą, nie dając się rozdzielić.

– Nigdy się ciebie nie wyrzeknę, Tereso – szepnął Antoni.

Usta jej drgnęły, a policzki spłonęły rumieńcem. Nie odpowiedziała, ale nie próbowała się opierać, gdy ją przygarnął mocniej ku sobie: zabrakło jej sił.

Orkiestra urwała nagle, a oni stali jeszcze przez chwilę spleceni uściskiem i zapatrzeni w siebie wśród wszczynającego się gwaru.

Potem Teresa odwróciła głowę i lekko zmieszana ujęła go pod ramię.

– Chodźmy.

Oprzytomniał i rozejrzał się za Rafałem, ale nigdzie go nie dostrzegł.

– Odpoczniesz trochę? – spytał Antoni. – Przy stole Jakusów jest miejsce. Ja też z nimi siedzę.

Skinęła głową. Szli obok siebie przez prawie opustoszałą przestrzeń przeznaczoną do tańca, między orkiestrą a stolikami rozstawionymi wzdłuż balustrady.

Księżyc wyrzwał spoza obłoków daleko nad zatoką i rzucał strumień lśniącego srebra prosto pod pomost. Park, wyniosłe drzewa, wzgórze porośnięte lasem w stronie Orłowa wyłoniły się z czarnej otchłani brzegu i stanęły w zadumie nad roziskrzonym morzem.

– Taki wieczór jak wtedy pod Kamienną Górą – powiedział Antoni.

Lecz Teresa milczała, a jej poblądła twarz zdawała się zastygać w wyrazie nieprzeniknionego spokoju.

– To już minęło – powiedziała wreszcie. – Dawno minęło. Lepiej tego nie wspominać.

Rozdział XXVI

Trzecia i czwarta ładownia uszczelnione! Dwie pompy wodno-powietrzne zmontowane na dolnym poziomie u lewej burty wraku!

Błysk zadowolenia zajaśniał w oczach naczelnego inżyniera po otrzymaniu tego meldunku. Nie spodziewał się, że to pójdzie tak sprawnie. Trzeba było przecież podcinać kilkanaście nawiewników i odwietrzników z grubej żelaznej blachy i zalać otwory szybko twardniejącym cementem; trzeba było zamknąć drzwi wodoszczelne między czwartą ładownią a pomieszczeniami na rufie; uszczelnić pokład; wywiercić otwory w burcie i przyspawać do nich od wewnątrz rury

odpływowe pomp; ustawić te pompy i umocować ich podstawy na dnie ładowni; wyprowadzić na pokład wraku przewody powietrzne.

Zrobili to w osiem dni. Musieli się zwiijać. Pracowali z pewnością od świtu do nocy, aby tego wszystkiego dokonać wśród grobowych ciemności rozpraszanych zaledwie na odległość wyciągniętej ręki przez tysiącwatowe lampy, na głębokości trzydziestu pięciu metrów, mając nad sobą olbrzymią, na dziesięć piętér wysoką masę wody.

Czeluśniak meldował przez radiotelefon, że „Posejdon” został przesunięty i unieruchomiony dokładnie nad czwartym lukiem m/s „Adlernest”, w którym w tej chwili pracują Barnat, Grabień i Pałamarz.

– Odkryliśmy tam zapasowe wyjście z tunelu wałowego, zamykane bardzo ciężką żelazną klapą, która jest otwarta – wyjaśniał. – Ta klapa znajduje się wprost pod lukiem, u progu drzwi wodoszczelnych w ostatniej grodzi rufowej. Tak, w szóstej grodzi. Jakaś bardzo skomplikowana klapa, właściwie owalna pokrywa, którą trzeba nasadzić na wystającą skośną oś z gwintem i dociągnąć nakrętkę. Coś w tym rodzaju. Nie, nurkom nie grozi nadmierny wysiłek fizyczny. Pokrywa jest tak ciężka, że nie zdołaliby jej dźwignąć i dlatego właśnie „Posejdon” stanął wprost nad czwartym lukiem, przez który opuszczono im linę z wielokrążkiem i z hakiem. Podnieśli pokrywę nad otworem za pomocą tego urządzenia i mogą nią manewrować, jak chcą. Już pewnie kończą. Są pod wodą prawie godzinę.

Jakus zapytał jeszcze o parę spraw i oświadczywszy, że przyjedzie w południe, skończył rozmowę.

Tymczasem Antoni i Rafał na próżno usiłowali wsunąć we właściwe miejsce żelazną tarczę. Zadanie to było o tyle trudne, że ciężka, masywna klapa miała być widocznie zamykana i otwierana bądź od wewnątrz tunelu wałowego, bądź od góry, z ładowni. Wzdłuż kanału wyjściowego, który łączył dolny poziom z tunelem wałowym, umieszczony był stalowy cylinder ze zwiniętą w nim potężną sprężyną, unoszącą pokrywę przy odpowiednim przestawieniu dźwigni. Jedną rękojeść tej dźwigni znajdowała się u górnej nasady cylindra, druga – w tunelu wałowym – w jego końcu pod samą rufą.

Barnat, zorientowawszy się w działaniu mechanizmu, chciał oczywiście posłużyć się nim, aby zamknąć klapę. Ale dźwignia nie dała się poruszyć i klapa pozostała otwarta.

Pomyślał wtedy, że być może dałoby się zamknąć ją od dołu, z kanału wałowego.

Trzeba by w tym celu ponownie otworzyć drzwi wodoszczelne od strony maszynowni, aby tamtędy zapewnić sobie odwrót.

Zanim się na to zdecydował, postanowił spróbować, czy istotnie przy użyciu dolnej dźwigni da się uruchomić ów sprężynowy zawór. Zaczął schodzić po szczeblach drabinki w głąb ciasnej studni, lecz tu napotkał nową, niespodzianą przeszkodę: tunel wałowy w pobliżu rufy wraz z szybem zapasowego wyjścia był niemal całkowicie zawałony piaskiem, który się tam dostał przez otwór w dnie statku.

Wówczas uciekli się do owego wielokrążka, który im opuszczono z pokładu „Posejdona”. Odkręcili główną nakrętkę zabezpieczającą, rozebrali głowicę cylindra, ściągnęli pokrywę z osi i wyjęli sprężynę.

Teraz pokrywa powinna była opaść na swoje miejsce. Ale nałożenie jej na oś, tak aby jednocześnie sterczący od dołu tłok trafił w otwór cylindra, wcale nie było łatwe. „Posejdon” kołysał się na dość dużej fali, a wraz z nim gruba stalowa tarcza zawieszona na haku unosiła się i opadała głęboko pod wodą wewnątrz luku, wykonując przy tym ruchy wahadłowe o zmiennej amplitudzie.

I na to jednak znaleźli radę, zawieszając blok krążkowy na bomie wraku, co uniezależniło go od przechyłów statku ratowniczego.

Gdy Czeluśniak po skończonej rozmowie z Gdynią wrócił na pokład, Maderski powiedział:

– Godzina dla Barnata, pięćdziesiąt siedem minut dla Grabienia, pięćdziesiąt cztery dla Pałamarza.

– No i co? – spytał starszy nurek zwracając się do Orbacha, który stał przy telefonach.

– Nic – odrzekł Orbach. – Słyszać ich, jak się tam mociją z tą pokrywą.

Czeluśniak ujął słuchawkę od przewodu Rafała.

– Halo, Grabień! Czas wracać. Jak daleko jesteście z robotą?

– Prawie gotowe. Pokrywa jest na osi. Ześlijcie nam tu Hipolita. We trzech wpasujemy ją raz - dwa.

Czeluśniak pomyślał, że dokładne zamknięcie tego włazu jest sprawą ważną. Jeśli to kwestia kilku minut, lepiej nie odrywać ich od pracy, z którą nowy zespół musiałby się dopiero zapoznać. Pałamarz mógł na ten krótki przeciąg czasu zejść tam do nich ze swego stanowiska pośredniego sygnalisty na pokładzie „Adlernes”. W nagłym wypadku można by wyciągnąć na powierzchnię wszystkich trzech wprost z dna ładowni.

– Trzeba im będzie dodać trochę czasu przy dekompresji – mruknął do Orbacha. – Powiedźcie Pałamarzowi, żeby zszedł do luku.

Minęło dziesięć, piętnaście minut. Telefony milczały.

Sygnaliści czujnie łowili poruszenia nurków, wpatrzeni w trzy ogniska powietrznych baniek pękających na powierzchni wody. Kręte szlaki tych baniek to rozbiegały się, to znów łączyły z sobą, spływając dalej ku rufie zamiatane falami.

Dwadzieścia minut!

Czeluśniak wziął słuchawkę Barnata.

– Kończycie tam?

– Kończymy. Jeszcze minuta albo dwie i będzie gotowe.

Lecz dwie minuty rozmnożyły się w cały szereg następnych.

Zapewne oś kłapy została nieco wygięta przy jej zdejmowaniu, bo pokrywa w żaden sposób nie chciała wśliznąć się w kołnierz włazu. Usiłowali naprostować to wygięcie uderzeniami młota, lecz daremnie: gdy krawędź z jednej strony niemal dotykała brzegu otworu, z drugiej brakło do tego prawie pół cala: gdy wyrównali tę różnicę, tłok o pół cala wystawał poza górny otwór cylindra...

Czeluśniak kilkakrotnie wzywał ich do powrotu, ale oni za każdym razem „już kończyli”. Niechże ich nie odrywają od roboty! Tylko jeszcze minuta, najwyżej dwie!

Bezpośrednio po tym odzywały się uderzenia młota, krótkie, stłumione okrzyki: „W lewo”, „W prawo”, „Trochę wyżej”, „Do siebie” i tak to trwało nadal.

Wachel, Siwec i Andrysiak, stanowiący następny zespół, czekali w milczeniu, ściągawszy do połowy skafandry i zdjęwszy swetry, żeby się nie roztopić z gorąca. Sygnalistom trzymającym przewody omdlewały ramiona. Cencora, Dębosz, Faustyniak, Staszko i Osmoła zgromadzili się u burty zamieniając od czasu do czasu szeptem po parę słów i spoglądając niespokojnie na Czeluśniaka, który chodził nerwowo tam i z powrotem między telefonami a platformą do opuszczania nurków. Kapitan Hornung wstał ze swego krzeselka na mostku i gładził brodę opadającą mu na szeroką pierś. Orbach z widocznym niepokojem zaglądał przez ramię Maderskiemu do jego tabeli czasu.

Czeluśniak znów ujął którąś słuchawkę.

– Co się z wami dzieje?

Odpowiedział mu Barnat:

– Już, już. Zaraz kończymy. Nie przeszkadzajcie!

Starszy nurek rzucił ramionami.

– Jak długo są pod wodą? – spytał Maderskiego, który już od dawna przestał podawać czas.

– Trzy godziny i dwadzieścia pięć minut – odrzekł Maderski.

Czeluśniak odwrócił się ku sygnalistom.

– Dajcie im znać, żeby się przygotowali i wyciągajcie ich kolejno. Najpierw Barnata, Gert. Potem Grabienia i Pałamarza. Wprost na pierwszy poziom dekompresyjny. Wolno, żeby się gdzie nie zaczęli.

Potem posłał Pelca do doktora Baczą i zawołał do Wachła:

– Ubierajcie się! Zaraz was opuścimy.

Platforma przeznaczona dla zespołu Barnata już się zanurzała o parę metrów od przewodów, które zwolna wybierano na pokład. Druga była gotowa do przeniesienia nurków za burtę i opuszczenia ich przy linie zejściowej.

Doktor Bacz wyszedł na pokład.

– Cóżście zmajstrowali? – spytał.

Czeluśniak odłożył wreszcie słuchawkę, którą dotąd trzymał przy uchu, i powiedział mu, co zaszło.

– Są pod wodą trzy i pół godziny. Prawie o godzinę dłużej niż wynosi granica bezpieczeństwa dla tej głębokości. W naszych tabelach dekompresyjnych brak danych na taki wypadek i teraz nie wiadomo, ile minut mają trwać poszczególne stacje przy wynurzeniu...

Bacz spoważniał.

– Przesoliłeś, stary gilotyniarzu, niech cię nie znam! – powiedział wolno.

– Wyciągnęliśmy ich prawie siłą – odrzekł starszy nurek. – Trzeba było słyszeć, jak przy tym klęli, że im nie dałem skończyć tej roboty.

Bacz obejrzał się na Maderskiego.

– Pokaż no te tabele.

Przeliczał, mrużąc pod nosem.

– Na pierwszym i drugim etapie po czterdzieści pięć minut – powiedział do Czeluśniaka. – Potem godzinę i godzinę dwadzieścia. Razem trzy godziny i pięćdziesiąt minut. Co najmniej! Jeżeli w rezultacie nie dostaną zapalenia płuc, to nic im nie będzie. Ale w każdym razie zabieram ich na dwa dni do izby chorych.

Zespół Wachla był już gotów. Sygnaliści prowadzili ich ku platformie. Czeluśniak tłumaczył, co mają zrobić.

– Tylko na pierwsze wezwanie zostawić to wszystko i wyłączyć. Wiedźcie to sobie!

Wachel wzruszył ramionami.

– No, pewnie! Ja nie mam źle w głowie!

Barnat, Grabień i Pałamarz pozostawali pod wodą w sumie prawie siedem godzin. Gdy schodzili na wrak, była szósta rano; gdy znaleźli się z powrotem na pokładzie „Posejdona”, dochodziła pierwsza po południu.

Przemokli, zmarzli i osłabli tak, że ledwie trzymali się na nogach. Lecz przede wszystkim byli źli: nie pozwolono im skończyć; oderwano ich od roboty w chwili, gdy pokrywa już, już miała wejść na swoje miejsce!

Kapitan Jakus, który tymczasem przyjechał z Gdyni, nie chciał tego słuchać, a doktor Bacz kazał im natychmiast pójść do łóżek.

Zespół Wachla wrócił na powierzchnię nie założywszy pokrywy. Naczelnym inżynierem posłał tam Orbacha i Habzę, aby ją zdjęli i odesłali na pokład „Posejdona”.

Ślusarze z załogi powierzchniowej dorobili i przyspawali tuż u krawędzi kłapy cztery pręty, które miały służyć jako prowadnice przy jej opuszczaniu na kołnierz wjazdu. W ten sposób pokrywa nie mogła się przekręcić, a jej oś i tłok musiały trafić we właściwe otwory.

Nazajutrz z samego rana Jedynek, Maderski i Cencora zostali opuszczeni do czwartego luku m/s „Adlernest”. W ślad za nimi opuszczono pokrywę.

Po upływie godziny Jedynek zameldował, że nie zdołali jej założyć...

W ciągu tego i następnego dnia każdy zespół kilkakrotnie próbował dokonać tej sztuki. Nurkowie schodzili do luku, przymierzali, pasowali się z oporną tarczą, zdejmowali ją i opuszczali tak i owak, a gdy upływał ich czas, wynurzali się źli, zawiedzeni, klnąc i złorzecząc.

Orbachowi udało się raz częściowo: pokrywa weszła w kołnierz nie opierając się i nie pozostawiając nigdzie szczelin. To go po prostu zdumiało! Lecz gdy Habza chciał założyć nakrętkę zabezpieczającą, okazało się, że gwinty osi zostały tak zniekształcone uderzeniami młota, iż nie da się jej wkręcić.

Musieli zdjąć klapę i wymontować oś, odgrzebawszy piasek u jej podstawy w głębi wjazdu, po czym odesłali to wszystko razem na pokład „Posejdona”, gdzie nacięto nowe gwinty.

Wachel i Siwiec nałożyli następnie oś z powrotem na właściwe miejsce, a inny zespół znów szczęśliwie utrafił tak, że krawędź kłapy znalazła się dokładnie wewnątrz krawędzi kołnierza. Wystarczyłoby teraz dociągnąć nakrętkę, lecz... nakrętka zginęła! Upuścili ją podczas zmagania się z tym piekielnym urządzeniem i nie można jej było znaleźć. Zażądali przez telefon, aby im przysłać

z „Posejdona” inną nakrętkę, a w oczekiwaniu na nią wszyscy trzej usiedli na pokrywie, w przesadnej obawie, że im się wymknie znad włazu.

Lecz była to nakrętka bardzo dużych rozmiarów, bowiem średnica gwintowanej osi wynosiła prawie pięć centymetrów. Czeluśniak kazał przeszukać cały magazyn i gotów był nawet rozebrać windy lub pompy, jeśliby się tam coś takiego znalazło, ale ani na „Posejdonie”, ani na „Swarożycu” nakrętki o pięciocentymetrowym otworze nie było i nurkowie z półgodzinnym opóźnieniem wrócili na powierzchnię.

Ślusarze dorobili nową nakrętkę podczas przerwy obiadowej, a zespół Jedynaka opuścił się na wrak strzegąc jej, jakby była ze szczerzego złota, nie z żelaza. Pokrywa leżała niewzruszenie na swoim miejscu. Gwint osi pasował do gwintu nakrętki znakomicie. Tylko... nie można było dociągnąć jej do końca, ponieważ zewnętrzna jej krawędź oparła się o trzon tłoka wystający tuż obok.

Jedynak zdjął pokrywę i wraz z nakrętką odesłał ją na powierzchnię celem spiłowania bocznych ścianek.

Po południu dwa kolejne zespoły nurków nie zdołały zaniknąć włazu. Na trzeci dzień rano nie udało się to również Wachlowi.

Dwa dni minęły od chwili, gdy Marian Czeluśniak zameldował o uszczelnianiu trzeciej i czwartej ładowni, a wyjście zapasowe z tunelu wałowego nadal było otwarte. Trzykrotnie wyciągano klapę na pokład „Posejdona” i opuszczano ją do luku m/s „Adlernest”.

– Cholery można dostać! – oświadczył Habza opowiadając o tym Barnatowi, którego doktor Bacz wypuścił wreszcie z izby chorych.

Antoni był jeszcze osłabiony, podobnie jak Grabień i Pałamarz, ale wszyscy trzej wiedzeni jedną myślą zamienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Gdzie jest inżynier? – spytał Barnat.

– W kajucie technicznej. Radzę z Czeluśniakiem, jak to zrobić – odrzekł Habza.

– My to zrobimy – powiedział Antoni. – Chodźcie.

Wachel, który stał opodal, posłał mu drwiące spojrzenie.

– Jużeście raz próbowali – mruknął. – Tyleście zwojowali, że was tu dwa dni nie było, a i gwint na osi diabli wzięli.

Barnat nie zaszczycił go żadną odpowiedzią. Tylko Pałamarz przystanął na chwilę, obejrzał Wachla od stóp do głowy i westchnął z politowaniem.

Poszli do Jakusa i wymogli na nim pozwolenie na jeszcze jedną próbę. Ich „bojowy” nastrój wziął górę nawet nad sceptycznym poglądem Czeluśniaka na celowość tej próby i zwyciężył także skrupuły doktora Bacza, który w końcu machnął ręką:

– Z wariatami nie będę się sprzeczał. Jak was diabli wezmą, nie będzie zaraz narodowej żałoby z tego powodu. Tylko jeżeli po godzinie zanurzenia powiedzą, że „za dwie minuty będą gotowi”, musisz ich natychmiast wyciągnąć, Neptunie – powiedział do Jakusa. – W przeciwnym razie za nic nie ręczę. Wyglądają wszyscy trzej jak meduzy przepuszczone przez wyżymaczkę.

– Dobrze – zdecydował naczelny inżynier. – Idźcie się ubierać.

* * *

W kwadrans później wszyscy trzej byli na dnie czwartej ładowni. W ciągu dwóch dni i dwóch nocy leżąc w izbie chorych marzyli i rozprawiali między sobą tylko o tej pokrywie. Teraz mieli ją znów przed sobą...

Barnat i Grabień ujęli ją z obu stron. Pałamarz podciągnął blok z hakiem, na którym była zawieszona.

– Ostrożnie! Jak z noworodkiem – przestrzegął Antoni. Wsunęli prowadzące pręty do włazu, scentrowali tłok nad cylindrem i otwór łożyska nad osią, obejrzelik dookoła, czy krawędź leży dokładnie nad kołnierzem.

– Na dół. Wolno – powiedział Barnat.

Pałamarz opuszczał pokrywę cal po calu, póki nie dotknęła kołnierza.

– Stop! – zawołał Rafał podnosząc rękę. – U mnie już. Antoni dosłyszał go. Pokręcił głową. Z przeciwnej strony było pół cala luzu.

– Z powrotem w górę! – pokazał Hipolitowi gestem. – Dość! Jeszcze raz!

Kapitan Jakus z dwiema słuchawkami na uszach spoglądał co chwila na zegarek. Doktor Bacz śledził wyraz jego twarzy.

– Nic z tego nie będzie – mruknął Wachel, który stał obok. – Pięćdziesiąt minut już się męczą...

– Halo, Bamat! Jak tam? – spytał Jakus.

– Dobrze – odrzekł Antoni. – Pokrywa z jednej strony leży dokładnie na miejscu. Z drugiej odstaje o pół cala. Jeszcze parę minut i wejdzie.

Inżynier z rezygnacją odłożył słuchawki.

– Przygotujcie dla nich platformę do wynurzenia – zwrócił się do Czeluśniaka. – Nie ma co ryzykować po raz drugi; za dziesięć minut muszą wyjść.

Słychać było, że naradzają się tam pod wodą. Rafał powiedział:

– Wejdziemy z Hipolitem na tę zarazę i wbijemy ją nogami.

– Nie, to na nic – odrzekł Barnat. – Znów zerwiecie gwinty i nie będzie można dociągnąć nakrętki.

Umilkli i pracowali dalej, jak o tym świadczyły stłumione odgłosy w mikrofonach.

– Pięćdziesiąt osiem minut – powiedział Dębosz, który tego dnia pełnił obowiązki chronometrażysty.

Oficer wachtowy kazał opuścić platformę. Jakus znów ujął słuchawkę Barnata, aby go wezwać do powrotu.

– No, trudno – usłyszał jego podniesiony głos. – Władźcie obaj na pokrywę i podskoczcie na niej. Tylko razem!

Jakus czekał. W mikrofonie dał się słyszeć łoskot uderzenia ołowianych podeszew o żelazo. Potem okrzyk Antoniego:

– Dobra! Siedzi! Nakrętkę, Rafał!

– Sześćdziesiąt minut – powiedział głośno Dębosz.

W słuchawce zagrzechotał sygnał telefoniczny Barnata.

– Na pokładzie! Ześlijcie nam duży klucz do nakrętki. Pokrywa weszła!

Mówił tak głośno, że wszyscy go słyszeli.

– No, no! – mruknął Bacz. – Niech ich kaczki zdepczą!

Na głębokości trzydziestu kilku metrów ryby zwabione światłem lampy spoglądały ze zdumieniem na trzech nurków, którzy trzymając się za ręce okrążali zamknięty otwór wjazdu w ciężkich podskokach, wydając dzikie okrzyki radości dudniące głucho w miedzianych hełmach.

Rozdział XXVII

Grabień oczekiwał przybycia Teresy tegoż dnia po południu, lecz spotkał go zawód: motorówka komunikacyjna P. R. O. przypląnęła wprawdzie z Gdyni przywożąc pocztę i przesyłki, lecz kierował nią bosman z pomocniczego kutra. Teresa przysłała przez niego krótką kartkę z wiadomością, że nie czuje się dobrze. „To zapewne tylko grypa, ale kazali mi przez parę dni leżeć. Pewnie jak w sobotę zwolnią was na ląd, będzie już po tej chorobie”.

Rafał był zwarzony, ale pocieszał się, że zobaczy ją wkrótce.

Tymczasem zespół Orbacha powrócił na powierzchnię dokonawszy nie byle jakiego dzieła: w ciągu jednego zanurzenia zdołali przykryć czwarty luk wraku stalową płytą – jedną

z tych, które Barnat przed trzema tygodniami przywiózł na pokładzie „Swarożycy” i które zatopiono przy burcie m/s „Adlernest”.

Naczelnym inżynierem miał nadzieję, że do wieczora płyta zostanie przyspawana do krawędzi luku, a przewody pompy wodno-powietrznej, ustawionej na dnie ładowni, uszczelnione w otworach, którymi Orbach wyprowadził je na zewnątrz. Gdyby nazajutrz rano udało się przykryć trzeci luk, cała tylna część kadłuba statku byłaby gotowa do ostatecznej próby na szczelność.

Jakus zamierzał przedsięwziąć tę próbę w piątek, uruchamiając obie pompy, aby całkowicie usunąć wodę z uszczelnionych pomieszczeń i przekonać się, czy nie uchodzi z nich powietrze. Tym sposobem plan robót na bieżący okres dwutygodniowy byłby całkowicie wykonany mimo dwóch dni straconych na zamknięcie klapy.

Istotnie przed zachodem słońca czwarty luk został hermetycznie zamknięty.

Przy kolacji panował wesoły, jakby odświętny nastrój. Nawet Czeluśniak przewyciężył na chwilę zwykłą posepność, z jaką traktował ludzi i zdarzenia.

– To był dobry dzień, Michale – powiedział do Orbacha, który przeglądał gazety.

Orbach, wbrew swemu pogodnemu usposobieniu, zdawał się tylko częściowo podzielać to zdanie. Kiwnął niedbale głową. – Czytaliście to? – wskazał palcem.

Czeluśniak spojrział na niego z zaciekawieniem. Wyjął okulary i wziął gazetę.

– Aha – mruknął po chwili – „zachodnio-demokratyczne” oszustwo! Widzicie, jak oni dotrzymują umów! No?

Czytał dalej, z wypiekami na pomarszczonych, suchych policzkach, skubiąc brodę, zapomniawszy już o minionym „dobrym dniu”. Jego ciemne, głęboko osadzone oczy zapłonęły gniewem.

– Wiecie, co to znaczy? – spytał groźnie uderzając pięścią w stół, jakby miał przed sobą głównego winowajcę.

Rozmowy przycichły. Wszystkie spojrzenia spoczęły na jego chmurnej, rozognionej twarzy. Orbach wzruszył ramionami.

– Pewnie. Zamówiliśmy rok temu te statki i nie dostaniemy ich. W brytyjskich stoczniach rządzą amerykańscy kapitaliści. Kazali im zerwać umowę i koniec.

– Dla nich koniec. Dla nas – nie! Oni się tam ugodzą, nie tracą na tym, wiedźcie to sobie. A u nas tych dwóch statków zabraknie do wykonania planu... Dwa statki – bagatela! W ciągu paru lat to jest ładnych kilkaset tysięcy albo i z milion ton towarów przy średnich podróżach.

Andrysiak spytał, o co właściwie chodzi, o jakie statki? Czeluśniak podał mu gazetę.

– Czytajcie głośno.

Wiadomość dotyczyła dwóch średniej wielkości statków, zamówionych przez Centralny Zarząd Polskiej Marynarki Handlowej w pewnej angielskiej stoczni. Ich budowa była na ukończeniu, a znaczną część należności pokryto już przelewami za eksportowane towary, gdy nagle dyrekcja stoczni oświadczyła, że nie może wykonać zamówienia.

– I co wy na to? – spytał Czeluśniak spoglądając dokoła. Jego wzrok zatrzymał się przypadkowo na twarzy Habzy, który wziął to pytanie do siebie.

– Mnie się pytacie? – burknął. – A cóż ja na to poradzę?

– I was się pytam, i każdego – odrzekł Czeluśniak rozglądając się znowu dokoła stołu, przy którym siedział.

– No więc co? – odezwał się Wachel drwiąco. – Myślicie, że tak jak tu jesteśmy, weźmiemy za łeb Amerykanów i tych kapitalistów, żeby statki były, tak? Albo może mamy uchwalić protest? Dużo oni sobie robią z tego waszego gadania i z tych protestów!

Czeluśniak prześwidrował go wzrokiem.

– Zależy z jakich protestów, wiecie? – powiedział z naciskiem.

Wachel prychnął krótkim, pogardliwym śmiechem.

– Spytajcie Barnata – odrzekł z ironią. – Przecie on ma na wszystko sposób.

Antoni spojrział na niego z góry.

– Mam – powiedział. – Jak chcecie wiedzieć, to mam. A jaki? Ano taki, uważacie, że trzeba tak robić, żeby tamte dwa statki zastąpić innymi; żeby tę lukę zapełnić, i to na czas!

Wachel chciał wtrącić jakąś złośliwą uwagę, ale Antoni już mówił dalej:

– Naturalnie sami temu nie podołamy. Ale możemy wziąć na siebie chociaż część roboty.

– Gdzie? Na stoczni?! – wyrwał się Wachel znowu.

– Na stoczni pewnie też o tym pomyślą ci, co tam pracują – odrzekł Barnat. – A my tu, na miejscu. „Adlernerst” po remoncie zastąpi nie dwa, ale ze trzy albo i cztery takie statki, jakie były zamówione za granicą.

– Racja – przyświadczył Orbach.

– No więc, krótko mówiąc – powiedział Antoni – trzeba ten wrak podnieść prędzej. Jeżeli o mnie chodzi, mógłbym się rzec zwolnienia na ład, dopóki go nie podniesiemy. Gdyby się wszyscy na to zgodzili, to właśnie by była nasza odpowiedź dla tych, co nie dotrzymują umów: zobaczyliby, że damy sobie radę i bez ich zagranicznych stoczni.

– Racja – powtórzył Orbach głośno. – To jest odpowiedź.

Wśród młodszych nurków wszczął się przychylny gwar: mądrze to Barnat powiedział; podobało im się. Byli gotowi jednomyślnie go poprzeć. Starsi rozważali ten pomysł spokojnie, ze wszystkich stron; niektórzy czekali, co na to powie Czeluśniak. On zaś doznawał sprzecznych uczuć i spoglądał na Barnata nieufnie, jakby chciał przejrzeć go na wylot: co nim kierowało?

Czeluśniak sam zamierzał poddać nurkom i robotnikom z załogi powierzchniowej myśl o podjęciu podobnego zobowiązania, lecz chciał przed tym naradzić się z Jakusem i przygotować grunt. Barnat go uprzedził. Czy zrobił to dla jakichś osobistych celów? A może naprawdę myślał tak jak on sam? Może to był z jego strony po prostu szczerzy odruch?

Takie przypuszczenie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, lecz nie chciał go przyjąć: wydało mu się naiwne. Ten Barnat to chytra sztuka! Nie można mu dowierzać!

Lecz tak czy owak trzeba było zająć jakieś stanowisko. Musiał poprzeć Barnata; wymagało tego dobro sprawy.

Uczył to oględnie. Wiedział z doświadczenia, jak dalece mogą zawodzić wszelkie terminy przy robotach ratowniczych; ile niewiadomych kryje w sobie takie przedsięwzięcie; w jak wielkim stopniu zależy od pogody, od nieobliczalnych okoliczności, które towarzyszą pracy na morzu, od nie dających się przewidzieć trudności i przeszkód.

Nie: żadnych terminów! Natomiast – zgoda na skasowanie dwudniowych urlopów co drugi tydzień. A podczas wypłukiwania tuneli pod dnem wraku można by pracować także w nocy. To tylko sprawa należytego oświetlenia dla sygnalistów.

– No i jeżeli się na to raz zgodzicie, to żeby już potem nie było żadnego gadania. Takie zobowiązanie, to jak słowo uczciwości, wiecie to sobie!

Orbach pierwszy opowiedział się za taką uchwałą. Po nim Grabień i Andrysiak; za nimi inni.

Habza gadał teraz, jakby go coś roznosiło. Odgrażał się angielskim stoczniom, zaklinał się, że on im pokaże, a w końcu wezwał do współzawodnictwa wszystkich młodych nurków.

Grabień i Siwiec zostali wydelegowani do załogi marynarzy, aby uzgodnić z nimi tę sprawę, a Czeluśniak poszedł przedstawić ją Jakusowi. Tylko Wachel pozostał milczący, posepny i pełen wątpliwości, których jednak nie wyjawiał głośno.

Był chciwy i skąpy, a oto mógł teraz sporo zarobić. Szybko przeliczył w myśli dodatkowe godziny zanurzenia i pomnożył je przez stawki premii. Dodał należność za zaokrętowanie. Wypadło to niezłe. Ale z drugiej strony – jego młoda, lekkomyślna żona pozostanie w Gdyni bez nadzoru...

Wyda wszystko, co tu zarobię i zaoszczędzę! – pomyślał ze zgrozą. – I co ja z tego będę miał?

Nie ufał jej ani trochę. Której kobiecie można zaufać?! Wydzierał jej każdą złotówkę i kontrolował wydatki, ona zaś w tajemnicy przed nim zaciągała długi, które w końcu musiał spłacać. Nie były to wielkie sumy, ale sam fakt, że mogła tak postępować – oszukiwać go, trwonić pieniądze na jakieś tam babskie fatałachy – doprowadzał Wachla do wybuchów ponurej wściekłości. Co będzie teraz, jeśli przez dwa lub trzy miesiące jego żona zostanie sama, bez żadnej kontroli?

Wreszcie trzeba wziąć pod uwagę i to, że od wyższych zarobków potracą mu wyższy podatek. A także i to, że napracuje się niemało, być może z narażeniem zdrowia i nawet życia – nie korzystając przy tym z zasłużonego odpoczynku. W sumie nie można zyskać na tym wiele...

Westchnął i powlókł się leniwie do swojej kajuty, aby tam raz jeszcze przetrwać te swoje troski.

Tymczasem z kabiny radiotelegraficznej s/s „Posejdona” został nadany meldunek do dyrekcji P. R. O.:

W odpowiedzi na zerwanie umowy przez stocznie zagraniczne w sprawie dostawy statków zamówionych dla Polskiej Marynarki Handlowej, ekipa nurków, załoga powierzchniowa P. R. O. oraz załogi morskie s/s „Posejdona” i s/s „Swarożyca” zrzekły się przysługujących im

urlopów aż do chwili wydobycia wraku m/s „Adlerness”. Nurkowie, robotnicy i marynarze P. R. O. wzywają wszystkich pracowników Ratownictwa i wszystkich stoczniovców polskich do podjęcia zobowiązań, które umożliwiłyby wypełnienie luki powstałej w planie rozwoju Polskiej Marynarki Handlowej wskutek niedostarczenia statków przez stocznie zagraniczne.

* * *

W piątek od wczesnego rana ruszyły pompy wodno-powietrzne ustawione na dnie trzeciej i czwartej ładowni wewnątrz wraku m/s „Adlerness”, a koło południa poziom wody w tych pomieszczeniach obniżył się o sześć metrów. Już wtedy stało się jasne, że lewa burta statku jest nieszczęlna: wielkie bąble powietrza wydobywały się na powierzchnię w pobliżu grodzi oddzielającej maszynownię od trzeciej ładowni, a roje drobniejszych pęcherzyków pieniły się coraz gwałtowniej wzdłuż kadłuba, aż po tylny maszt. Mimo to pompy pracowały nadal, póki nie okazało się, że powietrze uchodzi z wnętrza wraku z tą samą szybkością, z jaką jest tam wciągane.

O godzinie piętnastej Jedynek, Maderski i Cencora zeszli na dno i oznaczyli wszystkie szczeliny, które utworzyły się między płytami poszycia lewej burty, zapewne wskutek wybuchu.

Potem kolejne zespoły nurków zaczęły je uszczelniać, co trwało prawie cztery dni.

Gdy się z tym uporali, „odezwał się” pokład tuż przy podstawach elektrycznych wind ładunkowych. Nie mogli go „uciszyć” w żaden sposób, dopóki naczelnym inżynierem nie zdecydował się na rozebranie i usunięcie owych wind. Pozostałe po nich otwory przykryto smołowymi plastrami i skrzyniami z betonem. Aby tego dokonać, trzeba było zalać wodą obie ładownie, a następnie znów je osuszyć.

Wtedy zaczął „rozmawiać” trzeci luk.

Dopiero po jego dodatkowym uszczelnieniu powietrze przestało uchodzić i można było powtórnie zatopić całą tylną część wraku aż do chwili wynurzenia.

Barnat w ciągu paru dni pracował tylko z Pałamarzem. Grabień w niedzielę pojechał do Gdyni, wysłany tam przez Jakusa po odbiór jakichś materiałów technicznych. Ale Antoni wiedział, że chodziło o Teresę, która była poważnie chora.

Rafał zwierzył mu się z tym przed samym odjazdem. To był zapewne tyfus... Zabrali ją do szpitala. Teresa mającąc w gorączce wzywała go ciągle, co skłoniło pielęgniarki – dawne jej znajome i towarzyszkę pracy w szpitalu – do powiadomienia o tym doktora Bacza. Wiedziały, że narzeczony Teresy jest nurkiem; szczęśliwie się złożyło, że Bacz mógł w tym pomóc.

Tak więc Grabień, zaopatrzony w kartkę z kilku słowami skreślonymi ręką Bacza do dyrektora szpitala, odpłynął motorówką pełen niepokoju i obaw, których nie mógł się pozbyć, jakkolwiek Bacz zapewnił go, że przy dzisiejszym stanie wiedzy medycznej dur brzuszny leczy się w czterdzieści osiem godzin.

Wrócił już po uszczelnieniu lewej burty wraku – we wtorek. Był tak zmieniony, chmurny i milczący, że gdy wszedł do kajuty, Antoni zerwał się z krzesła i wlepił w niego wzrok, nie mogąc przez chwilę zdobyć się na pytanie, które cisnęło mu się na usta.

– Co z Teresą? – zapytał wreszcie prawie szeptem. Rafał popatrzył na niego spode łba, założywszy w tył ręce.

– Już po wszystkim – powiedział ochryplym głosem. Barnat poczuł lodowate zimno w piersiach. Pałamarz uniósł głowę znad swojego zeszytu i mrugał zaczerwienionymi powiekami, jak rażony ostrym, jaskrawym światłem.

– Gorączka spadła – wyjaśnił Grabień. – Nie ma już niebezpieczeństwa.

– Aha – mruknął Hipolit – a ja myślałem... Masz dziwny sposób podawania dobrych wiadomości – powiedział kręcąc głową. – Więc wszystko dobrze? Bez komplikacji?

Grabień z kolei spojrział na niego, jakby dopiero teraz odkrył jego obecność.

– Bez jakich komplikacji? – spytał podniesionym, gniewnym tonem, co tak zdumiało Hipolita, że zamilkł z na pół otwartymi ustami, spoglądając to na niego, to na Barnata, jakby brał tego ostatniego na świadka, iż nic tu nie zawinił.

Antoni tymczasem ochłonął. Pomyślał, że Rafał przeżył zapewne ciężkie chwile niepewności i śmiertelnej obawy o życie Teresy; że – być może – nie spał przez kilka nocy; że jest wyczerpany nerwowo i ciągle jeszcze pozostaje pod wrażeniem koszmaru, jakim musiały być dla niego owe długie godziny wyczekiwania spędzone w szpitalu. Tylko tak można było wytłumaczyć sobie to jego rozdrażnienie.

– Hipolit ma na myśli powikłania po tyfusie – powiedział podchodząc do Grabienia. – Ale teraz to nie jest groźne. Siadaj i opowiedz wszystko spokojnie.

Chciał go ująć pod ramię, ale Rafał odsunął się w tył.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – odrzekł stłumionym głosem.

Odwrócił się i odszedł do swojej koi. Usiadł, ściągnął buty i w ubraniu położył się twarzą do ściany.

On wie – pomyślał Barnat. – Czyżby Teresa powiedziała mu wszystko?

Stał nadal pośrodku kajuty, ze zmarszczonymi brwiami i wzrokiem utkwionym w podłogę. Po chwili uniósł głowę i napotkał pytające spojrzenie Hipolita. Wzruszył ramionami.

– Przejdzie mu – powiedział cicho.

* * *

Grabień zgłosił się do szpitala zaraz po przybyciu do Gdyni i dzięki poleceniu doktora Baczą został bez trudności wpuszczony na oddział zakaźny. Dyżurna siostra-pielęgniarka, dobrodusznna, rumiana kobieta o obfitych kształtach, przyjęła go w małej poczekalni. Ucieszyła się, że przyjechał, i wybierając dla niego biały kitel, natychmiast zaczęła mówić z pośpiechem, jakby w obawie, że ktoś ją może uprzedzić.

– Teresie nic już nie grozi: kryzys minął w nocy po zastrzykach. Ale to się mogło źle skończyć, bo rozpoznanie choroby nastąpiło ze znacznym opóźnieniem. Biedaczka przypuszczała, że ma zwykłą gripę, no i nie miała nikogo, kto by się nią zaopiekował. Dopiero ta jej sąsiadka... I jak ją przywieźli – gorączka!... Nie wiedziała o bożym świecie. I ciągle tylko: Antoni i Antoni!

– Cóż pan chce? – ciągnęła dalej, nie zważając na gwałtowną zmianę w wyrazie twarzy Rafała lub biorąc ją za objaw wzruszenia. – Taka młodzieńka! Zakochana! Przy tym czterdzieści stopni gorączki... Wydawało jej się, że pan musi wyjechać gdzieś daleko albo że pan o nią przestał dbać, że ją pan porzucił. Takie rzeczy często przywidują się w malignie. Ale gdyby pan to słyszał! Serce się krajało... Powinien pan być bardzo szczęśliwy: z pewnością nigdy nikogo nie kochała prócz pana. No, pewnie pan o tym wie?

Spojrzała na niego z dobrotliwym uśmiechem i opuściwszy zaraz oczy wygładziła fartuch na kolanach, trochę zakłopotana nieruchomym, pałającym wzrokiem Rafała, ale widocznie zadowolona z wrażenia, jakie wywierało na nim jej opowiadanie. Westchnęła z głębi piersi:

– To było takie wzruszające!

Grabień milczał. Nie mógł się zdobyć choćby na jedno słowo. Antoni...

To imię drgało w nim fałszywym, nieznośnym dźwiękiem jak pęknięta struna. Siedział nieruchomo, ze stęszymi członkami, jakby całe jego ciało – skóra i mięśnie – były ze szkła. Miał uczucie, że jeżeli wykona najmniejszy ruch, rozpadnie się z brzękiem na drobne odłamki. Tylko serce waliło głośno w tym szklanym wnętrzu, a w głowie raz po raz powstawał wir, który rozsadał mu czaszkę.

– Więc tej pierwszej nocy, kiedy było najgorzej i baliśmy się, że biedactwo nie przetrzyma kryzysu, zaczęłam rozpytywać o pana – mówiła siostra. – Jak pan wie, ona tu kiedyś pracowała w tym szpitalu. No i któraś z pielęgniarek przypomniała sobie, jak pan się nazywa i że pan jest nurkiem. Antoni Grabień. Od razu wiedziałyśmy, że doktor Baczą nam pomoże pana tu sprowadzić. Teraz już jest wszystko na najlepszej drodze i będzie pan mógł ją zobaczyć, ale nie wolno jeszcze wiele z nią rozmawiać. No, no, niechże się pan opanuje: naprawdę nie ma już żadnego niebezpieczeństwa, tylko osłabienie. Za jakie dwa tygodnie narzeczona będzie zupełnie zdrowa, a do wesela oboje o tym zapomnicie.

– Do wesela... – powtórzył chrapliwym szeptem i zaśmiał się cicho. – Powiada pani, że do wesela oboje zapomnimy?!

Spojrzała na niego, niemile dotknięta takim zachowaniem się. Cóż to miało znaczyć?

Jego zmarszczone brwi, nieruchoma twarz zmartwiała w bolesnym skurczu i cała postać jakby przytłoczona niezmiernym ciężarem, pod którym nie mógł nawet drgnąć, przemawiały do jej sentymentalnej wyobraźni. Jakże mógł przy tym śmiać się w ten sposób!

Grymas owego śmiechu osiadł mu na ustach i pozostał tam jak maska. Nie mógł się go pozbyć, a każde zdanie wypowiedziane przez tę pocziwą kobietę pogłębiało jego palącą gorycz.

Nie mogła tego zrozumieć. Nie mogło jej przyjść na myśl, że słowa otuchy i współczucia mogą brzmieć jak zjadliwe drwiny z jego udreki. Poczowała się urażona, lecz ze względu na Teresę postanowiła mu to wybaczyć: ta śliczna Teresa była w nim śmiertelnie zakochana.

– Niech pan idzie ze mną – powiedziała zniżając głos. – Zobaczę, czy ona nie śpi. Tylko cichutko. I nie dłużej niż pięć minut. Jutro może pan przyjść znowu.

Wstała i poszła przodem, Rafał zaś przemógł się wreszcie i dźwignąwszy się z krzesła szedł za nią.

Białe ściany i wielkie jasne okna korytarza przesuwały się obok niego, mijały go i zostawały w tyle. Postać siostry dyżurnej w białym kitlu rozplywała się przed nim, to znów stawała się wyraźna i bliska. Wtem stanęła w miejscu. Omal nie wpadł na nią.

Jakieś drzwi uchyliły się cicho.

– Niech pan chwileczkę zaczeka. Muszę ją uprzedzić – szepnęła pielęgniarka.

Rafał oparł się o futrynę. Drzwi zamykały się bezszelestnie. W tej samej chwili przeleciało mu przez głowę jak nagły błysk:

Ona jej powie, że to Antoni!

Nacisnął klamkę i wszedł nie zważając na gniewne, zgorszone spojrzenie siostry, zaskoczonej tym jego nagłym wtargnięciem.

Teresa wolno otworzyła oczy. Lekki, zaledwie dostrzegalny rumieniec zabarwił jej policzki. Błady, smutny uśmiech przybłąkał się na usta.

– Rafał – szepnęła. – Widzisz, znów jestem do niczego..

– To nic – powiedział cicho. – To przejdzie.

Sięgnął po taboret i usiadł bliżej przy łóżku.

– Musiałem obiecać, że cię nie dotknę – wyjaśnił, jakby chciał usprawiedliwić swoje postępowanie. – Dopiero dziś rano dowiedziałem się, że tu jesteś – dodał i umilkł wyczerpawszy wszystko, na co mógł się zdobyć w tej chwili. Teresa zwróciła ku niemu głowę.

– Narobiłam wszystkim kłopotu... Siostra Felicja... – spojrzała na pielęgniarkę. – To pewnie siostra zawiadomiła Rafała?

Pulchna twarz siostry Felicji oblała się szkarłatem. Okrągłe niebieskie oczy wyrażały ciekawość i zdumienie: Rafał! Dlaczego Rafał?

Rafał pośpieszył wyprowadzić ją z zakłopotania: Tak, telefonowali ze szpitala. Jakus go zaraz wysłał do Gdyni.

– Kochany Stanisław – szepnęła Teresa.

Siostra Felicja wzniosła oczy w górę: – Jeszcze jeden! Jak to pozory mylą – pomyślała zgorszona i rozczarowana.

– Za pięć minut przyjdę po pana – powiedziała oschle. Odwróciła się i wyszła na korytarz zostawiając drzwi otwarte.

Rafał na próżno szukał jakiegoś wątku, który by wypełnił owe pięć minut. Z chaotycznego wiru jego myśli wynurzało się ciągle jedno i to samo – to właśnie, o czym teraz mówić nie mógł.

Teresa pytała o Jakusa, o doktora Bacza, o Czeluśniaka. Wyczuwał, wiedział, że chciałyby zapytać o Barnata. Nie ośmielił się w tym jej dopomóc; zwątpił we własną wytrzymałość; wolał nie wystawiać się na taką próbę. Aby ostatecznie zapobiec temu pytaniu, powiedział coś o owej sąsiadce Teresy, która wezwała do niej lekarza. Chciałby pójść do niej, podziękować za tę pomoc i troskliwość.

– Idź koniecznie – ożywiła się Teresa. – I może także zawiadomisz Sabinę. Ona pewnie wcale nie wie, że tu jestem.

Zapytał jeszcze, czy trzeba załatwić jakieś zakupy lub inne sprawy; może coś w jej mieszkaniu albo w dyrekcji.

– Przynies mi trochę kwiatów – powiedziała po krótkim namyśle. – Tylko nie cały ogród botaniczny!

Siostra Felicja ostrzegawczo chrząkając zajrzała przez otwarte drzwi.

– Już idę – powiedział Rafał. – Przyjdę jutro, jak tylko będę mógł najwcześniej.

Wyszedł, zdjął szpitalny chałat, oddał go siostrze i szybko zbiegł ze schodów. Ale na ulicy zwolnił kroku; uświadomił sobie, że teraz czeka go rozmowa z matką, i przeraził się tej myśli. Chciał być sam; nie czuł się na siłach dłużej panować nad tym, co go nurtowało, co przewalało mu się w sercu i w mózgu niby rzeka roztopionego ołowiu, zastygająca raz po raz w olbrzymi, bolesny ciężar.

Zanim się zdecydował, gdzie się schronić, myśli trzymane dotąd na wodzy rzuciły się na niego jak stado czarnych drapieżnych ptaków. Uległ im i ruszył wprost przed siebie. Czyż to nie było teraz obojętne, dokąd pójdzie i co się z nim stanie?

Teresa oszukała go. Teresa! Poszarpała mu serce, gdy marzył o jej szczęściu u swego boku... Te jej cudne oczy, głębokie i świetliste jak dwa jeziora odbijające ciemny błękit nieba wśród pogodnego dnia – kłamały każdym spojrzeniem. Od jak dawna? Tylko ona mogła o tym wiedzieć!

Wierzył jej. Ufał jej ślepo. A ona... Któż mógł odgadnąć jej myśli, jej uczucia? Była skryta, nieprzenikniona. Nic o niej nie wiedział – nic! Dopiero teraz odkrył mu to przypadek: inaczej myślała, a inaczej mówiła. Żyła w swoim odrębnym świecie; choć tak blisko: tuż obok niego!

Nie mógł tego pojąć. Nie mógł zrozumieć przyczyn, dla których mogłaby go pokochać lub odepchnąć, uszczęśliwić lub zadrzeć.

Wiara w nią i w jej miłość była źródłem wszystkich jego nadziei, jego dzielności, energii, zdolności do życia, do walki. Dla niej chciał żyć; tylko dla niej i przez nią. I oto ona sama zburzyła tę wiarę... Nie, nie ona: przypadek! Zdradziła się, nie wiedząc o tym. Gdyby nie to...

Gdyby nie to – pomyślał – być może nigdy nie dostrzegłbym nawet tej cząstki prawdy. Nigdy nie stanęłaby mi w poprzek drogi do szczęścia.

Ta myśl uderzyła go. Przyszło mu do głowy, że wystarczy wyrzec się świadomości owego przypadkowego odkrycia, zapomnieć o nim, wyrzucić je z pamięci – i wszystko zostanie, jak było dawniej. Uczepił się tej wątej nadziei i szukając w niej oparcia starał się ją umocnić wbrew przeświadczeniu, że oszukuje sam siebie.

Skoro Teresa nie powiedziała mu, co ją niegdyś łączyło z Barnatem, to widocznie ta sprawa nie ma już żadnego znaczenia. Słyszał to z jej własnych ust wtedy na pokładzie „Posejdon”, gdy przyrzekła, że jesienią wezmą ślub. „Nie ma już żadnych przeszkód” – to były jej słowa. Nie pytał, jakie przeszkody istniały dotąd. Nawet nie próbował się ich domyślać. Dopiero teraz przejrzał, jakie to miało znaczenie. Lecz – tak czy owak – tamta dawna karta jej życia została zamknięta. Nową miał zapisać on, Rafał.

* * *

W ciągu dwóch następnych dni, załatwiwszy sprawy służbowe, przychodził do szpitala i spędzał przy łóżku Teresy po piętnaście minut, wytargowawszy ten czas od pielęgniarek. Starał się niczym nie zdradzić udręki, jakiej podlegał, a zarazem wysiłał się na dyplomatyczne wybiegi, za pomocą których chciał dociec całej owej prawdy.

Zauważył natychmiast, że Teresa uchyla się od rozmowy na temat ich wspólnej przyszłości lub traktuje tę sprawę jak bardzo odległy projekt, o którym nie czas jeszcze myśleć. Gdy sam o tym mówił rozwodząc się nad jakimiś szczegółami, nie przerywała mu wprawdzie, ale milczała nie patrząc na niego, jakby jej to nie dotyczyło. Czasem mogło się zdawać, że po prostu go nie słyszy. Wtedy zwracał się wprost do niej: Co o tym sądzi? Czy tak będzie dobrze?

Czekał na jej spojrzenie, ale na próżno. Przymykała powieki, jakby zmęczona i zrezygnowana. „Jak chcesz” – to była jej zwykła odpowiedź.

– A jak ty chcesz, Tereso? – pytał z uporem.

– Ja? Nie wiem... Musisz sam o tym zdecydować.

Sabina, która była świadkiem takiej rozmowy w dniu jego odjazdu i potem wyszła z nim razem, powiedziała:

– Znęćacie się nad nią. To jest okrucieństwo.

Zatrzymał się zdumiony, niemal przerażony.

– Kto się nad nią znęca? O kim pani mówi?

– Pan wie, o kim mówię – odrzekła z błyskiem w oczach. – Obaj się nad nią znęćacie. Myślicie tylko o sobie. Żadnemu z was nie przychodzi do głowy, co się dzieje w jej sercu, które sobie nawzajem wydzieracie, jakby nic nie czuło!

Zostawiła go na środku chodnika i odeszła, zanim zdołał ochłonąć po tym ciosie, który nagle zburzył wszystko, co z takim mozołem próbował odbudować z gruzów i ruin swych dawnych marzeń.

Stał tak jeszcze długo, wpatrzony przed siebie w przestrzeń, jakby spoglądał po raz pierwszy na rzeczywisty obraz tego, co dotąd ukrywała przed nim jakaś zasłona, zdarta wreszcie bezlitosną dłonią. Nie mógł się już łudzić: ostatni fragment rozpaczliwej łamigłówki, nad której ułożeniem biedził się tak długo, znalazł się na swoim miejscu; trzeba go było dopasować, odwrócić właściwą stroną. Uczyniła to Sabina i oto miał przed sobą całość; mógł się teraz przyglądać do woli „prawdzie”, której dociekał tak uporczywie.

Rozdział XXVIII

Zamknięcie i uszczelnienie pierwszej i drugiej ładowni m/s „Adlernerst” trwało znacznie dłużej niż te same roboty w tylnej części wraku. Przednie pomieszczenia były znacznie obszerniejsze, rozmieszczone na czterech poziomach, a w dodatku pomyślna pogoda zaczęła się psuć. Mijały całe dni, w ciągu których nie można było opuszczać nurków na dno z powodu wielkiej fali wznoszonej porywistym wiatrem. „Posejdon” kołysał się gwałtownie, to wspinając się na pienne grzbiety, to zapadając głęboko w bruzdy między nimi, a różnice poziomu w zanurzeniu platformy dochodziły wtedy do kilku metrów, co równało się nagłym zmianom ciśnienia o pół atmosfery lub więcej.

Nurek odbywający na platformie stację dekompresyjną w tych warunkach podlega równie nagłym, bardzo bolesnym uciskom na błonę bębenkową w uszach, a poza tym już po kilku minutach takiej huśtawki zaczyna doznawać choroby morskiej.

Usiłowali pracować mimo to, ale ich wytrzymałość też miała swoje granice.

Wreszcie jednak pogoda się ustaliła, oba przednie luki zostały zamknięte, a ich krawędzie spojone z kołnierzami stalowych pokryw, po czym znów wykonano próbę szczelności, która tym razem spełniła wszystkie nadzieje.

Napełniło ich to słuszną dumą. Nawet Czeluśniak wydawał się zadowolony.

– Nie można powiedzieć, żebyście to zrobili prędko, ale przynajmniej raz solidnie, jak się należy.

W jego ustach to zdanie brzmiało jak najwyższa pochwała. Tylko Barnat nie potrafił ocenić jej należycie.

– Wy byście to z pewnością zrobili i prędzej, i lepiej – odrzekł z przekąsem.

Ale tym razem Czeluśniak nie podjął wyzwania.

– Ja tego nie mówię – mruknął. – To nie było łatwe.

– Wyplukanie tuneli będzie jeszcze trudniejsze – wtrącił Wachel. – Inżynier mówił, że najkrótszy ma mieć osiemnaście metrów długości.

Habza lekceważąco wzruszył ramionami.

– I cóż wielkiego? Po dziewięć metrów z każdej strony! A pod „Gneisenau” nie wyplukaliśmy takich?

– Pod „Gneisenau” wyplukiwaliśmy kanały do dziur pod dnem, nie tunele na wylot pod całym kadłubem – odrzekł Wachel. – Takie tunele muszą się zetknąć pod kilem. Trzeba utrafić.

– A przy „Lechu”? Też się robiło z dwu stron i trafialiście.

– Przy „Lechu”! Przy „Lechu” najdłuższy tunel miał jedenaście metrów, a tu będzie miał dwadzieścia cztery. „Lech” leżał na głębokości osiemnastu metrów, a „Adlernest” na trzydziestu pięciu! To gruba różnica. Mam rację czy nie?

Czeluśniak nie mógł zaprzeczyć. Nikt jeszcze nie przebił tunelu długości dwudziestu czterech metrów pod dnem żadnego wraku.

– Ale inżynier z Pałamarzem kombinują jakieś specjalne urządzenia do tej roboty – powiedział.

Wachel skrzywił się pogardliwie.

– Kiedy to będzie! Na razie mamy dwu i półcalowy parciany wąż strażacki i jedną starą pompę na „Swarożycy”, a na

„Posejdonie” drugą. Tym będziecie robić?!

– Na razie tym – odrzekł Czeluśniak.

– No to skończycie na wiosnę albo i wcale nie. Tu pod piaskiem jest glina twarda jak kamień.

* * *

Pesymistyczne przewidywania Wachla zaczęły się sprawdzać tego samego dnia.

Kapitan Jakus kazał połączyć gwintowanymi mufami trzy dwudziestopięciometrowe odcinki węża, którego wylot zaopatrzony w mosiężną końcówkę opuszczono na dno. Orbach miał rozpocząć wyplukiwanie pierwszego tunelu pod rufą wraku, tuż przed ostatnią grodzią wodoszczelną u lewej burty, to jest na wprost czwartego iluminatora, licząc od strony rufy.

Dokładne oznaczenie tego miejsca i skierowanie osi tunelu prostopadle do osi statku było sprawą niezwykle ważną. Tunel musiał dojść pod prostym kątem do kilu, aby nie minąć się z kanałem drażonym z przeciwnej strony.

Tuż przed „Posejdonem” został zakotwiczony s/s „Swarożyc”, po czym drugi koniec węża przykręcono do wylotu pompy na jego pokładzie. Orbach raz jeszcze rzucił okiem na szkic burty wraku sporządzony przez naczelnego inżyniera i wszedł na platformę, która przeniosła go za reling i zanurzyła się wraz z nim przy tylnej linii zejściowej. Habza, który pełnił obowiązki jego sygnalisty, podciągnął go ku niej i wolno oddawał przewody licząc ich marki, podczas gdy „ojciec duchowny” zsuwał się w głąb.

Wyładowawszy na pokładzie „Adlernest” Orbach zasygnalizował „stop”, odnalazł czwarty iluminator, tuż nad nim uwiązał do poręczy linkę obciążoną ogniwnem starego łańcucha i opuścił ten improwizowany pion po zewnętrznej stronie burty. Potem zszedł po trapie na dno morza, podciągnął końcówkę węża do miejsca wyznaczonego pionem i ścisnąwszy ją wylotem w dół między stopami w ciężkich butach, powiedział:

– Na pokładzie! Otwórzcie kran!

Parowa pompa wodna na „Swarożycy” pracowała już połową mocy. Na znak dany przez Czeluśniaka jeden z marynarzy przestawił kran kierując strumień wody do węża. Parciany przewód, leżący dotąd płasko na pokładzie holownika i zwisający pod prostym kątem w morze, nagle się ożywił: wypełnił się, pociemniał, załśnił wilgocią, wygiął się tęgim łukiem u skraju burty i zaczął pulsować zgodnie z rytmem tłoka.

Zaraz potem dał się słyszeć podniecony głos Orbacha:

– Na pokładzie! Zamknijcie kran!

Czeluśniak powtórzył głośno: – Zamknąć kran! – i spojrzał z niepokojem na Jakusa, który już był przy telefonie. Wąż zwiądzł, spłaszczył się, zwiotczał.

– Jestem o piętnaście metrów od burty – mówił Orbach – Ten wściekły wąż wyprężył się z taką siłą i dał mi takiego kopniaka, że poleciałem jak piórko... Nie mogę go znaleźć.

Nurkowie zgromadzeni na pokładzie „Posejdona” nie mogli powstrzymać uśmiechu wyobraziwszy sobie tę scenę. Pałamarz podszedł do Jakusa, coś tłumaczył i pytał o coś półgłosem.

– Możliwe – odrzekł inżynier. – Spróbujcie. Na razie damy mniejsze ciśnienie.

– To ja bym zaraz poszedł do warsztatu – powiedział Pałamarz.

– Dobrze – zgodził się Jakus. – Idźcie.

Potem zwrócił się do Czeluśniaka:

– Trzeba którego z nurków posłać do pompy na „Swarożycu”. Niech tam dopilnuje, żeby kran otwierali ostrożnie, wolno, nie tak na hurra jak tym razem.

Wyrzucał sobie, że tego nie przewidział. Połowa mocy tej pompy dawała bądź co bądź około pięciu atmosfer ciśnienia przy całkowicie otwartym kranie.

Tyle mniej więcej daje motorowa sikawka pożarowa. Lecz na to, aby kierować strumieniem wody przy gaszeniu pożaru, trzeba co najmniej dwóch ludzi. Orbach był sam. W dodatku strumień ze strażackiej sikawki ma do pokonania tylko nieznaczny opór powietrza, podczas gdy w danym wypadku opór stawiała woda pod ciśnieniem trzech i pół atmosfery.

Tymczasem Orbach odszukał na dnie parciany przewód i jego końcówkę, dowlókl ją z powrotem pod rafę wraku i wezwawszy telefonicznie pokład powiedział:

– No, otwierajcie kran. Tylko powoli!

Na „Swarożycu” Andrysiak uruchomił rękojeść zaworu. Wąż pęczniał zwolna, pulsując wyraźnie, miarowo. Strzałka manometru wskazywała półtora, dwa, trzy, trzy i pół kilograma ciśnienia na każdy centymetr kwadratowy.

Gdy doszła do czterech i pół, Orbach zawołał:

– Dość! Tak jak teraz.

Mechanik obsługujący pompę nieco zmniejszył obroty otwierając jednocześnie kran do końca. Czeluśniak spoglądał krytycznie na pulsujący przewód. Spróbował go nadepnąć i z niezadowoleniem stwierdził, że daje się przygnieść stopą.

Orbach po godzinnej pracy ustąpił swego miejsca Habzie, którego z kolei zastąpił Jedynek. Do wieczora sześciu nurków zmieniło się przy wężu u burty wraku.

Wyniki ich pracy były znikome, choć Grabieniowi, który zszedł na dno po Jedynaku, udało się utrzymać końcówkę przy ciśnieniu pięciu atmosfer dzięki obciążeniu węża tuż poza nią pięćdziesięciokilogramowym blokiem żelaznym. W sumie w ciągu siedmiu godzin zdołano wyplukać otwór o średnicy trzy czwarte metra, głęboki na metr...

Przez następne dwa dni pogłębiali go i rozmywali, aby utworzyć pochyłe wejście do tunelu, którego sklepienie miał stanowić spód kadłuba wraku. Dopiero czwartego dnia zaczęli wdrażać się pod ten kadłub, leżąc na dnie głębokiego rowu, którego ściany z twardej niebieskawej gliny wznosiły się na cztery metry.

W miarę jak tunel się wydłużał, sięgając coraz dalej w kierunku kilu, praca stawała się coraz uciążliwsza, a zmiana nurków zajmowała coraz więcej czasu.

Każdy z nich przed rozpoczęciem roboty musiał wpełznąć w głąb ciasnego korytarza, dotrzeć do jego końca ciągnąc za sobą końcówkę węża, sprawdzić kierunek według stalowej szyny, którą ułożono na dnie tunelu prostopadle do osi statku, zameldować telefonicznie na powierzchnię o ukończeniu tych przygotowań, po czym dopiero strumień wody tryskał z przewodu i zwolna rozmywał zbitą, spoistą jak kamień glinę.

Prąd unosił ją w tył, ku wejściu do tunelu, lecz był za słaby na to, aby wynieść na zewnątrz większe okruchy i kamienie. Poza nurkiem, na jego grzbiecie, przed barkami, we wszystkich fałdach ubioru osiadał gęsty, ciężki, lepki muł, a wylot ciasnego korytarza stawał się wskutek tego osadu prawie nie do przebycia.

Po godzinie takiej pracy w zupełnej ciemności nurek jest u kresu sił. Do jego skafandra nieustannie sączy się woda przez maleńkie szczeliny zaworów, których często nie można uregulować dokładnie w pozycji leżącej. Ramiona, wysunięte w przód, omdlewają; kurcz chwyta ich zmęczone mięśnie...

Wreszcie w mikrofonie umieszczonym wewnątrz hełmu odzywa się głos kierownika robót:

– Wycofajcie się z tunelu i przygotujcie się do wynurzenia.

Aby tego dokonać, trzeba czołgać się tyłem aż do wyjścia, ponieważ tunel jest tak ciasny, że nie można się w nim obrócić. Czasem na jego dnie wyrasta wzgórek osadzającej się tam gliny, który odcina odwrót. Wtedy trzeba przesunąć końcówkę węża pod własnym ciałem albo ponad grzbietem

czy też obok siebie i skierować strumień wody w tył, aby rozmyć zator. Ale wąż pod ciśnieniem pięciu atmosfer nie da się zgiąć i odwrócić; więc – najpierw – meldunek na powierzchnię: „Zamknijcie kran”; potem – mozolne przewlekanie zwiótczonego przewodu pod brzuchem i znów telefon: „Otwórzcie kran”. Wąż tężeje, rozpręża się, a jeśli nurek nie potrafi go utrzymać własnym ciężarem, zaczyna się miotać po ścianach z gliny, co grozi podmyciem ich i zawaleniem wejścia. Czasem zdarza się, że niesposób wyjść z tego kreciego korytarza o własnych siłach, bez pomocy kolegi, który już czeka na objęcie zmiany.

Gdy w końcu nurek wyłoni się z czarnego otworu, wyłobionego w dnie morskim o cztery metry poniżej jego poziomu trzeba jeszcze raz sprawdzić położenie szyny kierunkowej i wepchnąć ją dalej pod wrak – o stopę, o pół stopy, czasem ledwie o parę cali; o tyle, o ile wydłużył się tunel.

Potem, następny nurek wpełza w ciasną gardziel i wszystko zaczyna się od nowa.

* * *

Po tygodniu zaczęto drażyć tunel od strony prawej burty wraku, uruchomiwszy na pokładzie „Posejdon” pompę ciśnieniową, która tłoczyła wodę do drugiego węża.

Tempo pracy wzrosło dzięki zastosowaniu ośmiocalowych inżektorów, które wsysały rozmytą glinę wraz z wodą u wejścia do każdego z kanałów i odrzucały ją o kilkadziesiąt metrów dalej. Zapobiegło to w znacznym stopniu tworzeniu się zatorów w tunelu.

Lecz po dwóch tygodniach od chwili gdy Michał Orbach wyznaczył miejsce rozpoczęcia robót, przodek pierwszego korytarza znajdował się jeszcze w odległości pół metra od kilu, a korytarz wypłuki wany z przeciwnej strony miał tylko cztery metry długości...

Potem dwudniowy sztorm zmusił oba statki ratownicze do schronienia się w zatoce, a gdy minął, okazało się, że tunel jest do połowy zasypany piaskiem, który się tam dostał z prądem powstałym wskutek burzy.

Wprawdzie udało się ten piasek wyciągnąć inżektorami, ale przerwa w pracy nurków trwała cztery dni. Tylko Pałamarz przez cały ten czas był czymś bardzo zajęty w warsztacie ślusarskim „Posejdon”.

To, na co patrzył w ciągu dwóch tygodni – ta żmudna dłubanina po parę stóp dziennie, wraz z niebezpieczeństwem zagrażającym nieustannie każdemu z nurków, który brał w niej udział, niecierpliwiła go w najwyższym stopniu. To było dobre jeszcze przed dwoma laty, ale nie dziś!

Na długo przed rozpoczęciem ratownictwa m/s „Adlernest”, jeszcze wtedy gdy pracował przy podnoszeniu pancernika „Gneisenau”, zastanawiali się wraz z naczelnym inżynierem nad uproszczeniem robót przy drażeniu kanałów w gruncie pod dnem wraków. Wtedy Jakus opracował ogólny projekt mechanicznej kopaczki podwodnej poruszanej prądem elektrycznym, lecz zabrakło mu czasu na rozwiązanie szczegółów jej konstrukcji. Pałamarz sam niektóre z tych szczegółów zaprojektował, ale do realizacji pomysłu było jeszcze daleko, natomiast dawne metody stosowane przy zakładaniu stropów pod mniejszymi statkami i na płytszych wodach – tu okazały się nie wystarczające.

Trzeba było zmienić je, przynajmniej doraźnie; ulepszyć ten sprzęt, jakim się posługiwali; zmniejszyć niebezpieczeństwo, skoro jeszcze nie da się go usunąć całkowicie; przyspieszyć, ułatwić pracę.

Miał kilka pomysłów w tej dziedzinie i przedstawił je Jakusowi, a uzyskawszy jego aprobatę, majstrował wraz z Cybulskim jakiś dziwny przyrząd złożony z żelaznych kozłów i długich rur o różnych średnicach, które łączyli i skręcali specjalnymi pierścieniami, dopasowując do nich coraz to inne mosiężne końcówki z różnymi kanalikami wylotowymi.

Kiedy zaczął się sztorm, Jakus zwolnił na ląd połowę ludzi, a w tej liczbie także Grabienia, który miał odwiedzić Teresę i Sabinę na wieś, do jakiegoś domu wypoczynkowego.

Barnat doznał prawdziwej ulgi po jego wyjeździe. Od dwóch tygodni prawie nie rozmawiali z sobą, jeśli nie liczyć koniecznych kilku zdań czy też słów zamienionych podczas pracy. Rafał zamknął się w sobie i mieszkając we wspólnej kajucie z Antonim zdawał się go nie dostrzegać, co podczas stałej nieobecności Pałamarza było szczególnie nużące. Barnat próbował wyjaśnić tę

napiętą sytuację, jakkolwiek nie wiedział, co zaszło pomiędzy Teresą a Rafałem w czasie jego odwiedzin w szpitalu. Domyślał się, że Rafał coś wie, ale nie mógł wywnioskować z jego postępowania, czy i co mianowicie Teresa mu powiedziała. Gdy zapytał go wprost o powód tego uporczywego milczenia i zmiany, jaka w nim nastąpiła, Rafał popatrzył na niego chmurnie i dobitnie powtórzył, że nic mu nie ma do powiedzenia.

Po dwudniowej nieobecności wrócił na statek wraz z innymi i nadal milczał pogrążony w swojej urazie, spoglądając tylko od czasu do czasu na Antoniego twardo, niechętnie, z zaciętą, chmurną twarzą i zmarszczonymi brwiami.

Pałamarz był zbyt przejęty swoją tajemniczą robotą, aby na to zwrócić baczniejszą uwagę, ale inni, a głównie Czeluśniak, zauważyli, że pomiędzy tymi dwoma ludźmi, których dotąd uważano jeśli nie za przyjaciół, to w każdym razie za bliskich sobie kolegów – zaszło coś, co ich poróżniło bardzo wyraźnie i głęboko.

Starszy nurek domyślał się prawdziwych przyczyn takiego stanu rzeczy, ale zachowywał te domysły dla siebie. Dopóki nie cierpiała na tym praca, nie widział potrzeby wtrącania się do tych konfliktów. Na razie zaś każdy z nich pracował osobno, w pojedynkę.

Co się tyczy pozostałych, to ich sympatia w większości była po stronie Grabienia. Rafał był im bliższy. Znali go lepiej i dłużej. Z początku mieli mu trochę za złe, że tak przyłgnął do tego Barnata, zamiast wejść do jednego z zespołów zetempowskich. Teraz widocznie się rozczarował. Gotowi byli przyjąć go z powrotem, dopomóc mu, poprzeć, jeśliby się do nich z czymś takim udał.

Lecz on milczał uparcie i niczego nie chciał, a przynajmniej o nic się do nich nie zwracał i na nic się nie skarżył.

To ich nie zniechęcało: twardy chłopak, ambitny. Zresztą wie, że za nim stoją; że ma tu starych, wypróbowanych przyjaciół i kolegów. Nieraz ten i ów dawał mu to do zrozumienia, on zaś dziękował im krótkim błyskiem uśmiechu, uściskiem dłoni czy też tylko spojrzeniem.

Rozdział XXIX

Pierwszą parę nurków, którzy po oczyszczeniu tunelu z piasku naniesionego tam burzą zeszli na dno, aby prowadzić dalej rozpoczętą robotę, stanowili Barnat i Grabień. Antoni pracował w krótszym korytarzu od strony prawej burty, Rafał w pobliżu kilu po lewej stronie, mając nadzieję, że w czasie zanurzenia doprowadzi tunel do połowy szerokości dna wraku, to jest pod sam kil.

W ciągu wielu poprzednich godzin tej pracy nabrał wprawy w czołganiu się na łokciach i kolanach poprzez coraz dłuższy kanał, którego wewnątrz zostało wygładzone ciałami nurków wchodzących i wychodzących, obracających się tam z boku na bok, ocierających się o śliskie ściany. Przebył w niespełna dwie minuty osiem metrów od wejścia do przodku tunelu, ciągnąc za sobą węży umocowanego do pasa; odciął nożem linkę uwiązaną do końcówki, namacał szynę kierunkową, wzdłuż niej skierował wylot mosiężnej rury i zażądał otwarcia kranu. Po chwili wąż drgnął, wyprężył się, zaczął pulsować coraz silniej. Strumień wody rwał naprzód, wgryzał się z wolna w glinę, kruszył ją, rozmywał, porywał w tył.

Grabień raz po raz podciągał się nieco naprzód, macał dłonią przed sobą, sprawdzał kierunek, wypłukiwał, poszerzał otwór. Lodowato zimna woda sączyła mu się wążutką strużką po karku, spływała kropla po kropli na obojczyk, wsiąkała w grube swetry na piersi. Ręce marzły i drętwiały.

Był zupełnie sam, czterdzieści metrów pod powierzchnią morza, zagrzebany na cztery metry pod jego dnem w ciężkiej glinie, ślepy wśród zupełnych, iście grobowych ciemności. Nie dochodził tu żaden dźwięk poza szumem powietrza w hełmie i zgłuszonym, bardziej namacalnym niż uchwytnym przez słuch bulgotaniem wody. Śliski muł, w którym grzęzną łokcie, osuwający się z prądem, dno wraku tuż nad plecami, stalowa szyna wskazująca kierunek i łatwo całym ciałem dający się wyczuć prąd gęstej, zmieszanej z gliną wody, która szoruje w tył ku wylotowi tunelu – to był świat, jaki go otaczał.

Z powierzchnią morza, z pokładem „Posejdona”, z życiem łączył go tylko gumowy przewód powietrzny i kabel telefoniczny wpleciony w linkę bezpieczeństwa. U końca tych wątych

przewodów czuwali ludzie, lecz czy zdołaliby mu w jakiś sposób dopomóc w razie nieprzewidzianego wypadku?

Starał się o tym nie myśleć. Takie myśli nie pomagają w pracy. Ale wyrobienie w sobie owej postawy, która pozwala zapomnieć o niebezpieczeństwie, o ponurym otoczeniu i wszystkich groźbach, jakie się w nim kryją – to sprawa trudna, nie zawsze osiągalna. Trzeba mieć stalową wolę i stalowe nerwy, aby móc skupić całą uwagę na pracy w tych warunkach. Trzeba mieć także absolutne zaufanie do kolegów na pokładzie, do kierownika robót, do sygnalisty i telefonisty, od których wiele zależy. Trzeba wierzyć, trzeba mieć pewność, że zrobią wszystko możliwe, by uratować nurka w każdym wypadku.

Na pokładzie wśród zupełnego milczenia oczekiwano na wiadomości i sygnały. Łagodna fala szła z zachodu przełamując raz po raz odbicie nieba, po którym płynęły białe obłoki wzdęte jak żagle całego korowodu fregat. Mewy krążyły nad obu statkami odzywając się żalonym kwileniem, opadając na wodę i z głośnym trzepotem skrzydeł podrywając się w powietrze. Sapały pompy ciśnieniowe i dygotały sprężarki powietrzne.

Od opuszczenia Barnata i Grabienia na dno upłynęło piętnaście minut. Wtem zaterkotał dzwonek telefonu.

– Na pokładzie – zgłosił się Andrysiak. – Słucham.

Jakus patrzył na niego pytająco.

– Dobrze – powiedział telefonista. – Rozumiem. Tak, dobrze. Zaraz.

Był widocznie bardzo poruszony.

– To Grabień – powiedział do Jakusa. – Mówi, że ma jakieś trudności. Żeby przysłać kogoś na pomoc. Ledwie go słysząc.

Jakus bez wahania ujął słuchawkę Barnata.

– Przerwijcie natychmiast robotę, Barnat. Słyszycie mnie?

– Słyszę – odrzekł Antoni zamykając zawór. – O co chodzi?

– Coś się stało Grabieniowi. Przejdźcie dokoła rufy. Weźcie z sobą węża. Może być potrzebny.

Prędko!

Barnat powtórzył otrzymane zlecenie.

– Już idę – dodał. – Zamknijcie kran.

Czeluśniak zawołał:

– Zamknąć kran na „Swarożycu”!

Potem spojrzął na Gerta, który trzymał przewody Antoniego i z wolna wybierał ich luz.

– Nie za prędko – mruknął.

– Ja uważam – odpowiedział chłopak.

Starszy nurek z kolei rzucił okiem na pompę ciśnieniową.

– Jakie macie obciążenie? – spytał.

– Pięć kilogramów – odrzekł mechanik.

– Może ten diabelski wąż wyrwał mu się z rąk – powiedział Czeluśniak do Jakusa.

Inżynier ujął słuchawkę Grabienia.

– Posłałem wam Barnata. Powinien tam być lada chwila. Co się wam stało?

Doszedł go słaby, zmieniony wysiłkiem głos; nie można było zrozumieć kilku pierwszych słów.

Potem:

– ...zmniejszyć ciśnienie wody do połowy. Ściany tunelu obsunęły się za mną. Przygniotło mnie aż do pasa...

Jakus zdrewniał. Jeżeli tunel zawałił się na całej długości, Grabień był zgubiony. Wypłukanie nowego korytarza do miejsca, w którym się znajdował, zajmie w najlepszym wypadku kilka dni.

– Zmniejszyć do połowy obciążenie pompy – powiedział do Czeluśniaka. – Grabień chce odwrócić końcówkę węża w tył.

Barnat meldował, że wchodzi do tunelu. Jego przewody wolno, cał po calu pełzły teraz w morze przez czujne dłonie Gerta. Po chwili zatrzymały się.

– Jak daleko wszedł? – spytał Jakus.

– Około pięciu metrów od wlotu – odrzekł Gert. – Coś, go zatrzymało.

Inżynier zacisnął szczęki. Prosty rachunek wskazywał, że ściany tunelu obsunęły się na przestrzeni dwóch metrów. To potrwa od trzech do pięciu godzin – pomyślał. Sygnał przy telefonie Barnata zadzwieczał krótko.

– Otwórzcie kran – powiedział Antoni.

W słuchawce Grabienia słyhać było jakieś szmery i przyspieszony wysiłkiem oddech.

– Halo, Grabień! – zawołał Jakus. – Słyszycie mnie?

– Słyszę – odrzekł Rafał. – Nie mogę się ruszyć. Nie mogę z tym węzem...

– Zostawcie to – powiedział inżynier. – Zamkniemy wasz kran zupełnie. Barnat jest już w tunelu i rozmywa zator. Leżcie spokojnie i nie denerwujcie się. Wyciągniemy was stamtąd. Zawaliła się tylko niewielka część korytarza. Rozumiecie mnie?

– Tak.

– Możecie oddychać swobodnie?

– Mogę. Tylko... Boję się o zawory. Żeby się nie zatkały w tej mazi...

– Właśnie dlatego zamkniemy kran. Woda się zaraz ustoi. Trzymajcie głowę jak najwyżej. I – spokojnie: wszystko będzie dobrze.

Wcale nie był tego pewien, ale chciał dodać mu odwagi.

Ten cel został przynajmniej częściowo osiągnięty. Wprowadzie Rafał ochłonał już nieco po pierwszym wstrząsie przerażenia, jakiemu uległ poczuwszy, że jakiś ciężar wali mu się na biodra i nogi, lecz wiedział, jakie śmiertelne niebezpieczeństwo grozi mu nadal.

Gdy się to stało, natychmiast w jednym krótkim przeblysku myśli zdał sobie sprawę ze swego położenia. Na chwilę obezwładniło go to całkowicie. Zawładnął nim okropny strach; strach, który nagle odebrał mu wszystkie siły fizyczne, sparaliżował jego wolę i nawet instynktowne odruchy ucieczki czy oporu. Ten strach trzymał go jak w kleszczach, nie dając dostępu ani rozpaczy, ani nadziei uniknięcia natychmiastowego ciosu, który zawisł, rzekłbyś, nad jego zdrewniałym ciałem jak potężny głaz ważący się na ostrej krawędzi, zanim runie, aby je zmiążdżyć. Dopiero po paru minutach zdobył się na próbę wezwania pomocy i usłyszawszy głos Andrysiaka doznał pewnej ulgi.

Teraz uczył się słów Jakusa: „Wszystko będzie dobrze”. Powtarzał sobie te trzy słowa, aby odgrodzić się nimi od myśli o wzburzonym, rozbełtanym gliniastym błocie, które osiadało na jego hełmie, na grzbiecie i wszędzie dokoła; które mogło przeniknąć do zaworów i zatrzymać cyrkulację powietrza. Starał się pozbyć obaw o wytrzymałość ścian kanału, które przecież mogły obsunąć się i zawalić równie dobrze nad jego głową. Starał się wierzyć w to, że zator powstał na niewielkim odcinku i że Barnat potrafi go wkrótce usunąć.

Ta ostatnia myśl pokrzepiła go najbardziej. Jego ślepa wiara we wszechmoc Antoniego, cała dawna ufność w tego człowieka odrodziły się nagle w owych strasznych chwilach, które przeżywał pogrzebany żywcem.

Nagle pomyślał o Teresie. To skojarzenie wstrząsnęło nim znowu.

Barnat miałby go uratować?

Potworne, zapierające oddech podejrzenie wdarło mu się do mózgu.

O czym świadczy śmiertelna cisza, zupełny bezruch, złowrogi, martwy, bezlitosny i obojętny spokój, które go otaczają? Czy Barnat rzeczywiście jest w tunelu? Czy chce mu dopomóc?...

* * *

Barnat nacisnął brodą kontakt telefonu.

– Halo, na pokładzie!

– Słucham – odezwał się Jakus.

– Dajcie większe ciśnienie. Takim strumieniem nie rozmyję zatoru nawet do jutra.

Inżynier spojrzął na Czeluśniaka.

– Słyszeliście?

Starszy nurek skinął głową i podszedł do burty.

– Dodajcie Barnatowi pół kilograma obciążenia na pompie ciśnieniowej! – zawołał do Maderskiego, który stał na pokładzie holownika.

Po chwili znów odezwał się sygnał telefonu.

– Jeszcze pół atmosfery! – żądał Antoni.

Wąż drgał mu w rękach, wyginał się, szarpał. Położył się na nim, owinał go nogami, wyprostował. Ale siła odrzutu wody przy sześciu atmosferach była zbyt wielka. Miotło nim, wywracało, tłukło o ciasne ściany kanału. Czuł, że na próżno traci siły: nie mógł utrzymać strumienia wody we właściwym kierunku, a skutkiem tego efekt zwiększonego ciśnienia był niewielki: ciężka masa gliny ustępowała wolno, opornie.

Po kilku minutach musiał zrezygnować z tych sześciu atmosfer.

– Nie mogę utrzymać węża – powiedział z hamowaną wściekłością. – Dajcie pięć i pół.

Jakus z niepokojem spojrział na zegarek. Od chwili uruchomienia pompy upłynęło zaledwie dziesięć minut, lecz Barnat z pewnością niewiele przesadził mówiąc, że nie zdoła rozmyć zatoru do jutra... W takim razie uratowanie Grabienia stawało się prawie niemożliwe.

Inżynier na próżno szukał jakiegoś innego sposobu ratunku.

Jeżeli ten chłopiec zginie, to będzie moja wina – pomyślał.

Wyrzucał sobie, że nie był dość przewidujący: należało się liczyć z tym, że dwudniowy sztorm może naruszyć spójność ścian tunelu. Należało opracować inną metodę drażnienia kanału; poczekać choćby do ukończenia tego przyrządu, który wymyślił Pałamarz.

Pałamarz!

Nagły błysk przemknął mu przez głowę. Pałamarz powiedział mu poprzedniego dnia, że ma już wykonany model próbny przeciwoдрzutowej końcówki do węża, która pozwoli na podniesienie ciśnienia do dziesięciu atmosfer. Pozostaje mu tylko wykończyć konstrukcję kozłów i rur, które pozwolą na kierowanie strumieniem wody pod dnem wraku ze stanowiska u wlotu korytarza.

Mniejsza o całą konstrukcję, jeśli przy użyciu tej jego końcówki rzeczywiście da się pracować strumieniem wody o podwójnej mocy! – pomyślał Jakus.

– Zmontujcie mi zaraz siedemdziesiąt pięć metrów węża – powiedział do Czeluśniaka. – Przygotujcie wszystko tak, żeby go można było przyłączyć do pompy ciśnieniowej zamiast tego, którym teraz pracuje Barnat. I czekajcie na mnie; zaraz wracam.

Zbiegł szybko do schodni maszynowni i wszedł do warsztatu mechanicznego.

– Dzień dobry – rzucił od progu. – Jest tu Pałamarz?

Ludzie pracujący przy stołach zwrócili ku niemu głowy.

– Dzień dobry, inżynierze. Ktoś zawołał:

– Hipolit!

Pałamarz pochylony nad swoją aparaturą niecierpliwie spojrział przez ramię.

– Tu jestem. Czego tam?

Zobaczył Jakusa i ruszył ku niemu.

– Jutro będziemy gotowi do próby – powiedział. – Chodźcie zobaczyć...

– Zrobimy próbę zaraz – przerwał mu Jakus. – Dawajcie tę końcówkę.

Hipolit spojrział na niego zdziwiony.

– Samą końcówkę?

– Samą. Raz-dwa!

Coś w tonie jego głosu powstrzymało Pałamarza od dalszych pytań, budząc jednocześnie zaciekawienie obecnych. Bronek Cybulski wziął ze stołu mosiężną rurę zwężoną na końcu i zaopatrzoną u nasady w krezę z czterema kanalikami o wylotach skierowanych w stronę przeciwną do kierunku strumienia wyrzucanej wody.

– Zanieść ją na górę? – spytał.

– Tak – odrzekł Jakus. – I przykręcić do węża. Tam Czeluśniak go montuje. Chodźcie.

Wyszedł pierwszy i znalazłszy się przy telefonach ujął słuchawkę Barnata.

– Przerwijcie pracę, Barnat – powiedział. – Wycofajcie się z tunelu zabierając węża. – Słyszycie mnie?

– Słyszę – odrzekł Antoni.

– Więc dobrze. Opuszczamy wam po linie zejściowej innego węża z nową końcówką. Macie ją wypróbować. Spodziewam się, że będzie można dać większe ciśnienie. Jakby było źle, zaraz zmienimy węża z powrotem.

– Rozumiem. Zamknijcie kran – powiedział Antoni.

Maderski na pokładzie „Swarożycza” zamknął dopływ wody, odkręcił mufę, założył nową – od świeżo połączonych odcinków parcianej kiszki, dociągnął kluczem gwint.

– Gotowe!

Drugi koniec węża z mosiężną rurą wylotową pomysłu Pałamarza już zjeżdżał w dół po linie zejściowej, uwiązany do niej kawałkiem rzutki z szakłą.

Barnat odebrał go na dnie, odciął rzutkę i pociągnął węża za sobą wpełzając znów do tunelu.

Gruba, ośmioletnia rura ssąca inżyniera, ułożona na dnie korytarza, pulsowała jak potężna tętnica jakiegoś potwora, porywając rozmytą glinę wraz z wodą. Tworzył się wskutek tego prąd, który utrudniał pełzanie naprzód. Ale Antoni nie chciał ani na chwilę przerywać jego działania. Ze ścian raz po raz odpadały grudy i okruchy gliny, które mogły zamknąć wejście, jeśli nie zostałyby natychmiast wessane, uniesione w tył i wyrzucone u wylotu rury o kilkadziesiąt metrów dalej.

Od czasu do czasu natrafiał na większe bryły toczące się ku wejściu i musiał przeciskać się obok nich, walcząc z nimi o miejsce. Czasem spadały mu na plecy i wówczas przez mgnienie oka uświadamiał sobie, co mu grozi, jeśli osłabiona, krusząca się warstwa sklepienia zawali się przygwałdzając go pośrodku tunelu. Doznawał w takich chwilach gwałtownego skurczu gardła, a jego mięśnie słabły jak dotknięte paralizem. Lecz natychmiast pokonywał te odruchy instynktu.

– Naprzód! Naprzód!

Zabraniał sobie myśleć o czymkolwiek; śpieszył się; o kilka metrów przed nim był taki właśnie zator, który pogrzebał Rafała. Musiał tam jak najprędzej dotrzeć.

Na pokładzie „Posejdon” trwało pełne niepokoju milczenie. Ludzie stali nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w spłaszczoną parcianą kiszkę, która wolno zsuwała się za burty „Swarożycza”, w miarę jak Barnat pociągał ją za sobą w głąb tunelu, czterdzieści metrów pod wodą. Pałamarz przeprawił się na holownik i klęczał u zaworu pompy, aby go otworzyć na pierwsze wezwanie. Kapitan Jakus przy mikrofonach Barnata i Grabienia czekał na sygnał, nasłuchując stłumionych odgłosów, z których na próżno starał się wywnioskować, co się dzieje w tej czarnej głębi, gdzie biją dwa ludzkie serca.

Cybulski i trzech chłopcy z jego brygady młodzieżowej, szczególnie przejęci zarówno wypadkiem, jak i próbą użycia dopiero co wykonanego przez nich modelu – próbą, która miała zadecydować o uratowaniu życia Rafała Grabienia – skupili się przy samej burcie, aby móc stąd obserwować pracę pompy na holowniku.

Oba statki dzieliła niewielka, zaledwie kilkumetrowa przestrzeń wody. Dwie boje od lin zejściowych, nie używanych w tym czasie, kołysały się pośrodku, a u trupu „Swarożycza” mała łódź wiosłowa dryfowała z wiatrem obracając się powoli rufą, aż stanęła równolegle ze statkiem przytrzymana krótkim falaniem u stopni.

Wtem odezwał się sygnał telefoniczny. Barnat meldował, że znów jest przy zatorze.

– Otwórzcie kran!

– Otwórzcie kran, Pałamarz! – powtórzył Czeluśniak donośnym głosem.

Hipolit wolno, z czuciem przestawiał rękojeść zaworu, patrząc na manometr. Przez spłaszczoną kiszkę przebiegł dreszcz; jej przewód wypełnił się wodą i zaczął pulsować. Strzałka manometru podskakiwała coraz wyżej: dwa, trzy, cztery kilogramy ciśnienia na centymetr kwadratowy.

Wąż uniósł się nieco nad wodą, jego prostopadły zwis poza krawędzią burty wygiął się w dziewięćdziesięciostopniowy łuk.

Pięć kilogramów. Pięć i pół...

Zawór został całkowicie otwarty. Pompa pracowała połową mocy.

Sygnał telefonu Barnata zadźwięczał znowu.

– Więcej ciśnienia na węża!

Maderski zwiększył obroty pompy i ciśnienie wzrosło do sześciu atmosfer.

Lecz w pół minuty potem Barnat zażądał:

– Więcej ciśnienia! Śmiało!

Pałamarzowi błysnęły oczy.

– Daj mu osiem atmosfer – powiedział do Maderskiego.

Zaledwie strzałka osiągnęła tę cyfrę, nowy sygnał i głos Barnata, tym razem jakby jaśniejszy, bardziej dźwięczny pomimo tak głębokiego zanurzenia:

– Na pokładzie! Dajcie wszystko, co pompa wytrzyma! Maderski spojrzał na Pałamarza i spotkał jego pałający wzrok.

– Dać? – spytał niepewnie.

Hipolit nie mógł wykrztusić ani słowa. Skinął tylko głową. Zwykle zaczerwieniony koniec jego nosa przybrał ciemną, karmazynową barwę.

Ludzie poruszyli się, zaczęli mówić wszyscy na raz. Wąż już nie tętnił: drżał. Wynurzał się z wody szerokim łukiem o wzrastającym promieniu i tężał, sztywniał jak stalowa rura.

Dziewięć atmosfer, dziesięć, dziesięć i pół! Strzałka manometru doszła do czerwonej kreski.

Głos Barnata odezwał się w mikrofonie:

– Dajcie no więcej ciśnienia!

Czeluśniak zawołał z pokładu „Posejdona”:

– Jakie obciążenie?

– Maksymalne! – odrzekł Maderski. – Dziesięć i pół kilograma.

Starszy nurek rozmawiał przez chwilę z Jakusem, który następnie wywołał Barnata.

– Jak wam idzie?

– Dobrze – odrzekł Antoni. – Nawet bardzo dobrze. Posunąłem się chyba więcej niż o metr. Ten cholerny wąż uspokoił się jak zaczarowany. Możecie zwiększyć ciśnienie do maksimum.

– Już jest maksimum – powiedział Jakus. – Ale spróbujemy.

Pałamarz przykręcił o dwa obroty śrubę zaworu bezpieczeństwa. Pompa dygotała, trzęsła, rzęziła. Maderski z niepokojem patrzył na manometr: jedenaście, dwanaście, trzynaście, trzynaście i pół...

– Rozwali ją – mruknął.

Ale Barnat żądał jeszcze więcej.

Tym razem jednak Jakus oparł się temu stanowczo.

– Musicie się zadowolić tym, co wam dajemy. Jeszcze kilkadziesiąt gramów i pompę diabli wezmą. I tak ledwie wytrzyma. I tak ledwie wytrzyma.

To było aż nadto widoczne. Wściekłe tętno tłoków, drgania budzące dreszcz w stalowych dźwigarach pokładu, wysoki, piskliwy jazgot pary, strzelający nieustannie krótkimi wybuchami przez zawór bezpieczeństwa, zdawały się ostrzegać czy nawet grozić: kres wytrzymałości jest tuż, blisko!

Maderski i mechanik z holownika instynktownie cofnęli się nieco. Zdawało się, że krępe czarne cylindry lada chwila pękną rozsądzone potężnym ciśnieniem lub że oszalałe tłoki wyskoczą z nich jak dwa pociski, rozwalając grube ściany głowic.

Tylko Pałamarz klęczał nadal przy pompie, wzruszony, zasłuchany w ów piekielny warkot, który dla niego był tryumfalną fanfara, wpatrzony w drgającą panicznie strzałkę manometru, która wskazywała już nie tylko obciążenie maszyny, lecz także jego zwycięstwo. Upajał się nim, milcząc jak zawsze, z twarzą na pozór obojętną i spokojną, pociągając nosem, który z wolna powracał do swego zwykłego zabarwienia.

Upłynęło pięć minut, dziesięć...

Wtem zgłosił się Grabień.

– Czuję gwałtowny prąd dokoła nóg. Spycha mnie naprzód.

– Zmniejszyć obciążenie do sześciu kilogramów! – zawołał Jakus. – Powiedzcie Pałamarzowi!

Hipolit cofnął korbę regulatora. Strzałka na manometrze skoczyła w tył, zatrzymała się na czerwonej kresce, opadła niżej.

Naczelny inżynier rozmawiał z Barnatem.

– Jesteście tuż za Grabieniem. Starajcie się namacać jego nogi.

– Aha! Mam jeden jego but! – zawołał Antoni. – Zaraz go tu wypłuczę całego.

Lecz Grabień był już wolny i energicznie protestował przeciw gwałtownemu natryskowi, który przyparł go z całą siłą do przedniej ściany.

Barnat ze zdziwieniem stwierdził, że wąż, twardy dotąd jak żelazo, nagle zwiotczał. Zanim zdążył nacisnąć kontakt telefonu, aby o tym zameldować na pokład, usłyszał głos inżyniera:

– Zamknęliśmy kran. Grabień jest już wolny. Wycofajcie się obaj z tunelu.

– Aha – mruknął Antoni, jak gdyby zaskoczony tą wiadomością. Zaczął się cofać, lecz wtem coś sobie przypomniał.

– Inżynierze!

Jakus był przy telefonie.

– Słucham.

– Kto tego węża tak wziął za pysk? Hipolit?

Naczelnny inżynier uśmiechnął się.

– Tak, Hipolit. Bo co?

– Jak długo ja z tą bestią tu rozrabiałem? – badał dalej Barnat.

– Z nową końcówką niecałe piętnaście minut.

– A ile jestem pod wodą?

– Pięćdziesiąt pięć. Zaraz wam opuścimy platformę. Jak się czujecie?

– Ja? Doskonale, tylko...

– No?

– Inżynierze, dajcie mi choć kwadrans! Choć dziesięć minut! Chciałbym spróbować, jak ten smok daje radę świeżej ścianie.

Jakus zawahał się. Postanowił przerwać pracę w tunelu do czasu wykończenia urządzeń, które pozwolą na jej dalsze prowadzenie ze stanowisk u wejścia do kanału, przy burcie wraku, bez narażania ludzi. Lecz tak czy inaczej trzeba było przedtem przekonać się, z jaką szybkością można będzie rozmywać twardą, nie naruszoną jeszcze glinę w przodku korytarza przy użyciu nowej końcówki węża. Tunel u prawej burty prawie nie ucierpiał podczas trwania sztormu; widocznie prąd, który osłabił ściany lewoburtowego odcinka, nie docierał tam wcale. Zważywszy to wszystko i upewniwszy się, że Grabień posuwa się tuż za Barnatem o własnych siłach, naczelnny inżynier zgodził się.

– Nie dłużej niż kwadrans – powiedział jeszcze. – I macie zmierzyć, ile przez ten czas wypłuczecie.

Barnat był już u wylotu kanału. Uregulował zawór powietrzny w hełmie i wstał. Nogi miał zdrętwiałe, sztywne jak kłody; nasiąknięte wodą swetry kleiły mu się do ramion i piersi. Sklarował swoje przewody, sprawdził, czy nie krzyżują się z przewodami Rafała, i ciągnąc za sobą węża ruszył pod górę stromym korytarzem wejściowym.

Wydostawszy się na poziom dna morza zasygnalizował linką: „Wybrać luz” i obszedłszy dokoła rufę wraku piętrzącą się wysoko niby skalne urwisko, znalazł się u prawej burty.

Tu zejście do tunelu było mniej strome. Za to sam tunel opadał w dół, zgodnie z przechyłem statku. Łatwiej tam było wejść niż wycofać się z ciasnego kanału.

Trzeba go będzie wypłukać tak, żeby biegł poziomo – pomyślał Antoni wpełzając do czarnego otworu. – Teraz to pójdzie prędko. Hipolit pokazał, co umie. Gdyby nie ta jego przeciwozdrutowa końcówka, Rafał zapewne nie wyszedłby stamtąd żywy...

Ostatnia refleksja uprzytomniła mu dopiero co przeżyte krótkie chwile grozy, podczas których czuł bliskość straszliwej śmierci przyczajonej nad nim u sklepienia tamtego tunelu.

Uśmiechnął się na pół ironicznie.

I to wszystko w tym celu, żeby uratować Grabienia! Albo może dlatego, żeby oszczędzić nowego wstrząsu Teresie!

Nagle przyszły mu na myśl słowa Sabiny Jakusowej. Mówiła wtedy, że się zmienił, że zaczął się liczyć z uczuciami innych, nie tylko z własnymi namiętnościami... Nie zwrócił wówczas uwagi na to jej zdanie. Teraz zaczął podejrzewać, że kryje się w nim przynajmniej część prawdy.

Sabina powiedziała jeszcze, że dokonał wyboru; że nie wróci „na tamtą stronę barykady”, do „tamtych” ludzi. I znów miała rację!

Zastanowił się, co by też powiedzieli „tamci ludzie” na to, że wyniósłszy cało głowę z niebezpieczeństwa i ocaliwszy życie człowiekowi, któremu według ich mniemania z pewnością powinien był życzyć śmierci – naprasza się, by mu pozwolono na dodatek raz jeszcze wleźć do tej kreciej nory jedynie z chęci wypróbowania ulepszonych narzędzi pracy.

Roześmiał się głośno. Gdyby mu kilka lat temu ktoś powiedział, że dziś tak właśnie postąpi, że uczyni to nie dla popisania się odwagą, nie aby zadowolić własną próżność, lecz tylko z myślą o jak najlepszym wykorzystaniu czasu i może także ze szczerego zainteresowania, z koleżeńskiej życzliwości dla niejakiego Hipolita Pałamarza – wzruszyłby ramionami.

Uświadomiwszy to sobie, poczuł – nie po raz pierwszy zresztą – wyraźną niechęć, może nawet pogardę dla tamtego Barnata; dla człowieka, którym być już przestał; którego cień pozostawiony u początku nowej drogi zaczął już blednąć i znikać.

Wśród gęstej, nieprzeniknionej, czarnej jak sadza ciemności natknął się na ślepa ścianę tunelu.

– Aha – mruknął półgłosem. – I tędy przebijemy drogę. Nacisnął kontakt telefonu.

– Na pokładzie! Otwórzcie kran! – zawołał głośno.

Dwudziestego czwartego sierpnia pierwszy tunel pod dnem m/s „Adlernes” został wreszcie przebity. Dokonał tego Pałamarz za pomocą urządzenia, nad którego skonstruowaniem pracował od chwili, gdy Orbach zaczął wypłukiwać pierwszy otwór wejściowy. Trwało to dokładnie osiemnaście dni...

Pomysł racjonalizatorski był w zasadzie prosty. Pałamarz doszedł do wniosku, że zamiast drążyć tunel o takiej średnicy, aby mógł się w nim pomieścić nurek z węzem, wystarczy wstawić pomiędzy wylot węża a jego mosiężną końcówkę długą rurę stalową, którą będzie można wpychać coraz dalej pod dno 'wraku w miarę rozplukiwania gruntu. Gdy kanał przebijany w taki sposób osiągnie długość równą długości pierwszego odcinka rury, przykręca się do niej następny odcinek i tak dalej, póki końcówka wyrzucająca strumień wody nie przebije się pod wrakiem na drugą stronę.

Trudność zastosowania takiej metody w praktyce sprowadzała się do manewrowania przewodem z rur stalowych o średnicy dwu i pół cala i długości dwudziestu czterech metrów, którego ciężar wynosił ogółem ponad sto pięćdziesiąt kilogramów.

Osobne zagadnienie stanowiło poza tym przewleczenie liny przez tunel. Nie chodzi bowiem tylko o przebicie na wylot otworu pod dnem statku. Ten otwór potrzebny jest po to, aby przewlec tamtędy linę i przeciągnąć za nią strop, który ma posłużyć do utrzymania pontonu u burty podnoszonego wraku. Lecz średnica tunelu wypłukanego takim sposobem jest tak mała, że nurek nie mógłby się tam dostać i przepelznąć z liną na drugą stronę.

Pałamarz z góry przewidział te i inne, drobniejsze trudności. Wcale go to nie zniechęciło. Jego zdaniem, rzeczy i martwe przedmioty – podobnie jak ludzie – mają zawsze jakąś słabą stronę, jakieś swoiste cechy, które trzeba tylko dostrzec i uchwycić, aby nad nimi zapanować. On sam w stosunku do narzędzi technicznych kierował się prawami fizyki i mechaniki, właściwościami materiałów, z jakich powstały, stopniem ich wytrzymałości na zginanie lub rozrywanie, ciężarem właściwym, nawet wadami konstrukcyjnymi.

Tak na przykład wykorzystał do konstrukcji swojej końcówki gwałtowny odrzut strumienia wody. Zamiast puścić wprost przez wylot rury cały strumień, część jego skierował w tył kanalikami u nasady. Tym sposobem uzyskał stateczność węża – wyzyskując jedynie główną jej przeszkodę: ów gwałtowny odrzut, który nie pozwalał dotąd na użycie całkowitej wydajności pompy.

Wielki ciężar przewodu wcale go nie przerażał. Nie wahał się go powiększyć jeszcze przez dodatkowe usztywnienie złączy poszczególnych odcinków rur. Chodziło mu tylko o to, aby całość nie wyginała się podczas pracy; aby kierunek złobionego kanału był prostopadły do osi podłużnej statku i aby biegł poziomo pod jego dnem.

Do posuwania przewodu w przód nie zamierzał używać siły mięśni. Tę pracę miały wykonać windy „Posejdona” za pośrednictwem lin i bloków krążkowych umocowanych do burty wraku.

Wreszcie sprawę przewleczenia liny pod dnem statku rozwiązał w ten sposób, że przytwierdził pierścieniem zaciskowym koniec cienkiej stalówki do pierwszego odcinka przewodu. Ta stalówka musiała znaleźć się u wylotu tunelu jednocześnie z jego przebicciem.

Na naradzie roboczej wyjaśniał to wszystko z miną skazańca, który myśli o czekającej go egzekucji, a potem, uśmiechnąwszy się jak zmartwiony kościotrup w odpowiedzi na głośnie owacje kolegów, oświadczył skromnie, że bardzo się cieszy wraz z nimi z pomyślnego wyniku swoich „drobnych ulepszeń”.

W ciągu kilku najbliższych dni można było te „drobne ulepszenia” należycie ocenić: drugi tunel pod rufą został przebity w dwanaście godzin; trzeci i czwarty – pod trzecią ładownią – w dwadzieścia godzin; piąty i szósty – pod maszynownią – w szesnaście.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia przeciągnięto pod dnem wraku sześć stropów z podwójnej dziewięciocalowej liny stalowej i umocowano ich końcowe pętle u burty na pokładzie. Tegoż dnia

przyholowano ze Szczecina i zakotwiczone w zatoce za osłoną Helu sześć pontonów po pięćset ton wyporności każdy. Cztery pozostałe pontony miały przybyć pierwszego września.

– Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, w przyszłym tygodniu „Adlerness” wypłynie na powierzchnię
– powiedział Jakus zacierając ręce.

* * *

Grabień w liście do Teresy pisał:

*Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, w przyszłym tygodniu podniesiemy m/s „Adlerness”.
Przypuszczam, że odizolujemy go do Helsingør na główny remont kadłuba i wrócimy stamtąd
w drugiej połowie września. Wtedy dostanę dłuższy urlop i – jeżeli się zgadzasz – weźmiemy
wreszcie ślub.*

Barnat wszedł do kajuty.

– Zbiera się na burzę – mruknął i zabrał się do porządkowania swojej szafki na ubranie i bieliznę.

Pałamarz opuścił na kolana radziecki miesięcznik techniczny, który otrzymał w południe wraz z pocztą.

– Nurkowie radzieccy przystąpili do podnoszenia wraku trawlera, który zatonął na Morzu Barentsa niedaleko Wyspy Kałgujewa – powiedział. – Leży na głębokości sześćdziesięciu metrów.

Barnat spojrział na niego przez ramię.

– Teraz go będą podnosić?

– Właśnie – odrzekł Pałamarz. – Tam się niedługo zacznie noc polarna. Zima.

– I sześćdziesiąt metrów! Dziękuję.

– Proszę bardzo, nie ma za co – bąknął Hipolit.

– Ja też nie tobie dziękuję – uśmiechnął się Barnat. – Dziękuję za takie zajęcie. Nie chciałbym tam skostnieć przy tym ich trawlerze.

– Ale to ciekawe – westchnął Pałamarz.

– Ciekawe – zgodził się Antoni. – Tylko zimno.

Umilkli. Hipolit znów pograżył się w lekturze. Barnat opróżniał półki układając ich zawartość na koi. Rafał przerwał pisanie, odwrócił papier, przebiegł wzrokiem list od pierwszej strony i zatrzymał się dłużej w połowie.

Nie wiem, co mam o nim myśleć. Przecież uratował mi życie narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, z którego dokładnie zdawał sobie sprawę. To wymagało z pewnością większego męstwa niż walka z wrogiem na polu bitwy, kiedy człowieka podtrzymuje na duchu obecność towarzyszy. A potem, odgrzebawszy mnie spod zwalów gliny i wyszedłszy z tej ohydnej nory, która mogła stać się naszym wspólnym grobem czterdzieści metrów pod wodą, wrócił do niej z przeciwnej strony, aby nie zmarnować kilku minut, jakie mu zostały do wynurzenia.

Pewnie zastąpił sobie dawniej na przezwisko „Szaleniec”, ale jak nazwać go dzisiaj?

Nie zdobyłem się na to, żeby mu podziękować. Zresztą, kiedy wyszedłem z tunelu, już go nie było. A potem... Podnosili każdego z nas oddzielnie i zobaczyłem go dopiero w dwie godziny później na pokładzie. Nie umiałbym już znaleźć takich słów, żeby mu wyrazić to, co czułem wtedy pod dnem wraku, gdy on walczył o moje życie, bo twój list, który przeczytałem, jak tylko sięgnęli ze mnie skafander, potwierdził moje domysły: wiedziałem już z całą pewnością, że się nie mylę.

Nie myśl, Tereso, że jestem zazdrosny o to, co Cię niegdyś łączyło z Antonim. Przebolełem i przemyślałem tę sprawę w ciągu wielu bezsennych nocy. Wydaje mi się, że i Ty zamknęłaś ją za sobą. Czy tak jest istotnie? Czy ten Twój list jest przypięciem zamkniętych drzwi, czy znów je uchyla? Nie wiem. Nie umiem Cię przeniknąć.

Nie potrafię także przeniknąć Antoniego. Czasem wydaje mi się, że powinienem zawierzyć jego przyjaźni; że mógłbym mu zaufać jak sobie samemu. Czasem znów myślę, że żadna przyjaźń, żaden dług wdzięczności nie zdoła zapętnić przepaści, jaka dzieli mnie od niego.

Przeciwnie: to, co dla mnie uczynił, pogłębia tę przepaść, bo nic mu nie mogę dać w zamian, póki nie wiem, póki nie jestem pewien, że nie pragnie mi wykraść Ciebie.

Podejrzewam go o to. Jego spokój, pewność siebie, szczególna cierpliwość i wyrozumiałość, z jaką traktuje moje napady niechęci do niego – wszystko to zdaje się świadczyć, że już z góry uważa ranie za pokonanego; że coś knuje – jakiś przebiegły podstęp, jakąś zdradę, która mi wydrze Ciebie.

Te myśli przepalają mi mózg, prześladowają mnie w snach, dręczą mnie na jawie. Potem to wszystko mija na jakiś czas. Dziwię się sam – i Ty zapewne będziesz się dziwiła przeczytawszy te słowa – dlaczego podlegam takim chorobliwym przywidzeniom. Lecz cóż z tego? Wiem, że nie zdołam obronić się przed nimi i z upragnieniem czekam na chwilę, w której się pobierzemy.

Doczytał do miejsca, w którym przerwał, i szybko pisał dalej:

Chciałbym, żebyśmy się zaraz potem przenieśli do Szczecina. Dyrektor Zięborak obiecał, że mi to ułatwi, a mama zgadza się sprzedać nasz domek w Gdyni, aby tam kupić

trochę większy. Pomyśl, będziemy mieli własne gospodarstwo, ogród, kwiaty, wygodne mieszkanie! Będziemy szczęśliwi, Tereso. Napisz prędko, czy się zgadzasz.

Na zawsze twój Rafał.

Skończywszy doznał niewypowiedzianej ulgi. Ogarnął go jakiś pogodny nastrój, jakby po złożeniu wielkiego ciężaru, który dźwigał od dawna, nie wiedząc dokąd.

Wsunął list do koperty, zakleił i z wrodzoną żywością ruchów zerwał się z krzesła potracając Barnata, który przechodził między stołem a szafką niosąc cały stos bielizny. Jakieś pudełko z drobiazgami, umieszczone na wierzchu tej piramidy, ześliznęło się na podłogę wysypując po drodze swoją zawartość.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Rafał, zmieszany i zawstydzony, impulsywnie chwycił Antoniego za ramię.

– Ja to zaraz pobieram. Przepraszam cię. Stłukłem ci coś... Pochylili się obaj równocześnie, tak że ich głowy niemal zetknęły się z sobą, i obaj sięgnęli po ramkę, z której wypadła rozbita szybka. Rafał podniósł ją i mimo woli spojrzął na fotografię.

Teresa!

Jej wspaniałe oczy, rozkochane, prześwieczone szczęściem, patrzyły z uśmiechniętej twarzy. Takiego wyrazu jeszcze nie widział ani w jej rysach, ani w tych ciemnoniebieskich, wielkich oczach. Zanim Antoni zdążył wyrwać mu ramkę z kurczowo zaciśniętej dłoni, przeczytał krótką dedykację: „Na zawsze twoja Teresa”.

Zaśmiał się dziko. Ten śmiech wyrwał mu się z gardła jak gdyby wbrew jego woli. Jakby się przebił przez gorycz i pogardę, które czuł dla samego siebie w tej chwili. Sam przed chwilą użył tych słów pisząc do niej: „Na zawsze twój Rafał”.

Podniósł wzrok i spotkał gniewne spojrzenie Barnata. Stali naprzeciw siebie, obaj bladzi, ze zmarszczonymi brwiami, gotowi chwycić się wzajem za gardła.

– Ty fałszywy psie! – wyrzucił z siebie Rafał.

Barnatowi krew zakipiała w żyłach, lecz pohamował się nadludzkim niemal wysiłkiem woli.

Pałamarz, nie rozumiejąc, o co chodzi, wstał i podszedłszy bliżej przyglądał im się zdumiony.

– Czyście powariowali? Co się stało?

Rafał spojrzął na niego nieprzytomnie, nagle odwrócił się i wypadł z kajuty trzasnąwszy drzwiami. Antoni stał w miejscu, dysząc ciężko.

– Co się stało? – powtórzył Hipolit. Barnat bezradnym ruchem rozłożył ręce.

– Stało się to, co się musiało stać prędzej czy później – odrzekł.

Przyklękł i zaczął zbierać rozsypaną na podłodze bieliznę. Pałamarz machinalnie poszedł za jego przykładem. Wtem Antoni wyprostował się.

– Muszę się z nim rozmówić wreszcie – powiedział na pół do siebie i zostawiwszy Pałamarza wśród swoich koszul i ręczników, wyszedł na pokład.

Hipolit patrzył za nim pociągając nosem. Pomyślał ze zwykłą flegmą, że rozwiązanie zagadki, jaką wydawał mu się wzajemny stosunek tych dwóch ludzi, jest znacznie trudniejszy niż wynalezienie nowej metody drażenia tuneli pod wrakiem.

Bez pośpiechu pobierał wszystko, co jeszcze pozostało, i ułożył na stole. Dopiero potem wziął do ręki fotografię w stłuczonej ramce.

– Rachwałówna – powiedział półgłosem, trochę zaskoczony.

Przeczytał podpis.

– Aha – mruknął. – Więc to jest ten problem: dwa równania z jedną niewiadomą.

* * *

Wielka, ciężka chmura, jednolicie czarna, jak odlana z olbrzymiej masy ołowiu, wisiała tuż nad morzem zasłaniając trzy czwarte nieba i gasząc coraz dalsze gwiazdy na wschodzie. Zupełna cisza, głucha i groźna, kryjąca w sobie coś okrutnego – jakiś potworny zamysł dzikiej napaści na uspiońy brzeg – zaległa dokoła obu statków. Białe światło kotwiczne „Swarożycza” tkwiło nieruchomo w ciemnościach, które gęstniały z każdą chwilą.

Barnat wyszedłszy na pokład zatrzymał się tuż za progiem. Nie widział absolutnie nic. Równie dobrze mógłby tu szukać Rafała zamknąwszy oczy.

Wtem szybki, nie wiadomo gdzie powstały, tajemniczy błysk odbił się na wodzie. W ułamku sekundy powierzchnia morza mignęła srebrem, a na jej tle zarysował się czarny pokład, niska bariera nadburcia, poprzez którą grube manilowe liny zbiegały skośnie ku bojom kotwicznym, tylny maszt wśród promieniście rozszczepionych want i sztagów, czarne, masywne windy i wzniesiona rufa z niskimi nadbudówkami. Szczupła sylwetka ludzka, równie czarna jak otaczające ją przedmioty, tkwiła u burty w pobliżu pierwszej cumy. Zresztą pokład wydawał się zupełnie bezludny, jakby nadciągająca groza wypłoszyła z niego całą nocną wachtę.

Lecz ów krótki błysk wystarczył Barnatowi na rozpoznanie postaci Grabienia.

Antoni ruszył ku niemu, a jednocześnie głęboko – rzekłbyś, w głębi piersi chmury – rozległ się przeciągły łoskot pierwszego grzmotu.

Gdy przebrzmiał, Antoni przemówił kładąc rękę na ramieniu Rafała:

– Chciałbym z tobą pogadać rozsądnie.

Grabień nie poruszył się wcale. Barnat oparł się łokciami o poręcz obok niego.

– Ani ty, ani ja nic na to nie możemy poradzić – mówił dalej. – Ale możesz mnie wysłuchać i zrozumieć, tak jak ja rozumiem ciebie. Masz słowo Teresy; i ja miałem je niegdyś. Gdyby nie ty, dziś Teresa byłaby moją żoną.

– Gdyby nie ja?! – Rafał wyprostował się nagle. – Gdyby nie ja, może by już nie było Teresy.

Barnat milczał. Nowa błyskawica – tym razem bliższa i trwająca dłużej – zapaliła chmurę nad ich głowami. Dreszcz przebiegł po morzu, które zmarszczyło się drobną falą. Czarny ołów zakotłował się w górze wolno i ciężko, jakby potężna jego masa przewaliła się z boku na bok. Cisza trwała jeszcze przez chwilę, aż głos gromu odezwał się w niej dobitnym, drgającym łoskotem, przerywanym gwałtownymi wybuchami suchych trzasków.

Gdy zamarł, Barnat powiedział:

– Wróciłem po nią z daleka. Z bardzo daleka. I zastałem ciebie. Zdawało mi się wtedy – to było na ulicy; w tłumie ludzi; ani tobie, ani jej nie przeszło przez myśl, że na was patrzę – zdawało mi się, że serce roztrzaska mi żebra albo wyskoczy przez gardło. Naturalnie nic podobnego nie nastąpiło – wtrącił z odcieniem ironii. – Mówiłem z nią potem o tobie. Nie chciała, żebyś wiedział o tym, co przeszło, co minęło, więc milczałem.

Grabień zaśmiał się pogardliwie. Chciał coś odpowiedzieć, ale Barnat powstrzymał go:

– Czekaj. Nie zdradziłem cię ani razu, nie zawiodłem cię, choć miałem do tego okazję – sam to musisz przyznać! Nie myśl, że się upominam o twoją wdzięczność; zrobiłbym to samo dla każdego z kolegów. Jeżeli dotąd nie mówiłem z tobą o Teresie, to nie dlatego, żebym chciał cię podejść, zrozumże mnie! To nie była moja tajemnica, tylko jej. Dopóki ci sama o tym nie powiedziała, milczałem; ale to nie było ani łatwe, ani przyjemne, możesz mi wierzyć.

Wyrzucał z siebie zdania jak kamienie, które ugniatały mu serce, a złowrogi, coraz bliższy łomot grzmotów, grzechot i trzask piorunów zdawały się podkreślać jego słowa. Błyskawice szarpały mrok białymi zębami; morze rozkołysane już tchnieniem zbliżającego się sztormu, holownik stojący na kotwicy o dwieście metrów dalej po nawietrznej stronie wraku, daleki brzeg, o którego istnieniu można było zwątpić wśród nieprzeniknionych ciemności – ukazywały się raz po raz w oślepiającym blasku niby upiorne zjawy powstałe z czerni i fosforyzującego światła.

– Po co mi to wszystko mówisz? – spytał Grabień. – Czego się spodziewasz? Że ja wyrzeknę się Teresy? Dla ciebie?! Nie licz na to. Prędzej wyrzekłbym się wzroku; prędzej pozwoliłbym wytoczyć sobie z żył wszystką krew.

– Nie – odrzekł Antoni. – Nie liczę na to, że dobrowolnie wyrzekniesz się Teresy; masz przecież przynajmniej jej słowo i to, zdaje się, wystarcza ci w zupełności.

– Wystarcza. I tobie też niech wystarczy. Nie mamy o czym gadać!

Bliski, nie zapowiedziany toczącym się gromem piorun uderzył nagle jak strzał armatni, po czym rozsypał się echem odbitym przez brzegi chmury. Coraz wyższa fala wznosiła się pod statkiem, który kładł się na burty i wstawał chlaszcząc cumami poluzowanymi jeszcze przed wieczorem w przewidywaniu pogorszenia się pogody.

Grabień pogrążony w zamęcie sprzecznych myśli, które szarpały jego sercem, niemal zapomniał o obecności Barnata. Drgnął usłyszawszy jego niski głos tuż obok.

– Niech i tak będzie.

Poczuł jego dłoń na swoim ramieniu i krótki, mocny uścisk tej dłoni. Nagłe wzruszenie chwyciło go za gardło. Odruchowo zwrócił się w jego stronę.

Ale Antoniego już nie było: odszedł równie szybko i niespodzianie, jak się tu zjawił.

Rafał odwrócił się tyłem do poręczy, usiłując przebić wzrokiem ciemności na pokładzie. Ktoś jednak stał pod ścianą nadbudówki.

To nie on – pomyślał.

Wydało mu się, że poznaje nieco przygarbioną sylwetkę Wachla. Wcale nie pragnął w tej chwili się z nim spotkać. Ani z kimkolwiek innym. Chciał być sam. Wolno poszedł wzdłuż burty i namacawszy nogą stopnie trapu wspiał się na wyższy pokład na dziobie. Stał przy manilowej cumie od boi na wprost niewidocznej rufy „Swarożyca” i patrzył na jego kotwiczną latarnię, kołyszącą się w czarnym mroku.

Wtem poczuł na twarzy lekki wilgotny powiew. Coś się tam zaczynało dziać w oddali; burza, która dotąd tkwiła w miejscu ciskając tylko groźby piorunów niespokojnemu morzu, zdawała się gotować do pierwszego ciosu.

Tęgi zryw zimnego wiatru przeleciał wprost od zachodu pędząc przed sobą białe smugi piany. Za nim szedł jakiś szum jak głośny, coraz wyraźniejszy szept wielkiego tłumu. Zbliżał się coraz prędzej, pędził, rwał cwałem, rósł w zgiełk i bełkot, aż wypełnił sobą przestrzeń. Gęsta, szara zasłona jak matowa szyba przyćmiła światło kotwiczne holownika i z impetem wpadła na pokład „Posejdon”. Po deskach, po żelaznych rusztach ścieków, po szybach i ścianach nadbudówek wściekłym werblem zabębnił grad.

* * *

Kazimierz Wachel znalazł się zupełnie przypadkowo w pobliżu burty, przy której Barnat rozmawiał z Grabieniem. Wyszedł na pokład, aby odetchnąć świeżym powietrzem, i zamierzał już wrócić do swojej kajuty, gdy najpierw Rafał, a w chwilę po nim Antoni przesunęli się obok niego jak dwa duchy ciemności, ożywione niezrozumiałymi dla zwykłych śmiertelników zamiarami.

Nie zauważyli go, on zaś usłyszawszy ich podniesione głosy nie ruszał się z miejsca. Z niewielu słów, jakie go doszły wyraźniej, nie mógł wywnioskować, o co im chodzi. Pojął jednak natychmiast, że jest świadkiem jakiejś kłótni czy też gwałtownego sporu, który zaciekał go w najwyższym stopniu, jak wszystko, co mogło w jakikolwiek sposób obrócić się przeciw Barnatowi.

Niechęć Wachla do Antoniego rosła w miarę, jak ten ostatni coraz bardziej wyróżniał się wśród kierowników zespołów. Wachel z jednej strony zdawał sobie sprawę, że „ten przybłąda” przerasta

go swoim doświadczeniem i sprawnością, z drugiej zaś – od pewnego czasu – czuł, że tuż obok niego dzieje się coś, co zagraża dobrej opinii, jaką „przybłęda” sobie zdobył. Ta jakaś dziwaczna, tajemnicza sprawa, której nie mógł przeniknąć, była jak gdyby oddzielona przepaścią od toku innych, codziennych spraw na „Posejdonie”. Rozwijała się poza ich nawiasem, niezależnie, w sposób zawiły i niezrozumiały, niemniej jednak – jak przypuszczał – mogła wpłynąć decydująco na to, co Wachlowi głównie leżało na sercu: na awans...

Zanim Barnat został przyjęty do P.R.O., Wachel był niemal pewien, że z końcem roku zostanie starszym nurkiem. Zgodnie z planem rozbudowy przedsiębiorstwa, przewidziana cztery takie stanowiska. Mieli je zająć najbardziej doświadczeni, najdłużej pracujący i najwybitniejsi kierownicy zespołów, którzy przejdą praktykę ratowniczą na dużych głębokościach.

Wprawdzie Kazimierz Wachel nie osiągnął wybitnych zwycięstw we współzawodnictwie pracy – starał się głównie o „nabijanie” premii za czas zanurzenia – lecz obok Orbacha i dwóch kierowników zespołów młodzieżowych, Jedynaka i Dębosza, jego kandydatura miała prawie równe szanse.

I oto wraz z pojawieniem się Barnata wszystkie te rachuby i nadzieje zostały zachwiane.

Od tej chwili Wachel nie miał spokoju. Powiedziawszy sobie z góry, że nie warto nawet próbować współzawodnictwa z innymi, szczególnie zaś z Antonim, postanowił wykryć coś, co by Antoniemu zaszkodziło.

Mniemał, że w postępowaniu każdego człowieka można znaleźć coś, co jest „nie w porządku”; coś kompromitującego, co w mniejszym lub większym stopniu sprowadza pozorną wartość danego osobnika do rzeczywistych wymiarów i proporcji. Kierując się tą naiwną teorią, zaczął śledzić Barnata. Obmyślał najrozmaitsze plany i podstępny, które miały ujawnić jego opieszałość, niesumienność czy też brak fachowych wiadomości, a w marzeniach i nawet w snach przeżywał sprzyjające okazy i nadzwyczajne zbiegi okoliczności, które dopomagały do wysadzenia Barnata z siodła. Wtedy właśnie natknął się na to, co wydało mu się podejrzanym; na ową mglistą, bliżej nie określoną sprawę, której nie umiał przeniknąć. Czuł, że jest wreszcie na właściwym tropie, lecz ten trop wikłał się i kluczył, raz po raz prowadząc na manowce.

Teraz znów go zwietrzył. Ci dwaj mieli do siebie jakąś głęboką urazę; wiedział o tym. Może dowie się czegoś więcej?

Spotkał go zawód: Barnat widocznie zdołał o czymś przekonać Grabienia, bo rozstali się jak gdyby pogodzeni. A więc wszystko sprzysięgło się przeciw niemu! Pełen goryczy cofnął się ku drzwiom do korytarza i gdy Rafał zaczął wstępować na stopnie trapu, przemknął się niepostrzeżenie do kajuty.

Rozdział XXXI

Komunikat meteorologiczny, który kapitan Hornung odebrał w południe, nie budził poważniejszych obaw. „Skłonność do przelotnych burz”, „przejściowe pogorszenie się stanu pogody” i „umiarkowany wiatr z zachodu” – to nie są zapowiedzi nawałnicy, która zmusiłaby statek ratowniczy do opuszczenia miejsca pracy, jakkolwiek wróżą noc niezbyt spokojną.

Co prawda nad Morzem Północnym i Wielką Brytanią zalegał głęboki niż barometryczny, a jakieś mniejsze niż włożyły się dokoła Danii, w Skagerraku i Kattegacie, ale na Bałtyku panował względny spokój.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę stary marynarz zarządził przed wieczorem przesunięcie holownika o sto sążni dalej od stanowiska „Posejdona”, gdzie „Swarożyc” stanął na kotwicy, wypuściwszy pół kabla łańcucha.

Hornung nie dowierzał zbyt zachodnim wiatrom, zwłaszcza pod koniec lata i jesienią. O zachodzie słońca wstał ze składanego krzeselka, rozstawionego jak zawsze na mostku, wyprostował swoją wyniosłą, imponującą postać i rozejrzał się po niebie.

Szare, poznaczone oliwkowymi plamami obłoki gromadziły się na horyzoncie przez całe popołudnie. Ich stłoczona, zbita masa, coraz ciemniejsza i cięższa, pochłonęła słoneczną tarczę gasząc jej żar wcześniej niż zwykle, a potem zaczęła pełznąć wolno, lecz wytrwale na spotkanie

nocy, posępna, złowróbna i milcząca. Blade, bezbarwne światło konającego dnia, nie okraszone rumieńcem, niezdolne do rozpalenia pożegnalnych ogni, opuszczało morze i brzeg, aby się skryć za chmurami. Powietrze było nieruchome i duszne.

Kapitan przeszedł się po mostku, zjrzał do sterówki, po czym przekroczył wysoki próg oddzielający ją od kabiny nawigacyjnej, w której drzemał drugi oficer „Posejdon”, pełniący wachtę, i gdzie cicho tykały barografy.

Zgorszył się nieco tą drzemką młodego człowieka podczas służby. Sam będąc w jego wieku nigdy by sobie nie pozwolił na coś podobnego, i to pod bokiem zwierzchnika.

Chrząknął głośno pochylając się nad barografami, odwrócony do niego tyłem, aby dać mu czas na ocknięcie się. Usłyszał, że porucznik zrywa się na równe nogi. Zerknął na niego przez ramię i potrząsnął głową.

Drugi oficer był czerwony jak burak.

– Przepraszam, kapitanie. Zdaje się, że usnąłem – wybąkał.

– I mnie się tak zdawało – odrzekł Hornung z lekkim uśmiechem. – Będziemy mieli burzliwą noc – dodał na pół do siebie.

– Komunikat meteorologiczny... – zaczął recytować porucznik.

– Tak, tak. Wiem o tym – przerwał mu kapitan. – Ale komunikaty czasem się mylą. Zluzujcie trochę cumy, żeby nas nie zalewało, jak przyjdzie duża fala. I trzeba sprawdzić, czy przy wszystkich linach u burt są siekiery.

Oficer trochę się zdziwił. Czyżby kapitan spodziewał się sztormu?

Odrzekł, że zaraz to załatwi.

– Bardzo dobrze – mruknął Hornung. – Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Odwrócił się i wyszedł. Porucznik spoglądał za nim z szacunkiem. Kapitan budził szacunek w każdym, kto się z nim stykał, nawet wśród ludzi, którzy go wcale nie znali. Sprzyjał temu zarówno jego spokojny sposób bycia, jak i wygląd zewnętrzny i siła fizyczna, z której niegdyś był bardzo dumny. Jeśli ostre rysy jego twarzy spalonej słońcem i wiatrem, a przede wszystkim bystre spojrzenie stalowych oczu spod nastrzępionych śnieżnobiałych brwi przywodziły na myśl postać dowódcy korsarskiego okrętu sprzed półtora wieku – to postać ta w wyobraźni patrzącego nie miała cech zbójceckich, lecz raczej tchnęła romantyzmem jakiejś dawnej morskiej legendy o nieustraszonych żeglarzach. Taką powierzchownością mogli się odznaczać na przykład kapitanowie okrętów floty wojennej Francji w czasach Wielkiej Rewolucji – korsarze podnoszący na masztach swoich fregat trójkolorową flagę Republiki w walce z królewską marynarką brytyjską. A kapitan Hornung też był rewolucjonistą.

Trzymał się prosto i krzepko jak stary, zdrowy dąb, któremu z wiekiem przybywa powagi. Był świadomy własnej wartości jak człowiek, który wie, że przeszedł przez życie według własnego wyboru, nie zawiódłszy ani razu samego siebie, nie ugiąwszy się przed niczym, co sprzeciwiałoby się jego poglądom na prawość i sprawiedliwość.

Dowodził lodołamaczem s/s „Posejdon” od pierwszej chwili, w której ten statek podniósł polską banderę; odbył na nim kilka podróży wymagających wielkiego doświadczenia, jakie posiadał, a gdy „Posejdon” został specjalnie przystosowany i wyposażony do prac ratowniczych, nie chciał się już z nim rozstać, jakkolwiek większość tego rodzaju służby upływała na postojach nad wrakami, co młodszym oficerom wydawało się jednostajne i nudne.

Kapitan Hornung nie był tego zdania. Nawet w najbujniejszych czasach swojej młodości, wśród przygód wojennych, wypraw do Antarktydy, w których brał udział, w zawierusze Rewolucji Październikowej – prowadził ściśle uregulowany, systematyczny tryb życia, zakłócany jedynie wyjątkowymi, przebijającymi okolicznościami. Wstawał zgodnie z rozkładem swoich wacht służbowych, kąpał się w zimnej wodzie i rozczesywał swoją niegdyś czarną, dziś białą brodę. Wkładał świeżą koszulę i ubierał się z wielką starannością, jakby miał stanąć do raportu u dowódcy floty.

Pełnił służbę z przejęciem i szczerym zainteresowaniem, a przed każdym posiłkiem schodził do kajuty, aby umyć ręce, poprawić krawat i przygładzić włosy.

Zanim udał się na spoczynek, nakręcał dwa złote chronometry, z których jeden odziedziczył po ojcu, również marynarzu, a drugi otrzymał jako nagrodę po ukończeniu studiów. Czytał jeszcze przez godzinę i zgasiwszy lampę natychmiast zasypiał, aby zbudzić się o zwykłej porze, wypoczęty i rześki.

W przerwach między tymi zajęciami walczył przeciw żywiołom, dokonywał czynów zadziwiającej odwagi, narażał życie, doznawał porażek i odnosił zwycięstwa. Lecz wszystko to działo się zazwyczaj w ramach uregulowanych owymi codziennymi czynnościami, których nie zaniedbywał również teraz na „Posejdonie”, jakby stanowiły niezmienny, trwałe szkielet jego życia, wypełniany tylko różną treścią.

* * *

Tego wieczoru, dwudziestego dziewiątego sierpnia, kapitan Hornung wyjątkowo nie rozebrał się po nakręceniu chronometrów i odłożywszy książkę przygotowaną na nocnym stoliku obok lampy, wyszedł z powrotem na mostek.

Gwałtowny szkwał z gradem, który przeleciał nad statkiem i urwał się równie nagle, jak powstał, wśród zupełnych ciemności, zrobił na nim o wiele mniejsze wrażenie niż nadzwyczaj niski stan barometru. Strzałka czułego przyrządu opadła w ciągu dwóch godzin z siedmuset pięćdziesięciu do siedmuset dwunastu milimetrów ciśnienia i opadała nadal.

Będzie porządny sztorm – pomyślał.

Wielkie grzywiaste fale biegly teraz wśród zdumiewającej ciszy powietrza, uderzając z szumem i pluskiem o burtę „Posejdona” zwróconego o trzy rumby w prawo do kierunku ich natarcia. Statek, mimo poluzowanych cum, poddawał się im ciężko, zarywając dziobem i lewą burtą. Po każdym takim przechyle woda pokryta pianą szorowała przez pokłady, spadała kaskadami z trapów, lała się strumieniami ze szpigatów.

Nie było czasu do stracenia. Lada chwila mógł nadejść atak głównych sił burzy. Gradowy szkwał był tylko lekkim jej muśnięciem, słabym, choć szybkim podjazdem wysłanym jakby na zwiady.

Kapitan Hornung kazał wywołać nadwachtę, zluzować lewe i naciągnąć prawe cumy na rufie, aby ustawić statek wprost dziobem do fali. Pomyślał, że najlepiej byłoby odczepić od boi wszystkie liny i wybrawszy je na pokład rzucić kotwicę lub nawet zdryfować poza Hel i schronić się w zatoce. Lecz na to było już za późno: nie mógł teraz w tę czarną noc wysłać łodzi, której załoga musiałaby z narażeniem życia walczyć z falą i kolejno z każdą boją. Postanowił przetrwać sztorm na miejscu, a w każdym razie stawić mu czoło tak długo, jak tylko to będzie możliwe.

Zaledwie „Posejdon” obrócił się zgodnie z życzeniem swego dowódcy, wiatr uderzył.

Był to cios tak nagły i wymierzony z tak potężną siłą, że statek po prostu skoczył w tył jak papierowy okręcik popchnięty zbyt gwałtownie dłonią rozbawionego dziecka. Grube, siedmiocalowe cumy wyskoczyły z wody, napięły się, zadrgały jak struny. Wszystkie boje szarpnięte wściekle tym zrywem pogrążyły się koncentrycznym skłonem w stronę „Posejdona”. Pienisty, wysoko spiętrzony wał wodny z wygiętym, załamującym się grzbietem w szalonym pędzie wpadł na dziób i runął na pokład zalewając go aż po iluminatory nadbudówek.

Zanim spłynął, już nadbiegł drugi, ścigany, popędzany, smagany przez wicher, który zdawał się wydzierać go morzu. Trafił na chwilę, w której dziób uniósł się w górę i wyróżnął weń od spodu, zagrzebując rufę tak, że spieniony jego grzebień przemknął nad nią bez żadnych przeszkód.

Za nim gnały następne, sycząc i huczając wśród wycia wiatru, jakby cała olbrzymia masa wód, od Zatoki Pomorskiej po Sund, pomiędzy niemieckim i polskim a szwedzkim wybrzeżem ruszyła naprzód ku wschodowi, aby rzucić się na statek i zmieść go precz aż po Królewiec czy też zatopić tam, gdzie ośmielił się stanąć im na drodze.

W jakiejś chwili do tego straszliwego rozruchu, zagłuszanego tylko salwami bijących piorunów, dołączył się głośny szum ulewy, a zaraz potem, tuż blisko, rozpaczliwie i nagle zaczęła jęczeć syrena „Swarożyca”.

Grabień, który aż dotąd stał na dziobie, przemoknięty do nitki, schroniwszy się tylko za ścianę kabelgatu przed furją bałwanów, wychylił głowę i z przerażeniem ujrzał światła holownika o dwadzieścia sążni przed sobą. Prawie jednocześnie usłyszał rumor łańcucha prześlizgującego się przez kluzę i nagle zrozumiał: „Swarożyc” wlecze po dnie kotwicę orząc nią głęboką bruzdę w gruncie! Rzuca drugą! Daremnie... Sztorm spycha go... Spycha go wprost na „Posejdona”, który nie może się cofnąć, trzymany nieruchomo w uwięzi dziesięciu lin, jak oś między szprychami koła.

Głos syreny opadał, zawodził, lamentował i znów się wznosił przejmującym tonem alarmu. Rój iskier buchnął z komina holownika i przemknął jak stado złotych pszczoł nad pokładem „Posejdona”.

Uruchomili maszyny – pomyślał - Rafał.

Światła zataczały gwałtowne półkola, odbijały się w górę i spadały w głąb – rzekłbyś na samo dno ciemności – jak lśniące kule podrzucane przez żonglera. Były coraz bliżej! Coraz bliżej!

„Swarożyc”, niewidoczny w mroku gęstym i czarnym jak smoła, miotał się na dwóch kotwicach, które pełżyły za nim szarpiąc ciężkimi łańcuchami. Nawet jego maszyny nie mogły sprostać potędze wichru i fal. Prędzej czy później musiał zetrzeć się z „Posejdonem”, a wtedy...

Donośny głos kapitana Hornunga wznosił się ponad zgiełk i ryk burzy:

– Odciać wszystkie cumy!

W błękitnym błysku pioruna załśniły wzniesione ostrza i zagłębiły się z rozmachem w mięsiste, twarde sploty manilowych włókien. Napięte, drgające liny skoczyły w morze jak spłoszone węże. Statek jak gdyby westchnął głęboko i wyżej wszedł na falę, lecz – ku zdumieniu Grabienia – nie cofnął się pod jej naporem. Zaczął tylko myszkować w lewo i w prawo, jak ryba, która stara się zerwać z haczyka u końca wędk.

Światła holownika, ostre jak noże i przeraźliwie bliskie, ślizgały się zimnym okrutnym spojrzeniem po wyniosłym dziobie „Posejdona” niby potworne jarzące ślepiea jakiegoś drapieżnego gada, który wychynał z głębin, aby rzucić się na obezwładniony statek.

Rafał, pochylony naprzód, wparty całym ciałem w wichurę, stał jak zahipnotyzowany tym groźnym widokiem. Zderzenie wydało mu się nieuniknione: jeszcze trzy fale, jeszcze dwie i rufa „Swarożycy” jak taran grzmotnie w dziób „Posejdona”, rozprysnie się z piekielnym trzaskiem, ze zgrzytem rozdzieranego żelaza, z jękiem wyszarpywanych stalowych płyt poszycia.

Wtem jego wzrok padł na jasną, wąską i prostą smugę, która od bębna windy kotwicznej wybiegała poprzez falsburtę i długim, lekko wygiętym łukiem schodziła w morze. Nowiutka manilowa cuma, napięta do ostateczności, trzymała statek na uwięzi u najdalej zakotwiczonej boi...

W tej samej chwili doszedł go okrzyk kapitana:

– Odciać linę na dziobie! Prędko, bosmanie!

Rzucił się naprzód. Powinna tu gdzieś być siekiera, jak przy każdej cumie. Gorączkowo, obu rękami szukał wzdłuż burty, w lewo, w prawo. Namacał gładkie drewniane stylisko umocowane kawałkiem drutu do słupka podtrzymującego poręcz. Jednym szarpnięciem zerwał drut i wznosił ostrze do ciosu.

Blask latarni holownika oślepił go, rozpaczliwy, niski, wibrujący głos syreny rozsadzał mu czaszkę.

Ciął niemal na oślep – raz! drugi! trzeci!

Coś uderzyło go prosto w pierś, aż zachwiał się i zatoczył. Byłby zapewne upadł, gdyby go nie podtrzymał bosman, który tu nadbiegł z toporem w rękę, wystraszony, błądzący jak papier.

– Nikogo nie było przy tej linie? – spytał podnosząc głos, aby przekrzyczeć wiatr i ryk fal.

– Nie. Tylko ja, przypadkiem – odrzekł Grabień chwytając z trudem powietrze.

– No, w samą porę – westchnął tamten. – Ja bym już nie zdążył... Co wam jest? – spytał znów głośno.

– Coś mnie trzepnęło po żebrach – skrzywił się Rafał. – Już przechodzi. To pewnie ta diabelska cuma.

– Aha – potwierdził bosman. – Staliście akurat na linii odrzutu. Mogła wam poprzetrzącać kości.

– Mogły tu leżeć trzy wraki zamiast jednego – mruknął Rafał. – Patrzcie...

Błyski światła holownika kładły się na kipiącej wodzie wśród boi, które podskakiwały jak olbrzymie korki w tym miejscu, gdzie przed chwilą stał Posejdon.

* * *

Kapitan Hornung wymanewrował swój statek o ćwierć mili w prawo i kazał rzucić kotwicę, która od razu chwyciła dobrze i pewnie. Tymczasem „Swarożyc” również przestał dryfować, nawet po zatrzymaniu maszyn, co wydawało się dziwne, ponieważ szybkość Wiatru jeszcze wzrosła.

Noc mijała wolno, a sztorm trwał nadal nie tracąc na sile. Szary świt wstawał wśród wycia wichru zawodzącego w olinowaniu masztów. Morze – ciemny odmęt spiętrzonych bałwanów i syczącej piany – ryczało i huczało dziko miotając się w niewyczerpanym, gwałtownym gniewie.

Przez radio zaczęły nadchodzić wiadomości o kutrach rybackich wyrzuconych na brzeg pomiędzy Dziwnowem a Łebą, o uszkodzonych nabrzeżach w Darłowie, w Jarosławcu i w Ustce. Jakiś większy statek rozbił się na skałach Grasholm na północ od wyspy Bornholm, a inny utkwiał na mieliznach Adlergrund pomiędzy Bornholmem a Rugią. W Sundzie sztorm pozrywał boje wyznaczające farwater, a dalej na wschód, u wybrzeży szwedzkich, błąkały się jakoby miny urwane z uwięzi.

Dzień włókł się bez końca pod niebem zorany w ciemne skiby chmur pędzących nisko nad wodą. Dopiero pod wieczór wiatr nieco osłabł, a noc, stanawszy nad morzem ciągle jeszcze niespokojnym i wzburzonym, zajaśniała tu i ówdzie chłodnym blaskiem gwiazd.

Nazajutrz koło południa „Swarożyc” zaczął ściągać się z kotwic, aby zrobić miejsce dla „Posejdon”. Lecz prawej kotwicy w ogóle nie udało się podnieść: tkwiła tak mocno, jakby została w cementowanej między skały i ostatecznie trzeba było odciąć łańcuch pozostawiając ją na dnie.

Trzeba było także wyłowić i poodczepiać od boi wszystkie cumy odrąbane w chwili niebezpieczeństwa, a na ich miejsce założyć nowe.

Zajął to cały dzień następny i dopiero pierwszego września „Posejdon” wrócił na swoje stanowisko nad wrakiem.

Jedynak, Maderski i Cencora zostali opuszczeni na dno, aby sklarować liny zejściowe splecione z sobą lub uwięzione między masztami wraku, i wtedy wyjaśniła się sprawa kotwicy holownika: znaleźli ją na pokładzie wcisniętą między przedni maszt a rozruszniki wind ładunkowych za pierwszym lukiem. Musiała tu wpełznąć, gdy „Swarożyc” dryfował nad dziobem „Adlernest”, jak o tym świadczyły rysy na prawej burcie, zerwany, pogięty reling i cały snop kabli elektrycznych wyprutych z osłony rozrusznika. Nie opłacało się wyciągać jej stamtąd i „Swarożyc” odszedł do Helu, aby przyholować pierwszy ponton, mając tylko jedną kotwicę.

Rozdział XXXII

Pięćsettonowy ponton do podnoszenia wraków przypomina kształtem ogromną beczkę średnicy siedmiu, a wysokości siedemnastu metrów. Aby sobie uprzytomnić jego wielkość, wystarczy przyrównać leżący ponton do sporego piętrowego domu o dwu obszernych mieszkaniach po trzy pokoje z kuchnią, z wewnętrzną klatką schodową, z łazienkami, korytarzami itd.

Ciężar własny tej olbrzymiej beczki wynosi około dwustu ton. Napełniona wodą ważyłaby siedemset ton, zatem jej wypór równa się pięciuset tonom.

Wnętrze pontonu podzielone jest wodoszczelnymi przegrodami ² na trzy zbiorniki, z których każdy z osobna można zalać wodą lub opróżnić, otwierając lub zamykając odpowiednie zawory. Prócz tego w środkowej części pontonu wbudowany jest cylindryczny (stosunkowo niewielki) zbiornik wyrównawczy ³, stale zamknięty i zawierający tylko powietrze. Jego zadaniem jest utrzymanie pontonu w równowadze, to znaczy w położeniu poziomym, tak aby wlot zaworów wodnych zawsze był u dołu, powietrznych zaś u góry.

² W płaszczyznach prostopadłych do osi walca.

³ Położony ekscentrycznie w stosunku do osi pontonu.

Wreszcie przez środek każdego z zewnętrznych zbiorników przechodzi na wylot pionowy kanał czy też rura, przez którą można przewlec stalową linę.

Jeden koniec liny umocowuje się do pętli stropu przeciągniętego pod dnem wraku; na drugi koniec trzeba nanizać ponton. Następnie robi się to samo z drugiej jego strony i obie liny, biegnące od stropów na powierzchnię morza i dalej poprzez kanały pontonu, nawija się na bębny dwu wind na pokładzie statku ratowniczego.

Jeśli teraz zawory zostaną otwarte, ponton z wolna zacznie napełniać się wodą i wreszcie zatonie, ześlizgując się po linach prowadzących i stropach połączonych z nimi aż na dno, gdzie powinien osiąść tuż przy burcie wraku.

Ale... Jest cały szereg rozmaitych „ale”, które komplikują sprawę pomyślnego zatopienia pontonu u burty wraku, zwłaszcza na głębokich wodach.

Gdyby na przykład siedmusettonowa masa olbrzymiego walca, który z wysokości trzydziestu pięciu metrów opada na dno jak kamień, starła się z burtą statku lub uderzyła o pokład – i wrak, i ponton uległyby zgnieceniu, a co najmniej poważnemu uszkodzeniu. Dlatego trzeba ten ciężar opuszczać wolno i ostrożnie, uwiązawszy go na dodatkowych dwóch linach, które odwijają się z osobnych wind.

Jednak i to nie jest wcale łatwe. Zanurzony ponton natychmiast znika z oczu kierującego tą pracą człowieka. Całą tę operację można by porównać do opuszczenia na ulicę wielkiego wagonu kolejowego ze szczytu dziesięciopiętrowego domu, który wśród ciemnej nocy kołysze się wskutek trzęsienia ziemi. Jeśli wyobrazimy sobie, że na jezdni tej ulicy ułożono tor, na którym stoi pociąg, i że trzeba nasz wagon ustawić na wolne miejsce pomiędzy parowozem a następnym wagonem nie potrafiwszy żadnego z nich, to takie zadanie będzie zbliżone do opuszczenia pontonu. Z tym jednak, że na naszej ulicy nie ma świateł (trzęsienie ziemi). I że nasz wagon jest znacznie mniejszy i lżejszy od pontonu...

Dalsze postępowanie jest już stosunkowo proste. Pętłe stropów zakłada się na mocny stalowy hak, umieszczony na pontonie pośrodku między górnymi wylotami kanałów, i zabezpiecza się go tak, aby stropy nie mogły się z niego zemknąć.

Potem opuszcza się drugi ponton przy burcie przeciwległej i wówczas jedna para stropów utrzymuje dwa pontony.

Gdy już wszystkie pontony nanizane na stropy leżą obok siebie wzdłuż burt wraku, trzeba je „wydmuchać” częściowo, tzn. wtłoczyć do ich wnętrza powietrze, które wypchnie dostateczną ilość wody, aby ponton mógł pływać.

Wydmuchuje się parami po dwa przeciwległe pontony na raz, i to w taki sposób, by gdy uzyskają pływalność, oba znalazły się na jednym poziomie. Innymi słowy – by połowa długości każdego stropu znalazła się dokładnie pod kilem statku. Tak wyrównane pontony mocuje się linami do pokładu i – aż do decydującej chwili podniesienia wraku ta część pracy jest załatwiona.

* * *

Pierwszy ponton został zatopiony bez większych trudności. Marynarze z załogi „Posejdona” przewlekli prowadzące liny stalowe przez oba kanały olbrzymiego walca, po czym Wachel i Siwiec – opuściwszy się na pokład wraku – połączyli ich końce z lewoburtowymi pętlami stropów przeciągniętych pod rufą i wrócili na powierzchnię. Górne końce lin zostały nawinięte na bębny dwu wind, za których pomocą naciągnięto je jak struny i unieruchomiono. Do zaworów powietrznych dołączono końcówki węży od sprzężarek, a dwie dwunastocalowe liny konopne do opuszczenia pontonu zaczepiono na uchwytach obu jego krawędzi⁴.

Jedynak, Maderski i Cencora ustawili się rzędem na platformie, która przeniosła ich nad wodą między „Posejdonem” a wąskim pomostem z desek umocowanych na grzbiecie pontonu, i stanęli przy kranach zaworów wodnych, oczekując na znak Jakusa, aby je równocześnie otworzyć.

⁴ Patrz rysunki 5–8 na końcu książki.

Naczelnym inżynierem objął wzrokiem kolejno ludzi przy windach od lin konopnych, mechaników u sprzężarek, zespół Barnata gotowy do zejścia pod wodę, trzech nurków w wysokich gumowych butach na pontonie.

– Zaczynamy! – zawołał głośno.

Krany zbiorników obróciły się sześciokrotnie. Słysząc było, jak woda wdziera się gwałtownie do wnętrza. Ponton z wolna zaczął się zanurzać. Gdy pierwsza fala przebiegła nad pomostem na jego grzbiecie, konopne liny dźwigowe napięły się, a zablokowane bębny poddały się nieco.

Jakus stał u burty z zegarkiem w ręku. Zawory musiały być otwarte jeszcze przez całą minutę, aby ponton został dostatecznie przeciążony.

Ludziom pochylonym nad kranami na pomoście woda sięgnęła do kostek, potem do kolan. Obciążenie lin rosło. Wskazówka przemierzyła ostatnie sekundy.

– Zamknąć krany zaworów wodnych!

Sześć obrotów mosiężnych rękojeści w prawo. Portem, niemal jednocześnie trzy okrzyki:

– Pierwszy zawór zamknięty!

– Środkowy zamknięty!

– Tylne zamknięty!

Platforma zakołysała się lekko, podjechała tuż nad pomost. Jedynek i jego pomocnicy wdrapali się na nią i po chwili wylądowali na pokładzie „Posejdona”.

– Uwaga przy windach – powiedział Jakus. – Razem wolno popuszczać liny.

Czeluśniak podszedł do pierwszej z nich, bliżej dzioba, Jakus stanął przy drugiej. Bębny cofały się o pół, o ćwierć obrotu piszcząc hamulcami. Ponton to lewym, to prawym końcem po kilka lub kilkanaście cali opadał w głąb, zsuwając się po stalowych linach prowadzących. Wraz z nim krótkimi podrygami zanurzały się grube konopne liny dźwigowe, znaczone co dwa metry obręczkami: białą, czerwoną, niebieską i żółtą.

– Stop! – zawołał Jakus. – Jak tam u was, Czeluśniak?

– Na pierwszej białej – odpowiedział starszy nurek.

Ponton zanurzał się równo. Nie było go już widać przez dwumetrową warstwę wody.

– Razem opuszczać!

Pierwsza czerwona, pierwsza niebieska i pierwsza żółta obręczka znikły kolejno pod wodą po stronie Jakusa. Osiem metrów.

– Stop!

Bębny obu wind stanęły. Po stronie Czeluśniaka brakowało pół metra do pierwszej żółtej.

Wyrównali i znów: druga biała, druga czerwona, druga niebieska...

Jakus kazał zatrzymać i zablokować windy. Górna powierzchnia pontonu zanurzyła się na czternaście metrów; dolna musiała już być na poziomie najwyższego pokładu wraku.

Barnat, Grabień i Pałamarz usiedli na brzegu platformy.

– W górę!

Bom podniósł ich ponad burta, opuścił obok pierwszego węża łączącego zawór powietrzny pontonu ze sprzężarką. Grabień objął nogami gumowy przewód, zsunął się do wody, zaczął zjeżdżać w głąb. Po drugim wężu opuścił się Barnat, po trzecim Pałamarz.

Antoni zameldował:

– Jesteśmy na pontonie. Jeszcze nie widać wraku.

– Razem opuszczać, wolno – rzucił Jakus ku windom. Liny, tego napięte pod ciężarem, ześlizgiwały się cał po calu z burty „Posejdona”.

– Stop! – odezwał się głos Barnata w słuchawce. – Widzę wrak.

I po chwili:

– Ponton równoległy do burty, ale wysunięty za daleko ku przodowi. Przesuńcie się o dwa metry w stronę rufy „Adlerness”.

Kapitan Hornung kazał zlizować cumy na dziobie i naciągnąć na rufie.

– Teraz dobrze! – meldował Barnat. – Opuszczajcie ponton.

Czuł drobne drgawki konopnych lin udzielające się pomostowi, który odchyłał się nieco od wraku, podczas gdy boczna ściana pontonu ocierała się coraz niżej o jego burtę.

Z wylotów obu kanałów wolno pełzły pętle stropów i zdawały się rosnać ku górze w ślad za linami prowadzącymi, póki olbrzymi walec nie osiadł na dnie.

– Gotów! – powiedział Antoni.

Grabień i Pałamarz odszaklowali i zdjęli z haków liny dźwigowe oraz odłączyli od pętli stropów obie stalówki prowadzące. Tymczasem opuszczono im z pokładu „Posejdona” cieńsze linki, które miały posłużyć do założenia stropów na główne ucho pontonu.

Stalowy strop – podwójna lina o średnicy siedmiu centymetrów – jest sztywny jak żelazna sztaba. Niesposób zgiąć go i przygnieść równoległe do pomostu, tak aby pętla weszła w uchwyt ucha. Nie starczą na to siły fizyczne trzech ludzi. Ich mięśnie musi zastąpić maszyna, stawy zaś i ścięgna – stalówka umocowana do pętli stropu, przeciągnięta przez blok u przeciwległego końca pontonu i nawinięta na windę statku ratowniczego.

Zmontowanie tego prostego urządzenia pod wodą na śliskim, pochyłym pomoście wymaga też nie lada zręczności i siły.

Zespół Barnata wykonał i to zadanie tuż przed upływem swojej godziny zanurzenia i został podniesiony na pierwszą stację dekompresyjną. Z kolei Orbach, Habza i Faustyniak znaleźli się na pomoście pontonu i dokończyli dzieła, nad którym przez pięć godzin pracowało jedenastu nurków i ponad dwudziestu marynarzy z załogi „Posejdona”.

* * *

W ciągu dwóch dni następnych zatopiono cztery dalsze pontony, a czwartego września zaczęto zatapiać szósty – ostatni z rufowych.

Cztery pontony dziobowe, które tymczasem przybyły ze Szczecina, oczekiwały w zatoce na chwilę podniesienia rufy m/s „Adlernes”. Dopiero wtedy pod przednią częścią statku miały zostać założone stropy. Tym sposobem naczelny inżynier chciał zaoszczędzić na czasie i na pracy, którą trzeba by wykonać wypłukując jeszcze cztery tunele.

Szósty ponton zachowywał się niesfornie, czemu zresztą sprzyjał porywisty wiatr i wysoka fala. Ogromny stalowy cylinder, zanurzony zaledwie do połowy swej średnicy, podskakiwał i tańczył na niespokojnej powierzchni morza jak znarowiony koń. Dopiero gdy Wachel, Siwiec i Osmoła otworzyli zawory wodne, usatkwował się o tyle, że można było jako tako utrzymać równowagę stojąc na jego pomoście i trzymając się oburącz rękojeści kranu. Lecz wskutek silnego kołysania się „Posejdona” liny prowadzące raz napinały się gwałtownie, raz zwisały luźno, szarpiąc pontonem, który to zbliżał się do statku, to znów oddalał się odrzucany jego kolejnym przechyłem.

Gdy nadszedł moment zamknięcia zaworów, jakaś większa od innych, nadbiegająca skośnie fala pchnęła przedni skraj pontonu pod samą burtę „Posejdona”. Osmołę, który stał u końca pomostu, zmiotło w morze – na szczęście po zewnętrznej stronie, co uchroniło go od zmiżdżenia pomiędzy ścierającymi się ścianami.

Wypłynął i przy pomocy Wachla wdrapał się z powrotem na pomost, lecz nie mógł już zamknąć zaworu, ponieważ mosiężny kran został złamany przy zderzeniu. Zanim z pokładu podano klucz do nakrętki, skrajny zbiornik nabrał tyle wody, że ponton zanurzył się jednym końcem prawie na półtora metra.

Marynarze uwieszeni u końca konopnej liny, która pod nadmiernym obciążeniem odwijała się z bębna, ledwie mogli ją utrzymać. Liny prowadzące zwichrowały się, a ciężar wzrastał nieustannie, grożąc ich zerwaniem i zatonięciem pontonu w pozycji stojącej, na sztorc.

Czeluśniak spróbował uruchomić windę, lecz to nie zdało się na nic: ciężar był już za duży.

Dopiero sprężarki, które ruszyły na rozkaz naczelnego inżyniera, uratowały sytuację. Potężny strumień powietrza ze świstem wpadł do zbiornika, w jednej chwili zrównoważył ciśnienie wody wydzierającej się przez otwarty zawór i zwolna zaczął ją wypychać.

Tymczasem Siwiec przyszedł z pomocą Osmołę. Nurkowali na zmianę, przekręcając za każdym razem o pół obrotu nakrętkę kranu. Gdy jeden zniknął pod wodą z kluczem w ręku, drugi stał w

rozkroku, zanurzony po pierś, obejmując stopami pomost, aby zachować równowagę i jednocześnie służyć nurkującemu jako asekuracja przed zmyciem w morze.

Z pokładu z zapartym tchem śledzono te ich zmagania. Dziesięć razy zdawało się, że ulegną obaj natarciu fal, że stoczą się z oślizłego pomostu, który uciekał im spod nóg, pochylony, stromy jak okap dachu, podrzucany w górę i zapadający w dół, przelewający się z boku na bok wśród bruzd i skib wodnych pędzonych wiatrem. Jednak ostatecznie po piętnastominutowej walce wygrali ostatnią rundę z opornym zaworem, który musiał się wreszcie poddać i został zamknięty.

Warczenie sprzężek ucichło. Platforma dźwignięta przez bom zatoczyła szeroki łuk, opuściła się na chwilę i uniosła z powrotem na pokład trzech ludzi dygoczących z zimna w przemokniętych, ociekających wodą ubraniach. Doktor Bacz ukazał się w progu i stanowczym gestem wskazał im drogę do izby chorych.

– Po pół szklanki rumu i po dwie gorącej herbaty – zaordynował marszcząc groźnie brwi. – Rozebrać się, do łóżek i spać do jutra!

Żadnemu z nich nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Zanim jeszcze ponton zanurzył się do „drugiej niebieskiej”, wszyscy trzech sumiennie spełnili ten rozkaz.

* * *

Tego samego dnia, pomimo wzrastającej fali i wiatru, każdy z pięciu pozostałych zespołów nurków schodził pod wodę, aby kierować wyrównaniem pontonów za pomocą wind i sprzężek.

Wypór do połowy wydmuchanych zbiorników uniósł je z dna nieco ponad poziom dolnego pokładu m/s „Adlernest”, to jest do położenia, które miało zapewnić najlepszą stateczność wraku po wypłynięciu na powierzchnię. Stropy zostały skutkiem tego napięte i usztywnione, a liny, przeciągnięte pomiędzy ich pętlami w poprzek pokładu, zabezpieczyły każdą parę pontonów przed przesunięciem się w przód lub w tył wzdłuż kadłuba statku przy jego podnoszeniu.

Ludzie wracali na pokład „Posejdona” wyczerpani, osłabli od torsji, którym podlegali podczas odbywania stacji dekompresyjnych na platformie, lecz nadal nie pokonani przez morze.

Najtrudniej było wytrzymać dwa ostatnie postoje na głębokości sześciu i trzech metrów. Każdy z nich trwał dwadzieścia do dwudziestu pięciu minut. Dwadzieścia pięć minut nieustannej huśtawki – trzy lub cztery metry w dół, gdy „Posejdon” kładł się w bruzdę, i tyleż w górę, gdy wchodził na grzbiet fali...

Każdy taki przechył gwałtownie podnosi lub obniża ciśnienie wewnątrz skafandra o pół lub trzy czwarte atmosfery, co odbija się szczególnie dotkliwie na bębenkach uszu nurka. Po kilku minutach zaczynają się bóle głowy; potem – nudności. Po trzech kwadransach człowiek ledwie żywy schodzi z platformy na pokład.

Kłęli, złorzeczyli temu złośliwemu morzu, które w ich wyobraźni z każdym dniem bardziej stawało się wrogiem, niby jakaś istota obdarzona cechami żywych, czujących i myślących stworów. Morze broniło wraku; usiłowało obrzydzić im pracę; nie chciało go oddać.

Odgrażali mu się, ich zawziętość rosła. Ściągnawszy z siebie brudne, uwalane wymiotami skafandry i swetry, z pogardliwym uśmiechem płukali je w wodzie u trapu: – Masz, weź! Tyle twego, co wyrzynam!

Czasem jednak – coraz częściej – morze wygrywało po jednym, po dwa, po trzy dni, gdy praca stawała się niemożliwa z powodu złej pogody. Tylko niez mordowany inżektor powietrzny wraz z umocowanym do swej gardzieli pulsującym węzem od pompy ciśnieniowej szumiał wtedy u burt „Adlernest”, bagrując dokoła szeroki trzymetrowy rów, aby zmniejszyć siłę przyssania wraku do dna.

Rozdział XXXIII

W dwa dni po wyrównaniu pontonów na powierzchni morza nad rufą „Adlernest” powstały dwa ogniska baniek powietrza wydobywających się z głębi. Okazało się, że trzecia para pontonów przecieka.

Nie był to przeciek alarmujący: straty powietrza nie zagrażały poważniejszymi następstwami. Wystarczyło co drugi lub co trzeci dzień załączyć przewody ciekących zbiorników do sprężarki i w ciągu kilku minut wyrównać ubytek ciśnienia. Kapitan Jakus niepokoił się tylko, czy przy całkowitym wydmuchaniu pontonów niepożądane zjawisko nie przybierze większych rozmiarów. Ale zabrakło już czasu, aby się o tym przekonać przed dniem, który nadszedł po dłuższym okresie niepogody uniemożliwiającej nurkowanie.

Naczelny inżynier powziął tego dnia ważką decyzję: jutro wrak zostanie podniesiony.

Kapitan Hornung wysłał „Swarożyca” po cztery pontony dziobowe, Czeluśniak zaś, któremu nieustanna obawa o pogarszające się w tej porze roku warunki atmosferyczne od dawna spędzała sen z oczu, zabrał się natychmiast do ostatecznych przygotowań.

Połączono końcówki przewodów pomp wodno-powietrznych sterujące z pokryw luków m/s „Adlernest” z oddzielnymi sprężarkami, które zaraz potem ruszyły pełną mocą, aby usunąć z uszczelnionych ładowni wodę i wtłoczyć na jej miejsce powietrze pod odpowiednim ciśnieniem. Zespoły nurków co godzina zmieniały się na pokładzie wraku pełniąc służbę inspekcyjną, uszczelniając ostatecznie wszelkie drobne, nie dostrzeżone dotąd szpary i szczeliny. Szalupa wysłana przez oficera wachtowego krążyła pomiędzy bojami a trapez statku, podając odczepiane kolejno przez jej załogę końce gumowych węży do wydmuchania pontonów, a mechanicy pokładowi przykręcali je według ustalonej zawczasu numeracji do wylotów kompresyjnych zbiorników rozdzielczych.

Naczelny inżynier z planem w rękę sprawdzał tę na pozór bezładną gmatwaninę przewodów, rur i kabli, która spływała od grubo opancerzonych zbiorników i kompresorów w morze, zajmując niemal połowę długości lewej burty „Posejdona”.

Osiemnaście gumowych węży od pontonów po trzy łączone w wiązkę; cztery grube, czarne kichy od pomp wodno-powietrznych; trzy przewody nurków i ich linki bezpieczeństwa. Prócz tego – wzmocnione giętką metalową powłoką przewody sprężarek łączące je ze środkowym zbiornikiem rozdzielczym wysokiego ciśnienia, rury do trzech zbiorników pomocniczych i cały snop kabli, które rozpełzły się między tym kłębowiskiem...

Po południu przybyła z Gdyni motorówka z pocztą, lecz nikt nie miał czasu na odczytanie listów i przejrzenie gazet.

Wieczorem zwolniono i wciągnięto na pokład wszystkie liny zejściowe z wyjątkiem jednej, umocowanej na dziobie wraku, a ostatni zespół nurków już w zupełnych ciemnościach zdemontował i odesłał na powierzchnię oba trapy. Wreszcie koło godziny dwudziestej drugiej stanęły sprężarki. M/s „Adlernest”, gotów do wynurzenia się rufą, miał po raz ostatni spędzić krótką noc na dnie morza, w miejscu, gdzie spoczywał od tylu lat...

Ludzie w skafandrach, których obecność znosił z niewzruszonym spokojem niemal od trzech miesięcy, zmęczeni walką z jego bezwładem i biernym oporem, wyczerpani zapasami z morzem, spali już kamiennym snem marząc o jutrzejszym zwycięstwie. Tylko człowiek, który go zatopił, i człowiek, który postanowił powołać go z powrotem do służby na powierzchni słonych wód świata – długo jeszcze nie mogli usnąć.

Naczelny inżynier P. R. O., kapitan Stanisław Jakus, myślał: Co przyniesie jutro? Czy wrak wypłynie? Czy nie zawiodą obliczenia? Co będzie, jeżeli siła przyssania do dna okaże się tak wielka, że środki będące do dyspozycji nie wystarczą na jej pokonanie?

Nurek Antoni Barnat po raz dziesiąty odczytywał przy świetle małej lampki nocnej kilka słów skreślonych ręką Sabiny Jakusowej na zwykłym arkusiku papieru listowego:

Teresa postanowiła ostatecznie poślubić Rafała. Jest zrezygnowana i dotrzyma obietnicy, jeżeli on przy tym będzie obstawał. Niech się pan broni!

Nurek Rafał Grabień spał, uspokojony jeszcze krótszą kartką pocztową od narzeczonej; kartką, która nadeszła w odpowiedzi na jego ostatni list:

Jestem już zupełnie zdrowa. Wracam do Gdyni. Będzie, jak chcesz. Teresa.

* * *

Nazajutrz o świcie siła wiatru wynosiła według skali Beauforta 6⁵, a na rejce masztu widocznego na brzegu zawisł czarny stożek: spodziewany sztorm z północo-zachodu. Stacje hydro-meteorologiczne zapowiadały kilkudniowy okres bardzo złej, burzliwej pogody.

Przekreślało to wszystkie rachuby dotyczące podniesienia wraku w tym dniu. Szyper ze „Swarożycy” meldował przez radio, że wobec otrzymanych ostrzeżeń zdecydował się zawrócić z drogi wraz z pontonami, których holowanie nawet w zatoce stawało się już bardzo ryzykowne. Kapitan Hornung był zdania, że należy natychmiast odcumować statek i schronić się poza Hel.

Ludzie zawiedzeni, osowiali, zniecierpliwieni nową zwłoką, wśród przekleństw i złych spojrzeń rzuconych morzu i niebu odłączali przewody od pomp wodno-powietrznych. Załoga szalup walcząca z rosnącą falą i wichrem odwoziła je kolejno do boi kotwicznych, u których miały przetrwać sztorm.

Wiatr wzmagał się, wyl, zawodził, gwizdał. Pieniste grzywacze zalewały szalupę.

Tymczasem na rozkaz Jakusa ruszyły sprężarki. Należało przed odcięciem cum uzupełnić zapas powietrza we wszystkich pontonach, szczególnie zaś w trzeciej ich parze, która ciekła o wiele bardziej niż dnia poprzedniego. Nie można było przewidzieć, jak długo sztorm potrwa i czy pontony nie zatoną. Gdyby się tak stało, poprzeczne liny, które założono tylko po to, aby zapobiec przesunięciu się pontonów wzdłuż burt przy skośnym położeniu wraku podczas jego podnoszenia najpierw rufą – mogłyby zostać zerwane. Ich wytrzymałość nie była bowiem obliczona na udźwig czterystu ton martwej wagi pary pontonów całkowicie napełnionych wodą. Zerwanie lin poprzecznych oznaczałoby z kolei konieczność powtórzonego wyrównywania pontonów za pomocą wind i zakładania nowych wiązań w poprzek pokładu.

Po dziesięciu minutach naczelnym inżynierem kazał odłączyć dwanaście węży i podać je na szalupę celem umocowania ich końców do boi. Przez pozostałych sześć przewodów nadal tłoczono powietrze do ciekących pontonów, najdalszych od rufy.

Kapitan Hornung raz po raz spoglądał z góry, czy już kończą.

– Jeszcze pięć minut! – zawołał do niego Jakus.

Wtem u burty „Posejdon” w pobliżu dzioba woda zapieniła się gwałtownie i raz po raz na jej powierzchnię zaczęły wyskakiwać wielkie bąble powietrza.

– Pękł wał! – zawołał Czeluśniak. – Niech go pioruny! Chyba gdzieś głęboko...

Jakus w pierwszej chwili powziął to samo przypuszczenie, ale odrzucił je spojrzawszy raz jeszcze na wrzącą jak ukrop wodę: pęknięcie węża nie mogło stać się przyczyną tak wielkich i gwałtownych wybuchów. Wyglądało to raczej na rozerwanie jednego ze zbiorników lub też...

Nagle, groźne niebezpieczeństwo stanęło mu przed oczyma: ponton zerwany ze stropu szybuje w górę ze wzrastającym pędem prosto pod kil „Posejdon”! Lada sekunda wyskoczy z wody jak korek i wyrznie w dno statku! Jeśli się to stanie, „Posejdon” ze strzaskanym dziobem zatoni w ciągu paru minut i osiadzie na rufie wraku miażdżąc ją swoim ciężarem!

Kapitan Hornung stał na mostku w wyczekującej pozycji. Jakus rzucił mu rozpaczliwe spojrzenie.

– Ponton! Ponton wypływa! Ściągnijcie statek znad wraku!

Hornung wychylił się za poręcz, spojrzął na bulgoczącą kipieli u burty, potem na pokład. U wind w pogotowiu stali marynarze czekając na rozkaz do rzucenia cum.

– Zluzować przednie, naciągnąć tylne cumy! – zawołał – Już! Prędko!

Dziobowa cuma zwiśla, opadła w morze; winda na rufie zawarczała, zaczęła ciągnąć. „Posejdon” cofał się wolno znad kotłowiska piany i wrzącej jak ukrop wody, która teraz wznosiła się gwałtownymi wybuchami niby gejzer powstały na dnie i tryskający w górę z potężną siłą.

Wtem na parę metrów przed burcią statku morze uniosło się jakby potężnym garbem, a w następnej sekundzie rozstało się nagle.

Sześć pontonów i tkwiąca pomiędzy nimi wysoka rufa m/s „Adlernest” wynurzyła się z fal jak jakaś groźna zjawia fantastycznego, niespokojnego snu!

Okrzyki zdumienia zerwały się na pokładzie. Ludzie rzucili się na dziób i ku burcie. Jakus stał jak skamieniały z wrażenia, nie mogąc wymówić słowa. Czeluśniak z opadniętą szczęką i

⁵ Około 40 km/godzinę – wiatr „silny”.

otwartymi ustami, błąd jak trup, wpatrywał się we wrak, jakby ujrzał upióra. Kapitan Hornung wstrzymując oddech szukał wzrokiem szalupy, a dostrzegłszy ją u najdalszej boi kotwicznej odetchnął z ulgą i przeniósł spojrzenie swych stalowych oczu na niski, zamglony horyzont.

Sztorm idzie – pomyślał. – Nie ma wątpliwości. Za pół godziny będzie tak dęło, że to wszystko pogruchoce się i pójdzie na dno...

Ta sama myśl prześladowała Jakusa, który zdołał już ochłonać i zdać sobie sprawę z przyczyn nieoczekiwanego wynurzenia się rufy.

Działanie fal, sięgające głęboko pod powierzchnię morza, i prąd głębinowy powstały na jego dnie – tym razem niemal prostopadły do burty m/s „Adlerness” – zachwiały równowagę statku, którego ciężar znacznie się zmniejszył wskutek częściowego wypompowania wody z ładowni. Gdy „Adlerness” raz drgnął i pochylił się bodaj o parę stopni, natychmiast znikła siła przyssania do gruntu, a rosnący wypór pontonów wystarczył do dźwignięcia rufy.

A ja się obawiałem, że nie zdołam jej podnieść! – pomyślał naczelnny inżynier.

Gorycz zalała mu serce. Oto miał przed sobą tę rufę, wynurzoną dokładnie w ten sposób, jak to był obliczył, lecz w chwili gdy nie mógł nawet marzyć o podniesieniu dzioba i odholowaniu wraku za osłonę Helu.

Czym miał go podnieść? Jak?

Gdyby nawet cztery pontony, z którymi „Swarożyc” zawrócił do Gdyni, znalazły się jakimś cudem pod ręką – nie mogło być mowy o ich opuszczeniu i umocowaniu pod wodą podczas sztormu, o założeniu stropów, o dołączeniu węży, o całej tej skomplikowanej pracy, trudnej do wykonania nawet przy sprzyjającej pogodzie. Nie warto było w ogóle zastanawiać się nad tym. Należało raczej znaleźć jakieś wyjście, jakiś sposób ocalenia wraku przed ostateczną zagładą. To jednak wydawało się niemożliwe.

Sześć olbrzymich pontonów szarpało stropami, zderzało się z sobą jak rozjuszony, bodące się byki. Pomiędzy nimi rufa i część kadłuba m/s „Adlerness”, czerwone od rdzy, z resztkami białej farby na burtach, pokryte brunatnozielonym kożuchem wodorostów, unosiły się i opadały ciężko jak pierś śmiertelnie ranionego potwora, który traci siły w ostatniej, beznadziejnej walce. Poprzeczne liny zamocowane u pachołków na pokładzie, u słupków relingu i u masztu, targane, rozrywane, miotane między wantami i sztagami, między windami, między nawiewnikami i szlupbelkami na rufie tworzyły skłębione węzowisko przegarniane raz po raz falami szturmującymi wrak.

Morze, jakby rozwścieczone jego widokiem, biło weń taranami grzywaczy, zalewało go, zagarniało jak swoją własność, grożąc ludziom, broniąc im dostępu.

Jakus pomyślał, że ta agonía na pół wynurzonego statku nie potrwa długo. Gdy obluźwane liny puszcza, stropy wymkną się spod kilu, a uwolnione pontony wyskoczą w górę i gnane wiatrem odpłyną aby rozbić się gdzieś u brzegu. Wtedy rufa, pozbawiona ich wyporu, z wysokości dziesięciu pięt opadnie na dno jak kamień i jeśli nie zostanie zgruchotana własnym ciężarem, to w każdym razie dozna takich uszkodzeń, że zapewne nie opłaci się już podnosić jej powtórnie.

Jedynym sposobem zapobieżenia tej katastrofie byłoby natychmiastowe otwarcie zaworów wodnych w pontonach. Wówczas wrak zatonałby wraz z nimi stopniowo, osiadając na dnie prawie bez wstrząsu. Lecz aby tego dokonać, trzeba się było dostać w sam środek owego piekielnego chaosu, na grzbiety rozchybotanych pontonów zmywane cwałującymi falami, pomiędzy sploty nadwątlonych lin i ścierające się masy żelaza.

Wyglądałoby to po prostu na samobójstwo. Naczelnny inżynier nie ośmielił się zażądać czegoś podobnego od kogokolwiek.

M/s „Adlerness” był stracony na zawsze. Trzy miesiące pracy i trudów, wszystkie przebyte niebezpieczeństwa, wielkie koszty wyprawy, nadzieje i ambicje z nią związane przepadały w oczach nurków i załogi zgromadzonej na pokładzie „Posejdony”.

Morze – zdradzieckie, podstępne morze – zwyciężało. Pozwoliło im doprowadzić śmiały zamiar niemal do końca i dopiero wtedy porwało się przeciw nim; dopiero wtedy gdy mogło im zadać decydującą klęskę.

Patrzyli na nią. Byli jej niemymi, obojętnymi świadkami. Patrzyli ze zgrozą, przejęci bólem i gniewem, ze ściśniętymi sercami, z bezsilnym buntem w piersiach, nie mogąc się pogodzić z tym ciosem.

Jakus objawszy wzrokiem nieruchomą grupę ludzi poczuł gwałtowny skurcz w gardle. Liczyli przecież na niego; ufali mu, a on...

Antoni Barnat spytał zdławionym głosem:

– Czy nie można by zatopić rufy, kapitanie?

Jakus spotkał jego pytające spojrzenie.

– Tylko to mogłoby uratować wrak – odrzekł wolno. – Ale kto otworzy zawory pontonów?

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę, lecz nikt się nie odezwał.

Barnat raz jeszcze spojrział na słoczone pontony. Potem zrzucił drewniane chodaki i szybko zdjął wierzchnie ubranie. Nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, skoczył za burtę.

Z kieszeni bluzy, która upadła u stóp Kazimierza Wachla, wysunęła się zmięta, biała koperta. Wachel schylił się, podniósł ją i nieznacznie wsunął do własnej kieszeni.

* * *

W tej samej chwili rozległ się rozkaz kapitana Hornunga:

– Spuścić małą szalupę wiosłową!

Gert i Habza, za nimi zaś Czeluśniak skoczyli do łodzi wraz z marynarzami. Starszy nurek ukląkł w dziobie.

– Opłyńcie rufę wraku! – zawołał do wiosłarzy. – Musimy podejść do pontonów z prawej burty!

Tymczasem Barnat już wspinał się na najbliższy rufy, pierwszy według przyjętej numeracji ponton lewoburtowy. Potężna fala oderwała i zepchnęła go, gdy już był w połowie. Ale wypłynął znowu i znów czepiając się grubych, wystających obręczy zdołał jedną ręką uchwycić skraj pomostu. Przeczekał następną falę, która przeszła po nim zalewając go z głową, i podciągnął się wyżej. Na czworakach wdrapał się na pomost, namacał pod wodą kran prawego zbiornika, odkręcił i zaczął przesuwac się w lewo ku środkowemu.

Ogromny, syczący, z dala widoczny grzywacz pędził na wrak. Przesadził tylny maszt sterzący wysoko nad powierzchnią morza, wpadł na pokład, załamał się i runął z góry na pomost pontonu.

Lecz Antoni dostrzegł go na czas. Przywarł całym ciałem do śliskich, namokłych desek, objął je rękami i wstrzymał oddech.

Masa wody zwałała mu się na plecy, przygniotła go, a potem uniosła w górę i pociągnęła w tył. Nie dał się oderwać tym razem, choć ledwie mu starczyło tchu na przetrwanie tej topieli. Piana nie zdążyła jeszcze spłynąć z pomostu, gdy drugi zawór został otwarty.

Przy otwieraniu trzeciego Antoni omal nie obsunął się pomiędzy boczną ścianę a burtę wskutek wstrząsu potężniejszego od poprzednich, wywołanego kolejnym zderzeniem się obłuzowanych pontonów. W ostatnim ułamku sekundy zdołał chwycić przegub węża, który jakaś wspaniałomyślna fala podała mu wprost do ręki. Zawisł na nim, wyciągnął się w górę, usiadł na pomoście, żeby choć przez chwilę odetchnąć spokojniej i spojrział poprzez pokład ku prawej burcie.

Na przeciwnym pontonie Władek Habza, drobny, szczupły, lecz zwinny i ruchliwy, borykał się z zaworami, uskakując, kucając, umykając się falom. Wyglądał jak zmokły wróbel o nieustraszoną sercu. Niewątpliwie zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa i ograniczonych sił fizycznych, jakie mógł przeciwstawić potędze fal i wichru – musiał walczyć nie tylko z morzem, lecz również z przejmującą grozą, która nad nim zawisała. Walczył przecież wytrwale, ze świadomą odwagą i męstwem, o które nikt by go nie posądzał. Był blady z wrażenia, trząsł się i dzwonił zębami – trochę z zimna, a trochę wskutek napięcia nerwów – ale nie ustępował, póki nie dopiął swego.

Barnat wołał do niego, że to było warte całej szklanki rumu.

– T a k i chłopak jesteś, bracie! Jeszcze dwa i wygramy! Skacz!

Sam stanął na krawędzi pomostu, poczekał, aż minie go szczyt fali, i przeskoczył na środkowy ponton. Habza chciał zrobić to samo, lecz źle obliczył odległość skoku, potknął się, upadł na lewo

od pomostu, potoczył się po spadzistej okrągłej powierzchni zbiornika. Następna fala porwała go z sobą, zakręciła nim jak wiórem, zmyła go poza szalupę.

Czeluśniak krzyknął: – Odbij! – chwycił bosak, sięgnął nim na całą długość, zahaczył o rękaw Habzy, przyciągnął go ostrożnie, pomógł mu wleźć do łodzi.

Habza krztusił się, parsknął, z trudem łapiąc oddech, ale już rwał się z powrotem na ponton. Nagle chwycił go wymioty. Osłabł, zwiśł u burty szalupy zwijając się w torsjach.

– No, dosyć będzie na ten raz – pomrukiwał gniewnie Czeluśniak trzymając go dla pewności za kołnierz. – Nigdzie nie pójdziecie, na żaden ponton. Wiedźcie to sobie!

Tymczasem łódź pod naciskiem wiosł wróciła na poprzednie stanowisko. Gert zsunął się do wody, przepłynął parę metrów z falą, która wyniosła go w górę, chwycił obiema dłońmi wystającą krezę obręczy, zaczął wczołgiwać się na grzbiet pontonu. Udało mu się dotrzeć do pomostu, lecz nadbiegający grzywacz zmiótł go stamtąd pianistym jęzorem.

Gert krzyknął. Niosło go wprost między dwa pontony ścierające się z piekielnym zgrzytem i łomotem żelaznych ścian. Nim woda zalała mu oczy, dostrzegł przed sobą unoszący się na powierzchni potrójny splot czerwonego węża. W ostatnim przebłysku świadomości wyciągnął ramię i kurczowo zacisnął palce na twardej gumowej kiszce. Szarpnęło go potężnie, wywinęło na wznak, zakręciło. Poczł wściekły, przejmujący ból w barku wybitym ze stawu. Wąż wymknął mu się z dłoni.

Ale fala już przeszła. Odrzut wody pchnął go w przeciwną stronę i zaraz potem śmignęła mu nad głową rzutka z cienkiej konopnej liny. Poszukał jej zdrową ręką, znalazł, owinął dokoła dłoni.

Ciągnęli go ku szalupie! Był ocalony! W nagłym porywie radości zapomniał o bólu i dopiero gdy uderzył ramieniem o burzę, pociemniało mu w oczach: wywichnięty staw zdawał się rozszczepiać na dwoje, rwąc ścięgna i nerwy.

– Ostrożnie! Wykręciło mu rękę! – zawołał ktoś nad nim.

Potem już nic nie czuł i nie słyszał; przez pewien czas spadał z niezmiernej wysokości w jakąś czarną przepaść bez dna i w końcu rozpląnął się w tej czerni. Stracił przytomność.

* * *

Marian Czeluśniak wskakując do łodzi za Habzą i Gertem sam nie miał zamiaru dostać się na ponton. Właściwie wcale o tym nie myślał: nie miał na to czasu. Wiedział tylko, że powinien być tam blisko, razem z tymi chłopcami, żeby im pomóc.

Lecz gdy najpierw Habza, a następnie Gert ulegli w tej nierównej walce, nie zawahał się nawet przez chwilę.

– Z powrotem pod środkowy ponton! Żywo! – rzucił za siebie wioślarzom.

Szalupa wykrciła, weszła na grzbiet fali, opadła w bruzdę, uniosła się znowu, zaczęła mijać trzy złączone razem przewody węża.

Czeluśniak dźwignął się na rękach, przełożył nogi za burzę, siadł okrakiem na dziobie, odbił się i zanim woda zamknęła się nad nim, pochwycił przewody. Trzymał się ich mocno oburącz i objąwszy je nogami posuwał się zwolna, lecz pewnie w górę ku wlotowym rurom zbiorników na pomoście.

Barnat, który zdążył przez ten czas otworzyć zawory środkowego pontonu u lewej burty wraku i gotował się do ryzykownego skoku na trzeci ponton, najbardziej zanurzony, ujrawszy po przeciwnej stronie pokładu zgiętą w pół sylwetkę starszego nurka, z podziwem potrząsnął głową.

Zuch stary – pomyślał.

Nie lubił starszego nurka; ich wzajemny stosunek od najdawniejszych czasów był niemal wrogi. Ale musiał przyznać, że ten człowiek pomimo swych wad zasługuje na szacunek; że jest całą duszą oddany swojej pracy, chyba nie mniej niż kapitan Jakus; że posiada rodzaj odwagi, która nie cofa się przed niczym; że jego postępowaniem kieruje przede wszystkim wzgląd na dobro ogólne, na utrwalenie tego, o co tak bezkompromisowo walczył przez całe życie.

Ta myśl przeleciała Antoniemu przez głowę równie szybko jak mijająca go fala. Natychmiast zresztą powrócił do chwili aktualnej: jeśli rufa m/s „Adlernest” miała osiąść bez uszkodzeń,

należało zatapiać pontony parami; w przeciwnym razie statek przeciążony u jednej burty mógł pochylić się na bok lub nawet wywrócić się do góry dnem.

Skłoniło to Barnata do zmiany zamiaru: zamiast przeskoczyć na ostatni ponton lewoburtowy, postanowił najpierw pomóc Czeluśniakowi w otwarciu zaworów u prawej burty.

Uczepiwszy się rękami poprzecznych lin i posuwając się naprzód rzutami całego ciała, przebył wąski pas wody, która burzyła się pod nim jak rozbijana turbina. Wciągnął się na pokład, przebiegł przez całą jego szerokość między jednym a drugim grzywaczem i znów po linach dostał się na przeciwny ponton, gdzie starszy nurek zdążył tymczasem uporać się z kranem prawego zbiornika.

Razem, pomagając sobie wzajemnie, otworzyli środkowy zawór i brnęli dalej, ku lewemu, odrzucani raz po raz w tył przez fale nacierające z coraz większą furją. Czeluśniak dyszał ciężko, z trudem utrzymując równowagę na rozkołysanym pomoście. Ponton zderzał się to z prawym, to z lewym swoim sąsiadem, wpadał na nie ze straszliwym rumorem i odskakiwał z powrotem, szarpiąc linami, które napinały się i drgały jak cięciwy łuków, a potem zwisały luźno, aby znów jęknąć i zadrzeć przy nowym szarpnięciu.

– Trzasną lada chwila! – zawołał Barnat starając się przekrzyczeć huk morza i wycie wiatru. – Musimy się śpieszyć!

Czeluśniak skinął głową. Parł naprzód po kolana, po pas, po piersi w rwącej wodzie, która spychała go w tył, unosiła w górę i opadała nagle do jego stóp uciekając z pomostu.

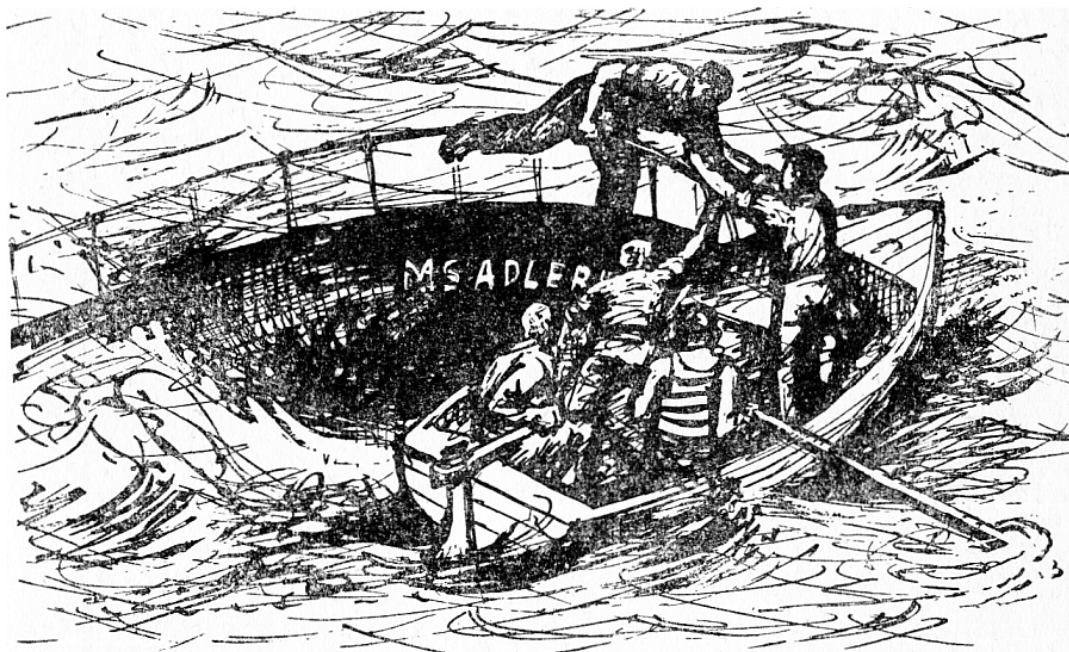
Ogromny, lśniący od wilgoci grzbiet pontonu na parę sekund wynurzał się z piany ukazując sterzące wyloty rur, od których spływały w morze czerwone węże gumowe, ujęte dalej w potrójny splot stalowymi złączami.

Pomost pochylał się, nowa fala pędziła wzdłuż burt, wpadała na pontony, porywała z sobą szalupę, szturmowała pokład, targała stropami, uderzała na nurków.

Gdy wreszcie udało im się otworzyć ostatni zawór, byli u kresu sił. Mimo to obaj ruszyli ku trzeciej parze pontonów. Barnat pierwszy przedostał się na pokład wraku. Stał u burty i czekał na Czeluśniaka, żeby mu pomóc.

Wtem z „Posejdona” rozległ się głośny okrzyk:

– Wracajcie! Rufa tonie! Prędko!



Antoni dopiero teraz to zauważył. Woda sięgała mu do bioder; fale załamujące się przed nim wznosiły się coraz wyżej. Trzeciej pary pontonów nie było już widać. Wypór utrzymujący rufę m/s „Adlernest” na powierzchni zmniejszył się znacznie i nadal malał w miarę jak zbiorniki traciły powietrze. Pokład pogrążał się z wolna, a maszt sterczący skośnie stopniowo przybierał położenie pionowe.

Antoni odetchnął głęboko i obejrzał się. Czeluśniak już był w szalupie.

– Idźcie na rufę, Barnat! – zawołał sternik. – Zdejmiemy was stamtąd!

To była dobra rada. Wszystkie pontony i pokład wraku były już pod wodą, która chlustała pomiędzy nimi wysoko, gdy ścierały się z sobą. W tych warunkach skok z burty stawał się zbyt ryzykowny. Tylko górny pokład rufy i ster awaryjny u jego końca wystawały nad powierzchnię morza, zmywane falami.

Barnat stanął tam na samym skraju, bodaj że w tym miejscu, z którego przed sześciu laty wsiadał do łodzi ratunkowej wraz z Hjertingiem i duńskimi marynarzami z wachty maszynowej. Szalupa podeszła pod rufę, kilka rąk wyciągnęło się z pomocą.

Skoczył i łódź pchnięta wiosłami zaczęła się oddalać.

M/s „Adlernest” pogrążał się, tonał, zatopiony powtórnie przez tego samego człowieka, choć tym razem z zupełnie innych powodów.

Rozdział XXXIV

S/s „Posejdon” wszedł dziobem pod wiatr pomiędzy boje kotwiczne. Opuszczono szalupę; cumy szarpane falami w ciągu trzech dni i nocy znów kolejno powróciły na pokład, aby unieruchomić statek ponad wrakiem.

Nurkowie stali wzdłuż burt, patrząc podejrzliwie i niechętnie na liczne ogniska baniek powietrza i większe bąble wydobywające się na powierzchnię. W pokładzie, w spojeniach poszycia, w grodziach „Adlernest” z pewnością pootwierały się szczeliny i szpary. Pontony zapewne także ciekły. Wrak syczał, bulgotał, pieniał się, jakby zawierał ładunek niegaszonego wapna, które zaczęło kipieć w zetknięciu z wodą.

– To wygląda, jakby morze dostało odry – powiedział Habza.

– Kiepsko wygląda – mruknął Orbach i odwrócił się z niesmakiem.

Wachel i Siwiec zeszli na dno, żeby przeprowadzić ogólną inspekcję. Ich sprawozdanie wcale nie było pocieszające. „Adlernest” leżał bardziej niż przedtem pochylony na lewą burtę, przy czym jego rufa przesunęła się nieco w prawo. Cały kadłub wyszedł z gruntu jak ząb wyrwany z dziąsła, a powietrze uciekało z niego na wszystkie strony. Liny, przewody i węże tworzyły skłębioną bezładną płataninę, w której trudno się było rozeznąć. Pontony trzymały się jeszcze, z wyjątkiem trzeciego prawoburtowego, który zerwał poprzeczne umocnienia i leżał na dnie obok wraku.

Wachel był zdania, że przed nadejściem zimy nie da się tego wszystkiego doprowadzić do porządku, a w każdym razie – nie da się podnieść statku. Na dobrą sprawę trzeba wszystko zaczynać od nowa...

Naczelnym inżynierem wysłuchał go uważnie, a następnie zapytał, co się dzieje z trzecim pontonem lewoburtowym.

Wachel był jakby trochę zaskoczony tym pytaniem. Milczał przez chwilę, marszcząc czoło.

– Z trzecim? – powtórzył wreszcie. – Trzeci ponton zatonał.

– To z prawej burty – odrzekł Jakus. – A z lewej?

– Z lewej? Z lewej chyba jest na miejscu – powiedział Wachel niepewnie. – Tyś go oglądał, Pietrek? – zwrócił się do Siwca.

Siwiec wzruszył ramionami.

– Ja przecież byłem po przeciwnej stronie.

– Ale byłeś także i na pokładzie.

– Byłem – odparł chłopak – ale kazaliście mi tylko sprawdzić wiązania u prawej burty. Trzeci prawoburtowy pozrywał liny poprzeczne i leży na stropach przy samej prawej burcie. A lewego nie widziałem.

Wachel zastanawiał się przez chwilę. Nagle uderzył się dłonią po udzie.

– Już wiem! – wykrzyknął. – Tam są przecież tylko dwa pontony! Jakże ja tego od razu nie zauważyłem?!

– To rzeczywiście dziwne – zgodził się Jakus z nutą lekkiej ironii w głosie. – Cóż się stało z trzecim według was?

– Bo ja wiem... Chyba się zerwał i wypłynął, jak stąd odeszliśmy po zatopieniu rufy. Miał na to dość powietrza; aż za dużo – powiedział Wachel rzucając dokoła niespokojne spojrzenia. – Zawory miał przecież zamknięte, a przeciekał niewiele. Musiało go znieść na pełne morze – mówił dalej ośmielony milczeniem naczelnego inżyniera, który zdawał się rozważać taką możliwość. – Musiało go znieść kawał drogi, zanim zatonał wskutek tego przecieku. No – w każdym razie – nie ma go tutaj.

– A stropy? – rzucił Jakus. – Widzieliście przynajmniej zerwane stropy?

– Nie – odrzekł Wachel po namyśle. – Stropów nie widziałem.

– To dziwne – powtórzył inżynier. – Nie bardzo dokładnie oglądaliście to wszystko – dodał niezadowolony.

Wachel poczuł się dotknięty. Trzeba tam zejść na ten przeklęty wrak, żeby wiedzieć, co można, a czego nie można dostrzec w ciągu godziny, jak się ma obejść cały statek. W dodatku po takim sztormie! Człowiek musi się przedzierać na pokładzie jak przez zasieki z drutów kolczastych. Kto i kiedy je rozplącze? A jeżeli nawet, to i cóż z tego? Zaczynać taką robotę w połowie września – to przecież na nic się nie zda. Następny sztorm znów wszystko zepsuje...

Jakus już go nie słuchał. Rozmawiał z Barnatem i z Grabieniem wydając im szczegółowe instrukcje, co mają zbadać po opuszczeniu się na wrak.

Grabień, pełniący dyżur nurka alarmowego, był już w skafandrze, tylko bez hełmu. Barnat ubierał się przy pomocy Kobosa, który zastępował Gerta.

Z daleka od strony Helu ukazała się motorówka P. R. O. z dawno oczekiwaną pocztą i zbliżała się szybko. „Posejdon” przetrwał całe trzy doby u wejścia do zatoki, nie odchodząc do Gdyni, ponieważ kapitan Hornung spodziewał się, że lada godzina sztorm ucichnie i będzie można wrócić na zwykłe stanowisko. Te rachuby zawiodły, a motorówka, która po raz ostatni przybyła na dzień przed owym sztormem, dopiero teraz została wysłana ponownie.

Grabień miał nadzieję, że tym razem kieruje nią Teresa i spoglądał co chwila w jej stronę. Jakus zauważył jego roztargnienie, obejrzał się również i zrozumiał: Teresa istotnie stała za sterem. Uśmiechnął się do niej i wraz z innymi wznosił rękę powitalnym gestem. Lecz zaraz potem zwrócił się do Barnata.

– Nie wierzę w ten urwany ponton – powiedział. – Wachel przegapił go po prostu. Musicie to obaj szczegółowo zbadać: położenie stropów, umocnienia poprzeczne, zamocowanie węży – wszystko. Opuścimy wam linę, żebyście po niej mogli zejść z wraku na dno, bo tam nie ma trapów. Jeżeli zdążycie, to opuścimy potem także trapy i nowe liny zejściowe. Ale nie śpieszcie się; zależy mi na bardzo szczegółowym sprawozdaniu.

– Rozumiem – odrzekł Antoni. – Zrobi się.

Teresa wchodziła na pokład. Grabień, prowadzony przez swego sygnalistę, Pawlika, zatrzymał się, żeby z nią zamienić choć parę słów. Wzięła go pod rękę i we troje podeszli ku platformie.

– Stęskniłem się za tobą okropnie – mówił Rafał. – Tyle ci mam do powiedzenia i akurat na mnie wypada kolej...

– Zostanę, póki nie wrócisz – powiedziała Teresa. – Mam zresztą masę spraw do załatwienia.

Przycisnęła jej rękę.

– Tak się cieszę, że wróciłaś i że cię znów widzę – szepnął.

Szukał jej spojrzenia, a gdy je spotkał, wydało mu się, że czyta w jej oczach potwierdzenie tego, co mu napisała w ostatniej kartce: „Będzie, jak zechcesz”.

Przepełniło go to niewypowiedzianym szczęściem. Cała jego rozterka, wszystkie wątpliwości i jadowite podszepty zazdrości rozpląnęły się nagle. Należała do niego! Nie zmieniła się. Przecież nie mogła się zmienić!

– Za dwie godziny będę z powrotem – powiedział jeszcze. Wstąpił na platformę. Pawlik zakreślił mu szybkę w hełmie i cofnął się wraz z Teresą. Platforma podjechała w górę, bom przeniósł ją za burtę i opuścił przy jedynej linii zejściowej.

Teresa podeszła do Jakusa i Barnata, któremu sygnaliści już założyli hełm. Antoni wstał i pochylił się ku niej.

– Wyglądasz jeszcze ładniej niż zwykle – powiedział zaglądając jej w oczy. – Nie przypuszczałem, żeby to w ogóle było możliwe, ale widocznie tak jest. Jeżeli tyfus tak wpływa na urodę, to między dziewczętami wybuchnie epidemia!

Teresa potrząsnęła głową.

– Każ mu, żeby przestał – zwróciła się do Jakusa.. – Zawsze sobie ze mnie podkpiwa.

– Niech mnie śledzie zjedzą, jeżeli nie mówię serio! – wykrzyknął Antoni. – Słowo daję, wycalaowałbym cię zaraz, gdybym nie miał na sobie tyle żelastwa!

Jakus roześmiał się.

– Na to byłoby więcej amatorów – powiedział mrużąc oko. – Rafał powinien się mieć na bacności.

Antoni, który nie spuszczał wzroku z twarzy Teresy, zauważył, że usta jej drgnęły. Wymienili krótkie spojrzenie. Jej oczy pociemniały, przygasły, jakby cofnęły się w głąb. Ich wyraz, którego Rafał nie potrafił rozpoznać, odkrył przed Barnatem całą głębię bezradnej rezygnacji.

Przy mikrofonie Grabienia zadźwięczał sygnał. Jakus odwrócił się, podszedł do Wachla, który stał przy telefonach.

– Muszę z tobą pomówić, Tereso – powiedział szybko Antoni. – Muszę z tobą jeszcze raz pomówić, zanim... zanim będzie za późno.

Patrzyła mu prosto w oczy ze smutkiem.

– Już jest za późno – wyszeptala. – Mówiłam ci to wtedy, jak tylko wróciłeś. A teraz...

– Nie! – zaprzeczył stanowczo. – Nie jest za późno. To przecież tylko od ciebie zależy.

– Od niego także – powiedziała spoglądając na spienioną wodę za burtą. – Taka już jestem zmęczona – poskarżyła się bardzo cicho, jakby samej sobie czy też morzu, które nie żądało od niej niczego, nie zadawało pytań i nie oczekiwało odpowiedzi.

Antoniemu ścisnęło się serce.

– Tak przecież nie można, Tereso – powiedział łagodnie. – Musimy znaleźć jakieś wyjście. Znajdę je, tylko pozwól mi działać!

– Grabień melduje, że jest na wraku i że lina zejściowa wolna – zawołał Wachel.

Antoni odwrócił się i spotkał jego jadowite spojrzenie.

– Muszę już iść – szepnęła do Teresy. – Ale zobaczymy się wkrótce. Do widzenia, kochana.

Przeszedł obok Wachla, który nie spuszczał z niego wzroku, jakby śledził każde jego poruszenie. Kobos ujął go pod ramię, pomógł mu wejść na platformę, która natychmiast uniosła się w górę.

Zanurzając się u liny zejściowej raz jeszcze ujrzał Teresę. Oparła się o poręcz i patrzyła, jak fale przechodzą coraz wyżej, sięgając jego piersi i barków. Podniósł rękę i pożegnał ją nieznacznym ruchem dłoni, na który odpowiedziała w taki sam sposób.

Jasnozielone bryzgi padły na szybę hełmu, zmaściły, rozproszyły jasność dnia. Gruba, drgająca lina zamajaczyła wprost przed twarzą. Antoni sięgnął po nią i zaczął schodzić w czarną otchłań, na której dnie oczekiwał go Rafał Grabień.

* * *

Dramat, który w pół godziny później rozegrał się na pokładzie m/s „Adlernest” był z początku zupełnie niezrozumiały zarówno dla Teresy, jak dla całej ekipy ratowniczej, nie wyłączając naczelnego inżyniera i Czełusniaka. Nikt nie mógł zorientować się, o co właściwie chodzi, któremu z nurków i jakiego rodzaju niebezpieczeństwo zagraża. Odgłosy, jakie za pośrednictwem kabli telefonicznych dochodziły z głębi na pokład „Posejdona”, sygnały, okrzyki i gwałtowne szarpnięcia przewodów powietrznych zdawały się świadczyć o jakiejś rozpaczliwej walce rozgrywającej się na wraku lub o niepojętej katastrofie. Ich sprzeczność i gwałtowność wprowadzały w błąd tym

bardziej, że słowa i głosy były niewyraźne, stłumione przez szum powietrza w hełmach i bulgotanie wody u zaworów wydechowych.

To, co zaszło pomiędzy Barnatem a Grabieniem, i to, co się później stało na głębokości dwudziestu kilku metrów pod powierzchnią morza, okrywała nieprzenikniona tajemnica, sprzyjając najpotworniejszym podejrzeniom i domysłom. Okoliczności i drobne fakty poprzedzające owe tragiczne wypadki urosły nagle do niebywałych rozmiarów, nabierając w oczach niektórych świadków szczególnego znaczenia i rzucając ponure światło na całą sprawę. Każdy zresztą oceniał je na swój sposób, kojarząc je inaczej i wyciągając stąd inne wnioski.

Tak na przykład Kazimierz Wachel, którego uwagi nie uszedł nawet najdrobniejszy szczegół rozmowy i rozstania się Antoniego z Teresą, był przekonany, że Barnat działał z premedytacją, może nawet za wiedzą Rachwałówny. Wachel podejrzewał od dawna, że Antoni stara się pozyskać jej względy. Lecz od kilku dni był w posiadaniu dowodu! Dowodu, który przypadkiem wpadł mu w ręce.

To było owo wymarzone odkrycie, ten nadzwyczajny zbieg okoliczności, ten ślad wyraźny i niedwuznaczny, odsłaniający nagle rąbek tajemnicy – list, który wypadł z kieszeni Barnata; list, który go zdradził w tej chwili, gdy wszyscy podziwiali jego odwagę i męstwo, gdy rzucił się w morze, aby otworzyć zawory pontonów i zatopić rufę m/s „Adlernest”.

Ten list w zmiętej kopercie Wachel podniósł z pokładu i później odczytał go kilkakrotnie, jakby chciał wbić sobie w pamięć każde jego słowo.

Nie wiedział, kto to jest Sabina – kobieta, która napisała do Antoniego, żeby się „bronił”. Nie starał się nawet tego odgadnąć. Wystarczała mu sama treść tego krótkiego listu, dotycząca tych trojga: Barnata, Grabienia i Rachwałówny. To, o czym się dowiedział, stanowiło wielki krok naprzód. Ufał, że wkrótce dowie się o innych jeszcze sprawkach „tego przybłądy”, jak w myślach nazywał Antoniego.

I oto teraz miał go już w ręku. Był tego tak pewien, że nie śpieszył się z ujawnieniem swych rewelacji. Postanowił to odłożyć na zakończenie jakiejś wielkiej sceny, w której wyznaczył sobie rolę miecza sprawiedliwości spadającego na kark przestępcy.

Czeluśniak również podejrzewał Barnata. Tacy ludzie zdolni są do wszystkiego – od dezercji z walczących szeregów do machinacji walutowych i od romansowania z cudzymi żonami do zabójstwa. Nie zastanawiają się nad tym, co czynią, a potem wydaje się im, że wszystko zdołają ukryć i z wszystkiego się wyklamią. Tak zapewne było i w tym wypadku.

Natomiast myśl o tym, aby Teresa w jakikolwiek sposób świadomie przyczyniła się do rozwoju tragicznego zakończenia tej sprawy, w ogóle nie przychodziła mu do głowy.

Naczelny inżynier nie posuwał się tak daleko w swoich domysłach. Przypuszczał, że to, co się stało, było wyłącznie dziełem nieszczęśliwego przypadku, a jeśli w jego umyśle powstał jakiś cień podejrzenia, to dotyczący jedynie niedostatecznych być może środków ostrożności, które Barnat powinien był zastosować jako kierownik zespołu.

Teresa, która miała najwięcej powodów do wątpliwości i podejrzeń, doznała tak sprzecznych uczuć, że nie mogła wyrobić sobie żadnego zdania co do czyjejkolwiek winy, z wyjątkiem swojej własnej. Aż do czasu wyjaśnienia owej tragedii jej stan psychiczny graniczył ze skrajną rozpaczą.

Większość nurków skłaniała się do poglądu Czeluśniaka. Tylko Pałamarz, Habza i Gert odnieśli się z powątpiewaniem do tych domysłów i poszlak, a Michał Orbach po prostu oświadczył, że nie wierzy w te wszystkie „kryminalne fantazje” i nie chce nawet o nich słyszeć, dopóki śledztwo nie ujawni całej prawdy.

* * *

Przebieg wypadków – tak jak je przeżyli ludzie obecni na pokładzie statku ratowniczego – był następujący.

W kilka minut po opuszczeniu platformy Barnat zameldował, że jest na pokładzie wraku i że schodzą obaj z Grabieniem na dno, aby najpierw obejść statek dokoła, przy czym Antoni będzie szedł wzdłuż prawej burty, Rafał zaś wzdłuż lewej, póki nie spotkają się za rufą.

Po tym meldunku nastąpiło dłuższe milczenie. Sygnaliści podali kolejno, ile metrów przewodów wybrał każdy z nurków, i śledząc posuwające się naprzód ich ślady w postaci pękających na powierzchni banieczek powietrza, liczyli marki węży, które nadal spełzały za burtę.

Zespół Jedynaka przygotowywał się do objęcia następnej zmiany.

Teresa w oczekiwaniu na magazyniera i intendenta, którzy byli czymś zajęci, usiadła obok Stanisława Jakusa przy mikrofonach, a Wachel, nie mogąc usiedzieć spokojnie na miejscu, kręcił się opodal, spoglądając na nią ukradkiem i obracając w głowie jedyny problem, jaki całkowicie pochłaniał jego myśli: w jaki sposób przyłapać Barnata na popełnieniu lub zaniedbaniu czegoś, co zaważyłoby decydująco na jego opinii.

Doktor Bacz rozmawiał z Czeluśniakiem i z Gertem jeszcze niezdolnym do pracy po wywichnięciu ramienia.

Orbach, którego stan zdrowia również pozostawiał wiele do życzenia po przebytej grypie, grał się w promieniach słońca, owinięty kocem na leżaku.

Od chwili gdy Rafał i Antoni zeszli na dno, minęło piętnaście minut.

Pawlik powiedział głośno:

– Sygnał od Grabienia: wybrać luz.

– Gdzie on jest? – spytał Jakus.

– Doszedł do rufy i wraca – odrzekł Pawlik.

– A gdzie jest Barnat? Kobos obejrzał się.

– Barnat jeszcze nie doszedł. Wybiera dalej przewody. Znowu zaległo milczenie. Po dłuższej chwili Pawlik zameldował:

– Grabień się zatrzymał. I zaraz znowu:

– Trzy od Grabienia⁶.

Aż dotąd wszystko odbywało się normalnie, choć niezupełnie tak, jak to było ustalone. Nurkowie mieli spotkać się u rufy wraku; Grabień powinien był tam zaczekać na Barnata. Coś go skłoniło do zmiany postępowania.

Wtem w jego mikrofonie odezwały się jakieś szmery – inne niż dotąd; jakby hełm ocierał się o coś. Potem jakiś okrzyk i – cisza.

Naczelny inżynier nastawił ucha. Lecz Grabień milczał. Natomiast Kobos zameldował, że Barnat żąda wybrania luzu.

– Obszedł rufę i jest przy lewej burcie – dodał.

Teraz zgrzytało coś w mikrofonie Antoniego, a następnie oba przewody przestały się poruszać. Piąt minut, sześć minut, siedem... Jakus zaniepokoił się.

– Zasygnalizujcie „raz”⁷ Grabieniowi – powiedział do Pawlika.

Sygnalista szarpnął linkę, przeczekał kilkanaście sekund, szarpnął powtórnie.

– Nie odpowiada – zawołał.

Wachel podszedł do telefonu, ale inżynier go uprzedził.

– Halo, Grabień! Grabień!

Milczenie.

Nagle oba przewody drgnęły i w obu mikrofonach odezwały się podniesione głosy. Nie można było zrozumieć słów, lecz mogło się zdawać, że nurkowie są czymś bardzo podnieceni. Ich hełmy raz i drugi zetknęły się z sobą. Potem Barnat krzyknął głośno i wybrał szybko dwa lub trzy metry węża, a potem zaczęła się ta gwałtowna szarpanina przewodów, której towarzyszyły niezrozumiałe odgłosy, jakby zadawanych i odpieranych ciosów czy też nagłych upadków i tarzania się po pokładzie wśród stalowych lin ocierających się i uderzających o hełmy. Wreszcie – przejmujący okrzyk, nie wiadomo już czyj, głuchy łoskot, jęk i straszliwa cisza.

Wszystko to razem trwało zaledwie kilka lub kilkanaście sekund, tak że na pokładzie „Posejdona” nikt nie przemówił ani słowa. Ludzie zastygli w bezruchu jak kamienne posągi wyrażające najwyższe napięcie nerwów wobec jakiegoś przerażającego i tajemniczego zjawiska.

⁶ Tj. trzy szarpnięcia linki – sygnał z żądaniem wybrania luzu.

⁷ „Raz” – jedno szarpnięcie linki bezpieczeństwa. Sygnał ten oznacza pytanie, czy wszystko w porządku.

Patrzyli na siebie skamieniali w pół gestu, w połowie słowa, z otwartymi ustami, rzekłbyś – rażeni prądem elektrycznym.

Wtem na powierzchnię morza nad wrakiem wydarł się z głębi rój wielkich bąbli powietrza. Zabulgotał głośno, rozprysnął się i znikł. Tylko drobne bańki pieniały się nadal w tym miejscu. Jednocześnie rozległ się terkoczący, jakby ochrypty sygnał przy mikrofonie Grabienia i trwał bez przerwy jak rozpaczliwy alarm wzywający pomocy.

– Co to? – spytała Teresa blada jak papier.

– Jakies zwarcie w kablu – powiedział Faustyniak, który pełnił obowiązki chronometrażysty.

Jakus znów wzywał Barnata, lecz na próżno. Obejrzał się na Jedynaka, któremu już zakładano hełm.

– Są chyba na pokładzie – powiedział. – Zobaczcie najpierw przy lewej burcie, w tym miejscu, gdzie trzeci ponton. Spieszcie się. Nie rozumiem...

Nagle sygnał ucichł. Wachel naciskał kolejno kontakty telefonów.

– Na wraku! Na wraku! Halo, na wraku!

– Nie odpowiadają – mruknął, jakby tylko potwierdzając to, czego oczekiwał. – Ten przybędą mu tam dogodził...

Teresa nie mogła zrozumieć, do kogo się to odnosi. Serce tłukło jej się gwałtownie, przerażenie skuło krtań ciasną obręczą.

Usłyszała czyjś zmieniony, nabrzmiały wysiłkiem, przerywany, niewyraźny głos, który szamotał się w mikrofonie. Raz po raz jakieś słowa wyskakiwały spośród tego bełkotu:

– ... ponton... i przygniótł go!... Zaraz na powierzchnię!... Krwotok!... Prędko!

Nie mogła rozpoznać, kto mówi, lecz zrozumiała, że stało się coś strasznego, i szalona obawa o życie człowieka, którego nigdy nie przestała kochać, wydarła jej z piersi krzyk:

– Antek! Ratujcie go!... Antek!

Wachel przyglądał się jej przez chwilę zdumiony. Grymas tryumfalnego uśmiechu wykrzywił mu usta. Potrząsnął jej ramieniem.

– To Barnat mówi! – rzucił jej prosto w twarz. – Barnat! Rozumie pani? Niechże pani słucha!

Mikrofon przestał chrypieć i bełkotać. Antoni powtarzał:

– Podnieście natychmiast Grabienia. Ponton go przygniótł!

– No, słyszy pani? – dopytywał się Wachel. – Teraz już pani wie...

Teresa oparła się ciężko o poręcz. Nogi ugiwały się pod nią, wszystkie siły zdawały się ją opuszczać, a krew spłynęła do serca, które biło z trudem, jakby lada chwila miało się zatrzymać. Huragan myśli krótkich jak błyskawice, szaleńczych, budzących trwogę i rozpacz, zapierających dech swoją potwornością przemknął przez jej głowę i urwał się raptownie, pozostawiając za sobą czarną pustkę: świat zawirował jej w oczach, zawałił się z hukiem.

Ktoś zawołał:

– Zabierzcie ją stąd! Zemdleje!

Wyprostowała się z wysiłkiem.

– Nie. Zostawcie mnie. Ja muszę... Już mi lepiej.

Ujrzała przed sobą twarz doktora Bacza, który o coś pytał.

– Nie, nie – powtarzała z uporem. – Ich ratujcie... jego...

Pawlik i Osmoła szybkimi chwytami wybierali przewody u burty. Pelc i Staszko stali po pas w wodzie na platformie opuszczonej tuż obok. Gdy postać w skafandrze ze zwisającymi bezwładnie rękami i nogami wyłoniła się na powierzchnię – podobna do zepsutego pajaca z urwanym sznurkiem, który ktoś szarpnął zbyt mocno – wciągnęli ją ostrożnie między siebie.

Zanim jeszcze platforma przeniosła ich na pokład, Pawlik odbezpieczył gwint i przy pomocy Osmoły zdjął hełm z głowy Rafała.

Doktor Bacz spytał, jak długo Grabień był pod wodą.

– Równo trzydzieści minut – odrzekł Faustyniak.

– Trzeba go zaraz przenieść do kabiny rekompresyjnej – powiedział lekarz. – Zdejmijcie mu tylko gorset.

Podczas gdy sygnaliści spiesznie odkręcali nakrętki motylkowe przytrzymujące nakładki na bolcach, Czełuśniak dobył noża, pochylił się nad Grabieniem i odciął taśmy z ciężarkami, a potem wiązania jego butów. Naramienniki i ochronna płyta miedziana z trudem dały się zdjąć: były zgięte i odkształcone.

Twarz doktora Bacza zasępiła się. Z kącika bladych ust Rafała płynęła wąska strużka krwi. Krwawa piana wydobywała się z jego drgających nozdrzy.

– Żyje? – spytał cicho Jakus.

– Tak – odrzekł Bacz. – Żyje.

Teresa, która stała za nimi, nie śmiać spojrzeć spoza ich pochylonych pleców na twarz rannego, dosłyszała tę odpowiedź. Doznała pewnej ulgi. Jakus zwrócił się ku niej.

– Żyje – powtórzył. – Może to nic groźnego – dodał siląc się na optymizm.

Umyślnie zasłaniał sobą głowę Rafała, żeby nie zobaczyła tej krwi. Pawlik i Osmoła ujęli drażki noszy, podnieśli je z pokładu i wolno szli w stronę otwartych drzwi kabiny rekompresyjnej. Teresa poruszyła się, jakby chciała pójść za nimi, ale Jakus ją powstrzymał.

– Zostań lepiej tutaj. Bacz ma do pomocy sanitariusza.

Skinęła głową. Czowała, że nie starczy jej sił, aby się tam na co przydać.

Przy telefonie zadźwięczał sygnał. Wachel zgłosił się niezwłocznie. Oczy biegały mu tu i tam, omijając Teresę i Jakusa, a po chwili znieruchomiały w wyrazie zgorzzonego zdumienia i oburzenia.

– Barnat pyta, co z Grabieniem – powiedział głośno. – Ciekawy jest, czy żyje...

Jakus nie zwrócił uwagi na jego szyderczy ton. Podszedł do mikrofonu.

– Żyje – powiedział. – Doktor Bacz jest przy nim. A wam nic się nie stało?

– Nie – odrzekł Antoni. – Byłbym go odciągnął, gdyby nie te przeklęte liny. Czy nic mu nie grozi?

Naczelnny inżynier zawahał się. Spojrzał na Teresę.

– Jeszcze nie wiemy. Możliwe, że to tylko coś powierzchownego.

– To ja bym tu został – powiedział Antoni. – Obejrzę ten ponton. Leży teraz na dnie. Ile mam czasu?

Jakus spojrział na tabelę, którą podsunął mu Faustyniak.

– Prawie dwadzieścia minut.

– Wystarczy.

Zawór w jego hełmie znów zaczął dyszeć. Linka, w ręku Kobosa drgnęła szarpnięta dwukrotnie: „Więcej luzu”. Sygnalista odpowiedział w ten sam sposób i przewód Barnata znów zaczął zwolna opuszczać się za burtę.

* * *

Czełuśniak nadszedł od strony kabiny rekompresyjnej. Nic pewnego jeszcze nie wiedział o Grabieniu. Widział tylko przez szybę, jak doktor Bacz porozcinał na nim kombinezon i swetry. Rekompresja miała potrwać dwadzieścia osiem minut; dopiero potem będzie można czegoś się dowiedzieć.

– Naturalnie trzeba go zaraz odstawić do szpitala – dodał.

Jakus skinął głową.

– Może będzie się porozumieli z kapitanem Hornungiem, żeby dał kogoś ze starszych marynarzy do prowadzenia motorówki – powiedział stłumionym głosem. – Obawiam się, że Rachwałówna... Ona jest tak zdenerwowana tym wypadkiem...

– Ja myślę! – mruknął starszy nurek.

Wachel pilnie nadstawiał ucha. Każde słowo wyrzeczone przez tych dwóch miało swoją wagę. Rozmawiali po cichu, lecz słyszał ich dobrze, bo stali tuż obok, poza mikrofonami, z dala od Teresy.

– Chciałbym także – powiedział inżynier – żebyście z nimi pojechali do Gdyni. Tam trzeba będzie zawiadomić dyrektora Zięboraka i pewnie także prokuraturę.

– Pewnie! – zgodził się Czełuśniak. – Diabli wiedzą, jak to było. Na waszym miejscu, inżynierze, nie spuszczałbym z oka tego Barnata, wiedzcie to sobie.

– Barnata? – powtórzył Jakus. – Myślicie, że on tu coś zawinił? Dlaczego?

Czełuśniak machnął ręką.

– Może tak, może nie. Ja ich od dłuższego czasu miałem na oku: Barnata i Grabienia. Różne sprawy tam pomiędzy nimi były. Barnat miał swoje powody, żeby mu źle życzyć...

– Ależ oni przyjaźnili się z sobą! Barnat nieraz...

– Z początku się przyjaźnili – przerwał Czełuśniak. – Ostatnio bardzo się to zmieniło. Ja tam nigdy Barnatowi nie dowierzałem. Wcale by mi to nie było dziwne, gdyby... No, niech się tym zajmą ci, co będą prowadzili dochodzenia.

Jakus nie podtrzymywał już tego tematu. Znał Czełuśniaka dość dobrze, aby wiedzieć o jego podejrzliwości i nieufności. Pomyślał o Teresie: nie można jej tak zostawić bez opieki.

– Mam do was także osobistą prośbę – powiedział. – Chodzi mi o Rachwałównę. Ona jest, wiecie, moją chrześniaczką...

– Uhm – mruknął Czełuśniak. – Ledwie to wyszło z choroby i masz!

– Więc chciałbym, żebyście także zatelefonowali do Sabiny, to jest do mojej żony, żeby się nią zajęła. Może by ją zabrała na parę dni do siebie, do Oliwy...

– Rozumiem, rozumiem – potakiwał Czełuśniak. – Załatwię to, bądźcie spokojni.

Jakus powierzył mu jeszcze jakieś sprawy techniczne, po czym starszy nurek odszedł, aby przygotować się do drogi, a naczelny inżynier usiadł z powrotem obok Teresy, aby ją namówić na czasowe zamieszkanie w Oliwie u Sabiny.

Wachel nie słuchał już tego. Był tali podniecony i zaskoczony, że ledwie mógł się opanować.

Sabina! Nie znał dotąd żadnej kobiety o takim imieniu. To imię wydało mu się rzadkie i niezwykle. Bodajże po raz pierwszy z nim się zetknął.

Nie! Po raz drugi! Właśnie po raz drugi!

Tym imieniem był podpisany ów krótki list do Barnata; list, który zdaniem Wachla stanowił wystarczający dowód jego winy...

Czyżby autorką tego listu była żona naczelnego inżyniera? Ba, z pewnością! Chyba nie wchodziła tu w grę jeszcze jakaś inna Sabina!

Zważył w myśli i tę możliwość.

Nie, to było nieprawdopodobne. Więc...

Poczuł się jak człowiek, który chcąc rozpaść niewielkie ognisko, aby przy nim upiec skromną pieczeń, w ostatniej chwili dostrzegł, że ułożył drwa na górze prochu strzelniczego.

To odkrycie wstrząsnęło nim. Zrobiło mu się słabo, jakby otrzymał kopnięcie w brzuch; miał uczucie, że ziemia na chwilę zatrzymała się w swym obrocie i nagle zaczęła, się kręcić w przeciwną stronę.

Opanował się wysiłkiem woli. Nie miał wcale ochoty upiec się w tym ogniu, który zamierzał podpalić pod nogami Barnata, a to właśnie zdawało się mu zagrażać. Nie, nie; tak nie można: nie chciał się nawet poparzyć przy tej okazji.

Żona naczelnego inżyniera, Sabina Jakusowa, wplątana w taką historię przez niego, przez Kazimierza Wachla... Dałby mu Jakus awans!

Lecz przecież jeżeli ten list nie znajdzie się w aktach śledztwa, Barnat może się wywinąć z rąk sprawiedliwości. Któż udowodni, że był sprawcą wypadku, gdy na przykład Grabień umrze nie odzyskawszy przytomności?

Sama myśl o tym przejęła Wachla dreszczem zgrozy i wstrętu, jakby od ukąszenia węża. W tej chwili gorąco życzył Grabieniowi szybkiego powrotu do zdrowia i długich lat życia, choć bynajmniej nie darzył go sympatią.

Była to jednak zbyt krucha podstawa, aby jej zawierzyć. Grabień istotnie mógł umrzeć: kiedy go nieśli do kabiny rekompresyjnej, już wyglądał na nieboszczyka, a pogięty, zgnieciony gorset wcale nie wróżył o pomyślnym stanie jego płuc i kości.

Należało więc działać. Ale jak?

Posłać ten list anonimowo prokuratorowi? Może by to nawet wystarczyło do wyświecenia prawdy. Chociaż – kto wie? Taka anonimowa przesyłka zwykle wydaje się podejrzana. Jej wartość jako dowodu znacznie maleje. Co innego, gdy do komisji śledczej zgłasza się ktoś osobiście i mówi na przykład tak: „Znalazłem ten list w dniu wypadku na korytarzu w pobliżu kajuty Barnata. Ze względu na szczególne okoliczności rzuciłem okiem na treść i uważam za swój obowiązek...” Tak, coś w tym rodzaju.

No dobrze, ale Jakus!...

Wachel sądził naczelnego inżyniera według własnej miary. Nie wątpił, że zemsta tego człowieka dosięgnęła go prędzej czy później, i to w sposób bardzo dotkliwy...

Już on by mnie wykończył za tę swoją Sabinę – pomyślał. Przez chwilę ubolewał nad moralnością tej kobiety: to dopiero ziółko! Poduszczać człowieka do takich rzeczy – no! Ciekawe, jaki w tym miała interes?

Splunął z obrzydzeniem. Jego opinia o kobietach w ogólności spadła jeszcze niżej, choć i tak nigdy nie był o nich dobrego mniemania. Ale zaraz porzucił te jałowe refleksje. Nie prowadziły do niczego, a czas upływał. Trzeba było coś postanowić.

Pomyślał o dyrektorze Zięboraku i potrząsnął głową: zwachają się z Jakusem i nic z tego nie wyjdzie; ręka rękę myje.

Gdyby Paluch był jeszcze na swoim dawnym stanowisku, można by do niego... Ale Palucha już wygryźli.

Poczuł się bezsilny, otoczony jak gdyby murem nie do przebycia. Nikt mu nie pomoże. Nikt się za nim nie ujmie. Taki Barnat – awanturnik i przybłęda – znajduje u wszystkich więcej uznania niż on, Kazimierz Wachel, spokojny, uczciwy człowiek...

U wszystkich? Hm. Czeluśniak nie dowierzał Barnatowi.

Czeluśniak! Jak mógł dotąd pominąć w swych rozważaniach osobę Czeluśniaka?!

Gończkowo chwycił się tej myśli i zaczął ją obracać w głowie na różne strony.

Gdyby Czeluśniak miał w ręku ten list – czy zawahałby się przed jego ujawnieniem? Z pewnością nie! Nawet by mu nie przyszło na myśl zastanawiać się, czy sobie tym zaszkodzi. Samemu Zięborakowi by nie darował; porwałby się i na komisję śledczą, i na całą prokuraturę, byle wyświecić prawdę! I to nie mając w tym żadnego osobistego interesu.

Tylko że Czeluśniak był nieobliczalny; nie można było polegać na jego dyskrecji; nie można było przyjść do niego i powiedzieć: „Tu jest taki a taki list, który wypadł z kieszeni Barnata. Zróbcie z niego właściwy użytek, ale nie wspominajcie o mnie ani słowem”. Nie można było, bo Czeluśniak nie potrafiłby zrozumieć motywów tego zastrzeżenia i wcale by się z nim nie liczył. Nie działałby jak lojalny sprzymierzeniec; przeciwnie: poświęciłby człowieka jak nic, żeby wywlec z niego wszystko do dna, całą prawdę. No, a wtedy Jakus i tak musiałby się dowiedzieć, komu właściwie zawdzięcza kompromitację swojej żony...

Tak, tak. Z Czeluśniakiem trzeba było postępować ostrożnie. Na przykład – podsunąć mu list z ostrzeżeniem. Albo – jeszcze lepiej... Ależ tak! On sam go powinien znaleźć! Po prostu – natknąć się na ten świstek papieru!

Ta myśl wydała się Wachlowi genialna. Na razie pozostałby w cieniu, a później – przy jakiejś okazji – mógłby nawet dać do zrozumienia starszemu nurkowi, że przyczynił się walenie do ukarania zbrodni. Tym sposobem osiągnąłby wszystkie korzyści, pozostawiając komu innemu wybieranie kasztanów z gorącego popiołu.

Głos Faustyniaka wyrwał go z tych rozmyślań.

– Godzina dla Barnata!

Obejrzał się na Jakusa, który w odpowiedzi skinął głową:

– Niech się przygotuje do wynurzenia.

Kobos trzykrotnie szarpnął linkę. Po chwili powiedział:

– Cztery od Barnata.

Wachel zażądał opuszczenia platformy na pierwszą stację dekompresyjną, dwanaście metrów pod powierzchnią wody. Drugą platformę przygotowano już dla zespołu Jedyńaka, który miał

umocować na wraku nowe liny zejściowe i trapy. Jakusa wezwano do zamówionej rozmowy radiotelefonicznej z dyrekcją P.R.O. Dębosz przyszedł zastąpić Wachla przy mikrofonach.

Przez cały ten czas Teresę nurtował straszliwy niepokój.

Teraz, gdy Jakus oddalił się na chwilę, nie mogła już znieść tego napięcia, od którego jej nerwy zdawały się wibrować coraz gwałtowniej. Nie mogła dłużej czekać w okropnej niepewności. Chciała pójść do kabiny rekompresyjnej, zobaczyć doktora Baczą, dowiedzieć się wreszcie, co grozi Rafałowi.

Wstała i trzymając się poręczy postąpiła parę kroków naprzód, ale musiała się zatrzymać. Ogarnęło ją osłabienie, zalało, zatopiło jak ciepła woda podchodząca aż do ust.

Ścisnęła z całej siły poręcz, żeby nie upaść. Pokład chylił się to w tę, to w ową stronę pod jej nogami, światło dnia zmętniało, a otaczające ją przedmioty zaczęły się rozplýwać tracąc ostrość kształtów i barw. Jakaś niewyraźna biała plama pojawiła się wśród tego rozmazanego obrazu i zakryła sobą wszystko. Wtem tubalny głos doktora Bacza zahuczał nad Teresą, a jego siła jak gdyby powstrzymała dalszy rozpad świata.

– Aha, jesteś tu, Heleno ⁸, córko Ledy i Zeusa! Trzeba tego biedaka, Menelausa czy też może Parysa? – diabli wiedzą, który to z nich jest Spartaninem, a który Trojańczykiem – kto by się tam w tych waszych sprawach połapał? – trzeba go jak najprędzej odstawić do szpitala.

Teresa za mało znała mitologię grecką, aby zrozumieć, dlaczego ma być Heleną, i aby rozstrzygnąć, czy Rafał jest Menelausem, Antoni zaś Parysem, czy też odwrotnie; znała natomiast dość dobrze doktora Baczą, aby wiedzieć, że jego żartobliwy sposób wyrażania się często osłania myśli wcale niewesołe.

Zapytała go wprost, czy Rafał będzie żył.

Bacz skrzywił się, jakby miał wypić szklanekę octu.

– Nie jest z nim dobrze – powiedział otwarcie. – Ale może... Widziałem jeszcze gorsze wypadki i ludzie z tego wychodzili. Zaraz go przeniosą do motorówki...

Urwał nagle i spojrzał krytycznie na jej śmiertelnie bladą twarz.

– E, moja mała, z tobą też jest kiepsko. Chodź no ze mną. Muszę ci dać coś na wzmocnienie.

Wziął ją pod rękę i zaprowadził do ambulatorium.

* * *

Łódź kołysała się u trapy „Posejdona”, podrzucana niespokojną falą. Zanosiło się znów na wichurę, a od zachodu ciągnęły stada chmur ciężkich od deszczu.

Doktor Bacz nie opuszczał Grabienia, którego ułożono w kajucie na składanym łóżku polowym. Rafał był nadal nieprzytomny. Dotąd nie udało się zatamować krwotoku, a zachodziła również obawa, że ma uszkodzony kręgosłup.

Teresa siedziała przy nim i od czasu do czasu ocierała krew ukazującą się na jego posiniałych wargach. Była już opanowana, jakkolwiek bardzo przygnębiona. To, że mogła się na coś przydać i pomóc Baczowi w opiece nad Rafałem, uspokoiło jej nerwy i podtrzymało siły bodaj skuteczniej niż dawka bromuralu.

Trzeci mechanik s/s „Posejdona” miał poprowadzić motorówkę do Gdyni. Czekali tylko na Czełuśniaka, któremu naczelny inżynier przekazywał jakieś raporty i wykazy dla dyrekcji.

Obaj nadeszli niebawem, a w ślad za nim ukazał się Wachel, jakiś dziwnie zmieszany, jakby czymś wytracony z równowagi, i jeszcze bardziej ponury niż zwykle.

Nie powiodło mu się. Jego rachuby zawiodły: Czełuśniak po prostu nie zauważył listu Sabiny podrzuconego na korytarzu u drzwi kajuty, którą zajmował na wprost kabiny Barnata; przeszedł spieszenie obok, nie patrząc pod nogi.

Wachel, który się tam kręcił w pobliżu, przeklinał w duchu jego roztargnienie. Znalazł się w położeniu strzelca, który chybił mając zaledwie jeden nabój w lufie. Jeśli nie chciał wyrzec się

⁸ Helena – postać z mitologii greckiej – żona spartańskiego króla Menelausa, którą porwał książę trojański Parys. Stało się to powodem długoletnich wojen między Troją a Grecją. Helena uchodziła za najpiękniejszą kobietę starożytności.

całkowicie swego planu, pozostało mu teraz tylko' spotkanie wręcz z wymykającą się okazją, co stwarzało poważne ryzyko.

Nie mając jednak innego wyboru, postanowił zaryzykować. W chwili gdy Czełuśniak z teką papierów pod pachą zbliżył się do trapu, aby zejść do łodzi, i postawił już nogę na pierwszym stopniu, Wachel schylił się, udając, że podnosi z pokładu złożony we czworo list, i powiedział:

– Coś wam tu wypadło.

Czełuśniak zatrzymał się, mruknął coś pod nosem, wziął papier, zawahał się przez mgnienie oka, czy go nie rozwinąć, wreszcie w pośpiechu wsunął go do teczki i wsiadł do motorówki.

Wachel rzucił szybkie spojrzenie na prawo i na lewo. Nikt nie zwrócił uwagi na to drobne zajście. Odetchnął z ulgą: udało się!

Motor ruszył, woda za rufą wzburzyła się od obrotów śruby i łódź zaczęła się oddalać.

Rozdział XXXV

Barnat natychmiast odczuł otaczający go złowrogi nastrój. Kobos i Pawlik, którzy zdjęli mu hełm i pomagali ściągać ekwipunek, unikali jego wzroku i milczeli obaj, nie zadając zwykłych pytań, jakimi sygnaliści witają swego nurka na powierzchni.

Na jego pytanie o stan Grabienia Dębosz odpowiedział półgębkiem, że jest źle i że motorówka zabrała go do Gdyni. Potem odwrócił się do niego tyłem, udając, że jest bardzo zajęty zespołem Jedyńaka, który kończył zakładanie trapów na wraku i z kolei miał rozpocząć dekompresję na pierwszej stacji pod wodą.

Z powodu rosnącej fali i wiatru praca została wstrzymana i tylko Andrysiak czekał jeszcze w pogotowiu jako nurek alarmowy. Sygnaliści Jedyńaka i pozostali nurkowie spoglądali na Barnata chmurnie, zamieniając tylko między sobą jakieś szeptem wypowiedane uwagi.

Chłopiec z warsztatu, należący do ekipy powierzchniowej, przysłany przez Bronka Cybulskiego po naramienniki i płyty ochronne od skafandra, który Grabień miał na sobie, potknął się przechodząc obok Antoniego i upuścił je na pokład. Miedziane blachy jęknęły głośno, Barnat zaś drgnął zaskoczony tym niespodzianym hałasem i mimo woli zatrzymał spojrzenie na pogiętym gorsecie.

Wachel, stojąc naprzeciw niego, potrącił lekko końcem buta jedną z podkładek.

– Czysta robota – odezwał się z szyderczym uznaniem, niby do siebie, lecz tak, żeby go wszyscy słyszeli. – Lepiej nie można było tego wykombinować!

Barnat uniósł głowę.

– O czym wy mówicie? – spytał.

– O tym – odrzekł Wachel potrącając znów blachę. – O tym i o pontonie, który to zgniótł jakby na zamówienie.

Barnat wzruszył ramionami.

– I któż to „wykombinował” waszym zdaniem?

– Mnie się pytacie? – warknął Wachel. – Nie ja tam byłem, tylko wy sami! Was się o to będą pytać.

Antoni nagle wstał i wyprostował się, co tak przestraszyło Wachla, że odskoczył w bok. Dopiero po tym gwałtownym odruchu zrozumiał, że nie był to żaden zamierzony atak na jego osobę: Barnat wstał po prostu po to, aby uwolnić się od skafandra, który zwisał mu dokoła bioder, a dokonawszy tego sięgnął po swój niebieski chałat wiszący na gwoździu obok ławki. Wdziawszy go i zawiązując czerwoną chustkę na szyi, na pozór obojętnie rozglądał się dokoła, jakby uznał zaczepkę Wachla i jego ostatnią odpowiedź za nazbyt głupie, żeby na nie zareagować.

Wachel zaś, zrazu zmieszany i rozdrażniony swoją pomyłką, rozzuchwiał się teraz na dobre.

– Patrzcie go, jaki elegant – zwrócił się do Andrysiaka, który siedział na drugiej ławce obok. – A jaki dumny! Z byle kim nie będzie gadał; dopiero z sędzią śledczym albo z prokuratorem. Tylko że im oczu nie zamydli tak jak innym...

Barnat znów na niego spojrzał, jakby tylko przypadkiem, a potem przenosił wzrok kolejno z jednej twarzy na drugą, jak gdyby chciał ich wszystkich policzyć i zapamiętać.

Spuszczali oczy albo patrzyli na niego posepnie i twardo w zupełnym milczeniu. Coś niejasnego, wstrętnego i strasznego kryło się w tym milczeniu; coś, co otaczało go ze wszystkich stron, czaiło się za nim, skradało się ku niemu pełzając, wijąc się u nóg, podnosząc głowy i obmacując go lepkiem spojrzeniem.

Uśmiechnął się gorzko i pogardliwie zarazem, a potem ruszył wprost przed siebie przez pokład ku wejściu do kajut. Gdy ich mijał kolejno, przeprowadzali go wzrokiem, który czuł na sobie aż do drzwi.

Ani jedno słowo nie zostało wypowiedziane więcej, lecz to milczenie wydało się Antoniemu aż nazbyt wymowne. Oskarżali go. Oskarżali go o coś więcej, niż mógł przypuszczać; o coś potwornego, czemu Wachel dał wyraz swoimi napastliwymi uwagami.

Głuchy gniew, gorycz, obrażona godność własna przepęniały mu serce. Zaciśnął szczęki. Nie będzie nawet odpierał tych podłych zarzutów, gdy mu je postawią. Byłoby to zbyt uwłaczające.

To robota Czeluśniaka – pomyślał. – Tylko w jego wyobraźni mogły powstać takie podejrzenia.

Pchnął drzwi swojej kajuty i spotkał się oko w oko z Pałamarzem, który widocznie zamierzał wyjść.

– No, jesteś – mruknął Hipolit. – Miałem właśnie pójść po ciebie.

– Bo co? – spytał Barnat szybko.

– Naczelný po ciebie przysyłał, żebyś złożył sprawozdanie o tym nieszczęśliwym wypadku. Tymczasem przesłuchują Faustyniaka, Wachla i sygnalistów. Masz się zgłosić za godzinę.

Antoni przenikliwie patrzył mu w oczy.

– Ach, więc są i tacy, którzy uważają to za wypadek? – spytał z ironią.

Pałamarz uniósł w górę brwi.

– A za co mają uważać?

– Za co? No, sądząc z ich zachowania się – za coś w rodzaju zabójstwa czy nawet morderstwa.

– Zwariowałeś?! Co ci się przywidziało?

– Nie przywidziało mi się. Już mnie tym poczęstowali. Wachel nawet orzekł, że to „czysta robota”, a Czeluśniak pewnie też sobie użył na zapas.

– Wachel! Wachel by cię w łyżce wody utopił, gdyby tylko mógł. A Czeluśniak – on takie sprawy trzyma dla siebie, nie dla innych. Mógłby ci taką rzecz powiedzieć w oczy, ale nie za plecami. Zresztą nie ma go; pojechał do Gdyni z doktorem i z Grabieniem.

– No, ale inni już mnie tu osądzili – powiedział Antoni.

– E! – Pałamarz wzruszył ramionami. – Nikt nie wie, co się właściwie stało, i ludzie plotą między sobą trzy po' trzy. Orbach już ich za to obsztorcował, a Gerta i Habzę trzeba było trzymać, bo omal nie pobili tego durnia, Wachla.

Barnat uśmiechnął się przelotnie. Jego zawziętość topniała. Przebierał się spiesźnie, podczas gdy Pałamarz mówił dalej:

– Żaden normalny, logicznie myślący i nieuprzedzony człowiek nie będzie dawał posłuchu podobnym bzdurom. Ale powinieneś zrozumieć, że po takim wypadku muszą być dochodzenia. Jakus też musiał natychmiast zameldować o tym dyrekcji, a Zięborak kazał cię przesłuchać komisyjnie, jak tylko wrócisz na pokład. I ciebie, i innych także. Biorąc rzecz bezstronnie, to jest w porządku. Sam na jego miejscu zrobiłbyś to samo, nie?

– Ja też o to do nikogo nie mam pretensji – mruknął Barnat. – Jak Rafał odzyska przytomność, potwierdzi moje zeznania.

– Żeby tylko odzyskał... – odrzekł Hipolit.

Antoni spojrzał na niego zaskoczony.

– Myślisz, że mi nie uwierzą?

– Myślę, że ani kapitan Hornung, ani Jakus nie będą mieli żadnych wątpliwości co do twoich zeznań. Osmoła... bo ja wiem? On też jest w tej komisji. Ale nie o to chodzi. Po prostu obawiam się, że Rafał nic już nie zezna...

– Ach tak... – Barnat przygryzł wargę. – To by było...

Chciał powiedzieć: „To by było najgorsze, co by mnie mogło spotkać”, ale powstrzymał się. Nagły przyływ żalu ścisnął mu serce. Więc było aż tak źle!

Pomyślał o matce Rafała. Miała go tylko jednego na świecie.
– Biedak! – westchnął. – Tym razem nie zdążyłem mu pomóc...

* * *

Drugi oficer „Posejdona” pisał:

...Pouczony o obowiązku zeznawania prawdy i uprzedzony o odpowiedzialności za fałszywe zeznania, świadek Antoni Barnat zeznaje:

Postawił dwukropek, odłożył pióro i spojrział wyczekująco na kapitana Hornunga, który wypełniał sobą wygodny trzcinowy fotel.

Stary marynarz podniósł wzrok na Barnata, który siedział po przeciwnej stronie stołu.

– Teraz powiedzcie szczegółowo, co zaszło.

Antoni zaczął mówić spokojnym, opanowanym głosem, zwracając się zarówno do niego, jak do Jakusa, jakby oczekując od tego ostatniego potwierdzenia, że nie pomija żadnych szczegółów, które mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Opuściwszy się po linie zejściowej na dziobowy pokład wraku tuż obok elektrycznej windy kotwicznej, zastał tam Grabienia, który czekał na niego, tak jak się umówili przed zanurzeniem. Barnat zameldował, że wraz z nim schodzi na dno, i wzięwszy z sobą zwój konopnej liny uwiązał ją u podstawy dzwonu okrętowego na samym dziobie, opuszczając drugi koniec w dół, po lewej burcie. Zeszli po tej linie kolejno – najpierw Grabień, potem on, i rozstali się: Grabień poszedł wzdłuż lewej burty, on zaś wzdłuż prawej, aby najpierw obejrzeć statek i pontony od dołu.

Prawa burta poniżej linii wodnej wydawała się zupełnie szczelna. Wyżej trudno było coś dojrzeć, ale górną jej część Barnat zamierzał obejrzeć później, wróciwszy na pokład „Adlernest”. Tymczasem, doszedłszy do trzeciego pontonu, mniej więcej w połowie długości statku, stwierdził, że ten ponton zatonał, jakkolwiek w dniu przypadkowego wynurzenia się rufy nikt nie zdążył otworzyć jego zaworów wodnych. Nie było w tym jednak nic dziwnego: trzecia para pontonów ciekła niemal od chwili ich umocowania na stropach, przy czym prawoburtowy tracił o wiele więcej powietrza niż przeciwny.

Zgodnie z tym, co już poprzednio podali Wachel i Siwiec, liny poprzeczne, mocujące ów ponton do pokładu szalupowego, zostały zerwane. Olbrzymi cylinder całkowicie wypełniony wodą opadł o jakieś trzy metry poniżej poziomu, na jakim był wyrównany, i osiadł na dnie obok wraku.

Barnat obszedł go po zewnętrznej stronie, dostrzegł w mroku dwa następne pontony, które wysoko nad jego głową tkwiły u boku statku, i znalazł się pod samą piętą rufy, za śrubami i płetwą steru, wysoką prawie na cztery metry.

Dawniej zarówno obie śruby, jak ster były niewidoczne, całkowicie wrosłe w grunt. Teraz – gdy „Adlernest” dźwignął się był ze swego głębokiego łoża, a następnie wykręciwszy się rufą z wiatrem opadł na dno opodal – Antoni mógł je obejrzeć dokładnie.

Grabienia jeszcze nie było, więc Barnat jakiś czas tam na niego czekał. Gdy tak stał na wprost potężnej stalowej płyty steru, pod rufą piętrzącą się nad nim jak nawa niebosiężnej katedry – nagle zauważył, że wszystko to zaczyna powoli chylić się w prawo, jakby statek miał przewrócić się na bok.

Zapewne przetarłby oczy, gdyby to mógł uczynić; podniósł nawet machinalnie rękę do twarzy, ale natrafiwszy dłonią na szybę hełmu uprzytomnił sobie niepodobieństwo wykonania tego zamiaru. Po chwili zresztą nabrał zupełnej pewności, że nie ulega złudzeniu. Wrak pochylił się na prawą burtę o kilka stopni i teraz wracał do pionu, aby go minąć i pochylić się znacznie bardziej w lewo. Kołysał się!

Był to zdumiewający, wprost niesamowity widok – ten trup wielkiego statku, który ożył na dnie trzydziestopięciometrowej głębi i przewalał się tam leniwie z burty na burtę, jak zakotwiczony na bezpiecznej, spokojnej redzie osłoniętej od wiatru.

Barnat w ciągu minuty lub nawet dłużej nie mógł od niego oderwać wzroku.

Wreszcie jednak przypomniał sobie o umówionym spotkaniu z Grabieniem, ponieważ zaś Rafał nadal się nie zjawiał, postanowił pójść mu naprzeciw.

Przeszedł teraz pod pierwszym i drugim pontonem lewoburtowym, które również nie zmieniły swego położenia, lecz gdy się zatrzymał u stropów trzeciego – nie mógł go dojrzeć w górze. A przecież ponton musiał tam być! Świadczyły o tym stropy, napięte i biegnące wzwyż niemal pionowo. Gdyby ponton zerwał się z ich uwięzi i wypłynął – opadłyby na dno.

Barnat domyślił się od razu, że ten fakt uderzył również Grabienia, który zapewne wspiał się na pokład wraku po jednym ze stropów, aby to zbadać. Postanowił zrobić to samo i zasygnalizował do Kobosa, aby ten wybrał luz jego przewodów.

Otrzymałszy odpowiedź, przykręcił nieco zawór wylotowy w hełmie, co uczyniło go „lekkim” wzmagając wypór całego jego ubioru. Tym sposobem bez wysiłku, posługując się tylko rękami, podciągnął się po stropie aż na pokład „Adlerness”.

Przelazł przez połamany, pozrywany reling nad burta, uregulował z powrotem zawór i spojrzał w górę, tam dokąd sięgały wyprężone stropy. Wielka ciemna masa pontonu majaczyła niewyraźnie ponad nim!

To było coś bardziej jeszcze zdumiewającego niż lekkie kołysanie się wraku. Statek kołysał się zapewne dlatego, że osiadł kilem na nierównym, trochę wypukłym gruncie, nie przylegając do niego całą powierzchnią swego dna; jakiś prąd – raz silniejszy, raz słabszy – mógł go poruszać. Nie było też wyłączone, że wpływ fal morskich sięga aż do tej głębokości udzielając się statkowi pozostającemu w chwiejnej równowadze. Ale jakim cudem ponton o średnicy siedmiu metrów, nie zerwawszy stropów, mógł znaleźć się o cztery metry pod pokładem, tego Barnat z początku nie mógł odgadnąć. Wyglądało to tak, jakby podwójne stalowe stropy wyciągnęły się jak guma, każdy o dobre dziewięć metrów, co było zupełnie niemożliwe, nawet gdyby ich wydłużenie sięgało tylko dziewięciu centymetrów! A jednak...

Zamiast łamać sobie głowę nad natychmiastowym rozwiązaniem tej zagadki, Antoni postanowił najpierw odszukać Grabienia i zaczął rozglądać się za nim po wąskim pokładzie między burta a ścianą oddzielającą kajuty oficerów pokładowych.

Posuwał się z trudnością poprzez płataninę cieńszych lin stalowych, którymi trzeci ponton był umocowany poprzecznie do szlupbelek na wyższym pokładzie szalupowym, a które teraz pozrywane i skłębione zalegały niemal całą wolną przestrzeń zwisając z góry jak pajęczyna, snując się spiralnymi zwojami u nóg i wypełzając za burta. Doszedł do końca pokładu zamkniętego ścianą kabin pasażerskich, ale Grabienia tam nie było, więc zwrócił się w przeciwną stronę. Wtedy dostrzegł przewód zsuwający się po ścianie z pokładu szalupowego, a po chwili w ślad za przewodem ukazał się i Grabień.

Opuścił się w dół, stanął obok Barnata i zbliżywszy się tak, że ich hełmy dotykały się wzajemnie, powiedział:

– Hak na wierzchu pontonu jest urwany, a pętle stropów częściowo wystają z kanałów przelotowych u spodu.

– No to na czym się ten ponton trzyma? – spytał Barnat podnosząc głos, żeby Rafał mógł go słyszeć.

– Na stalówkach! – krzyknął z kolei Grabień. – Do pętli stropów były uwiązane stalówki, o te! – wskazał na splecione liny. – Cały kłęb wlaź do kanałów, jak ponton zaczął wypływać. Pewnie by się z nich zemknał, ale aa stalówkami weszły tam połamane poręcze nadburcia i wszystko to się zablokowało. Teraz ponton trzyma się na tych linach. Widać je z góry.

– Byłeś tam? – spytał znów Barnat.

– Byłem aż na pomoście kapitańskim!

Antoni obejrzał się. Ten pomost przykrywał sterownię i kabinę nawigacyjną, stanowiąc zarazem dach nad nimi, wznoszący się prawie tak wysoko jak komin statku. Ponton, który tylko wskutek splecia się poprzecznych lin nie mógł wypłynąć na powierzchnię, znalazł się na równym poziomie z tym pomostem.

– Rozumiem – mruknął Antoni. – Mieliśmy szczęście, że się te stalówki nie urwały od pętli stropów...

Wtem jego bystry wzrok rozróżnił czerwony przegub węża pomiędzy nawiewnikami na pokładzie szalupowym.

– To twój przewód! – zawołał do Grabienia. – Daj sygnał Pawlikowi, żeby wybrał luz, bo się zaplącze.

Rafał trzykrotnie szarpnął linką, lecz odpowiedź nie nadeszła, a wąż nadal nieruchomo zwisał z pokładu. Na powtórny sygnał też nie było odpowiedzi.

Już się zaplątał – pomyślał Barnat. – Sygnał nie dochodzi na powierzchnię.

Grabień usiłował ściągnąć węża i linkę ku sobie, lecz poddały się tylko o metr. Trzeba było wracać, żeby je sklarować.

Antoni stał bliżej i był wyższy. Postawił nogę na balustradzie, dźwignął się w górę, chwycił jedną ręką słupek relingu i wciągnął się na pokład. Od razu dostrzegł pętlę przewodów owiniętą dokoła nawiewnika. Odwinął ją i w tej samej chwili, trzymając jeszcze węża i linkę w ręku, zauważył, że z pontonem dzieje się coś niezwykłego. Sztywne, napięte stropy wygięły się, zaczęły zwisać kładąc się na dolny pokład jak łodygi wędnących roślin. Ponton tracił resztę wyporu: słychać było bulgotanie powietrza, które uchodziło z niego wielkimi bąblami; tonął...

Tonał, opadając prosto na pokład, gdzie stał Grabień. Nabierał pędu, bulgotał raz po raz groźnie, zjeżdżał w dół jak szala olbrzymiej wagi...

Barnat krzyknął, ale natychmiast uświadomił sobie, że Grabień nie mógł go usłyszeć z tak wielkiej odległości, więc szarpnął jego linką.

Teraz Rafał spojrzał ku niemu, lecz zapewne nie rozumiał jego rozpaczliwych gestów, bo odstąpił jeszcze parę kroków w tył, tak że znalazł się akurat pod krawędzią pontonu.

Wielka czarna masa waliła się na niego z rosnącą szybkością. Barnat sam musiał się cofnąć przed jej natarciem, a widząc, że nie zdoła uprzedzić Grabienia przed straszliwym niebezpieczeństwem, z całej siły pociągnął jego przewody.

Miało to ten skutek, że Rafał upadł i został gwałtownie szarpnięty naprzód. Byłby uniknął zgniecenia, gdyby nie to, że uwiązał wśród kłębowiska lin, które Barnat ciągnął z nim razem. Zaczął się czołgać na czworakach, ale za późno zrozumiał, co mu grozi.

Olbrzymia masa pontonu z piekielnym zgrzytem otarła się o brzeg wyższego pokładu łamiąc go jak cienką sklejkę i wyginając ściany kajut pod nim, a potem tępo uderzyła o krawędź burty i stoczyła się na dno morza.

W sekundę potem Barnat był już obok Grabienia, który wprawdzie nie został zmiażdżony, jak Antoni się tego obawiał, lecz prawdopodobnie uderzony lub przygnieciony krawędzią pontonu, bo leżał nieprzytomny pomiędzy burtą a zniekształconą ścianą nadbudówek. Barnat odwrócił go na wznak i zobaczył krew na jego ustach. Wtedy telefonicznie zażądał, aby natychmiast wyciągnięto Grabienia na powierzchnię, i zaczął klarować jego przewody splątane z linami. W pośpiechu zapomniał, że wzywając pokład „Posejdona” nie zamknął zaworów w helmie,

skutkiem czego to wezwanie mogło zostać nie zrozumiane, więc powtórzył je raz jeszcze.

Gdy zaczęto wybierać węża i linkę Rafała, oddawał je chwyt za chwyt, póki nie wyczerpał się cały ich luz, następnie zaś przeniósł rannego przez wąski pokład i dopiero upewniwszy się, że nie grozi mu już uwikłanie się między kłębowiskiem stalówek, pomyślał o sklarowaniu własnych przewodów. Wreszcie, dowiedziawszy się od naczelnego inżyniera, że stan Grabienia nie jest groźny – tak przynajmniej rozumiał jego oględne słowa – i że pozostało jeszcze dwadzieścia minut do pełnej godziny zanurzenia, postanowił wykorzystać ten czas na zbadanie pontonu, który dopiero co zatonął.

* * *

Na pytanie kapitana Hornunga, Antoni oświadczył, że to jest wszystko, co wie w tej sprawie, i że nie pragnie nic więcej dodać.

Hornung z kolei zapytał Jakusa i Osmołę, czy nie mają jakich pytań dodatkowych.

Jakus przecząco poruszył głową:

– Nie. Teraz to wszystko jest dla mnie jasne i zgadza się w zupełności z moimi obserwacjami na pokładzie.

– A wy, Osmoła?

Nurek zawahał się.

– Możecie zadawać pytania na każdą okoliczność, jeżeli macie jakiegokolwiek wątpliwości – powiedział poważnie kapitan.

Osmoła spojrzawszy zezem na Antoniego.

– Ja bym się chciał zapytać – zaczął wolno – dlaczego to Barnat poszedł na pokład szalupowy klarować przewody Grabienia, zamiast jego samego tam posłać? I czy przypadkiem wcześniej nie zauważył, że ponton zaczyna tonąć; właśnie zanim wszedł na ten wyższy pokład?

Barnat zacisnął pięści, ale nie stracił panowania nad sobą.

– Poszedłem na pokład szalupowy zamiast posyłać tam Grabienia, bo szkoda było czasu na rozmowy – odrzekł. – Stałem tuż przy balustradzie podtrzymującej ten pokład; mogłem tam wejść bez niczyjej pomocy, a Grabień jest niższy ode mnie – zajęłoby mu to więcej czasu niż mnie. Co się tyczy momentu zauważenia, że ponton zaczyna tonąć, to powtarzam: spostrzegłem to dopiero po sklarowaniu przewodów Grabienia.

Osmoła wysłuchał tego oświadczenia utkwivszy wzrok w blacie stołu, po czym z wyrazem powątpiewania uniósł brwi w górę.

– Może tak było – mruknął bez przekonania. – A teraz jeszcze jedno. Barnat nam tu powiedział, że Grabień został przygnieciony czy też uderzony krezą. Ta kreza jest wysoka: odstaje o pół metra od ściany pontonu. Może gdyby Barnat nie pociągnął przewodu, to Grabień upadłby nie pod krezę, tylko obok i wtedy nie zostałby przygnieciony. A może ponton w ogóle by go nie dotknął tam, gdzie stał? Może to dopiero te przewody pociągnęły go pod krezę? No bo przecież Grabień był bliżej stropów niż Barnat, więc sam musiał zauważyć, że opadają na pokład. Jakby mu co groziło, to by się usunął. A że stał w miejscu, to widocznie wcale nie znajdował się pod pontonem, tylko obok. I dopiero przewody go tam zawlokły.

Antoni bladł i czerwieniał na przemian słuchając tych pytań, które padały wolno, wypowiedane rozwlekłe, jakby klejąc się i przylepiając do niego. Poczucie niezasłużonej hańby objęło go śliskimi splotami jak macki ośmiornicy. Wzdrażał się przed jej dotknięciem, lecz nie mógł odeprzeć tych zniewag i wstrętnych podejrzeń nie chwycivszy potwora za głowę.

Spojrzawszy na trzech przesłuchujących go ludzi.

Kapitan Hornung poruszył się niecierpliwie, jakby chciał zaprotestować przeciw podobnym pytaniom, ale pod wpływem gestu Barnata, który dał mu znak, że chce odpowiedzieć, zmienił zamiar. Spod nastroszonych siwych brwi, pomiędzy którymi powstała pionowa zmarszczka, patrzył wprost w oczy Antoniemu. Siedząc głęboko w trzcinowym krześle z poręczami, na których oparł łokcie i dłonie, wyglądał jak surowy patriarcha, ze swą białą brodą opadającą na piersi. Zdawał się przenikać Barnata wzrokiem, ważąc w myśli słowa Osmoły, które całkowicie zmieniały obraz, jaki był sobie stworzył. Postaci tego obrazu przybrały odmienny kształt i wyraz, przesunęły się; światło padało na nie pod nowym kątem, pomijając jedne, a wyjaskrawiając inne szczegóły. Nie dowierzał tej zmianie, ale chciał ją rozpatrzyć gruntownie. Czekał, co odpowie ten śmiałek, który przyciągał jego sympatię i który teraz najwidoczniej całą siłą woli hamował się, aby nie wybuchnąć gniewem.

Inżynier Jakus bębnił lekko po stole palcami i również patrzył na Barnata, otwarcie i jasno, z takim samym przychylnym choć bystrym wyrazem, jak wówczas gdy go zobaczył po raz pierwszy w swoim gabinecie biurowym w Gdyni. Jego wiara w ludzi, w ich dzielność i uczciwość, w przewagę dobrych instynktów nad złymi nie pozwalała mu wątpić w to, że Antoni mówi prawdę. Nie podejrzewał go – w każdym razie nie podejrzewał ani przez chwilę, żeby Antoni umyślnie chciał narazić Grabienia na śmierć czy choćby tylko na kalectwo. Nie przywiązywał wielkiej wagi do napomknienia Czełuśniaka o zatargu pomiędzy Barnatem a Grabieniem, to zaś, co w ujęciu Osmoły mogło wyglądać na insynuację, uważał po prostu za niezręcznie sformułowaną próbę wszechstronnego wyjaśnienia sprawy.

Osmoła unikał wzroku Barnata. Z początku nie zapędzał się tak daleko w swych domysłach i podejrzeniach. Dopiero po rozmowie z Wachlem „otworzyły mu się oczy”, jak to przyznał sam przed sobą. Chodziło przecież ni mniej, ni więcej tylko o życie ludzkie; o życie Rafała Grabienia, z którym Osmoła razem kończył szkołę nurków; o życie jednego spośród nich – młodych, zdolnych, dzielnych chłopaków!

Gdyby to nawet był tylko nieszczęśliwy wypadek, obowiązkiem członków komisji było dążyć do wykrycia sprawcy, do ustalenia stopnia jego winy. A w danych okolicznościach zachodziły jeszcze inne możliwości...

Osmoła nieświadomie powtarzał to, co Wachel mu podszeptał, a przy tym był dumny z przenikliwości, którą – jak mu się zdawało – wykazał wobec kapitana i naczelnego inżyniera.

Z drugiej jednak strony, to co Wachel uważał za całkowicie pewne, Osmołą wydawało się chwilami zbyt potworne. Wtedy ogarniały go wątpliwości – jakby lęk przed straszną pomyłką: jeśli w końcu okaże się, że Barnat niczemu nie zawinił... Na samą myśl o tym nie wiedział, gdzie ma podziąć oczy.

Barnat zaś przez chwilę dyszał ciężko, jakby pasując się z sobą, a wreszcie zaczął mówić twardo i dobitnie, zwracając się tym razem wprost do Osmoły:

– Widzę, do czego wy zmierzacie, Osmoła, tymi pytaniami. Po co ta okrężna droga i po co pytania? Lepiej przecież wprost powiedzieć, o co mnie podejrzewacie – wy, i Wachel, i inni. Nie macie odwagi mówić po prostu? Ja wam mogę wprost odpowiedzieć. Nie spowodowałem tego wypadku ani umyślnie, ani przez nieuwagę. Gdybym nie odciągnął Grabienia od burty, gdyby tam został o sekundę dłużej, ponton by go zmiażdżył. Tylko dzięki temu, że szarpnięte przeze mnie przewody powaliły go na pokład, uniknął śmierci. Gdyby się nie zaplątał między linami – pewnie by z tego wyszedł cało.

– Na czym się opierają wasze podejrzenia? – zapytał po krótkiej przerwie. – Na tym, że poróżniliśmy się z Grabieniem w naszych prywatnych, osobistych sprawach? I wam się zdaje, że to wystarczy, żeby ze mnie zrobić mordercę?!

Milczał chwilę, jakby czekał na odpowiedź, a potem, spojrzawszy na kapitana Hornunga i Jakusa, mówił dalej:

– Mógłbym wam nie odpowiedzieć na takie pytania, bo zeznaję tu jako świadek, nie jako oskarżony i nie przed sądem, tylko przed komisją, która mnie sądzić nie będzie. Ale odpowiem z dobrej woli. Nie pierwszy raz starałem się Grabieniowi pomóc w niebezpieczeństwie, tak samo zresztą, jakbym, pomagał każdemu innemu, gdyby było trzeba, i tak samo, jak Grabień mnie by dopomógł pomimo osobistych zatargów. Wszyscy o tym wiedzą i nie dlatego wam to przypominam, żeby się przechwalać. Wtedy udało mi się uratować go przy pomocy innych; teraz udało mi się przynajmniej ocalić mu życie. Nie mam innego świadka poza nim, że tak było, jak to zeznałem. Ale wystarczy, żeby on to potwierdził. Więc jego zapytajcie, nie mnie, bo ja nic już więcej nie mam do powiedzenia i na takie pytania w ogóle nie będę odpowiadał.

Kapitan Hornung poruszył się znowu, jakby chciał coś powiedzieć, gdy wtem zadzwonił telefon.

– Gdynia chce mówić z inżynierem Jakusem – powiedział radiotelefonista.

– Jestem przy telefonie – odrzekł Jakus.

Przez chwilę trwało milczenie. Potem zgłosiła się „Gdynia-Radio”.

– Proszę mówić ze szpitalem miejskim w Gdyni.

– Słucham – powtórzył naczelnny inżynier. – Tak, to ja.

Antoni patrzył na niego z niepokojem. Nie mógł rozróżnić następnych słów przekazywanych z daleka przez fale radiowe, ale dosłyszał pierwsze zdanie.

Szpital miejski... Niewątpliwie chodziło o Rafała.

Jakus nie przerywając swemu rozmówcy milczał lub potakiwał krótko.

Jego pogodna twarz spochmurniała. Brwi zbiegły się nad oczyma i usta drgnęły. Potrząsnął głową.

– Tak. Rozumiem. Doktor Bacz ją zawiadomi? Dobrze. Niech zostaną i wrócą dopiero po wszystkim. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i spojrzął dokoła po obecnych.

– Grabień zmarł przed chwilą – powiedział cichym głosem.

* * *

Nikt się nie odezwał i milczenie zawisło wśród pięciu mężczyzn w niewielkiej kajucie.

Barnatowi pociemniało w oczach, jakby nagły zmierzch opadł na morze i wypełnił sobą przestrzeń.

Grabień umarł... Było coś nieprawdopodobnego w zestawieniu tych dwóch wyrazów, w tym krótkim zdaniu określającym fakty nie do wiary. Ten zręczny, żywy, bystry chłopiec, błyskający nagłymi spojrzeniami i uśmiechem, nieopanowany – jakby za szybko reagujący na najłagodniejsze nawet bodźce zewnętrzne, które natychmiast wprawiały w ruch jego mięśnie – był przecież uosobieniem życia. Trudno było wyobrazić go sobie inaczej niż w ruchu. Trudno było uwierzyć, że jego ciało, niespokojne, giętkie jak sprężyna, szybkie jak iskra wyskakująca z krzesiwa, jest już sztywne, zimne i nieruchome na zawsze.

Barnat uświadomił sobie, że już ani jedno słowo nie padnie z ust Rafała na potwierdzenie jego zeznań. Nikt i nic już nie zdoła rozwiać teraz podejrzeń, które go otaczały. Jeśli sąd go uniewinni – w co zresztą nie wątpił – to przede wszystkim z braku dowodów, nie z przekonania o jego niewinności. Ale ta sprawa jak cień powlecze się za nim, przyłgnie do niego i będzie mu towarzyszyć wszędzie, gdziekolwiek się obróci.

A Teresa... Teresa była teraz wolna, lecz to bynajmniej go do niej nie zbliżało. Przeciwnie: wydało mu się, że traci ją nieodwołalnie. Miała więcej powodów do podejrzeń niż ktokolwiek inny. Czyż nie powiedział jej przy rozstaniu, że znajdzie rozwiązanie tej sytuacji, w której się znaleźli we troje wraz z Rafałem? I czy tragiczna śmierć Grabienia mogła w jej umyśle nie kojarzyć się z tym oświadczeniem?

Musiało to nią wstrząsnąć straszliwie. Musiało w niej wzbudzić odrazę i pogardę. Musiało zabić, zniweczyć wszelkie inne uczucia.

Teresa z pewnością uważa go za nikczemnika, za mordercę. Może nawet przypisuje część winy sobie?... Może czyni sobie wyrzuty z powodu własnej słabości wobec Antoniego, którego podłych zamiarów nie zdołała przeniknąć?

Jakże mógł teraz oczyścić się z tej hańby, jaka zwała się na niego, stokroć gorsza, potworniej sza niż owa miazdząca masa pontonu, która niosła z sobą tylko śmierć! Obezwładniła go, owinęła się dokoła niego jak wąż i dusiła go w swych splotach.

Natrętny, nagłący sygnał telefonu zadzwieczał znowu, przerywając te jego ponure myśli. „Gdynia-Radio” ponownie wzywała inżyniera Jakusa.

Tym razem mówił dyrektor Zięborak.

– Jest tu u mnie Marian Czełuśniak – powiedział, gdy Jakus się zgłosił. – Wiecie już pewnie, że nie dało się uratować Grabienia?

– Tak – odrzekł naczelny inżynier. – Przed chwilą telefonowali ze szpitala.

– Więc w związku z tą smutną sprawą... Czełuśniak tu do mnie przyszedł i domaga się, żebym was natychmiast zawiadomił... Aha: i was, i wszystkich na pokładzie „Posejdona”! Żeby wszystkich powiadomić o zeznaniach, jakie Grabień złożył przed śmiercią.

– Tak, słucham – powiedział Jakus spoglądając na Barnata.

– Otóż Grabień wobec Czełuśniaka i doktora Bacza oświadczył, że Barnat uczynił wszystko, aby go ocalić. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie wiedziałem, że jakieś wątpliwości były, ale Czełuśniak bardzo się tym przejmuje. Stoi tu nade mną i... Co jeszcze? Jassne!... Powiedziałem już: nie ma najmniejszych wątpliwości, że wypadek nastąpił bez czyjejkolwiek winy i że Barnat zrobił, co mógł, żeby Grabieniowi uratować życie. I – żeby powiadomić załogę? To już mówiłem, jassne...! Całą załogę, no dobrze.

Zwracał się to do Jakusa, to do Czełuśniaka, który zapewne stał tuż przy nim, bo w mikrofonie było słycać także i jego głos.

Naczelny inżynier odrzekł, iż ta wiadomość jest bardzo pożądana i że nadchodzi w samą porę.

– Dlaczego? – spytał Zięborak.

– Ze względu na Barnata – powiedział Jakus. – Powtórzcie to Czełuśniakowi; on wam to wyjaśni.

Zięborak się zirytował.

– Jassne!... Cóż to za jakaś historia?! Nie możecie mówić po prostu?

– To by za wiele było do opowiadania – odrzekł Jakus. – W każdym razie wiadomość jest pomyslna i na czasie. To już wszystko?

Nie. To nie było wszystko: pogrzeb odbędzie się pojutrze rano; Czeluśniak i doktor Bacz wezmą w nim udział jako delegacja z „Posejdona”. Poza tym – dyrektor chciał się dowiedzieć o stanie wraku.

– Dobrze. Tylko to już wam opowie Barnat, bo ja jeszcze sam nie wiem. Zaczekajcie.

Skinął na Antoniego.

– Dyrektor Zięborak pyta o stan „Adlernest”. Możecie mu zaraz powiedzieć?

Barnat przytaknął i wziął słuchawkę. Inżynier powstrzymał go:

– Chwileczkę. Chciałem wam jeszcze powiedzieć, że Grabień przed śmiercią potwierdził wasze zeznanie. Nie ma wątpliwości – ja ich zresztą nie miałem – że nie ponosicie żadnej odpowiedzialności za ten tragiczny wypadek. No, teraz mówcie, co z wrakiem.

* * *

Antoni musiał przezwyciężyć wzruszenie, aby zdobyć się na spokojny, rzeczowy ton. Mówił głosem opanowanym, spoglądając raz po raz na Jakusa, ponieważ to, co miał do powiedzenia, w równym stopniu interesowało naczelnego inżyniera.

Jego zdaniem, sprawa podniesienia m/s „Adlernest” nie przedstawiała się beznadziejnie. Wprawdzie ładownie ciekły w kilkunastu miejscach, ale można je było dość łatwo uszczelnić. Uszkodzenie kajut i lewej burty przez tonący ponton nie miało znaczenia, ponieważ szczelność kadłuba i pomieszczeń położonych nad maszynownią nie odgrywała większej roli. Woda miała być z nich usunięta zwykłymi pompami dopiero po wydobyciu statku na powierzchnię. Pierwszą i drugą parę pontonów należało tylko częściowo wydmuchać i umocować rozluźnione liny poprzeczne między nimi. Trzecią parę zapewne trzeba będzie podnieść z dna i uszczelnić. Prawdopodobnie trzeba będzie także wymienić jeden strop – ten, który wciągnął za sobą cały kłęb lin poprzecznych do kanału przelotowego. Ale może uda się go stamtąd wyciągnąć bez uszkodzenia. Poza tym – uporządkować splecione przewody, podcinać zerwane stalówki, wypróbować pompy wodno-powietrzne w ładowniach, i to by było wszystko. Przy sprzyjającej pogodzie można to zrobić w ciągu tygodnia. Przynajmniej on, Antoni, tak to sobie oblicza.

– No to nie jest jeszcze tak źle – powiedział Zięborak. – Jassne! Co tam znowu? – przerwał sam sobie. – Czekajcie no, bo tu Czeluśniak... Aha: Czeluśniak stanowczo żąda, żeby wam powiedzieć... że co? Ze wam mocno ściska rękę! Jakiś szyfr, jassne, czy co u licha? Więc powtarzam: Czeluśniak wam mocno ściska rękę... Jak? Aha: po koleżeńsku! No, niech będzie. To już wszystko.

Rozdział XXXVI

Pogoda bynajmniej nie sprzyjała ludziom w ich walce z morzem o wrak m/s „Adlernest”. Wprawdzie „Posejdon” nie opuszczał swego stanowiska między bojami kotwicznymi, ale o nurkowaniu przy wysokiej fali i silnym wietrze nie można było nawet myśleć.

Wbrew mniemaniu dyrektora Zięboraka, sprawa podniesienia statku wyglądała źle. Nurkowie byli przemęczeni i wyczerpani fizycznie. Większość z nich od dwóch miesięcy nie schodziła na ląd. Dotąd nadzieja zwycięstwa, które wydawało się bliskie i pewne, podtrzymywała ich siły. Lecz ostatnie zdarzenia – wypłynięcie rufy, a potem śmierć Grabienia przy pracy – osłabiły wśród nich wiarę w powodzenie tego przedsięwzięcia. Ci, którzy od samego początku uważali je za zbyt śmiałe i ryzykowne, zwątpili teraz zupełnie.

Wachel oświadczał każdemu, kto go chciał słuchać, że owszem, wrak można by podnieść, ale tylko za pomocą dużego ładunku dynamitu, który należy umieścić w ładowniach i zdetonować.

– Wtedy – mówił z szyderyczym uśmiechem – zobaczylibyśmy pokład „Adlernest” nie tylko na powierzchni, ale nawet w powietrzu, i raz byłby temu koniec. Inaczej nie zobaczymy go wcale. Nad

tym wrakiem ciąży przekleństwo: nikogo z nas nie ominie tu zła przygoda; jeszcze sobie wspomniecie moje słowa!

Naczelnny inżynier odbył naradę z kapitanem Hornungiem i Czeluśniakiem, na którą wezwano także Barnata, by raz jeszcze rozpatrzyć, co i w jakiej kolejności trzeba zrobić, aby podnieść statek przed zimą. Wszyscy czterej doszli do wniosku, że nie będzie to łatwe, lecz zupełnie możliwe, jeśli tylko uda się przekonać nurków i natchnąć ich nowym zapałem do pracy.

Wyszedszy z kajuty kapitańskiej po tej krótkiej konferencji Czeluśniak zatrzymał Barnata w korytarzu.

– To wam chciałem oddać – mruknął podając mu zmiętą kopertę, którą Antoni natychmiast rozpoznał. – Nie ja wam ten list ściągnąłem, wiedźcie to sobie. Lepiej go spalcie. Mógł nie tylko was zgubić, ale zaszkodzić innym; takim, co wam dobrze życzą. Sam z początku myślałem... No, to już minęło na szczęście. Podacie mi teraz rękę?

Antoni spojrział mu w oczy i bez słowa wyciągnął dłoń. Uścisnęli się mocno, po raz pierwszy od chwili, w której los zetknął ich z sobą.

Barnat odwrócił się szybko i odszedł, aby ukryć wzruszenie, Czeluśniak zaś stał i jeszcze przez chwilę patrzył za nim z czymś, co prawdopodobnie miało być uśmiechem na jego posępnej twarzy. Potem wolnym krokiem ruszył przez korytarz i zapukał do kabiny Jakusa, aby z nim porozmawiać na osobności o sprawie Kazimierza Wachla.

* * *

Naczelnny inżynier nie był sam: siedział tam u niego Michał Orbach, który przyszedł prosić o czasowe zwolnienie, a następnie o przeniesienie z „Posejdona” do innej pracy.

– I tak nie mogę jeszcze nurkować – powiedział na poparcie swojej prośby. – Ta grypa mnie wykończyła. Muszę trochę odpocząć na lądzie.

Jakus był tym zaskoczony. Orbach nie oszczędzał się dotąd, przeciwnie: tam gdzie robota była szczególnie uciążliwa i niebezpieczna, pierwszy ją podejmował pociągając innych za sobą. Jego spokojna odwaga, wytrwałość i sumienność, a także trzeźwa ocena trudności, przed którymi nigdy się nie cofał, zjednały mu wśród kolegów i młodszych nurków nie tylko sympatię, lecz również szacunek. Liczono się z jego zdaniem.

Jakus wiedział o tym doskonale. Wiedział również, że Orbach jeszcze nie powinien nurkować po przebytych zaziębieniu i grypie, która go zwała z nóg na cały tydzień. Nie liczył na to, aby go można było posłać pod wodę przed upływem dłuższego czasu. Liczył natomiast przede wszystkim na jego wpływ na nurków. Jak długo Michał Orbach był tu z nimi, jego przykład działał; utwierdzał ich w mniemaniu, że przebyte trudy nie są daremne i że dalsze przeszkody zostaną zwalczone. Lecz gdyby odszedł, z pewnością przyjęliby to jako zapowiedź niepowodzenia. Większość zapewne uległaby jeszcze łatwiej zniechęceniu, jakkolwiek ich stan fizyczny był znacznie lepszy niż jego. Kolejno opuściliby pracę straciwszy ostatecznie wiarę w zwycięstwo.

Jakus niepokoił się tym poważnie. Nie mógł nikogo zmusić do pozostania na statku, a tym bardziej do pracy pod wodą, która jest wyłącznie ochotnicza. Zresztą – cóż byłaby warta w danych warunkach praca wymuszona! Widział już w wyobraźni odwrót równający się klęsce. Jeżeli dopuści do cofnięcia się choćby o krok, będzie to początkiem końca.

Powiedział to Orbachowi.

– Nie żądam od was pracy pod wodą – dodał na zakończenie – Chciałbym tylko, żebyście nie odchodzili teraz, póki sytuacja jest krytyczna.

Lecz Orbach opierał się.

– To się na nic nie zda, inżynierze. Wykończyło mnie i jestem do niczego. Nie mam siły, żeby pracować, a o tym, żeby tu wypocząć, też nie ma mowy. Sami wiecie, jak się sypia na „Posejdonie” przy dużej fali; trzeba się dobrze trzymać poręczy, żeby człowieka nie wyrzuciło z koi... Jak ze dwa tygodnie pobędę na lądzie, to może bym się wam na co jeszcze przydał, ale teraz to już naprawdę dłużej tego nie wytrzymam.

Jakus jeszcze nie chciał zrezygnować.

– Motorówka przyjdzie jutro – odrzekł po krótkim wahaniu. – Chciałbym, żebyście jeszcze rozważyli to, co wam powiedziałem...

W tej chwili Czełuśniak zapukał do drzwi.

– Wejść! – powiedział inżynier – To wy, Czełuśniak? Siadajcie. My tu już kończymy.

Spojrzał znów na Orbacha.

– Więc pomyślcie nad tym do jutra. Jeżeli nie zmienicie zdania... Cóż, trudno, ja was zatrzymać nie mogę.

– Dobrze – mruknął Orbach. – Jutro się do was zgłoszę.

Wyszedł spieszenie, unikając wzroku Czełuśniaka, jakby zmieszany i przepłoszony jego wtargnięciem.

Starszy nurek popatrzył badawczo na Jakusa i ruchem głowy wskazując drzwi, które zamknęły się za Orbachem, zapytał:

– Michał wysiada?

Inżynier rozłożył ręce:

– Wysiada. I to jako pierwszy...

– Ba – rzekł Czełuśniak. – Grypa go zmogła. Pewnie wam tak powiedział? Ale to nie grypa, wiedzcie to sobie.

– Tylko co? – spytał Jakus. Czełuśniak milczał ważąc coś w myśli.

– Michał Orbach... – powiedział wydymając chude policzki. – Tu coś jest nie w porządku. Pamiętacie, zaraz pierwszego dnia, jak go porwało w górę na haku? Jakeśmy zaczęli usuwać topielców z luku świetlnego. Mógł wtedy zginąć jak nic. I co? Jak tylko się z tego wypłatał, wrócił do roboty. A jak robił przy tej klapie od wyjścia zapasowego z tunelu wałowego? A potem przy uszczelnianiu ładowni! A jak go wtedy odrzucił wąż przy płukaniu tunelu pod wrakiem! Ani razu nie ustąpił. To nie jest taki sobie człowiek, ten Michał, żeby przez jedną grypę uciekać z roboty! Ale nawet najwytrzymalszy nurek zniechęci się, jeżeli dojdzie do przekonania, że cała jego robota jest na nic, że nie widać jej końca, że wszystko trzeba zaczynać od nowa, i to kiedy? W połowie września!

Jakus słuchał ze zmarszczonymi brwiami, coraz bardziej przygnębiony.

– Więc wy też uważacie, żeśmy przegrali? – zapytał w końcu. – Przecież jeszcze przed chwilą mówiliśmy o tym z kapitanem Hornungiem i...

– Ja tego nie uważam – przerwał mu Czełuśniak. – Ale ludzie tak myślą. I Orbach tak myśli jak wszyscy. Oni wiedzą tylko to, co usłyszeli od Wachla. No, a sami wiecie, co Wachel opowiadał po wynurzeniu. Ja bym nie Orbacha, tylko jego stąd odesłał. Od tego bym zaczął, wiedzcie to sobie.

* * *

W kwadrans później Wachel dowiedział się, że jest niezbędnie potrzebny w Gdyni przy pewnych podwodnych robotach w porcie i że ma się tam udać nazajutrz, a Michał Orbach został wezwany w pilnej sprawie do naczelnego inżyniera,

Jakus rozmawiał z nim przeszło godzinę, nie wspominając ani słowem o zwolnieniu, którego Orbach się domagał. W ciągu tej rozmowy duży arkusz papieru został pokryty odręcznymi szkicami inżyniera, przedstawiającymi obecne położenie wraku i pontonów oraz wyjaśniającymi kolejność robót, jakie należało wykonać, aby wydobyć statek na powierzchnię w ciągu dwóch do trzech tygodni.

Orbach słuchał z początku z pewnym roztargnieniem, zaniepokojony i zdziwiony, nie rozumiejąc, po co Jakus wtajemnicza go w te szczegóły. Ale po upływie kilku minut zawodowe zainteresowanie wzięło górę nad wszelkimi jego wątpliwościami. Plan podniesienia wraku zarysował się jasno i wyraźnie w jego rozważnym, spokojnym umyśle, pociągając go swoją prostotą. Wyglądało to zupełnie inaczej, niż był sobie wyobrażał na podstawie relacji Wachla.

Gdy Jakus skończył mówić i spytał, jak mu się ów plan podoba, Orbach uśmiechnął się domyślnie.

– Wygraliście, inżynierze – powiedział swoim opanowanym głosem. – Zostanę z wami i jak tylko doktor Bacz się zgodzi, będę pracował także pod wodą. A plan? Według mnie plan jest bardzo dobry. Muszę powiedzieć, że wam jestem wdzięczny, bo jakbyście to zrobili wszystko beze mnie, to bym sobie nigdy nie darował, że się cofnąłem. I jeszcze jedno – dodał po namyśle. – Tak mi się zdaje, że trzeba by wszystkim przedstawić, jak to chcecie wykonać. Bo, uważacie, ludzie myślą, że nie dadzą rady...

– Właśnie mam zamiar to zrobić – odrzekł Jakus. – Ale najpierw wy z nimi pogadajcie. Niech wiedzą, że nie jest tak źle, jak im to Wachel powiedział.

* * *

Wieczorem w świetlicy „Posejdona” odbyła się narada robocza. Inżynier Jakus raz jeszcze omówił szczegółowo nowy plan podniesienia wraku m/s „Adlerness”, powołując się na dotychczasowe doświadczenia i usprawnienia.

– To, co zrobiliście dotąd, cała wasza praca i pomysły racjonalizatorskie, któreśmy już z powodzeniem zastosowali, bynajmniej nie poszły na marne – powiedział w końcu. – Pamiętajcie, jak wyflukiwaliśmy pierwszy tunel pod dnem wraku? To trwało osiemnaście dni, a przy tym był to tunel najkrótszy. Ostatni – długości dwudziestu czterech metrów – przebiliśmy w siedem godzin! Podobnie było z zakładaniem stropów i z zatapianiem pontonów. Nabraliśmy wprawdy; nauczyliśmy się. Teraz wrak leży na samej powierzchni dna, nie zakopany na cztery metry w gruncie, jak wtedy, kiedyśmy zaczynali. Dlatego podmycie czterech tuneli i przeciągnięcie stropów do założenia dwóch par pontonów dziobowych nie zajmie nam wiele czasu. Mając wszystkie pontony wyrównane i umocowane podniesiemy „Adlerness” jednego pogodnego dnia bez wielkiego ryzyka i odholujemy go do zatoki albo nawet od razu zaczniemy go holować do Danii. To zresztą jest już dalsza sprawa, nie taka nagląca. To, co jest pilne, co trzeba zrobić zaraz, nie powinno przy obecnym stanie pogody potrwać dłużej niż trzy tygodnie. Wiem, że jesteście zmęczeni, że się wam należy wypoczynek, ale myślę, że zdobędziecie się jeszcze na wykonanie do końca tego zadania. Samiście tak postanowili dwa miesiące temu. Wytrwajcie jeszcze parę tygodni, a potem wszyscy odpoczniemy jak się należy.

Gdy skończył, zaległa cisza. Ludzie spoglądali po sobie, porozumiewali się szeptem. Gwar, z początku stłumiony, rósł coraz bardziej, lecz zdania widocznie były podzielone. Niełatwo dawali się przekonać: te dwa miesiące wyczerpującej pracy i ostatnie niepowodzenia zrobiły swoje.

Nikt nie chciał wypowiedzieć się otwarcie, lecz raz po raz odzywały się głosy za wypoczynkiem. Gdyby mogli choć przez tydzień wyspać się porządnie na łodzi, może nabraliby sił. A wtedy znów wzięliby się do pracy, żeby ją ukończyć. Tydzień wcześniej czy tydzień później – to ostatecznie różnica niewielka...

Czeluśniak siedząc obok Jakusa rozglądał się dokoła rozjątrzony, zły, z twarzą zaciętą w pogardliwym grymasie. Gotowało się w nim. Oto, ile są warte zobowiązania tych ludzi! Już im wywietrzały z pamięci; słomiany ogień prędko się wypalił i zgasł. Przypomniawszy sobie szyderczy śmiech Wachla i jego słowa, gdy uchwalali, że nie wrócą na łód, póki nie podniosą wraku: „Dużo sobie tam będą robić z waszego gadania”.

No i skończyło się na gadaniu – pomyślał.

Poszukał Wachla wzrokiem. Nie było go; przestał się interesować całą tą sprawą. Obraził się, że go stąd odsyłają.

Barnat spytał Pałamarza:

– Zostajesz z nami?

– Zostaję – odrzekł Hipolit. – I Habza zostaje, i Gert, i Siwiec. Ale reszta... Co my w pięciu czy nawet w dziesięciu zrobimy?

– Zrobimy! – powiedział Antoni. – Musimy zrobić.

– No więc – odezwał się znów Jakus – widzę, że nikt nie chce powiedzieć wyraźnie – tak albo nie. Mówicie o przerwie w pracy – na tydzień, może na dwa... Nie, moi drodzy! Na to ja się nie zgadzam. Nie zgadzam się dlatego, że jeżeli stąd raz odejdziemy, jeżeli cofniemy się teraz, żeby odpocząć, to już niewielu z nas tu zechce wrócić. To jest taka praca, którą trzeba wykonać od

jednego zamachu, jednym tchem. Jest nas kilku zdecydowanych zostać do końca. I zostaniemy! Żebyśmy mieli nawet zimować na morzu! Podniesiemy ten wrak! Mówię wam, że można to zrobić w trzy tygodnie i jeżeli macie do mnie zaufanie, jeżeli szanujecie swoje własne postanowienia sprzed dwóch miesięcy, jeżeli jesteście dzielnymi ludźmi, za jakich was uważam – zrobimy to razem! Kto jest z nami?

Pięć, potem dziesięć, wreszcie dwadzieścia rąk podniosło się w górę. Zgodzili się; wprowadzie większość tylko na te trzy tygodnie, ale się zgodzili.

* * *

Czternastego września praca ruszyła znowu. Od świtu do wieczora gdały młoty pneumatyczne wyrzucające na powierzchnię fontanny powietrza. Nad lewą burtą wraku, nad trzecią ładownią, nad pokrywą czwartego luku bulgotała, wrzała, pieniała się woda roztrzęcana gwałtownymi wybuchami. Błyski światła wzbudzone elektrodami przy spawaniu krawędzi stalowych płyt migotały w głębi. Piekielny warkot palników wodorotlenowych ploszył ryby zwabione błękitnym blaskiem chwytanym przez klamry stropów, mosiężne krany pontonów i gwintowane nakrętki węży. Błędne, tajemnicze światło drżało migotliwie, chwiało się, znikowało i znów tryskało oślepiającymi skokami, znów gasło i wracało, jakby walcząc z mrokiem czającym się dokoła, który rzucał się na nie zewsząd, tłumił je, pożerał i nagle cofał się przed jego piorunującym natarciem, aby natychmiast runąć nań z powrotem.

Ludzie pracowali w milczeniu, zaciekle, jakby w śmiertelnych zapasach ze straszliwym potworem, którego trzeba obezwładnić, skępować i wziąć żywcem, zanim się opamięta i strząśnie ich z siebie.

Morze przez kilka dni z rzędu leżało spokojnie pod chmurnym niebem, jakby przyglądając się w niemym zdumieniu temu zuchwalstwu. Potem wezbrało gniewem przeciw ludziom i statkowi, który uparcie tkwił ponad wrakiem jak pająk pośrodku lichej pajęczyny z manilowych lin, uczepionych do boi kotwicznych.

Groziło mu, szarpało bojami, huczało i szumiało plując pianą, rzucało do ataku grzywiaste fale na jego pokład.

Ale pajęczyna nie dała się zerwać tak łatwo, a ludzie nie chcieli ustąpić. Trwali w miejscu, cierpliwi, milczący i zawzięci, póki nie wyczerpała się złość morza, i znów z zuchwałą odwagą opuszczali się w ciemną otchłań, aby ją niepokoić natrętnie i hałaśliwie swymi ognistymi narzędziami.

Po tygodniu zaczęły drążyć tunele w twardym jak beton gruncie i ubity, spoisty piasek z gliną musiał ustąpić przed tęgim strumieniem wody, która wyłobiła cztery nowe kanały pod dnem pierwszej i drugiej ładowni.

Dwudziestego trzeciego września dwie pary stropów objęły przód wraku, nazajutrz zaś i dnia następnego cztery pięćsettonowe pontony zsunęły się po linach prowadzących i zostały umocowane przy jego burtach.

Ludzie podnieśli głowy. Uśmiech wrócił na twarze, a w oczach błysnęła duma: znów byli góraj; szala zwycięstwa znów przechylała się na ich stronę.

Wtedy morze dostało napadu furii. Północno-zachodni sztorm zawładnął światem, przyćmił i zgasił go nawałą chmur, zanim pierwszy brzask zdołał się wymknąć ponad horyzont. Niebo, które zaledwie zaczęło blednąć po bezgwiazdnej nocy, szerniało i ciemność objęła świat, jakby słońce nie miało wzejść już wcale. Wściekły wichur rzucił się wprost na statek i natychmiast od dzioba do rufy przykrył go pianą.

„Posejdon” zataczał się jak człowiek ogłuszony ciosem łomu w ciemność. Chylił się, padał na bok i wpół drogi prostował się nagle, podniesiony brutalnym, druzgocącym uderzeniem fali, która zjawiała się, wybuchała tuż u jego przeciwległej burty.

Raz po raz, dygocząc masztami, piejąc wantami i sztagami, zdawał się unosić ze wzburzonego oddechu, jakby huragan podsadzał się pod kil i dźwigał go w górę wśród cum napiętych do

ostateczności, a potem zapadał z powrotem we wrzący chaos grzywaczy ścierających się z sobą, tryskających powyżej sterówki, wpadających na pokład i szturmujących burty.

Morze spłaszczalo się, kłęso pod cwałującą wichurą i wzdymalo się znowu, jakby miał się z niego wynurzyć jakiś nowy ład wypchnięty gwałtownym skurczeni dna. Wtedy cały pokład „Posejdona” ginał w pianie miecionej z szaloną szybkością od dzioba ku rufie i odlatującej w tył za podwietrzną. W mroku widać było tylko jakby porozrywane, oddzielne fragmenty statku czerniejące nieruchomo wśród rozpedzonej, poszarpanej białej kipieli: półkolisty pomost rufy z kołem steru awaryjnego, bębny wind, szalupy na rostrach, pnie masztów i połyskujące okna sterówki, o którą niby o skałę podwodną rozdzierały się fale, przeskakiwały ją, zderzały się, wrzały dokoła niej jak ukrop.

Góry wodne gnały z ciemności i z nienawiścią rzucały się na „Posejdona”, w chwili gdy opadał w głębokie doliny między nimi. Uderzały jak tarany, a statek jęczał i stękał pod ich straszliwymi ciosami, tratowany, tłuczony, potrącany, spychany, poniewierany jak przez rozbestwiony tłum, który znęca się nad ofiarą wydaną mu na pastwę.

Wśród bezustannego ryku i huku bałwanów od czasu do czasu odzywał się lecący górą pod niskim pułapem chmur, rzekłbyś tuż nad masztami, rozdzierający krzyk trwogi, jakby cała wolna przestrzeń pomiędzy niebem a morzem, oniemiała ze zgrozy, nagle odzyskała głos w napadzie szalonego strachu. W ślad za tym wrzaskiem, podobnym chyba do wycia, potępieńców w dantejskim piekle, zbliżał się, narastał straszliwy łoskot nowej fali, sięgającej niemal do wysokości masztów, która waliła się na statek grzebiąc go pod sobą jak ciężką, głęboko zanurzoną kłodę.

Mogło się zdawać, że jakaś potężna zapora wstrzymująca po nawietrznej spiętrzone wody połowy Bałtyku od Zatoki Pomorskiej do Fińskiej została rozsadzona niebywałym wybuchem na całej swej długości i że olbrzymia masa tych wód pędzi jak potworna lawina ku polskiemu wybrzeżu. Było w tym coś przerażającego, ścinającego krew w żyłach, zatrzymującego bicie serc.

A jednak ludzie zgromadzeni na statku nie upadali na duchu, spełniając rozkazy komendanta, który z rozwianą białą brodą stał na mostku nieporuszony i wyniosły wśród tego zamętu rozpętanych żywiołów.

Cztery siedmiocalowe cumy z rufy odwinęły się z bębnow wind, szybko spłynęły poza rozkołysane boje i wyciągnęły się równolegle z wiatrem. Sześć pozostałych – po dwie z każdej burty i z dzioba – skoczyło jednym susem jak sześć równocześnie zwolnionych sprężyn, a „Posejdon” oswobodzony, z uwięzi natychmiast wspiał się na falę, jakby dopiero teraz ocknął się z bezwładu i występował do walki przeciw całej potędze sztormu.

Lecz kapitan Hornung nie zamierzał wcale potykać się z morzem dłużej, niż tego wymagało odejście do zatoki. Wiedział, że wróci tu za parę dni. Ten krótki czas „Posejdon” miał spędzić w Gdyni, a jego załoga na lądzie.

* * *

Barnat zastał matkę Rafała Grabienia pogrążoną w smutku, zbolalą, ale już spokojną i pogodzoną z losem. Przywitała go jeszcze serdeczniej niż zwykle, co go bardzo wzruszyło. Objęli się na progu domu i pozostali tak przez chwilę spleceni tkliwym uściskiem, a potem Antoni ujął ją pod rękę i weszli razem do pokoju, który pani Jadwiga dzieliła do niedawna z synem. Antoni posadził ją w fotelu i nie pytany zaczął mówić raz jeszcze o tym wypadku.

Słuchała uważnie, patrząc nań suchymi oczyma, w których zabrakło wreszcie łez.

Później sama opowiedziała mu, jak doktor Baczył ją na poczcie, gdzie tego dnia wypadł jej dyżur, i jak ją zaprowadził do szpitala. Rafał już nie żył, ale chciała zobaczyć go koniecznie. Doktor Baczył i Czeluśniak byli dla niej bardzo dobrzy, a dyrektor Zięborak sam zajął się pogrzebem.

Ten pogrzeb... Chyba od zakończenia wojny jeszcze nie było takiego pogrzebu w Gdyni.

Orkiestra Marynarki Wojennej, cały Kapitanat Portu, Rada Narodowa, Centralny Zarząd Polskiej Marynarki Handlowej,

Polskie Ratownictwo Okrętowe, delegacje z „Dalmoru”, ze stoczni, z „Pagedu”, nawet z „Pafawagu” z Wrocławia, gdzie Rafał niegdyś pracował. Delegat Ministerstwa Żegluga udekorował

trumnę Orderem Sztandaru Pracy. Przemawiał dyrektor Zięborak, przewodniczący ZMP i jeden z nurków, kolega Rafała z kursu. Niesiono kilkadziesiąt wieńców, a żałobny pochód ciągnął się na pół kilometra.

Panią Grabieniową prowadził ów delegat Ministerstwa i Zięborak, a Teresę – doktor Bacz i Marian Czeluśniak.

Barnat oględnie zapytał o zdrowie Teresy.

– To był dla niej straszny cios – powiedziała Grabieniowa. – Przyszła tu do mnie, biedactwo, żeby mnie pocieszyć. Ale jej bardziej jest potrzebna pociecha i opieka niż mnie. Czeluśniak ją odwiózł do pani Jakusowej. To bardzo dzielna kobieta i dawna jej przyjaciółka. Wiem, że się nią zajęła.

Antoni został na obiedzie, mimo że chciał jak najprędzej zobaczyć się z Teresą. Grabieniową zawsze traktowała go niemal jak kogoś z rodziny, on zaś był jej wdzięczny za tę przychylność, którą okazywała mu od wielu lat, przywiązał się do niej i uważał za swój obowiązek służyć jej radą i pomocą.

Umówili się, że jeżeli Antoni pozostanie w Gdyni do końca tygodnia, to w niedzielę rano pójdą razem na cmentarz, po czym pani Jadwiga zabrała się do swych zajęć gospodarskich, on zaś wyszedł.

Wicher szalejący w Gdyni niemal tak samo jak na morzu i deszcz zacinający ustawicznie – wyludniły ulice. Antoni dobrnął do przystanku i wsiadł do autobusu, którym dojechał do placu Kaszubskiego.

Postanowił pójść do mieszkania Teresy, w którym nie był, odkąd się rozstali na długo przed aresztowaniem i sprawą sądową. Wydawało mu się, że od owego czasu upłynęły wieki. Nie przypominał sobie nawet dokładnie, kiedy i w jakich okolicznościach pożegnał Teresę po raz ostatni.

Wchodził po schodach z bijącym sercem, niepewny przyjęcia, jakie go spotka. Lecz zastał drzwi zamknięte, a na jego pukanie nikt nie odpowiedział. Teresy nie było.

Nie zastał jej również później, wieczorem, powróciwszy tam po paru godzinach spędzonych w kawiarni i na bezcelowej włóczędce po sąsiednich ulicach.

Dopiero nazajutrz – w sobotę – dowiedział się, że Teresa na jakiś czas przeniosła się do Oliwy, aby zamieszkać u Jakusowej.

W P. R. O. powiedziano mu, że Rachwałówna pracuje nadal, lecz już nie w Gdyni, tylko w Gdańsku. Pojechał więc do Gdańska, ale i tam jej nie spotkał: holownik, na którym pełniła obowiązki mechanika, był w morzu; nikt nie umiał mu powiedzieć, kiedy wróci.

Barnat nie wiedział, co ma zrobić z czasem. Pogoda była okropna; sztorm trwał, on zaś nie miał się gdzie podziać. Zjadł obiad w jakiejś gospodzie, przeczytał wszystkie gazety i raz jeszcze poszedł do portu.

Poinformowano go, że holownik jest w Świbnie i prawdopodobnie przybędzie dopiero w niedzielę, więc zrezygnowany Wrócił do Gdyni.

W nocy deszcz przestał padać i niedzielny ranek, choć wietrzny i chłodny, zajaśniał wreszcie słońcem. Antoni wstał wcześniej i jak to był przyrzekł pani Jadwidze – zawiózł ją na cmentarz taksówką zamówioną poprzedniego dnia.

Grób Rafała i jego ojca, Józefa Grabienia, ciągle jeszcze tonał w kwiatach, które wędły i żółkły zbite deszczem i poszarpane przez wichurę. Trzeba je było usunąć stamtąd i Barnat zajął się tym gorliwie przy pomocy ogrodnika. Chłopiec zamiótł opadłe liście i płatki, schował do kieszeni pieniądze, które Barnat wsunął mu w garść, obiecał, że będzie specjalnie dbał o ten grób, i wyniósł się wraz ze swoim wózkiem.

Miejsce zwiędłych róż zajęły czerwone goździki od Antoniego i świeżo rozkwitłe chryzantemy z ogrodu pani Grabieniowej.

Gdy skończyli je układać, nadszedł Pawlik, sygnalista Rafała, i – trochę zmieszany – położył obok tamtych kwiatów dużą wiązanekę dalii.

Antoni przedstawił go pani Jadwidze, widocznie wzruszonej takim dowodem pamięci i przyjaźni. Potem wszyscy troje wrócili autobusem do miasta i rozstali się przy poczcie, gdzie pani Jadwiga od dziesiątej miała dyżur.

Pawlik, dotąd milczący, powiedział Antoniemu, że „Posejdon” przed północą ma odpłynąć.

– Podobno zamówili jeszcze dwa holowniki – dodał na odchodnym. – W dyrekcji spodziewają się, że w przyszłym tygodniu podniesiemy wrak i chcą go zaraz odholować na jakąś duńską stocznię.

– Aha, do Helsingör – odrzekł Barnat. – Tam go budowali. No, to do zobaczenia.

Zawrócił i poszedł na pocztę, aby zatelefonować do Oliwy.

Prawie natychmiast uzyskał połączenie z mieszkaniem naczelnego inżyniera, ale nikt się tam nie zgłaszał. To już był wyraźny pech!

W południe i po obiedzie próbował znowu i znów bezskutecznie. Zadzwoił do oddziału P. R. O. w Gdańsku, aby zapytać o holownik, ale dyżurna telefonistka nie wiedziała w ogóle o żadnym holowniku, który by miał przybyć ze Świbna. Oświadczyła, że jest sama w centrali, że nikogo nie ma w biurze i że „w niedzielę się nie urządź”.
Wieczorem Barnat po raz czwarty telefonował do Oliwy. Usłyszawszy, że ktoś po tamtej stronie kabla zdejmuje słuchawkę, wstrzymał oddech.

Był to kapitan Jakus.

Antoni zmieszał się i zapytał, czy istotnie „Posejdon” odpłynie tej nocy.

– Tak – odrzekł inżynier, trochę zdziwiony, że ktoś zwraca się z tym do niego. – Przed północą. Czy zaszło coś nieoczekiwanego?

– Nie, nic. Tylko, hm... Bardzo was przepraszam, inżynierze, ale ja właściwie chciałem rozmówić się z Rachwałówną – wykrztusił wreszcie.

– Aha – powiedział Jakus. – Nie ma jej. Pojechały obie z moją żoną do Tczewa. Wrócą dopiero jutro rano. Jeżeli to coś ważnego, moglibyście połączyć się z „Posejdona” przez „Gdynia-Radio” z samego rana. Teresa ma wolny poniedziałek, więc z pewnością będzie w domu.

Barnat podziękował, wybąkał jeszcze jakieś usprawiedliwienie i odłożywszy słuchawkę, z rezygnacją postanowił napisać list do Teresy. Nie mógł przecież rozmawiać z nią o tak osobistych sprawach za pośrednictwem „Gdynia-Radio”!

Lecz gdy usiadł przy biurku i wydobyl papier, nie wiedział, jak się do tego zabrać i co mianowicie ten list ma zawierać. Na dobrą sprawę, gdyby miał wyrazić to wszystko, co chciał Teresie powiedzieć, trzeba by zapełnić kilkanaście stron. Ale inaczej się to mówi, a inaczej pisze. Nie! Po prostu nie potrafiłby tego ująć w liście!

Po kilku daremnych próbach porzucił ten zamiar i napisał tylko parę zdań: że będąc w Gdyni przez całe trzy dni starał się z nią zobaczyć i myślał tylko o niej; że sam przeżył ciężkie chwile, więc zdaje sobie sprawę, jak boleśnie musiała je przeżywać Teresa; że nie wie, kiedy ją zobaczy, więc prosi, żeby do niego napisała, jeżeli jeszcze chce go znać po tym tragicznym wypadku, któremu nie zdołał zapobiec.

Gdy wreszcie skończył, dochodziła jedenasta. Spiesznie zaadresował i zakleił kopertę, wrzucił do walizki bieliznę i drobiazgi przygotowane przez Grabieniową i popędził do portu.

Rozdział XXXVII

Wyłowienie lin przytwierdzonych do boi kotwicznych, zacumowanie „Posejdona”, a następnie sklarowanie węży, wymiana tych, które wydawały się niezupełnie pewne, i sprawdzenie całej sieci pneumatycznej, składającej się teraz z trzydziestu przewodów do pontonów i czterech grubych, dwunastocalowych rur elastycznych do pomp wodno-powietrznych w ładowniach m/s „Adlernes” – zajęło dwa dni. Potem odłączono trapy i podniesiono je na pokład statku ratowniczego. Wreszcie zwolniono i wydobyto wszystkie liny zejściowe wraz z ich bojami.

Barnat, Jedynak i Dębosz – trzech kierownicy zespołów – zostali opuszczeni na dno celem przeprowadzenia ostatniej inspekcji, po czym „Posejdon” zajął nowe stanowisko w bezpiecznej

odległości, u samego skraja kręgu wyznaczonego przez boje, a „Swarożyc” został zakotwiczony tuż przed nim.

Pierwszego października połączono wszystkie przewody ze zbiornikami rozdzielczymi na „Posejdonie”, a od dodatkowych sprężarek „Swarożyca” przeciągnięto węże pomocnicze do głównego zbiornika wysokiego ciśnienia. Wreszcie wydmuchano częściowo trzecią i czwartą ładownię wraku i uzupełniono powietrzem trzecią parę pontonów, które nieznacznie przeciekały.

Nazajutrz, w Międzynarodowym Dniu Walki o Pokój, m/s „Adlernest” miał zostać podniesiony na powierzchnię morza.

* * *

O godzinie piątej czterdzieści, w kilka minut po wschodzie słońca, ruszyły sprężarki. Naczelnym inżynier P. R. O., Stanisław Jakus, otworzył zawory pomp wodno-powietrznych, aby do reszty osuszyć trzecią i czwartą ładownię w tylnej części kadłuba. Zaraz potem starszy nurek Marian Czeluśniak i Michał Orbach otworzyli kolejno krany zbiorników rozdzielczych do osiemnastu węży połączonych z trzema parami pontonów rafowych.

Strzałki manometrów skoczyły do końca podziałki, zaczęły drgać. Przewody stwardniały; ich zwoje wyprężyły się. Powietrze tłoczone całą mocą wszystkich na raz kompresorów „Posejdona” i „Swarożyca” wdarło się do pontonów wypierając wodę przez ich niepowrotne wentyle.

O ósmej od strony Gdyni ukazały się dwa holowniki i w pół godziny później oba stanęły na kotwicach pomiędzy „Posejdonem” a łądem. Pontony rufowe zostały osuszone, a w trzeciej i czwartej ładowni poziom wody opadł do dwóch metrów.

Na pokładzie „Posejdona” wzdłuż burty, z której zwisały wszystkie węże, zaczęli się gromadzić nurkowie i marynarze. Gwar cichych, półgłosem prowadzonych rozmów przypominał widownię teatru tuż przed podniesieniem kurtyny.

Wtem wielki jasny obłok, utworzony przez mnóstwo baniek powietrznych, ukazał się pod wodą i pomknął na powierzchnię. Morze zasyczało jak pod dotknięciem rozpalonej blachy i zapieniło się nad wrakiem, a w chwilę potem zakotłowało się gwałtownie i sześć pontonów, z rufą „Adlernest” pośrodku, wolno wynurzyło się z głębin.

Ludzie umilkli i patrzyli, jak cały ten zespół skrępowany i usztywniony stalowym linami poddaje się fali, która kołysze nim łagodnie, w górę i w dół, w górę i w dół, omywając pochyły pokład i ściekając wąskimi strumykami z pokrywy czwartego luku.

Nie było słyhać ani okrzyków, ani nawet żadnych głośniejszych uwag. Załoga „Posejdona” raz już widziała wynurzoną rufę. Powtórne jej wypłynięcie nie oznaczało jeszcze zwycięstwa.

Pompy wodno-powietrzne w obu tylnych ładowniach pracowały nadal jeszcze w ciągu dwudziestu minut. Potem Jakus kazał je zatrzymać i uruchomił takie same pompy zmontowane na dnie ładowni pierwszej i drugiej.

Wszystkie sprężarki warczały nadal, pokład drżał przyjmując ich wibrację, a dwanaście węży, doprowadzających powietrze pod wysokim ciśnieniem ze zbiorników rozdzielczych do pontonów dziobowych, wygięło się obszernymi łukami nad burta „Posejdona”.

Minęła godzina, dwie... Nad pontonami u dzioba ukazały się bąble powietrza. Obie pary zostały wydmuchane prawie jednocześnie.

Teraz całą moc kompresorów oddano na użytek pomp. Przednie ładownie m/s „Adlernest” były prawie dwukrotnie obszerniejsze niż tylne. Wypompowanie z nich wody i wtłoczenie na jej miejsce powietrza, którego ciśnienie musiało zrównoważyć miazdzące działanie ciśnienia na głębokości trzydziestu pięciu metrów, miało potrwać jeszcze około dwóch godzin.

Lecz już po upływie godziny nad pierwszą ładownią woda zaczęła kipieć i burzyć się od bąbli i drobnych banieczek, które wyroiły się nagle jak pszczoły z ula.

Naczelnym inżynierem spochmurniał. Wymienił szybkie spojrzenie z Czeluśniakiem i poblady, z zaciętymi ustami podszedł do zegarów pływakowych, które wskazywały poziom wody nad dnem.

Nie mogło być żadnej wątpliwości: wskazówka pierwszego z nich stała na miejscu; pierwsza ładownia była nieuszczelna. Powietrze uchodziło z niej równie szybko jak tłoczyła je pompa, a woda

zalewała ją z tą samą szybkością z jaką była przez tę pompę wyrzucana. Stało się rzeczą jasną, że w tych warunkach ładowni opróżnionej w trzech czwartych nie da się osuszyć całkowicie, dopóki szpary poniżej poziomu wody nie zostaną uszczelnione.

Lecz o uszczelnieniu jakichkolwiek szpar nie mogło być teraz mowy: „Posejdon” nie znajdował się już nad wrakiem, lecz o dobrych kilkadziesiąt metrów od jego burty, co stwarzało bardzo poważne trudności przy opuszczaniu nurka. Poza tym pokład wraku był pochylony pod kątem, który prawie uniemożliwiał utrzymanie się na nim przy ograniczonej swobodzie ruchów w skafandrze. Nie było trapów i lin zejściowych, a skośne położenie statku, który wspierał się dziobem o dno mając rufę na powierzchni morza – niemal wyłączało możliwość dotarcia do szczelin w burtach.

Wreszcie – gdyby nawet wszystkie te przeszkody zostały pokonane – opuszczenie nurka na wrak w połowie wydmuchany, w czasie najbardziej krytycznym, byłoby zbyt ryzykowne. „Adlerness” mógł z jakichś nieoczekiwanych powodów nagle zatonać, wyrzucić się do góry dnem lub na bok, a wtedy nurek znalazłby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Kapitan Jakus z góry odrzucił tę myśl.

Wiedział, że jeżeli wypór drugiej ładowni wraz z wyporem czterech pontonów dziobowych nie wystarczy do uniesienia tego dodatkowego ciężaru, jaki stwarzała nie dająca się usunąć woda, dziób wraku nie wynurzy się i tym razem...

Szybko przeliczył w myśli ten nowy stan rzeczy. Odpadała przecież siła przyssania do dna, którą uprzednio brał pod uwagę.

Rachunek wypadł dość pomyślnie. Nośność dziesięciu pontonów, drugiej, trzeciej i czwartej ładowni całkowicie osuszonych i w trzech czwartych opróżnionej ładowni pierwszej przewyższała martwą wagę statku. Lecz rachunek ten opierał się na wielu przypuszczeniach, których nie można było sprawdzić, i mógł zawierać dość znaczny błąd.

Nie było jednak innego wyjścia. Pozostawało tylko próbować, czy się uda.

Dochodziła trzynasta. Od siedmiu godzin sprężarki i pompy pracowały bez najmniejszej przerwy. Od godziny jedenastej poziom wody w pierwszej ładowni nie obniżył się ani o cal. W drugiej spadał coraz wolniej i wreszcie zatrzymał się także.

Dziób wraku ani drgnął.

Jakus próbował odgadnąć, co się stało w drugiej ładowni. Dlaczego poziom wody przestał w niej opadać, skoro na powierzchni nie było żadnych oznak, aby uchodziło stamtąd powietrze? Czyżby pompa przestała działać? Jakiego rodzaju defekt zdarzył się w głębi szczelnie zamkniętego kadłuba wraku?

Wzruszył ramionami. Aby to zbadać, trzeba by odciąć palnikiem stalową płytę przyspawaną do luku, podnieść ją, dostać się do wnętrza...

Przyszło mu na myśl, że w Gdyni leży kilka mniejszych, dwustotonowych pontonów; można by je tu przyholować i w jakiś sposób umocować u dziobu m/s „Adlerness”. To by potrwało ze dwa dni. Dwa p o g o d n e dni.

Lecz komunikaty meteorologiczne zapowiadały sztorm na jutro.

Kapitan Hornung – wbrew swym zwyczajom – zszedł na dolny pokład i zbliżywszy się do Jakusa zapytał, „jak idą sprawy”.

– Mniej więcej zgodnie z planem – odrzekł naczelny inżynier.

Hornung wiedział, że tak nie jest, ale nie pytał więcej. Rozumiał doskonale, jakie napięcie nerwowe Jakus musi opanowywać w tej chwili. Sam przecież był dowódcą; z własnego doświadczenia znał aż nazbyt dobrze to uczucie straszliwego ciężaru odpowiedzialności w krytycznych sytuacjach, gdy wszystko zdaje się sprzysięgać na zgubę statku.

Natomiast szypier „Swarożycy” zaniepokojony o swoje sprężarki zapytywał natarczywie, kiedy się to skończy.

Sprężarki przegrzewały się – to było zrozumiałe; pracowały od wschodu słońca.

– Muszą wytrzymać – burknął Jakus.

Zaraz zresztą pomyślał, że na nic się to nie zda: oba zegary pływakowe wskazywały to samo, co przed pół godziną. Wody w ładowniach wraku nie ubywało.

Machinalnie zastukał palcem o szkło. Strzałka pierwszego zegara zawahała się bezsilnie tam i z powrotem, uspokoiła się i stanęła jak poprzednio. Lecz druga strzałka nagle skoczyła w tył i zaczęła drgać opadając coraz niżej! Pompa wodno-powietrzna w drugiej ładowni m/s „Adlerness” pracowała!

Gończy płomień przeleciał przez twarz naczelnego inżyniera.

– Wyłączyć przewód pierwszej ładowni! Całe ciśnienie rzucić na drugą!

Mechanicy „Posejdona” w sekundę spełnili ten rozkaz. Wszystkie spojrzenia skierowały się ku Jakusowi. Ale on patrzył tylko na zegar, którego strzałka, pulsując teraz wyraźnie i szybko, spadała coraz niżej: półtora metra, metr czterdzieści, metr trzydzieści, a potem – coraz prędzej: metr dziesięć, dziewięćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów!...

Przeniósł wzrok na powierzchnię morza i po chwili powiedział głośno, lecz bardzo spokojnie:

– Dziób wstaje.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Lecz morze nad dziobem wraku było tak samo spokojne jak przedtem. Ani jeden bąbel powietrzny nie wymknął się z głębi. Naczelnym inżynier musiał się mylić...

Tylko Barnat zauważył to, co on: tylny maszt powoli, zaledwie dostrzegalnie zaczął się prostować.

Trwało to jeszcze całe trzy minuty. Trzy minuty zwątpień i nadziei, zanim chmara baniek, bąbli, wytrysków piany strzeliła znad drugiej ładowni. Tuż potem wynurzył się szczyt przedniego masztu, a następnie komin, krótki maszt anteny radarowej na najwyższym pomoście, luk świetlny maszynowni...

Statek prostował się jakby, wypływając wolno, majestatycznie, ociekający kaskadami wody z nadbudówek, ze wszystkich iluminatorów, z okien kajut i z pokładów. Wreszcie ukazały się grzbiety czterech pontonów wraz z dziobem, nad którym Barnat w tajemnicy zawiesił małą banderę podczas ostatniego zanurzenia.

Wtedy na pokładach „Posejdona” i „Swarożycy” zerwał się krzyk. Wszystkie czapki wyleciały w górę, a naczelnym inżynier, sam nie wiedząc kiedy, znalazł się również w powietrzu podrzucany rękami nurków i marynarzy.

W tej samej chwili „Gdynia-Radio” zgłosiła się na alarmujące wezwania telegrafisty s/s „Posejdona”.

– Co się wam stało? – zapytała przerażona telefonistka z centrali.

– Hura! – wrzeszczał głos, który wzywał ją tak uporczywie. – Hura, kochana obywatelko! „Adlerness” wypłynął! Wypłynął pomyślnie o godzinie czternastej dziesięć!

– Hura! – ucieszyła się telefonistka. – Zaraz wam dam P. R. O. Winszuję!

* * *

Tego samego dnia wieczorem przy wzrastającym zachmurzeniu i wietrze, który podnosił coraz wyższą falę, m/s „Adlerness” został przeholowany za osłonę Helu i osadzony na dziesięciometrowej płytyźnie, po czym większość nurków zwolniono na ład.

Pozostałe trzy zespoły dwuosobowe (w tej liczbie – Barnat i Pałamarz) w dwa dni później skróciły wszystkie stropy o cztery metry, aby umożliwić ustawienie statku na jeszcze płytszym miejscu. Załoga powierzchniowa zmontowała tymczasem na pokładzie szalupowym i głównym zwykle pompy wodne celem usunięcia wody z maszynowni i ze wszystkich innych nie uszczelnionych pomieszczeń.

Szóstego października osuszono maszynownię i wydmuchano pontony. „Adlerness” podniósł się do zanurzenia sześciu metrów i został przyholowany bliżej brzegu, gdzie znów opuszczono go na dno, tym razem na siedmiometrowej głębokości.

Tu uwolniono go od pontonów, które „Swarożyc” kolejno odprowadził do Gdyni, następnie zaś spawacze odcięli stalowe płyty na lukach, aby się dostać do wnętrza statku, skąd przy użyciu dźwigów pływających wyciągnięto cały jego ładunek i przewieziono do Gdyni. Były to przeważnie precyzyjne obrabiarki, urządzenia radiostacji, sprzęt elektrotechniczny i dzieła sztuki zrabowane w

Polsce przez hitlerowców. Te niestety zniszczyło w ciągu tak długiego czasu działanie wody morskiej.

Ładownie druga, trzecia i czwarta okazały się dostatecznie szczelne; natomiast w pierwszej trzeba było założyć plastry i skrzynie betonowe na kilku szczelinach. Uszczelniono też maszynownię i usunięto inżektorem zwały piasku z tunelu wałowego. Wreszcie załatano wielką dziurę w lewej burcie, w miejscu gdzie niegdyś Barnat umocował bombę zegarową, aby nie dopuścić do wyjścia m/s „Adlernest” z portu.

Tak odciążony i prowizorycznie zabezpieczony przed zatonięciem statek można już było odholować do stoczni Helsingör, gdzie jego kadłub miał być poddany gruntownemu remontowi. Kapitan Hornung oczekiwał tylko na zapowiedź pomyślniejszego okresu pogody, która w drugiej połowie października była szczególnie kapryśna.

Przez cały ten czas od podniesienia wraku, to jest od dwóch tygodni, Barnat daremnie oczekiwał wiadomości od Teresy. Motorówka P. R. O. i holowniki dostarczały teraz pocztę codziennie, lecz Teresa nie napisała do niego ani słowa.

Naczelny inżynier, który w tym czasie przebywał głównie na łądzie i tylko co parę dni przyjeżdżał na krótkie inspekcje, wspomniał mimochodem w obecności Antoniego, że Rachwałówna przeniosła się już z powrotem do swego mieszkania w Gdyni i że często odwiedza matkę Grabienia.

Dla Barnata nie było nic łatwiejszego, jak poprosić o zwolnienie na ląd i pojechać tam na dzień lub dwa, aby się z nią zobaczyć. Ale nie chciał tego uczynić. Byłoby to poniżej jego osobistej godności. Wszak będąc ostatnio w Gdyni przez trzy dni uganiał się za Teresą po całym wybrzeżu, a wreszcie napisał ów list, na który powinna była odpowiedzieć!

Wobec zeznań Rafała o wypadku – zeznań, o których przecież musiała wiedzieć – nie mogła mieć żadnych wątpliwości co do tego, że Antoni nie był winien jego śmierci. Niewątpliwie odczuła tę śmierć boleśnie. Ale w obecnych okolicznościach nie był to dla niej cios, po którym nie mogłaby pomyśleć o Antonim i o jego uczuciach.

Od tragicznej śmierci Grabienia upłynął już z górą miesiąc. Barnat sądził, że Teresa miała dość czasu, aby się wyzalić i uspokoić po stracie wiernego przyjaciela, jakim był dla niej Rafał. Chyba, że był czymś więcej, że wbrew mniemaniu Antoniego – zajmował inne miejsce w jej sercu.

Na myśl o tym Barnat posepniał, a zawziętość rosła w nim tak dalece, że przyrzekał sobie nie ruszyć nawet palcem, aby zobaczyć Teresę. Nie – to nie! Niechże jej się nie zdaje, że będzie służył przed nią na dwóch łapkach jak potulny i wierny piesek!

Mimo tych postanowień, za każdym razem, gdy przybywała poczta, z bijącym sercem oczekiwał listu, gotów na pierwsze wezwanie Teresy wyrwać się do Gdyni. Lecz list nie nadchodził i nie nadszedł wcale...

* * *

Dwudziestego października m/s „Adlernest” został ściągnięty z mielizny przez trzy holowniki, po czym na jego pokład, obsadzony przez załogę konieczną do manewrowania, podano dwie liny holownicze ze „Swarożyca” i „Posejdona”. Te liny zostały połączone z łańcuchami kotwicznymi wraku, wyciągniętymi z jego komór za pomocą dźwigów, i tak ustawiony konwój ruszył ku wyjściu z zatoki – w drogę do Danii.

Pierwsze dwie doby tej powolnej, nudnej i jednostajnej podróży minęły bez żadnych przygód. Konwój posuwał się z szybkością czterech węzłów przeciw umiarkowanemu wiatrowi zachodniemu, najpierw wzdłuż wybrzeża aż do Łeby, którą było widać jeszcze dość wyraźnie na południe od kursu, potem zaś w zapadającym mroku skierował się nieco bardziej ku północy i po następnych dwudziestu czterech godzinach – znów przed nastaniem zupełnych ciemności – zbliżył się do południowego cypla Bornholmu.

Dwudziestego drugiego rano, gdy znajdował się na pełnym morzu, mniej więcej pośrodku między Arkoną na wyspie Rugii a Trelleborgiem w Szwecji, wiatr zmienił kierunek i zaczął dąć bardzo gwałtownie z północo-zachodu, wprost z Sundu.

Prognoza pogody nie była zachęcająca: należało się obawiać sztormu, który w tych warunkach – przy bardzo utrudnionym sterowaniu wrakiem, wyłącznie za pomocą steru awaryjnego – stanowił poważne niebezpieczeństwo.

Z tego względu kapitan Hornung postanowił zboczyć z drogi za osłonę wyspy Møen i przeczekać burzę w fiordzie Grøensund. Konwój dotarł do tego miejsca po dziesięciogodzinnej walce z wichurą i został wprowadzony na redę małego portu przez miejscowego pilota.

Stali tam trzy dni czekając na pogodę. Wreszcie morze uspokoiło się nieco, a ostatni komunikat meteorologiczny zapowiedział „wiatry zmienne, przeważnie z kierunków zachodnich” i „stan morza SW/2”⁹. Wieczorem zelandzki pilot przybyły z Kallehave stanął na mostku „Posejdona” i przed północą wyprowadził konwój poza mielizny Agholms, na bezpieczny szlak wiodący do Sundu.

Pogoda istotnie zdawała się ustalać. Resztki rozproszonych obłoków spływały ku wschodowi, a wspaniały księżyc w pełni wzniósł się wysoko, wydobywając z mroku nadbudówki, kominy i maszty statków, zalewając światłem ich pokłady i rozrzucając po nich czarne bryzgi cienia, które przesuwały się w lewo i w prawo, naprzód i w tył, zgodnie z miarowym pochodem fal.

Konwój płynął spokojnie, odrabiając swoje cztery lub pięć mil morskich na godzinę, omijając z daleka ostrzegawcze boje świetlne i statki latarniowe na dobrze wyznakowanej drodze wodnej w zatoce Faxe.

Świt dwudziestego szóstego października zastał „Posejdona” już w Sundzie, na wprost przylądka Falsterbo. Czarny, jak wyrzeźbiony z hebanu, cypel lądu odcinał się wyraźnie na tle wąskiego, zieleniejącego paska horyzontu, potem stawał się coraz jaśniejszy, zmieniając kolejno barwy i ich odcienie aż do ciemnej purpury, i wreszcie okrył się jakby pyłem miedzianym, otoczony olśniewającą złotą aureolą wschodzącego słońca.

Do Heisingör pozostało zaledwie czterdzieści pięć mil, gdy niespodzianie wiatr ucichł zupełnie, a potem zaczął wiać z południo-wschodu, wzmagając się szybko aż do siły 8 według skali Beauforta¹⁰. Nad lądem szwedzkim ukazały się przejrzyste rozwleczone obłoki, które pędziły w popłochu jak stado owiec nawróconych przez psy na pastwisku. Blask słońca zmatowiał i przygasł nieco, nabierając barwy ceglastej, a przydymione niebo opuściło się niżej, jakby chciało dokładnie przyjrzeć się morzu, które zaczynało kipić pianą.

Wyspy i wysepki z kamiennymi wieżami swych latarni morskich, skały i mielizny oznaczone w nocy światłami, a w dzień bojami, pławami drażkowymi, tykami lub stawami i wiechami – dopiero teraz stały się wyraźnie widoczne. Pierwszy gwałtowny podmuch wiatru spowił je w biel wodnego pyłu od strony nawietrznej, a gładka dotąd woda zaczęła wrzeć we wszystkich przesmykach między nimi. Wzburzone, gniewne morze zdawało się szczyrzyć zęby, sycząc i plując płatami piany, które tworzyły dokładny obrys głazów, ostrych złośliwych cyplów i wydłużonych piaszczystych hałd ukrytych zwykle pod płytką warstwą wody.

Wiatr zerwał maskę pozornej niewinności i bezpieczeństwa z oblicza Sundu, ukazując cały ten labirynt zasadzek i pułapek utworzonych z odpadków i okruszków pobliskiego lądu. Za sprawą wiatru cieśnina musiała zdradzić wszystkie swoje tajemnice; musiała je ujawnić, pokazać okolone białą przyboju, jakby wyrysowane białą linią na olbrzymiej mapie o ciemnym, stalowoszarym tle.

Konwój posuwał się naprzód wygodnym szerokim szlakiem wśród boi wyznaczających główny tor prawostronny, dopóki wiatr nie uderzył na bezwładny kadłub m/s „Adlernes”. Wtedy wrak zaczął „chodzić” na holu z burty na burtę, coraz mniej posłuszny, jakby podniecony rozruchem panującym dokoła. Myszkował to w lewo, to w prawo, zmiatany z kursu tak gwałtownie, że czterej marynarze nie nadążali w manewrowaniu ciężkim kołem steru awaryjnego na jego rufie. Raz i drugi uciekał tak daleko w bok, że otarł się o pławy u skraju toru. Wyglądało to, jakby chciał je pozrywać z kotwic i rozpędzić.

Farwater prowadzący teraz pomiędzy obszarami dawnych pól minowych – niezupełnie jeszcze wytrałowanych, a oznaczonych przez locję jako niebezpieczne – stał się wreszcie zbyt wąski dla tych wypadów, które ponadto zagrażały zderzeniem z innymi statkami.

⁹ SW/2 – wiatr południowo-zachodni o szybkości do 10 km/godz., morze spokojne.

¹⁰ Tj. – około 60 km/godz.

Kapitan Hornung zdecydował się wobec tego raczej porzucić ów szlak i obrać niepewną drogę na przełaj, niż narażać co chwila cały konwój na kolizję.

Rozdano pasy ratunkowe, wyznaczono załogi do szalup i przedsięwzięto wszystkie możliwe w tych warunkach środki ostrożności, po czym „Posejdon” i „Swarożyc”, za nimi zaś „Adlernest” zeszyły daleko w prawo, omijając od wschodu wyspę Saltholm.

W pięć godzin później, wkrótce po zachodzie słońca, wszystkie trzy statki rzuciły kotwice na redzie Kronborg, nazajutrz zaś, dwudziestego siódmego października o godzinie piętnastej m/s „Adlernest” w obecności sporego tłumu gapiów został wprowadzony do suchego doku w swoim dawnym porcie macierzystym – Helsingör.

* * *

„Posejdon” i „Swarożyc” miały odejść do Gdyni dopiero nazajutrz, zabierając całą załogę i wszystkich nurków, którzy przybyli z konwojem. Tylko inżynier Jakus musiał zostać przez dłuższy czas w Helsingör, aby przekazać wrak do remontu i wraz z delegatem ministerstwa podpisać odpowiednie umowy z dyrekcją stoczni.

Gdy woda opadła i m/s „Adlernest” stanął na betonowym dnie wielkiego czworokątnego doku, wszyscy już byli na lądzie z wyjątkiem dyżurnej wachty „Posejdon”. Chcieli obejrzeć ów port i miasto, porobić drobne zakupy, odwiedzić miejscowe kina i lokale rozrywkowe. Należało im się to w zamian za ostatnie trzy tygodnie pracy.

Wprawdzie po południu zaczął mżyć deszcz i dokuczliwy, zimny wiatr hulał po błotnistej, długiej i smutnej ulicy wiodącej ze stoczni ku śródmieściu, ale to ich bynajmniej nie zniechęcało. W ciągu paru godzin wiadomość o przybyciu m/s „Adlernest” obiegła miasto, a polscy nurkowie i marynarze, którzy z trzydziestopięciometrowej głębi podnieśli ten wrak od dawna uznany za bezpowrotnie przepadły, stali się bohaterami dnia.

Tłumy, które przyglądały się wprowadzeniu statku, odpłynęły wraz z nimi i wrak – czerwony od rdzy, jeszcze mokry, ociekający wodą, z plastrami na burtach, z połamanymi relingami i ze śladami od pontonów, które ocierały się o jego boki – pozostał sam na dnie ciemnego doku jak w otwartym grobie.

Barnat nie poszedł z innymi. Poczta, która na nich oczekiwała, i tu nie przyniosła mu żadnego listu. Był zbyt rozgoryczony i rozdrażniony, aby wziąć udział w hałaśliwej wycieczce do obcego miasta, które go wcale nie pociągało.

Z założonymi w tył rękami, w nieprzemakalnym płaszczu z podniesionym kołnierzem stał na betonowym obmurowaniu pogrążony w myślach i wspomnieniach. Spoglądał na pokład i na powyginane ściany kajut w tym miejscu, gdzie Rafał Grabień znalazł się w chwili, gdy trzeci lewoburtowy ponton zaczął tonąć.

Pomyślał, o ile zmieniłaby się obecna sytuacja w związku z Teresą, gdyby udało się mu wówczas uratować Rafała.

Uporczywe milczenie Teresy zdawało się wskazywać na jakąś zasadniczą zmianę jej uczuć. Czyżby śmierć tego chłopca, któremu Teresa zawdzięczała odzyskanie równowagi, a później nawet pogodnego spokoju po katastrofie, jaką dla niej było rozstanie z Antonim – czyżby ta śmierć miała zniweczyć dawną miłość znów rozbudzoną? Czy Rafał na zawsze stanął pomiędzy nimi?

Antoni nie umiał znaleźć odpowiedzi na te pytania. Nurtujący go żal, niepokój, zawód, tęsknota wreszcie – stawały się nie do zniesienia. Cała jego energiczna, czynna natura buntowała się przeciw takiemu stanowi rzeczy; przeciw niepewności i zawieszaniu, których nie mógł rozstrzygnąć od wielu tygodni.

Miał tego dość. Pragnął jak najprędzej wrócić do Gdyni, aby rozciąć ten gordyjski węzeł: tak albo nie!

Zaiste, gdy przed laty wraz z Hjertingiem stał na rufie tego statku, oczekując na chwilę wybuchu, który go miał zatopić, mniej się niecierpliwił niż teraz.

Mimo woli spojrzął na tę rufę, a potem podniósł wzrok, jakby uległ jakiejś magnetycznej sile przyciągającej. Wysoki człowiek, chudy jak szkielet, stał po przeciwnej stronie i patrzył na niego z widocznym napięciem.

Jego obecność zaskoczyła Barnata do tego stopnia, że z początku przypuszczał, iż ulega złudzeniu. Ta widmowa postać, zjawiająca się nad dokiem właśnie w tej chwili, skojarzyła mu się natychmiast z osobą trzeciego mechanika m/s „Adlernest”, co było zrozumiałe, lecz zbyt mało prawdopodobne, aby mógł w to uwierzyć.

Ponieważ jednak „duch” Roberta Hjertinga bynajmniej nie zamierzał rozpląnąć się w zapadającym zmierzchu (jak to zwykle czynią szanujące się widziadła osiągnąwszy swój cel, polegający na wprawieniu w osłupienie świadka ich materializacji), a przeciwnie, zdjął kapelusz i z uśmiechem na przeraźliwie chudej twarzy zaczął iść przez pomost przerzucony nad dokiem, przeto Antoni ruszył na jego spotkanie.

Zatrzymali się obaj na środku pomostu i podali sobie ręce.

– Więc to jednak wy – powiedział Hjerting. – Nie przypuszczałem, że was jeszcze kiedykolwiek spotkam. I was, i ten statek – dodał spoglądając z góry na wrak.

– A ja właśnie myślałem o was przed chwilą – odrzekł Barnat. – Przed kilku miesiącami szukaliśmy was w całej duńskiej marynarce handlowej. Co się z wami dzieje?

Hjerting od dawna już nie pływał; od kilku lat. Pracował tu, w tej stoczni, jako inżynier-motorzysta. Słyszał oczywiście o tym, że Polacy usiłują wydobyć „Adlernest”, ale nie przyszło mu do głowy, że mógłby się przydać przy tej robocie. Zresztą nie bardzo wierzył w powodzenie tego przedsięwzięcia.

– A jednak udało się wam – powiedział z podziwem.

– Udało się – potwierdził Barnat. – Ale znacznie łatwiej było go zatopić niż podnieść.

– Ja myślę – roześmiał się inżynier. – Dla was musiał to być także wielki tryumf osobisty. Wyobrażam sobie!

– Tak! – odrzekł Antoni. – To było w moim życiu wielkie zwycięstwo, chociaż – jeśli chodzi o podniesienie samego wraku – nie odegrałem przy tym większej roli niż każdy z moich kolegów, którzy tam ze mną pracowali.

Hjerting zrozumiał, że Barnat mówi o jakimś innym zwycięstwie niż to, które on miał na myśli. Nie chciał tego zgłębiać. Jego ciekawość nie została szczególnie podniecona.

Szli obok siebie przez pomost, a potem ową długą, smutną ulicą w stronę miasta.

Duńczyk pytał o Gdynię i Gdańsk, o Szczecin, o nowe warunki pracy na wybrzeżu i na morzu.

– Tam u was nastąpiły olbrzymie zmiany – mruknął.

– No pewnie! – potwierdził Barnat. – Prawdziwa rewolucja! A w Danii...

Hjerting machnął ręką.

– Och, my przecież jesteśmy zależni od innej polityki. Wy skończyliście z faszyzmem; zwyciężyliście go. Na Zachodzie się go „reformuje” i odbudowuje...

Umilkł nagle i rozejrzał się. Ulica była prawie pusta, okna przeważnie ciemne. Poczerniałe ściany domków, jakichś składów i fabryk przypominały brzegi ogromnego ścieku, z którego przed chwilą spłynęła błotnista woda. Mroczna, zimna, ponura wilgoć tych ścian z cegły, kałuże na jezdni i na wąskim chodniku chwytały żółte światło latarń gazowych połyskując fosforycznie jego odbiciem.

Nieco dalej duży ciężarowy samochód i dwie czy trzy taksówki stały opuszczone, jakby od dawna zapomniane, przed źle oświetlonym wejściem do podrzędnego baru. Jaśniejsza mętna smuga padała na chodnik, którego skrajem przemknął zabłocony tłusty kot i skoczył do piwnicy przez okienko ze stłuczoną szybą. Na rogu najbliższej przecznicy, po przeciwnej stronie stał dwukołowy wózek z owocami pod płóciennym daszkiem. Acetylenowa lampa oświetlała niewielki krąg dokoła straganu i skuloną postać przekupnia. Ciemna, barczysta sylwetka policjanta wynurzyła się z cienia, minęła strefę światła i znów zginęła w mroku. Odgłos kroków ucichł i przepadł bez echa.

Hjerting znów zaczął mówić stłumionym głosem, powoli, rzekłbyś – ostrożnie, jakby usiłował znaleźć właściwą ścieżkę na bagnistym gruncie. Słowa przesuwwały się jak przezorne stąpnięcia po sterzących kępach.

– Zrobiliście kolosalny skok naprzód, podczas gdy my zostaliśmy z tyłu. Ale w ogólnym rozwoju ludzkości to nie ma znaczenia; niewolnictwo, feudalizm i monarchia absolutna, kapitalizm i burżuazja, wreszcie – socjalizm. Jest pewne prawo rządzące kolejnością przeobrażeń społecznych, uważacie. Wielki kapitał niszczy lub wchłania mniejsze; opanowuje i gromadzi narzędzia produkcji; doskonali tę produkcję wyłącznie dla pomnożenia swych bogactw i w szaleństwie bogacenia się kosztem wyzysku przygotowuje, organizuje własny upadek. Tym się to musi skończyć.

– No to najlepiej byłoby założyć ręce i nic nie robić, bo i po co? – odparł Barnat wzruszając ramionami. – Tylko jak wszyscy by tak beczynn timerzali na rozpad kapitalizmu...

– Tego nie powiedziałem – przerwał mu Hjerting. – Wojna...

– My chcemy pokoju, nie wojny – powiedział Antoni. – Dlatego pracujemy tak, jak pracujemy. Wiedzie, kiedy podnieśliśmy ten wrak? Drugiego października. Właśnie drugiego! W dniu walki o pokój. To jest u nas nie tylko symboliczne, ale także realne.

– No tak – zgodził się Hjerting. – To jest realne. Wy będziecie mieli dobry statek, po który nasi armatorzy nie chcieli się schylić. Będą go wam zazdrościli. Oni nie dostrzegają przyczyn zupełnie jawnych czynów, nie wnikają w ich pobudki i podniety kierujące ludźmi. Oni interesują się tylko skutkami: uderza ich to, co oczywiste, lecz wzdragają się przed uświadomieniem sobie głębszej treści tego, co stwarza możliwość odniesienia podobnego zwycięstwa. W najlepszym razie dopatrując się w tym tylko wyższego poziomu technicznego...

Znów spotkali policjanta, który przechadzał się przed jakimś sklepem, już zamkniętym, lecz oświetlonym wewnątrz.

– Pilnują was tu – mruknął Barnat. – Może po to, aby wam nie przyszło do głowy stwarzać zbyt wielu przyczyn, które mogłyby pociągnąć za sobą skutki niepożądane.

Inżynier nic nie odrzekł.

– Idziecie do miasta? – spytał nagle, zwalniając kroku przed jakąś przecznicą.

Antoni przecząco potrząsnął głową.

– Wróćę chyba na statek.

– Ja tu mieszkam – powiedział Hjerting wskazując boczną uliczkę.

Podali sobie ręce i widmowa postać byłego mechanika m/s „Adlernest” rozplynęła się w mglistej nocy.

Antoni stał jeszcze chwilę, patrząc za nim. Pomyślał, że to spotkanie stanowi jak gdyby ostatni, znikający sygnał tego okresu przeszłości, w którym zboczył z właściwej drogi. Powrócił już na nią od dawna i teraz jasno widział ją przed sobą – szeroką, prostą, wspinającą się w górę.

FINAŁ

S/s „Posejdon” wszedł do Basenu Południowego w Gdyni i wolno zbliżał się do nabrzeża, na którym spory tłum złożony przeważnie z kobiet oczekiwał jego przybycia. Nurkowie i marynarze oblegali poręcz wzdłuż lewej burty, witając się już z daleka z rodzinami, ze swoimi dziewczętami i znajomymi. Powitania, chaotyczne pytania i odpowiedzi, okrzyki, imiona, śmiechy, czułe spojrzenia leciały z nabrzeża i z pokładu, mijając się nad coraz węższym pasem wody.

Czeluśniak i Barnat stali ramię w ramię wsparci o ścianę nadbudówek, za plecami innych. Antoni obojętnie spoglądał po ludziach cisnących się na wąskiej przestrzeni pomiędzy budynkami a brzegiem basenu. Nie spodziewał się, by ktokolwiek przybył tam specjalnie na jego powitanie. Zauważył Siwca przechadzającego się poważnie pod rękę z Marysią Piechówną; Władka Habzę, wyelegantowanego nad podziw, z obiema Tatarównymi, Jadwigą i Zofią, co zdawało się wskazywać, że sprawa wyboru pomiędzy nimi dwiema jeszcze nie dokonała się w jego sercu; Orbacha z żoną i synkiem, narzeczone Bronka Cybulskiego i Jedyńską, matkę i siostrę Gerta. Teresy nie było między nimi i choć nie liczył na to, że ją tam zobaczy, doznał uczucia zupełnego osamotnienia wśród tylu bliskich znajomych, którzy go otaczali.

Zszedł do kajuty, zabrał rzeczy i po odprawie celnej wydostał się z powrotem na pokład.

Czeluśniak był tam jeszcze; stał przy pomoście rozmawiając z dyrektorem Zięborakiem, który dawał mu jakieś polecenia, a potem śpiesznie go pożegnał i przebiegł przez pomost, wyprzedzając kilku robotników przetaczających wielką skrzynię na brzeg.

Antoni musiał się zatrzymać, ponieważ owa skrzynia zatarasowała przejście.

Wtem Czeluśniak trącił go łokciem.

– Tam i na was ktoś czeka, wiedźcie to sobie – powiedział wskazując ruchem głowy kierunek. – Tam – o! – pokazał mu palcem Teresę, która stała nieco na uboczu, widocznie szukając wzrokiem czyjejś twarzy wśród ludzi stłoczonych u burty „Posejdona”.

Antoni zaczerwienił się, co mu się zdarzało bardzo rzadko.

– Na mnie? – mruknął niepewnie. – Skąd wam to przyszło do głowy?

– No, przecie nie na mnie! – odburknął Czeluśniak. – Ja za nią nie latam ani ona za mną. Ruszcie się! Cóż to? Trzeba was poganiać?

Zaśmiał się krótko i klepnąwszy Barnata po plecach odwrócił się i odszedł.

W tej samej chwili Antoni spotkał wzrok Teresy. Serce skoczyło mu w piersi, stanęło w nagłym skurczu i zaczęło znów bić mocno i gwałtownie. Wydało mu się, że krzyknął głośno jej imię, że rzuca się ku niej na oślep nie panując nad sobą. Lecz nie wyrzekł ani słowa i tylko szedł ku niej szybkimi krokami, wpatrzony w jej oczy, nie widząc nic poza nią.

Zatrzymał się na wprost niej i upuścił walizkę, którą dotąd trzymał kurczowo, jakby to była jedyna rzecz zapewniająca mu równowagę.

Nigdy jeszcze nie doznał takiego uniesienia, które łączyło się z porywem dumy i tryumfu. Otoczył ją ramieniem, jakby ją brał w posiadanie, oddając jej w zamian całego siebie, wraz z dobrem i złem, ze swą siłą i zuchwałą odwagą, z popędliwą miłością, której nie zdołała się oprzeć.

Nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi. Tylko błękitny skrawek nieba pomiędzy ciemnymi obłokami zdawał się spoglądać z góry z wyrozumiałym, słonecznym uśmiechem na zaślepienie tych dwojga.

KONIEC

NURKOWANIE I PODNOSZENIE WRAKÓW

Jeśli powiem, że wydobyć wraku okrętu podwodnego S-51 z głębokości 40,3 m w roku 1926 należy do rekordów światowych – większość czytelników dozna zawodu: cóż to jest czterdzieści metrów! Wcale nie tak głęboko...

Nawet ostatnie rekordy radzieckie na pierwszy rzut oka nie są imponujące: nie przekraczają one sześćdziesięciu metrów.

Istotnie – w porównaniu z największymi głębiami oceanów, które sięgają 9 800 metrów – nie jest to wiele. A jednak jeśli przyjrzeć się tej sprawie bliżej, wyrasta ogrom trudności i to, co wydawało się nam dotąd łatwe, nabiera znamion wielkiego zwycięstwa człowieka nad potężnymi prawami i siłami przyrody.

Przyjrzyjmy się zatem z bliska owym trudnościom.

1. Warunki pracy nurka.

Powierzchnia ciała człowieka przeciętnego wzrostu i tuszy liczy około 14 000 cm². Na głębokości dziesięciu metrów na każdy centymetr kwadratowy ciśnienie wzrasta o jeden kilogram, a więc w sumie o czternaście ton. Tyle mniej więcej waży duży walec drogowy albo wagon węgla.

Ale już na trzydziestu metrach ciśnienie to wynosi czterdzieści cztery tony, a na stu metrach – sto czterdzieści cztery tony!

Ten straszliwy ciężar rozkłada się – rzecz jasna – równomiernie na całe ciało. Mimo to nurek zostałby nim zmiażdżony, gdyby nie równoważne ciśnienie powietrza, którym wypełniony jest jego ubiór, a także jego płuca i wszystkie tkanki. Powietrza o takim ciśnieniu dostarcza bowiem nurkowi pompa z pokładu statku ratowniczego.

Tak czy owak – wygląda to na pierwszy rzut oka niezwykle. Pomyślcie tylko: dętka samochodowa w grubej oponie przystosowana jest do ciśnienia od półtora do trzech atmosfer, czyli od półtora do trzech kilogramów na centymetr kwadratowy swej powierzchni. Jest przy tym tak twarda, że niesposób wgnieść ją palcem czy nawet pięścią. Natomiast nurek na głębokości stu metrów przy każdym oddechu wciąga do płuc powietrze sprężone do dziesięciu atmosfer! Oddycha tak, jakby się znajdował wewnątrz olbrzymiej dętki samochodowej, która jest trzykrotnie lub nawet siedmiokrotnie twardsza od normalnie napompowanej!

Co się wtedy dzieje w organizmie ludzkim? Dlaczego nie pękają delikatne pęcherzyki w płucach, bębrenki w uszach, naczynia krwionośne? Dlaczego ciało ludzkie nie wybucha, jak pocisk, rozsądzone tą potworną siłą?

Oto dlatego, że ciśnienie z zewnątrz jest równie wielkie. Na bęberek ucha ciśnienie od wewnątrz i z zewnątrz po dziesięć kilogramów, lecz cienka błona wytrzymuje to ściskanie, podobnie jak kartka papieru, którą ścisкалиbyśmy z dwu stron z taką samą siłą.

W ten sam sposób ścisłane są ścianki naczyń krwionośnych (ciśnienie krwi wewnątrz tych naczyń wzrasta również do dziesięciu atmosfer), ścianki pęcherzyków w płucach, ścianki wszystkich komórek, z których składają się tkanki ludzkiego organizmu.

Dopóki więc nurek pozostaje na dnie (i to przez czas ściśle określony), dopóki otrzymuje powietrze tłoczone pod właściwym ciśnieniem przez gumowy przewód, dopóki zawory, pompy itd. działają sprawnie – wszystko jest dość proste, przynajmniej z pozoru.

Ale... jeszcze trochę cierpliwości!

Powietrze, którym oddychamy (i którym oddycha nurek pod wodą), składa się z 21% tlenu i 79% azotu¹¹. Azot jest gazem obojętnym dla organizmu: dostaje się do płuc wraz z tlenem i przy wydechu zostaje wydany w tej samej ilości. Natomiast część tlenu (około 4,5%) zostaje wchłonięta przez krew. Jednocześnie krew oddaje około 4% trującego dwutlenku węgla, tak że skład powietrza wydychanego jest następujący: tlen 16,5%, azot 79%, dwutlenek węgla 4–5%.

Jednak przy dużym ciśnieniu sprawa się zmienia: część azotu rozpuszcza się we krwi.

I znów – ponieważ azot nie jest trujący – nie szkodzi to organizmowi ludzkiemu, dopóki podlega on stałemu ciśnieniu.

¹¹ Podaję liczby zaokrąglone, nie biorąc pod uwagę 0,03% dwutlenku węgla, co w danym wyjaśnieniu nie jest istotne.

Ale gdy człowiek, który oddychał w ciągu godziny powietrzem sprężonym do kilku atmosfer, szybko się wynurzy, we krwi powstają zaburzenia podobne do tych, jakie łatwo można zaobserwować w świeżo otwartej butelce z wodą sodową. Przy nagle zmniejszonym ciśnieniu zewnętrznym azot rozpręża się wewnątrz naczyń krwionośnych, a z krwi powstaje musująca piana. Wystarczy, aby kilka pęcherzyków tej piany dotarło do serca, a krążenie krwi zostanie przerwane i człowiek umiera.

Jest to wypadek skrajny, lecz pośrednie są również groźne dla życia, bardzo często kończą się paraliżem, a zawsze są niezwykle bolesne dla ofiary.

Nie koniec na tym. Rozprężający się gaz, rozprowadzony przez krew po całym organizmie, rozrywa drobne naczynia i tkanki powodując wewnętrzny krwotok. Krwotoki z uszu, z nosa i płuc, wylew krwi do mózgu, uszkodzenia narządów słuchu itd. – oto skutki szybkiego powrotu na powierzchnię z dużych głębokości.

Aby temu zapobiec, nurka podnosi się wolno, z przerwami na coraz mniejszych głębokościach, gdzie jego organizm przechodzi dekompresję. Tak na przykład nurek, który pracował przez dwie godziny na głębokości czterdziestu metrów, może być podnoszony z szybkością siedmiu i pół metra na minutę, przy czym po drodze zatrzymuje się celem dekompresji: na głębokości piętnastu metrów – dziesięć minut, na dwunastu metrach – dwadzieścia minut, na dziewięciu metrach – dwadzieścia pięć minut, na sześciu metrach – trzydzieści pięć minut, na trzech metrach – trzydzieści pięć minut, czyli razem dwie godziny i pięć minut.

Czas podnoszenia nurka oraz ilość i długość przystanków uzależnia się od głębokości i czasu przebywania w zanurzeniu. Np. na dnie sześćdziesięciometrowej głębi nurek może pozostawać do dwu godzin. Po trzydziestu minutach wynurzenie trwa półtorej godziny (z siedmiu przystankami); po dwu godzinach – cztery godziny (z ośmiu przystankami w drodze na powierzchnię).

Podczas „przystanków” nurek stoi na niewielkiej platformie opuszczonej pod wodę z pokładu statku. Właściwie nie stoi, lecz wykonuje przysiady, skłony tułowia, wymachuje ramionami itp., aby przyspieszyć krążenie krwi i jak najszybciej pozbyć się z niej nadmiaru azotu.

Wyobraźcie sobie tę gimnastykę pod wodą, w kostiumie, który waży osiemdziesiąt kilogramów...¹²

Zdarza się jednak, że nurka trzeba' podnieść z dużej głębokości szybko, bez żadnych przystanków. Może on np. zachorować, może zerwać się nagła burza uniemożliwiająca mu pracę (wskutek silnego kołysania się statku, z którego opuszczone są przewód powietrza i lina bezpieczeństwa), może wreszcie zajść inny jakiś wypadek – choćby rozdarcie ubioru, zacięcie się zaworu, przesiąkanie wody czy coś w tym rodzaju.

Wtedy nurkowi groziłoby śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyby nie „żelazny doktor”.

Tym „żelaznym doktorem” jest hermetycznie zamykany cylinder, do którego można tłoczyć powietrze podnosząc ciśnienie do wysokości odpowiadającej kompresji na danej głębokości pod wodą.

Nurka wyciąga się szybko na powierzchnię, umieszcza się go w owym cylindrze i reguluje się ciśnienie tak, aby w odpowiednim czasie organizm przeszedł dekompresję przewidzianą w zwykłych warunkach.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Przyczyny i objawy zatrucia dwutlenkiem węgla (CO₂) są na ogół znane. Nie każdy jednak wie, że dopiero przy 3% domieszce dwutlenku węgla w powietrzu, którym oddychamy na ziemi, można zauważyć pierwszą reakcję organizmu. (Przypominam, że normalne, świeże powietrze zawiera 0,03% CO₂, a zatem trzeba powiększyć tę ilość stokrotnie, aby odczuć różnicę). Reakcja ta ogranicza się zresztą do głębszego oddechu – niemal dwukrotnie głębszego niż normalnie. Dopiero przy 6% CO₂ w powietrzu oddech jest bardzo szybki, a przy 10% może już nastąpić omdlenie i torsje. Przy 25% – śmierć.

Tak sprawa wchłaniania CO₂ przedstawia się przy zwykłym ciśnieniu atmosferycznym, na ziemi. Ale inaczej się dzieje, gdy powietrze jest pod zwiększonym ciśnieniem. Tak np. na głębokości dziesięciu metrów pod wodą 1% domieszka CO₂ działa na organizm nurka tak, jak 2% na powierzchni; na głębokości zaś 30 metrów taki sam skutek ma 0,5% CO₂. Innymi słowy – im głębiej nurek się opuszcza, tym mniejsza ilość CO₂ wystarcza do zatrucia jego organizmu.

Jeśli więc wentylacja hełmu jest zła, jeśli wydychane powietrze nie zostaje należycie z niego usunięte – łatwo może nastąpić zatrucie własnym oddechem. Tu przypominam, że przy każdym wydechu wydalamy z płuc (i z krwi) nie 0,03%, lecz 4% CO₂, i dodaję, że przy wzmożonym wysiłku fizycznym wydzielanie się CO₂ może być nawet dziesięcio- lub piętnastokrotnie większe niż w spoczynku.

¹² Waga nad powierzchnią wody. W zanurzeniu trzeba odliczyć ciężar wody wypieranej przez objętość całego ubioru.

Wreszcie – nurkowi grozi cały szereg innych niebezpieczeństw, spośród których wymienię tylko „zgniecenie przy upadku”, jako jedno z częściej spotykanych.

Jeżeli nurek pracujący w zanurzeniu dziesięciu metrów – dajmy na to na najwyższym pokładzie zatopionego statku pasażerskiego – spadnie przypadkiem z tego pokładu i nagle znajdzie się na dnie morza, dwadzieścia metrów głębiej, to ciśnienie zewnętrzne (otaczającej go wody) wzrośnie raptownie o dwie atmosfery. Natomiast wewnętrzne ciśnienie w jego ubiorze przez pewien czas pozostanie takie, jakie było potrzebne na dziesięciu metrach zanurzenia.

Będzie to trwało tak długo, póki obsługa na powierzchni nie zauważy upadku i nie zwiększy obrotów pompy tłoczącej powietrze przez przewód gumowy, więc praktycznie w ciągu kilku czy kilkunastu sekund. Ale i ta krótka chwila wystarczy, aby ciężar trzydziestometrowego słupa wody zmiażdżył ciało nurka lub – ściślej mówiąc – wtłoczył je do hełmu. Bowiem tylko metalowy hełm o grubych ściankach zdoła oprzeć się takiemu ciśnieniu. Z elastycznym kombinezonem z gumowanego płótna stanie się to, co dzieje się z tubą pasty do zębów, gdy ją ściśniemy palcami: spłaszczy się, wyciskając zawartość przez górny otwór.

Oczywiście żaden nurek przy pracy nie jest pozostawiony bez opieki. Nad jego bezpieczeństwem czuwa przede wszystkim jeden z jego kolegów, trzymający linę i przewód powietrzny umocowany do hełmu.

Obowiązkiem takiego „trzymacza”, czyli sygnalisty, jest nieustanna obserwacja ruchów nurka, z którym porozumiewa się on za pomocą umówionych sygnałów – szarpnięć liny bezpieczeństwa.

Poza sygnalistą opiekę nad nurkiem sprawuje kierownik robót podwodnych, który może z nim rozmawiać przez telefon. (Przewód telefoniczny znajduje się w linie bezpieczeństwa; każdy hełm zaopatrzony jest wewnątrz w mikrofon i głośnik; na pokładzie statku zainstalowane są również mikrofony i głośnik lub słuchawki).

Wreszcie obsługa pompy tłoczącej powietrze i jeden z nurków dyżurnych (gotowy do zanurzenia i niesienia pomocy w razie wypadku) uzupełniają ten nadzór.

Może się jednak zdarzyć, że praca nurka wymaga dużego luzu liny bezpieczeństwa i przewodu powietrznego. Sygnalista musi nurkowi ten luz zapewnić i nie wyczuje szarpnięcia przy upadku.

Poza sygnałami za pomocą szarpnięć liny bezpieczeństwa, nurek porozumiewa się z załogą statku ratowniczego telefonicznie. Przez telefon żąda np. opuszczenia potrzebnych mu narzędzi, do których należą przede wszystkim wszelkiego rodzaju klucze do nakrętek, młoty, działka do wstrzeliwania sworzni w żelazną blachę zewnętrznego poszycia statku oraz aparaty do spawania i cięcia metali.

Jakże taki palnik tleno-wodorowy może działać pod wodą? Jakim cudem można tam rozżarzyć metal do białości; ba – stopić go i przeciąć?!

Cudów oczywiście nie ma. Jest tylko nieograniczona pomysłowość ludzka; geniusz, który ujarzmi przyrodę.

Palnik składa się z trzech rur osadzonych koncentrycznie jedna w drugiej. Przez środkową płynie strumień tlenu; przez tę, która ją otacza jakby pierścieniem – wodór; przez zewnętrzną, obejmującą tamte obie – powietrze. (Patrz rys. 1). Tym sposobem tlen i wodór płoną nie w wodzie, lecz w dużym bąblu powietrza, który tworzy się pod odpowiednim ciśnieniem u wylotu palnika. Wreszcie, rury tlenowa i wodorowa połączone są – każdą oddzielnym przewodem – z butlami zawierającymi sprężony gaz, a rura powietrzna – z pompą tłoczącą powietrze. Dzięki temu można dowolnie regulować ciśnienie w każdym przewodzie, powiększać lub zmniejszać bąbel powietrza, wydłużać lub skracać płomień.

Cały ten aparat bynajmniej nie jest hałaśliwy na powierzchni, ale pod wodą zachowuje się jak oszalała bateria dział szybkostrzelnych.

Posługiwanie się nim wymaga dużej wprawy (tak samo zresztą, jak władanie innymi narzędziami): człowiek pod wodą jest lekki; każdy prąd unosi go, podobnie jak powiew wiatru unosi nić pajęczą zawieszoną u gałęzi drzewa; wszelkim wysiłkom towarzyszy zwiększony opór środowiska, a wszystkie poruszenia odbywają się w zwolnionym tempie, jak na filmie, który przesuwa się z połową normalnej szybkości.

2. Oznaczenie wraku.

Wraki, które poszły na dno na uczęszczanych szlakach morskich i leżą tak płytko pod wodą, iż mogą stanowić niebezpieczeństwo dla żeglugi, są zwykle oznaczone bojami, czyli pławami¹³, zakotwiczonymi

¹³ Pławy koloru zielonego (dla odróżnienia od pław porządkowych – czerwonych) – z zielonym światłem wyłtykowym.

przy nich na stałe, a locja¹⁴ zawsze wymienia dokładną ich pozycję. Jeśli jednak wrak leży tak głęboko, iż żaden statek nie może się na niego natknąć, miejsce jego spoczynku nie bywa oznaczane, a znane jest zwykle tylko w przybliżeniu, bardziej lub mniej dokładnie.

Zanim więc przystąpi się do podnoszenia – ba, zanim jeszcze zapadnie w tej sprawie decyzja, oparta na wstępnych badaniach wartości wraku, możliwości wydobycia go i opłacalności takiego przedsięwzięcia – trzeba nie oznaczony wrak odnaleźć i oznaczyć.

Takich poszukiwań dokonuje się za pomocą trawlera lub kutra drewnianego, który ciągnie za sobą trał elektro-magnetyczny lub wyposażony jest w inne urządzenia do wykrywania dużych mas żelaza pod wodą.

Załogę trawlera stanowią: dowódca (szyper lub porucznik Żegluga Małej), który kieruje całą akcją, dwóch nurków, dwóch-trzech sygnalistów oraz mechanik obsługujący motor.

Poszukiwania mogą trwać dobę, dwie doby, czasem tydzień, czasem nawet miesiąc. To zależy trochę od szczęścia, więcej zaś od znajomości dokładnej pozycji, na jakiej statek zatonął, od stanu pogody podczas wyprawy, wreszcie – od umiejętności szypra.

Jego zadanie jest w zasadzie proste: otrzymawszy instrukcję określającą rejon poszukiwań, kieruje tam swój statek, opuszcza trał i „przechesuje” dno morza, pas za pasem, podobnie jak traktorzysta, który ma zorać pole. Tylko że na polu widać bruzdy pozostawione przez pług; na morzu łatwo pozostawić pas dna nie zbadany.

Gdy wrak zostanie odnaleziony, dowódca trawlera rzuca kotwicę w ten sposób, aby jego statek znalazł się możliwie w pionie nad wrakiem (po uwzględnieniu kierunku wiatru, prądu itp. czynników powodujących dryf). Jeśli okoliczności tego wymagają, dodatkowo umocowuje się trawler innymi kotwicami (z rufy czy też z burty), które zawozi się łodzią na odpowiednią odległość i w odpowiednie strony.

Z tak unieruchomionego statku opuszcza się nurka, który ma dotrzeć do wraku i umocować na nim linę. Do drugiego końca tej liny mocuje się pławę oznaczającą wrak i przedwstępna praca jest skończona.

3. Zbadanie wraku.

Teraz zaczynają się badania wstępne, których wynik zadecyduje o tym, czy i jak będzie można wrak podnieść i czy się to opłaci.

Na miejsce przybywa większy holownik, mając na pokładzie inspektora ratownictwa i kilku nurków. Holownik zakotwicza dokoła wraku cztery lub pięć boi i cumuje się do nich na mocnych linach, tak aby stanąć dokładnie nad wrakiem. Następnie do wraku umocowuje się jeszcze linę zejściową dla nurków (drugi jej koniec umocowany jest na pokładzie holownika) i można przystąpić do pracy.

Nurków kolejno opuszcza się na platformie przenoszonej z pokładu dźwigiem – do liny zejściowej, po czym schodzą oni na pokład wraku trzymając się owej liny. (Patrz rys. 2).

Zadaniem nurków będzie w tym stadium pracy:

1. Wymierzyć długość statku (po górnym pokładzie), jego szerokość na śródkręciu i wysokość od dna do górnego pokładu.

2. Wymierzyć długość, szerokość i wysokość nadbudówek i podać, w jakim stanie się znajdują.

3. Wymierzyć luki, ładownie i bunkry¹⁵ oraz podać jakość i ilość ładunku oraz paliwa, którym są załadowane.

4. Dokładnie zbadać kadłub statku, podać wymiary dziur i uszkodzeń, określić ich miejsce i zaznaczyć, jak zagięte są krawędzie i zadziory blachy (do wewnątrz czy na zewnątrz kadłuba).

5. Podać ilość i stan masztów, kominów, bomów, kotwic (w kluzach i na pokładzie).

6. Podać ilość iluminatorów, ich rozmieszczenie i stan, zaznaczając, które są otwarte lub rozbite.

7. Podać ilość i rozmieszczenie grodzi wodoszczelnych.

8. Zbadać stan maszyn głównych i kotłów.

9. Określić grubość warstwy mułu (piasku, gliny), która zalega pomieszczenia statku, oraz zbadać rodzaj gruntu dna morskiego.

10. Opisać i wymierzyć wszystkie przedmioty wystające poza burty statku.

¹⁴ Locja – opis danego obszaru wodnego i jego wybrzeży z punktu widzenia potrzeb i warunków żegluga. Każda locja zawiera opis i charakterystykę wszystkich znaków nawigacyjnych wystawionych na danym obszarze wodnym.

¹⁵ Bunkier – pomieszczenie na węgiel (lub inne paliwo do kotłów lub motorów).

11. Zmierzyć głębokość od powierzchni morza do dna w promieniu 20 m od burt statku.

12. Zmierzyć odległość górnego pokładu od powierzchni morza i stwierdzić, jak głęboko statek zapadł się w grunt.

13. Dokładnie zmierzyć przechył statku.

Inspektor ratownictwa nie zawsze dowierza danym dostarczonym przez nurków i często posyła drugiego nurka celem sprawdzenia tego, co doniósł pierwszy. Nie dlatego, aby posadzał ich o złą wolę, lecz dlatego, że spostrzeżenia i obliczenia wykonywane pod wodą, zwłaszcza na znacznych głębokościach, bywają zawodne.

Pole widzenia jest ograniczone przez okrągłą szybę w hełmie, a odległość widzenia zmniejsza się nieraz do kilkudziesięciu centymetrów, nawet przy użyciu lampy o sile 2–3 000 watów. Dzieje się tak z powodu „mgły” powstającej z mułu, który osiada na wraku i którego drobniutkie cząsteczki tworzą jakby tumany pyłu przy każdym poruszeniu się nurka.

Poza tym wzrok podlega złudzeniom: zwykle przedmioty widziane pod wodą wydają się znacznie bliższe i większe niż to jest w istocie; natomiast przebyta droga – krótsza.

Sam doświadczyłem takiego złudzenia podczas swej pierwszej „wycieczki” na dno morza, kiedy usiłowałem sklarować przewód powietrzny i w żaden sposób nie mogłem go uchwycić, choć zdawało mi się, że jest tuż obok mojej twarzy. Okazało się, że był o trzy czwarte metra dalej; zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy w polu mego widzenia znalazła się moja ręka i mogłem porównać odległość.

4. Obliczenia.

Mając już wszystkie potrzebne dane, jakie udało się zdobyć, inspektor ratownictwa wraca do swego biura i przystępuje do obliczeń, które mu posłużą do stworzenia ogólnego projektu wydobywania wraku i sporządzenia kosztorysu tego przedsięwzięcia.

Należy tu obliczyć stateczność wraku, jego ciężar na powierzchni i pod wodą; siłę przyssania do dna; ilość, wytrzymałość i pojemność pontonów (pływaków), przy których użyciu wrak ma zostać wynurzony; miejsce umocowania pontonów, wytrzymałość lin, którymi zostaną umocowane; nośność wodoszczelnych przedziałów wraku, które można zamknąć i z których można wypompować wodę napełniając je powietrzem itd.

Należy także ustalić sposób podnoszenia: najpierw rufą czy dziobem lub jednocześnie; sposób holowania: wprost do portu czy też pośrednio – ze zmianą umieszczenia pływaków, co można wykonać na płyciźnie (w wypadku jeśli trzeba podnieść wrak wyżej, z uwagi na zbyt małą głębokość basenów portowych, a nie dało się tego uczynić od razu w miejscu jego zatonięcia).

Wreszcie – trzeba sporządzić kosztorys robót, zaplanować ilość nurków, specjalistów pokładowych, sprzętu pomocniczego itp.

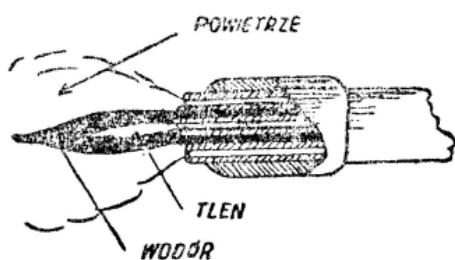
We wszystkich tych przygotowaniach i obliczeniach inspektor ratownictwa i jego personel spotyka wiele niewiadomych; wiele czynników, których wpływu przewidzieć nie sposób, jak: pogoda, siła przyssania wraku do dna, która może być znacznie większa niż przypuszczano, czas pracy, w której zdarzają się nieoczekiwane przeszkody i trudności; związane z tym dodatkowe koszty.

Zwalczenie tych trudności, osiągnięcie celu mimo wszelkich przeszkód jest „wielką przygodą” w nowoczesnym, najlepszym tego wyrazu znaczeniu. Polskie Ratownictwo Okrętowe może się poszczycić kilku takimi wyczynami, w których zastosowano obok najnowszych doświadczeń radzieckich także cały szereg pomysłów racjonalizatorskich naszych techników i nurków. Tak np. podniesienia s/s „Lecha”, który zatonął wskutek zetknięcia się z miną w dniu 2 października 1948, nie chciało się podjąć żadne z zagranicznych przedsiębiorstw ratowniczych, a słynna duńska firma „Svitzer” wręcz oświadczyła, że wydobywanie wraku przy dzisiejszych środkach technicznych jest niepodobieństwem. Mimo to s/s „Lech” został wydobyty przez P. R. O. w rok później i 27. X. 1949 był już w doku, a wkrótce potem wrócił do służby. Koszt jego wydobywania wyniósł 1 200 000 zł (w obecnej walucie), podczas gdy wartość tego statku sięga stu milionów złotych.

5. Podnoszenie wraku.

Wreszcie gdy wstępne czynności zostaną zakończone, można przystąpić do podnoszenia wraku. W tym celu na oznaczone miejsce udaje się ekspedycja na większym statku ratowniczym (holowniku lub lodołamaczu do 1 000 BRT) oraz jakiś mały holownik pomocniczo-komunikacyjny. Skład osobowy i liczebność takiej ekspedycji zależy przede wszystkim od głębokości, na jakiej dany statek zatonął, od jego wielkości i od stopnia uszkodzeń, jakie poniósł. W każdym razie będzie tam kapitan statku ratowniczego ze swoją załogą, inspektor ratownictwa, odpowiednia ekipa nurków i ich sygnalistów oraz specjaliści – rzemieślnicy powierzchniowi – tokarze, ślusarze, spawacze, motorzyści, cieśle itp.

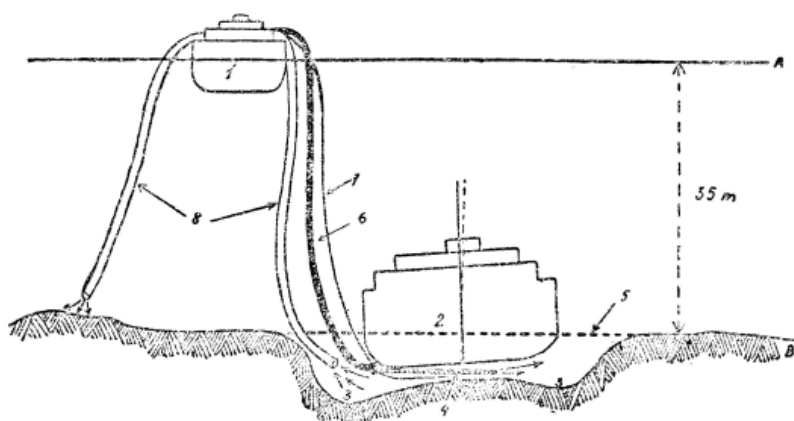
Praca tych ludzi i kolejność robót zostały przedstawione dość szczegółowo w toku powieści, tak że zbędne byłoby powtarzać je tutaj. Ograniczam się zatem do zilustrowania tych spraw za pomocą rysunków.



Ryc.1
Schemat palnika tlenowo-wodorowego
do cięcia metali pod wodą.

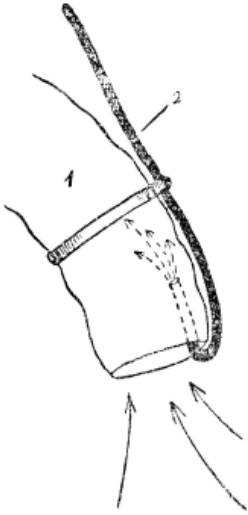


Ryc. 2
Nurek opuszczający się na dno po linie zejściowej.



Ryc. 3
WYPŁUKIWANIE TUNELI
A - powierzchnia wody. B - dno morza

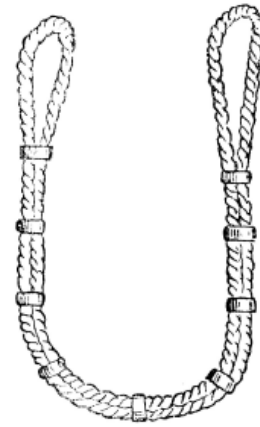
1. Statek ratowniczy
2. Wrak
3. Wejście do tunelu
4. Tunel pod dnem statku
5. Poziom dna morza
6. Wąż od pompy wodnej, zakończony rurą stalową
7. Cienka linka stalowa przywiązana do rury.
8. Inżynier



Ryc. 4.

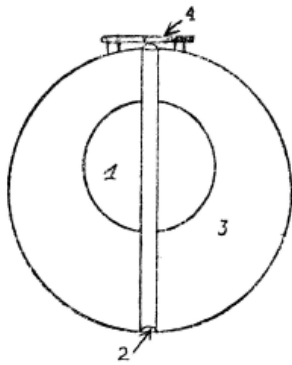
SCHEMAT INŻEKTORA

1. Rura elastyczna ssąca
2. Przewód powietrzny zasilany ze sprężarki na statku



Ryc. 5

STROP Z LINY STALOWEJ

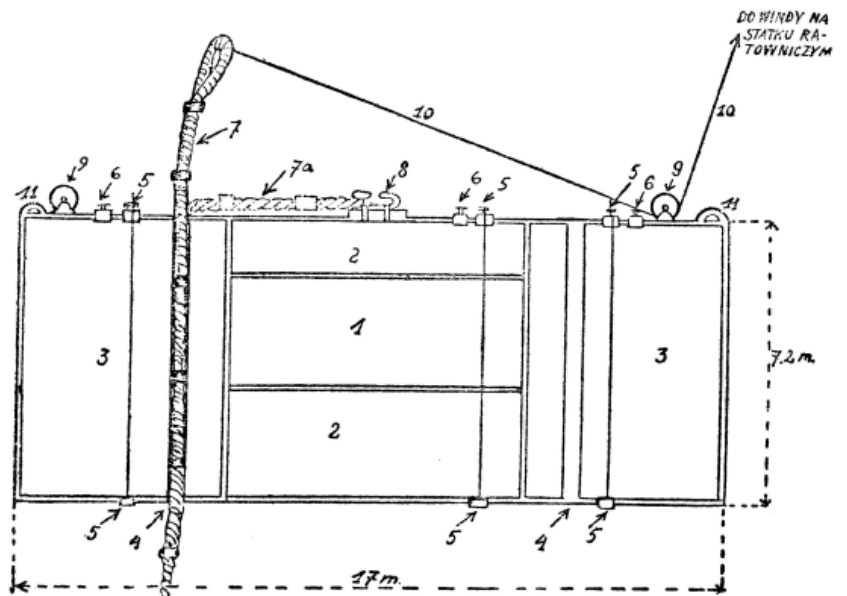


Rys. 6

PRZEKRUJ POPRZECZNY PONTONU

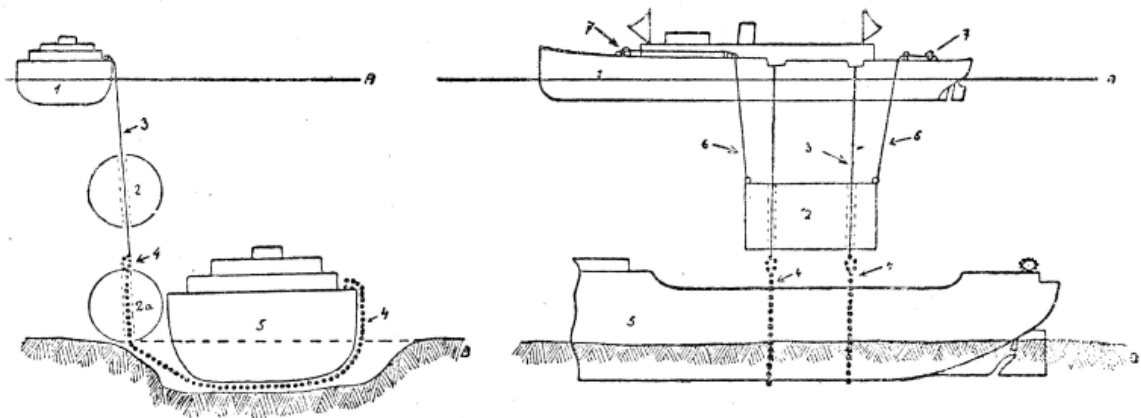
1. Zbiornik wyrównawczy stale napełniony powietrzem
2. Kanał do przewleczenia stropu
3. Zbiornik środkowy
4. Pomost

1. Zbiornik wyrównawczy stale napełniony powietrzem.
2. Zbiornik środkowy.
3. Zbiorniki boczne (skrajne).
4. Kanały do przewleczenia stropów.
5. Zawory wodne.
6. Zawory powietrzne.
7. Strop.
8. Główny hak do zamocowania stropów.
9. Blok krążkowy.
10. Lina stalowa, za pomocą której strop naciąga się na hak.
11. Uchwyty do lin dźwigowych, na których opuszcza się ponton przy zatopianiu.



Ryc. 7

PRZEKRÓJ PODŁUŻNY PONTONU

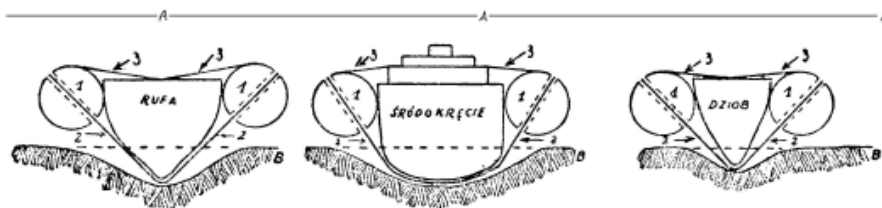


Ryc. 8

SCHEMAT OPUSZCZANIA PONTONÓW

1. Statek ratowniczy. 2. Ponton zsuwający się po linach prowadzących. 2a. Ponton niemal opuszczony, nawleczony na stropy. 3. Liny prowadzące połączone z pętlami stropów. 4. Stropy. 5. Wrak. 6. Liny dźwigowe podtrzymujące ponton w czasie jego opuszczania. 7. Windy parowe.

A — powierzchnia wody. B — dno morza.

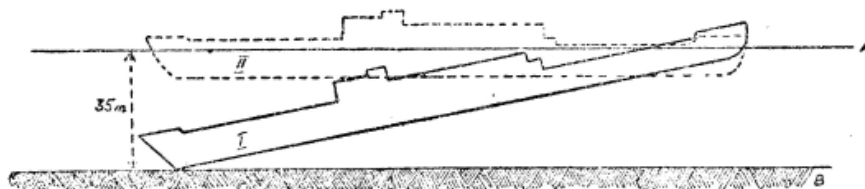


Ryc. 9

SCHEMAT UMOCOWANIA WYRÓWNIANYCH PONTONÓW

1. Pontony. 2. Stropy. 3. Stalowe liny poprzeczne mocujące ponton do pokładu wraku.

A - powierzchnia wody, B - dno morza



Ryc. 10

SCHEMAT PODNOSZENIA M/S 'ADLERNEST'

I - położenie po podniesieniu rufy. II - wrak na powierzchni po podniesieniu dzioba.

A - powierzchnia wody. B - dno morza

SŁOWNICZEK
WYRAZÓW TECHNICZNYCH ORAZ MNIEJ ZNANYCH

- Amt** (niem.) – urząd.
- Armator** – właściciel statku.
- Awaria** – uszkodzenie statku.
- Bagrowanie** – pogłębianie dna.
- Barograf** – przyrząd wskazujący i zapisujący ciśnienie atmosferyczne.
- Beauforta skala** – międzynarodowa skala szybkości wiatru od 0 do 12, tj. od ciszy do 30 metrów na sekundę. Stan morza według tej skali oznaczony bywa cyframi od 0 do 9.
- Boja** – znak ostrzegawczy lub porządkowy na morzu – zwykle beczka, pływak lub inna pława pomalowana jaskrawo, często ze światłem, dzwonem lub bucukiem.
- Bom** – belka, której jeden koniec jest umocowany do masztu blisko pokładu, drugi zaś może być poruszany na bloku we wszystkich kierunkach. Służy do podnoszenia, opuszczania i przenoszenia ciężarów na statku, ze statku poza jego burtę lub odwrotnie.
- Bosman** – drugi pomocnik szypra na małych statkach (patrz szyper) albo starszy podoficer pokładowy na statkach większych.
- Bromural** – środek na uspokojenie nerwów i podtrzymanie działalności serca.
- B. R. T.** – skrót oznaczający pojemność statku w tonach rejestrowych. Tona rejestrowa (R. T.) równa się 100 stopom sześciennym, tj. około 2,8 m³.
- Bryg** – dwumasztowy statek morski.
- Bryza** – okresowy wiatr terenowy wiejący prostopadle do ogólnej linii brzegowej – w nocy od lądu ku morzu, w dzień od morza ku lądowi.
- Chłodnicowiec** – statek, którego ładownie są sztucznie chłodzone za pomocą odpowiednich maszyn, celem zabezpieczenia produktów spożywczych przed zepsuciem.
- Cumy** – liny stalowe, konopne lub manilowe do przymocowania statku u nabrzeża. Cumować – uwiązywać statek na cumach.
- Dryf** – zboczenie statku z obranej drogi pod wpływem wiatru lub prądu.
- D. W. T.** – skrót oznaczający nośność statku w tonach wagowych.
- Dwuteownik** – belka stalowa, której przekrój poprzeczny wygląda jak rzymska jedynka (I).
- Falsburta** – nadburcie – ta część burty (boku statku), która wystaje nad pokładem.
- Fał** – lina do podnoszenia żagla albo rei.
- Farwater** – szlak albo tor żeglowny, wyznaczony bojami.
- Fregata** – pełnorejowy trój masztowy żaglowiec.
- „Gdynia – Radio”** – pocztowy urząd radio-telefoniczny w Gdyni, utrzymujący stałą łączność radiową ze statkami na morzu.
- Hisować** – podciągać w górę (żagle, reje, ciężary), przy użyciu lin i bloków.
- Inżektor** – dużej średnicy rura elastyczna z przewodem powietrznym doprowadzonym do jej wylotu i skierowanym w stronę drugiego jej końca, tak aby prąd powietrza stwarzając ssanie wewnątrz tej rury porwał za sobą wodę i piasek.
- Kabel** – miara długości, około 185 metrów. Także izolowany przewód elektryczny.
- Kabelgat** – magazyn materiałów, jak smoła, farby, pokost, liny itp. na statku.
- Kil** – belka wiązania okrętowego biegnąca przez całą długość spodu statku.
- Klarować** – (w tym wypadku) porządkować, rozplątywać.
- Kluza** – otwór w burcie statku z przodu, przez który przechodzi łańcuch kotwicy.
- Kilwater** – bruzda powstająca na wodzie za rufą statku.
- Koja** – prycza, tapczan do spania.
- Kuter** – mały statek rybacki lub pomiarowy z masztem i motorem.
- Lichtuga** – mniejszy statek, służący do wyładowania lub załadowania ładunku na okręt.
- Luk** – otwór ładunkowy albo zejściowy, prowadzący w głąb statku.
- Luk świetlny** – pionowy szyb oszklony, przepuszczający światło do wnętrza statku.
- Manila** – rodzaj konopi z Wysp Filipińskich. Lina z włókna tej rośliny nie tonie w wodzie.
- Marki** – znaki kolorowe na linach, przewodach, węzłach itp. umieszczone najczęściej co dwa metry.

Metacentrum – krytyczny punkt równowagi statku zależny od jego środka ciężkości.

M/s – skrót, oznaczający statek motorowy.

Mufa – złącze rur, osi itp. Rodzaj pochwy metalowej.

Nawietrzna – ta strona statku (lub np. wyspy), w którą uderza wiatr.

Peleng – namiar – kąt zawarty między linią północ-południe a kierunkiem na dany obiekt.

Podwietrzna – ta strona statku (lub np. wyspy), z której wiatr spływa.

Reda – obszar przed portem, o dnie dogodnym do kotwiczenia.

Reling – poręcz, bariera.

Rufa – tylna część statku.

Rumb – kąt $11\frac{1}{4}$ stopnia, $\frac{1}{32}$ część horyzontu lub okręgu koła.

Rzutka – cienka linka konopna.

Sążeń – około 1,83 metra.

Skylight (czytaj: skajlajt) – okno wystające skośnie z pokładu, oświetlające te pomieszczenia, które nie są położone przy żadnej z burt.

S/s – skrót oznaczający statek parowy.

Stalówka – lina upleciona z drutów stalowych.

Starszy nurek – stopień pośredni między nurkiem a inspektorem robót podwodnych.

Starszy oficer – albo pierwszy oficer – zastępca komendanta statku.

Ster awaryjny – ręczny, tj. taki, którego obroty nie są przenoszone na pletwę sterową przy użyciu maszyny sterowej.

Strop – lina, której oba końce są z sobą splecione. Zwykle średnicę lin podaje się w milimetrach, obwód zaś w calach.

Szakla – półogniwo w kształcie podkowy do łączenia łańcuchów, mocowania lin itp.

Szkwał – gwałtowny wiatr.

Szlupbelki – wygięte łukowato belki, obracane na osiach, do opuszczania i podnoszenia szalup.

Sztagi – liny stalowe usztywniające maszt ku przodowi.

Szpigat – otwór w burcie, którym ścieka woda z pokładu.

Sztorm – burza.

Szyper – komendant kutra lub holownika.

Teodolit – przyrząd optyczny do mierzenia na odległość kątów w terenie.

Trap – wszelkie drabiny i schody używane na statku, stałe lub przenośne.

Trawler (czytaj: trauler) – średniej wielkości pełnomorski statek rybacki lub przeznaczony do wyławiania min.

Tunel wałowy – tunel na dnie statku, którym przechodzi wał obrotowy śruby.

Wachta – część załogi pełniąca w danej porze doby służbę na statku, także – dyżur. **Podwachta** – wachta, która ukończyła służbę; **nadwachta** – wachta, która z kolei obejmuje służbę.

Wanty – liny stalowe usztywniające masz między burtami.

Wrak – rozbity lub zatopiony statek.

Wyparowniki – urządzenia wchodzące w skład maszyn chłodniczych.

Zenza – wolna przestrzeń na samym dnie statku tuż nad kilem.